

ANNE HOLT

MATERIALISTA

Przełożyła Iwona Zimnicka

Tytuł oryginału PENGEMANNEN



*Dla Ann-Marie,
za piętnaście dobrych lat przyjaźni i współpracy*

Część I

Boże Narodzenie 2008

Niewidzialne dziecko

Była dwudziesta noc grudnia.

Jeden z tych sobotnich wieczorów, które tyle obiecują, a żadnej ze swych obietnic nigdy nie spełniają, prawie niezauważenie przeszedł w ostatnią niedzielę adwentu. Ludzie wciąż krążyli między restauracjami i barami, przeklinając gwałtowne opady śniegu, które kilka godzin wcześniej nieoczekiwanie nadciągnęły nad Oslo. Później temperatura podskoczyła do trzech stopni na plusie i po gwiazdkowej atmosferze została jedynie szara breja pokrywająca zlodowaciałe bryły i jeziora roztopionego śniegu.

Na środku Stortingsgaten stało nieruchomo dziecko.

Dziewczynka była bosa.

– *Gdy długa noc nadchodzi – śpiewała cichutko – i chwyta tęgi mróz...*

Miała na sobie jasnożółtą nocną koszulę z wyhaftowanymi biedronkami. Spod koszuli wystawały łydki, cieniutkie jak chińskie pałeczki, a stopy tkwiły zanurzone w pośniegowym błocie. Drobniutkie, półnagie dziecko tak bardzo nie pasowało do nocnego obrazu miasta, że nikt jeszcze nie zwrócił na nie uwagi. Sezon gwiazdkowych przyjęć osiągał właśnie punkt kulminacyjny i wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. Nieubrane, nucące pod nosem dziecko stojące w środku nocy na jednej z ulic było wręcz niewidzialne, zupełnie jak te egzotyczne zwierzęta z Afryki w książeczce, którą dziewczynka miała w domu, sprytnie ukryte w rysunkach przedstawiających norweski pejzaż, wplecione w korę drzew i liście, prawie niemożliwe do zauważenia, bo nie należały do tego miejsca.

– *...maleńka mysia mama...*

Wszyscy wyszli z domów, żeby się zabawić, ale tak naprawdę bawiło się niewielu. Przy witrynie jubilera Langgaarda jakaś kobieta opierała się o zbrojoną szybę, przyglądając się własnym wymiocinom. Niestrawiony, intensywnie czerwony sos malinowy spływał wśród resztek żeberek i białej kielbasy, mieszając się ze śniegową breją i piaskiem do posypywania ulic. Idący przeciwną stroną ulicy młodzi mężczyźni pokrzykiwali do kobiety i fałszywie

wyśpiewywali nieprzyzwoite piosenki. Szli wzdłuż Teatru Narodowego, ciągnąc między sobą nieprzytomnego kolegę i nie przejmując się tym, że zgubił jeden but. Przed każdym barem czy restauracją stała grupka trzęsących się z zimna palaczy. Po ulicach hulał słony wiatr od fiordu i mieszał się z odorem tytoniu, alkoholu i zwietrzałych perfum, z typowym zapachem norweskiej nocy w wielkim mieście przed zbliżającym się Bożym Narodzeniem.

Nikt nie zwracał uwagi na dziewczynkę stojącą między lśniącymi srebrem szynami tramwajowymi i cichutko śpiewającą:

– ...*maleńka mysia mama, maleńka mysia mama...*

Zupełnie jakby się zacięła:

– ...*maleńka mysia mama...*

Od przystanku położonego sto metrów dalej w stronę zamku oderwał się tramwaj numer dziewiętnaście. Niczym ciężkie jak ołów sanie wyładowane ludźmi, nie bardzo świadomymi tego, dokąd jada, powoli przyspieszał na łagodnym zboczu opadającym w dół ku hotelowi Continental. Niektórzy pasażerowie nie wiedzieli nawet, gdzie wcześniej byli. Spali. Inni bełkotali o przemieszczeniu się na kolejną imprezę, o większej ilości alkoholu i kolejnych dziewczynach do wyrwania, zanim zrobi się za późno. Jeszcze inni obojętnie wpatrywali się w gęste ciepło, oblepiające szyby szarą, wilgotną, nieprzezroczystą powłoką.

Mężczyzna stojący przy wejściu do kawiarni Teatralnej oderwał wzrok od drogich pantofli, które wybrał na ten wieczór, wierząc, że śnieg wciąż jeszcze każe na siebie poczekać. Teraz miał już przemoczone nogi i wiedział też, że smugi soli będą trudne do usunięcia, nawet jeśli buty dostaną kiedyś szansę na wyschnięcie.

On pierwszy zauważył dziecko.

Otworzył usta do ostrzegawczego krzyku. Zanim jednak zdążył nabrać powietrza, ktoś go popchnął w plecy, miał więc dość zajęcia z utrzymaniem się na nogach.

– Kristiane! Kristiane!

Ubrana w strój ludowy kobieta zaplątała się w obszerną spódnicę i odruchowo przytrzymała się mężczyzny w zniszczonych butach od Enza Polego, który sam jeszcze nie zdążył złapać równowagi. Oboje upadli na ziemię.

– Kristiane! – Kobieta z płaczem próbowała się podnieść.

Tramwaj głośno dzwonił.

Motorniczy, który wkrótce kończył wyczerpującą drugą zmianę, wreszcie dostrzegł dziewczynkę. Metal zazgrzytał o metal, gdy z całych sił hamował na mokrych, oblodzonych torach.

– ...*maleńka mysia mama do dzieci wota znów...* – śpiewała Kristiane.

Tramwaj znajdował się w odległości zaledwie sześciu metrów od dziewczynki i ciągle się poruszał, gdy matka wreszcie stanęła na nogi. Wybiegła na ulicę w spódnicy do połowy oderwanej od gorsetu, znów źle stąpnęła, ale zdołała utrzymać się na nogach i krzyknęła:

– Kristiane!

Później ktoś mówił podobno, że mężczyzna, który wyłonił się z wielkiej nicości, przypominał Batmana. Musiało tak być jedynie z powodu szerokiej peleryny, bo przecież był niski, z lekką nadwagą, a poza tym łysy. Ponieważ oczy wszystkich skierowały się na dziecko i zrozpaczoną matkę, nikt nie zauważył, jak mężczyzna ten z niezwykłą zwinnością przemknął przed hałasującym tramwajem i nie zwalniając, jedną ręką przyciągnął dziewczynkę do siebie. Ledwie zdążył zeskoczyć z torów, gdy tramwaj nasunął się na prawie niewidoczne ślady dziecka i dopiero wtedy wreszcie się zatrzymał. Zaczepiony o zderzak kawałek poły ciemnego płaszcza lekko poruszył się w powietrzu. Miasto odetchnęło z ulgą.

Nie było słychać samochodów, śmiechy i pokrzykiwania zamarły. Ucichł dzwonek tramwaju. Ludzie stali w milczeniu, jakby nie mogli uwierzyć, że wszystko dobrze się skończyło. Motorniczy tkwił nieruchomo na swoim miejscu i z wybałuszonymi oczami trzymał się za głowę. Nawet matka, w zniszczonym odświętnym stroju, z rękami bezradnie zwieszonymi wzdłuż boków jakby skamieniała w odległości kilku metrów od córki.

– *...w pułapkę się nie złapie...* – śpiewała dalej Kristiane, nie patrząc na mężczyznę, który niósł ją na rękach.

Ktoś zaczął ostrożnie klaskać, inni się przyłączyli. Oklaski narastały. A wtedy kobieta w stroju ludowym nagle oprzytomniała.

– *Moje dziecko!* – krzyknęła i przebiegła kilka kroków dzielących ją od córki, wyrwała ją mężczyźnie i mocno przytuliła. – *Nigdy więcej tak nie rób! Musisz obiecać mamie, że już nigdy, przenigdy tak nie zrobisz!*

Inger Johanne Vik, nie puszczając Kristiane, bez zastanowienia uniosła rękę. Mężczyzna nawet się nie skrzywił, gdy jej dłoń z ostrym plaśnięciem spadła na jego policzek, i nie dotykając czerwonego, piekącego śladu palców, uśmiechnął się tylko krzywo, powoli, głęboko skinął głową w staromodnym geście pożegnania, odwrócił się i zniknął.

– *...uważać trzeba już* – śpiewało dziecko – *żebyśmy mogli bawić się, bo święta są tuż-tuż.*

– Nic się nie stało? Wszystko w porządku?

Z hotelu Continental wyłaniały się kolejne odświętnie ubrane osoby. Mówiły jedna przez drugą. Do wszystkich dotarło, że coś się wydarzyło, ale tylko nieliczni wiedzieli co. Ktoś mówił o potrąceniu przez samochód, inni o próbie porwania małej Kristiane, tego

dziwnego dziecka siostry panny młodej.

– Moja najdroższa! – płakała matka. – Nie wolno tak robić!

– Pani umarła – powiedziała Kristiane. – Zimno mi.

– No pewnie, że ci zimno.

Matka ruszyła w stronę hotelu drobnymi kroczkami, żeby się tylko nie przewrócić. W drzwiach stała panna młoda. Gorset sukni bez ramiączek zdobiły białe, błyszczące pajetki. Mięśisty jedwab ciężkimi fałdami opadał z wąskich bioder do stóp, obutych we wciąż lśniące białe, wyszywane perełkami pantofelki. Gwiazda tego wieczoru ciągle pozostawała piękna, jak na pannę młodą przystało, perfekcyjnie umalowana, z fryzurą równie nieskazitelną jak przed kilkoma godzinami, gdy zaczęło się weselne przyjęcie. Odcień skóry odsłoniętych ramion mógł wskazywać na to, że w podróż poślubną wybrała się jeszcze przed ślubem. Nie sprawiała nawet wrażenia, że zmarzła.

– Wszystko w porządku? – spytała z uśmiechem, a gdy siostra ją mijiała, pogładziła siostrzenicę po policzku.

– Moja ciocia – uśmiechnęła się Kristiane. – Ciocia panna młoda! Ślicznie wyglądasz!

– Za to o twojej mamie nie da się tego powiedzieć – mruknęła panna młoda.

Ale usłyszała ją tylko Kristiane, Inger Johanne nawet nie spojrzała na siostrę. Szła dalej, tam, gdzie ciepło. Chciała jak najprędzej znaleźć się w hotelowym pokoju, wejść z córką pod kołdrę, a może do wanny, do gorącej wody, bo jej dziecko zamarzło na lód i należało je jak najszybciej rozmrozić. W holu potknęła się i z trudem łapała oddech. Wprawdzie prawie czternastoletnia już Kristiane nie ważyła więcej niż dziesięciolatka, to jednak matka niemal załamywała się pod jej ciężarem. Spódnica wisiała na niej tak krzywo, że Inger Johanne nadeptywała na nią przy co drugim kroku. Korona upięta z warkocza rozpadła się; fryzurę zaproponował Yngvar, a Inger Johanne była dostatecznie zestresowana ślubem, by się na nią zgodzić. Niestety, już w kilka minut po rozpoczęciu wesela poczuła się jak Brunhilda z przedstawienia granego w okresie międzywojennym. Z pierwszego piętra zbiegł potężny mężczyzna.

– Co się stało? Co się... Wszystko z nią w porządku? A z tobą?

Yngvar Stubø usiłował zatrzymać żonę, ale Inger Johanne syknęła wściekle przez zaciśnięte zęby:

– Idiotyczny pomysł! Do domu mamy dziesięć minut taksówką. Dziesięć minut!

– Co jest idiotyczne? Co mamy... Daj mi ją, Inger Johanne. Masz podartą sukienkę, byłoby...

– To nie jest sukienka! To jest strój ludowy! Gorset ze spódnicą! I to był twój pomysł,

te okropne włosy i ten hotel! I to, że Kristiane pójdzie z nami. Mogła już nie żyć!

Placz wziął nad nią górę. Powoli rozluźniła uścisk wokół ciała dziewczynki. Mężczyzna o wielkich rękach delikatnie ją podtrzymał i razem zaczęli wchodzić po schodach. Nie odzywali się do siebie, tylko Kristiane śpiewała dalej cienkim jasnym głosem:

– *Hopsa, hopsa, hop i hopsasa, w Wigilię każdy z nas radości tyle ma!*

* * *

– Ona śpi, Inger Johanne. Lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku. Nie ma powodu, żeby teraz wracać do domu. Jest godzina...

Mężczyzna zerknął na niemy odbiornik telewizyjny; z jego ekranu hotel wciąż serdecznie witał Mrs. and Mr. Yngvar Stubø.

– Piętnaście po trzeciej. Dochodzi pół do czwartej nad ranem, Inger Johanne.

– Chcę wracać do domu.

– Ale...

– Nie powinniśmy w ogóle godzić się na taki plan. Kristiane jest za mała.

– Ma prawie czternaście lat. – Yngvar potarł twarz. – A zgody na to, by czternastolatka poszła na wesele swojej ciotki, nie można uznać za brak odpowiedzialności. Twoja siostra okazała się bardzo wielkoduszna, fundując nam apartament i opiekunkę do dziecka.

– Też mi opieka!

Słowom towarzyszyła chmurka maleńkich kropelek śliny.

– Albertine się zdrzemnęła – przyznał z rezygnacją Yngvar. – Położyła się na kanapie, kiedy Kristiane w końcu zasnęła. A co miała robić? Przecież tak się umawialiśmy, Inger Johanne. Kristiane ją dobrze zna. Nie mogliśmy oczekiwać od niej więcej niż to, o co ją poprosiliśmy. Po deserze zabrała Kristiane od stołu i przyprowadziła do pokoju. To był nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Po prostu tak się złożyło i musisz się z tym pogodzić.

– Złożyło? Złożyło się, że dziecko, takie... takie jak Kristiane wydestaje się z zamkniętego na klucz hotelowego pokoju i nikt tego nie widzi? Że opiekunka, której Kristiane wcale nie zna tak dobrze, bo wciąż mówi o niej „pani”, śpi tak mocno, że Kristiane uznała, że umarła?! Że dziecko zaczyna krążyć po budynku pełnym ludzi? Pijanych ludzi! A potem w środku nocy wychodzi na ulicę bez ubrania, bez butów i bez... – Zasłoniła twarz rękami i głośno zaszlochała.

Yngvar wstał z krzesła i ciężko usiadł przy niej na łóżku.

– Czy nie możemy po prostu się położyć? – spytał cicho. – Jutro wszystko będzie wyglądało lepiej. No i przecież dobrze się skończyło. Cieszymy się z tego i chodźmy spać.

Nie odpowiedziała. Zgarbione plecy drgały przy każdym oddechu.

– Mamo...

Inger Johanne błyskawicznie wytarła twarz i odwróciła się do córki szeroko uśmiechnięta.

– Słucham, kochanie?

– Czasami jestem całkiem niewidzialna.

Z korytarza dobiegały chichoty i śmiechy. Ktoś zawołał „na zdrowie”, a jakiś męski głos domagał się informacji, gdzie znajdzie kostkarkę do lodu.

Inger Johanne ostrożnie położyła się na łóżku. Zaczęła powoli gładzić cienkie, jasne włosy dziewczynki, a potem przysunęła usta do jej ucha.

– Nie dla mnie, Kristiane. Dla mnie nigdy nie jesteś niewidzialna.

– Właśnie że tak – roześmiała się Kristiane. – Dla ciebie też. Jestem niewidzialnym dzieckiem.

Zanim matka zdążyła zaprotestować, dokładnie w chwili, gdy dzwony na wieży ratusza oznajmiły, że z dwudziestego dnia grudnia minęło kolejne pół godziny, Kristiane już mocno spała.

Pokój z widokiem

Kiedy dzwony na wieży ratusza wybiły pół do czwartej, zdecydował, że już dość.

Stał przy oknie i patrzył na to, co dało się zobaczyć.

Było tego niewiele.

Dziesięć godzin wcześniej, kiedy śnieg gęsto sypał na Oslo, miasto stało się czyste i jasne. W pustej ciszy biura z taką intensywnością oddał się pracy, że nawet nie zauważył zmiany pogody. Teraz miasto rozciągało się pod nim ciemne, pozbawione konturów. Wprawdzie nie padało, ale w powietrzu było tyle wilgoci, że po szybie spływały krople. Twierdzą Akershus dało się dostrzec tylko jako niewyraźny cień po drugiej stronie basenu portowego i jedynie leniwie przelewające się białe szczyty fal świadczyły o tym, że czarna powierzchnia ciągnąca się od Kei Ratuszowej do Nesodden aż po Hurumlandet to rzeczywiście fiord i morze.

Ale światła wyglądały pięknie. Widoczne zza mokrej szyby uliczne latarnie i lampiony przypominały migoczące gwiazdki.

Wszystko leżało gotowe na biurku.

Gwiazdkowe prezenty.

Rejs na Karaiby dla brata i siostry z rodzinami. Wprawdzie jednym ze statków będących własnością przedsiębiorstwa żeglugowego, ale i tak hojny prezent.

Bizuteria dla matki, która w Wigilię skończy sześćdziesiąt dziewięć lat i której nigdy nie znudziły się brylanty.

Zdalnie sterowany helikopter i nowa deska snowboardowa dla syna.

Nic dla Rolfa, tak się zawsze umawiali i zawsze tego żalowali.

I dwadzieścia milionów na cele dobroczynne.

To wszystko.

Z osobistymi upominkami uporał się szybko. Listopadowa wizyta u stałego jubilera w Amsterdamie zajęła mu nieco mniej niż pół godziny. Potem jeszcze w tym samym tygodniu

runda po centrum handlowym w Bostonie i dwadzieścia minut tej nocy spędzonych przy komputerze, a poświęconych na napisanie miłego listu, który zamierzał dołączyć do prezentów dla rodzeństwa. Kuszących zdjęć Martyniki i Aruby znalazł mnóstwo na stronach armatora. Rezultat wypadł całkiem nieźle, miał też odpowiedni akcent, bo na zdjęcie „MS Princess Ingrid Alexandra” o zachodzie słońca udało mu się wkleić wzdłuż relingu całą rodzinę.

To pieniądze na cele dobroczynne zabrały mu tyle czasu.

Marcus Koll jr. wkładał całą duszę w każdą dotację. Sypanie wokół podarkami było jego gwiazdkowym prezentem dla samego siebie. Zawsze wprawiało go w dobry nastrój i przypominało mu dziadka. Staruszek, który był najbliższą Bogu osobą, do jakiej mały Marcus kiedykolwiek się zbliżył, zadał mu kiedyś następujące pytanie: „Pewien człowiek pomaga dziesięciu innym w potrzebie i czerpie z tego sławę. Inny pomaga tylko jednemu, ale zachowuje to w tajemnicy i nigdy nie otrzymuje podziękowań. Który z nich dwóch jest lepszym człowiekiem?”.

Dziesięciolatek odpowiedział, że ten pierwszy, i później musiał się z tym męczyć. Długo upierał się przy swoim: zamiar ofiarodawcy nie jest decydujący, liczy się rezultat. Dziesięć to lepszy wynik niż jeden.

Staruszek tak długo argumentował za drugą odpowiedzią, aż piętnastoletni Marcus zmienił wreszcie zdanie. Dziadek zresztą też. Dyskusja trwała do czasu, gdy Marcus Koll senior zmarł w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat, pozostawiając po sobie starannie uporządkowane życie – w szarozielonej teczce z logo NSB, Norweskich Kolei Państwowych. Dokumenty pokazały, że przez całe swoje dorosłe życie oddawał dwadzieścia procent tego, co zarobił. Nie dziesięć, co było pewną tradycją w robotniczym ruchu związkowym, tylko dwadzieścia. Jedną piątą wszystkiego, co zarobił w życiu, dziadek przeznaczył na podarunek dla tych, którym żyło się gorzej niż jemu.

Marcus jr. przejrzał papiery w dniu pogrzebu dziadka. To była podróż w czasie przez najmroczniejsze wydarzenia dwudziestego stulecia. W teczce znalazły się przedwojenne pokwitowania za przelewy na rzecz ubogich wdów, później dla żydowskich dzieci. W roku 1956 dla uchodźców z Węgier. Organizacja Save the Children co miesiąc od roku 1959 otrzymywała niewielką sumę. Dziadek hojną ręką ofiarował też datki na pomoc po większości katastrof, jakie wydarzyły się od roku 1920, od zatonięć statków w okresie międzywojnia poprzez klęskę głodu w Biafrze aż po tsunami w południowo-wschodniej Azji. Zmarł zaledwie pięć dni po uderzeniu olbrzymiej fali, w sylwestrowy wieczór 2004 roku, ale zdążył jeszcze doczłapać na pocztę na Tøyen, żeby wysłać pięć tysięcy koron Lekarzom bez Granic.

Maszyniście pociągu z niepracującą żoną i pięciorgiem dzieci, a z czasem z czternaściorgiem wnuków, niełatwo musiało rok po roku przychodzić uszczuplanie pensji, a później emerytury. Ale nigdy się tym nie chwalił. Wpłaty dokonywał gotówką w różnych urzędach pocztowych położonych dostatecznie daleko od mieszkania w kamienicy na Vålerenga, by nie został rozpoznany. Jako ofiarodawcę zawsze wpisywał osobę fikcyjną, ale zdradzał go charakter pisma.

Dziadek wspomógł nie jednego człowieka, nie otrzymując za to żadnego uznania. Wsparł ich tysiące.

Tak jak jego wnuk.

Wpłaty Marcusa Kolla juniora na rzecz organizacji charytatywnych i badań naukowych były jednak innego rzędu wielkości, ale temu trudno się dziwić. W ciągu zaledwie kilku tygodni zarabiał więcej niż jego dziadek przez całe swoje długie życie. Mimo to stale sobie powtarzał, że obydwaj z dawania czerpali dokładnie identyczną radość, a odpowiedzi na tamtą moralną zagadkę dziadka właściwie nie ma. Dzielenie się dla żadnego z dwóch wydań Marcusa Kolla nie było kwestią szlachetności, całkiem po prostu chodziło im o zadowolenie z życia. I tak jak dziadek pozwolił sobie na odrobinę próżności, dopuszczając wnuka do tajemnicy, gdy było już po wszystkim i cała dyskusja dosłownie zamarła, tak również junior prowadził staranne rachunki swoich datków. Przekazywał je z całą dyskrecją za pośrednictwem kilku ogniwi uniemożliwiających odbiorcy identyfikację prawdziwego darczyńcy. Te pieniądze stanowiły jego osobisty dar, nie pochodziły z żadnej z jego spółek, były zaksięgowane jako dochód i opodatkowane, zanim przesłał je dalej określonymi drogami, które tylko on znał. I nikt inny oprócz najmłodszego Marcusa Kolla, który za dwa miesiące kończył osiem lat, miał się nie dowiedzieć, czym zajmował się jego ojciec nocą każdej ostatniej niedzieli adwentu, odkąd skończył trzydzieści pięć lat.

To mu dawało spokój. Ten spokój, którego potrzebował.

Serce biło za szybko.

Zaczął krążyć po pokoju. Gabinet nie był szczególnie duży, nie znać po nim było wszystkich tych pieniędzy generowanych za starym dębowym biurkiem. Wprawdzie biuro Marcusa Kolla juniora mieściło się na Aker brygge, co przed paroma kryzysami finansowymi oznaczało naprawdę dobry adres, ale ostatnio okolica zesłała na psy. Marcusowi to odpowiadało.

Złapał się za pierś i próbował oddychać powoli. Płuca były jednak nieposłuszne, domagały się powietrza, pracowały za szybko, za płytko. Stał jak przykuty do podłogi. Poruszanie się było niemożliwe: umierał. Poczł mrowienie w koniuszkach palców. Wargi

miał sztywne, a język w odrętwiałych ustach wydawał się wielki i suchy. Marcus musiał oddychać przez nos, ale nos był zatkany. Przestał wreszcie oddychać i wiedział, że za kilka sekund umrze.

Widział siebie tak, jak o tym czytał, i jak widywał już tyle razy wcześniej. Znalazł się poza własnym ciałem, lekko na ukos, i patrząc trochę z ptasiej perspektywy, zobaczył czterdziestoczteroletniego krępego mężczyznę z workami pod oczami. Czuł zapach własnego strachu.

Nagle uderzyła go fala gorąca, umożliwiając oderwanie się od podłogi. Chwiejnym krokiem podszedł do biurka i z górnej szuflady wyciągnął papierową torebkę. Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki zmiął jej otwarty koniec i lekko przytrzymując, przyłożył otwór do ust. Zaczął oddychać tak głęboko i rytmicznie, jak tylko mógł.

Metaliczny smak w ustach nie znikał.

Odrzucił torebkę i oparł się czołem o szybę.

Nie jest chory. Wcale nie jest chory. Serce miał najzupełniej w porządku, chociaż kłuło go pod lewą łopatką i w ramieniu. W lewym ramieniu. Ale to nie ból.

Nie sprawdzaj.

Oddychaj.

Miał wrażenie, że po rękach chodzi mu mnóstwo maleńkich robaczek, ale nie śmiał nawet ich strząsnąć. Głowa wydawała się lekka i obca, jakby nie należała do niego. Myśli wirowały tak prędko, że ich nie rozpoznawał. Fragmenty obrazów i oderwane zdania kręciły się jak na karuzeli, aż się zachwiały. Próbował przypomnieć sobie przepis na pizzę, na pizzę z fetą i brokułami, na amerykańską pizzę, którą przyrządzał tysiąc razy, ale nic z tego nie pamiętał.

Nie jest chory. To nie udar mózgu. Nie ma mdłości, jest zdrowy.

Może to rak. Zakłuło go w prawym boku, po stronie wątroby, po stronie raka, choroby i śmierci.

Powoli otwierał oczy. Maleńki fragment świadomości mówił mu, że jest zdrowy. Musiał się skupić właśnie na nim, a nie na zapomnianych przepisach kulinarnych i na śmierci. Wilgoć na szybie pozostawiła lodowaty odcisk na jego czole, przyprowadzając go o lzy.

Oddychał lżej. Puls, który do tej pory boleśnie uderzał w bębniaki w uszach, w mostek, w koniuszki palców i w pachwiny, zaczął się uspokajać.

Oslo rozciągające się po drugiej stronie szyby, za tym pokojem z widokiem na port, fiord i wyspy, pozostało niezmienione. Marcus Koll jr. przed chwilą przekazał fortunę na cele dobroczynne i tak bardzo pragnął poczuć ciepło, jakie zawsze ogarniało go w ostatnią

niedzielę adwentu, tę pełną satysfakcji radość ze świąt, z prezentów, z tego, że syn cieszy się z ferii, i z tego, że matka jeszcze żyje i ciągle na niego krzyczy bez powodu, że wpłacił to, co powinien, i że wszystko jest takie, jak ma być. Chciał myśleć o życiu, które wcale się nie skończy, jeśli tylko zdoła oddychać spokojnie.

Uspokoić się. Trzeba się całkiem uspokoić.

Jego spojrzenie padło na nocnego wędrowca, jednego z nielicznych, którzy wciąż kręcili się po nabrzeżu, przynajmniej pozornie bez sensu i celu. Dochodziła piąta rano w niedzielę. Wszystkie bary i restauracje już pozamykano. Mężczyzna szedł sam. Zataczał się z boku na bok, z trudem utrzymując się na śliskiej nawierzchni. Nagle zrobił kilka rozpaczliwych, prawie tanecznych kroków, złapał się za własną czapkę, jakby stanowiła punkt oparcia, i zniknął za krawędzią nabrzeża.

W jednej chwili wszystko się zmieniło. Serce wróciło do normy, ucisk w piersi zelżał. Marcus Koll wyprostował się i wyostrzył wzrok. Śluzówki nagle odzyskały gładkość, język się skurczył, w ustach nie brakowało wilgoci. Myśli w końcu ustawiły się w porządną szereg, jedna następowała po drugiej w logicznej chronologii. Błyskawicznie przekalkulował, ile czasu zajmie mu wyjście z biura, zbiegnięcie po schodach i dotarcie na sam skraj nabrzeża. Zanim dokończył te obliczenia, zobaczył nadbiegających ludzi. Pięciu albo sześciu mężczyzn, wśród nich ochroniarz z Securitas, krzyczało tak głośno, że słyszał ich aż w gabinecie, pięć pięter wyżej, przez potrójnie izolowane szyby. Mężczyzna w mundurze już się spuszczał poza krawędź nabrzeża.

Marcus Koll odwrócił się od okna i postanowił wracać do domu.

Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony.

Gdyby się pospieszył, może zdążyłby się przespać ze trzy godziny, zanim synek upomni się o swoje prawa. Była przecież niedziela, niedługo święta. Na wzgórzach otaczających miasto utrzymały się prawdopodobnie resztki wczorajszego śniegu. Mogą iść na sanki, a może na narty, jeśli zapuszczą się dostatecznie daleko w głąb lasu.

Przed samym wyjściem Marcus Koll otworzył jeszcze leżący w górnej szufladzie pojemniczek z białymi podłużnymi tabletkami. Przypuszczalnie się przeterminowały. To było już tak dawno temu. Wyjął jedną na dłoń. Moment później schował ją z powrotem, zakręcił wieczko, odłożył pojemnik na miejsce i zamknął biurko na klucz.

Tym razem minęło.

Już słyhać było dźwięk zbliżających się syren.

* * *

– Jada gliny? To oni? Ktoś zadzwonił na pogotowie? To policyjne syreny, do cholery! Dzwońcie po karetkę! Pomóżcie mi tutaj!

Ochroniarz z Securitas wisiał uczepiony ręką za krawędź nabrzeża. Jedną nogą opierał się na oślizgłym palu wystającym nad powierzchnią wody niecałe pół metra, druga noga majtała się w rozpaczliwej próbie utrzymania w równowadze ciężkiego, umięśnionego ciała.

– Trzymajcie mnie! Złapcie za kurtkę!

Młody chłopak położył się na brzuchu w śniegowym błocie i obiema rękami złapał ochroniarza za ramię. Oczy mu błyszczały. Do skończenia osiemnastu lat brakowało mu jeszcze dwóch miesięcy, ale na szczęście ciemny zarost umożliwił krążenie od baru do baru przez całą noc, bez konieczności odpowiadania na jakiegokolwiek pytania. Nie śmierdział groszem i bazował głównie na resztkach piwa, które dało się zwędzić. Teraz czuł się kompletnie trzeźwy.

– To nie ten! – wydusił z siebie, mocniej przytrzymując ochroniarza. – Ten, co wpadł do wody, leży kawałek dalej!

– Co?

Mężczyzna z Securitas spojrzał na ciało, które rozpaczliwie usiłował wyciągnąć z wody. Mocno trzymał je za kołnierz, ale człowiek znajdujący się wewnątrz ubrania tkwił w wodzie zupełnie nieruchomo i był ciężki jak ołów. Na głowie miał mocno zasznurowany kaptur.

– Pomocy! – Wrzask dobiegał z ciemności kilka metrów dalej. – Ratunku! Ja...

Krzyki ucichły.

Chłopak z ciemnym zarostem puścił ochroniarza.

– Staraj się sam utrzymać! – zawołał. – Ja wezmę tego drugiego!

Poderwał się, zrzucił buty, ściągnął puchówkę i bez wahania skoczył w ciemną wodę. Wynurzył się na powierzchnię mniej więcej w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą widział walczącego o życie pijanego mężczyznę.

– Jest dwóch? Dwóch wpadło do wody? Widziałeś to? Widzieliście?

Ochroniarz wrzeszczał, jedną ręką wciąż przytrzymując się nabrzeża, drugą zaciskając na czymś, co zdecydowanie musiało być ciałem, widział przecież głowę, dwie ręce i ciemną kurtkę. Tylko że było takie ciężkie. Takie cholernie ciężkie. Ręce go rozboleły, w palcach tracił czucie.

Ale nie puszczał.

Młody człowiek, który przed chwilą wskoczył do fiordu, z trudem łapał powietrze. Pierwszy paralizujący szok w zetknięciu z lodowatą wodą przeszedł w mrowiący ból, do tego

stopnia ostry, że płuca groziły strajkiem. Chłopak walczył z wodą tak zapamiętuje, że prawie do pasa wynurzał się nad powierzchnię. Pod sobą widział jedynie mroczną, bezbarwną głębię.

– Tam! – zawołał z nabrzeża zdyszany policjant. – Tuż za tobą!

Chłopak się obrócił. Bardziej wiedziony odruchem niż wzrokiem, złapał za coś. Palce się zacisnęły, pociągnął. Podtopiony pijak wynurzył się na powierzchnię z rykiem, jakby zaczął wrzeszczeć już pod wodą. Chłopak mocno trzymał go za włosy. Pijany nocny wędrowiec usiłował się wyrwać, a jednocześnie wspinał się po ratującym go chłopaku. Obaj zniknęli pod wodą. Kiedy kilka sekund później się wynurzyli, a starszy leżał na plecach z rozrzuconymi rękami i nogami wystającymi nad powierzchnię. Krzyczał z bólu, bo ratownik nie chciał puścić jego włosów, przeciwnie, złapał je jeszcze mocniej, a nadgarstek drugiej ręki czterokrotnie owinął liną, nie zastanawiając się nawet, skąd się wzięła.

– Trzymasz go? – krzyknął policjant z góry. – Złapałeś?

Chłopak usiłował odpowiedzieć, ale do ust nalało mu się wody. Zdołał jednak potwierdzić ruchem obciążonej liną ręki.

– Ciągnij! – wydusił z siebie ledwie słyszalnie, przełykając kolejną porcję wody. – Ciągnij...

Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że zimno potrafi być aż tak dojmujące. Woda wnikała dosłownie w każdy por skóry. W ciało wbijały się lodowe igły. W skroniach pulsowało, jakby ktoś usiłował wcisnąć je w mózg, a zatoki wydawały się wypełnione lodem. Dłoni już nie czuł. Przez moment panicznego lęku wydało mu się, że jądra po prostu zniknęły. W kroczu paliło, paradoksalne piekące ciepło rozlewało się po pachwinach i udach.

Poruszał się coraz wolniej. Czuł, że oczy mu zmartwiały, jakby ktoś je wyłączył. Wszystko dookoła było tylko mokre, zimne i ciemne. Odkąd wskoczył do wody, minęła nie więcej niż minuta, a mimo to przyszło mu do głowy, że jego ostatnim doświadczeniem w życiu będzie utrata jaj w głębi grudniowego morza, i to przez jakiegoś pijanego idiotę na Aker brygge.

Nagle nie był już w wodzie.

Leżał na ziemi, na czymś, co przypominało folię aluminiową, i ktoś usiłował zedrzeć z niego ubranie.

Zacisnął dłonie na spodniach.

– Przestań! – powiedział policjant, chyba ten sam, który rzucił linę. – Musimy z ciebie zdjąć mokre łachy. Zaraz przyjedzie karetka, zajmą się tobą.

– Moje jaja – pisnął chłopak. – Palce...

Odwrócił głowę. Kilka metrów dalej dwóch policjantów, od których teraz już się roilo,

kładło na ziemi człowieka. Lała się z niego woda i nawet się nie ruszył. Dopiero gdy już leżał, zjawiał się kierowca karetki z noszami na kółkach. Starszy z policjantów odprawił go, kiedy chciał pomóc przenieść ciało jeszcze raz.

– On nie żyje. Zajmijcie się żywymi.

– *Fuck!* – jęknął chłopak, próbując się podnieść. – Nie żyje? Jednak utonął?

– To nie ten, którego uratowałeś – odparł spokojnie policjant, wciąż usiłujący go rozebrać. – Temu już nic by nie pomogło. Tamten twój stoi tam dalej. No i z powrotem włożył czapkę.

Zachichotał, kręcąc głową. Ruchy miał sprawne, a młody śmiałek w końcu zrozumiał, że jego organom płciowym nic się nie stało. Pozwolił ściągnąć sobie spodnie. Trzej funkcjonariusze już zagradzali obszar czerwono-białą taśmą. Inny nakrył ciało leżące na noszach brezentem.

– Ty-ty-ty-ty-ty... – Mężczyzna w czapce zbliżył się do chłopaka. – Chcia-chcia-chciałeś mnie oskalpować, czy jak?

Ciągle miał na sobie mokre ubranie, ktoś tylko zarzucił mu na ramiona wełniany koc. Mężczyzna nie tylko szczekał zębami, ale cały się trząsał tak mocno, że z włosów wystających spod przemoczonej czapki tryskała woda.

Chłopak leżący na ziemi nie przypominał sobie żadnej czapki.

– U-ra-ra-ra-towałem czapkę. – Pijany wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ca-ca-cały czas ścisnąłem ją w rękę!

– Odsuń się! – powiedział z rezygnacją policjant. – Przejdź tam. – Wskazał karetkę zaparkowaną ukosem na kei. Rzuciła migające niebieskie światło na kręcących się po nabrzeżu ludzi w mundurach.

– Kto to-to-to jest? – spytał pijany, nie zważając na policjanta. Z zainteresowaniem patrzył na nieruchomą postać na noszach. – W wodzie go nie wi-wi-widziałem.

– Przestań... Arne! Arne, zabierz tego faceta do karetki, bo jeszcze zrobi sobie krzywdę.

Przemarznięty pijak został dość brutalnie odprowadzony do ambulansu.

– Mógł ci chociaż podziękować – stwierdził policjant, gestem przyzywając personel karetki. – Dzielny jesteś, że się tak rzuciłeś w wodę. Nie każdy by się odważył. Tutaj! – Wstał i położył rękę na ramieniu mężczyzny w odblaskowym złotym uniformie. – Zajmij się naszym bohaterem – poprosił z uśmiechem. – Rozgrzej go!

– Przyniosę jeszcze jedno nosze. Wrócę za dwie sekundy.

Chłopak pokręcił głową i spróbował wstać. Pod wielkim kocem był nagi, ale ktoś

wcisnął mu na nogi za duże adidas; nawet tego nie poczuł. Zachwiał się, kierowca karetki podtrzymał go pod ramię.

– W porządku – mruknął chłopak, mocniej owijając się kocem. – Tylko tak mi cholernie zimno.

– Powinniśmy przynieść nosze – wahał się kierowca. – To potrwa tylko...

– Nie, nie.

Chłopak, chwiejąc się, ruszył w stronę karetki. Przy krawędzi nabrzeża na moment się zatrzymał. Porywy słonego wiatru od fiordu uświadomiły mu nagle, jak bliski był śmierci. Czuł płacz dławiący w gardle. Zawstydzony zasłonił oczy kocem. Musiał lekko rozstawić nogi, żeby się nie przewrócić, ale zaplątał się w koc i potknął. Nie chcąc całkiem stracić równowagi, złapał się tego, co miał w zasięgu ręki. Brezentu okrywającego zwłoki.

Teraz wszystko potoczyło się naprawdę źle.

Nie mogło minąć więcej niż pięć minut, odkąd szedł niespiesznie wzdłuż brzegu Aker brygge, sam, niezadowolony, bez pieniędzy na taksówkę do domu. W ciągu tych marnych trzystu sekund pływał w lodowatej wodzie, był pewien, że umiera, ocalił człowieka od utonięcia, usłyszał pochwały policjantów i o mało nie umarł z zimna. Przyjechały trzy radiowozy z sześcioma policjantami w mundurach i dwie w pełni wyposażone karetki. Niepojęte, zważywszy, jak mało czasu upłynęło. Dodatkowo jeszcze ochroniarz z Securitas, gdy tylko zdołał się wdrapać z powrotem na nabrzeże, wezwał aż pięciu swoich kolegów z okolicznych biurów, a policja przejęła odpowiedzialność za nieruchome ciało, które teraz tak kurczowo trzymał.

Wśród tego chaosu mężczyzn i jednej jedynej kobiety w mundurach kręciło się ze trzydziestu mniej lub bardziej pijanych ludzi, niezważających na prowizoryczne ogrodzenie. Dramatyczne sceny podziały niczym lep na muchy na tych, którzy w niedzielny poranek znajdowali się w okolicy. A ponieważ nie minęło nawet pięć minut od chwili, gdy Aker brygge świeciło pustkami, policja nie zdążyła się jeszcze zorientować, jaki jest związek między ochroniarzem, młodym śmiałkiem, pijanym mężczyzną i martwym ciałem, które dwóch funkcjonariuszy usiłowało wyciągnąć z wody. Policja oczywiście ma swoje procedury, ale była noc, panował chaos, a poza tym najważniejsze wydawało się wyciągnięcie żywego pijaka. Właśnie z tego powodu, a może również dlatego, że jeden z policjantów wpadł do wody, gdy podnoszono ciało na brzeg, zaledwie dwóch funkcjonariuszy uważniej przyjrzało się zwłokom. Jeden z nich, młody sierżant, stał zgięty wpół jakieś dziesięć, może piętnaście metrów za taśmami, i niezauważony przez nikogo wymiotował. Drugi nakrył zwłoki i właśnie w oszczędnych słowach usiłował wyjaśnić sytuację szefowi działań operacyjnych, kiedy

chłopak z młodzieńczym zarostem z czystego wycieńczenia stracił równowagę.

Poleciał do tyłu. Koc zaczął się z niego zsuwać. Przez moment bardziej się przejmował osłonięciem swojej nagości niż ratowaniem się przed upadkiem, dlatego obiema rękami złapał za brezent, zaklinowany po przeciwległej stronie noszy, które zaczęły przechylać się na bok. Przez chwilę wydawało się, że ciężar zwłok wystarczy, by zapobiec totalnej katastrofie, ale chłopak nie puszczał. W końcu runął na ziemię, nagi, tylko w ogromnych adidasach. Tyłem głowy uderzył w oblodzoną ziemię. Ból zmusił go do krzyku, ale zaraz na kilka sekund zemdlął.

Kiedy się ocknął, najpierw dotarł do niego zapach.

Coś leżało na nim, coś, co go dusiło, odbierało mu oddech zgniłym odorem zepsutego mięsa i kloaki. Ktoś krzyknął i chłopak otworzył oczy. Zwłoki nakryły go, z idealną symetrią dopasowując się do jego ciała, niczym w pocałunku śmierci. Patrzył wprost w otwór kaptura kurtki.

W środku było coś, co na logikę powinno być głową. Mimo wszystko przecież znajdowało się w kapturze puchówki.

Z policyjnego raportu spisanego kilka godzin później wynikało, że według wstępnych przypuszczeń ciało leżało w wodzie około miesiąca. W tym samym raporcie znalazła się informacja, że prawdopodobnie trzymało się w całości tylko dzięki ubraniu. Językiem medycznym zwłoki scharakteryzowano jako „silnie nabrzmiałe, w stanie częściowego rozkładu”, po czym sporządzający raport krótko skonkludował, że nie da się z całą pewnością stwierdzić, czy zmarły to mężczyzna, czy kobieta. Ubranie wskazywało raczej na pierwszą ewentualność.

Chłopak, który przez cały sobotni wieczór krążył po Oslo, polując na darmowy alkohol i łatwe dziewczyny, i który bez cienia lęku rzucił się do fiordu w środku zimy, żeby ratować życie drugiego człowieka, zemdlął po raz drugi. Tym razem utrata przytomności trwała długo. Ocknął się dopiero w łóżku w Szpitalu Ullevål. Siedziała przy nim matka. Na jej widok rozplakał się. Szlochał jak dziecko, czepiając się jej ciepłych, spokojnych objęć, z całych sił próbując wyrzucić z pamięci ostatni obraz, jaki ujrzał, zanim błogosławiona ciemność odgradziła go od potwora z głębin.

Z otworu w pozbawionej konturów masie, mniej więcej tam, gdzie kiedyś musiało znajdować się oko, wyjrzała nagle ryba. Mała srebrzysta rybka nie większa niż anchois, z czarnymi oczkami i lekko drgającymi płetwami. Wpatrywali się w siebie, chłopak i rybka, zanim ryba naprężyła się i wypadła z głowy trupa prosto w otwarte do krzyku usta chłopaka.

W drodze do przyjaciela

– Od tej pory już zawsze będziemy jeść w Wigilię rybę! – Yngvar Stubø chwycił palcami z talerza łeb dorsza, wyssał oko i w zamyśleniu przeżuwał. Siedząca naprzeciwko niego przy owalnym stole teściowa zasznurowała usta i odwróciła twarz, wysoko unosząc brwi. Jej mąż, który już zdążył wypić o parę kieliszków za dużo, wskazał na zięcia nożem i widelcem.

– Dzielny chłopak! Prawdziwy mężczyzna zjada całą rybę!

– Prawdę powiedziawszy – zaczęła jego żona – w naszej rodzinie nieprzerwaną tradycją wigilijną są żeberka, od czasu...

– Bardzo mi przykro, mammo! – Inger Johanne Vik westchnęła i odłożyła sztucce. – To było zwykłe niedopatrzenie, prawda? Głupie i właściwie mało znaczące niedopatrzenie! Nie mogłabyś po prostu zapomnieć o tych żeberkach? Środkowy Wschód stoi w ogniu, kryzys finansowy szaleje, a ty robisz takie wielkie halo z tego, że Strøm-Larsen zapomniał gdzieś moje zamówienie. Wszyscy przy tym stole lubią dorsza, mammo. To nie może być aż tak cholernie...

– Brzydkie słowa zupełnie do ciebie nie pasują, moja kochana. Poza tym jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żeby u Strøm-Larsena o czymkolwiek zapomniano. Robiłam zakupy u najlepszego rzeźnika w mieście jeszcze przed twoim urodzeniem i mam...

– Mammo! Nie mogłabyś po prostu...

– Inger Johanne zamknęła usta, zmusiła się do uśmiechu i popatrzyła na swoją młodszą córeczkę, Ragnhild, która wkrótce miała skończyć już pięć lat. Mała z ciekawością przyglądała się ojcu, który pochłaniał drugie oko.

– Dobrze, tato?

– Mmm... dziwne, interesujące i dobre.

– A jak smakuje?

– Jak rybie oko – oświadczyła Kristiane, wybijając rytm widelcem o talerz. – To się

samo przez się rozumie. Rybie oko jak szeroko.

– Przestań! – poprosiła łagodnie babcia. – Bądź grzeczną dziewczynką i nie hałasuj.

– Niektórzy ludzie uważają, że ryby są smaczne – zaczęła perorować Ragnhild. – A niektóre ryby uważają, że ludzie są smacznymi. I jest sprawiedliwie. Na przykład rekiny. Czy rekiny też mają Wigilię, tato? Muszą zjeść małe dziewczynki, zanim mogą rozpakować prezenty? – Roześmiała się radośnie.

– Nie tylko rekiny zjadają ludzi – zauważyła Kristiane, chociaż zwykle dowcipy młodszej siostry w ogóle do niej nie docierały.

O dziwo, wydarzenia sobotniej nocy nie odbiły się na jej zdrowiu fizycznym, lekko tylko pociągała nosem, to wszystko. Trudniej było stwierdzić, jaki wpływ wywarły na jej psychikę. Do tej pory ani słowem nie wspomniała o zajściu. Jediną maciupenką zmianą, jaką Inger Johanne w niej wychwytywała, było to, że w ciągu czterech dni od ślubu ciotki wygłaszane przez Kristiane z pamięci wyuczone teksty stały się dłuższe niż zwykle. Yngvar jak zawsze przyjmował to z optymizmem. Uważał, że dziewczynka weszła w fazę, w której zadaje więcej pytań. Wyciąga wnioski. Wykazywała ciekawość, a nie tylko powtarzała.

– Bardzo wiele gatunków ryb ma złożony jadłospis – zaczęła teraz wolno Kristiane ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko. – W odpowiednich warunkach, jeśli tylko będą miały taką możliwość, mogą żywić się ludzkim mięsem.

– Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym – zaproponowała babcia. – Co sobie wymarzyliście na Gwiazdkę?

– Przecież wiesz, babciu. Już dawno dostałaś od nas listę z życzeniami. Na przykład ten martwy człowiek, którego wyciągnęli z basenu portowego w tamten weekend, kiedy mama tak się na mnie zezłościła za to, że...

Inger Johanne posłała błagalne spojrzenie Yngvarowi.

– Babcia ma rację – powiedziała, widząc, że mąż nie zauważył jej niemej prośby. – Jest Wigilia i możemy porozmawiać o czymś...

– Leżał w wodzie strasznie długo – ciągnęła Kristiane. Przełknęła i nabrała na widelec kolejną porcję jedzenia. – Tak było napisane w gazecie. Człowiek wtedy puchnie, nadyma się jak balon. To dlatego, że ludzkie ciało zawiera sól, a sól chłonie wodę z otoczenia. To się nazywa osmoza. Kiedy dwa rodzaje cieczy o różnej osmolarności, a więc zawartości soli, rozdziela półprzenikliwa błona, na przykład błona komórkowa u człowieka, to woda będzie się przesączała...

Babcia wyraźnie pobladła. Dziadek szeroko otworzył usta, po czym zamknął je ze słyszalnym niemal trzaskiem.

– Co za dziecko! – Roześmiał się. – Mądra dziewczynka!

– To rzeczywiście imponujące – stwierdził spokojnie Yngvar i wytarł usta olbrzymią, białą, płócienną serwetką. – Ale babcia i mama mają rację. Śmierć to nie temat, który trzeba poruszać...

– Posłuchaj, Yngvar – przerwała mu pasierbica. – Czy to znaczy, że ludzkie zwłoki będą jeszcze bardziej napompowane od leżenia w słodkiej wodzie niż w morzu?

– Mamo, co to są zwłoki? – Ragnhild sięgnęła po obgryzioną rybią głowę na talerzu ojca. Włożyła ją sobie na nos i patrzyła przez puste oczodoły. – Uuu! – zawyła i roześmiała się. – Co to są zwłoki?

– Zwłoki to martwy człowiek – wyjaśniła Kristiane. – A kiedy martwy człowiek bardzo długo leży w morzu, to zjadają go kraby i ryby.

– I rekiny – uzupełniła młodsza siostra. – Głównie rekiny.

– Czy te zwłoki były nadjedzone? – zainteresował się nagle dziadek. – W gazecie nic o tym nie pisali. To jedna z twoich spraw? Opowiadaj, Yngvarze! Z tego, co wyczytałem w dzisiejszym „Artenposten”, ciągle nie wiadomo, kto to jest.

– Nie, to sprawa komendy miejskiej. Nie wiem nic poza tym, co pisały gazety. Przecież wiesz, że ja pracuję w Kripos, Centrali Policji Kryminalnej. – Posłał teściowi wymuszony uśmiech. – Rzadko wspomagamy komendę w Oslo inaczej niż badaniami technicznymi, przy poszukiwaniach albo gdy chodzi o współpracę międzynarodową. Tłumaczyłem to już chyba kilka razy. A teraz zmieniamy temat, dobrze?

Zdecydowanym ruchem wstał i zaczął zbierać talerze. Przy stole zapadła cisza, słychać było tylko szcęk sztućców i talerzy wstawianych do zmywarki, któremu towarzyszyły przytłumione głosy chóru Srebrnych Chłopców z telewizora w mieszkaniu na dole. Zgarniając z talerzy do kubła na śmieci rybnie resztki, Inger Johanne uświadomiła sobie nagle, że po prostu ją brzydzą.

Jak zwykle po wigilijne żeberka wybrała się w ostatniej chwili i kiedy w Wigilię przyszła do rzeźnika Strøm-Larsena o dziesiątej rano, nic już nie mieli. A o zamówieniu, które, jak gotowa była przysiąc, złożyła ponad dwa tygodnie wcześniej, nikt nie słyszał. Personel szczerze ubolewał i współczuł z powodu tej, łagodnie mówiąc, nieprzyjemnej sytuacji, ale żeberek jak nie było, tak nie było. Do tego właściciel nie potrafił się powstrzymać od łagodnego pouczenia: składniki na wigilijny obiad powinny znaleźć się w domu na długo przed samym świętem. Pomysł, by zaserwować matce w Wigilię tanie żeberka kupione w Remie czy Maxi, wydawał się jeszcze bardziej idiotyczny niż podanie dorsza.

– Powinnam mimo wszystko kupić tego przekłętego świniaka w supermarkecie i

przysiąc, że to od Strøm-Larsena – szepnęła do Yngvara, wkładając do zmywarki ostatni talerz. – Przecież ona prawie nic nie zjadła!

– I głupio zrobiła – odszepnął Yngvar. – Nie przejmuj się.

– Możemy trochę przewietrzyć? – odezwała się nagle głośno matka Inger Johanne. – Złego słowa nie powiem o dorszu, bo to zdrowa i smaczna ryba, ale zapach świeżo upieczonych żeberek to przecież kwintesencja świątecznego nastroju!

– Niedługo będzie pachniało kawą – oświadczył wesoło Yngvar. – Bo chyba napijemy się kawy do deseru, prawda?

Piętro niżej Srebrni Chłopcy doszli do *Cichej Nocy*. Ragnhild im zawtórowała i pobięła włączyć telewizor.

– Nie włączaj, Ragnhild! – Inger Johanne próbowała się uśmiechać, kiedy wyglądała zza wąskiej ścianki odgradzającej otwartą kuchnię od salonu. – Dobrze wiesz, że w Wigilię nie oglądamy telewizji, a już na pewno nie przy jedzeniu.

– Osobiście uważam, że to bardzo dobry pomysł – zaprotestowała babcia. – Obiad i tak zjedliśmy za wcześnie. Zawsze miło posłuchać przed jedzeniem Srebrnych Chłopców. Mają wspaniałe głosy i od razu kojarzą się ze świętami. Chyba nie ma nic piękniejszego niż chłopięce soprany. Chodź, Ragnhild, poszukamy tego programu.

Kieliszek do czerwonego wina z trzaskiem rozbił się na kuchennej posadzce.

– Nic się nie stało, nic się nie stało! – zawołał Yngvar ze śmiechem.

Inger Johanne wymaszerowała do toalety.

– Dusza waży dwadzieścia jeden gramów – oznajmiła Kristiane.

– Naprawdę? – Dziadek po raz piąty nalał sobie akwawity do kieliszka.

– Tak – odparła Kristiane z powagą. – Po śmierci człowiek jest o dwadzieścia jeden gramów lżejszy. Ale nie można jej zobaczyć. Zobaczyć, obaczyć, baczyć.

– Zobaczyć?

– Duszy. Nie można zobaczyć, jak opuszcza ciało.

– Kristiane! – odezwał się Yngvar z kuchni. – Naprawdę skończ już z tym. Nie będziemy więcej rozmawiać o śmierci i rozkładzie, dobrze? A poza tym to, ile waży dusza, to jakieś bzdury. W ogóle nie ma nic takiego jak dusza. To tylko takie religijne pojęcie. Chcesz herbaty z miodem do deseru?

– Dam-di-rum-ram – zaczęła Kristiane monotannie.

– O, nie... – Inger Johanne wróciła z łazienki i przykucnęła przy córce. – Spójrz na mnie, kochanie. Popatrz na mnie. – Lekko ujęła dziewczynkę pod brodę. – Yngvar pytał, czy chcesz herbaty. Herbaty z miodem. Masz ochotę?

– Dam-di-rum-ram.

– To chyba zły pomysł dawać dziecku herbatę, kiedy jest... w takim stanie. Chodź do babci, posłuchamy, jak ci chłopcy śpiewają. Chodź, chodź, moja kochana!

Yngvar schował się przed teściową w kuchni. Machnął ręką do Inger Johanne, samymi ustami mówiąc: Nie przejmuj się, udawaj, że jej nie słyszysz.

– Dam-di-rum-ram – powtarzała Kristiane.

– Dostaniesz to, co najbardziej chciałaś – szepnęła Inger Johanne. – To, co chciałaś mieć najbardziej, ale to najbardziej na świecie.

Wiedziała, że z jej wysiłków nic nie przyjdzie. Kristiane sama decydowała, gdzie jest. Przez czternaście lat tak bliskiego związku z tym dzieckiem, że czasami sama miała problem z określeniem, co jest nią, a co córką, wciąż nie znalazła odpowiedzi na to, co sprawia, że Kristiane przechodzi z jednego stanu w drugi. Niektórych schematów się nauczyli. I ona, i Yngvar, i ojciec Kristiane, Isak, poznali rutyny i przyzwyczajenia, wiedzieli, jakich produktów żywnościowych należy unikać i co przynosi lepsze efekty. Próbowali stosować leki i wspólnie doszli do wniosku, że nie działają. Wydeptali kilka ścieżek, dzięki którym życie z Kristiane stało się nieco prostsze, ale przez większość czasu córka wędrowała po własnej krainie, kierując się własną mapą i niezrozumiałymi drogowskazami.

– Marna cię kocha ponad wszystko na świecie – szepnęła cicho Inger Johanne. Wargi polaskotały dziewczynkę w ucho i Kristiane się uśmiechnęła.

– Tatuś przyjdzie – powiedziała.

– Tak, tatuś przyjdzie niedługo. Zje kolację u swoich rodziców i przyjdzie do swojej córeczki.

Spojrzenie dziewczynki nic nie wyrażało. Oczy zdawały się poruszać niezależnie od siebie, a to jeszcze bardziej przeraziło Inger Johanne. Zwykle po prostu wpatrywały się w coś, czego nikt inny nie potrafił zobaczyć.

– Ta pani była...

– Ona ma na imię Albertine – przerwała jej Inger Johanne. – Albertine spała.

– Było strasznie zimno. Nie mogłam cię znaleźć, mammo.

– Ale ja cię znalazłam. W końcu cię znalazłam.

Inger Johanne tak się skupiła na dziecku, że nie zauważyła matki. Najpierw poczuła jej perfumy, które zapewne dostała od drugiej córki i które kosztowały więcej, niż Inger Johanne wydawała na kosmetyki i środki higieny osobistej przez rok.

Odejdź, próbowała powiedzieć całą sobą. Wygięła plecy i wciąż kucając, zrobiła małeńki krok w bok.

– Kristiane – powiedziała jej matka zdecydowanie i spokojnie. – Chodź do babci. Najpierw rozpakujemy ten czerwony prezent z różową wstążką. To dla ciebie. W środku jest pudło z pokrywą. Kiedy je otworzysz i zdejmiesz jeszcze jedną pokrywkę, zobaczysz mikroskop, dokładnie taki, jak chciałaś. Weź mnie za rękę, o tak...

Inger Johanne wciąż kuciała z obiema dłońmi na chudziutkich udach Kristiane.

– Mikroskop – powtórzyła dziewczynka. – Z greckiego *micros*, mały, i *skopein*, oglądać.

– No właśnie – przyświadczyła babcia. – Chodź!

Srebrni Chłopcy już przestali śpiewać. Ragnhild wyłączyła telewizor, podobnie jak sąsiedzi na dole. Z kuchni roznosił się zapach kawy, a na świecie panował taki spokój, jaki zapada jedynie w ten jeden jedyny wieczór w roku, kiedy kościoły pustoszeją, dzwony milkną i nikt już się nigdzie nie spieszy.

Szczupła, wąska dłoń babci wsunęła się w rączkę Kristiane.

– Babcia! – Uśmiechnęła się dziewczynka. – Chcę mój mikroskop!

Ale patrzyła na Inger Johanne. Spojrzenie miała mocne i wpatrywała się w matkę, dopóki posłusznie nie poszła z babcią na kanapę, żeby otworzyć paczkę, chociaż już wiedziała, co w niej jest.

Inger Johanne z trudem podniosła się na zdrętwiałych nogach.

Poczuła delikatny przeblysł szczęścia, który zaraz zgasł, zanim zdążyła go na dobre rozpoznać.

* * *

Dla Evy Karin Lysgaard szczęście było pojęciem konkretnym.

Polegało na wierze w Jezusa Chrystusa. Każdego dnia, odkąd spotkała Zbawcę podczas wyprawy do lasu, gdy miała szesnaście lat, nie opuszczało jej radosne poczucie Jego bliskości. Stale z Nim rozmawiała i często otrzymywała odpowiedź. Nawet w smutku, a takie uczucie oczywiście nie było obce sześćdziesięciodwuletniej kobiecie, Jezus był przy niej. Niósł jej pociechę, wsparcie i bezgraniczną miłość.

Zbliżała się jedenasta wieczorem w dniu Jego urodzin.

Eva Karin Lysgaard zawarła z Jezusem umowę. Pakt. Zawarła go ze swoim mężem Erikiem i ze swoim Panem. W najmroczniejszych chwilach życia jej i Erika znaleźli wspólnie drogę, która wyprowadziła ich ze wszystkich trudności. Nie była to droga najprostsza, sporo czasu upłynęło, zanim ją odkryli, i na zawsze miała pozostać sprawą między nią, Erikiem a Zbawicielem.

Teraz tam szła. Tą drogą.

Deszcz zacinający od zatoki Vågen miał smak soli. W wielu oknach malowniczej dzielnicy niedużych domków wciąż jaśniało ciepłe światło. Dla większości ludzi Wigilia jeszcze się nie skończyła. Skręcając w Forstandersmauet, Eva Karin Lysgaard potknęła się o wystający kamień bruku, ale szybko odzyskała równowagę. Okulary jej zaparowały i nie widziała zbyt wyraźnie, ale to nie miało znaczenia. To była jej droga, szła nią już tyle razy wcześniej.

Nagle zdziwiona przystanęła.

Za sobą usłyszała kroki.

Szła już ponad dwadzieścia minut i do tej pory nie natknęła się na żadną inną żywą istotę z wyjątkiem jednego podwórzowego kota i morskich ptaków zanoszących się żalonym krzykiem nad Vågen.

– Biskup Lysgaard?

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos.

– Tak? – odparła pytającym tonem i uśmiechnęła się życzliwie.

W głosie tego człowieka było coś dziwnego, obcego, może twardego. W każdym razie brzmiał inaczej.

– Kim pan jest? W czym mogę pomóc?

W chwili, gdy ją uderzył nożem, zrozumiała, że się omyliła. W ciągu tych szesnastu sekund, które minęły od momentu, gdy zrozumiała, że umrze, do chwili, gdy już nie żyła, nie stawiała oporu. Nic nie mówiła i pozwoliła się powalić na ulicę temu nieznanemu mężczyźnie, mężczyźnie z nożem. Ten człowiek nic ją nie obchodził. To ona się myliła. Przez wszystkie te lata, gdy w swej próżności wierzyła, że Jezus stoi po jej stronie, że On wybaczył jej i zaakceptował, żyła w kłamstwie tak wielkim, że dalsze takie życie okazało się niemożliwe.

A w momencie śmierci, kiedy nie było już na co patrzeć, gdy zniknęło wszelkie poczucie istnienia, zastanawiała się, na co Ten, który żyje wiecznie, się nie zgodził. Na kłamstwo czy na grzech.

Chyba wszystko jedno, pomyślała.

I umarła.

* * *

– Dzieciątko Jezus nie może mieć dwóch tysięcy ośmiu lat – oświadczyła Ragnhild i ziewnęła. – Nikt nie żyje wiecznie.

– Rzeczywiście – odparł Yngvar. – I Jezus faktycznie umarł dość młodo. Święta obchodzimy dlatego, że tego dnia się urodził.

– Wobec tego powinniśmy mieć baloniki. Co to za urodziny bez balonów? Myślisz, że Dzieciątko Jezus lubiło balony?

– W dawnych czasach takich rzeczy nie było. A teraz już śpij, córeczko. Dochodzi pierwsza. Już właściwie pierwszy dzień świąt.

– Pobiłam rekord! – ucieszyła się Ragnhild. – Pierwsza to później niż jedenasta?

Yngvar kiwnął głową i czwarty raz w ciągu dwóch godzin otulił dziecko kołdrą.

– Śpij już.

– Dlaczego pierwsza jest później niż jedenasta, jeżeli jeden to mało, a jedenaście dużo? W sylwestra też będę mogła tak długo nie spać?

– Zobaczymy, a teraz śpij. – Pocałował ją w nos i podszedł do drzwi.

– Tatusiu...

– Śpij. Bo tatuś się zdenerwuje, jak się nie położysz, rozumiesz?

Dotknął wyłącznika i pokój spowiła czerwona poświata bijąca od łańcucha świecących serduszek zawieszonych w oknie.

– Tatusiu, jeszcze tylko jedno...

– Co?

– To głupie, że Kristiane dostała ten mikroskop. Ona go zaraz zniszczy.

– Być może. Ale właśnie to chciała dostać.

– Dlaczego ja nie dostałam mikro...

– Ragnhild, ja już jestem zły. Kładź się natychmiast, bo jeśli nie...

Przerwał mu szelest kołdry.

– Dobranoc, tatusiu. Kocham cię.

Yngvar uśmiechnął się i przymknął drzwi.

– Ja też cię kocham. Widzimy się jutro.

Na palcach przeszedł przez korytarz. Kristiane dawno już zasnęła, ale potrafiło ją zbudzić piórko upadające na podłogę. Kiedy mijał drzwi do jej pokoju, wstrzymał oddech. Nagle drgnął.

Telefon? O pierwszej w nocy w Wigilię?

Dwoma skokami dopadł do drzwi salonu, by jak najszybciej zlikwidować hałas. Na szczęście Inger Johanne go uprzedziła. Cicho rozmawiała pod choinką, która była doprawdy w żalnym stanie; Jack, żółtobrazowy kundel Kristiane, dosłownie dostał szału i wyrócił drzewko, tworząc istny chaos z łańcuchów i elektrycznych światełek. Cóż, teściowa położyła

pod choinką między prezentami zapakowaną w ozdobny papier kość, psa więc właściwie trudno było o cokolwiek winić.

Usłyszał, jak Inger Johanne mówi: „już idzie”, i wziął od niej słuchawkę.

Na jej twarzy malowała się rezygnacja, na której widok zawsze czuł ukłucie w piersi. W przepaszającym gości rozłożył ręce.

– Słucham, Stubø.

Inger Johanne bez planu krążyła po pokoju. Tu podniosła zabawkę, tam przełożyła książkę. Przesunęła gwiazdę betlejemską, wysypując przy tym trochę ziemi na obrus. W końcu poszła do kuchni, ale nie miała siły opróżnić zmywarki, żeby włożyć do niej resztę brudnych naczyń. Czowała się wycieńczona, więc postanowiła wypić ostatni łyk z prawie już pustej butelki czerwonego Wina, którą dostała w prezencie od siostry. Według słów matki wino kosztowało ponad trzy tysiące koron, co było do tego stopnia rzucaniem pereł przed wieprze, że Inger Johanne uzupełniła kieliszek do pełna tanim włoskim winem z kartonu.

– W porządku – usłyszała głos Yngvara. – Porozmawiamy jutro. Przyjedź po mnie o szóstej.

Rozłączył się.

– O szóstej! – jęknęła Inger Johanne. – Kiedy w końcu będziemy mogli trochę odespać?

Wypiła spory łyk wina i usiadła na kanapie.

– Przecież to był naprawdę miły wieczór. – Yngvar ciężko usiadł przy niej. – Twój ojciec był jak zawsze kochany i denerwujący. A matka... matka...

– Była okropna dla mnie, dobra dla Ragnhild, znakomicie zajęła się Kristiane, a do ciebie odnosiła się pogardliwie. I była czarująca dla Isaka, kiedy wreszcie się pojawił. Jak zawsze. Kto umarł?

– Co?

– Robota.

Inger Johanne skinieniem głowy wskazała na komórkę leżącą na stole.

– A, o to ci chodzi. Zdumiewająca sprawa.

– Kiedy dzwonią do ciebie z pracy w Wigilię, zakładam, że sprawa jest zdumiewająca.

W czym rzecz?

Yngvar sięgnął po kieliszek Inger Johanne i przyłożył go do ust z takim zapalem, że gdy go odstawił, miał czerwone wąsy. Zaraz jednak się opamiętał. Spojrzał na zegarek, poderwał się z kanapy i wybiegł do kuchni. Inger Johanne usłyszała, jak pluje do zlewu.

– Może jutro będę musiał jeździć – wyjaśnił po powrocie, wycierając usta rękawem. –

A w każdym razie będę musiał jasno myśleć.

Uśmiechnął się i znów ciężko usiadł obok żony. Na stole w salonie wciąż leżały papiery po prezentach, stały kieliszki, filizanki i butelki po napojach. Z delikatnością, o jaką nikt by nie podejrzewał tak potężnego mężczyzny, wsunął stopy między cały ten śmietnik i założył nogę na nogę.

– Eva Karin Lysgaard – powiedział i wypił łyk wody mineralnej z butelki, którą przyniósł sobie z kuchni. – To ona nie żyje.

– Eva Karin Lysgaard? Pani biskup? Biskup Lysgaard nie żyje?

Kiwnął głową.

– Jak to? To znaczy, skoro dzwonią do ciebie, to mowa o jakimś przestępstwie. Została zabita? Ktoś zabił biskup Lysgaard? Jak? I kiedy?

Yngvar napił się jeszcze trochę i potarł twarz, jak gdyby to miało mu pomóc wytrzeźwieć.

– Wiem bardzo mało. To się musiało stać zaledwie... – Zerknął na zegarek. – Nieco ponad dwie godziny temu. Zadźgano ją nożem, to wszystko, co wiem. To znaczy nie wiadomo, czy zabito ją nożem, ale wstępnie przyczyną śmierci wydaje się głęboka rana kluta zadana w okolicy serca. Poza tym zabójstwa dokonano na dworze, to znaczy na ulicy. Więcej szczegółów nie znam. Komenda Okręgowa dla Hordaland normalnie nie prosiłaby nas o pomoc taktyczną w takiej sprawie, a przynajmniej nie tak prędko, ale to będzie... No cóż. W każdym razie jadę tam jutro z Sigmundem Berli.

Inger Johanne wyprostowała się i odstawiła kieliszek. Chwilę później zdecydowanie popchnęła go w głąb stołu.

– O rany! – Nic więcej nie umiała powiedzieć.

Siedzieli w milczeniu. Inger Johanne poczuła chłodny powiew na skórze, przeszły ją ciarki. Eva Karin Lysgaard. Powszechnie znana, łagodna biskup diecezji Bjørgvin* [*Bjørgvin – dawna nazwa Bergen (przyp. tłum.)]. Zamordowana. W Wigilię. Inger Johanne usiłowała dokończyć myśli, ale mózg pracował na jałowym biegu.

Jeszcze w ubiegłą sobotę, tego dnia, kiedy odbywało się to przekłete wesele, w „Magazynie” ukazał się czterostronicowy artykuł o biskup Lysgaard. Inger Johanne nie miała wtedy czasu na czytanie gazet, ale kiedy zobaczyła, jaki jest główny materiał, kupiła „Dagbladet” z „Magazynem”, żeby przeczytać artykuł później. Na razie jeszcze nie zdążyła.

Nagle wychyliła się ponad bokiem kanapy i zaczęła grzebać w koszyku z gazetami.

– Mam! – powiedziała, kładąc „Magazyn” na kolanach. – *Biskup bez bata.*

Yngvar objął ją i razem nachylili się nad gazetą. Pierwszą stronę zajmowało zrobione z

bliska zdjęcie starzejącej się kobiety. Jej oczy miały kształt migdałów, ale lekko skośnie opadały w dół, przez co wyglądała na smutną, nawet gdy się uśmiechała. Tęczówki były ciemnobrązowe, prawie czarne. Duże ciemne brwi, a rzęsy wciąż wydawały się nienaturalnie długie, pomimo zmarszczek wokół oczu.

– Bardzo piękna kobieta – mruknął Yngvar i już chciał przerzucić stronę.

– Właściwie nie piękna. Raczej wyjątkowa. Niezwykła. Na zdjęciu wygląda na równie dobrego człowieka, jakim się wydawała... za życia.

Inger Johanne nie mogła się napatrzeć. Yngvar przeciągle ziewnął.

– Przepraszam. – Gwałtownie pokręcił głową. – Ale chyba powinienem pospać przynajmniej tyle, ile mogę. Właściwie trzeba by posprzątać, zanim się położymy, bo inaczej jutro wszystko spadnie na ciebie, a to może...

– Na ulicy – przerwała mu Inger Johanne. – Powiedziałeś, że została zabita na ulicy? W Wigilię?

– Tak. Prawdziwy cud boski, że jakiś patrol policyjny ją znalazł. Jeden z tych kilku, które jeździły wieczorem. Po prostu leżała na drodze. Pod tym względem to dla nas wielka zaleta. Wygląda na to, że wyjątkowo prasa nie zwąchała zabójstwa w ciągu dwóch minut. Zresztą jutro gazety się nie ukazują.

– Wydania internetowe są równie okropne – mruknęła Inger Johanne, wciąż nie odrywając oczu od zdjęcia pani biskup z Bergen. – A nawet jeszcze gorsze. Poza tym są te media, które nadają w eterze. Przy takiej sprawie to bez znaczenia, że w zasadzie wszyscy mają wolne. Ale właściwie dlaczego musisz tam jechać? Policja bergeńska ma chyba wszelkie kompetencje, żeby zająć się taką sprawą?

Yngvar się uśmiechnął. Kripos rzeczywiście nie była już tym, czym dawniej. Z niewielkiej, niemal elitarnej grupy śledczych, popularnie nazywanej Komisją do spraw Morderstw, utworzonej przed blisko pięćdziesięcioma laty, Centrala Policji Kryminalnej zmieniła się w znacznie większą instytucję mającą najwyższe kompetencje w prowadzeniu śledztw od strony taktycznej, a przede wszystkim technicznej. Zlecano jej coraz więcej zadań, zarówno w kraju, jak i na płaszczyźnie międzynarodowej. Dla opinii publicznej aż do przełomu tysiącleci wciąż pozostawała najbardziej widoczna jako organ wspomagający w poważniejszych sprawach zwyczajną policję. Szczególnie w sprawach zabójstw. Czasy jednak się zmieniały, a wraz z nimi zmieniała się też przestępczość. W roku 2005 Kripos została w rzeczywistości rozwiązana po to, by zmartwychwstać jako organ o nazwie Krajowa Jednostka do Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej i Innych Poważnych Przystępstw (Kripos). Wychodziłby z tego skrót KJDZPZIIPPK. Przeciwno tej nowej nazwie

protestowano bardzo gwałtownie i niejednokrotnie sugerowano, że skrót brzmi raczej jak mało apetyczna onomatopeja na wyrażenie odruchu wymiotnego. Pracownicy w końcu wygrali i Kripos, strojna w swoją dawną, dobrze brzmiącą nazwę, mogła spokojnie czekać na przypadające w lutym 2009 roku obchody pięćdziesięciolecia.

Ale zadania instytucji zachowały nowy, zmieniony kształt, bardziej zgodny z odrzuconym skrótem.

Jednostki policji w całym kraju były teraz większe, silniejsze i bardziej kompetentne. Wielki paradoks zwalczania przestępczości polegał na tym, że rosnąca i coraz lepiej zorganizowana przestępczość skutkowałą silniejszymi i bardziej kompetentnymi siłami policyjnymi. Coraz częściej nawet nieduże komendy musiały zajmować się zabójstwami, dlatego rosły ich kompetencje. I musiały radzić sobie same, przynajmniej z taktycznymi aspektami śledztwa.

Yngvar przyłożył usta do ucha Inger Johanne.

– Bo ja – przecież wiesz – jestem taki dobry.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Poza tym zrobi się z tego wielka afera – dodał i znów ziewnął. – Wydaje mi się, że właśnie tego się boją. Skoro chcą mnie, no to będą mnie mieli. – Wstał i z niechęcią obrzucił pokój wzrokiem. – Uporamy się z tym, co najgorsze?

Inger Johanne pokręciła głową.

– Po co ona wychodziła? – spytała z namysłem.

– Słucham?

– Co, na miłość boską, pani biskup miała do załatwienia poza domem o takiej porze w Wigilię?

– Nie mam pojęcia. Może szła do przyjaciela.

– Ale...

– Inger Johanne, już późno. Prawie nic nie wiem o tej sprawie, oprócz tego, że muszę jutro o świcie wyjechać do Bergen. Spekulowanie na podstawie tak niewielu informacji jest bez sensu, dobrze wiesz. Sprzątamy albo idziemy spać.

– Idziemy spać – zdecydowała Inger Johanne, wstając.

Przeszła przez kuchnię, wzięła butelkę wody mineralnej i postanowiła poczytać w łóżku „Magazyn”. Z jutrem będzie się zmagać, kiedy nadejdzie.

– Coś się stało? – spytał Yngvar, gdy nagle przystanąła na środku pokoju.

– Nie. Tylko... tak mi się zrobiło... przykro. – Zdziwiona spojrzała na niego.

– Oczywiście, że człowiekowi robi się przykro. – Yngvar dotknął dłonią jej policzka.

– Nie, właściwie to nie. Ja nie pozwalam, żeby te twoje sprawy wywierały na mnie wpływ. Ale ta pani biskup... zawsze sprawiała wrażenie takiej... dobrej.

– Yngvar uśmiechnął się i lekko ją pocałował.

– Oboje, i ty, i ja świetnie wiemy – powiedział, biorąc ją za rękę – że czasami tych dobrych też zabijają. Chodź już!

To była noc bez snu. Kiedy dzień wreszcie się upomniał o Inger Johanne, zdążyła przeczytać artykuł o biskup Evie Karin Lysgaard już tyle razy, że znała go na pamięć.

Ale i tak w niczym jej to nie pomogło.

Mężczyzna

Nic nie pomagało.

Nic nigdy nie mogło pomóc. Oczywiście zaofiarowali się, że z nim zostaną. Jakby to ich potrzebował. Jakby życie na moment znów miało stać się znośne dzięki temu, że będą przy nim obcy ludzie, siadający w jej fotelu, tym żółtym, zniszczonym, stojącym na ukos od telewizora, z niedokończoną robótką na drutach w plecionym koszyku obok.

Pytali, czy kogoś ma.

Kiedys rzeczywiście miał kogoś. Kilka godzin temu miał Evę Karin. Przez całe życie miał Evę Karin, a teraz nie miał już nikogo.

Przypomnieli mu o synu. Pytali o niego. Pytali, czy sam powiadomi Lukasa, czy mają zająć się tą sprawą. Właśnie tak wyraziła się kobieta, ta, która usiadła w fotelu Evy Karin. Zająć się tą sprawą. Jakby to była sprawa. Jakby zostało coś, czym można by się zająć.

Nie czuł bólu.

Ból to coś, co boli. Ból sprawia ból. A on czuł jedynie brak istnienia. Pustkę, która kazała mu patrzeć na własne ręce, jakby należały do kogoś innego. Zacisnął prawą dłoń tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę. Nigdzie nie było bólu, nie było istnienia, a jedynie wielka bezbarwna nicość tam, gdzie nie było już Evy Karin.

Zrozumiał, że nawet Bóg go opuścił.

Czas przestał płynąć.

* * *

Zegarek stanął. Z irytacją zamachała kilka razy ręką i zrozumiała, że jest jeszcze bardziej spóźniona. Musi ściągnąć dzieci do domu i ubrać je odświętnie, nie złościąc przy tym Kristiane.

Podeszła do okna.

Na trawniku przed domem, przy płocie od strony Hauges vei, Ragnhild i Kristiane

nagarneły wystarczającą ilość szronu do zbudowania najmniejszego bałwana na świecie. Miał niecałe dziesięć centymetrów wysokości, ale Inger Johanne nawet z pierwszego piętra widziała, że zrobiły mu kapelusz z pożółkłego dębowego liścia, a usta z maleńkich kamyków.

Skrzyżowała ręce na piersi i pochyliła się do szyby. Jak zwykle to Ragnhild budowała i reżyserowała. Kristiane stała wyprostowana, nieruchoma, a Inger Johanne, chociaż nie docierały do niej słowa, słyszała, że młodsza córka nieprzerwanie mówi, jakby miała obok siebie najbardziej zainteresowanego słuchacza na świecie.

A może rzeczywiście tak było.

Inger Johanne się uśmiechnęła, kiedy Ragnhild nagle oderwała się od swojego małego dzieła sztuki i z całego serca zaczęła głośno śpiewać. Teraz jej głos docierał już do mieszkania.

– *Życ to znaczy kochać* – rozbrzmiało w całej okolicy.

Ciekawe, gdzie mała nauczyła się tego psalmu. Ale pomysł odśpiewania go po ukończeniu bałwana z pewnością musiał pochodzić od Kristiane.

Nagle uwagę Inger Johanne przykuła jakaś postać. Chyba był to mężczyzna. Nie zauważyła, skąd się wziął. Sprawiał też wrażenie, jakby nie wiedział, dokąd idzie. Inger Johanne nie wiadomo dlaczego ogarnął niepokój. Oczywiście w sąsiedztwie mieszkały dzieci, które potrafiły się pojawić ni stąd, ni zowąd, ale dorośli idący ulicami tej willowej dzielnicy zawsze mieli jakiś cel. Wielu z nich zresztą znała, przecież sprowadzili się tu, na tę krótką uliczkę już kilka lat temu.

Mężczyzna szedł niedbałym krokiem, z rękami w kieszeniach. Czapkę miał głęboko nasuniętą na oczy, a szalik tak starannie zawiązany na szyi, że zasłaniał cały dół twarzy. Coś w jego ruchach powiedziało Inger Johanne, że nie jest to ktoś bardzo młody.

Znów potrząsnęła lewą ręką. Zegarek ciągle stał. Pewnie bateria się wyczerpała. Naprawdę powinny się pospieszyć. Już miała się odwrócić od okna, gdy zobaczyła, że mężczyzna zatrzymuje się przy śmietnikach.

Przy ich śmietnikach.

Poczuła przenikający ją lęk, jak zawsze, gdy nie miała pełnej kontroli nad Kristiane. Przez chwilę nie wiedziała, czy powinna zbiec na dół, czy może raczej obserwować wszystko z góry. Nie ruszyła się z miejsca, chociaż decyzji nie podjęła.

Może ten człowiek zawołał dziewczynki?

W każdym razie obie na niego patrzyły, a ruchy rąk Ragnhild, chociaż stała odwrócona do matki plecami, świadczyły o tym, że z nim rozmawia.

Mężczyzna coś powiedział i gestem przywołał ją do siebie. Żadna do niego nie

podeszła. Ragnhild zrobiła nawet krok do tyłu.

Inger Johanne puściła się biegiem.

Gnała przez mieszkanie, przez pokój, przez korytarz, do przybudówki, która zmieniała się w pokój zabaw dla dzieci, pędziła po schodach, prawie się z nich ześlizgując, i wybiegła na mróz bez butów czy choćby kapci.

– Kristiane! – zawołała, próbując nadać głosowi zwyczajne brzmienie. – Ragnhild! Jesteście tam?

Kiedy okrążyła węgiel domu, zobaczyła córki.

Ragnhild znów kuciała przy bałwanie, a Kristiane zauważyła chyba jakiegoś ptaka albo samolot, bo patrzyła w niebo i nie przejmując się wołaniem matki, wysunęła język, żeby łapać lekkie płatki śniegu, który właśnie zaczął padać.

Mężczyzny nigdzie nie było widać.

– Mamo – odezwała się Ragnhild surowo. – Przecież nie wolno wychodzić na dwór w samych skarpetkach!

Inger Johanne spojrzała na swoje stopy.

– Ojej! – Uśmiechnęła się. – Ale ta wasza mama niemądra!

Ragnhild serdecznie się roześmiała, wymachując czerwoną łopatką.

Kristiane dalej łowiła płatki śniegu.

– Co to był za pan? – spytała Inger Johanne spokojnie.

– Jaki pan?

Ragnhild oblizwała smarki ciekące jej z nosa.

– Ten, który z wami rozmawiał. Ten, który...

– Ja go nie znam – powiedziała Ragnhild. – Zobacz, jakiego ładnego bałwana ulepiłyśmy. Zupełnie bez śniegu.

– Fantastyczny. A teraz wracajcie obie do domu. Przecież idziemy z wizytą, pamiętacie? O co was pytał?

– Dam-di-rum-ram. – Kristiane uśmiechnęła się do nieba.

– O nic – odparła Ragnhild. – Musimy iść z tą wizytą? Tatuś pójdzie z nami?

– Nie, tatuś jest przecież w Bergen. Ale ten pan musiał coś powiedzieć. Widziałam z góry, że...

– Pytał, czy miło spędziłyśmy święta – zniecierpliwiała się Ragnhild. – Nie zimno ci w nogi, mamo?

– Zimno. Chodźcie już obie. Chodźcie, mówię!

Kristiane, o dziwo, ruszyła się z miejsca. Inger Johanne wzięła Ragnhild za rękę i

poszła za starszą córką.

– I co odpowiedziałaś? – spytała.

– Że to były superświęta z kremem.

– Czy on... czy chciał, żebyś do niego podeszła?

Dotarty do wysypanej żwirem alejki biegnącej wzdłuż ściany domu aż do schodów.

Kristiane rozmawiała ze sobą, ale wydawała się zadowolona i wesoła.

– Taaak – odparła niechętnie Ragnhild. – Ale przecież my wiemy, mamó, że nie wolno rozmawiać z obcymi. Ani nigdzie z nimi chodzić i w ogóle.

– Masz rację, córeczko.

Inger Johanne miała wrażenie, że zlodowaciałe palce u stóp zaraz jej odpadną. Skrzywiła się, kiedy ze żwiru przeszła na lodowaty kamienny stopień.

– Pytał, czy dostałam coś ładnego – odezwała się nagle Kristiane, otwierając wejściowe drzwi, które powiew wiatru zatrzasnął za Inger Johanne. – Tylko mnie. Ragnhild nie pytał.

– Tak? A skąd wiesz, że pytał ciebie?

– Bo tak powiedział. Powiedział..

Wszystkie trzy się zatrzymały. Kristiane znów miała to swoje dziwne spojrzenie, skierowane w głąb, jakby przeglądała archiwum we wnętrzu własnej głowy.

– „Tak tu stoicie, dziewczynki? Miło spędziłyście święta? A ty, Kristiane, dostałaś coś ładnego na Gwiazdkę?” – wyrecytowała w końcu beznamiętnym tonem.

– Aha – wydusiła z siebie Inger Johanne i zmusiła się do uśmiechu. – Bardzo miło z jego strony. A teraz błyskawicznie musimy się ładnie ubrać. Idziemy do twoich dziadków, Kristiane. Twój tatuś zaraz po nas przyjedzie.

– O, nie! – Ragnhild, tak jak stała, usiadła na stopniu, i wybuchnęła płaczem. – Dlaczego Kristiane może mieć swojego tatusia, a ja nie mogę mieć swojego?

– Przecież ci mówiłam, że tata musi pracować. No i u dziadków Kristiane zawsze jest tak miło.

– Nie chcę! Nie chcę!

Mała odepchnęła się i zaczęła zsuwać się ze schodów głową w dół, machając rękami, jakby płynęła. Inger Johanne złapała ją za ramię i podciągnęła do góry odrobinę mocniej, niż zamierzała. Ragnhild zaczęła krzyczeć.

Ale Inger Johanne była w stanie myśleć jedynie o tym, że Kristiane musiała coś źle zapamiętać.

– Ja chcę do mojego tatusia! – płakała Ragnhild, próbując wyrwać się z objęć matki. –

Do tatusia, do mojego tatusia! Nie do tego głupiego tatusia Kristiane!

– W naszej rodzinie tak się nie mówi – syknęła Inger Johanne, popychając Kristiane za drzwi, a młodszą córkę ciągnąc za sobą. – Zrozumiałaś?

Ragnhild nagle przestała płakać, zdumiona złością matki. A potem nagle wybuchnęła śmiechem.

Ale Inger Johanne wciąż myślała tylko o jednym: kiedy Kristiane coś zapamiętywała, to nigdy, ale to nigdy się nie myliła.

* * *

– Każdy może się pomylić. Nie złość się z tego powodu. – Marcus Koll jr. uśmiechnął się do synka, który szarpał instrukcję obsługi. – Chodź raczej do mnie, żebyśmy mogli sobie razem z tym poradzić.

Chłopiec jeszcze przez chwilę się boczył, wreszcie niechętnie, ale podszedł i rzucił książeczkę na stół w salonie. Nie do końca zmontowany helikopter wciąż stał na stole w jadalni.

– Rolf obiecał, że mi pomoże. – Malec z pretensją wysunął dolną wargę.

– Przecież wiesz, jacy potrafią być ci klienci Rolfa.

– Bogaci, głupi i mają małe brzydkie psy.

Ojciec próbował ukryć uśmiech.

– No właśnie. Ale kiedy angielska buldożka postanowi, że szczeniaki mają się urodzić w pierwszy dzień świąt, to muszą się urodzić w pierwszy dzień świąt, wszystko jedno: brzydkie czy ładne.

– Rolf mówi, że te buldogi są tak przerasowane, że nawet nie umią rodzić.

– Nie umieją.

– Powinno się tego zakazać. To dręczenie zwierząt.

– Zgadzam się. Pokaż!

Sięgnął po instrukcję i przeglądając ją, podszedł do ogromnego stołu. Zamówił tłumaczenie u specjalisty od tekstów technicznych, żeby ułatwić chłopcu montaż. Stojący przed nim model był tak duży, że przez chwilę pożałował zakupu. Wprawdzie syn wykazywał niezwykle talent do mechaniki, ale to była już pewna przesada. Sprzedawca w Bostonie podkreślał, że zalecana granica wieku dla tej zabawki to szesnaście lat, zwłaszcza że helikopter ważył blisko kilogram i w powietrzu mógł stanowić zagrożenie dla otoczenia.

– Hm. – Ojciec podrapał się w nieogoloną brodę. – Nie bardzo to rozumiem.

– To z wirnikiem jest jakiś problem – stwierdził chłopiec. – Spójrz tutaj, tato!

Zręczne palce usiłowały złożyć śmigło, ale coś nie pasowało. Chłopiec szybko się poddał i odłożył śmigło na bok. Ojciec zmierzwił mu włosy.

– Trochę więcej cierpliwości, Mały Marcusie! Cierpliwości! To cierpliwość powinieneś dostać na Gwiazdkę.

– Nie nazywaj mnie tak, już ci mówiłem. Poza tym to nie ja coś źle robię. To w instrukcji jest jakiś błąd.

Marcus Koll wysunął krzesło, usiadł i z kieszonki na piersi wyjął okulary. Chłopczyk, znów pełen zapału, usadowił się obok. Gdy pochylił się nad broszurką, jasne kręcone włosy łaskotały ojca w nos. Delikatny zapach mydła i pierniczków przywołał uśmiech na jego twarzy. Musiał się powstrzymać, żeby nie objąć chłopca, nie przycisnąć go do piersi, by poczuć cudowne ciepło ciała synka, którego miał wbrew wszystkiemu i wszystkim.

– Jesteś najlepszym, co mam – powiedział cicho.

– Wiem, wiem, słyszałem. Co znaczy to: „Wsuń najdłuższy bolec w zaznaczony pierścień na zakończeniu śmigła numer cztery”? Przecież jest tylko jeden bolec! Dlaczego tu napisali „najdłuższy”? I gdzie jest ten głupi pierścień?

Grudniowe słońce wypełniało salon delikatnym białym światłem. Na zewnątrz było pogodnie i mroźno, kryształki szronu pokryły drzewa, jakby ktoś specjalnie na święta polakierował je sprejem. Między białymi gałęziami daleko w dole widać było fiord Oslo, szaroniebieski i nieruchomy, bez jakichkolwiek oznak życia. Trzaskanie ognia w kominku mieszało się z pochrapywaniem dwóch angielskich seterów, które spały razem w olbrzymim koszu przy drzwiach. Z kuchni zaczynał dochodzić zapach indyka, zwyczaj, przy którym uparł się Rolf, kiedy wreszcie dał się namówić na sprowadzenie się tu pięć lat temu.

Marcus Koll jr. żył w banalnym schemacie i kochał takie życie.

Kiedy dziewięć lat temu zmarł jego ojciec, tuż przed trzydziestymi piątymi urodzinami syna, Marcus początkowo odmówił przyjęcia spadku. Georg Koll nigdy nie dał mu nic oprócz dobrego imienia. Było to imię dziadka i umożliwiło chłopcu udawanie, że ojciec nie istnieje. W dzieciństwie nie potrafił pojąć, że ojciec nie może się z nim spotkać choćby od czasu do czasu w jakiś weekend. Już jako dwunastolatek zrozumiał, że matka nie dostaje nawet alimentów należących się jej na niego i dwoje młodszego rodzeństwa. Kiedy skończył piętnaście lat, postanowił, że nigdy więcej nie odezwie się do ojca. Facet zmarnował swoje szanse. To było tego roku, kiedy Marcus dostał na urodziny sto koron w składanej kartce wysłane pocztą wraz z pięcioma słowami napisanymi z całą pewnością nie przez ojca. Był już dorosły, kiedy włożył te pieniądze do koperty i odesłał.

Zerwanie okazało się zaskakująco proste. Widywali się tak rzadko, że od tych dwóch

czy trzech wizyt w ciągu roku łatwo dało się wykręcić. Kierując się uczuciem, wybrał sobie innego ojca: Marcusa Kolla seniora. Kiedy wreszcie zrozumiał, że rodzony ojciec całkiem po prostu nie chce być tatą i raczej już nigdy się nie zmieni, poczuł ulgę. Czuł się uwolniony. Mógł czekać na coś lepszego.

Spadku nie chciał przyjąć.

A spadek był znaczny.

Georg Koll w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zrobił duże pieniądze na nieruchomościach. W odpowiednim czasie przed załamaniem na rynku mieszkaniowym podczas ostatniego kryzysu finansowego dwudziestego stulecia, większość tego majątku przeniósł na inne, o wiele bezpieczniejsze obszary. Bolesny brak talentu do odgrywania roli ojca i żywiciela rodziny nadrabiał z naddatkiem, gdy chodziło o opiekę nad pieniędzmi. W przeciwieństwie do innych wykorzystał okres yuppie na zabezpieczenie swoich inwestycji, a nie na ryzykowanie dla ewentualnych szybkich zysków.

Umierając, pozostawił średniej wielkości przedsiębiorstwo żeglugowe pasażerskich statków wycieczkowych, sześć położonych w centrum miasta kamienic w wyjątkowo dobrym stanie, a także starannie dobrany portfel akcji, które przez ostatnich pięć lat przynosiły mu główną część godnych szacunku dochodów. Śmierć najwyraźniej go zaskoczyła. Miał zaledwie pięćdziesiąt osiem lat, był szczupły i wysportowany, kiedy pewnego dnia w połowie kwietnia dopadł go w drodze z pracy do domu rozległy udar mózgu. Ponieważ nie ożenił się po raz drugi i nie dało się też odnaleźć żadnego testamentu, majątek w całości przypadł Marcusowi Kollowi, jego siostrze Anine i młodszemu bratu Mathiasowi.

Marcus nie chciał o tym słyszeć.

Jako piętnastolatek zwrócił ojcu jego krwawe pieniądze, a jako dwudziestolatek otrzymał odpowiedź. List. Ojca doszły słuchy, że jego najstarszy syn jest homoseksualistą. Marcus przebiegł kartkę wzrokiem i aż za szybko zrozumiał, do czego ojciec zmierza. Georg wyraźnie się odcinał od jego stylu życia, ale takie poglądy nie były w roku 1984 niczym niezwykłym. Gorzej, że ojciec, który nigdy nie miał bliskich związków z żadnym bogiem, narysował obraz przyszłości Marcusa identyczny z opisami Sodomy i Gomory. Poza tym przypomniał o nowej, strasznej zarazie z Ameryki, dotyczącej tylko homoseksualnych mężczyzn. Zarażeni nią umierali w bólach, z ciałem pokrytym zaropiałymi wrzodami, jak podczas czarnej śmierci. Georg Koll oczywiście nie wierzył, że to kara wymierzona przez wyższe moce. Jego zdaniem to sama natura wzięła sprawy w swoje ręce. Owa śmiertelna choroba to po prostu przejaw selekcji naturalnej. Za kilka pokoleń tacy jak Marcus przestaną istnieć. Życie homoseksualisty oznacza życie bez rodziny, bez poczucia bezpieczeństwa, bez

więzi, zobowiązań i szczęścia obecnego w życiu każdego dobrego obywatela i przyzwoitego człowieka. Jeśli syn tego nie zrozumie i nie będzie mógł zagwarantować, że ma lepszy pomysł na swoją przyszłość, zostanie wydziedziczony.

Ponieważ ustawowy zachówek dla rodzonych dzieci stanowił zaledwie ułamek łącznego majątku Georga Kolla, groźba ta nie była oderwana od rzeczywistości. Ale dla Marcusa nie miała żadnego znaczenia. Spalił list i postanowił o wszystkim zapomnieć. A kiedy piętnaście lat później, w roku 1999, nastąpiło otwarcie spadku, okazało się, że ojciec, przekonany o własnej nieśmiertelności, nie zostawił testamentu.

Marcus obstawał przy swoim: pieniędzy ojca i tak nie chce. Dopiero kiedy dziadek, który zresztą nigdy nie mówił o swoim najstarszym synu, przekonał go, że jako jedyny z trójki rodzeństwa może w profesjonalny sposób zająć się rodzinną fortuną, zaczął się uginać. Brat był nauczycielem, siostra pracowała w księgarni. Marcus natomiast miał wykształcenie ekonomiczne i gdy rodzeństwo się upierało, że najlepiej będzie na bazie pieniędzy po zmarłym ojcu założyć nową spółkę, której współwłaścicielami będą wszyscy troje, ale Marcus zostanie jej szefem, w końcu pozwolił się namówić.

– Potraktuj to jako cholernie dobry żart – śmiał się Mathias. – Ten gnojek swego czasu chytrył pieniądze dla mamy i dla nas, a mimo wszystko to my nieźle sobie pożyjemy za to, do czego tak bardzo starał się nas nie dopuścić.

Ironia losu, myślał później Marcus. Cudowna ironia losu.

– Tato! – Mały Marcus zaczął się niecierpliwić. – Co tu jest napisane? Co to znaczy?

Marcus Koll uśmiechnął się trochę nieprzytomnie, w końcu jednak oderwał wzrok od wzgórz, fiordu i białego nieba. Poczł, że zgłodniał.

– Jeszcze to – powiedział, przykręcając maluteńką śrubkę. – Teraz śmigło jest już gotowe. Wystarczy, że zrobimy tak... Chcesz?

Chłopiec kiwnął głową i umocował cztery łopaty śmigła.

– Udało się, tato! Udało się! Pójdziemy na dwór go puścić? Możemy iść od razu?

Jedną ręką sięgnął po pilota, drugą złapał gotowy już helikopter, ostrożnie, bo jeszcze nie do końca wierzył, że maszyna się nie rozpadnie.

– Jest za zimno. Stanowczo za zimno. Już wczoraj ci mówiłem, że pewnie dopiero za kilka tygodni będziemy mogli go uruchomić.

– Ale, tato...

– Obiecałeś, Mały Marcusie, przyrzekłeś, że nie będziesz marudzić. Lepiej zadzwoń do Rolfa i dowiedz się, czy wróci do domu na obiad.

Chłopiec wahał się przez chwilę, ale w końcu odłożył zabawkę. Nagły uśmiech

rozjaśnił mu buzię.

– Idzie babcia i reszta! – zawołał i wybiegł.

Drzwi się za nim zatrzasnęły. Huk jeszcze przez chwilę dźwięczał w uszach Marcusa, ale wkrótce znów w ogromnym salonie słychać było jedynie lekkie pochrapywanie obojętnych na wszystko psów i trzaskanie płomieni w kominku. Marcus spojrzął na ogień, powiódł wzrokiem po pokoju.

Naprawdę żył w banalnym schemacie.

Dom w Åsen.

Duży, ale dyskretnie odsunięty od drogi, przechodnie mogli widzieć tylko górne piętro. Śmieszna drewniana boazeria pokrywająca zewnętrzne ściany postanowił usunąć już w chwili, gdy kupował tę nieruchomość, podobnie jak torf na dachu i wyrzeźbiony w surowym drewnie i ozdobiony z obu stron smoczymi głowami portal przed wjazdem do garażu z napisem „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Już miał się do tego brać, kiedy w życie jego i Małego Marcusa wkroczył Rolf. Kiedy po raz pierwszy zobaczył te wspaniałości, zaśmiewał się do rozpuku i z pełną powagą odmawiał sprowadzenia się do tego domu, dopóki Marcus nie obiecał, że zachowa ów oryginalny i łagodnie mówiący, rustykalny charakter posiadłości.

Jesteśmy typową rodziną, tylko trochę zakreconą, śmiał się Rolf z ich życia na co dzień.

Trochę bogatszą niż przeciętna rodzina, dodawał zwykle Marcus w myślach, ale nigdy nie powiedział tego na głos.

Rolf nie myślał o pieniądzach. Myślał o życiu rodzinnym z Małym Marcusem wśród wielkiego kręgu ciotek i wujków, kuzynów i kuzynek, z babcią, przyjaciółmi, którzy przychodzili tak często, że w domu w Åsen prawie zawsze ktoś był. Myślał o psach i corocznym tygodniu jesiennych polowań, ze starymi przyjaciółmi, z chłopakami, z którymi Marcus dorastał i z którymi nigdy nie stracił kontaktu. Rolf zawsze tak radośnie się śmiał z ich szczęśliwego, zwyczajnego, heteroseksualnego życia.

Rolf zawsze był taki radosny.

Wszystko ułożyło się tak, jak pragnął Marcus.

Nawet pieniądze ojca zdołał obrócić na dobre. Georg Koll skazał go na zatrucie i wierzył, że taki będzie los syna. Skreślając Jego przyszłość, paradoksalnie mu ją zapewnił. Pierwsze szalone lata Marcus miał już za sobą i szczęśliwie ominęła go choroba, która tak brutalnie, pośród bólu, wstydu, a często i samotności zabrała tylu znajomych. Był za to głęboko wdzięczny losowi. Kiedy palił list od ojca, postanowił, że Georg Koll się pomyli.

Pomyli całkowicie i wyraźnie. Marcus będzie tym, kim ojciec nigdy się nie stał: prawdziwym mężczyzną.

– Tato! – Chłopiec wbiegł do salonu, machając rękami. – Wszyscy już są! Rolf powiedział, że ta paskudna suka urodziła trzy szczeniaki i wszystko z nimi w porządku. Już jedzie do domu i cieszy się...

– Dobrze, dobrze. – Marcus wstał ze śmiechem i poszedł za chłopcem do holu.

Na podwórzu słychać było kilka samochodów. Goście się zjeżdżali.

W drzwiach salonu przystanął jeszcze na chwilę i spojrzał za siebie.

Wątpliwości, które dręczyły go od kilku tygodni, wreszcie ucichły. Marcus był obdarzony silnym instynktem i dzięki niemu zarobił majątek. Wiosną 2007 roku przez wiele tygodni walczył z intensywną chęcią wycofania się z rynku akcji, kolejne noce spędzał nad analizami i raportami, ale jedyną oznaką, mogącą zapowiadać niedobre zmiany, jaką znalazł, była stagnacja na amerykańskim rynku mieszkaniowym. Kiedy latem nastąpiło pierwsze obniżenie wartości pakietów obligacji związane z niepewnymi kredytami subprime, wystarczyła jedna noc, by podjął decyzję. W ciągu trzech miesięcy, z dużym zyskiem spieniężył amerykańskie akcje – za ponad miliard. Kilka miesięcy później mógł, budząc się w nocy, czuć czystą, szczerą ulgę. Majątek spokojnie leżał w DnB NOR, dopóki odsetki nie zaczęły spadać.

Teraz Marcus kupował nieruchomości. Akurat wszystko było tanie.

Za kilka lat zysk ze sprzedaży będzie niesamowity.

Marcus musiał dbać o siebie i swoją rodzinę.

Miał takie prawo i taki obowiązek.

Georg Koll wychylił się z zaświatów, żeby jeszcze raz próbować zniszczyć życie Marcusa, a na to on po prostu nie mógł pozwolić.

* * *

– Mogę? – Yngvar Stubø skinieniem głowy wskazał na żółty fotel stojący przed telewizorem.

Erik Lysgaard w żaden sposób nie zareagował. Po prostu dalej siedział z rękami na kolanach w podobnym, tylko nieco ciemniejszym fotelu i patrzył przed siebie.

Yngvar dopiero teraz zauważył robótkę i długie, ledwie widoczne siwe włosy przyklejone do pokrowca chroniącego szczyt oparcia fotela przed zabrudzeniem. Wysunął więc sobie krzesło stojące przy stole.

Oddychał ciężko. Odkąd wstał o pół do szóstej, dokuczał mu leciutki kac i ciągle

chciało mu się pić. Lot z Gardermoen do Bergen nie był ani trochę przyjemny. Wprawdzie niewielu było chętnych na podróż z Oslo do Bergen o siódmej dwadzieścia pięć w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, ale turbulencje okazały się bardzo dokuczliwe, a on za mało spał.

– To nie jest przesłuchanie – zaczął, nie mogąc wymyślić nic innego. – Tym zajmiemy się później, na policji, kiedy pan...

Miał zamiar powiedzieć: „kiedy pan lepiej się poczuje”, ale ugryzł się w język.

Salon w kształcie litery L był jasny i przyjemny. Ani nowoczesny, ani staroświecki. Niektóre meble, jak te dwa fotele przed telewizorem, nosiły wyraźne ślady zużycia. Jadalniany stół z krzesłami też wyglądał na odziedziczony w spadku, za to meble wypoczynkowe w drugiej części pokoju były nowe, kremowe i głębokie, a leżały na nich kolorowe poduszki. Yngvar widział dokładnie taki sam zestaw w broszurze reklamowej sieci meblowej Bohus, którą Kristiane za wszelką cenę postanowiła czytać w łóżku. Całą dłuższą ścianę z oknami zapełniały półki na książki. Tytuły świadczyły o tym, że państwo Lysgaard mieli wszechstronne zainteresowania i znali języki. Na małym stoliku do kawy, stojącym między fotelami, leżało jakieś obszerne dzieło zapisane cyrylicą. Na ścianach obrazy wisiały tak gęsto, że trudno było ocenić je pojedynczo. W oczy rzucała się jedynie kopia obrazu *Chrystus Henrika Sørensen*a, przedstawiająca jasnowłosego, otwierającego objęcia Mesjasza. Może to nawet nie była kopia. Obraz wyglądał na oryginalny i mógł być jednym z wielu wykonywanych przez artystę szkiców do dzieła znajdującego się w kościele w Lillestrøm.

Ale uwagę przede wszystkim przyciągała ogromna szopka stojąca na bufecie. Było to coś w rodzaju kasetki przesłoniętej szybą o ponad metrowej szerokości i pewnie półtorametrowej wysokości i głębokości. Wśród aniołów i maleńkich pasterzy, owiec i mędrców na posłaniu ze słomy leżało Dzieciątko Jezus. W głębi maleńkiej stajenki świeciła przemyślnie ukryta lampka; wyglądało to tak, jakby Jezus miał nad głową aureolę.

– Jest z Salzburga. – Erik Lysgaard odezwał się tak nieoczekiwanie, że Yngvar drgnął przestraszony.

– Nie chciałem się gapić. – Uśmiechnął się ostrożnie. – Ale jest... czarująca.

Wdowiec po raz pierwszy podniósł wzrok.

– Eva Karin też tak mówi. Zawsze powtarza, że ta szopka jest czarująca.

Lekko załkał, jakby wstrzymując płacz. Yngvar przesunął krzesło odrobinę bliżej.

– Wielu ludzi – zaczął cicho, a potem na moment się zawahał. – W najbliższych dniach wielu ludzi będzie mówić, że wiedzą, jak pan się czuje. Ale mało kto będzie to rozumiał. Wprawdzie większość ludzi w naszym wieku... – ciągnął ze świadomością, że jest o

dobre dziesięć lat młodszy od Erika Lysgaarda – ...doświadczyła straty bliskiej osoby, to jednak w wypadku przestępstwa sytuacja jest całkiem inna. Nie dość, że ktoś odchodzi nagle, to jeszcze najbliżsi zostają z mnóstwem pytań. Przestępstwo tego rodzaju...

Nie mam pojęcia, jakiego rodzaju jest to przestępstwo, pomyślał. Przecież na razie niczego jeszcze nie ustalono.

– ...krzywdzi nie tylko ofiarę. Każdemu może odebrać chęć do życia. To...

– Przepraszam.

Syn Erika, Lukas Lysgaard, otworzył usta po raz pierwszy, odkąd przyjął Yngvara i wprowadził go do salonu. Sprawiał wrażenie zapłakanego i wycieńczonego, ale przytomnego. Do tej pory stał prawie nieruchomo przy najbardziej oddalonym oknie wychodzącym na ogród, teraz jednak zmarszczył czoło i podszedł o parę kroków bliżej.

– Wydaje mi się, że ojciec nie potrzebuje pocieszenia. A przynajmniej, z całym szacunkiem, nie od pana. Wolelibyśmy zostać sami. Zgodziliśmy się na to przesłuchanie... – szybko sam się poprawił: – ...na tę rozmowę, która nie jest przesłuchaniem, oczywiście dlatego, że chcemy pomóc policji na tyle, na ile możemy. W zaistniałej sytuacji. Jak pan wie, jestem skłonny zgodzić się na policyjne przesłuchanie, kiedy tylko sobie zażyczycie, lecz jeśli chodzi o ojca...

Erik Lysgaard wyraźnie spiął się w fotelu, wyprostował plecy, mocno zamrugał i zadarł brodę.

– Co pan chce wiedzieć? – spytał, patrząc Yngvarowi prosto w oczy.

Idiota, pomyślał Yngvar o sobie.

– Przepraszam – powiedział. – Oczywiście powinienem zostawić panów w spokoju, tylko że... wyjątkowo media nie siedzą nam na karku. Wyjątkowo mamy szansę na odrobinę przewagi nad tą bandą. – Kciukiem wskazał za siebie, jak gdyby gromada dziennikarzy już się tłoczyła na schodach. – Ale powinienem zrozumieć, że to niewłaściwa pora. Powinienem dać panom dzisiaj spokój, to przecież jasne.

Wstał i sięgnął po płaszcz przewieszony przez oparcie sąsiedniego krzesła. Erik Lysgaard przyglądał mu się zdziwiony z półotwartymi ustami i zmarszczką na czole tuż nad grubymi okularami w ciężkiej, czarnej oprawce.

– Nie ma pan żadnych pytań? – spytał słabym głosem.

– Owszem, mam, mnóstwo. Ale jak już mówiłem, mogą poczekać. Czy mógłbym przed wyjściem skorzystać z toalety?

To pytanie skierował do Lukasa.

– W korytarzu, drugie drzwi na lewo – odparł młodszy Lysgaard.

Yngvar lekko skinął głową Erikowi Lysgaardowi i ruszył w stronę drzwi. W połowie drogi się odwrócił.

Zawahał się.

– Tylko jedna rzecz – powiedział, drapiąc się w policzek. – Mógłbym spytać, dlaczego biskup Lysgaard chodziła po ulicach sama o jedenastej wieczorem w Wigilię?

Zapadła dziwna cisza.

Syn patrzył na ojca, ale w jego spojrzeniu właściwie nie było pytania. Na twarzy malowało się tylko obojętne wyczekiwanie, jakby znał odpowiedź albo uznał pytanie za nieciekawe. Erik natomiast położył ręce na podłokietnikach, odchylił się, głęboko zaczerpnął powietrza i patrząc Yngvarowi prosto w oczy, powiedział:

– Nic panu do tego.

– Słucham? – Yngvar, mimo niestosowności sytuacji, zaczął się śmiać. – Co pan powiedział?

– Powiedziałem, że nic panu do tego.

– No cóż, chyba będziemy musieli...

Znów zapadła cisza.

– Porozmawiamy o tym później – dokończył wreszcie Yngvar, pożegnał wdowca gestem uniesionej ręki i wyszedł z pokoju.

Zaskakująca i absurdałna odpowiedź sprawiła, że na chwilę zapomniał o swojej potrzebie. Kiedy jednak zamknął za sobą drzwi, poczuł, że musi się pospieszyć.

– W korytarzu, drugie drzwi na prawo – mruknął do siebie, położył rękę na klamce i otworzył.

Sypialnia. Nieduża, może dziesięć metrów kwadratowych. Prostokątna, z oknem w krótszej ścianie oddalonej od drzwi. Pod nim starannie zaścielone pojedyncze łóżko z pościelą w kolorze bzu. Od strony głowy na poduszce jakaś złożona część garderoby. Bielizna nocna, doszedł do wniosku Yngvar i wciągnął powietrze przez nos.

To zdecydowanie nie był pokój gościnny.

Słodki zapach snu mieszał się ze słabym, ledwie wyczuwalnym aromatem perfum.

Drzwi nie dały się otworzyć na oścież, blokowała je od wewnątrz szafa.

Powinien je zamknąć i poszukać toalety.

W pokoiku nie było biurka, a jedynie spora nocna szafka, na której leżał stos książek i stała lampka. Nad nią wisiała półka z czterema oprawionymi w ramki zdjęciami rodzinnymi. Yngvar od razu rozpoznał Erika i Lukasa, a stara czarno-biała fotografia prawdopodobnie przedstawiała tę niedużą rodzinę na łodzi latem, dawno temu, kiedy Lukas był jeszcze mały.

Na ścianie między szafą a łóżkiem wisiał obraz w mocnych czerwonych barwach, a przez oparcie krzesła ustawionego w nogach łóżka przewieszono jakieś ubrania. Grube ciemne zasłony były zaciągnięte. To wszystko.

– Halo, to pomyłka!

Wystraszony Yngvar cofnął się na korytarz. Lukas Lysgaard już szedł w jego stronę z rozłożonymi rękami.

– Co pan wyprawia? Węszy pan po domu? Kto panu dał prawo...

– Powiedział pan, że w korytarzu, drugie drzwi na prawo. Chciałem tylko...

– Drugie drzwi na lewo. Tutaj! – Lukas ze złością wskazał na drzwi vis-à-vis Yngvara.

– Aha, przepraszam. Nie chciałem...

– Czy może pan jak najszybciej wyjść? Chciałbym zostać z ojcem sam.

Lukas Lysgaard mógł mieć około trzydziestu pięciu lat. Wyglądał na zwyczajnego mężczyznę o niezwykle szerokich barkach. Włosy miał ciemne, z głębokimi zakolami, oczy prawdopodobnie niebieskie. Trudno to było stwierdzić, bo były wąskie i ukryte za okularami, w których odbijało się światło sufitowej lampy.

– Moja matka od czasu do czasu miewała problemy ze snem – wyjaśnił, gdy Yngvar otworzył wreszcie właściwe drzwi. – Lubiała wtedy poczytać. I żeby nie przeszkadzać ojcu... – Skinieniem głowy wskazał na małą sypialnię.

– Aha – uśmiechnął się Yngvar i wszedł do toalety.

Będąc tam, wcale się nie spieszył.

Wiele by dał, żeby móc jeszcze raz obejrzeć ten pokój. Żałował, że nie miał bardziej wyostrzonych zmysłów i nie zwrócił uwagi na więcej szczegółów. Nie mógł sobie na przykład przypomnieć, jakie ubrania wisały na krześle, czy był to odświętny strój pozostały po Wigilii, czy codzienne rzeczy. Nie zauważył też tytułów książek leżących na nocnej szafce. Nie było najmniejszego powodu przypuszczać, by ktokolwiek w tej rodzinie miał jakiś związek z zabójstwem kochanej, przynajmniej pozornie, żony i matki. A mimo to Yngvar Stubø wiedział lepiej niż większość innych ludzi, że rozwiązanie tajemnicy zabójstwa z reguły kryje się w samej ofierze. Mogło to być coś, o czym jej najbliżsi nie wiedzieli. Mógł to też być jakiś szczegół, na który nie zwróciła uwagi ani ofiara, ani nikt inny.

A mimo wszystko bardzo ważny.

W każdym razie jedno jest pewne, pomyślał, zapinając rozporek i spuszcżając wodę: Eva Karin Lysgaard musiała miewać ogromne problemy ze snem, skoro szukała schronienia w tym maleńkim panieńskim pokoju za każdym razem, kiedy nie mogła zasnąć. A może raczej małżonkowie po prostu sypiali oddzielnie.

Umył ręce, starannie je wytarł i wyszedł na korytarz.

Lukas Lysgaard czekał na niego. Bez słowa otworzył wejściowe drzwi.

– Pewnie niedługo się odezwiecie – powiedział, nie podając Yngvarowi ręki.

– Oczywiście.

Yngvar włożył płaszcz i wyszedł na nieduży ganek. Już miał odruchowo życzyć wesołych świąt, ale na szczęście w porę ugryzł się w język.

Obcy

– No to życzę ci wesołych świąt. Baw się dobrze!

Nadkomisarz Silje Sørensen wbiegała na górę po schodach, machając ręką koledze, który zatrzymał się, licząc wyraźnie na chwilę pogawędki przed wejściem do wielkiego, prawie pustego budynku policji. Cały dział obsługi ludności był zamknięty, z wyjątkiem Pogotowia Kryminalnego, skąd rozziewany funkcjonariusz siedzący za szklaną ścianą skinął jej głową, gdy biegła przez przypominające służbę wejście do budynku przy Grønlandsleiret 44.

– Dzieciaki siedzą w samochodzie! – zawołała wyjaśniająco. – A ja przyszłam tylko po narty. Stoją u mnie w pokoju, bo...

Kolega już wyszedł. Silje Sørensen dotarła na właściwe piętro. Zdyszana skręciła w korytarz i zbliżając się do drzwi swojego pokoju, zwolniła. Klucze obracała w rękach. Przeleżały w samochodzie całą dobę i były lodowate. W dodatku miała ich w pęku za dużo, co najmniej połowa była do drzwi, o których już dawno zapomniała. Wreszcie znalazła właściwy i wsunęła w zamek.

Swego czasu za projekt budynku policji architekt zdobył nagrodę. Trudno było pojąć taki werdykt. Po pokonaniu ciasnego wejścia człowiek w pierwszej chwili wierzył, że będzie tu dużo powietrza i światła. Gigantyczne foyer ciągnęło się kilka pięter w górę, a otaczały je galerie w kształcie kanciastej podkowy. Pokoje natomiast były maleńkimi sześcianami przyłączonymi do ciągnących się w nieskończoność dusznych korytarzy. Silje Sørensen zawsze czuła tu zaduch, bez względu na to, ile czasu wietrzyła.

Z zewnątrz budynek policji wyglądał tak, jakby poddawał się zmieniającym się porom roku i powoli przekrzywiał, wczepiony we wzgórze między Okręgowym Więzieniem w Oslo a kościołem na Grønland. W ciągu piętnastu lat przepracowanych w policji Silje Sørensen obserwowała, jak gmina, państwo i optymistyczni przyjaciele miasta powoli usiłowali zrewitalizować okolicę, ale piękny Park Średniowieczny znajdował się zbyt daleko, by mógł

rzucić blask na zaniedbany budynek policji. Opera też była tu jedynie skośnym białym dachem, ledwie widocznym z okna jej pokoju ponad brudnymi kamienicami i pokrywą spalin.

Już szła otworzyć okno, ale przypomniała sobie, że się spieszy.

Omiotła wzrokiem biurko. W pracy, w przeciwieństwie do wszystkich innych miejsc, w jakich przebywała, utrzymywała pedantyczny porządek. Stojący na skraju biurka koszyk z przesypanych dokumentami przychodzącymi ciążył jej na sumieniu, gdy wychodziła z biura w piątek przed świętami. Za to koszyk na dokumenty wychodzące był pusty i serce zamarło jej w piersi na myśl o stresie, jakiemu będzie musiała stawić czoło pierwszego dnia po przerwie świątecznej.

Na środku biurka leżała teczka, której nie rozpoznawała.

Nachyliła się i przeczytała to, co napisano na żółtej samoprzylepnej karteczce przyklejonej do okładki.

Nadkomisarz Sørensen

Załączam kilka dokumentów dotyczących Hawrego Ghani, urodzonego przypuszczalnie 16.12.1991- Proszę o jak najszybszy kontakt.

Komisarz Harald Bull, tel. 937xxxxx/231xxxx

Wiedziała, że jeśli zabawi w pracy zbyt długo, dzieci będą złe i marudne. Z drugiej jednak strony, kiedy zostawiała chłopców, siedzieli w milczeniu, każdy ze swoją konsolą Nintendo DS, w nieprawidłowo zaparkowanym samochodzie z włączonym silnikiem. Ponieważ gry były prezentami gwiazdkowymi i wciąż budziły zainteresowanie, mogła chyba zaryzykować i posiedzieć w biurze kilka minut dłużej, licząc, że nic złego się nie stanie.

Usiadła, nie zdejmując wierzchniego okrycia, i otworzyła teczkę.

Na samej górze leżało zdjęcie. Czarno-białe i ziarniste, z ostrymi cieniami. Mogło to być powiększenie fotografii do dokumentu tożsamości, ale chyba nie spełniało nowych wymogów dla zdjęć paszportowych. Chłopak, bo był to raczej chłopak niż mężczyzna, miał przymknięte oczy, usta otwarte. Aresztanci często stroili miny podczas fotografowania, żeby utrudnić rozpoznanie. Z jakiegoś powodu uznała jednak, że ten chłopak się nie wygłupia. Przyszło jej do głowy, że zdjęcie zostało zrobione w pośpiechu i że fotografowi całkiem zwyczajnie nie chciało się go powtarzać.

Hawre Ghani nie miał szczególnego znaczenia.

Nie był dostatecznie ważny.

Fotografia ją wzruszyła.

Usta chłopca błyszczały, jakby je przed chwilą oblizał. Pełna górna warga z mocno zarysowanym łukiem Amora miała w sobie dziecięcą wrażliwość. Skóra wokół oczu była gładka, a policzki bez zarostu. Jedynie cień wąsów pod nosem tak dużym, że prawie przesłaniał całą twarz, świadczył o tym, że chłopak już dość dawno wszedł w okres dojrzewania. W ogóle było coś młodzieńczo nieproporcjonalnego w tej twarzy, jakaś dziwna szczenięcość. Szybki rachunek pozwolił Silje stwierdzić, że Hawre Ghani właśnie skończył siedemnaście lat.

Przełożywszy kilka kartek, zrozumiała, że jednak nie dane mu było tego dożyć.

Wprawdzie Silje Sørensen wiele lat przepracowała w Wydziale Zabójstw i Spraw Obyczajowych i widziała więcej, niż jako studentka Wyższej Szkoły Policyjnej potrafiła sobie kiedyś wyobrazić, aż się cofnęła, widząc następne zdjęcie. Coś, co musiało być twarzą, znajdowało się w kapturze z ciemnego materiału. Wszystkie rysy były zatarte, skóra przebarwiona i silnie napuchnięta. Jeden oczodół był duży i pusty, drugi ledwie widoczny. Górna warga w połowie zniknęła, nierówna krawędź odsłaniała cztery białe zęby i jeden srebrny; przynajmniej tak przypuszczała, bo w nielogiczny sposób kontrastował czernią z kredowobiałą resztą szczęki.

Prędko odwróciła fotografię.

Przedostatnią kartką w cienkiej teczce była notatka służbowa sporządzona przez funkcjonariusza z policyjnej Jednostki ds. Cudzoziemców. Nigdy nie słyszała jego nazwiska. Raport miał datę dwudziesty trzeci grudnia 2008 r.

Dwa dni temu.

Niżej podpisany przybył dziś rano do Komendy Policji w celu przewiezienia dwóch zatrzymanych cudzoziemców, przebywających w kraju nielegalnie, do zamkniętego ośrodka dla cudzoziemców w Trandum. W areszcie przypadkiem usłyszałem rozmowę dwóch kolegów o zmarłym o nieustalonej tożsamości znalezionym w basenie portowym w Oslo w niedzielę nad ranem 20 bm. Jeden z nich wspomniał, że zwłoki, które uległy częściowemu rozkładowi, miały w górnej szczęce srebrny ząb. Zareagowałem niezwłocznie, ponieważ od sześciu tygodni usiłuję odnaleźć ubiegającego się o azyl nieletniego Kurda o nazwisku Hawre Ghani w związku z jego wnioskiem o zezwolenie na pobyt w Norwegii. Podczas bitwy gangów w Oslo City we wrześniu (zarejestrowanej jako odrębna sprawa o numerze (8xxxxx37xxx/08) Hawremu Ghani wybito prawą jedynekę w górnej szczęce. W wyniku tego incydentu został zatrzymany, a ja osobiście uczestniczyłem w doprowadzeniu go do stomatologa jeszcze tego samego dnia. Zatrzymany zażyczył sobie, by zamiast białej korony wstawiono mu srebrny ząb,

i z tego, co wiem, zostało to w późniejszym czasie załatwione we współpracy z Ośrodkiem Ochrony Praw Dziecka, ośrodkiem dla azylantów i ze stomatologiem.

Ponieważ do tej pory brak jest zarejestrowanych zgłoszeń o zaginięciach, w których rysopis odpowiadałby zwłokom znalezionym w basenie portowym w Oslo, proszę osobę prowadzącą sprawę o skontaktowanie się z lekarzem dentystą Dagiem Brå, Tåsensenteret, tel. 2229xxxx, w celu porównania uzębienia denata ze zdjęciami lub innymi materiałami znajdującymi się w archiwum stomatologa.

Silje Sørensen przeszła do ostatniej kartki w teczce.

Była to kopia odręcznie sporządzonej notatki przeznaczonej dla Haralda Bulla:

Cześć, Harald!

Z powodu świąt dokonałem szybkiego i bardzo mało profesjonalnego sprawdzenia informacji uzyskanej z Jednostki ds. Cudzoziemców dzisiaj, to znaczy w Wigilię. Doktor Brå zgodził się spotkać ze mną u siebie w gabinecie przed południem. Okazałem mu kilka zdjęć uzębienia zmarłego, które sam zrobiłem (wyciąłem z kilku zdjęć zrobionych na Aker brygge w niedzielę rano, marnej jakości, ale uznałem, że warto spróbować). Doktor porównał je ze swoimi notatkami i zdjęciami rentgenowskimi i wstępnie stwierdził, że zmarły to najprawdopodobniej wspomniany małoletni Kurd ubiegający się o azyl. Kopie wszystkich dokumentów w sprawie zostały przesłane do Instytutu Medycyny Sądowej. Przypuszczam, że formalne potwierdzenie/zaprzeczenie będzie gotowe tuż po Nowym Roku, a może nawet wcześniej, jeśli dobre moce przyjdą nam z odsieczą. Przygotuję notatkę służbową zaraz po powrocie do pracy, a teraz już chcę mieć FERIE!

Wesołych Świąt! Bengt

PS Rozmawiałem wczoraj z Instytutem Medycyny Sądowej. Różne rzeczy mogą wskazywać na to, że zmarły został zabity przy użyciu przedmiotu przypominającego garotę. Kobieta, z którą rozmawiałem, powiedziała, że to cud, że głowa w ogóle się trzyma ciała. Może należałoby rozważyć przekazanie sprawy do Wydziału Zabójstw już teraz. B.

Silje Sørensen zamknęła teczkę i wyprostowała się na krześle. Pociła się. Dobry humor, z którym przysłała, zniknął jak zdmuchnięty. Żałowała, że w ogóle zajrzała do teczki. Miała teraz wielką chęć znów ją otworzyć tylko po to, by przyjrzeć się temu młodemu człowiekowi, temu niemającemu rodziców, korzeni i domu kurdyjskiemu chłopcu ze srebrnym zębem i gładkimi policzkami. Nieważne, ile razy natykała się na te dzieci, a

bogowie jedni wiedzieli, że zdarzało się to zbyt często, nadal nie potrafiła zachować odpowiedniego dystansu. Czasami wieczorem, gdy zaglądała do swoich dwóch synków, którzy uważali, że już wyrosli z buziaków na dobranoc, a mimo to nie mogli zasnąć, dopóki nie otuliła ich kołdrą, potrafiło ogarnąć ją coś przypominającego poczucie winy.

A może nawet wstyd.

Nagle ciszę rozdarł klakson samochodu, a serce Silje podskoczyło w piersi. Otworzyła okno i wyjrzała na rondo przed wejściem do budynku i Pogotowia Kryminalnego.

– Mamo! Mamo! Wracaaaj!

To młodszy przewiesił się przez okno i wrzeszczał. Silje Sørensen poczuła nagle irytację. Szybkim ruchem położyła teczkę Hawrego Ghani na sam wierzch koszyka z dokumentami przychodzącymi, ale wcześniej zerwała z niej żółtą karteczkę z numerem telefonu Haralda Bulla i schowała ją do kieszeni.

Kiedy zamykała na klucz drzwi do pokoju, a potem biegła do foyer w nadziei, że zdąży dopaść do samochodu, zanim syn znowu zacznie się drzeć, całkiem zapomniała, po co przyszła do pracy we wczesne popołudnie pierwszego dnia świąt, chociaż jechała na obiad do teściów.

Narty.

Wciąż stały za drzwiami do pokoju. Kiedy jednak Silje uświadomiła sobie, że o nich zapomniała, było już za późno.

* * *

– Jeszcze nie jest za późno – stwierdził redaktor wydania. Czołówka miała iść już za dwie minuty, ale to nie była główna wiadomość, zdołają więc pod sam koniec podać krótką informację ze studia na tle zdjęcia pani biskup. Błyskawicznie wystukał wiadomość dla producenta.

– Natychmiast napisz tekst dla Christiana – nakazał stażystce. – Króciutki. I dwa razy sprawdź z agencją NTB, czy to się zgadza. Pomyłkowe informacje o zgonach nie są nam wcale potrzebne, nawet w tak ubogi w wydarzenia dzień.

– A co się dzieje? – zainteresował się Mark Holden, jeden z zawodników wagi ciężkiej w telewizji NRK z dziedziny polityki wewnętrznej. – Kto umarł?

Wziął od stażystki kartkę, przeczytał ją w półtorej sekundy i z powrotem włożył do ręki młodej kobiety. Ledwie się zorientowała, że w ogóle ją brał.

– Przykra sprawa – powiedział bez cienia empatii w głosie. – Nie była chyba jeszcze taka stara. Ile mogła mieć lat? Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt dwa? Coś takiego. Na co umarła?

– O tym nic nie napisali – odparł redaktor obojętnie. – W ogóle nie słyszałem, żeby chorowała. A teraz muszę się skupić na wydaniu. Gdybyś mógł... – Ruchem ręki oddalił znacznie starszego dziennikarza. Spojrzenie miał wbite w jeden z wielu monitorów znajdujących się w ogromnym pomieszczeniu. Poszła czołówka. Po niej wszystkie zapowiedzi, tak jak powinny. Z okazji świąt prowadzący ubrani byli bardziej elegancko niż zwykle.

Redaktor wydania usiadł wygodnie i położył nogi na stole.

– Wciąż tu stoisz? – spytał młodą kobietę. – Wiadomość o tej śmierci trzeba przekazać dzisiaj, a nie w przyszłym tygodniu.

Dopiero teraz zauważył, że dziewczyna ma oczy pełne łez. Ręka jej drżała. Odetchnęła głęboko i zmusiła się do uśmiechu.

– Oczywiście – szepnęła. – Zaraz to zrobię.

– Znałaś ją?

W głosie Marka Holdena wciąż nie było ciepła, a jedynie głęboko zakotwiczona ciekawość, wręcz odruchowa konieczność zadawania pytań każdemu o wszystko.

– Tak. Ona i jej mąż przyjaźnią się z moimi rodzicami. No, ale też ona... – Głos jej się załamał.

– Jest... to znaczy była bardzo popularna – stwierdził redaktor wydania, zawieszając głos. Wsunął ołówek do ust, a nogi spuścił z powrotem na podłogę. – Daj! – Wyciągnął rękę po kartkę. – Ja napiszę tę wiadomość, a ty się zajmiesz przygotowaniem sprawy na podstawie zdjęć z archiwum do wydania o dziewiątej. Tak mniej więcej na jedną minutę, dobrze?

Dziewczyna kiwnęła głową.

– *Biskup diecezji Bjørgvin, Eva Karin Lysgaard, zmarła nagle wczoraj, w Wigilię, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat* – wypowiadał słowa na głos, a jego palce biegały po klawiaturze. – *Biskup Lysgaard pochodziła z Bergen. Początkowo była kapelanem młodzieży studenckiej, później kapelanem więziennym. Przez dłuższy czas sprawowała posługę kapłańską w parafii Tjensvoll w Stavanger. W roku 2001 została mianowana biskupem i odznaczyła się jako...* – Zawahał się, kilka razy cmoknął i nagle zaczął pisać dalej. – *...jako osoba budująca mosty w Kościele, szczególnie między dwoma frontami w zapalnej kwestii homoseksualizmu. Eva Kann Lysgaard była popularną postacią w rodzinnym mieście, co dało się szczególnie wyraźnie zauważyć, gdy w 2007 roku odprawiała nabożeństwo na stadionie klubu sportowego Brann po zdobyciu przez drużynę pierwszego od czterdziestu czterech lat mistrzostwa ligi. Biskup Lysgaard pozostawiła męża, syna i troje wnucząt.*

– Koniecznie trzeba wspominać o piłce nożnej? – spytał Mark Holden. – Trochę

niepoważne w takim kontekście.

– Ależ skąd! – zaśmiał się redaktor i jednym ruchem palca wysłał wiadomość do producenta. – Zabrzmi nieźle. Ale wiesz co, Mark...

Mark Holden grzebał w ogromnej misie mieszanki czekoladowej Twist.

– Mmm?

– Na co się umiera w tym wieku?

– Przestań. Na cokolwiek. Nie mam pojęcia. Dziwne, że ani słowa o tym nie piszą. Nie ma nic o „długiej i ciężkiej chorobie” ani czymś takim. Przypuszczam, że udar. Albo zawał. Coś w tym rodzaju.

– Przecież miała dopiero sześćdziesiąt dwa lata...

– I co z tego? Ludzie umierają jeszcze młodziej. Sam błogosławię każdy nowy dzień, jaki jest mi dany na ziemi. W każdym razie, jeśli od czasu do czasu trafi mi się jakaś dobra czekoladka.

Mark Holden nie znalazł cukierka, którego szukał. Obok miski leżały trzy lukrecjowe i dwa z kokosem.

– Najlepsze zjadłeś – mruknął z kwaśną miną.

Redaktor nie odpowiedział. Coś go zdumiało i tak mocno zacisnął zęby na ołówku, że ten aż się złamał. Spojrzenie miał wbite w stojący przed nim monitor, ale widać było, że wcale tam nie patrzy.

– Posłuchaj! – zawołał nagle do stażystki. – Beate! Chodź no tutaj!

Zawahała się przez chwilę, zanim wstała od swojego biurka.

– Jak już skończysz ten kawałek do wydania o dziewiątej – redaktor wskazał na nią zniszczonym ołówkiem – to trochę podzwoisz, dobrze? Dowiesz się, na co ta kobieta umarła. Przeczuję... – Nozdrza drgały mu jak u królika. – Przeczuję niezłą sensację. Być może.

– Mam dzwonić potem? Tak późno, w pierwszy dzień świąt?

Redaktor głośno westchnął.

– Chcesz zostać dziennikarką czy nie? Bierz się do roboty!

Beate Krohn nawet się nie skrzywiła.

– Mówiłaś przecież, że twoi rodzice ją znali – nie odpuszczał redaktor. – No to zadzwoń do nich. Dzwoń do każdego, do kogo tylko, do cholery, chcesz, ale dowiedz się, na co umarła biskup, okej?

– Okej – mruknęła młoda kobieta i już zaczęła mieć opory.

* * *

Inger Johanne właściwie nigdy nie miała przed tym oporów. Po prostu tak trudno było zacząć. Odkąd wiosną 2000 roku zrobiła doktorat z kryminologii, ukończyła dwa kolejne projekty. Po obronie pracy zatytułowanej *Przemoc zseksualizowana. Studium porównawcze warunków dorastania i wczesnych doświadczeń u przestępców na tle seksualnym i działających z chęci zysku*, dostała stypendium podoktoranckie, które umożliwiło jej napisanie niemal równie obszernej pracy na temat morderstw sądowych w Norwegii. W końcu realizacji tego projektu urodziła się Ragnhild. Wspólnie z Yngvarem uzgodnili, że Inger Johanne spędzi dwa lata z córką, ale zanim urlop wychowawczy dobiegł końca, zaczęła kolejny projekt dotyczący nieletnich prostytutek, ich pochodzenia, warunków życia i możliwości resocjalizacji.

Latem tego roku otrzymała zlecenie z Komendy Głównej Policji.

Skontaktowała się z nią osobiście Ingelin Killengreen. Komendant główna najwidoczniej otrzymała wyraźny polityczny sygnał o konieczności zajęcia się przestępczością na tle nienawiści.

Problem polegał na tym, że tego rodzaju przestępczości prawie nie było.

To znaczy, oczywiście, była.

Ale nie została ujęta w liczby, w statystyki. Komenda Główna we współpracy z Komendą Okręgową Policji w Oslo już sporządziła rejestr wszystkich zawiadomień o przestępstwach popełnionych w roku 2007, których motyw miał mieć związek z rasą, przynależnością etniczną, religią czy orientacją seksualną. Ostateczny raport był już prawie gotowy, a Inger Johanne widziała większość materiałów.

Liczby były zaskakująco niskie.

W całej Norwegii w roku 2007 zarejestrowano trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć przypadków przestępstw mających za podłoże nienawiść. Z tego ponad trzydzieści pięć procent zostało w policyjnym rejestrze spraw karnych STRASAK całkiem zwyczajnie opatrzone błędnym kodem. Innymi słowy, pozostało zaledwie nieco ponad dwieście pięćdziesiąt, w których można było mówić o przestępstwach popełnianych z nienawiści.

W ciągu całego roku. W społeczeństwie liczącym blisko pięć milionów obywateli.

W porównaniu z łączną liczbą wszystkich zgłoszeń, dwieście pięćdziesiąt sześć spraw wydawało się po prostu kwestią nieinteresującą.

Ale wcale tak nie było, przynajmniej zdaniem polityków. Uważali, że każdy akt przemocy motywowanej nienawiścią to zdecydowanie o ten jeden za dużo, poza tym

rzeczywiste dane dotyczące tego rodzaju przestępczości w oczywisty sposób musiały być znacznie wyższe, a czerwono-zielony rząd chciał iść do wyborów jesienią 2009 roku z asem w rękawie, by pozyskać najprzeróżniejsze mniejszości, które podnosiły krzyk za każdym razem, gdy w mieście pobito geja albo gdy wandale pomazali synagogę na St. Hanshaugen. Dlatego Inger Johanne polecono przyjrzeć się bliżej temu zjawisku.

Zadanie było tak niejasno sformułowane, że całą jesień poświęciła na zdefiniowanie i ograniczenie pracy, jaka ją czekała. Oprócz tego zaczęła zbierać stosunkowo obszerne dane z innych krajów. Przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych, chociaż i inne kraje europejskie od dawna starały się usystematyzować i częściowo opracować dane dotyczące tej szczególnej formy przestępstw. Ilość materiałów rosła, a Inger Johanne wciąż jeszcze nie bardzo wiedziała, co z tym zrobi i do czego zmierza.

Potem przyszedł kryzys finansowy.

A z kryzysem miliardy ze środków publicznych.

Niektóre gałęzie norweskich badań naukowych zostały zasypane pieniędzmi. Ponieważ znacząco dofinansowano wiele działań policji, byle tylko trybiki dalej się obracały, nie dopuszczając do zapaści finansowej, Inger Johanne miała nagle do dyspozycji cztery razy większy budżet, niż zaledwie kilka tygodni wcześniej. Dzięki temu otworzyły się przed nią nowe możliwości, między innymi mogła zatrudnić młodszych naukowców i asystentów naukowych. Jednocześnie nowe środki stwarzały nowe problemy. Miała już prawie przygotowane finansowe ramy dla tego projektu, kiedy cały pasjans musiała zacząć układać od nowa.

To było trudne. I zawsze na początku trudno jej było się wciągnąć.

Ale zarazem sprawiało jej to przyjemność.

Zapadł już wieczór. Kristiane u rodziców Isaka zachowywała się wyjątkowo grzecznie, a Ragnhild wpadła w dobry humor, gdy tylko dzieci dostały po wielkiej torbie słodyczy. Ponieważ Kristiane miała zostać u dziadków, żeby spędzić trzy międzyświąteczne dni z ojcem, Ragnhild też się uparła, że zostanie. Isak jak zwykle szeroko się uśmiechnął i chętnie się zgodził. Przypuszczalnie już dawno pojął to samo co Yngvar i Inger Johanne: Kristiane lepiej spała, była spokojniejsza i weselsza, kiedy miała Ragnhild w pobliżu.

W domu panowała cisza. Sąsiedzi na dole najpewniej wyjechali. Kiedy Inger Johanne około ósmej wróciła do domu, cały parter był ciemny. Sama chodziła z pokoju do pokoju, wszędzie zapalając światło. Pootwierała też wszystkie drzwi. Pies, jeśli nie zamknęło się go wieczorem u Kristiane, miał zwyczaj krążyć po całym mieszkaniu. Odgłos drepczących łap i przyjazny stuk, kiedy Jack układał się na podłodze, sprawiały zawsze, że Inger Johanne czuła

się mniej samotna przy tych rzadkich okazjach, kiedy rzeczywiście zostawała w domu sama. W końcu poszła do salonu, usiadła wygodnie na kanapie z laptopem na kolanach i popijając wino, zaczęła surfować w sieci, nie koncentrując się na niczym konkretnym. Właśnie postanowiła wejść na stronę z łamigłówkami i zagrać w coś w rodzaju scrabble, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć, to ja.

Już dawno tak się nie ucieszyła, słysząc jego głos.

– Cześć, kochanie. Co tam u ciebie słyszać?

Yngvar się roześmiał.

– Głównie, zdaje się, przeszkadzam policji bergeńskiej, a poza tym wygłupiłem się, odwiedzając wdowca w domu zaledwie kilka godzin po tym, jak dowiedział się o śmierci żony. Zdażyłem się narazić synowi ofiary, no i tyle zjadłem na obiad, że teraz źle się czuję.

Inger Johanne też się roześmiała.

– Rzeczywiście nie wygląda to najlepiej. Gdzie mieszkasz?

– W hotelu SAS na Bryggen. Pokój w porządku. Przenieśli mnie zresztą do apartamentu, kiedy zrozumieli, skąd jestem. W święta nie narzekają na nadmiar gości.

– Wiedzieli, dlaczego przyjechałeś?

– Nie. To prawdziwy cud, bo od znalezienia ciała biskup Lysgaard minęły dokładnie dwadzieścia cztery godziny, a wciąż jeszcze żaden cholerny dziennikarz tego nie zważał. Chyba całe to świąteczne obżarstwo ich otumanilo.

– Albo wódeczka. A może po prostu policjanci z Bergen potrafią lepiej trzymać języki za zębami niż ich koledzy z Oslo. Przed chwilą zresztą oglądałam wiadomości. Króciutko poinformowali o samym zgonie. Ale nie powiedzieli nic oprócz tego, że biskup nie żyje.

Na drugim końcu linii rozległy się odgłosy świadczące o tym, że Yngvar próbuje zdjąć krawat. Inger Johanne nagle to wzruszyło; na tyle dobrze znała męża, że nawet przez telefon mogła dosłyszeć takie odgłosy.

– Zaczekaj chwilę – poprosił. – Tylko zrzuć buty i ściągnę tę przeklętą pętlę z szyi. Już. A wy jak się macie? Bardzo się rano namęczyłaś przy sprzątaniu? Z dziećmiakami płaczącymi się pod nogami i w ogóle. Na pewno jesteś okropnie zmęczona. Przepraszam, że...

– Wszystko poszło dobrze. Przecież wiesz, że jestem w stanie wytrzymać jedną noc bez snu. Dziewczynki parę godzin bawiły się w ogrodzie. A najgorsze było to, że...

Na całe popołudnie i wieczór zdołała wyrzucić z głowy myśl o tamtym obcym mężczyźnie. Teraz płomyk lęku na nowo się zapalił, dlatego urwała.

– Halo, Inger Johanne?

– Jestem, jestem.

– Coś się dzieje, kochanie?

Yngvar wszystko by zbagatelizował. Westchnąłby z rezygnacją i zaczął ją pouczać, że nie może stale tak strasznie bać się o dzieci. Yngvar w ogóle nie okazałby zrozumienia dla tego, że Inger Johanne uczepiła się faktu, że jakiś obcy mężczyzna wiedział, jak ma na imię jej starsza córka. Poza tym tamten człowiek był tak szczelnie opatulony w płaszcz, czapkę i szalik, że mógł to po prostu być któryś z sąsiadów. A gdyby powiedziała o tym mężowi, znów pewnie wdarłby się między nich ten paskudny chłód, który nie pozwoliłby jej później zasnąć samej w domu, gdzie jedynymi dźwiękami było ziajanie i nieustanne puszczenie bąków przez Jacka.

– Nic – powiedziała, starając się ocieplić głos uśmiechem. – Chyba to, że cię nie ma. Jestem sama z Jackiem. Ragnhild chciała zostać u rodziców Isaka.

– To fantastycznie. Isak ma wielkie serce. Zawsze jest gotów...

– Tak jakbyś ty nie był tak samo dobry dla jego córki. Jakbyś...

– Uspokój się, kochanie. Nie o to mi chodziło. Cieszę się, że wszystkie miło spędziłyście dzień i że będziesz miała wieczór tylko dla siebie. Naprawdę nieczęsto trafia ci się taka okazja.

Inger Johanne przestawiła komputer na stół i mocniej owinęła się kocem.

– Masz rację. – Teraz jej uśmiech był już naprawdę szczery. – Prawdę mówiąc, przyjemnie pobyć trochę w samotności. Oczywiście nie licząc Jacka. Coś zresztą musi być nie tak z jego karmą. Okropnie smrodzi.

Yngvar się roześmiał.

– A ty co robisz?

– Trochę pracuję. Trochę surfuję po internecie. Popijam wino. Tęsknię za tobą.

– Wszystko to brzmi bardzo ciekawie. Oprócz pracy. Przecież jest pierwszy dzień świąt. Ja zamierzam teraz trochę odpocząć, no i strasznie chce mi się spać. Mam nadzieję, że jutro uda mi się przesłuchać syna pani biskup. Bogowie jedni wiedzą, jak mi to pójdzie, bo on już mnie nie znosi.

– Na pewno tak nie jest. Ciebie wszyscy lubią, Yngvarze. A ponieważ jesteś najlepszym, ale to najlepszym policjantem na świecie, na pewno pójdzie ci znakomicie.

Yngvar znów zaczął się śmiać.

– Opowiem ci coś, tylko nie powtarzaj tego dzieciom! Przed świętami staliśmy w kolejce do kasy w markecie, a Ragnhild nagle podniosła się w wózku na zakupy i ogłosiła wszem wobec, że jej tatuś jest naj, naj, naj... To „naj” powtórzyła co najmniej z dziesięć

razy...najlepszym policjantem. Ludzie zaczęli się śmiać.

– Ale ona ma rację – przyświadczyła Inger Johanne. – Jesteś najlepszy na świecie pod wieloma względami.

– Nie wygłupiaj się. Dobranoc.

– Dobranoc, kochany.

Głos Yngvara zamilkł. Inger Johanne jeszcze przez chwilę wpatrywała się w telefon, jakby liczyła, że mąż wciąż w nim jest i mimo wszystko będzie mógł ją pocieszyć, powie, że ten obcy przy płocie wcale nie był groźny. W końcu powoli wstała, odłożyła telefon i podeszła do okna. Rożek księżycy wisiał przekrzywiony nad domem sąsiadów. Ciągłe trzymał mróz, ale bez śniegu. Chłód wgrzył się w Oslo, niebo dzień po dniu było bezchmurne i przez cały tydzień odbywały się spektakularne zachody słońca. Nieliczne płatki śniegu, które spadły z nieba przed południem, pokryły trawnik zaledwie cieniusieńkim welonem. Na niebie znów nie było żadnej chmury, ale zapadła ciemność i Inger Johanne poczuła, że w końcu może iść spać.

* * *

Kobieta wyglądała przez okno, nie wiedząc, czy kiedykolwiek jeszcze zdoła zasnąć. A może już spała. Wszystko było nierzeczywiste i obce, jak we śnie. Urodziła się w tym domu, w tym pokoju, zawsze tu mieszkała i zawsze wyglądała przez to okno z krzyżem ze szprosów, dzielącym widok na cztery strony świata, jak ojciec sobie z niej zartował, gdy była mała i wierzyła w każde jego słowo. Teraz wszystko się zniekształciło i zdeformowało. Do deszczu uderzającego w szyby była przyzwyczajona. Deszcz padał często. W Bergen prawie zawsze padało, a ona płakała, nie mając pojęcia, co widzi. Życie zostało pocięte na kawałki. Widok z okna tego domku przestał należeć do niej.

Odczekała jedną dobę, dłużącą się noc i jeszcze dłuższy dzień, w niepewności, z którą nie dało się nic zrobić. Tak jak jej życie posuwało się torem wyznaczonym przez okoliczności, na które nie miała wpływu, tak z tymi niekończącymi się godzinami oczekiwania po prostu musiała się pogodzić. Nie było innej drogi, odkąd kobieta w telewizji powiedziała jej to, co właściwie zrozumiała już wtedy, gdy gwałtownie przebudziła się w fotelu przed ekranem, dokładnie dwadzieścia cztery godziny wcześniej, zdjeta lękiem, od którego sznurowało się gardło, a ręce trzęsły.

Bo ona czekała już wcześniej.

Czekała całe życie i już się do tego przyzwyczaiła.

Tym razem wszystko było inaczej. Poczula coś, co nie mogło być prawdą, co nie

powinno być prawdą, ale wiedziała, że nią jest, bo tak długo już żyła w ten sposób. Zupełnie, ale to zupełnie sama.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Tak nieoczekiwany o późnej porze, że kobiecie wyrwał się z ust cichy krzyk.

Otworzyła i od razu go poznała. Cała wieczność minęła, odkąd ostatnio się spotkali, ale oczy miał takie same. Płakał, tak jak ona, i prosił, żeby go wpuściła. Nie chciała. Nie jego chciała widzieć. Nie chciała widzieć nikogo.

Kiedy wreszcie wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi, pomodliła się w duchu do Boga, żeby pozwolił jej się obudzić.

Tak cię proszę, dobry Boże, tak bardzo cię proszę.

Pozwól mi się zbudzić z tego snu.

* * *

– O tej porze chyba wszyscy śpią!

Beate Krohn z rezygnacją wpatrywała się w redaktora dyżurnego. Zbliżała się północ, zostali już w redakcji sami, otoczeni niemymi, migoczącymi monitorami, szumem komputerów i wentylacji. Ktoś porozwieszał świąteczne ozdoby – tu czerwony błyszczący łańcuch, tam krótki sznurek z norwesкими flagami. W kącie stała rachityczna choinka z przekrzywioną gwiazdą na czubku. Większość czekoladek i ciasteczek wystawionych na pociechę dla tych, którzy musieli pracować w święta, już zjedzono. Wszędzie walały się papierki i stare gazety.

– A twoi rodzice?

Nie ustępował. Zapalił papierosa, w tak oczywisty sposób łamiąc wszelkie zasady, że wprawdzie przyznawała to z niechęcią, ale jej zaimponował.

– Oni też śpią – odparta. – Poza tym śmiertelnie bym ich wystraszyła, telefonując o tej porze. Mamy w rodzinie pewne zasady. Nie wolno dzwonić przed pół do ósmej rano i po dziesiątej wieczorem. Chyba że ktoś umrze.

– Przecież umarł!

– Nie o to mi chodziło...

Przerwał jej, zaciągając się głęboko i jednocześnie ze zniecierpliwieniem machając ręką.

– Zaraz zobaczysz, jak to się robi. – Zaśmiał się z papierosem w zębach. – Patrz i ucz się!

Postukał w telefon komórkowy i przyłożył go do ucha.

– Halo, Jonas? Mówi Sølve!

Trzy sekundy ciszy.

– Sølve Borre, do cholery, z NRK, no przecież! Gdzie jesteś?

Beate Krohn czytała kiedyś, że najpopularniejszą frazą otwierającą rozmowy prowadzone przez komórki jest ustalenie, gdzie znajduje się rozmówca. Od tej pory zakazała sobie zadawania tego pytania.

– Posłuchaj, Jonas. Biskup Lysgaard zmarła wczoraj wieczorem, na pewno już wiesz. To chyba...

Rozmówca najwyraźniej mu przerwał, a Sølve Borre skorzystał z okazji, żeby jeszcze raz zaciągnąć się dymem.

– Pewnie, pewnie. Ale chciałem tylko sprawdzić, na co umarła. Tak z ciekawości. Mam przecucie, rozumiesz...

Pauza.

– Nie możesz po prostu zadzwonić do kogoś z nich? Na pewno któryś jest ci winien jakąś przysługę. Nie mógłbyś...

Znów mu przerwano. Otaczała go gęsta chmura dymu, a Beate Krohn nagle przestraszyła się, że zaraz włączy się alarm przeciwpożarowy. Zrobiła krok do tyłu, żeby ubranie nie przeszło jej zapachem papierosa.

– Świetnie, Jonas, świetnie. No to zadzwoń do mnie. Nie patrz, która godzina.

Rozłączył się.

– Właśnie tak – powiedział i przebiegł palcami po klawiaturze komputera. – Podejź do mnie, to czegoś cię nauczę. Popatrz na tę wiadomość.

Beate z wahaniem nachyliła się nad jego ramieniem i przebiegła wzrokiem wiadomość agencji NTB o śmierci biskup Lysgaard. Nic się w niej nie zmieniło, odkąd ostatnio ją czytała.

– Widzisz coś dziwnego? – spytał redaktor.

– Nie. – Dyskretnie kaszlnęła i odwróciła głowę.

– Nie mam pojęcia, ile podobnych informacji w życiu czytałem – ciągnął niewzruszony. – Ale musiało ich być całe mnóstwo. Na ogół są identyczne. Trochę napuszone w formie, ale poza tym nic niemówiące. Prawie zawsze jednak jest w nich coś jeszcze oprócz tego, że dana osoba nie żyje. „NN zmarł nieoczekiwanie we własnym domu”, „XX odszedł po krótkiej chorobie”, „NN zginął wczoraj w wypadku samochodowym w Drammen”, mniej więcej coś takiego.

Narysował palcami w powietrzu tyle cudzysłówów, że popiół posypał się na

klawiaturę, już i tak wytartą, z prawie niewidocznymi literami.

– Natomiast tutaj – pokazał – tu jest tylko „Biskup Eva Karin Lysgaard zmarła wczoraj wieczorem. Miała sześćdziesiąt dwa lata...” i tak dalej, i tak dalej.

– To chyba w ogóle nie musi nic oznaczać – stwierdziła Beate.

– No nie. – Redaktor ciągle szeroko się uśmiechał. – Ale trzeba to sprawdzić. Jak ci się wydaje, dlaczego taki facet jak ja mógł zostać dziennikarzem w NRK, nie mając jeszcze dwudziestu dwóch lat i żadnego wykształcenia? – Znaczącym gestem wskazał na swój nos. – Bo ja mam to coś, rozumiesz?

Zadzwonił telefon. Beate Krohn spojrzała zdziwiona, jakby szef Sølve Borre właśnie pokazał jej czarodziejską sztuczkę.

– Halo, Sølve przy telefonie – szczechnął, wrzucając peta do butelki po wodzie mineralnej. – Ach, tak. No właśnie.

Przez kilka sekund słuchał w milczeniu. Gdzieś zniknął idiotyczny wyraz jego twarzy. Oczy się zwęziły. Sięgnął po długopis i na marginesie gazety zrobił kilka nieczytelnych notatek.

– Dzięki – powiedział na koniec. – Bardzo ci dziękuję, Jonas. *Owe you big time** [*Jestem ci dożywotnie wdzięczny.], okej?

Przez chwilę siedział, gapiąc się na telefon. A kiedy wreszcie podniósł głowę, wydawał się odmieniony.

– Biskup Lysgaard została zabita – oznajmił powoli. – Została, do jasnej cholery, zamordowana w samą Wigilię!

– Skąd... – zaczęła Beate Krohn, osuwając się na krzesło. – Skąd możesz wiedzieć? Z kim rozmawiałeś?

Redaktor odchylił się i popatrzył jej w oczy.

– Mam nadzieję, że dziś wieczorem czegoś się nauczyłaś – powiedział cicho. – A najważniejsza rzecz, jaką powinnaś sobie zapamiętać, brzmi następująco: jako dziennikarka będziesz nikim, jeśli nie będziesz mieć dobrych źródeł. Pracuj ciężko i długo, żeby je zdobyć. I nigdy z nimi nie zrywaj. Nigdy.

Beate Krohn walczyła z rumieńcem. Na próżno.

– A teraz... – Redaktor uśmiechnął się rozbrajająco i zapalił kolejnego papierosa. – Teraz zaczniemy dzwonić na poważnie. Teraz naprawdę pobudzimy ludzi!

Małe klucze, duże pokoje

– Oj! – Yngvar Stubø gwałtownie zatrzymał się w drzwiach. – Obudziłem pana?

Lukas Lysgaard zamrugał powiekami i pokręcił głową.

– Nie, nie – mruknął. – A właściwie tak. W nocy prawie nie spałem i kiedy usiadłem tutaj, to...

Uniósł głowę i uśmiechnął się blado. Yngvar ledwie go poznał. Szerokie barki opadły, włosy zaczynały się przetłuszczać, a skóra wokół oczu zwisała w luźnych, ciemnych workach. W lewym oku pękło naczynko i białko całe było czerwone.

– Rozumiem. – Yngvar wysunął sobie krzesło po drugiej stronie biurka.

Lukas Lysgaard wzruszył ramionami. Yngvar nie bardzo wiedział, czy ma to oznaczać, że jego zrozumienie jest bez znaczenia, czy też miało to być coś w rodzaju przeprosin za to, że zasnął.

– Wilki już krążą – powiedział Yngvar, siadając. – To, że prasa się dowie, pozostawało jedynie kwestią czasu.

Lysgaard kiwnął głową.

– Już się na was rzucili? – spytał Yngvar, zerkając na zegarek, który wskazywał kilka minut po pół do dziewiątej.

Lukas w otępieniu kiwnął głową jeszcze raz.

– W każdym razie cieszę się, że pan przyszedł. Widzę, że mój kolega już się zajął formalnościami. Czy ktoś zaproponował panu coś do picia? Kawę? Wodę?

– Nie, dziękuję. Właściwie dlaczego pan tu jest?

– Ja?

– Tak.

– Co pan ma na myśli?

Lukas pochylił się do przodu i oparł łokcie o biurko.

– Pan pracuje w Kripos.

Yngvar potwierdził.

– Kripos nie jest już tym, czym była kiedyś.

– No tak...

Yngvar nie pojmował, do czego ten człowiek zmierza.

– Z tego, co wiem, Kripos to przede wszystkim krajowa jednostka do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Sądzicie, że to mafia uśmierciła moją matkę?

– Nie, nie, nie. – Yngvar przez moment sądził, że Lysgaard pyta poważnie. Dopiero trudny do zauważenia i pozbawiony radości uśmiech powiedział mu, że jest inaczej. – W tę sprawę zaangażowano wszystkie najlepsze siły – powiedział, nalewając sobie kawy z termosu. – A niektórzy zaliczają do nich i mnie. Jak się czuje pana ojciec?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– W każdym razie pomyślałem, że najpierw przekażę panu pewne informacje. – Yngvar przesunął po biurku niedużą teczkę.

Lukas Lysgaard się nie ruszył, jakby wcale nie miał zamiaru jej otwierać.

– Pańska matka zmarła w wyniku rany kłutej, zadanej narzędziem, które sięgnęło serca. A to oznacza, że umarła bardzo szybko – tłumaczył, jednocześnie szukając na twarzy Lysgaarda oznak mówiących, że powinien przestać. – Innych obrażeń nie odniosła, Wyjąwszy drobne otarcia, które najprawdopodobniej powstały przy samym upadku. Wygląda więc na to, że nie stawiała najmniejszego oporu, i to w żadnej formie.

– Ona... – Lukas przyłożył do ust zwiniętą dłoń i odchrząknął. – Ona miała sześćdziesiąt dwa lata. Trudno się spodziewać, by była w stanie się bronić przed zabójcą. – Znów zakasłał, zanim szybko dodał: – Albo zabójczynią. Bo zakładam, że i one istnieją.

– Zdecydowanie.

Yngvar kiwnął głową i gładząc się po policzku, rozważał, czy powinien zabrać z powrotem nietkniętą teczkę. Milczeli trochę za długo, sytuacja stała się kłopotliwa. Yngvar zauważył, że mało przyjazne nastawienie Lukasa Lysgaarda w ciągu doby prawie się nie zmieniło. Z rękami założonymi na piersi po prostu wpatrywał się w blat biurka.

– Moja żona jest kryminologiem – oświadczył Yngvar nagle. – I prawnikiem. W dodatku studiowała psychologię.

Teraz Lukas przynajmniej podniósł głowę. U nasady nosa zarysowała mu się zmarszczka zdziwienia.

– Jest ode mnie znacznie młodsza – dodał Yngvar.

Ani najbardziej małomówny świadek, ani najbardziej wrogo nastawiony aresztant nie potrafili zachować obojętności, kiedy Yngvar bez wstępów zaczął mówić o swojej rodzinie.

Wydawało się to tak nieprofesjonalne, że przesłuchiwany popadał w irytację, zdziwienie albo całkiem po prostu zaczynał się interesować.

– Ona czasami mówi... – Podniósł filiżankę do ust i z głośnym siorbnięciem wypił łyk.
– ...że wołałaby, aby jej najbliżsi umierali złożeni długą, bolesną chorobą, niż żeby mieli paść ofiarą przestępstwa. Nawet gdyby to ostatecznie oznaczało szybką śmierć.

Gdy to powiedział, jak zwykle poczuł wyrzuty sumienia, że wykorzystuje Inger Johanne, przypisując jej opinie, których wcale nie wypowiadała. Sumienie ucichło jednak, kiedy zobaczył reakcję Lukasa.

– Co ona... co pan przez to rozumie? To przecież straszne życzyć czegoś takiego komuś, kogo się kocha i...

– Prawda? Zgadzam się z panem. Ale jej chodzi o to, że rodzina ofiary przestępstwa staje się przedmiotem drobiazgowego śledztwa, które może się okazać ogromnym obciążeniem. Gdy ktoś umiera z innych przyczyn, to... – Yngvar wyciągnął przed siebie obie dłonie. – ...to wszystko się kończy. Rodzina tonie we współczuciu i nikt nie zadaje żadnych pytań. Moja żona uparcie twierdzi, że jest wręcz przeciwnie: zgon z przyczyn naturalnych ma skutek przypieczętowania wszystkich możliwych rodzinnych tajemnic. Natomiast gdy człowiek pada ofiarą przestępstwa... – Zakołysał głową i wsunął wymaginalny klucz do niewidzialnej dziurki. – ...wtedy wszystko trzeba wyciągnąć na światło dzienne. Właśnie o to jej chodzi. Ja się z nią do końca nie zgadzam, jak już mówiłem, ale trochę racji w tym jest, nie sądzi pan?

Lukas patrzył na niego zmrużonymi oczami, w żaden sposób nie okazując, co myśli na ten temat. Yngvar nie odrywał od niego oczu.

– Zakładam – odezwał się Lukas nagle, pochylając się nad biurkiem, które ich od siebie oddzielało – że próbuje mi pan wmówić, że w mojej rodzinie są tajemnice, które mogą wyjaśnić, dlaczego moją matkę zakłuto nożem na ulicy! – Pod koniec zdania jego głos stał się przenikliwy. – Że to niby ona jest winna! Że moja matka, najlepsza i najtroskliwsza... – Teraz głos całkiem mu się załamał i Lukas zaczął płakać.

Yngvar siedział nieruchomo z filiżanką w prawej ręce i długopisem w dwóch palcach lewej.

– Moja matka nie miała żadnych tajemnic – oświadczył Lukas z rozpaczą i wierzchem dłoni otarł oczy. – Nie moja matka. Nie ona.

Yngvar wciąż się nie odzywał.

– Moi rodzice kochali się nad życie – ciągnął Lukas. – Z pewnością były między nimi jakieś kłótnie, jak u wszystkich, ale pobrali się, kiedy mieli po dziewiętnaście lat. To będzie...

– Zaszlochał, licząc w myślach. – Ponad czterdzieści lat temu. Byli małżeństwem przez ponad czterdzieści lat, a pan się zjawia i twierdzi, że było między nimi mnóstwo tajemnic. To... to...

Yngvar szybko zapisał coś w notatniku, po czym odsunął go od siebie tak mocno, że notes upadł na podłogę. Podniósł go i położył tekstem do dołu.

– To bezczelność – dokończył Lukas płaskim głosem. – Insynuowanie, że matka miałaby...

– Naprawdę przepraszam, jeśli wydaję się panu bezczelny. Wcale tego nie chciałem. Ale to dość interesujące, że pan od razu zaczyna mówić o małżeństwie swoich rodziców, kiedy ja, ot, tak sobie wspominam o fakcie, że niektórzy ludzie mają pewne doświadczenia, którymi nie chcą się dzielić z innymi. Coś, co zrobili, coś czego nie zrobili, może coś, przez co zyskali wrogów. Coś, co skrzywdziło innych. To oczywiście wcale nie musi oznaczać, że...

Pozwolił, by zdanie zawisło w powietrzu, z nadzieją, że jest dostatecznie pozbawione treści.

– Moi rodzice nie mają żadnych wrogów. – Lukas najwyraźniej próbował wziąć się w garść. – Wprost przeciwnie, matkę uważano za mediatora, za rzeczniczkę zgody. I w posłudze kapłańskiej, i w życiu prywatnym. Nigdy nie wspominała, by ktoś miał nastawać na jej życie. To przecież... – Przelknął ślinę i kilka razy przeczesał palcami włosy. – A jeśli chodzi o ojca, to... – Zaczerpnął powietrza, jakby się dusił. – Ojciec zawsze stał w cieniu matki. – Głos mu się zmienił, gdy powoli wypuszczał powietrze. Nagle wydawał się zrezygnowany. Właściwie jakby mówił do siebie. – To się samo przez się rozumie. Matka z jej karierą i ojciec, który nigdy nie zaszedł dalej niż do magistra. Nie mógłby pewnie... – urwał.

– Jak się poznali?

– W liceum. Chodzili do tej samej klasy.

– *High school sweethearts** [*Licealna para.]. – Yngvar uśmiechnął się leciutko.

– Tak. Matka się nawróciła, kiedy miała szesnaście lat. Pochodziła z całkiem zwyczajnej robotniczej rodziny. Dziadek pracował w BMV.

– W Niemczech? – Yngvar zdziwiony zaczął przeglądać teczkę.

– Nie. BMV, nie BMW Bergen Mekaniske Verksted, w Bergeńskich Warsztatach Mechanicznych. Był członkiem partii komunistycznej, NKP i zaprzysięgłym ateistą. Matka jako pierwsza z całej tej rodziny poszła do liceum. Dziadkowi bardzo trudno było pogodzić się z tym, że jego córka studiuje teologię, ale jednocześnie... był z niej bardzo dumny. Niestety, nie dożył chwili, kiedy została biskupem. To by... – Wzruszył ramionami. – Ojciec natomiast pochodził z na wskroś akademickiego środowiska. Mój dziadek... to znaczy ojciec ojca, był profesorem historii, początkowo na uniwersytecie w Oslo. Do Bergen przenieśli się,

kiedy ojciec miał osiem czy dziesięć lat. Babcia była nauczycielem akademickim. W tamtych czasach to rzadkość, żeby kobieta... – Znow urwał. – No wie pan – zakończył.

Yngvar czekał.

– Ojciec chyba pod wieloma względami był traktowany jako... Nie wiem, jak to określić. Nieudacznik? – Zaszlochał, wypowiadając to słowo, a z oczu znow popłynęły mu łzy. – Którym wcale tak naprawdę nie jest. To fantastyczny ojciec. Mądry i odcytany. Bardzo troskliwy. Ale nigdy nie udało mu się... zrobić wszystkiego... być takim jak... wie pan, jego rodzice mieli wobec niego wielkie nadzieje, oczekiwania. – Załkał i otarł usta. – Ojciec ma o wiele większą skłonność do refleksji niż matka. W kwestiach religijnych jest... w pewnym sensie surowszy. Fascynuje go katolicyzm. Gdyby nie stanowisko i pozycja matki, prawdopodobnie już dawno zmieniłby wyznanie. Jesienią matka była na kongresie ekumenicznym w Bostonie, ojciec pojechał razem z nią. Odwiedził każdy katolicki kościół w całym mieście. – Lukas przez chwilę się zawahał. – Wobec Siebie też jest surowszy niż była matka. Chyba nigdy nie pogodził się z tym, że tak zawiódł swoich rodziców. Jest jednakiem, rozumie pan?

To ostatnie dodał z miną, która miała wszystko tłumaczyć.

– Z tego, co widzę, pan również. – Yngvar znow zerknął w papiery, odwrócił notatnik i szybko naskrobał kilka zdań.

– Owszem.

– I ma pan... dwadzieścia dziewięć lat?

Yngvar ze zdumieniem wpatrywał się w datę urodzenia widniejącą w dokumentach. Dzień wcześniej uznał, że syn pani biskup musi mieć dobrze ponad trzydziestkę.

– Tak.

– To znaczy, że kiedy pan się urodził, rodzice byli małżeństwem od czternastu lat?

– Długo studiowali. Przynajmniej matka.

– I nigdy nie mieli innych dzieci?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Wroga czujność Lukasa powróciła. Widząc to, Yngvar uśmiechnął się rozbrajająco i spytał prędko:

– Kiedy pan mówi, że tak bardzo się kochali, to na czym pan to opiera?

Lysgaard wyglądał teraz na szczerze zdumionego.

– Na czym... O co panu chodzi? – Nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Okazywali to setki razy każdego dnia. Sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Przeżycia, jakie ich łączyły. Wszystko. Boże, co za pytanie!

Jego spojrzenie niemal przerażało, zwłaszcza ze względu na to szeroko otwarte zaczerwienione prawe oko. Nagle zeszywniał i przestał oddychać.

– Coś się stało? – spytał Yngvar po kilku sekundach. – Panie Lysgaard, czy coś się stało?

Lukas Lysgaard wolno wypuścił powietrze z płuc.

– Migrena – wyjaśnił cicho. – Właśnie zaczynam mieć zaburzenia widzenia. – Głos miał monotony i bez przerwy mrugał. – Ukazują mi się takie błyski w jednej połowie... – Uniósł rękę i przyłożył ją do twarzy, jakby tworząc barierę między prawym a lewym okiem. – To oznacza, że dokładnie za dwadzieścia pięć minut będę miał ból głowy tak straszny, że nie da się tego opisać. Muszę wracać do domu.

Poderwał się, przewracając krzesło. Na moment stracił równowagę i musiał przytrzymać się ściany. Yngvar spojrzał na zegarek. Przeznaczył cały dzień na rozmowę, która ledwie się zaczęła. Wprawdzie dowiedział się już dość, by snuć jakieś domysły, ale złość, że musi przerwać, była wręcz niemożliwa do ukrycia. Nie miało to jednak znaczenia. Lukas Lysgaard sprawiał wrażenie straconego dla tego świata.

– Odwiozę pana do domu – powiedział więc cicho. – Czy coś jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Nie. Do domu. Już.

Yngvar zdjął płaszcz Lukasa z wieszaka na ścianie, a tamten nawet się nie ruszył, by go włożyć. Chwytał go tylko jedną ręką i zaczął ciągnąć za sobą, idąc do drzwi. Yngvar zrobił kilka szybszych kroków, by go wyprzedzić.

– Widzę, że źle się pan czuje – stwierdził z dłonią na klamce – więc oczywiście odłożymy tę rozmowę na jakąś lepszą porę. Ale jedno pytanie, niestety, muszę panu zadać. Słyszał je pan zresztą już wczoraj.

Lukas Lysgaard zachował obojętność. Sprawiał nawet wrażenie, że przestał zdawać sobie sprawę z obecności Yngvara w pokoju.

– Co pana matka robiła na ulicy o tak późnej porze w Wigilię? Dokąd szła piechotą?

Lukas Lysgaard uniósł głowę. Spojrzał Yngvarowi prosto w oczy, oblizał wargi i głośno przełknął ślinę. Najwyraźniej przygotowanie się na ból, który, jak wiedział, wkrótce nadejdzie, kosztowało go ogromnie wiele.

– Nie wiem – odparł. – Nie mam pojęcia, dlaczego matka wyszła z domu.

– Chodziła zwykle na spacerzy wieczorami? Tak przed snaniem? To znaczy, czy zazwyczaj...

Lukas wciąż patrzył mu w oczy.

– Muszę wracać do domu – powiedział ochryplym głosem. – Już. Nie mam pojęcia, dokąd matka szła ani co robiła. Niech pan mnie odwiezie do domu, bardzo proszę.

Kłamiesz, pomyślał Yngvar i otworzył drzwi. Widzę, że kłamiesz.

– Mówię prawdę – dodał Lukas Lysgaard i chwiejąc się, wyszedł na korytarz.

* * *

– Ty nie byłąbyś w stanie kłamać, nawet gdyby ci za to płacili – roześmiała się Line Skytter i podciągnęła nogi na kanapę.

– Przestań! – Inger Johanne ku swemu zdumieniu poczuła się trochę urażona. – Przecież jestem specjalistką od kłamstw!

– Owszem, od cudzych, ale nie od własnych. Gdybyś kupiła zeberka w Rimi, a matce powiedziała, że są od Strøm-Larsena, nos by ci się wydłużył jak stąd do jeziora Sognsvann. Dobrze dla ciebie, że się zdecydowałaś na dorsza.

– Ale nie dość dobrze dla mamy – mruknęła Inger Johanne w kieliszek.

– Gwiżdż na to – powiedziała Line. – Twoja matka jest naprawdę kochana. Świetnie radzi sobie z dziećmi i cały czas się uśmiecha. Może tylko trochę... nie panuje nad emocjami. Co w sercu, to na języku. Nie przejmuj się tym. Zdrowie!

Inger Johanne leciutko uniosła kieliszek i podwinęła nogi. Jej najlepsza i najstarsza przyjaciółka stanęła w drzwiach godzinę wcześniej z dwiema butelkami wina i trzema płytami DVD w torbie. Inger Johanne przez kilka minut czuła lekką złość, bo w głębi duszy cieszyła się na jeszcze jeden wieczór spędzony w samotności przy komputerze. Teraz siedziały na dwóch końcach wielkiej kanapy, a Inger Johanne nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak się rozluźniła.

– O Boże, jaka ja właściwie jestem śpiąca! – Uśmiechnęła się i szeroko ziewnęła. – Ale poczułam to dopiero teraz, kiedy się odprężyłam.

– Nie zasypiaj. Będziemy oglądać... – Line szybko przejrzała stosik płyt leżących na stole. – Najpierw *Co się zdarzyło w Las Vegas*. Ten Ashton Kutcher jest po prostu niewiarygodnie słodki. I nic nie wolno krytykować. Ma nam być przyjemnie!

Szturchnęła nogą Inger Johanne, która z rezygnacją pokręciła głową.

– Właściwie ile czasu tracisz na takie rzeczy? – spytała.

– Nie bądź taka piczka-zasadniczka, przecież ty też to lubisz!

– A mogę przynajmniej najpierw obejrzeć wiadomości? Żeby chociaż trochę zakotwiczyć się w rzeczywistości, nim zanurzymy się w tej słodkiej zupie.

Line ze śmiechem uniosła kieliszek na znak zgody.

Inger Johanne włączyła telewizor. Zdążyły zobaczyć kilka ostatnich sekund czołówki. Pierwsza wiadomość była taka, jakiej się spodziewała: „Biskup Eva Karin Lysgaard zamordowana na ulicy. Policja wciąż nie ma żadnych śladów w sprawie”.

– Co? – Line otworzyła usta i wyprostowała się. – Zamordowana? Co, na miłość boską... – Spuściła nogi na podłogę, odstawiła kieliszek i wychyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach.

– Przez cały dzień piszą o tym w internecie i powtarzają w radio. – Inger Johanne podkreśliła głośność. – Gdzieś ty była?

– Na nartach – odparła Line. – Wczoraj wieczorem słyszałam, że nie żyje, ale nie mówili nic, że...

– Cicho!

Christian Borch ubrany był w ciemny garnitur, a na jego twarzy malowała się wielka powaga.

– „Policja potwierdziła dzisiaj, że biskup diecezji Bjørgvin Eva Karin Lysgaard została zamordowana wieczorem dwudziestego czwartego grudnia. Wczoraj poinformowano o zgonie biskup Lysgaard, ale okoliczności jej śmierci podano do wiadomości publicznej dopiero dzisiaj we wczesnych godzinach porannych”.

Obraz przeniósł się ze studia do deszczowego Bergen, skąd reporter przedstawił krótkie streszczenie sprawy, czego efektem były dwie minuty gadania o niczym.

– To dlatego Yngvar wyjechał? – spytała nagle Line, odwracając się do Inger Johanne, która tylko lekko skinęła głową.

– „Przypuszczamy, że policja wciąż nie ma żadnego śladu w sprawie”.

– Co oznacza, że śladów jest całe mnóstwo – skomentowała Inger Johanne. – Tylko nie mają pojęcia, dokąd one prowadzą.

Line ją uciszyła. W milczeniu obejrzały cały materiał, który trwał blisko dwanaście minut. Zaskakująca długość wynikała nie tylko z faktu, że Boże Narodzenie jak zwykle nie obfitowało w wydarzenia. Sprawa była po prostu zupełnie wyjątkowa. Świadczyły o tym przeprowadzane rozmowy z wieloma osobami, policjantami, sługami Kościoła, politykami i przypadkowymi ludźmi na ulicy, uwidaczniało się to także w reakcjach, jakich Norwegowie zazwyczaj nie okazują publicznie. Wiele osób miało problemy z panowaniem nad głosem, niektórzy wręcz płakali.

– Prawie tak jak wtedy, kiedy umarł król Olaf – stwierdziła Line i wyłączyła telewizor.

– Cóż, on umarł ze starości, jak należy, we własnym łóżku.

– No tak, ale sama atmosfera. Kto, na miłość boską, chciałby zabić taką kobietę?

Przecież ona była taka... taka miła. Taka dobra!

Inger Johanne pamiętała, że blisko dwie doby wcześniej zareagowała w taki sam sposób. Eva Karin Lysgaard nie tylko wydawała się dobrym człowiekiem, lecz najwyraźniej miała również duży talent dyplomatyczny. Pod względem teologicznym stała mniej więcej pośrodku wielobarwnego krajobrazu tworzącego Kościół Norweski. Nie była ani radykalna, ani konserwatywna. W kwestii homoseksualizmu, która nękała Kościół od wielu lat i wciąż popychała Norwegię ku bezwyznaniowej konstytucji, Eva Karin Lysgaard była głównym architektem kruchej umowy pokojowej: musi istnieć miejsce dla obydwu poglądów. Sama nie miała oporów przed udzielaniem ślubów parom homoseksualnym, a jednocześnie twardo walczyła o prawo swoich przeciwników do odmowy. Biskup Lysgaard wydawała się otwarta i nikogo nie chciała wykluczać. Typowa reprezentantka zwolenników szerokiego i powszechnego kościoła państwowego. A przecież miała wielkie zastrzeżenia co do wadliwego zarządzania Kościołem i wykorzystywała każdą okazję do przedstawienia swoich argumentów.

Zawsze życzliwa, zawsze spokojna, z tajemniczym uśmiechem, który szlifował ostre kany słów, jakie czasami wyrywały jej się z ust, z rzadka, gdy Eva Karin Lysgaard za bardzo się angażowała.

Z reguły sprawa dotyczyła wtedy kwestii aborcji.

W jednej jedynej kwestii Eva Karin Lysgaard miała skrajne poglądy: była przeciwniczką aborcji. Całkowitą i bezwarunkową, w każdych okolicznościach. Nawet gdy ciąża była wynikiem gwałtu czy stanowiła zagrożenie dla życia matki, biskup Lysgaard nie akceptowała zabiegu, który miał na celu zniszczenie stworzonego już życia. Dla biskupa Lysgaard boskie dzieło stworzenia było nietykalne. Ścieżki Pana są niezbadane, a zapłodnione jajeczko ma prawo do życia, skoro Bóg tak chce.

O dziwo, szanowano ten jej pogląd, i to w kraju, w którym dyskusja na temat aborcji w zasadzie umilkła w roku 1978. Nieliczni, którzy wciąż usiłowali walczyć z prawem do samodzielnej decyzji o usuwaniu ciąży, postrzegani byli jako śmieszni konserwatyści i – przynajmniej w oczach ogółu – ekstremiści. Ale nawet najbardziej zapalczywe feministki cichły w zetknięciu z Evą Karin Lysgaard, która, zachowując taką pryncypialność, dystansowała się od poglądu, że sprawa aborcji ma związek z wyzwoleniem kobiet.

Aborcja była dla niej kwestią świętości życia, a nie płci.

– Ciekawa jestem, co ona przeżyła wtedy w lesie – powiedziała nagle Inger Johanne.

– W lesie? Myślałam, że zabito ją na ulicy.

– Nie mówię o zabójstwie, tylko o tym... W sobotnim „Magazynie” jest o niej duży

artykuł, nie widziałaś?

Line pokręciła głową i dołała sobie wina.

– Cały weekend spędziliśmy w domku w górach. Najeździłam się na nartach, ale gazet w ogóle nie czytałam.

Przecież i tak ich nie czytasz, bez względu na to, gdzie jesteś, pomyślała Inger Johanne, ale podjęła z uśmiechem:

– Wyznała, że jako szesnastolatka spotkała w lesie Boga. Wydarzyło się tam coś szczególnego, ale nie chciała powiedzieć co.

– Czy oni raczej nie spotykają Jezusa?

– Co?

– Wydawało mi się – tłumaczyła Line – że jak ktoś się nawraca, to mówi, że spotkał Jezusa.

– Boga czy Jezusa – mruknęła Inger Johanne – wszystko jedno.

Nagle wstała i wyszła do sypialni. Wróciła z „Magazynem”. Otworzyła go na stronie z wywiadem i dopiero usiadła.

– Posłuchaj! – Wzięła głęboki oddech. – *Znalazłam się w dość trudnej sytuacji, nastolatkom często się to zdarza. Wszystko wydaje nam się wtedy o wiele poważniejsze. Ze mną też tak było. I wtedy spotkałam Jezusa.*

– Ha! – zawołała Line. – Miałam rację!

– Cicho! *Co się właściwie wydarzyło?* To dziennikarz pyta. – Inger Johanne zerknęła na Line ponad krawędzią okularów i czytała dalej: – *To sprawa między mną a Bogiem – śmieje się pani biskup, a na policzkach pojawiają się jej dołeczki, w których można by się schować. – Wszyscy mamy swoje tajemnicze pokoje. Tak powinno być. I tak będzie zawsze.*

Powoli złożyła gazetę.

– Chcę już obejrzeć ten film – stwierdziła Line.

– Wszyscy mamy swoje tajemnicze pokoje – powtórzyła Inger Johanne, przyglądając się zrobionemu z bliska zdjęciu Ewy Karin Lysgaard na okładce.

– – Nie ja – odparta beztrąsko Line. – Oglądamy najpierw *Co się zdarzyło w Las Vegas* czy od razu *Diabeł ubiera się u Prady*? Jeszcze tego nie widziałam, a Meryl Streep mogę oglądać zawsze i wciąż.

– Ty też masz kilka pokoi z tajemnicami, Line. – Inger Johanne zdjęła okulary i potarła oczy, zanim dodała: – Tylko zgubiłaś do nich klucze.

– Możliwe – przyznała Line, wciąż tak samo pogodnie. – Ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

– Akurat tu się bardzo mylisz. – Inger Johanne sennym ruchem wskazała na *Diabła u Prady*. – Serce boli właśnie przez to, czego nie widać.

Targowisko próżności

Lepiej byłoby nie wiedzieć, myślał Niclas Winter. Od tak dawna żył na skraju załamania finansowego, że wiedza o tym, iż kupiec stracił zainteresowanie, na nowo skłoniła go do picia trochę za dużo i trochę za często. Nie mówiąc już o wszystkim innym, co w siebie wrzucał, żeby utrzymać nerwy pod kontrolą, chociaż właściwie już dawno skończył z tym głównym, które go otępiało i rozleniwiło. Robił się pusty i tracił kreatywność.

A nie chciał, żeby tak było.

Jesienią 2008 roku kryzys finansowy zaatakował ze wszystkich stron, ale Norwegia nie odczuła go tak dotkliwie jak wiele innych krajów. Mając wiele tysięcy miliardów na księżecze i po brzegi wyładowaną skrzynkę z politycznymi narzędziami, czerwono-zielony rząd mógł podjąć przeciwdziałające kryzysowi kroki tak kosztowne i solidne, że jeszcze kilka miesięcy wcześniej nikt nie potrafiłby sobie ich wyobrazić. Naród od tak dawna pompował pieniądze z Morza Północnego, że po finansowym trzęsieniu ziemi w USA, wydawał się wręcz nietykalny. Rynek mieszkaniowy w Norwegii, który już wcześniej był nadmuchany do granic wytrzymałości, wczesną jesienią natknął się co prawda na ścianę, ale powoli odzyskiwał przytomność. A w każdym razie wykazywał oznaki życia. W ostatnich miesiącach z wielokrotnością się liczbą bankructw, lecz wielu uważało to za zdrową czystkę wśród przedsiębiorstw, które i tak nie miały prawa przetrwać. Bezrobocie w branży budowlanej rosło, na co oczywiście patrzono z powagą, była to jednak część gospodarki w dużym stopniu bazująca na importowanej sile roboczej, a Polacy, Bałtowie i Szwedzi mieli tę sympatyczną cechę, że chętnie wracali do domu, kiedy nie mogli już dostać pracy. Przynajmniej ci, którzy nie do końca zrozumieli, że z norweskiego systemu socjalnego też da się wyciągnąć niezłe pieniądze. Poza tym dość było ekonomistów, którzy przynajmniej między sobą poszeptowali, że bezrobocie na poziomie czterech procent ma dobry wpływ na elastyczność rynku pracy.

Zatem Norwegia spółka z o.o. jakoś posuwała się naprzód, nawet jeśli nie w takim

tempie jak wcześniej, to przynajmniej bez katastrofalnych konsekwencji dla kraju i jego mieszkańców. Ludzie wciąż kupowali jedzenie, wciąż potrzebowali ubrań dla siebie i dzieci, jak zwykle pozwalali sobie na wino w weekendy i nie rzadziej niż do tej pory chodzili do kina.

Tylko na towary luksusowe nie było już tylu nabywców co kiedyś.

A z jakiegoś powodu sztukę traktowano jak luksus.

Niclas Winter zerwał metalową folię z butelki szampana kupionego w dniu śmierci matki. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej otwierał podobną butelkę. Mocując się z drucianym koszyczkiem, doszedł do wniosku, że robi to pierwszy raz. Wypił wprawdzie całkiem sporo tego szlachetnego francuskiego trunku, szczególnie w ciągu ostatnich lat, ale zawsze na cudzy rachunek.

Korek strzelił, a Niclas zaśmiał się do siebie, nalewając perlące się musujące wino do plastikowej szklanki stojącej na brzegu zavalonego blatu roboczego. Butelkę na wszelki wypadek odstawił na podłogę, a szklankę podniósł do ust.

Trzystumetrowe atelier, pierwotnie będące halą magazynową, pławiło się w naturalnym świetle. Osobie z zewnątrz chaos panujący w tym ogromnym pomieszczeniu, do którego blask słońca wpadał przez sufit i wielkie łukowate okna na południowo-wschodniej ścianie, musiał się wydawać nie do ogarnięcia. Natomiast Niclas Winter miał nad wszystkim pełną kontrolę. Były tu urządzenia do spawania i do lutowania, komputery i stare sedesy, kable z Morza Północnego i połówka wraku samochodu; atelier byłoby istnym rajem dla każdego ciekawskiego jedenastolatka. Ale nikt taki nigdy nie zostałby tu wpuszczony. Niclas Winter, artysta tworzący instalacje, miał trzy fobie: bał się dużych ptaków, dżdżownic i dzieci. Dość miał kłopotów z przetrwaniem własnego dzieciństwa i nie znosił przypominania go sobie widokiem bawiących się, hałasujących i dokazujących milusińskich. Położenie atelier w odległości zaledwie dwustu metrów od szkoły podstawowej było faktem żalonym, z którym ledwie potrafił nauczyć się żyć. Pod wszystkimi innymi względami było idealnie – czynsz niski, a większość dzieci trzymała się z daleka, odkąd wywiesił na drzwiach tabliczkę z rysunkiem dobermana i napisem „Zły pies”.

Lokal miał kształt prostokąta zbliżonego do kwadratu, szesnaście na niecałe osiemnaście metrów. Cały bałagan koncentrował się pod ścianami, stanowiąc ramę z niezbędnych rupieci dla dużego obszaru na środku. W tym miejscu zawsze było czysto i pusto, wyjąwszy tę instalację, nad którą Niclas Winter aktualnie pracował. Pod jedną z krótszych ścian stały cztery instalacje, które w zasadzie już ukończył, ale nikomu ich jeszcze nie pokazał.

Wypił łyk szampana, nieco zbyt słodkiego, a poza tym nie dość dobrze zmrożonego.

To była jego najlepsza praca.

Dzieło nazywało się *I was thinking of something blue and maybe grey, darling** [*Myślałem o czymś niebieskim i może szarym, skarbie.] i właściwie zostało już zakupione przez Statoil Hydro.

Na środku instalacji wznosił się monolit z manekinów sklepowych, splecionych ze sobą jak na oryginalnej rzeźbie w Parku Vigelanda, ale z powodu całkowitej sztywności lalek – z wyjątkiem kolan, łokci, bioder i barków – sześciometrowa figura była dosłownie kolczasta. Głowy na prawie złamanych karkach, sztywne palce i stopy z pomalowanymi paznokciami martwo sterczały w przestrzeni. Całość oplątywał lśniący, cienki kolczasty drut ze srebra. Oczywiście prawdziwego. Już sam ten drut kosztował majątek. Z bliska dało się zauważyć, że nagie, martwe lalki mają na nadgarstkach kosztowne zegarki, a prawie każda nosi też naszyjnik. Manekiny, kiedy je kupował, były pozbawione płci, jedynie szerokie barki i brak piersi odróżniał mężczyzn od kobiet, no i miękko zarysowany wzgórek na łonie. Niclas Winter przyszedł im na ratunek. Kupił tyle wibratorów w internetowym sklepie handlującym pornografią, że dostał znaczny rabat, i zamontował je na wykastrowanych manekinach. Vibratory reklamowano jako „naturalne”, co, jak Niclas Winter wiedział, kompletnie mijало się z prawdą. Były kolosalne. Polakierował je sprayem na fluoryzujące kolory, przez co jeszcze bardziej przyciągały uwagę.

– Idealne – mruknął do siebie i jednym łykiem opróżnił szklanekę. Cofnął się o kilka kroków i przekrzywił głowę.

Poprzednia wystawa Niclasa Wintera okazała się ogromnym sukcesem. Trzy instalacje zewnętrzne przez cztery tygodnie stary na Kei Ratuszowej. Ludzie piali z zachwytem. Krytycy również. Sprzedał wszystko na pniu. Pierwszy raz w życiu prawie pozbył się długów, a najlepsze ze wszystkiego było to, że firma Statoil Hydro, która już wcześniej kupiła *Vanity Fair, reconstruction** [*Targowisko próżności, rekonstrukcja.], zamówiła *I was thinking...* na podstawie jednego szkicu. Cena wyniosła dwa miliony. Pół miliona dostał zaliczką, ale całe te pieniądze i nie tylko utonęły w samych materiałach.

A potem te dupki się rozmyśliły.

Niclas Winter nie miał zbyt wielkiego pojęcia o kontraktach i kiedy wściekły poszedł do adwokata z listem, który otrzymał w październiku, zrozumiał, że najwyższa pora poszukać sobie agenta. Statoil Hydro miała bowiem wszelkie prawo zrobić to, co zrobiła. W kontrakcie znajdowała się klauzula dotycząca rezygnacji, a Niclas Winter ledwie rzucił okiem na dokument, zanim półprzytomny ze szczęścia go podpisał.

W obecnym klimacie finansowym – napisano w liście z żalem – byłby to niedobry sygnał dla pracowników i właścicieli... – bełkotali niżej na kartce. – Umiarkowanie. Pewna wstrzeźliwość w zbędnych wydatkach.

Bla, bla, bla. Niech to piekło pochłonie!

Przekłety list przyszedł cztery dni przed śmiercią matki.

W ciągu ostatnich godzin, jakie przy niej przesiedział, bardziej dla pozorów niż z prawdziwego żalu, wszystko się odwróciło. Niclas Winter wyszedł z pokoju swojej zmarłej matki w Hospicjum Lovisenberg z uśmiechem na ustach, z nową nadzieją i z zagadką do rozwiązania.

Zagadkę udało się rozwiązać.

Oczywiście zajęło to trochę czasu. Matka do tego stopnia słabo kontaktowała, że na odnalezienie właściwej kancelarii musiał poświęcić kilka tygodni. Za bardzo się stresował i po drodze popełnił kilka głupstw. Ale wreszcie osiągnął, co chciał. Spotkanie zostało wyznaczone na pierwszy dzień roboczy po Nowym Roku, a mężczyzna, z którym Niclas Winter zamierzał się spotkać, miał z niego uczynić bardzo bogatego człowieka.

Dolał sobie szampana i wypił.

Leciuteńkie odurzenie dobrze mu zrobiło. Dzieło było ukończone. Nawet jeśli Statoil Hydro nie rozpoznała czasu swego nawiedzenia, to znajdą się inni kupcy. Mając takie pieniądze, jakie teraz zgarnie, będzie w stanie przyjąć propozycję jesiennej wystawy w Nowym Jorku. Będzie mógł rzucić wszystkie bezsensowne dorywcze prace, które wysysały z niego sity i kreatywność. Z narkotykami też skończy. I z piciem. Będzie pracował przez całą dobę na okrągło bez żadnych zmartwień.

Niclas Winter był prawie szczęśliwy.

Wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Ledwie wyczuwalne drgnięcie.

Odwrócił się lekko. Drzwi były zamknięte na klucz i nikt nie miał prawa wejść.

Napił się jeszcze. Może to jakiś kot na dachu. Zadarł głowę.

Ktoś nagle go chwycił. Niclas niczego nie rozumiał, gdy czyjeś dłonie zacisnęły się wokół jego twarzy, zmuszając go, by otworzył usta. Kiedy czubek igły, musnąwszy język, wbił się od środka w lewy policzek, bardziej się zdumiał, niż wystraszył. Ale zaraz ból wywołany skaleczeniem wrażliwej śluzówki, w którą opróżniona została strzykawka, nabrał takiej intensywności, że Niclas wreszcie zaczął krzyczeć.

Jakiś człowiek wciąż stał za nim, przytrzymując go za ręce. Gwałtowne ciepło z ust błyskawicznie zaczęło rozlewać się po ciele i Niclas nie mógł złapać tchu. Nieznajomy podtrzymywał go, gdy upadał. Niclas Winter uśmiechnął się, mruganiem usiłując usunąć

blonę, która niczym tłuszcz pokryła mu oczy. Przestał oddychać. Płuca nie dały już rady.

Ledwie do niego dotarło, że ktoś podciąga mu lewy rękaw swetra. Kolejny zastrzyk wbił się w niebieską żyłę we wnętrzu łokcia.

Był dwudziesty siódmy grudnia 2008 roku. Trzy minuty po pół do dwunastej w południe. Umierając w wieku trzydziestu dwóch lat, tuż przed swoim międzynarodowym przełomem artystycznym, Niclas Winter wciąż uśmiechał się ze zdziwieniem.

* * *

Ragnhild Vik Stubø śmiała się swoim najserdeczniejszym śmiechem. Inger Johanne pozbiierała kostki do gry i rzuciła jeszcze raz.

– Ty, mamó, nie bardzo umiesz grać w kości.

– Kto nie ma szczęścia w grze, ten ma szczęście w miłości, wiesz? Muszę się tym pocieszyć.

Kostki upadły, pokazując dwie jedyńki, trójkę, czwórkę i piątkę. Inger Johanne przez chwilę się wahała, po czym zostawiła jedyńki i rzuciła po raz ostatni.

Zadzwonił telefon.

– Tylko nie oszukuj, jak mnie nie będzie – przykazała z udawaną surowością i wstała.

Komórka leżała w kuchni. Inger Johanne wcisnęła klawisz z zieloną słuchawką.

– Halo, tu Inger Johanne – powiedziała.

– Cześć, to ja.

Poczuła lekką irytację, że Isak nigdy się nie przedstawia. Momentalne rozpoznawanie przez nią głosu powinno być przywilejem Yngvara. Przecież minęło już ponad dziesięć lat, odkąd rozwiódła się z Isakiem. Był ojcem jej starszej córki, zgoda, i szczęśliwie dla nich wszystkich potrafili ze sobą współdziałać. Ale bliskim członkiem rodziny przestał już mimo wszystko być, chociaż stale tak się zachowywał.

– Cześć – odparła obojętnie. – Dziękuję, że wczoraj odwiozłeś Ragnhild do domu. Co tam słyhać u Kristiane?

– Właśnie dlatego dzwonię, tylko się... tylko...

Inger Johanne poczuła, jak cierpnie jej skóra między łopatkami.

– Co takiego? – ponagliła go, kiedy się wahał.

– Więc... No tak... Jestem w centrum handlowym w Sandvika. Chciałem zwrócić kilka prezentów gwiazdkowych. No i... Razem z Kristiane. Problem w tym... To, że się zdenerwujesz, w niczym nam nie pomoże.

Inger Johanne spróbowała przełknąć ślinę.

– Co się stało z Kristiane? – spytała, starając się panować nad głosem.

Odgłosy dochodzące z pokoju świadczyły, że Ragnhild raz po raz rzuca kości.

– Zginęła. To znaczy nie zginęła, ale... nie mogę jej znaleźć. Chciałem tylko...

– Czy... czy ty... zgubiłeś Kristiane? W centrum handlowym Sandvika?

Wyobraziła sobie olbrzymie centrum, największe w Skandynawii, trzypiętrowe, ponad sto sklepów i tyle wyjść, że zakreśliło jej się w głowie. Oparła się o blat.

– Uspokój się, Inger Johanne. Poinformowałem już kierownictwo, szukają jej. Masz świadomość, ile dzieci gubi się tu codziennie? Całe mnóstwo. Na pewno jest w jakimś sklepie. Dzwonię wyłącznie po to, żeby się dowiedzieć, czy jest tu jakiś sklep, który ona wyjątkowo lubi...

– Zgubiłeś, do jasnej cholery, moje dziecko!

Inger Johanne krzyczała, zapominając o Ragnhild. Dziewczynka się rozpląkała. Inger Johanne spróbowała więc pocieszać ją na odległość, a sama dalej rozmawiała.

– To jest nasze dziecko – oświadczył Isak na drugim końcu linii. – I ona wcale...

– Ragnhild, nic się nie dzieje. Mama się tylko trochę wystraszyła. Zaczekaj momencik, zaraz do ciebie przyjdę.

Dziewczynka nie pozwalała się uspokoić. Z rykiem rzuciła kości na podłogę.

– Nie chcę, żebyś mnie zgubiła, mamó!

– Spróbuj w tym sklepie z misiami – syknęła Inger Johanne w słuchawkę. – W tym, w którym można sobie zrobić własnego misia. Jest na końcu korytarza łączącego starą i nową część centrum.

– Mamó, mamó, kto mnie zgubił?

– Cicho, kochanie, mama zaraz przyjdzie. Nikt cię nie zgubił. Zaraz będę! – To ostatnie warknęła do słuchawki. – Miej komórkę włączoną, postaram się tam być za dwadzieścia minut. I dzwoń do mnie natychmiast, jak tylko coś będzie wiadomo.

Rozłączyła się, wcisnęła komórkę do tylnej kieszeni spodni, popędziła do salonu, wzięła na ręce młodszą córkę i pocieszając ją najlepiej, jak umiała, przebiegła przez całe mieszkanie do wyjścia.

– Ciebie nikt nie zgubi, nie bój się! Nie masz o co płakać. Przecież mama jest przy tobie.

– To dlaczego powiedziałaś, że ktoś mnie zgubił?

Ragnhild ciągle szlochała, ale przynajmniej trochę zaczęła się uspokajać.

– Źle mnie zrozumiałaś, skarbie. Takie rzeczy się zdarzają.

Przy schodach nieco zwolniła i już spokojnie zeszła na dół.

– Przejedziemy się teraz we dwie. Do centrum handlowego Sandvika.

– Do Sandvika? – Ragnhild uśmiechnęła się przez łyzy.

– No właśnie.

– A co mi kupisz?

– Nic, kochanie. My tylko... tylko pojedziemy po Kristiane.

– Kristiane wraca jutro – zaprotestowała mała. – Dzisiaj miałyśmy mieć kino na kanapie i popcorn.

– Włóż buty. Tak cię proszę, pospiesz się!

Serce uderzało nierówno. Inger Johanne czuła, że brakuje jej tchu, ale włożyła kurtkę i zmusiła się do uśmiechu.

– A twoją kurtkę po prostu weźmiemy ze sobą. Chodź już!

– A czapka? I rękawiczki! Przecież jest zimno, mammo!

– Dobrze. – Inger Johanne sięgnęła po cokolwiek z półki. – Możesz się ubrać w samochodzie.

Nie zamknęła nawet drzwi na klucz, tylko złapała córeczkę za rękę, zbiegła po zewnętrznych schodach i pognęła ścieżką do samochodu, na szczęście zaparkowanego tuż przy furtce.

– Mammo, boli! – zaprotestowała Ragnhild. – Za mocno mnie ściskasz!

Inger Johanne poczuła, że robi jej się słabo. Rozpoznawała ten lęk, który pojawił się w niej już wtedy, gdy pierwszy raz trzymała Kristiane w ramionach.

Wszystko w porządku, powiedziała położna. Śliczna i zdrowa, twierdził Isak. Ale Inger Johanne wiedziała lepiej. Patrzyła na urodzoną pół godziny wcześniej córeczkę, która była taka cicha i miała w sobie coś, co sprawiało, że Inger Johanne czuła, jak dosłownie rozpada się na kawałki.

– Wskakuj do środka! – poleciła córce, otwierając drzwiczki z tyłu. – Zaraz cię zapnę.

Zadzwoił telefon. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go wetknęła, i zaczęła obszukiwać kieszenie kurtki.

– Dzwoni ci z pupy – oświadczyła Ragnhild, wsiadając do samochodu.

– Słucham – wydyszała Inger Johanne, kiedy w końcu udało jej się wyciągnąć komórkę z tylnej kieszeni.

– Znalazłem ją. – Głos Isaka dobiegał z daleka. – Była w tym sklepie z misiami, tak jak mówiłaś. Wszystko w porządku. Jakiś mężczyzna się nią zajął. Ucięli sobie nawet miłą pogawędkę.

Inger Johanne oparła się o samochód, usiłując wyrównać oddech. Gwałtowną ulgę,

jaką sprawiła jej wiadomość o odnalezieniu Kristiane, prędko przesłonił cię słów Isaka.

– Jaki mężczyzna?

– Jaki... hm... Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Kristiane jest cała i zdrowa, tak jak myślałem, a ty się czepiasz...

– Masz świadomość, że centra handlowe to eldorado dla pedofilów?

W lodowatym powietrzu jej słowa zmieniały się w chmury szarej pary.

– Mamo, nie przypniesz mnie?

– Zaczekaj chwilę, kochanie. Co to za...

– Dość tego, Inger Johanne! Na to się absolutnie nie zgadzam.

Isak Aanonsen bardzo rzadko wpadał w złość.

Nawet wtedy, całe wieki temu, kiedy Inger Johanne w pewien późny wieczór wstała z kanapy i oświadczyła, że nie widzi możliwości uratowania ich małżeństwa i że już załatwiła odpowiednie formularze, żeby ostatecznie je przekreślić, Isak starał się myśleć pozytywnie. Kiedy Inger Johanne zapłakana poszła się położyć, jeszcze przez jakiś czas siedział sam w salonie. Godzinę później zapukał do drzwi sypialni, już nastawiony na to, że przestali być najbliższymi dla siebie osobami. Oświadczył, że najważniejsza jest Kristiane. Że Kristiane zawsze będzie najważniejsza dla nich obojga, więc chce przed pójściem spać ustalić, jak rozwiążą problem praktycznej opieki nad córką. Kiedy zaczęło się rozwidniać, mieli już gotową umowę. Później Isak lojalnie się jej trzymał i Inger Johanne mogłaby na palcach jednej ręki policzyć oznaki irytacji, jakie wykazywał w ciągu tych lat.

Teraz był wściekły.

– To histeria, Inger Johanne! Człowiek, który rozmawiał z Kristiane, był całkiem zwyczajnym facetem. No i najwyraźniej zorientował się, z jakim... z jakim dzieckiem ma do czynienia. Zachowywał się wobec niej bardzo przyjaźnie, a Kristiane uśmiechała się i pomachała mu ręką na pożegnanie, kiedy wychodziliśmy. Stoi tu teraz i...

Inger Johanne usłyszała w tle zwykłe „dam-di-rum-ram”. Wybuchnęła płaczem. Cichym, żeby jeszcze bardziej nie zdenerwować Ragnhild.

– Przepraszam – szepnęła do słuchawki. – Przepraszam, Isak. Naprawdę. Ale tak bardzo się wystraszyłam.

– Oboje się wystraszyliśmy – powiedział po chwili wahania, znów swoim zwykłym, życzliwym głosem. – Ale wszystko dobrze się skończyło. Wydaje mi się, że lepiej dla ciebie będzie, jeśli odwożę ją do domu już dzisiaj. Jak myślisz?

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Isak. Bardzo bym chciała mieć ją przy sobie.

– Odbiorę sobie ten dzień kiedy indziej.

– Może i ty mógłbyś zostać? – wyrwało się Inger Johanne.

– U was? Oczywiście! Świetnie!

Przez moment wyobraziła sobie jego ciemnoniebieskie oczy w jak zawsze nieogolonej twarzy, zmieniające się w wąskie szparki, kiedy uśmiechał się tym swoim krzywym, dziwnym uśmiechem, w którym kiedyś tak się zakochała.

– Będziemy za pół godziny – powiedział. – Mam coś kupić, skoro już jesteśmy w sklepie?

– Nie, dziękuję. Po prostu przyjeżdżajcie.

Rozmowa się skończyła.

Inger Johanne ogarnęło niewypowiedziane zmęczenie. Położyła obie ręce na dachu samochodu. Metal był tak zimny, że skóra jej ścierpła. Może będzie mogła opowiedzieć Isakowi o mężczyźnie, który pojawił się w ogrodzie w pierwszy dzień świąt? Gdyby mu wyjaśniła, że jej lęk nie wytrzasnął się z powietrza, że ma powody, by się bać, że ten człowiek wiedział, jak Kristiane ma na imię, chociaż żadna z dziewczynek go nie знаła, gdyby...

Nie.

Powoli się wyprostowała i wierzchem dłoni wytarła łzy.

– Chodź – powiedziała z uśmiechem, nachylając się nad Ragnhild. – Mimo wszystko nie jedziemy do Sandvika. Isak i Kristiane przyjadą tutaj.

– Ale przecież miałyśmy się bawić w kino i oglądać film – zaprotestowała Ragnhild. – Tylko we dwie!

– Możemy się pobawić z nimi. Na pewno będzie bardzo miło. Chodź!

Dziewczynka niechętnie ześlizgnęła się z fotelika i wysiadła z samochodu.

Kiedy szły żwirową alejką, Ragnhild nagle przystanąła i ujęła się rękami pod boki.

– Mamo – odezwała się surowo. – Najpierw tak nam się spieszyło, żeby dojechać do Sandvika, a teraz mamy wracać do domu. Najpierw miałyśmy we dwie bawić się w kino, a nagle mają być z nami Isak i Kristiane. Tata miał całkowitą rację.

– W czym? – uśmiechnęła się Inger Johanne i pogłaskała córeczkę po włosach.

– Że strasznie trudno ci się zdecydować. Ale i tak jesteś najlepszą mamą na świecie. Najlepszą supermamą z kremem!

* * *

Nadkomisarz Silje Sørensen z Wydziału Zabójstw Komendy Okręgowej Policji w Oslo wypila dwa kubki kakao z bitą śmietaną i zrobiło jej się niedobrze.

Zdjęcia leżące przed nią nie poprawiały sprawy.

Wigilia w tym roku przypadła w dzień tygodnia optymalny dla tych, którzy chcieli mieć jak najdłuższy urlop. Z „małą wigilią” we wtorek większość i tak zrobiła sobie wolne we wcześnie między święta poniedziałek. Pierwszy i drugi dzień świąt to dni oficjalnie wolne od pracy, a trzeci dzień świąt przypadł dziś, czyli w sobotę. Dzień pracy dla ludzi zatrudnionych w usługach, ale tym, których najmniej dręczyły wyrzuty sumienia, Boże Narodzenie w roku 2008 dawało szansę na dwa tygodnie wolnego, bo przecież nie było sensu iść do pracy, skoro sylwester i Nowy Rok i tak już psuły środek następnego tygodnia.

Norwegia działała na ćwierć gwizdka, ale nie Silje Sørensen.

Stos dokumentów przychodzących, które ujrzała w pierwszy dzień świąt, wprawił ją w paskudny humor. Bez trudu więc przekonała rodzinę, że najlepiej dla nich wszystkich będzie, jeśli pójdzie do pracy w ten jeden dodatkowy dzień.

A może to myśli o Hawrem Ghanim zaprzętały jej uwagę bez względu na to, co usiłowała robić?

Szybko przejrzała zdjęcia zwłok, a potem wyciągnęła z teczki fotografię chłopaka zrobioną za życia i jakiś nowy dokument.

Po południu w pierwszy dzień świąt zadzwoniła do komisarza Haralda Bulla, tak jak ją o to prosił. Nie był szczególnie zainteresowany omawianiem spraw służbowych w środku świąt. Prosząc o „jak najszybszy kontakt”, miał na myśli piąty stycznia. Mimo że pod koniec roku budżety nadgodzin były już i tak dawno przekroczone, uzgodnili, że do pracy przy sprawdzaniu życiorysu kurdyjskiego imigranta włączą sierżanta Knuta Borka. Sierżant Bork był młody, samotny i ambitny. Zaimponował Silje Sørensen raportem, który napisał tego dnia rano i zostawił w jej pokoju.

Przebiegła wzrokiem kartki.

Hawre Ghani przybył do Norwegii półtora roku temu, mając, jak podał, piętnaście lat. Bez rodziców. Ponieważ nie posiadał absolutnie żadnego dokumentu tożsamości, władze norweskie od razu zaczęły podawać w wątpliwość jego wiek.

Pomimo dyskusji co do jego daty urodzenia, chłopak został umieszczony w ośrodku dla uchodźców w Ringebu, gdzie było więcej takich jak on, samotnych azylantów, którzy nie skończyli jeszcze osiemnastu lat. Uciekł stamtąd po trzech dniach. Od tamtej pory w zasadzie mniej lub bardziej się ukrywał, z wyjątkiem kilku dni spędzonych w areszcie, kiedy to odznaczający się uliczną bystrością chłopak okazał się nie dość bystry.

Rok temu przerzucił się na prostytutkę. Według różnych raportów sprzedawał się drogo, często i byle komu.

Przynajmniej jeden raz Hawre Ghani obrabował klienta, co zostało odkryte właściwie

przez przypadek. Ghani usiłował ukraść w sklepie sportowym w centrum handlowym Storo parę czarnych Nike Shocks. Ochroniarz go obezwładnił, usiadł na nim i nie puszczał przez trzy kwadranse, czyli do przyjazdu policji. Podczas przeszukania w areszcie okazało się, że Hawre ma przy sobie beżowy portfel marki Mont Blanc z kartami kredytowymi, dokumentami i pokwitowaniami wystawionymi na nazwisko znanego dziennikarza sportowego, który jednak nie był ani trochę zainteresowany złożeniem doniesienia na policji, co zostało sucho odnotowane w raporcie sierżanta Borka. Ale koledzy znający środowisko prostytutek potwierdzili, że zarówno chłopak, jak i ofiara rabunku są tam dobrze znani.

W pewnym momencie usiłowano oddać chłopaka pod opiekę północnoirackiego Kurda, posiadającego zezwolenie na pobyt tymczasowy bez prawa sprowadzenia do Norwegii rodziny. Mężczyzna, któremu łaskawie pozwalano mieszkać w Norwegii od prawie dziesięciu lat i który płynnie mówił po norwesku, pracował na niepełny etat jako opiekun młodzieży w klubie na Starym Mieście. Do tej pory miał wiele szczęścia, realizując swoje projekty wśród agresywnych dzieci uchodźców. Z Hawrem poszło gorzej. Po trzech tygodniach chłopak namówił czterech kolegów z klubu na złodziejski rajd po piwnicach w zachodniej części miasta, usiłował opróżnić bankomat za pomocą łomu, a także skradł i rozbił czteroletnie audi TT.

Silje Sørensen wpatrywała się w zdjęcie niedojrzałego chłopca z wielkim nosem, wargami jak u dziesięciolatka i skórą nietkniętą zarostem.

Może Silje była naiwna.

Oczywiście, że była naiwna. Nawet po tylu latach w policji, podczas których przy każdym awansie iluzje pękały jak mydlane bańki.

Ale ten chłopiec naprawdę był młody. Czy miał lat piętnaście, czy siedemnaście, oczywiście nie dało się stwierdzić. Ale zdjęcie zrobiono po jego przyjeździe do Norwegii, a szła o zakład, że dzień, w którym miał uzyskać pełnoletniość, był jeszcze daleko przed nim.

Teraz to i tak straciło znaczenie.

Wolnym ruchem odłożyła zdjęcie na samą krawędź biurka.

Miało tam leżeć, dopóki nie wyjaśni sprawy. Jeżeli prawdą jest, że ktoś odebrał życie Hawremu Ghani, na co wskazywały wstępne ślady, to ona się dowie, kto to zrobił.

Hawre Ghani nie żył, a za życia nikt się nim nie przejmował.

Ktoś więc przynajmniej przejmie się jego śmiercią.

* * *

– Jeśli o mnie chodzi, to proszę się nie przejmować i nie robić sobie kłopotu – machnął

ręką Yngvar Stubø. – Wypiłem już dzisiaj trzy kawy i więcej nie powinienem.

Lukas Lysgaard lekko wzruszył ramionami i usiadł w jednym z żółtych foteli. W fotelu ojca. Yngvar wciąż nie miał odwagi zająć miejsca Evy Karin, przysunął więc sobie to samo krzesło co ostatnio.

– Doszliście do czegoś więcej? – spytał Lukas, ale jego głos nie zdradzał szczególnego zainteresowania.

– Jak pańska głowa? – spytał Yngvar.

Młody człowiek znów wzruszył ramionami, po czym przegarnął palcami włosy i zamknął oczy.

– Już lepiej, ból przychodzi i odchodzi.

– Słyszałem, że tak jest z migreną.

Stojący zegar wolno uderzył dwa razy. Yngvar oparł się pokusie sprawdzenia godziny na własnym zegarku, chociaż był pewien, że musi już być po drugiej. Na karku czuł lekki powiew, jakby gdzieś zostawiono uchylone okno. Pachniało bekonem i czymś jeszcze, czego Yngvar nie potrafił określić.

– Obawiam się, że niewiele nowego mamy do powiedzenia. – Pochylił się do przodu i oparł łokcie o kolana. – Bardzo dużo materiałów przesłaliśmy do szczegółowej analizy. Wiele przemawia za tym, że możemy znaleźć ślady biologiczne w miejscu zdarzenia. Ponieważ to rzeczywiście policja jako pierwsza znalazła pana matkę, w dodatku, jak się wydaje, w krótkim czasie po zabójstwie, mamy nadzieję na zabezpieczenie dowodów w najlepszy możliwy sposób.

– Ale nie wiecie, kto to zrobił?

Yngvar się zorientował, że unosi brwi.

– No nie, oczywiście, pozostaje...

– Gazety spekulują o ślepej przemocy. Podobno ich źródła w policji twierdzą, że szukacie szaleńca. Jednej z tych „tykających bomb”... – palce przedziurawiły powietrze. – ...które psychiatrzy wypuszczają za wcześnie. Albo azylantów. Somalijczyków. Kogoś takiego.

– Oczywiście możliwe jest, że ścigamy osobę chorą. Wszystko bierzemy pod uwagę. W tym punkcie śledztwa ważne jest, żeby się nie zamykać w jednej konkretnej teorii.

– Skoro ten patrol tak szybko dotarł na miejsce, to sprawca nie mógł być daleko. W gazecie przeczytałem, że od śmierci matki mogło minąć zaledwie dziesięć – piętnaście minut. W Wigilię nie było chyba zbyt dużo ludzi do wyboru, to znaczy takich, którzy późnym wieczorem włóczą się ulicami.

Najwyraźniej od razu pożałował swoich słów, bo sięgnął po szklanę z jakimś żółtym płynem, pewnie sokiem pomarańczowym, jak przypuszczał Yngvar.

– No właśnie – powiedział natychmiast. – Na przykład pańska matka.

– Niech pan posłucha. – Lukas, nim podjął watek, wypił całą szklanę. – Oczywiście, rozumiem, jak to wygląda. Oddałbym cały świat za to, żeby się dowiedzieć, po co matka wyszła z domu tak późno w Wigilię. Ale ja tego nie wiem. Rozumie pan? Nie wiem. My... to znaczy moja żona i troje naszych dzieci spędzamy co drugie święta z jej rodzicami, a co drugie z moimi. Tym razem teściowie przyjechali do nas. Moi rodzice byli sami. Pytałem ojca. Oczywiście, że go pytałem. Mój Boże! – Skrzywił się. – Pytałem go, ale nie chce odpowiedzieć.

– Rozumiem – uśmiechnął się dobrodusznie Yngvar. – Rozumiem. Właśnie dlatego chciałem zadać panu kilka pytań akurat na ten temat.

– Niech pan pyta. – Lukas z rezygnacją rozłożył ręce.

– Czy pańska matka lubiła chodzić?

– Słucham?

– Czy lubiła spacerować?

– Chyba wszyscy lubią. Tak, raczej lubiła.

– Wiezorami? Wiele osób ma zwyczaj wychodzenia z domu wieczorem, żeby złapać trochę powietrza przed snem. Czy pańska matka się do nich zaliczała?

Po raz pierwszy, odkąd Yngvar poznał Lukasa Lysgaarda przed trzema dniami, mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście się nad czymś zastanawiał.

– Już od dawna nie mieszkam w domu – powiedział wreszcie. – Urodziło mi się... Urodziło się nam, żonie i mnie, dziecko, kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat. Pobraliśmy się latem tego roku, kiedy skończyliśmy szkołę średnią, i...

Urwał, a po zapłakanej twarzy przebiegł uśmiech.

– To rzeczywiście bardzo wcześnie – przyznał Yngvar. – Myślałem, że takie rzeczy już się nie zdarzają.

– Rodzice, zwłaszcza ojciec, byli bardzo niechętni temu, abyśmy zamieszkali razem, nie będąc małżeństwem. Ponieważ byliśmy przekonani, że... Ale pan pytał, czy matka miała zwyczaj wychodzić wieczorami.

Yngvar leciutko skinął głową i najdyskretniej, jak umiał, wyjął z kieszonki na piersi notatnik.

– Rzeczywiście kiedyś dużo wychodziła. Przynajmniej dopóki mieszkałem w domu. Będąc pastorem, często po pracy odwiedzała parafian. Była... bardzo aktywnym pastorem.

Zdarzało się wręcz, że potrafiła wyjść z domu wieczorem i wracała dopiero wtedy, kiedy już spałem. Ale nie pamiętam, żeby odwiedzała kogoś w Wigilię. – Wzruszył ramionami. – Właściwie to z jej strony niezwykle szlachetne odwiedzać potrzebujących wieczorami. Bo, widzi pan, ona się bała ciemności.

– Bała się ciemności – powtórzył Yngvar. – Aha. Ale lubiła spacerować nocą. Tu, w Bergen. To znaczy kiedy przeprowadziliście się tu z powrotem?

– Nie... Chociaż... Kiedy matka objęła godność biskupa, byłem już dorosły. Nie mam wcale pewności, czy będąc biskupem, odwiedzała tyle osób.

Odetchnął ciężko i sięgnął po szklanke. Kiedy się zorientował, że jest pusta, zaczął ją tylko obracać w dłoni. Lewe kolano mu drżało, jakby miał mrówki w nodze.

– Kiedy byłem młody, to, szczerze mówiąc, nie bardzo obserwowałem, co oni robią wieczorami. Raczej odwrotnie... – Tym razem uśmiechnął się szczerze. – Zachowywałem się jak większość młodych ludzi. Naciągałem granice. Miałem nawet dziewczynę. Właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale może matka miała ten zwyczaj spacerowania przed snem również w Stavanger. Ale kiedy my, czyli moja rodzina, ich odwiedzamy, oczywiście tego nie robi.

– Mieszkacie w Os, tak?

– Tak, to tylko pół godziny stąd. Rzecz jasna poza godzinami szczytu, bo wtedy przejazd potrafi trwać całą wieczność. Ale często ich odwiedzamy, a oni nas. Ponieważ matka nigdy nie chodziła na te wieczorne spacery ani będąc u nas, ani kiedy my byliśmy tu...

– Przepraszam, że panu przerwę, ale nocujecie tutaj?

– Czasami. Z reguły nie. Oczywiście dzieci często zostają na noc. Rodzice tak świetnie sobie z nimi radzą. Ale w Wigilię i podobne święta zawsze nocujemy, bo na ogół przecież coś się pije.

– Pańscy rodzice nie są abstynentami?

– Nie, pod żadnym względem.

– Co pan przez to rozumie?

– Co? Co rozumiem? Lubią wypić kieliszek czerwonego wina do obiadu. Ojciec przy większych okazjach chętnie pije whisky. Innymi słowy, całkiem zwyczajni ludzie.

– Czy pana matka kiedykolwiek piła alkohol przed wyjściem na te spacery?

Lukas demonstracyjnie westchnął.

– Proszę posłuchać – powiedział ze złością. – Przecież mówię, że dla mnie to bardzo niejasne. W pewnym sensie wydaje mi się, że matka lubiła spacerować wieczorem, a jednocześnie wiem, że bała się ciemności. Naprawdę się bała. Wszyscy się z niej naśmiewali

z powodu tej fobii, bo kto jak kto, ale ona powinna się czuć bezpieczna w bliskości Boga. A on jest blisko chyba przez cały czas... – Ostatnim słowem towarzyszył urywany śmiech. W końcu Lukas odchylił się i odstawił pustą szklanę.

– Mogę się rozejrzeć po domu? – spytał Yngvar.

– Eee... Tak. To znaczy... Ojciec jest u mojej rodziny i wydaje mi się, że nie wypada, żeby pan weszły w jego rzeczach bez jego zezwolenia.

– Nie będę weszły – uśmiechnął się Yngvar, obracając obie dłonie spodem do góry. – Wcale nie mam takiego zamiaru. Po prostu zerknę. Jak już kilka razy mówiłem, w sprawach, które prowadzę, ważne jest dla mnie zebranie wrażeń dotyczących ofiar. Właśnie dlatego jestem tutaj, to znaczy w Bergen. Chcę stworzyć sobie lepszy obraz pańskiej matki, a obejrzenie jej domu trochę mi w tym pomoże. Chyba nic w tym złego. Co pan na to?

Lukas znów wzruszył ramionami. Yngvar uznał to za przyzwolenie i wstał. Schował notatnik do kieszeni i poprosił, żeby Lukas go oprowadził.

– Żebym się nie wygłupił – dodał z uśmiechem. – Tak jak ostatnio.

Dom na Nubbebakken był stary, ale dobrze utrzymany. Schody prowadzące na piętro okazały się zaskakująco wąskie i mało okazałe w porównaniu z resztą domu. Lukas poszedł przodem i ostrzegł Yngvara przed występem w suficie.

– To ich sypialnia – wskazał, otwierając drzwi.

Stanął z ręką na klamce, częściowo zasłaniając ciałem wejście. Yngvar zrozumiał ten gest i tylko się nachylił, żeby zajrzeć.

Podwójne łóżko, zaścielone.

Narzuta, uszyta z różnobarwnych łątek dodawała przytulności temu dużemu i w zasadzie dość pustemu pomieszczeniu. Na nocnych szafkach leżały stosiki książek, a na podłodze przy łóżku bliżej drzwi złożona gazeta. „Bergens Tidende”, o ile Yngvar mógł się zorientować. Na ścianie naprzeciwko łóżka wisiał duży obraz, jakieś abstrakcyjne wzory w błękitach i fioletach. Za drzwiami, tak że mógł to zobaczyć jedynie w lustrze wiszącym między dużymi oknami, stała pakowna szafa.

– Dziękuję – powiedział i cofnął się.

Poza tym na piętrze znajdowała się niedawno wyremontowana łazienka, dwie dość anonimowe sypialnie – jedna była kiedyś chłopięcym pokojem Lukasa – i wielki gabinet, w którym małżonkowie mieli osobne duże biurka. Yngvar wprost płonął z chęci obejrzenia leżących na nich papierów. Gościnność Lukasa powoli jednak zaczynała się wyczerpywać, wskazał więc ruchem głowy na schody. Idąc, minęli wąskie drzwi z kluczem z kutego żelaza tkwiącym w zamku. Podejrzewał, że za nimi są schody na strych.

– Dlaczego oni tu mieszkali? – spytał Yngvar, schodząc w dół. – Dlaczego nie mieszkali w rezydencji biskupa? Z tego, co wiem, diecezja Bjørgvin dysponuje siedzibą biskupa na Landåslien.

– To rodzinny dom mego ojca. Rodzice postanowili tu zamieszkać po naszym powrocie do Bergen. Ojciec na to nalegał, wydaje mi się, że pod takim warunkiem zgodził się, by matka została biskupem.

Znaleźli się teraz na dole w długim korytarzu przy salonie.

– Ale czy tego nie reguluje prawo? – spytał Yngvar. – Z tego, co wiem, istnieje obowiązek...

– Niech pan posłucha – przerwał mu Lukas, który dotknął kciukiem jednego oka, a palcem wskazującym drugiego i nacisnął. – Wokół tej sprawy było mnóstwo hałasu. Ale właściwie nie mam o tym zielonego pojęcia. Jestem strasznie zmęczony. Może mógłby pan spytać o to kogoś innego?

– Dobrze – zgodził się czym prędzej Yngvar. – Dam już panu spokój. Chciałbym jeszcze tylko zajrzeć do tego pokoju.

Wskazał na małą sypialnię, którą przez omyłkę znalazł przed paroma dniami.

– *Feel free** [*Bardzo proszę.] – mruknął Lukas i wyciągniętą ręką wskazał na drzwi.

Dopiero kiedy Yngvar wszedł do tego pokoju, uświadomił sobie, że Lukas nie zagroził mu drogi. Przeciwnie, syn pani biskup wrócił do salonu, zostawiając go samego. Prędko więc się rozejrzał.

Zasłony były rozsunięte i nie pachniało już snem. W pokoju było chłodniej, niż zapamiętał, a ubrania wiszące na krześle zniknęły.

Oprócz tego wszystko wyglądało jak poprzednio.

Pochylił się, żeby przeczytać tytuły książek ułożonych w stosiku na nocnej szafce. Gruba biografia bohatera wojennego Jensa Christiana Haugego, kryminał Unni Lindell i stare, zniszczone, oprawione w skórę wydanie *Błogosławieństwa ziemi*.

Yngvar stał nieruchomo. Wszystkie zmysły miał wyostrzone. W tym pokoju Eva Karin Lysgaard spędzała noce, tego był pewien. Ostrożnie uchylił drzwi do szafy. W jednej połowie wisały spódnice i sukienki, razem z wyprasowanymi koszulami i bluzkami. W drugiej części były półki. Półka na majtki, półka na rajstopy. Półka na spodnie, półka na paski i wieczorowe torebki. Na samym dole półka na wszystko, co nie miało swojej półki.

Nikt nie trzyma codziennych ubrań w pokoju gościnnym, pomyślał Yngvar i bezszelestnie zamknął drzwi szafy.

Ogarnęło go zniechęcenie, które nachodziło go często, gdy nurkował w życie innych

ludzi, unosząc się na fali tragedii.

– Kończy pan? – usłyszał wołanie Lukasa.

– Tak, tak. – Yngvar po raz ostatni przebiegł wzrokiem po pokoju i wyszedł na korytarz. – Dziękuję.

Przy drzwiach wejściowych odwrócił się i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Ciekaw jestem, kiedy to minie – powiedział Lukas, nie ujmując dłoni Yngvara. – Ten ból.

– On nie minie nigdy. – Yngvar opuścił rękę. – Nigdy do końca. Lukasowi Lysgaardowi wydarł się z gardła szloch.

– Straciłem pierwszą żonę i dorosłą córkę – wyjaśnił Yngvar cicho. – Już ponad dziesięć lat temu. Idiotycznie banalny wypadek w domu. Nie przypuszczałem nawet, że taki ból w ogóle istnieje.

Twarz Lukasa się zmieniła. Zniknął z niej odpychający wyraz obronny. Mężczyzna założył ręce na kark w geście pełnym rozpacz.

– Przepraszam – szepnął. – Przepraszam. Stracić dziecko... Naprawdę mi przykro. A ja tutaj...

– Nie ma pan za co przepraszać. Żałoby nie da się zmierzyć. Pańska żałoba jest sama w sobie wielka. Za jakiś czas nauczy się pan z nią żyć. Przejaśni się. Życie ma tendencję do samoleczenia.

– Ona była tylko moją matką, a pan stracił...

– Wciąż zdarza mi się budzić w środku nocy z przekonaniem, że Elisabeth i Trine ciągle żyją. Mija sekunda albo dwie, zanim dociera do mnie, w jakim punkcie czasu się znajduję. I żal, który wtedy czuję, właśnie w tym momencie, jest dokładnie taki sam jak w dniu, kiedy umarli. Ale ten ból oczywiście trwa o wiele krócej. Pół godziny później jestem w stanie zasnąć najspokojniej w świecie. – Uśmiechnął się lekko. – A teraz już sobie pójdę.

Gdy Yngvar wyszedł na niskie kamienne schody, uderzył go wilgotny chłód. Deszcz zacinał. Yngvar podniósł kołnierz i nie oglądając się, ruszył do furtki.

Był w stanie skupić się jedynie na tym, że jedno ze zdjęć na półce w pokoju nazywanym gościnnym zniknęło. W pierwszy dzień świąt stały tam cztery fotografie, teraz zostały tylko trzy: jedna małego Lukasa na kolanach u Erika, druga całej rodziny w łódce, na ostatniej był bardzo młody i bardzo poważny Erik Lysgaard w studenckiej czapce przepisowo na bakier, z chwościkiem ułożonym na ramieniu.

Yngvar otworzył furtkę i skrzywił się, słysząc jej zgrzyt. Zastanawiał się, czy słusznie zrobił, nie pytając Lukasa o to, co się stało z tym ostatnim zdjęciem.

Ale z drugiej strony zapewne i tak nie uzyskałby odpowiedzi.

A już z całą pewnością wiarygodnej.

* * *

To, że w ogóle ktokolwiek jest w stanie uwierzyć w takie historie, wydawało się kompletnie niepojęte.

Inger Johanne siedziała z laptopem na kolanach i bez żadnego planu surfowała po sieci. Zajrzała na stronę „New York Timesa” i „Washington Post”, ale nie mogła się skupić. Na stronach „The National Enquirer” przynajmniej coś ją rozbawiło.

Ragnhild już mocno spała, a Isak usypiał Kristiane. Inger Johanne, chociaż nie bardzo jej się to podobało, przyłapała się na tym, że chciała, by został. Żeby otrząsnąć się z tej myśli, sprawdziła pocztę. Do skrzynki wpadły trzy nowe wiadomości. Dwie irytujące reklamy, w tym jedna tabletek wyszczuplających na bazie kryla i niedźwiedzich pazurów, i list od kogoś, czyjego nazwiska przez chwilę nie mogła skojarzyć.

Karen Ann Winslow.

Inger Johanne nie zapomniała Karen Winslow. Studiowały razem w Bostonie, całe wieki i dwa małżeństwa temu. To było wtedy, kiedy Inger Johanne wciąż wierzyła, że zostanie psychologiem, i nawet jej się nie śniło, że niedługo potem rzuci prestiżowe studia dla kursu organizowanego przez FBI, za który omal nie zapłaciła życiem.

Otworzyła e-mail wysłany z prywatnego adresu niemówiącego nic o tym, gdzie Karen pracuje.

Kochana Inger, pamiętasz mnie? Dawno się nie widziałyśmy! Spędziłyśmy razem wspaniałe dni w szkole i od czasu do czasu o Tobie myślę. Co u Ciebie? Masz męża? Dzieci? Nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem.

Wrzuciłam w Google Twoje nazwisko i znalazłam ten adres. Mam nadzieję, że dobry.

10 stycznia przyjeżdżam do Norwegii na ślub. Moja bliska przyjaciółka wychodzi za mąż za norweskiego kardiologa. Ślub odbędzie się w Lillesand, niedużym mieście niedaleko Oslo. Czy wciąż tam mieszkasz?

Inger Johanne stwierdziła, że amerykańskie pojmowanie „niedaleko” dość brutalnie się zderzy z rzeczywistością na krętej, śmiertelnie niebezpiecznej E18 na południe.

Będę musiała przyjechać bez męża i trójki dzieci (mam dwie córki i syna, wspaniałe dzieciaki!), rodzina ma inne zajęcia. W Oslo będę trzy dni przed ślubem i bardzo bym chciała się z Tobą zobaczyć! Czy to możliwe? TYLE mamy do nadrobienia. Proszę, odezwij się jak najszybciej. A tak w ogóle, to zatrzymam się w hotelu Grand w centrum Oslo.

Ucałowania.

Karen

Ma rację, przynajmniej jeśli chodzi o usytuowanie hotelu, pomyślała Inger Johanne i zamknęła list. Weszła na stronę Google i w pole wyszukiwarki wstukała pełne imię i nazwisko Karen.

Dwieście sześć trafień.

Musiały być co najmniej dwie Amerykanki o tym nazwisku, bo wiele stron dotyczyło siedemdziesięcioletniej autorki książek dla dzieci. Z tego, co Inger Johanne pamiętała, tamtej jesieni, gdy sama wybrała Quantico, Karen miała zacząć studia prawnicze. O ile dobrze знаła tamtą młodą kobietę, to ukończyła je ze znakomitym wynikiem. A wiele trafień dotyczyło adwokatkę z kancelarii American Poverty Law Center, APLC, z siedzibą w Alabamie. Ta Karen Ann Winslow – szybkie przejście kilku artykułów pozwalało sądzić, że jest w tym samym mniej więcej wieku co Inger Johanne – kierowała między innymi kampanią przeciwko stanowi Missisipi, której celem było zamknięcie wielkich więzień dla nieletnich przestępców, bo wykazano w nich ciężkie przypadki pogwałcenia elementarnych praw dziecka.

Inger Johanne, wchodząc na tę stronę, przypomniała sobie, że już kiedyś na nią zaglądała. Kancelaria prawnicza zaliczała się do najlepszych w Stanach Zjednoczonych pod względem ścigania przestępstw z nienawiści. Oprócz udzielania bezpłatnej pomocy ubogim ofiarom, głównie Afroamerykanom, prowadziła rozległe kampanie w imieniu ubogich i prześladowanych. Poza tym jej dziełem była imponująca działalność śledcza, mająca na celu rejestrację grup motywowanych nienawiścią, a pochodzących z całego wielkiego kontynentu amerykańskiego.

Inger Johanne zaczęła przeglądać ich stronę, ale nie znalazła żadnych zdjęć pracowników. Domyśliła się, że nie ma ich ze względów bezpieczeństwa. Poczytała trochę i nabrała pewności, że adwokat Karen Ann Winslow z APLC to jej dawna koleżanka ze studiów.

– Idealnie – mruknęła.

– Zgadza się. – Isak ciężko opadł na fotel stojący naprzeciwko kanapy, na której

siedziała Inger Johanne. – Dzieciaki śpią, więc jeśli pozwolisz, zajrzę do twojej lodówki i zobaczę, co zdołam zdziałać.

Inger Johanne nawet nie podniosła oczu znad komputera. Przełączyła się z powrotem na Outlook.

– Możesz robić, co chcesz – mruknęła. – Ja się nie przejadłam tymi kielbaskami.

Kochana Karen!

Bardzo Ci dziękuję za e-mail. Oczywiście, z ogromną chęcią się z Tobą zobaczę! Mieszkam w Oslo i najserdeczniej zapraszam Cię do nas na parę dni. Muszę Cię jednak ostrzec, że zostałam pobłogosławiona dwiema córkami, prawdziwymi urwisami.

Palce pobiegły po klawiaturze. Inger Johanne nie myślała, raczej miała wrażenie, że istnieje bezpośrednia linia łącząca jej dłonie ze wszystkim, co przeżyła w ciągu ponad siedemnastu lat. Nic nie potrzebowało opracowania, rozważenia, jakby w ogóle się nie zastanawiała, tylko opowiadała. Pisała o dzieciach, o Yngvarze, O pracy. Karen Winslow była daleko, po drugiej stronie oceanu. Dawna szkolna przyjaciółka nikogo tu nie знаła, więc nie trzeba było z nikim się liczyć. Inger Johanne pisała o swoim życiu naukowca, o projektach, o lękach, że nie jest dostatecznie dobrą matką dla dziewczynki, której nikt oprócz niej nie potrafi zrozumieć. Ona zresztą też nie, szczerze mówiąc. Pisała bez zahamowań do dziewczyny, z którą była kiedyś młoda i swobodna. Miała niemal wrażenie, że się spowiada.

– *Voilà!* – Isak postawił przed nią wielki talerz. – Spaghetti carbonara z niewielkim urozmaiceniem. Nie miałaś bekonu, więc jest szynka. Nie miałaś jajek, więc zrobiłem sos z tego kawałka sera pleśniowego, który znalazłem. Nie miałaś nawet spaghetti, więc są tagliatelle. I jeszcze jakaś szalona ilość drobno posiekanego i leciutko podsmażonego czosnku. Nie wiem, czy można to nazwać spaghetti carbonara.

Inger Johanne powąchała.

– Pachnie bosko – powiedziała nieobecny tonem. – W tej narożnej szafce jest wino, jeśli chce ci się otworzyć butelkę. Dla mnie woda Farris. Przyniesiesz?

Znów patrzyła w ekran i w roztargnieniu przygryzała dolną wargę.

Potem zdecydowanym ruchem zaznaczyła cały tekst z wyjątkiem trzech pierwszych linijek i wcisnęła „delete”. Szybko dopisała zakończenie.

Jak najszybciej podaj mi szczegóły Twojego przyjazdu. Naprawdę nie mogę się już doczekać, kiedy Cię zobaczę. Naprawdę!

Wszystkiego dobrego.

Inger

– Do kogo piszesz z takim zapałem? – zainteresował się Isak. Położył nogi na stole, talerz postawił sobie na piersi i zaczął pochłaniać makaron.

Jego maniery zawsze ją irytowały.

Po prostu ich nie miał.

Całą dłonią sięgnął po napełniony winem aż po brzegi kieliszek i zaczął siorbać z ustami pełnymi jedzenia.

– Jesz jak świnia, Isak.

– Do kogo piszesz?

– Do przyjaciółki – odparła krótko. – Do bardzo starej przyjaciółki.

Zamknęła laptop, odłożyła go i nachyliła się nad talerzem. Potrawa była równie pyszna, jak pysznie pachniała. Siedzieli, nie odzywając się do siebie, dopóki nic już nie zostało.

* * *

W szklance do pjołtera nic nie zostało.

Pjołtery były słabością Marcusa.

W jego pokoleniu już mało kto kojarzył tę nazwę. Koledzy z obrzydzeniem marszczyli nosy, gdy w wysokich szklankach mieszał koszmarnie drogą whisky z wodą sodową. Pjołter był stałym long drinkiem dziadka: jeden pjołter co sobota o ósmej wieczorem po cotygodniowej kąpieli i myciu włosów. Marcus Junior spróbował go po raz pierwszy w dzień confirmacji. Poczul gorzki smak, ale przełknął. W opinii dziadka pjołtery pili prawdziwi mężczyźni i w taki oto sposób ów archaiczny drink stał się znakiem rozpoznawczym Marcusa.

Zastanawiał się, czy nie zmieszać sobie jeszcze jednego, ale zrezygnował.

Rolfa nie było. Jakiegoś tresowanego konia zabolalo przednie lewe kolano, a ponieważ zwierzę kosztowało półtora miliona koron, właściciel nie miał ochoty czekać, aż klinika zostanie otwarta piątego stycznia. Godziny otwarcia kliniki Rolfa w najlepszym razie stanowiły wskazówkę, w najgorszym – wprowadzały w błąd. Co najmniej dwa razy w tygodniu telefonowano do niego wieczorem i musiał jechać.

Mały Marcus spał.

Psy też już się ułożyły do snu, w domu panowała cisza.

Marcus spróbował włączyć telewizor. Jakiś nieokreślony niepokój nie pozwalał mu podjąć decyzji, czy ma iść spać, czy może obejrzeć jakiś serial w telewizji, na przykład coś w rodzaju *Dowodów zbrodni*, po prostu cokolwiek, co pozwoliłoby myślom odpocząć.

Odbiornik był jak martwy. Marcus uderzył pilotem o udo i spróbował go włączyć jeszcze raz. Nic się nie zmieniło. Pewnie baterie. Ziewnął i postanowił mimo wszystko iść do łóżka. Sprawdzić pocztę elektroniczną, umyć zęby i położyć się.

Z salonu poczłapał przez hol do gabinetu. Komputer był włączony. W skrzynce odbiorczej nie znalazł nic interesującego. Sennie wszedł na stronę dagbladet.no. Też nic ciekawego. Przesunął stronę w dół.

Śmierć kontrowersyjnego artysty.

Nagłówek zamigotał mu w oczach.

Palec wskazujący zatrzymał się na kółeczku do przewijania ekranu. Przesunął stronę z powrotem do góry.

Śmierć kontrowersyjnego artysty.

Serce zaczęło walić. Głowa wydawała się taka lekka. Oby tylko nie znów! Oby tylko to nie był atak!

Ale to nie panika go ogarniała. Poczul się silny. Przytomny. Powoli zaczął czytać.

Kiedy skończył, wylogował się i z szuflady biurka wyjął nieduży śrubokręt. Kucnął na podłogę, odkręcił cztery śruby mocujące pokrywę komputera, otworzył ją i delikatnie wyciągnął twardy dysk. Z innej szuflady wyjął drugi. Łatwo go było zamontować. Założył pokrywę, przykręcił śruby i odłożył śrubokręt na miejsce. Na koniec wsunął komputer z powrotem pod biurko.

Wyjęty twardy dysk zabrał ze sobą.

Ani trochę nie chciało mu się spać.

Kobieta, która stała w hali przylotów z zagranicy na Gardermoen, dziwiła się, że nie jest ani trochę senna. Przecież przyjechała samochodem z daleka, a poza tym miała za sobą dwie niespokojne noce. Ostatnie kilkadziesiąt kilometrów przed lotniskiem towarzyszył jej strach, że zaśnie za kierownicą. Teraz jednak wydawało się, że powróci ten sam niepokój, który odbierał jej spokojny sen.

Enty raz sprawdziła godzinę na zegarku.

Samolot rzeczywiście się opóźnił, tak mówiła tablica w hali przylotów. SK1442 z Kopenhagi miał wylądować o 21.50, ale dotknął ziemi dopiero czterdzieści minut później. Od tamtej pory upłynęły już ponad trzy kwadranse.

Kobieta krążyła przed wyjściem ze służby celnej. Panowała cisza, o tak późnej porze w

międzyświęteczną sobotę lotnisko wydawało się wręcz opustoszałe. Krzesła przy małej kafeterii, w której zaraz po dotarciu na lotnisko kupiła kawę i niejadalny kawałek wystygłej pizzy, były puste, ale ona po prostu nie miała w sobie dość spokoju, żeby usiąść.

Na ogół lubiła lotniska. Kiedy była młodsza i główne norweskie lotnisko w rzeczywistości znajdowało się w Danii, a małe Fornebu było największym portem lotniczym, jakim dysponował kraj, potrafiła w jedną czy drugą niedzielę jechać tam tylko po to, żeby popatrzeć na samoloty. Na ludzi. Na grupki pewnych siebie pilotów, uśmiechniętych kobiet i olśniewająco pięknych stewardes. Potrafiła przesiedzieć kilka godzin przy herbacie z własnego termosu, snując historie o wszystkich tych osobach, które pojawiały się i znikwały. Lotniska wywoływały w niej osobliwy nastrój Zaciekawienia, oczekiwania i tęsknoty za domem.

Teraz czuła niepokój graniczący z irytacją.

Już dawno nikt nie wyszedł z kontroli celnej.

Kiedy się odwróciła i spojrzała na tablicę świetlną, zobaczyła, że przy SK1442 nie ma już napisu *Bags on belt*. Wiedziała, co to oznacza, ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Jeszcze nie.

Marianne dałaby znać, gdyby coś ją zatrzymało.

Przysłałaby jej wiadomość. Zadzwoiłaby. Jakoś by ją zawiadomiła.

Podróż z Sydney z międzylądowaniem w Tokio i w Kopenhadze miała potrwać ponad trzydzieści godzin. Oczywiście coś mogło się wydarzyć w jednym czy drugim miejscu. W Tokio. A może w Sydney. Czy nawet w Kopenhadze.

Marianne dałaby jej znać.

Leciuteńki strach usadowił się w karku. Kobieta podjęła nagłą decyzję i podbiegła do wejścia prowadzącego na korytarz do odprawy celnej. Złamanie zakazu wejścia nie byłoby raczej właściwym posunięciem, procedury bezpieczeństwa przyjęte przez transport lotniczy po jedenastym września 2001 roku mogły z tego, co wiedziała, oznaczać nawet rozkaz użycia przez celników broni palnej.

– Halo! – zawołała półgłosem, wsuwając głowę za ściankę. – Jest tam ktoś?

Nikogo.

– Halo! – powtórzyła, tym razem głośniej.

Zza przeciwległej ściany odległej o pięć metrów wyłonił się mężczyzna w mundurze celnika.

– Słucham? Tędy nie wolno chodzić!

– Wiem, wiem. Ja tylko chciałam... Czekam na kogoś, kto miał przylecieć samolotem

z Kopenhagi, tym, który wylądował godzinę temu, SK1442, ale nie przyleciał. Czy mógłby pan... Czy byłby pan taki miły i sprawdził, czy tam zostali jeszcze jacyś pasażerowie?

Przez moment wydawało się, że mężczyzna odmówi. Bieganie na posyłki nie należało do jego obowiązków. A jednak z jakiegoś powodu wzruszył tylko ramionami i powiedział z uśmiechem:

– Wydaje mi się, że tam już nikogo nie ma, ale proszę zaczekać.

Zniknął.

Komórka mogła się wylądować.

No tak, oczywiście, pomyślała i odetchnęła z ulgą. Wiadomo przecież, jak trudno w dzisiejszych czasach znaleźć telefon na monety. A nawet gdyby się go znalazło, to można nie mieć monet. Większość publicznych automatów akceptowała wprawdzie karty płatnicze, ale kobieta po dłuższym namyśle stwierdziła, że na pewno coś się stało z komórką Marianne.

– Pusto. Cicho jak w grobie. – Celnik miał ręce w kieszeniach. – Spodziewamy się dziś wieczorem jeszcze dwóch czy trzech samolotów, ale akurat w tej chwili nic się nie dzieje. Pas z bagażami z Kopenhagi też jest pusty.

Wyjął ręce z kieszeni, żeby rozłożyć je w przepaszającym geście.

– Dziękuję – powiedziała. – Bardzo panu dziękuję za pomoc.

Wyprostowała się i ruszyła w stronę ruchomych schodów prowadzących do hali odlotów. Sprawdziła własną komórkę, nie miała żadnych wiadomości, żadnych nieodebranych połączeń. Jeszcze raz spróbowała zadzwonić do Marianne, ale od razu włączyła się sekretarka. Nogi zaczęły biec same z siebie, ruchome schody posuwały się za wolno. Kiedy dotarła na górę, gwałtownie się zatrzymała.

Jeszcze nigdy nie widziała hali odlotów tak pustej i cichej.

Tylko przy kilku stanowiskach siedział znudzony personel naziemny. Dwie osoby czytały gazety. Od południowej strony dochodziło powarkiwanie maszyny sprzątającej, która wolno sunęła po podłodze. Kierował nią ciemnoskóry mężczyzna. Otwarte było tylko jedno stanowisko kontroli bezpieczeństwa, a i tak nikogo przy nim nie widziała. Przypominało to scenę z filmu o dniu Sądu Ostatecznego. Gardermoen powinno tętnić życiem, powinno być męczące i niezycliwe, pełne zniecierpliwionych pasażerów i obsługi, która nigdy nie robiła nawet ciut więcej niż to, co bezwzględnie musiała.

Z sercem w gardle ruszyła zdecydowanym krokiem do stanowiska SAS-u po drugiej stronie hali. Tu też nie było ludzi. Kilka razy przełknęła ślinę i rękawem otarła lepki pot z czoła.

Z zaplecza wyłoniła się starsza kobieta.

– W czym mogę pomóc?

– Przyjechałam po...

Kobieta usiadła po drugiej stronie kontuaru i nie podnosząc wzroku, zalogowała się w komputerze.

– Wysłałam na samolot z Kopenhagi. Czekałam na partne...

– I co, nie pojawił się? – przerwała jej pracownica SAS-u.

– Ona. To ona. Marianne Kleive.

Kobieta za kontuarem, wyraźnie zdezorientowana, podniosła głowę, ale zaraz zrobiła grzeczną minę i znów skoncentrowała się na klawiaturze.

– Ach tak. Aha.

– Ale się nie pojawiła. Była w Australii i miała mieć międzylądowanie w Tokio i w Kopenhadze. Zastanawiałam się... Mogłaby pani sprawdzić, czy w ogóle wsiadła do samolotu?

– Nie, niestety. Nie mogę udzielać takich informacji.

Może sprawiła to groźna pustka gigantycznej hali, a może raczej bezsenne noce albo ten niewyjaśniony niepokój, który dręczył ją przez cały ostatni tydzień. Mogła również odezwać się spychana w głąb świadomość, że są wszelkie powody do rozpacz. W każdym razie kobieta w czerwonym anoraku po raz pierwszy w dorosłym życiu publicznie się rozplakała.

Cicho, bez żadnego dźwięku łzy potoczyły się jej po policzkach przez dołeczki z obu stron ust, tak głębokie, że nawet teraz widoczne, i spływały na ostrą brodę. Wielkie krople zaczęły skapywać na jasne drewno kontuaru.

– Pani płacze? – Nad oczami pracownicy SAS-u zarysowała się zmarszczka współczucia.

Kobieta nie odpowiedziała.

– Proszę posłuchać. Jest już późno. Pani jest na pewno zmęczona. Nie ma tu nikogo i...

– Prędko zerknęła w bok na drzwi prowadzące na zaplecze i zniżyła głos: – Jaki lot?

Kobieta w anoraku położyła na kontuarze złożoną kartkę.

– To kopia trasy podróży – szepnęła i wierzchem obydwu dłoni otarła twarz.

Sama nie mogła zobaczyć ekranu, więc tylko utkwiała wzrok w oczach tamtej starszej kobiety. Poruszały się szybko, patrząc to na klawiaturę, to na monitor. Nagle zmarszczka na czole jeszcze się pogłębiła.

– Miała bilet – powiedziała w końcu. – Ale nie wsiadła do samolotu. Ona... – Klawisze klikały pod szybko tańczącymi palcami. – Marianne Kleive miała bilet, ale się nie zgłosiła.

– W Kopenhadze?

– Nie. W Sydney.

To było niepojęte. Niemożliwe. Marianne z całą pewnością w jakiś sposób by ją powiadomiła, gdyby coś przeszkodziło jej w powrocie do domu. Minęło już ponad trzydzieści godzin, odkąd samolot oderwał się od australijskiej ziemi i w ciągu tak długiego czasu Marianne znalazłaby jakiś telefon, komputer z dostępem do internetu, cokolwiek. To było po prostu nie do pojęcia.

– Chwileczkę. – Pracownica SAS-u jeszcze raz sięgnęła po kopię trasy podróży.

Kobieta w anoraku miała czterdzieści trzy lata, a na imię Synnøve i z wyglądu rzeczywiście przypominała dziewczynę z logo tradycyjnej marki serów o takiej właśnie nazwie. Jasne włosy miała splecione w warkocze, twarz bez śladu makijażu i z łatwością można by jej dać o dziesięć lat mniej. Dotarła na wysokość stu czterdziestu metrów poniżej szczytu Mount Everest, skąd niestety musiała zawrócić, i opłynęła kulę ziemską. Zetknęła się z piratami w okolicach Wysp Kanaryjskich, była o włos od śmierci podczas nurkowania koło wyspy Stord. Synnøve Hessel umiała myśleć szybko i konstruktywnie, a jej pomysłowość i bystrość wielokrotnie ratowała życie jej i innym.

A teraz wszystko się zatrzymało. Całkowicie znieruchomiło.

– Bardzo mi przykro – szepnęła pracownica SAS-u. – Marianne Kleive miała bilet do Sydney na ubiegłą niedzielę, ale widzę, że...

Kiedy napotkała wzrok kobiety w czerwonym anoraku, zakłuło ją w piersi.

– Przykro mi – powtórzyła mimo wszystko. – Ona nie wyjechała. Marianne Kleive nie wykorzystała biletu. W każdym razie tego do Sydney. Może poleciała gdzie indziej. Na inny bilet.

Nie dziękując za tę życzliwą i absolutnie nieregulaminową pomoc, w ogóle nie odzywając się ani słowem, nie zabierając nawet kopii trasy podróży, której nikt nie odbył, Synnøve Hessel odwróciła się od stanowiska informacji SAS-u i puściła biegiem przez pustą halę odlotów.

Nie miała tylko pojęcia, dokąd biegnie.

Syn szczęścia

Trude Hansen stała z ręką na klamce, ale nie pamiętała już, dokąd idzie. Zachwiała się i przypomniała sobie, że zdobyła już dość, żeby dotrzeć do jutra. Ulga, którą poczuła, była tak duża, że kolana się pod nią ugięły, i kiedy puściła klamkę, musiała oprzeć się o ścianę.

W środku śmierdziało coraz gorzej.

Powinna coś z tym zrobić.

Już niedługo, pomyślała, i zataczając się, przeszła do niedużego pokoju. We wnęce, na niezaścielonym łóżku leżał śpiwór, a na samym dnie śpiwora czerwona kosmetyczka z obrazkiem Hello Kitty. Ktoś domalował kotkowi kły i piracką klapkę na oku. Chociaż dłonie nie chciały Trude słuchać, udało jej się w końcu wyjąć kosmetyczkę i rozpiąć suwak. Wszystko było na swoim miejscu.

Sprzęt. Trzy działki.

Tak jak nie wiadomo już ile razy wcześniej, zastanowiła się, czy nie wziąć wszystkiego od razu. Półprzytomnie, ale rutynowo, zaczęła kalkulować możliwość, czy nie bardziej opłaca się już ze wszystkim skończyć, świadomie przedawkowując. Odrzuciła ten pomysł z taką samą pewnością, z jaką zawsze nachodziły ją podobne myśli, gdy z rzadka dysponowała odpowiednią ilością heroiny. Taką pozwalającą w ogóle rozważyć samobójstwo. Prawdopodobnie i tak by nie umarła. A po dojściu do siebie znów by nic nie miała na potem.

Myśl o tym, że miałoby jej zabraknąć narkotyku, była gorsza niż myśl o dalszym życiu.

Z kosmetyczką w ręku z trudem przeszła kilka kroków do zielonej kanapy stojącej pod drugą ścianą. Pełno na niej było pustych butelek po piwie z wczorajszej imprezy. Komuś w ciągu nocy papieros upadł na poduszkę. Trude przez chwilę wpatrywała się w duże, brązowe kółko z wypaloną czarną dziurą na środku.

Nad kanapą wisiało confirmacyjne zdjęcie Runara.

Zdjęła je ze ściany i ciężko osunęła się między butelki.

Runar patrzył na nią z wielkiej fotografii na grubym papierze w złotej ramce. Włosy miał ostrzyżone na czeskiego piłkarza, z loczkami zrobionymi trwałą. Pastelowoniebieski garnitur, wąski różowy krawat. Pamiętała, jak ślicznie wyglądał jej starszy brat. Najładniej w całym kościele. Później, kiedy ceremonia wreszcie się skończyła i mama chciała jak najszybciej wracać do domu, zanim ktoś z pozostałych rodziców nie zacznie wypytywać jej o przyjęcie, Runar na jednej ręce zaniósł siostrę aż do autobusu, chociaż miała dziewięć lat i była za gruba.

Jedli kurze skrzydełka.

Mama, Runar i ona.

Runar nie dostał żadnego prezentu, bo wszystkie pieniądze poszły na nowy garnitur, na fryzjera i fotografa. Ale jedli skrzydełka z frytkami, a Runar miał jeszcze piwo. Uśmiechał się. Ona się śmiała. Mama pachniała czysto i przyjemnie.

Ospałym ruchem wyjęła łyżeczkę i palnik bunsenowski, który dał jej Runar. Już niedługo poczuje się lepiej. Naprawdę niedługo. Oby tylko ręce bardziej chciały jej słuchać.

Otępiący mózg próbował obliczyć, ile czasu upłynęło od śmierci Runara. Dziewiętnaście plus dziewiętnaście. Nie, błąd. Od dziewiętnastego do dziewiętnastego było trzydzieści jeden dni. Albo trzydzieści. Nie pamiętała, ile dni ma listopad. Ani ile dni upłynęło później. Nie była w stanie nawet sobie przypomnieć, jaki dzień jest dzisiaj.

Z całą pewnością wiedziała jedynie, że Runar zmarł dziewiętnastego listopada.

Była wtedy w domu. Miał przyjść. Obiecał, że przyjdzie. Miał tylko zdobyć pieniądze. Zdobyć heroinę. Załatwić wszystko, czego potrzebowała. Runar miał pomóc młodszej siostrze, tak jak zawsze.

Jego nieobecność się przeciągała. Przeciągała się jak cholera. W końcu pojawiły się gliny.

Przyszli tutaj. Zadzwonili do drzwi o bladym świetle. Kiedy otworzyła, policjanci powiedzieli, że w nocy ktoś napadł na Runara w parku Sofienberg. Odniósł ciężkie obrażenia głowy i prawdopodobnie nie żył już wtedy, gdy wzywano karetkę. W każdym razie nie dotarł żywy do szpitala.

Policjantka była poważna, może próbowała ją pocieszać.

Trude nie pamiętała nic oprócz tego, że wcisnięto jej do ręki kartkę. Numer telefonu i adres zakładu pogrzebowego. Pięć dni później obudziła się późno i zrozumiała, że nie zdążyła na pogrzeb.

Od tamtej pory gliny nie kiwnęły palcem.

Nikogo nie złapali.

Nie miała żadnych wiadomości.

Opróżniła strzykawkę w żyłę pod kolanem, a przyjemne ciepło zaczęło rozlewać się po ciele tak szybko, że aż zaparło jej dech w piersiach. Powoli osunęła się na zieloną kanapę. Cienkimi jak patyki rękami objęła zdjęcie Runara. Zanim wszystko zmieniło się w ciepłe obłoki nicości, zdążyła jeszcze pomyśleć, że starszy brat w dzień swojej confirmacji oddał jej trzy ostatnie skrzydełka kurczaka i pierwszy raz w życiu dostał piwo od mamy.

Policji nie obchodzili tacy jak Runar.

Tacy jak ona i Runar.

* * *

– Czy pana w ogóle cokolwiek obchodzi?

Synnøve Hessel po raz pierwszy od ponad trzech kwadransów zaczynała tracić panowanie nad sobą. Nachyliła się nad policjantem, mocno zaciskając ręce na krawędzi blatu biurka, jakby się bała, że inaczej go pobije.

– Oczywiście – odparł, nie patrząc na nią. – Ale pani z pewnością rozumie, że musimy zadawać pytania. Gdyby pani miała pojęcie, ile osób po prostu ucieka od swojego zwykłego życia bez...

– Marianne nie uciekła! Kiedy pan wreszcie pojmie, że nie miała żadnego powodu uciekać?

Policjant westchnął z rezygnacją, przerzucił leżące przed nim papiery i zerknął na zegarek. W niewielkim pokoju przesłuchań robiło się nieznośnie gorąco. Wentylacja szumiała na suficie, ale termostat musiał się popsuć. Synnøve Hessel zdjęła robiony na drutach sweter z ludowym wzorem i odciągnęła od ciała koszulkę, żeby się trochę ochłodzić. Między piersiami rysowała się owalna wilgotna plama. Czowała też, że cieknie jej spod pach. Postanowiła się tym nie przejmować. Policjant cuchnął jeszcze bardziej niż ona.

Na posterunku na Gardermoen byli przynajmniej uprzejmi, prawie życzliwi, chociaż nie mogli jej poradzić nic poza odesłaniem jej na komendę policji w miejscu zamieszkania.

Oczywiście było im przykro i nawet zaproponowali kawę. Jakaś starsza kobieta w mundurze próbowała ją uspokajać, mówiąc to, co najwyraźniej wszyscy tu wiedzieli. Ludzie stale giną, potem znów się pojawiają. Prędzej czy później.

Dla Synnøve Hessel „później” oznaczało „za późno”.

Było już popołudnie, a nocna podróż do Sandefjord okazała się prawdziwym wyzwaniem.

– Podsumujmy – zaproponował policjant, dopijając colę z butelki.

Synnøve Hessel nie odpowiedziała. Podsumowywali już dwa razy, co nie doprowadziło tego mężczyzny ani o ząbek dalej do zrozumienia rzeczywistego wymiaru sytuacji.

– Pani jest mimo wszystko... – Poprawił okulary i przeczytał: – Twórcą filmów dokumentalnych.

– Producentką.

– No właśnie. Wobec tego wie pani lepiej niż inni, jak wygląda rzeczywistość.

– Mieliśmy podsumować.

– No tak. A więc Mariannę Kleive wybierała się do... Wologo... Wolongo.

– Wollongong. To miasto niedaleko Sydney. Zamierzała odwiedzić cioteczną babkę, spędzić u niej święta.

– Bardzo krótki wyjazd jak na taką długą podróż.

– Słucham?

– Mówię tylko – mężczyzna przeciągał słowa – że gdybym ja się wybrał w taką daleką drogę, aż do Australii, to zostałbym tam dłużej niż niecały tydzień.

– To chyba nie ma nic do rzeczy.

– Proszę tak nie mówić. A więc wyjechała z Sandefjord w sobotę dziewiętnastego grudnia pociągiem o...

– Dwunastej trzydzieści osiem.

– Mhm. I w Oslo miała się najpierw spotkać z przyjaciółką...

– Do tego spotkania doszło, sprawdzałam.

– Po czym nocowała w hotelu, żeby rano w niedzielę o dziewiątej trzydzieści polecieć do Kopenhagi.

– I nie dotarła tam.

– Nie dotarła do Kopenhagi?

– Na Gardermoen. To znaczy, oczywiście możliwe, że na lotnisko dotarła, ale nie wsiadła do samolotu do Kopenhagi. Co z dużym prawdopodobieństwem oznacza, że nie poleciała również dalej, do Tokio i Sydney.

Policjant nie zauważył sarkazmu. Bez skrępowania podrapał się w krocze. Sięgnął po butelkę coli, ale stwierdziwszy, że jest już pusta, zaraz ją odstawił.

– Dlaczego zorientowała się pani dopiero wczoraj wieczorem? Czy ona nie ma komórki, ta pani... ta pani kobieta?

– Ona nie jest moją kobietą. To moja partnerka. A faktycznie moja żona. Jeśli tak panu wygodniej.

Uśmiech policjanta wyraźnie świadczył, że wygodniej mu nie jest.

– I jak już powtarzałam kilka razy – Synnøve nachyliła się do niego z komórką w rękę – w ciągu tego tygodnia dostałam od niej trzy SMS-y. Wszystko wskazywało na to, że Marianne naprawdę jest w Australii.

– Ale nie rozmawiałyście ze sobą?

– Nie. Mówiłam już, że od niedzieli próbowałam do niej dzwonić dwa czy trzy razy, ale nie mogłam się połączyć. Wczoraj wieczorem próbowałam co najmniej dziesięć razy. Od razu włącza się sekretarka, więc przypuszczam, że bateria się wyładowała.

– Proszę mi pokazać te SMS-y.

Synnøve prędko otworzyła skrzynkę odbiorczą i podała mu telefon.

–.Wszystko OK. Bardzo intrsujący kraj. Marianne”.

Policjant nawet nie przeczytał tego płynnie, tylko długo wydziwiał, że „interesujący” napisano z błędem.

– Niezbyt... – podjął, próbując znaleźć właściwe słowo, a jednocześnie czytał następną wiadomość – ...niezbyt romantyczne. „U mnie wszystko w porządku. Marianne”.

Spojrzał na Synnøve ponad okularami. Snus ułożył mu się w kącikach ust jak czarne strupy, stale pluł maleńkimi ziarenkami.

– Zwykle jesteście dla siebie takie... oschłe?

Synnøve po raz pierwszy zaniemówiła. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Pytanie było trafione, wiedziała o tym, bo właśnie te krótkie, bezosobowe i dość niezwykle SMS-y obudziły jej niepokój. Nad pierwszym, który przyszedł w poniedziałek, długo się nie zastanawiała. Marianne mogła się spieszyć, cioteczna babka mogła się okazać osobą wymagającą. Mogło być tysiąc powodów takiej krótkiej wiadomości lub w ogóle jej braku. W Wigilię przyszło tylko suche „Wesołych Świąt”, co uraziło już Synnøve dość głęboko. Ale ostatni SMS, mówiący, że u Marianne wszystko w porządku, nic więcej, nic mniej, nie pozwolił jej zasnąć przez dwie noce.

– Nie – odpowiedziała wreszcie, gdy cisza stawała się już zbyt kłopotliwa. – Właśnie dlatego nie wierzę, by to ona je napisała. Nigdy nie zrobiłaby błędu w słowie „interesujący”.

Policjant otworzył oczy tak dramatycznie, że przypominał klauna na nieudanej imprezie dla dzieci. Zza uszu sterczały mu pęki włosów, usta miał wilgotne i czerwone, a nos przypominał okrągły kartofel.

– No to mamy pewną teorię – stwierdził, przeciągając „o” tak długo, jak tylko mógł. – Ktoś ukradł komórkę Marianne i wysyłał wiadomości zamiast niej.

– Nie to chcę powiedzieć – zaprotestowała, chociaż przecież właśnie o to jej chodziło.

– Ale czy pan nie rozumie, że... że jeśli Marianne padła ofiarą przestępstwa i ktoś...

Przestępstwa.

To słowo aż ją zakłuło. Sprawilo fizyczny ból. Do tej pory nawet nie śmiała o tym pomyśleć. Tak naprawdę. Nazywając rzecz po imieniu.

Przestępstwo.

– ...i ktoś chciał utrudnić jego odkrycie – dokończyła.

– Odkrycie?

– Tego, że zaginęła albo że...

Drugi raz w ciągu doby zaczynała płakać przy obcych.

Ktoś zastukał do drzwi.

– Kvam! Szukają cię w dyżurce.

Do pokoju zajrzał uśmiechnięty funkcjonariusz w mundurze. Położył rękę na ramieniu cuchnącego kolegi i wskazał na drzwi.

– Podobno pilna sprawa.

– Przecież ja prowadzę...

– Przejmę za ciebie.

Komisarz Kvam wstał z kwaśną miną i zaczął zbierać leżące przed nim papiery.

– Zostaw to wszystko, ja dokończę. Sprawa dotyczy zaginięcia, tak?

Kvam wzruszył ramionami, ledwie kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Synnøve Hessel – odezwał się nowy policjant. – Całe lata minęły...

Uniosła się lekko na krzesło i uściśnięła wyciągniętą rękę.

– Kjetil? Kjetil Berggren?

– Ten sam. Zauważyłem cię tutaj i... i trochę... – Machnął ręką. – Zaniepokoiłem się, że to Ola Kvam ma przyjąć zgłoszenie. On... on właściwie jest już na emeryturze, ale teraz w święta ściągamy ludzi na zastępstwo... No cóż, na pewno rozumiesz. Wszyscy mamy swoje problemy. Przyszedłem, kiedy tylko uporałem się z własną robotą.

Kjetil Berggren chodził klasę niżej do tej samej szkoły. Pewnie w ogóle by go nie pamiętała, gdyby nie to, że zdobył mistrzostwo szkoły w lekkoatletyce. Już w pierwszej klasie liceum pobił rekord na trzy tysiące metrów w Bugårdsparken, był też w krajowej reprezentacji juniorów. Bezpośrednio po skończeniu szkoły średniej poszedł na studia do Wyższej Szkoły Policynnej.

Wciąż wyglądał na człowieka, który jest w stanie uciec przed każdym.

– Obserwowałem, co robisz. – Z szerokim uśmiechem splótł palce na karku i odchylił

się do tyłu razem z krzesłem. – Fajne programy. Szczególnie ten, który zrobiłaś...

– Musisz mi pomóc, Kjetil.

Wydało jej się, że źrenice mu się zmniejszyły. Może dlatego, że światło nagle padło mu w oczy, kiedy opuścił przednie nogi krzesła i nachylił się do niej.

– Właśnie po to tu jestem. Jesteśmy. My. Policja. *To protect and to serve** [*By chronić i służyć.].

Znów zmusił się do uśmiechu, który i tym razem pozostał nieodwzajemniony.

– Jestem absolutnie, bezwzględnie przekonana, że coś złego przytrafiło się mojej partnerce.

Kjetil Berggren wolno poskładał leżące przed nim papiery i włożył je do teczki, którą pchnął na lewą stronę dzielącego ich wielkiego biurka.

– Lepiej będzie, jak sama mi wszystko opowiesz. Od początku.

* * *

Początkowo rozumiał ojca.

Kiedy policja zadzwoniła do drzwi jednorodzinного domu w Os w nocy z Wigilii na pierwszy dzień świąt, tuż przed tym, kiedy wszyscy mieli iść spać, Lukas Lysgaard pomyślał przede wszystkim o ojcu. Policjanci tymczasem oznajmili, że to matka nie żyje, i wyglądali na szczerze zrozpaczonych koniecznością przekazania tak przykrej wiadomości. Wprawdzie towarzyszył im proboszcz z Fana, najbliższy ze współpracowników matki, ale ten nieszczęsny człowiek był tak przybity własną żalobą, że został w samochodzie, więc dwaj policjanci wzięli na siebie ciężar poinformowania Lukasa Lysgaarda o zabójstwie dokonanym trzy godziny wcześniej.

Lukas natychmiast pomyślał o ojcu.

O matce też, oczywiście, kochał matkę. Otepiający smutek zaczął pozbawiać go sił, gdy tylko tak naprawdę dotarło do niego, co mówią.

Ale to o ojca się niepokoił.

Erik Lysgaard był łagodnym człowiekiem.

Niektórzy mówili, że jest nieudacznikiem, ale inni potrafili docenić tego ciepłego, trzymającego się z tyłu mężczyznę. Poza rodziną nie robił wokół siebie szumu, a i w rodzinie także. Mało mówił, więcej słuchał, dlatego zyskiwał przy bliższym poznaniu. Oczywiście miał własnych przyjaciół, jakichś kumpli z dzieciństwa i paru kolegów ze szkoły, w której pracował, dopóki kręgosłup nie odmówił mu posłuszeństwa, zmuszając do przejścia na rentę.

Ale przede wszystkim był mężem swojej żony.

Sam będzie zupełnie nikim, przyszło Lukasowi do głowy, gdy tylko dowiedział się o śmierci matki. Bez matki ojciec będzie nikim.

Początkowo go rozumiał.

Tamtej nocy, tamtej strasznej świętej nocy, której Lukas miał nie zapomnieć już do końca życia, policjanci zawieźli go na Nubbebakken. Starszy spytał, czy chcą, by przez noc ktoś im dotrzymał towarzystwa.

Ani on, ani ojciec tego nie chcieli.

Ojciec skurczył się tak, że trudno go było rozpoznać, wychudł i przygarbił się; prawie nie rzucał cienia, gdy otwierał synowi drzwi i bez słowa się odwracał, żeby przejść z powrotem do salonu.

I płakał w taki przerażający sposób. Przez długi czas prawie bezgłośnie, by potem długo i przeciągle wyć bez szlochu jak cierpiące zwierzę. Wystraszył tym Lukasa, który poczuł się jeszcze bardziej bezradny, niż się spodziewał. Zwłaszcza że ojciec nie życzył sobie fizycznego kontaktu. Nie chciał też mówić. Kiedy zaczął się dzień, czarny, ciężki od deszczu poranek pierwszego dnia świąt, Erik wreszcie zgodził się położyć. Ale nawet wtedy nie pozwolił synowi sobie pomóc, chociaż Eva Karin już od ponad dziesięciu lat co wieczór zdejmowała mu skarpetki i pomagała przejść do łóżka, a potem smarowała bolący krzyż maścią domowej roboty, którą wciąż przysyłał wierny parafianin ze Stavanger.

Lukas mimo wszystko to rozumiał.

Teraz zaczynał tracić cierpliwość.

Od zabójstwa minęło już pięć dni, a nic się nie zmieniało. Ojciec w ciągu tych dni dosłownie nie jadł. Chętnie pił wodę, dużo wody, i dwie filiżanki kawy z cukrem i mlekiem po południu. Nawet kiedy Lukas zabrał go do siebie, do swojej rodziny, w nadziei, że może wnuki wskrzeszą bodaj iskierkę życia w staruszku, Erik i tak nie chciał nic jeść. Wizyta była pod każdym względem nieudana. Dzieci przerażyły się na widok tak dziwnie płaczącego dziadka, a najstarszy, ośmioletni chłopczyk już wcześniej nie potrafił sobie poradzić z informacją, że babcia już nigdy, ale to nigdy nie wróci.

– Tak nie można, ojcze. – Lukas przysunął sobie podnózek do fotela ojca i usiadł na nim. – Musimy zacząć myśleć o pogrzebie. Musisz coś jeść. Wyglądasz jak własny cień. To nie może dłużej trwać.

– Nie będzie pogrzebu, dopóki policja się nie zgodzi – odparł ojciec.

Nawet głos miał teraz cieńszy.

– Wiem. Ale musimy coś zaplanować.

– Ty się możesz tym zająć.

– To nie będzie słuszne, ojcze. Musimy to zrobić razem.

Cisza.

Stary zegar stanął. Erik Lysgaard już nie naciągał ciężkich, mosiężnych szyszek co wieczór przed pójściem spać. Nie czuł potrzeby słuchania, jak płynie czas.

W promieniach wpadającego przez okno światła tańczył kurz.

– Musisz jeść, ojcze.

Erik podniósł oczy i delikatnie, po raz pierwszy od śmierci Evy Karin ujął dłoń syna.

– Nie. To ty musisz jeść. Ty musisz dalej żyć.

– Ojcze, ty...

– Byłeś naszym synem szczęścia, Lukas. Nigdy żadne dziecko nie było równie wyczekiwane jak ty.

Lukas przełknął ślinę.

– Tak mówią wszyscy rodzice. Sam powtarzam to moim dzieciom.

– Ale wielu rzeczy nie wiesz.

Wprawdzie odgłosy miasta dalej rozlegały się za oknem, nagle jednak jakby przestały docierać do umarłego domu na Nubbebakken. Lukas nie czuł nawet uderzeń własnego serca.

– O czym ty mówisz?

– Mnóstwo rzeczy odchodzi razem z człowiekiem. Z Evą Karin odeszło wszystko. Tak musi być.

– Mam prawo wiedzieć, ojcze. Jeśli coś w życiu matki, w waszym życiu...

Suchy śmiech ojca go przeraził.

– Byłeś kochanym dzieckiem. To wszystko, co musisz wiedzieć. Zawsze byłeś wielką miłością twojej matki i moją.

– Byłem?

– Matka nie żyje – odparł ojciec twardo. – A ja też już nie będę żył długo.

Lukas gwałtownie puścił jego rękę i wyprostował się.

– Weź się w garść – powiedział. – Naprawdę weź się w garść. – Wstał i zaczął krążyć po pokoju. – To się musi skończyć. Teraz. Teraz! Słyszysz, ojcze?

Erik Lysgaard prawie nie zareagował na ten gwałtowny wybuch, siedział tylko w tym samym fotelu, tak jak właściwie przesiedział cały czas, z tą samą pustką na twarzy od pięciu dni.

– Ja się na to nie zgadzam! – krzyknął Lukas. – Matka się na to nie zgadza!

Złapał porcelanową figurkę stojącą na stoliczku przy telewizorze, łabędzie, których szyje układały się w kruche serce, ślubny prezent od rodziców Evy Karin. Figurka przeżyła

osiem przewodzących i była jednym z ukochanych przedmiotów matki. Lukas obiema rękami zaczął dusić łabędzie. Potem uderzył nimi o udo, aż mięsień go zabolął. Porcelana się pokruszyła. Ostre krawędzie wbiły się w dłonie. Kiedy rzucał szczątki na podłogę, na dywan prysnęła krew.

– Nie wolno ci umierać! Nie wolno ci, kurwa, umierać!

Tego było trzeba.

Lukas Lysgaard nigdy, nawet w okresie najostrzejszego młodzieńczego buntu, nie ośmielił się zakląć w obecności rodziców. Teraz, widząc jego stan, ojciec poderwał się szybciej, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać. W trzech krokach dopadł syna. Podniósł rękę. Zaciśnięta pięść zatrzymała się w odległości zaledwie kilku centymetrów od szczęki Lukasa. W takiej pozycji znieruchomiał, zastygł w niewiarygodnej scenie, wyższy nagle i potężniejszy. To po nim Lukas odziedziczył barki. Nagle jakby wszystko ułożyło się na swoim miejscu. Cały człowiek się rozszerzył. Lukas wstrzymał oddech. Skulił się pod spojrzeniem ojca, jak gdyby znów był chłopcem, zbuntowanym, młodym, ukochanym synkiem tatusia.

– Dlaczego matka wyszła z domu? – spytał szeptem.

Erik opuścił rękę.

– To sprawa między Evą Karin a mną.

– Wydaje mi się, że wiem.

– Spójrz na mnie!

Lukas przyglądał się wnętrzu swoich dłoni. U nasady obydwu kciuków biegły głębokie rany, krew wciąż kapała na dywan.

– Spójrz na mnie! – powtórzył Erik.

Lukas wciąż nie był w stanie podnieść głowy. Nagle poczuł dłoń ojca na nieogolonym policzku. Wreszcie uniósł twarz.

– Ty nic nie wiesz – powiedział Erik.

Właśnie, że tak, pomyślał Lukas. Może zawsze wiedziałem. W każdym razie od dawna.

– Ty naprawdę nic nie wiesz – powtórzył ojciec.

Stali tak blisko siebie, że czuli nawzajem swoje oddechy. I tak jak złe myśli zmieniają się w zamknięte w twardej kapsułce tajemnice, gdy się ich nie dzieli z nikim innym, tak oni obaj mieli w sobie pewność, że wiedzą o czymś, o czym nikt inny nie wie. Stali tak, każdy na swój sposób zawstydzony, nie mając sobie nic do powiedzenia.

* * *

– Wstyd przyznać, Synnøve, ale to rzeczywiście sprawa z rodzaju tych, w których nie działamy zbyt pośpiesznie.

Kjetil Berggren zdołał przynajmniej obniżyć temperaturę w małym pokoju przesłuchań. Siedział teraz z nieregularnie podwiniętymi rękawami koszuli i roztargnionym gestem postukiwał ołówkiem o udo.

Synnøve opowiedziała wszystko, jak było, niczego nie ukrywając. To, że z każdym jej słowem zniknięcie Marianne staje się coraz mniej podejrzane, zaczęła rozumieć dopiero teraz.

– Aha – powiedziała spokojnie.

– Po pierwsze, do tej pory nie rozmawiałaś z jej rodzicami.

– Odkąd zamieszkałyśmy razem, Marianne nie utrzymywała z nimi kontaktu!

– Rozumiem. – Poglądził dłonią krótko obcięte włosy. – W zasadzie się z tobą zgadzam, że jest powód do zmartwienia. Tylko że...

Miał już wyraźnie mniej dobrej woli niż półtorej godziny temu, kiedy ratował ją przed Olą Kvamem. Bardziej niespokojnie wiercił się na krześle i od ponad trzydziestu minut nie zrobił żadnej notatki.

– Trzeba przede wszystkim sprawdzić u najbliższych. A z tego, co rozumiem, prawie z nikim się nie kontaktowałaś. – Denerwujące stukanie w udo narastało. – Nawet z jej rodzicami – powtórzył.

Tak jakby rodzice czterdziestodwuletniej kobiety mogli znać odpowiedź na wszystko.

– Nie przyszli na nasz ślub – powiedziała Synnøve słabym głosem. – Skąd nagle mieliby coś wiedzieć o Marianne?

– Przecież miała odwiedzić ciotkę matki, prawda? Możliwe więc, że jej matka...

– Ta cioteczna babka pojawiła się znikąd. Posłuchaj, Kjetil, Marianne zerwała z rodzicami po strasznej konfrontacji ponad trzynaście lat temu. Oczywiście miało to związek ze mną. Utrzymywała coś w rodzaju z kontaktu z bratem, ale był to bardzo luźny kontakt. Dziadkowie nie żyją, a ojciec jest jedynakiem. Matka swoje rodzeństwo trzyma w żelaznym uścisku. Można więc powiedzieć, że Marianne nie ma w ogóle rodziny. Jesienią przyszedł list od ciotecznej babki, która wyemigrowała przed urodzeniem się Marianne i była... *persona non grata* w rodzinie. Ekstrawagantka. Na początku lat sześćdziesiątych, w czasach, kiedy nie było to szczególnie mile widziane w eleganckich rodzinach w Sandefjord, wyszła za mąż za Afroamerykanina. Potem się rozwiodła i przeprowadziła do Australii. Ona... – Synnøve urwała. – Dlaczego ja tu siedzę i podaję ci całe mnóstwo kompletnie nieistotnych informacji o

jakiejś starszej pani, która nagle odkryła, że cioteczna wnuczka została tak samo wykluczona z rodziny jak ona? Przecież cała rzecz w tym, że Marianne nie dotarła do ciotki!

Zamachała rękami, przy okazji trafiając w pełną filiżankę z kawą. Zakłęła, gdy gorący płyn wylał się jej na uda, i zerwała się z krzesła. Nim zdążyła się zorientować, Kjetil Berggren już stał przy niej z pustą butelką po wodzie mineralnej.

– Pomogło? Przynieść jeszcze coś zimnego?

– Nie, dziękuję – mruknęła. – Wszystko w porządku, dziękuję.

Kjetil Berggren urwał kawałek papierowego ręcznika z podajnika przy niedużej umywalce w rogu.

– No i mówiłaś też, że ona już wcześniej uciekała. Synnøve z powrotem usiadła na niewygodnym krześle.

– Nie uciekała. Zerwała. To coś zupełnie innego.

– Proszę. – Podał jej drugą porcję papieru. – Mówiłaś, że nie było jej przez dwa tygodnie – przypomniał. – I że nie dawała znaku życia. Wtedy też. Chyba rozumiesz, że to ma pewne znaczenie, Synnøve, że ta kobieta, Marianne, zaledwie trzy lata temu zniknęła po koszarnej kłótni i wyjechała do Francji, nie mówiąc ci nawet, że jest za granicą. Właśnie to są fakty, które policja musi brać pod uwagę, podejmując decyzję, czy należy z pełnym rozmachem...

– Ale teraz się nie pokłóciłyśmy. W ogóle się nie kłóciłyśmy.

Zamiast wrócić na swoje miejsce po drugiej stronie biurka, Kjetil usiadł na blacie i jedną nogę oparł o krzesło Synnøve. Prawdopodobnie w geście życzliwości.

– Wyglądam, jakby mnie pies wypluł – mruknęła, odsuwając się od niego. – I cuchnę jak skunks. Przepraszam.

– Synnøve – powiedział spokojnie, nie okazując, że miała rację. Położył jej na ramieniu ciepłą dłoń. – Oczywiście, zobaczę, co da się zrobić. Przyjmę twoje zgłoszenie, to przynajmniej jakiś początek. Ale, rzecz jasna, nie mogę zagwarantować, że poruszymy cały świat. Przynajmniej jeszcze nie teraz. A tymczasem sama sporo możesz zrobić.

Synnøve wstała. Głównie po to, by uniknąć jego dotyku, który niespodziewanie wydał jej się nieprzyjemny. Kiedy sięgnęła po sweter, Kjetil zeskoczył z biurka.

– Podzwoń. Macie wielu przyjaciół. Może jednak w grę wchodzi... zdrada.

Na szczęście twarz akurat zasłaniał sweter, bo natychmiast oblała się rumieńcem. Udawała, że ma kłopoty z ubraniem, dopóki nie odzyskała nad sobą pełnej kontroli.

– ...zwykle ktoś z kręgu przyjaciół coś o tym wie.

– Rozumiem – powiedziała krótko.

– A jeśli macie wspólne konto, możesz sprawdzić, czy nie wypłacała pieniędzy. Jeżeli tak, to gdzie. Zadzwoń za parę dni dowiedzieć się, co słychać. Albo zajrzę. Wciąż mieszkasz w tym starym domu na Hystadveien?

– Razem tam mieszkamy, Marianne i ja.

W chwili gdy to mówiła, nabrała pewności, że to nieprawda.

– Tyle że Marianne już nie żyje – oświadczyła twardo, gniewnym ruchem sięgając po anorak. Podeszła do drzwi. – Dziękuję ci, Kjetil. Dziękuję za *fucking nothing** [* Cholerne nic.] – Trzasnęła drzwiami tak mocno, że wypadły z zawiasów.

Noc przed mrocznym porankiem

Rolf nie potrafił zamykać drzwiczek samochodu w cywilizowany sposób.

Znów nimi trzasnął tak, że Marcus Koll usłyszał go aż w salonie, mimo że samochód stał pod osłoną wielkiego garażu. Rolf zawsze się tłumaczył, że całe życie jeździł złomem na kołach i jeszcze się nie przyzwyczyił do niemieckich aut za ponad milion, nie mówiąc już o włoskich, dwa razy droższych.

Kiedy wszedł Rolf, Marcus akurat gniewnym ruchem zamachnął się na zimującą muchę, wielką i ospałą, ale wciąż jeszcze żywą.

– Co ty, na miłość boską, wyprawiasz?

Marcus klęczał na stole w jadalni i wymachiwał rękami.

– Mucha – mruknął. – Nie mógłbyś być trochę miłszy dla naszych samochodów?

– Mucha? O tej porze roku? Rzeczywiście!

Trzy szybkie kroki Rolfa i uderzenie dłonią o stół.

– Złapałem – oświadczył uśmiechnięty. – A czy ten stół właściwie nie powinien być już nakryty?

Marcus zszedł na podłogę. Czuł się sztywny i niezgrabny, a jedną nogą musiał podeprzeć się o krzesło. Od dziewięciu lat ostatni dzień roku rozpoczynał od złożenia sobie przysięgi, że zacznie ćwiczyć. Już od jutra. To było jego najważniejsze postanowienie noworoczne i tym razem zamierzał dotrzymać słowa. W piwnicy była w pełni wyposażona siłownia, a on na dobrą sprawę nawet nie wiedział, jak to pomieszczenie wygląda.

– Mama niedługo przyjdzie.

– Twoja matka? Poprosiłeś Elbę, żeby przyszła i nakryła do stołu na przyjęcie, na które nawet nie jest zaproszona?

Marcus westchnął z rezygnacją.

– Sama chciała wziąć Małego Marcusa do siebie na wieczór, żeby razem mogli powitać Nowy Rok. We dwoje będzie im przyjemniej.

– To w porządku, ale nie ma kompletnie żadnego powodu, żeby traciła całe przedpołudnie na nakrywanie stołu u nas! Zadzwoń do niej natychmiast i powiedz, że ja to zrobię. A co to jest? – Podniósł do góry nieduże kwadratowe pudełko z metalu.

– Twardy dysk – odparł Marcus spokojnie.

– Tak? A co on robi w bagażniku maserati?

– To mój samochód. Ile razy mam ci powtarzać, że wolałbym, żebyś używał któregoś z innych. Jesteś najgorszym kierowcą na świecie i...

– Co się z tobą dzieje?

Rolf uśmiechnął się i nachylił, żeby go pocałować. Marcus się odsunął. Mimowolnie spojrzał na twardy dysk.

– Zepsuł się. Wymieniłem na nowy, a ten jest do wyrzucenia.

– No to go wyrzuć. – Rolf wzruszył ramionami. – A przynajmniej postaraj się o lepszy humor przed przyjściem gości.

Kiedy wychodził z salonu, wciąż miał twardy dysk w ręku. Marcus musiał wziąć się w garść, żeby za nim nie pobiec. Sam chciał zniszczyć i wyrzucić tę przeklętą rzecz.

To nie takie groźne, pocieszał się, usiłując obniżyć puls. To jedynie zabezpieczenie, prawdopodobnie zbędne, całkowicie zbędne.

Ale puls jeszcze mu przyspieszył, spróbował więc skoncentrować się na czymś zupełnie innym.

Na przykład na menu.

To bez znaczenia, że Rolf znalazł ten twardy dysk.

Z menu nic sobie nie przypominał.

Zapomnij o tym twardym dysku, zapomnij o nim, on jest kompletnie bez znaczenia.

– Dzwoniłeś do Elsy?

Rolf wrócił z naręczem obrusów, serwetek i świec.

– Ależ, Marcus... Czy ty... Marcus! – Rolf rzucił wszystko na podłogę. – Jesteś chory?

Marcus?

– Wszystko w porządku, tylko na moment zrobiło mi się słabo. Już przeszło, nie bój się.

Rolf pogłodził go po plecach. Ponieważ był od Marcusa prawie o głowę wyższy, musiał się nachylić, żeby zajrzeć mu w spuszczone oczy.

– Czy to... to znów ten paniczny lęk?

– Nie, nie – uśmiechnął się Marcus. – Od tamtego minęło już tyle lat. Mówiłem ci przecież, że to ty mnie wyleczyłeś.

Trudno było zmusić suchy, zdętwiały język do posłuszeństwa. Dłonie lepkie od zimnego potu schował do kieszeni.

– Chcesz wody? Przynieść ci wody, Marcus?

– Tak, poproszę. Trochę wody i znów wszystko będzie okej.

Rolf wyszedł, Marcus został sam.

Gdyby tylko nie był tak osamotniony. Gdyby od początku porozmawiał z Rolfem. Mogliby znaleźć jakieś rozwiązanie. Razem doszliby do tego, co będzie najlepsze. Razem daliby sobie radę ze wszystkim.

Nagle gwałtownie wciągnął powietrze przez nos. Wyprostował się, kilka razy cmoknął, żeby pobudzić wydzielanie śliny, i uderzył się otwartymi dłońmi w policzki. Nie ma się czego bać.

Zdecydował jeszcze raz: Nie ma czym się martwić.

Zaraz po świętach znalazł krótką wzmiankę o Niclasie Winterze w „Dagens Næringsliv”. Między wierszami dało się wyczytać, że umarł z przedawkowania. Takich rzeczy nigdy nie pisano wprost, a przynajmniej nie tak od razu. Śmierć artysty przypisywano jedynie nieortodoksyjnemu stylowi życia, jak się delikatnie wyrażano. Walka o niesprzedane dzieła sztuki już się rozpoczęła. Śmierć twórcy wyszła im na dobre. Trzech właścicieli galerii i jeden kurator wyceniali je teraz dwa razy drożej niż zaledwie przed tygodniem. Artykuł okazał się ciekawszy, niż mogło wskazywać umiejscowienie w gazecie. Z pewnością jeszcze wrócą do tematu.

Niclas Winter umarł z przedawkowania, a Marcus Koll jr. nie miał się czego obawiać. Uczepił się tej myśli, dopóki Rolf nie przybiegł z wielką szklanką wody. Kostki lodu zadzwoniły, kiedy Marcus opróżnił ją jednym haustem.

– Dziękuję – powiedział. – Wszystko już w absolutnym porządku.

Nie mam się czego bać, myślał, biorąc się do nakrywania stołu. Czerwony obrus, czerwone serwetki ze srebrnym wzorkiem, czerwone i zielone świąteczne świece w świecznikach ze szkła okutego srebrem. Niclas Winter sam może sobie dziękować, uparcie powtarzał w myślach. Nie powinien tyle brać.

Jego śmierć nie ma nic wspólnego ze mną.

Prawie siebie przekonał.

* * *

Trude Hansen była przekonana, że jest sylwester.

W małym mieszkaniu wciąż panował chaos resztek jedzenia, pustych butelek i

brudnych ubrań. Wszędzie walały się sreberka, a w rogu stał karton z pizzą, z którego toaletę zrobił sobie kot. Przerazony miauczał teraz na parapecie.

– Cicho, Kicia. Cicho, cicho malutka! Chodź do mamusi!

Kot prychnął i wyginał grzbiet.

– Nie gniewaj się na mamusię! – prosiła słabym, cienkim głosem.

Nie przypominała sobie, czy Kicia dostała jedzenie. Dziś na pewno nie, a może i wczoraj była głodna. No tak, przecież Trude wtedy tak się wściekła, że cholerny kot nasikał na pizzę.

– Kici, kici! – Wyciągnęła rękę do kota, ale ten jak futrzana rakietka przemknął na kanapę. Tam w równym, pulsującym rytmie zaczął ostrzyć pazury o poduszki.

To musi być sylwester, myślała Trude.

Spróbowała otworzyć okno. Zacięło się i przy kolejnej próbie złamała paznokiec. W końcu nagle i z hukiem puściło. Do dusznego pokoju wpadło lodowate powietrze, a Trude wychyliła się przez parapet.

Na wschodzie, nad kamienicami, nad starymi domami zasłaniającymi bezpośredni widok na park Sofienberg zobaczyła fajerwerki. Czerwone i zielone ogniste kule wolno opadały na ziemię, a w niebo strzelały fontanny gwiazd. Na ulicach już dawało się wyczuć zapach prochu. Trude uwielbiała woń fajerwerków. Na szczęście zawsze ktoś nie potrafił doczekać do północy.

Wystarczy jej tylko na jeden strzał. Zaoszczędziła go na wieczór. Dzień dało się jakoś przetrwać dzięki butelce wódki, zostawionej przez kogoś pod łóżkiem. Trudno było stwierdzić, która może być godzina.

Już zamykała okno, gdy Kicia się wymknęła. Szybko ruszyła po wąskim gzymsie, usiadła parę metrów dalej i zaczęła miauczeć.

– Chodź, Kicia, chodź do mamusi!

Kicia zaczęła się myć. Powoli i dokładnie przesuwiała językiem po futerku. Rytmicznie. Za co czwartym liźnięciem przeciągała łapą za uchem.

– Kicia – wybełkotała Trude tak surowo, jak tylko mogła, wyciągając się do kota. – Chodź tutaj, zaraz!

Poczuła, że traci kontakt z podłogą. Gdyby przytrzymała się okapnika między dwiema dolnymi szybami staroświeckiego, podzielonego na cztery ćwiartki okna, może zdołałaby wyciągnąć rękę na tyle, żeby złapać kota za grzbiet. Zacisnęła palce na drewnie. Lodowaty wiatr owiał nagie przedramiona. Trude zadzwoniła zębami.

– Kicia – zdążyła jeszcze powiedzieć, zanim ciało przeważało i runęła w dół.

Ponieważ mieszkała na trzecim piętrze i uderzyła w asfalt głową i barkiem, umarła od razu. Dzięki mężczyźnie, który palił papierosa w oknie po przeciwnej stronie ulicy, policję wezwano natychmiast. A ponieważ ten człowiek widział, co się stało, a poza tym puste mieszkanie Trude było zamknięte od środka na łańcuch, nie istniał żaden powód, by bliżej zajmować się tą sprawą. To był wypadek. Po prostu. Nieszczęśliwy wypadek.

Trzydziestego pierwszego grudnia 2008 roku, półtorej godziny przed nadejściem Nowego Roku nie było już na świecie nikogo, kto by poświęcił Runarowi Hansenowi bodaj jedną myśl. Runar został zabity w parku we wschodniej dzielnicy dziewiętnastego listopada tego samego roku w wieku czterdziestu jeden lat. Po śmierci siostry przestał być nawet mglistym, odurzonym narkotykami wspomnieniem.

O Kicię na gzymsie też się nikt nie troszczył.

* * *

Synnøve Hessel pogładziła po grzbiecie tłustego kota. Ułożył jej się wygodnie na kolanach i cicho mruczał z niską częstotliwością na wdechu i na wydechu. Było coś uspokajającego w tym dźwięku i całkowitym oddaniu zwierzątka, które szturchało ją łebkiem w rękę za każdym razem, gdy przestawała je głaskać.

– Tak się cieszę, że mogłam przyjść – powiedziała.

– Jakże by inaczej – odparła kobieta siedząca na drugim końcu kanapy z butelką piwa w dłoni. – Ja też nie miałam zbyt wielkiej ochoty gromadnie witać Nowego Roku.

Mieszkanie było jeszcze ładniejsze, niż opisywała Marianne, gdy po raz ostatni rozmawiała z Synnøve przez telefon. Marianne odwiedziła Tuvę na Grefsenkollveien w sobotę dziewiętnastego grudnia po południu. Była wtedy ósma wieczorem, a Marianne tak się cieszyła na tę długą podróż. Synnøve starała się ukryć rozczarowanie, że w tym roku nie spędzą świąt razem, ale nie bardzo jej się to udało. Zapanował między nimi niezbyt przyjemny, chłodny ton.

Uświadomiła sobie, że właśnie to oziębłe pożegnanie przez telefon sprawiło, że krótkie i zimne SMS-y Marianne aż tak bardzo jej nie zdziwiły. Przynajmniej ten pierwszy.

– Więc sprawdzałaś, że ona dotarła do hotelu? – spytała Tuva już trzeci raz w ciągu godziny.

– Tak, sprawdzałam. Przyszła tam, zameldowała się, rachunek też jest zapłacony. Na tym wszelkie ślady się urywają. – Zadrżała i zrzuciła kota na podłogę. – Na tym wszelkie ślady się urywają – powtórzyła, krzywiąc się. – Brzmi jak tekst z powieści kryminalnej.

Salon nie był duży, ale widok roztaczający się z ogromnych okien nadawał mieszkaniu

wrażenie luksusu. Wszystkie meble stały zwrócone w stronę dużego balkonu, Synnøve miała więc widok na całe Oslo. Wstała.

– Pójdziemy się przejść? – spytała Tuva.

– Teraz? Kiedy do północy została tylko godzina?

Synnøve stanęła przy oknie. Zielony blok mieszkalny z zewnątrz wyglądał okropnie, przypominał gigantyczny klocek lego postawiony na krótszym boku, przyklejony na całej wysokości do wyrównanej za pomocą dynamitu skalnej ściany. Dopiero gdy weszła do salonu na jedenastym piętrze, zrozumiała dziecinny zachwyty przyjaciółki.

Synnøve nigdy nie widziała Oslo równie pięknego.

Wszędzie migotały światła. Miasto rozciągało się w dole jak stworzona ręką Boga dekoracja gwiazdkowa, otoczona ciemniejszymi wzgórzami i czarnym morzem. Na niebie coraz częściej wybuchały fajerwerki. Synnøve i Tuva miały miejsca w łoży na przedstawieniu, które miało się rozegrać zaledwie za godzinę.

– Mnie wszystko jedno – dodała, wzruszając ramionami.

Pięć minut później wspinały się na wzgórze Grefsen. Mróz szczypał w twarz. Ubrały się ciepło, w przeciwieństwie do wszystkich ludzi drepczących na imprezy i z imprez w odświętnych strojach i cienkich butach. Grupa dwunasto-, trzynastolatków zabawiła się rzucaniem petard w kilka młodych kobiet, które z głośnym krzykiem odskakiwały w butach na wysokich szpilkach. Jakiś starszy mężczyzna idący chodnikiem ze spasionym starym labradorem zaczął na całe gardło wrzeszczeć na dzieciaki. Chłopcy, przeklinając i pokrzykując, ze śmiechem zbiegli w dół zbocza. W końcu zniknęli na zamkniętym placu budowy, pokonując trzymetrowe ogrodzenie.

– To rzeczywiście niesamowicie dziwne, że ona nie wypłacała pieniędzy – odezwała się zdyszana Tuva. – Jesteś najzupełniej pewna?

Synnøve zwolniła. Zapomniała, że ma o wiele lepszą kondycję niż inni.

– Mogłam jedynie sprawdzić nasze wspólne konto. Marianne ma jeszcze oprócz tego kartę do konta oszczędnościowego, którym tylko ona dysponuje. Muszę poprosić tę przekłętą policję, żeby sprawdzili w banku.

Zatrzymała się.

To nie ma sensu, pomyślała.

Stały na rozstaju dróg. Tuva wskazała w górę, gdzie pusta droga wiała się dalej na szczyt Grefsen. Synnøve nie ruszała się z miejsca.

– Po prostu jestem pewna, że ona nie żyje – szepnęła.

Po policzkach popłynęły jej lodowate łzy.

– Nie możesz tego wiedzieć – zaprotestowała Tuva. – Przecież nie ma jej zaledwie od tygodnia. Pamiętam, jak rozpaczałaś wtedy, gdy wyjechała do Francji i tak długo się nie odzywała. Marianne jest przecież taka...

– Ona nie żyje! – krzyknęła Synnøve. – Ty też nie zaczynaj! Wtedy wszystko było inaczej. Wtedy ona po prostu nie chciała mieć ze mną do czynienia. Teraz tak nie jest. Nie możesz tak...

Tuva ją objęła.

– Przepraszam. Zwyczajnie chciałam dodać ci otuchy. Może raczej nie będziemy o tym rozmawiać.

– Oczywiście, że będziemy.

Synnøve ruszyła i z każdym krokiem przyspieszała. Tuva musiała podbiegać.

– A o czym innym mamy mówić? – płakała Synnøve. – O pogodzie? Chcę rozmawiać o tej idiotycznej ciotecznej babce, która nawet nikogo nie powiadomiła, że Marianne nie przyjechała. Chcę rozmawiać o...

– Dzwoniłaś do niej?

Tuva musiała już biec, żeby dotrzymać Synnøve kroku.

– Tak. Za nic na świecie nie chciała rozmawiać z matką Marianne, co mogę zrozumieć. Ale ta kobieta musi być... – Gwałtownie zahamowała. Na środku drogi stał łoś. – ...niedorozwinięta – syknęła. – Pytałam, czy...

– Cicho!

Łoś stał w odległości nie więcej niż dwudziestu-dwudziestu pięciu metrów. Kiedy parsknął, powietrze wokół jego pyska poszarzało. Synnøve się zorientowała, że to kłępa, i ostrożnie spojrzała na las po obu stronach, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma łoszaka. Drugiego zwierzęcia nie zauważyła, ale to wcale nie musiało oznaczać, że łosza jest sama.

– Na razie tylko wzmogła czujność – szepnęła. – Stój spokojnie!

Zwierzę przyglądało się im przez blisko pół minuty. Łeb miało uniesiony wysoko, uszy nastawione. Tuva ledwie śmiała oddychać.

– Jeszcze nigdy nie widziałam żywego łosia – szepnęła prawie niesłyszalnie.

To tylko świadczy o tym, jak rzadko wychodzisz z domu, pomyślała Synnøve i nagle głośno krzyknęła, wymachując rękami. Łosza drgnęła, obróciła się i wielkimi, pełnymi gracji susami pomknęła do lasu.

– Wow! – zachwyciła się Tuva.

– Ta ciotka naprawdę musi być idiotką. – Synnøve ruszyła dalej pod górę. – Spytałam, dlaczego mnie nie powiadomiła, a ona wtedy powiedziała, że nie wie, jak mam na nazwisko.

– To właściwie całkiem dobre wytłumaczenie – zawołała Tuva, która przestawała już nadążać. – Zaczekaj na mnie, nie pędź tak!

Synnøve się zatrzymała.

– Po pierwsze – zdjęła rękawiczkę i wystawiła jeden palec. – Marianne pisała jej, że robię filmy dokumentalne. Po drugie, że mam na imię Synnøve, po trzecie... – W powietrzu były już trzy palce. – Kobieta ma chyba, do diabła, gdzieś jakiś dostęp do internetu. Wystarczy wrzucić w Google „Synnove” plus *documentary** [*dokument], żeby mnie znaleźć.

Tuva pokiwała głową, chociaż jej samej nigdy by to nie przyszło do głowy.

Szły dalej w milczeniu. Kiedy minęły zjazd na Trollvann, Tuva zaczęła się zastanawiać, czy ma jeszcze siły. Z trudem łapała oddech i najchętniej by już zawróciła.

W końcu dotarły na miejsce. Ze wszystkich okien restauracji Grefsenkollen biło przytulne światło. Parking był pełen samochodów, które najprawdopodobniej miały tu zostać do późna następnego dnia. Kiedy Tuva i Synnøve się zbliżyły, z drzwi wylała się cała masa ludzi w wieczorowych strojach. Większość została na wielkich schodach, wznosząc toasty szampanem i wychwalając widok. Trzej mężczyźni z naręczem fajerwerków, potykając się, przeszli za róg, żeby odpalić je na parkingu.

– Tutaj! – wysapała Tuva, podchodząc do płotu, który otaczał przypominający taras podest poniżej schodów. – Stąd jest jeszcze lepszy widok niż ode mnie.

Statki na fiordzie zaczęły buceć. Za plecami Synnøve i Tuvy goście krzyczeli zachwyceni fajerwerkami, zabawą, nowym niezapisanym jeszcze rokiem, który ich czekał. Całe niebo się rozjaśniło.

Iskrzyło się i błyszczało przed nimi i za nimi. Wszędzie dookoła piszczalo, syczało, wyło i trzaskało.

– Szczęśliwego Nowego Roku – powiedziała Tuva ostrożnie i objęła przyjaciółkę ramieniem.

Synnøve nie odpowiedziała. Oparła się o barierkę i patrzyła na Oslo. Rok 2009 miał dopiero kilka sekund, a jeśli jej uczucia miały być reprezentatywne dla całego nadchodzącego roku, to czekało ją dwanaście strasznych miesięcy.

Oczywiście nie miała pojęcia, że Marianne Kleive znajduje się dokładnie 8110 metrów dalej. Nawet gdyby o tym wiedziała, z pewnością wcale by jej to nie pocieszyło.

Synnøve Hessel pierwszy raz w życiu z płaczem powitała Nowy Rok.

* * *

Erik Lysgaard obiecał Lukasowi, że nie będzie płakał.

– Ojczy. Ojczy!

Erik drgnął. Początkowo się opierał i nie chciał jechać do syna. Dopiero gdy Lukas zagroził, że przywiezie na Nubbebakken całą rodzinę i urządzi dla dzieci coś w rodzaju zabawy sylwestrowej, niechętnie, ale się zgodził. Obiecał, że nie będzie płakał. Nie przyrzekł jednak, że będzie mówił.

Dzieci w końcu zasnęły. Żona Lukasa, Astrid, ubrana w szlafrok stała w drzwiach na korytarz. Błado uśmiechnęła się do teścia i uniosła rękę, życząc mu tym gestem dobrej nocy. Ten wieczór okazał się prawdziwym wyzwaniem.

Lukas był w piżamie w niebieskie paski i zniszczonych filcowych kapciach na bosych stopach. Przykucnął przy fotelu ojca, ale go nie dotykał.

– Spałeś?

– Chyba tak. Trochę się zdrzemnąłem, jak się mylicie.

– Ty też się już kładź. Przygotowałem pokój gościnny.

– Wolę raczej posiedzieć tutaj, Lukas.

– Tak nie można, ojczy. Musisz się położyć do łóżka.

– O tym sam zdecyduję. Dobrze mi się tutaj siedzi.

Lukas wstał.

– Zachowujesz się tak, jakbyś ty jeden był w żałobie – powiedział cicho. – Nie poznaję cię, ojczy. Jesteś... superegoistą. Nie widzisz, że ja też cierpię. Że dzieci tęsknią za babcią. Nie widzisz...

– Owszem, widzę. Po prostu nie jestem w stanie nic z tym zrobić. Lukas chodził w tę i z powrotem po pogrążonym w półmroku salonie. Zdmuchnął świeczkę na parapecie, podniósł z podłogi misia i posadził go na półce z książkami, obgryzł paznokieć. Na dworze panowała kompletna cisza, słyhać było, jak Astrid spuszcza w łazience wodę, i lekki zgrzyt, gdy zamykała drzwi sypialni.

– Dlaczego nie skłamałeś? – spytał nagle Lukas.

Ojciec podniósł głowę.

– Nie skłamałem?

– Dlaczego po prostu nie wymyśliłeś jakiejś historii o tym, po co matka wyszła z domu? Na przykład, że chciała się przewietrzyć. Albo że się pokłóciliście. Cokolwiek. Dlaczego powiedziałeś policji, że to nie ich sprawa?

– Bo to prawda. Gdybym coś wymyślił, byłoby to kłamstwo, a ja nie kłamię. Dla mnie ważne jest, żeby nie kłamać. Ze wszystkich ludzi ty najlepiej powinieneś to wiedzieć.

– A chowanie głowy w piasek jest w porządku? – Lukas z rezygnacją rozłożył ręce. –
Tato, dlaczego...

Zatrzymał się, gdy ojciec nagle spojrzął na niego jakby z uśmiechem w oczach.

– Nie nazywałeś mnie tatą, odkąd skończyłeś dziesięć lat.

– Muszę cię o coś spytać.

– Nie dostaniesz odpowiedzi. To powinno już do ciebie dotrzeć. Nie powiem ci,
dlaczego matka wyszła.

– Nie o to chodzi – zaprotestował prędko Lukas. – O coś zupełnie innego.

Ojciec się nie odezwał, ale też i nie odwrócił oczu.

– Zawsze miałem wrażenie – zaczął Lukas na próbę – że dzielę się z kimś matką.

– Dzieliliśmy się matką z Jezusem.

– Nie o to mi chodzi.

Lukas przez chwilę stał bezradny, w końcu usiadł na kanapie tak głębokiej, że tylko z
trudem dawało się z niej wychylić. Jednocześnie był zbyt spięty, żeby się oprzeć o poduszki.
W końcu znowu wstał.

– Czy ja mam gdzieś siostrę albo brata?

Wyraz, jaki pojawił się na twarzy ojca, przeraził go. Oczy Erika pociemniały, usta się
napięły, a wokół nich zarysowały się głębokie zmarszczki. Brwi się ściągnęły, dłonie, do tej
pory bezwładnie spoczywające na kolanach, zacisnęły się w pięści, aż kostki zbieleły.

– Tego się po tobie nie spodziewałem – powiedział.

– Ale ja... Czy ty i matka... Albo sama matka... Chodzi mi o to, że wy zawsze byliście
razem. A ta historia z Jezusem w lesie...

– Zamknij się!

Ojciec wstał. Tym razem nie uniósł ręki, żeby uderzyć. Stał tylko, z oczu sypały mu
się błyskawice i leciutko drgała dolna warga.

– Sam sobie odpowiedz – oświadczył lodowato. – Sam sobie odpowiedz na pytanie,
czy Eva Karin, twoja matka, a moja żona, mogła mieć dziecko, którego nie chciała znać?

– Ja pytam ciebie, ojcze! I wcale nie twierdzę, że nie chciała znać...

Ojciec się poruszył.

– Idę się położyć – oznajmił, ale spod drzwi zawrócił. – I nigdy, przenigdy nie
odpowiem na tego rodzaju pytanie. Sam sobie odpowiedz, Lukas! Sam sobie na to
odpowiedz!

Lukas został w salonie.

– Ale ja pytam ciebie – szepnął. – Pytam ciebie, tato.

Gdyby tylko ojciec powiedział, że tak.

– Dlaczego nie mogłeś po prostu odpowiedzieć, że tak, i tak bardzo uprościć mi życie!

Nie mógł się teraz położyć. Wiedział, że nie zaśnie. Zadał pytanie i spodziewał się odpowiedzi. Miał nadzieję, że ją otrzyma. Wszystko ułożyłoby się na swoim miejscu, gdyby tylko ojciec potwierdził, że jest gdzieś jakieś dziecko. Jakieś starsze dziecko. Starsze niż Lukas. To by wszystko wyjaśniło.

Ale ojciec odmówił.

Dlatego, że nie chcesz kłamać, tato?

Lukas położył się na kanapie, nie zdejmując kapci. Naciągnął koc aż po brodę, tak jak otulała go matka w dzieciństwie. Leżał bezsennie aż do rana, do mrocznego początku nowego roku.

Część II

Styczeń 2009

Prześladowanie

– Nie wiem, czy słusznie zrobiłam, mówiąc pani o tym. W zasadzie nie ma żadnych śladów, które by wskazywały, że ktoś mógł się włamać, i dyrektor nie chce włączać w to policji. Tyle tylko, że ja...

– Czy mogłaby pani opowiedzieć – zaczęła Inger Johanne, ale musiała odchrząknąć. – Czy mogłaby pani to wszystko opowiedzieć jeszcze raz? – Usiłowała znaleźć pozycję, w której mogłaby siedzieć spokojnie.

– Tak więc...

Live Smith, wicedyrektor do spraw nauczania, przeczesła palcami gęste, siwe włosy. Sprawiała wrażenie niepewnej już wtedy, gdy złapała Inger Johanne na korytarzu i poprosiła do swojego gabinetu. Teraz jakby tego żałowała i chciała wszystko odwołać.

– Ponieważ mimo wszystko jesteśmy szkołą specjalną – powiedziała z wahaniem – to prowadzimy dość obszerną dokumentację dotyczącą każdego dziecka. Jak pani wie, nasi uczniowie cierpią na bardzo różne formy zaburzeń funkcjonowania i po to, by zmaksymalizować ofertę nauczania dla poszczególnych dzieci...

– Wiem, czym jest ta szkoła i co może zaproponować. Moja córka do niej chodzi.

Jej głos zabrzmiał dziwnie, twardo i płasko. Znow chrząknęła, W końcu musiała sięgnąć po szklanekę, mimo że dłonie jej drżały.

– Wszystko w porządku?

Live Smith patrzyła na smużkę wody spływającej po swetrze Inger Johanne.

– Tylko trochę zaschło mi w gardle – wyjaśniła i odstawiła szklanekę. – Boję się, że będę chora. Proszę mówić.

Wydusiła z siebie uśmiech i zniecierpliwionym gestem ponagliła panią wicedyrektor. Live Smith poprawiła żakiet, odgarnęła włosy za uszy i stwierdziła z kwaśną miną:

– To przecież pani prosiła, żebym opowiedziała wszystko od początku.

– No tak, przepraszam. Czy mogłaby pani...

– Dobrze. Wersja skrócona wygląda tak, że kiedy przyszedłam tu w ostatni piątek, tuż przed weekendem, żeby przygotować się do rozpoczęcia nauki po feriach, odniosłam wrażenie, że ktoś tu przede mną był. – Wskazała ręką na pokój, obszerny gabinet z szafą na dokumenty pod dłuższą ścianą. Znajdujące się w tej ścianie drzwi prowadziły do mniejszego, zamkniętego na klucz pomieszczenia. Pozostałe ściany pokrywały kolorowe dziecięce rysunki w ramkach z Ikea. Jaskrawoczerwone zasłonki w żółte kropki lekko powiewały w ciepłym powietrzu bijącym z grzejników pod oknami.

– Po prostu ogarnęło mnie takie dziwne uczucie. Może... inny zapach. A zresztą nie, raczej chodziło o atmosferę. – Lekko zawstydzona uśmiechnęła się i szybko dodała: – Na pewno pani wie.

Inger Johanne wiedziała aż za dobrze.

– Wprawdzie nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone – Live Smith jeszcze raz uśmiechnęła się przeproszająco – ale na pewno zna pani uczucie...

– W tym nie ma nic nadprzyrodzonego – przerwała jej Inger Johanne. – Przeciwnie, to jedna z naszych najdelikatniejszych zdolności. Podświadomość odnotowuje szczegóły, których nie dopuszczamy na powierzchnię. Coś może być lekko przesunięte. Gdzieś może zostać, tak jak pani powiedziała, ledwie wyczuwalny zapach. Im więcej mamy przeżyć, tym więcej nasze skumulowane doświadczenia potrafią nam powiedzieć, niż na pierwszy rzut oka stwierdzamy. Niektórzy po prostu lepiej rozumieją, co czują. – Inger Johanne wreszcie była w stanie wypić trochę wody. – Czasami mówią, że są jasnowidzami – dodała.

Sarkazm sprawił, że puls trochę zwolnił.

– No a potem ta teczka – powiedziała Live Smith.

I znów ten przelotny uśmiech po każdym zdaniu, jakby próbowała zrobić się mniejsza. Umniejszyć problem. Nie traktować wszystkiego aż tak poważnie. W normalnej sytuacji ten kobiecy gest bezgranicznie zirytowałby Inger Johanne, ale teraz musiała się przede wszystkim starać panować nad głosem.

– Teczka Kristiane – uzupełniła.

– No właśnie. Ta teczka... – Live Smith zatrzymała się na wdechu, jakby szukała najmniej groźnego słowa. Zniknęła. Zginęła. Została skradziona. – Może po prostu gdzieś się zawieruszyła – dokończyła wreszcie.

Jej oczy mówiły jednak coś zupełnie innego.

– Jak się pani zorientowała?

– Chciałam wyjąć inną teczkę z tej samej szuflady i zobaczyłam, że nie jest zamknięta na klucz. Mam na myśli szufladę. Nie była wyłamana czy zniszczona, po prostu

niezamknięta. Rozzłościłam się na siebie, bo o ile dobrze pamiętałam, to ja ostatnia zamykałam wszystko przed feriami. Obowiązują nas bardzo surowe zasady dotyczące przechowywania informacji na temat uczniów. To częściowo wrażliwe dane medyczne i...

Tym razem uśmiechowi towarzyszyło lekkie wzruszenie ramion.

Inger Johanne milczała.

– Ponieważ ani na drzwiach, ani na szafkach czy szufladach nie było śladów włamania, doszłam do wniosku, że to moje zaniedbanie. Ale na wszelki wypadek sprawdziłam jeszcze, czy wszystko jest na właściwym miejscu. Było. Z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem teczki Kristiane.

– No właśnie.

Inger Johanne ogarnęła wręcz nieprzeparta ochota zeskrobania tego uśmiechu z twarzy pani wicedyrektor.

– Dlaczego nie chcecie zgłosić tego policji? – spytała.

– Dyrektor uważa, że nie było żadnego włamania. Nic nie jest zniszczone. Na drzwiach nie ma żadnych śladów, przynajmniej na tyle, na ile możemy zobaczyć. Nic nie zostało skradzione. Nie ma tu co prawda żadnych wartościowych przedmiotów, no, może oprócz komputera. – Teraz się roześmiała, głośnym wymuszonym śmiechem.

A co z moim dzieckiem, pomyślała Inger Johanne. Co z życiem Kristiane? Ze wszystkimi badaniami, diagnozami i zaprzeczeniami diagnoz, z lekarstwami i nieudanymi próbami terapii, rozwojem i niedorozwojem? Całe życie córki leżało spisane w teczce, do której materiały zbierano przez lata, a która teraz zginęła.

– Teczki dzieci są chyba odrobinę cenniejsze niż komputer – oświadczyła.

Uśmiech Live Smith wreszcie zrobił sobie przerwę.

– Oczywiście. Toteż właśnie dlatego uznałam za stosowne panią powiadomić. Ale może dyrektor ma rację, może nie powinnam była tego robić. Przekona się pani, że ta teczka jeszcze dzisiaj się odnajdzie. Pomyślałam tylko, że skoro miałam to wrażenie, a pani sama pracuje w policji...

– Ja nie pracuję w policji, tylko na uniwersytecie.

– Aha. Wobec tego to pani mąż, tatuś Kristiane, jest policjantem.

Inger Johanne nie miała siły kolejny raz jej poprawiać. Po prostu wstała z krzesła i zerknęła na znajdujące się z tyłu pomieszczenie archiwum.

– Słusznie pani postąpiła, zawiadamiając mnie – powiedziała. – Czy mogę zobaczyć tę szafkę?

– Z szufladami?

– Jeśli tak ją pani nazywa, to tak.

– Właściwie tylko dyrektor i ja mamy... Jak już mówiłam, obowiązują nas bardzo surowe zasady.

– Przecież chcę tylko spojrzeć, nie będę zaglądała do żadnej teczki.

Live Smith wstała, bez słowa podeszła do drzwi, w obszernym pęku odnalazła właściwy klucz i otworzyła. Ręką obmacała wewnętrzną ścianę z lewej strony. Na suficie ostro zamigotała świetlówka, ale wreszcie się uspokoiła i zaczęła jednostajnie warczeć.

– To ta szafka – wskazała wicedyrektorka.

Pod dwiema ścianami od podłogi po sufit ciągnęły się szare, metalowe szafki. Inger Johanne przyjrzała się uważnie tej wskazanej przez Live Smith. Zamek wyglądał solidnie. Nachyliła się jeszcze niżej i zmrużyła oczy nad szklami okularów.

– Tutaj jest zadrapanie – orzekła po kilku sekundach. – Świeże?

– Zadrapanie? Proszę mi pokazać.

We dwie oglądały zamek.

– Ja nic nie widzę – stwierdziła Live Smith.

– Tutaj. – Inger Johanne wskazała długopisem. – Lekko skośne. Widzi pani?

Live Smith się nachyliła. Mrużąc oczy, podciągała lekko górną wargę i wyglądała jak ciekawska myszka.

– Nie...

– Ależ tak.

– Ja w każdym razie nic nie widzę.

Inger Johanne wyprostowała się z westchnieniem.

– Czy może pani otworzyć? – poprosiła.

Tym razem Live Smith uległa bez zbędnych dyskusji. Wielki pęk kluczy znów zabrzączał i po kilku sekundach drzwiczki się uchyliły. Wnętrze szafki podzielone było na sześć szuflad. Każda miała osobny zamek i klucz.

– To jest ta szuflada, w której leżała teczka Kristiane – wskazała górną.

Mimo największego wysiłku Inger Johanne nie była w stanie dopatrzeć się śladów włamania. Oglądała maleńką dziurkę od klucza ze wszystkich stron. Szafka była co prawda stara, tu i ówdzie widać było zadrapania, ale zamek wyglądał na nietknięty.

– Dziękuję – szepnęła.

Live Smith pozamykała wszystko na klucz.

– No tak – powiedziała z ulgą, kiedy już się z tym uporała. – Naprawdę przepraszam, że wszczęłam alarm zupełnie bez powodu.

– Nie ma za co. – Inger Johanne zmusiła się do uśmiechu. – Lepiej dmuchać na zimne. Dziękuję.

Już przy samych drzwiach uświadomiła sobie, że ciągle jest w płaszczu. Było jej gorąco, prawie się pociła.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli teczka się znajdzie – poprosiła.

– Kiedy się znajdzie – poprawiła ją z uśmiechem wicedyrektorka. – Oczywiście, zadzwonię. Muszę przy okazji powiedzieć, że z prawdziwą radością patrzymy na postępy Kristiane.

W kobiecie jakby nagle nastąpiła zmiana osobowości. Kiedy usiadła, zniknęły idiotyczne uśmiechy, a rozdygotane dłonie, które cały czas nerwowo skubały włosy, usiłując założyć je za ucho, spoczęły spokojnie na kolanach. Inger Johanne nadal stała.

– To fascynująca dziewczynka – ciągnęła Live Smith. – Ale takich dzieci mamy tu wiele. W Kristiane wyjątkowa jest jej nieprzewidywalność w ramach ogromnej przewidywalności. Miałam tu w szkole do czynienia z wieloma autystycznymi dziećmi.

– Kristiane nie jest autystyczna – przerwała jej natychmiast Inger Johanne.

Live Smith wzruszyła ramionami.

Ale się nie uśmiechała.

– Autystyczna, z Aspergerem czy po prostu szczególna. Nie ma znaczenia, jak to nazwiemy. Mnie chodzi o to, że jej obecność tutaj jest dla nas przyjemnością. Kristiane ma fantastyczną zdolność uczenia się, nie tylko kucia na pamięć. Potrafi zadawać najdziwniejsze pytania, a jeśli człowiek się w nie zagłębi, przyjmując jej zasady, często okazują się frapująco logiczne.

Teraz uśmiech był szczery. Nawet się roześmiała wesołym, czarującym śmiechem, jakiego Inger Johanne do tej pory nie słyszała. Live Smith mało wiedziała o rodzinie, lecz Kristiane znała niewiarygodnie dobrze.

– Ale o tym wszystkim pani wie. Chciałam po prostu, by pani zrozumiała, że nie tylko nauczyciele, którzy mają z Kristiane bezpośredni kontakt, szczerze ją polubili, wszyscy się nią interesujemy i co dzień uczymy się od niej czegoś nowego.

Inger Johanne pociągnęła szalik. Kiedy oblizwała językiem wargi, poczuła smak soli.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

– To ja powinnam dziękować. Mam najwspanialszą pracę na świecie. To takie dzieci jak pani córka sprawiają, że odczuwam wdzięczność za każdy dzień spędzony w szkole. Tyle naszych dzieci wszędzie natyka się na ograniczenia, często robią trzy kroki do przodu i dwa w tył. Ale nie Kristiane.

– Muszę już iść – oświadczyła Inger Johanne.

– Oczywiście. Sama pani trafi do wyjścia, prawda?

Inger Johanne kiwnęła głową i otworzyła drzwi. Kiedy je za sobą zamknęła, poczuła ostry, kręcący w nosie zapach szarego mydła. Pobiegła długim korytarzem. Obcasy kozaków stukały o wypastowane linoleum. Kiedy wreszcie dotarła do wielkich szklanych drzwi prowadzących na zewnątrz, nie mogła ich dostatecznie szybko otworzyć.

Na zimowym chłodzie już łatwiej było oddychać.

Zwolniła i wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza.

Kristiane jak zwykle nalegała, żeby zaparkować kilkaset metrów od szkoły, by przejść dokładnie tą samą okrężną drogą co zawsze.

Pogoda nareszcie się zmieniła.

Trwający od dawna bezśnieżny mróz skuł ziemię, przygotował ją na suchy, puszysty śnieg, który sypał teraz nad całym regionem Østlandet. Na trasach narciarskich biegnących przez zielone płuca miasta, na których utrzymanie stolica wciąż łożyła środki, uważając, że ją na to stać, w ostatnich dniach ferii roiło się od dzieciaków i rodziców z małymi dziećmi. Stoki do zjeżdżania na sankach codziennie pokrywała nowa warstwa świeżego puchu. Na zamienionych w lodowiska boiskach duzi i mali uwijali się z szuflami i łopatami. Nie tylko miasto pojaśniało w białej sukience. Mieszkańcy też jakby wydali z siebie zbiorowe westchnienie ulgi, widząc, że przyroda wreszcie wyzdrowiała, przynajmniej w tym sezonie.

Inger Johanne poprawiła szalik, żeby lepiej ochronić się przed śniegiem, i próbowała myśleć racjonalnie.

Teczkę na pewno gdzieś po prostu przełożono.

Ale nie mogła w to uwierzyć.

– Cholera! – mruknęła. – Jasna cholera!

Nie pojmowała, dlaczego jest taka poruszona. Wprawdzie stale mniej lub bardziej martwiła się o Kristiane, ale teraz przekroczyła już wszelkie granice.

Zawieruszyła się. Teczka gdzieś się zawieruszyła, tak powiedziała Live Smith.

Inger Johanne przyspieszyła.

Ogarnął ją przerażający nowy niepokój. Pojawił się wraz z tamtym mężczyzną przy płocie. Tym, którego żadna z córek nie знаła, a który zwrócił się do Kristiane po imieniu. Jedyną rozpoznawalną rzeczą w tym permanentnym niepokoju, dręczącym ją od tamtej pory, było to, że pozostawała z nim całkiem sama. Isak traktował Kristiane jak normalne, zdrowe dziecko i zawsze każde zmartwienie obracał w śmiech. Yngvar kiedyś ją pocieszał, przynajmniej wtedy, gdy czuła się najgorzej. Teraz miał mniej cierpliwości, jego pełna

rezygnacji mina, gdy tylko wspominała, że coś jest nie tak z córką, coraz częściej nakazywała jej po prostu milczeć. Sama próbowała sobie tłumaczyć, że za dużo czyta. Cała ta wiedza, jaką zdołała sobie przyswoić w ciągu lat życia z Kristiane, stała się ciężarem.

Ragnhild już wiedziała, że obcy mogą być groźni, za to Kristiane absolutnie nikogo nie dyskryminowała. Mogła dać się uprowadzić komukolwiek.

Przestępcom seksualnym.

Złodziejom organów.

Nie wolno tak myśleć. Kristiane zawsze, ale to zawsze jest pod opieką.

Inger Johanne zbliżyła się do samochodu. Odkąd zaparkowała, nie minęła jeszcze godzina, a samochód i tak był zasypany. Poza tym przejeżdżający pług śnieżny zostawił po sobie metrową zaspę oddzielającą starego golfa od wąskiej, jednokierunkowej ulicy.

Zatrzymała się. Nie miała w samochodzie łopaty, a rękawiczki zostawiła w gabinecie pani wicedyrektor.

Pierwszy raz odważyła się wypowiedzieć to w myślach do końca: Ktoś ich obserwował.

Zresztą nie ich.

Kristiane.

Rodzina Vik Stubø nigdy nie miała zasłon w oknach salonu. Z ulicy nie dało się zajrzeć do pokoju, a bez zasłon wydawał się jaśniejszy. W ostatnich dniach Inger Johanne zaczęła jednak wyobrażać sobie w nich lekkie firanki, osłonę przed tymi na zewnątrz. Przed ludźmi, których nie znała, a którzy mimo wszystko tam byli. Racjonalnie myśląca część jej mózgu wiedziała, że mężczyzny za płotem, pełnego życzliwości faceta w sklepie z misiami i zagubionej teczki nie można jeszcze uznać za prześladowanie. Intuicja jednak podpowiadała jej coś zupełnie innego.

Wściekła, zaczęła gołymi dłońmi zgarniać śnieg z samochodu. Palce szybko jej zdrętwiały, ale nie ustąpiła, dopóki nie skończyła. Wtedy zaczęła kopać w zbitą masę usypaną przez pług. Palce u nóg piekły, a kostki bolały, gdy w końcu uznała, że chyba da się już wyjechać.

Ciężko usiadła za kierownicą, wsunęła kluczyk do stacyjki i przekreśliła.

Na zbyt wysokich obrotach wyskoczyła na jezdnię po śniegu, którego nie zdołała usunąć. Zmieniła bieg i pojechała, dwukrotnie przekraczając dopuszczalną prędkość. Na pierwszym skrzyżowaniu uświadomiła sobie, co robi, i gwałtownie zahamowała, akurat w porę, by uniknąć zderzenia z ciężarówką nadjeżdżającą z prawej strony.

Siedziała pochylona, z obiema rękami na kierownicy. Za sprawą adrenaliny w głowie

miała krystaliczną czystość. Przez moment dostrzegła absurd tego, że ktoś miałby obserwować czternastoletnią dziwną dziewczynkę z Tåsen.

Ale gdy tylko zmieniała bieg, bała się już tak samo jak wcześniej.

* * *

– Nie bój się, i tak będzie co robić – powiedziała sekretarka z przesłodzonym uśmiechem i podała Kristenowi Faberowi teczkę. – To, że klient się nie pojawił, otwiera wiele innych możliwości, na przykład posortowania dokumentów, które masz na biurku. Straszny tam bałagan.

Adwokat wyrwał jej teczkę i otwierając ją, ruszył w kierunku drzwi gabinetu. Przy biurku sekretarki pozostał po nim odór niemytego ciała, wody po goleniu i nieprzetrawionego alkoholu. Wyjęła z szuflady odświeżacz powietrza. Wkrótce zapach starego pijaństwa zmieszał się z intensywnym aromatem konwalii. Kobieta wciągnęła powietrze przez nos i skrzywiwszy się, schowała odświeżacz z powrotem do szuflady.

– On nawet nie zadzwonił? – zawołał Faber, ale gwałtowny atak kaszlu sprawił, że sekretarka nie musiała odpowiadać. Zamiast tego wstała, sięgnęła po stojącą na niskiej szafce filiżankę parującej kawy i poszła za szefem.

– Nie – odpowiedziała, kiedy mężczyzna wreszcie przestał pluć do przepelnionego kosza na papiery. – Pewnie po prostu coś mu przeszkodziło. Proszę, wypij to.

– Ta fobia samolotowa jest nieznośna – mruknął. – Przez całą drogę z tego pieprzonego Barbados musiałem pić.

Sekretarka – miła, szczupła kobieta w wieku około sześćdziesięciu lat – potrafiła sobie wyobrazić, że na Barbados było dużo pieprzenia. Wiedziała też, że адвокат pił nie tylko podczas podróży samolotem.

Dla mecenasa Fabera pracowała już od prawie dziewięciu lat. W kancelarii byli tylko oni dwoje i aplikant na pół etatu. Na papierze korzystali z lokalu wspólnie z trzema innymi adwokatami, ale pomieszczenia zostały podzielone w taki sposób, że niekiedy mijało kilka dni, nim zobaczyła któregoś z pozostałych. Adwokat Faber miał oddzielne wejście, sekretariat i toaletę. Ponieważ jego gabinet był duży, rzadko musiała szykować kawę i wodę mineralną w jeszcze większej wspólnej sali konferencyjnej.

Dwa razy do roku, w lipcu i na Boże Narodzenie, Kristen Faber uciekał od wszystkiego. Razem z dawnymi kolegami ze studiów, wyłącznie mężczyznami, rozwiedzionymi i zamożnymi, wyjeżdżał w luksusowe miejsca, żeby zachowywać się tak, jakby wciąż miał dwadzieścia pięć lat. Oczywiście z wyjątkiem pieniędzy. I za każdym razem

wracał tak samo zmęczony. Mijał tydzień, zanim odzyskał formę, za to potem nie tykał nawet kropli alkoholu aż do następnego wyjazdu z chłopakami. Sekretarka przypuszczała, że jej szef cierpi na szczególną formę alkoholizmu, ale taką, z którą da się żyć, przynajmniej jeśli o nią chodzi.

– Samolot przyleciał punktualnie?

– Nie. Wylądowaliśmy na Gardermoen dwie godziny temu. Gdyby nie to spotkanie, zdążyłbym wpaść do domu, żeby się wykąpać i przebrać. Niech to cholera! – Wypił łyk mocnej kawy. – Przynieś mi jeszcze trochę, dobrze? I chyba trzeba odwołać to spotkanie o drugiej. Muszę... – Uniósł rękę i wetknął nos pod pachę. Sól z wyschniętej plamy potu zostawiła jasną obwódkę na ciemnym materiale garnituru. Faber aż się cofnął.

– Fu! Muszę jechać do domu.

– Jak chcesz – uśmiechnęła się sekretarka. – Masz też klienta na trzecią. Wrócisz do tego czasu?

– Tak. – Zerknął na zegarek i przez chwilę się zawahał. – A zresztą inaczej. Przełoż to spotkanie z drugiej na pół do trzeciej, a to o trzeciej trochę się opóźni.

Sekretarka przyniosła dzbanek z kawą i miseczkę z czekoladkami. Faber, już zajęty przeglądaniem dokumentów, nawet jej nie podziękował.

– Przeklęty facet! – mruknął, przebiegając wzrokiem po dokumencie z cienkiej teczki.

– Tak się upierał na spotkanie, zaraz po moim powrocie z urlopu.

Sekretarka nic nie odpowiedziała, po prostu wróciła do swoich zajęć.

Ból głowy powoli go zabijał. Dwoma palcami dotknął oczu, ale uciskanie w niczym nie pomogło. Kawa też. Od kofeiny połączonej z alkoholem tylko serce zaczynało mu klekotać.

Koszyk z bieżącymi sprawami był przepelniony. Kiedy położył kopertę na szczycie teczek, zsunęła się i spadła na podłogę. Zirytowany wstał, żeby ją podnieść. Zastanowił się przez chwilę, po czym otworzył szufladę, wrzucił kopertę, zatrzaskał z hukiem i wyszedł z pokoju.

– Mam zadzwonić do tego... – Sekretarka zajrzała znad okularów w kształcie półksiężycy do kalendarza. – Do tego Niclasa Wintera? – dokończyła. – Ustalić termin nowego spotkania? Rzeczywiście, tak jak mówisz, bardzo nalegał, żeby...

– Nie. Zaczekaj, aż sam zadzwoni. Ja i tak mam dość roboty w tym tygodniu. To jego sprawa. Skoro nie chciało mu się nawet zawiadomić, że nie przyjdzie.

Złapał wielką walizę, którą po przyjeździe rzucił przy drzwiach, i zniknął, nie zamykając drzwi za sobą. Nawet nie spytał sekretarki, jak jej minęły święta w Tajlandii z dziećmi i

wnukami. Siedziała, słuchając jego kroków na schodach. Brzmiały tak, jakby miał drewnianą nogę i utykał.

W końcu zapadła cisza.

* * *

Gęsty śnieg tłumił wszelkie dźwięki. Spokój świąt wciąż spowijał okolicę. Rolf Slettan zdecydował się na powrót z pracy do domu piechotą, chociaż przedostanie się z kliniki weterynaryjnej na Skøyen do domu na Holmenkollåsen oznaczało półtoragodzinną wędrówkę. Chodniki pokrywała blisko metrowa warstwa sypkiego śniegu, a ostatnie dwa kilometry musiał iść wąską ścieżką pozostawioną przez pług na środku jezdni. Nieliczne samochody, które od czasu do czasu się pojawiały, za każdym razem zmuszały go do wdrapywania się na wciąż kredowobiałe zaspę. Spocony, ciężko dyszał, ale mimo to za ostatnim zakrętem zaczął biec.

Z oddali dom wyglądał jak scena z jakiegoś nazistowskiego filmu. Śniegowe czapy zwieszały się z portalu, częściowo zasłaniając wielkie litery napisu „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Olbrzymie śniegowe kołdry pokrywały podwórze, które za kilka godzin znów trzeba będzie odśnieżać.

Zatrzymał się w zatoczce na jezdni przed bramą.

Marcus nie mógł jeszcze wrócić do domu. Dziesięciocentymetrowa warstwa dziewiczego śniegu świadczyła, że nikt od dłuższego czasu tędy nie szedł. Mały Marcus miał iść do kolegi i wrócić dopiero koło ósmej. Dom stał spokojny i ciemny, ale zewnętrzne lampy z kutego żelaza świeciły przyjaźnie, a w ich blasku śnieg migotał. Dach z darni zniknął pod białym puchem. Wydawało się, że smoki, które wystawiały języki z każdego szczytu dachu, zaraz wzbiją się w powietrze na swoich nowych, białych skrzydłach.

Rolf otrzepał zaśnieżone nogawki spodni, gdy nagle jego uwagę przykuły ślady opon. Jakiś samochód zjechał z drogi i narysował głęboki łuk w śniegu przed bramą. To musiało być niedawno, bo kiedy przykucnął, wciąż mógł zobaczyć wzór bieżnika.

Ktoś najpewniej zjechał na bok, ustępując z drogi nadjeżdżającemu z przeciwka samochodowi, pomyślał, wstając, powiódł wzrokiem wzdłuż śladów kół prowadzących z powrotem na jezdnię.

Dziwne.

Zrobił parę kroków, ostrożnie, żeby nie zatrzeć śladów. Nagle stały się bardziej niewyraźne, a pół metra dalej prawie całkiem zniknęły. Jedyne słaby zarys ciągnął się aż do jezdni.

Rolf Slettan odwrócił się i ruszył śladami w drugą stronę. Tam były równie wyraźne jak na środku. Z niepokojem, którego nie potrafiłby wytłumaczyć, wrócił aż do początku śladów i poszedł ostrożnie do małego placyku, a potem dalej, tam, gdzie odciski opon zlewały się z innymi śladami na drodze. Między ulicą a ich posiadłością nie było zasypanych pozostałości przez pług. Rolf i Marcus powierzyli uprzążanie śniegu firmie, która przyjeżdżała traktorem dwa razy na dobę. Musiała się zjawić zaraz po pługu.

Nie bardzo wiedział, czego szuka. Nagle pojął, że samochód musiał się zatrzymać. Wprawdzie śnieg padał od dawna, ale auto najwyraźniej stało tu przez dłuższy czas. Różnica w głębokości śladów była znaczna. Po rozstawie kół poznał, że to raczej samochód osobowy, w każdym razie nie ciężarówka ani żaden większy pojazd. Musiał przyjechać od dołu, wjechać w zatoczkę i tam przez dłuższą chwilę stać. W tym czasie śniegu nawiało za tylne koła, ale tam, gdzie przed opadami chronił sam samochód, ślady nie były tak przysypane jak kawałek dalej.

Nagle rozległ się odgłos włączanego silnika. Rolf podniósł wzrok akurat w porę, by zobaczyć samochód wyjeżdżający z zatoczki autobusowej tuż przy zakręcie na wschód. Śnieg i ciemność nie pozwoliły mu przeczytać numeru na tablicy rejestracyjnej. Wiedziony odruchem, zaczął biec. Zanim jednak pokonał pięćdziesiąt metrów, samochód zniknął. Dookoła znów panowała cisza, słychać było jedynie jego oddech, gdy kuczał i badał ślady. Leciutkie płatki śniegu tańczyły w powietrzu i padały na wzór, który – jak mu się wydawało – rozpoznawał. Prędko wyjął telefon komórkowy, uruchomił aparat fotograficzny i zrobił zdjęcie. Było tak ciemno, że automatycznie włączyła się lampa błyskowa.

– Gówniarze! – mruknął i z telefonem w ręku pobiegł z powrotem.

Spokojna boczna uliczka wijąca się aż pod las nie była naturalną trasą przelotową. Duże parcele i drogie domy stały rozrzucone w niekrepujący dla nikogo sposób. Ostatnio miała tu jednak miejsce seria włamań. Trzy domy w sąsiedztwie okradziono, gdy mieszkańcy wyjechali na święta, i to pomimo alarmów i ochrony. Zdaniem policji stali za tym profesjonaliści. Cztery tygodnie temu włamano się do domu stojącego na samym końcu drogi. Trzej mężczyźni wdarli się w środku nocy i ojca rodziny wzięli jako zakładnika. Dziewiętnastoletniego syna rabusie zmusili, by pojechał z nimi na Majorstua i wypłacił z bankomatu pieniądze z czterech kart płatniczych i trzech kredytowych, których oddanie wymusili na mieszkańcach domu, strzelając do cennego obrazu.

Ślady przy bramie wciąż były dość wyraźne. Rolf Slettan usiłował trzymać telefon komórkowy w tej samej odległości od ziemi, gdy robił jeszcze jedno zdjęcie. Wrzucił je na komputer i powiększył, żeby dały się porównać. Kiedy chował telefon do kieszeni, zobaczył

niedopałek. Musiał być przykryty śniegiem i wyłonić się, gdy na niego stąpnął. Rolf nachylił się i zaczął ostrożnie grzebać w odcisku własnego buta. Jeszcze jeden pet. I jeszcze jeden. W świetle ulicznej latarni obejrzał pierwszy niedopałek, ale nic mu to nie powiedziało, nawet marki nie dało się odczytać.

Trzy papierosy. Rolf Slettan rzucił palenie już wiele lat temu, ale ciągle pamiętał, że przerwę na papierosa dawało się załatwić w siedem minut. Siedem razy trzy to dwadzieścia jeden. Nawet gdyby kierowca odpalał jednego od drugiego, to by znaczyło, że stał tu blisko pół godziny.

Zdaniem policji rabusie pochodzili z Europy Wschodniej. Gazety pisały, że ludzie muszą mieć oczy otwarte, bo banda czy też bandy prowadzą najwyraźniej drobiazgowe rozpoznanie, zanim napadną. Te trzy pety mogły okazać się dowodem.

Ostrożnie schował je do jednej z czarnych torebek na psie kupy, które miał we wszystkich kieszeniach kurtki, i ruszył w stronę domu. Zamierzał natychmiast zatelefonować na policję.

* * *

Telefon był wyłączony, nie wiedziała dlaczego. Może to sprawka którejś z dziewczynek. W każdym razie nie dostała SMS-a od Yngvara. Słyszac kroki na schodach, zdrętwiała, ale zaraz usłyszała znajomy głos:

– To ja. Jestem w domu.

– Przecież widzę – powiedziała z uśmiechem, a kiedy lekko ją pocałował, pogłaskała go po policzku. – Chyba miałeś znów jechać do Bergen?

– Owszem, i byłem. Ale ponieważ jest sporo rzeczy, nad którymi mogę pracować również w Oslo, wskoczyłem do popołudniowego samolotu. Chyba w tym tygodniu tu zostanę.

– To świetnie. Jesteś głodny?

– Nie. Jadłem. Nie dostałaś mojej wiadomości?

– Coś się stało z telefonem.

Yngvar wreszcie ściągał krawat. Mocował się z węzłem tak długo, że w końcu Inger Johanne zaproponowała mu pomoc.

– Tego, kto wymyślił tę idiotyczną rzecz, powinno się zastrzelić – oświadczył. – Co to, na miłość boską, jest?

Ze zmarszczonym czołem patrzył na stosy papierów, książek, magazynów i luźnych kartek leżących wokół Inger Johanne na kanapie i prawie w całości pokrywających niski stół

w salonie. W środku tego wszystkiego Inger Johanne siedziała w pozycji lotosu, w okularach do czytania na nosie i z półlitrową szklanką herbaty w ręku.

– Próbuję sobie przybliżyć nienawiść – uśmiechnęła się. – Czytam o nienawiści.

– O Boże! – jęknął. – Jakbym nie miał tego dość w pracy! A co pijesz?

– Herbatę. Dwie trzecie Lady Grey, jedna trzecia China Pu-Ehr. Jest więcej w kuchni, w termosie, jeśli masz ochotę.

Zdjął buty i poszedł po kubek.

Inger Johanne zamknęła oczy. Wciąż dręczył ją dziwny, niewytłumaczalny niepokój, ale hałaśliwe popołudnie z dziećmi pomogło. Ragnhild, która dwudziestego pierwszego stycznia kończyła pięć lat i nie mówiła już o niczym innym, zorganizowała dla wszystkich swoich misiów i lalek próbne urodziny. Inger Johanne i Kristiane musiały przy obiedzie nosić kapelusze zrobione z majtek Ragnhild oklejonych nalepkami Hanny Montany. Kristiane wygłosiła długi referat o obrotach planet wokół Słońca, zakończony oświadczeniem, że jak urośnie, zostanie astronautką. Ponieważ nie bardzo było wiadomo, jak Kristiane pojmuje czas, a ponadto bardzo rzadko wykazywała zainteresowanie czymś, co miało nastąpić później niż za dwa dni, zachwycona Inger Johanne wyciągnęła wszystkie swoje stare książki z dzieciństwa, kiedy miała dokładnie takie same marzenia.

Gdy dziewczynki poszły spać, niepokój powrócił. Żeby utrzymać go w szachu, postanowiła popracować.

– Opowiadaj! – poprosił Yngvar, ciężko siadając na fotelu.

Przysunął kubek do twarzy, pozwalając, by para pokryła skórę jak maseczka nawilżająca.

– O czym?

– O nienawiści.

– Wiesz o tym więcej niż ja.

– Nie wygłupiaj się, jestem ciekaw. Co robisz?

Wypiła łyk herbaty, orzeźwiającej, o kwaskowatym zapachu.

– Pomyślałam – zaczęła powoli i na chwilę urwała. – Że chcę się zbliżyć do pojęcia nienawiści z zewnątrz. Od środka oczywiście również, ale po to, żeby powiedzieć coś sensownego o przestępczości motywowanej nienawiścią, musimy chyba się zagłębić w samo pojęcie. Mając wszystkie te pieniądze, które tak nagle na nas spadły... – podniosła głowę, jakby dosłownie tak było – ...będę mogła na przykład zaangażować tę dziewczynę, o której ci mówiłam.

– Dziewczyne?

– Charlotte Holm. Jest historykiem idei. Mówiłam ci, że napisała... – Rozejrzała się szybko i podniosła do góry broszurę.

– *Miłość i nienawiść. Analiza historyczno-pojęciowa* – przeczytał Yngvar powoli.

– Bardzo ciekawe. – Inger Johanne odłożyła opracowanie. – Już z nią rozmawiałam, najprawdopodobniej zaczniesz u mnie pracować od lutego.

– To ile was będzie w sumie? – Yngvar zmarszczył czoło, jak gdyby myśl o tym, że grupa naukowców zamierza wydawać pieniądze podatników na zgłębianie nienawiści, bardzo mu się nie spodobała.

– Czworko. Przepuszczalnie. Będzie zabawnie. Do tej pory pracowałam mniej lub bardziej sama, a to... – Jedną ręką podniosła jakąś kartkę, drugą zatoczyła krąg wokół reszty walających się wokół niej papierów. – To wszystko jest usankcjonowana nienawiść. Mowa nienawiści chroniona wolnością słowa. Ponieważ nienawistne wypowiedzi skierowane przeciwko mniejszościom są w dużym stopniu zbieżne z motywami oczywistej przestępczości z nienawiści, uważam, że bardzo interesujące będzie zbadanie związków między tymi zjawiskami i sprawdzenie, jak przebiegają granice.

– Czego?

– Tego, co się mieści w pojęciu „wolność słowa”.

– Chyba prawie wszystko się w tym mieści?

– Owszem, niestety.

– Niestety? Przecież powinniśmy bogom dziękować za to, że u nas w kraju wolno mówić, co nam się żywnie podoba.

– Oczywiście, ale posłuchaj...

Inger Johanne podciągnęła nogi pod siebie i usiadła wygodniej. Yngvar patrzył na nią. Wracając do domu, marzył tylko o tym, by rzucić się do łóżka, chociaż nie było jeszcze dziesiątej. Teraz, mimo że wciąż czuł się zmęczony po długim i mało efektywnym dniu, wcale nie miał ochoty iść spać. Przez lata wypracowali z Inger Johanne pewien model bycia razem, w którym niemal wszystko kręciło się wokół jego pracy, jej zmartwień i dzieci. Kiedy widział ją taką jak teraz, zagrzebaną w morzu dokumentów i ani słowem niewspominającą o dzieciach, na moment przypomniał sobie, jak to było, kiedy tak bardzo się w niej zakochał.

– Wolność słowa sięga daleko – mówiła Inger Johanne, szukając w bałaganie jakiegoś konkretnego artykułu. – Tak jak być powinno. Ale jak wiadomo, ma szereg ograniczeń. Najbardziej interesująca jest treść paragrafu sto trzydzieści pięć a kodeksu karnego, tego o karaniu dyskryminujących lub nienawistnych wypowiedzi publicznych. Nie chcę cię zanudzać prawem, więc tylko...

– Ty mnie nigdy nie nudzisz.

– Na pewno!

– W każdym razie nie teraz.

Uśmiechnęła się przelotnie, nim podjęła:

– Nieliczne osoby skazano za złamanie tego przepisu. Bardzo nieliczne. Kwestią sporną, a może raczej powinnam powiedzieć kwestią do rozważenia, pozostaje stosunek tego przepisu do wolności słowa. A jeśli mam oceniać na podstawie wszystkiego tego, co tu leży...

– zrezygnowana rozłożyła ręce, ale w końcu dostrzegła książkę, której szukała. – ...to wolność słowa rządzi. I kropka.

– To się samo przez się rozumie – orzekł Yngvar. – Na szczęście. Jesteśmy przecież nowoczesnym społeczeństwem.

– Nowoczesnym i „nowoczesnym”, mój drogi. Przedarłam się przez to, co te głupie homofoby ostatnio wygadują...

– Twoje oceny nie są zbyt naukowe.

Inger Johanne pozwoliła sobie przerwać. Ciężko westchnęła i splotła ręce na karku.

– Akurat w tej chwili nie czuję się za bardzo naukowa. Jestem zmęczona. Zrezygnowana. Żeby coś dało się zdefiniować jako przestępczość z nienawiści, nie wystarczy, że sprawca nienawidził ofiary jako jednostki. Nienawiść musi się kierować przeciwko ofierze będącej reprezentantem jakiejś grupy. I właśnie w głowie mi się nie mieści nienawiść w stosunku do pewnych grup, zwłaszcza w takim społeczeństwie jak Norwegia. W Strefie Gazy, owszem. W Kabulu też. Ale tutaj? W bezpiecznej socjaldemokratycznej Norwegii? – Wypiła łyk herbaty i przez parę sekund przytrzymała w ustach. – Najpierw poświęciłam dwa miesiące na przejrzenie publicznych wypowiedzi na temat muzułmanów, czarnoskórych i innych mniejszości etniczno-kulturowych. To syndrom grupowego myślenia w najgorszym wydaniu. Cały czas tylko „my”, „oni”, „ich” i „nasze”. – Z jej palców dosłownie sypały się cudzysłowy. – W końcu zrobiło mi się niedobrze, Yngvarze! Nie pojmuję, jak zwyczajni norwescy muzułmańscy rodzice mogą w ogóle zasnąć. Jak się czują co wieczór, kąpiąc dzieci, kładąc je spać i czytając im na dobranoc, ze świadomością, jakie brudy ludzie o nich wygadują i wypisują, co o nich myślą i co czują. – Oczy jej się zwięziły i zdjęła okulary. – Wszystko jest dozwolone. I, oczywiście, w dużej mierze powinno tak pozostać. Polityczna wolność słowa w Norwegii zbliża się do ideału. Natomiast kultura wypowiedzi... – Chuchnęła na okulary i zaczęła je czyścić brzegiem koszulki. – Przepraszam. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Po prostu tak strasznie bym się martwiła, gdybym należała do źle widzianej mniejszości i miała dzieci.

Yngvar zaśmiał się cicho.

– Akurat o tym mogłabyś wiele te mniejszości nauczyć. Mam na myśli martwienie się o dzieci. Ale... – Wstał i przestawił kubek z herbatą na drugą stronę stołu. Szybko pozbierał papiery leżące najbliżej Inger Johanne, przełożył je na drugi kraniec kanapy i usiadł obok żony. Objął ją i pocałował we włosy pachnące naleśnikami. – Ale jaki to ma związek z przestępczością motywowaną nienawiścią? – spytał cicho. – Przecież uzgodniliśmy, że to nie są działania kryminalne, przeciwnie, chroni je wolność słowa.

– To ma... – Inger Johanne szukała słów. – Ponieważ esencja tego, co się mówi... – zaczęła jeszcze raz, ale znów urwała. – Ponieważ treść tego, co się mówi i pisze, idealnie pasuje do... do tego, co twierdzą ci, którzy biją, którzy zabijają... to uważam... – Sięgnęła po kubek, ale nie piła. – Jeśli chcemy móc powiedzieć coś sensownego o przestępczości motywowanej nienawiścią, to musimy wiedzieć, co ją tworzy. Mam na myśli nie tylko tradycyjne modele wyjaśniania przyczyn, to znaczy takie elementy, jak warunki dorastania, doświadczenia związane ze stratą, historię konfliktu, podział zasobów, przeciwieństwa religijne i tak dalej. Musimy wiedzieć, co ją... uruchamia. Mam ochotę zbadać, czy istnieje związek między tym, co można uznać za nienawistne, chociaż legalne wypowiedzi, z nielegalną przestępczością na tle nienawiści.

– Czy to pierwsze wywołuje to drugie? O to ci chodzi?

– Między innymi.

– A czy to nie jest oczywiste? Z tego powodu nie możemy jednak zakazać wolności wypowiedzi.

– Tego związku wciąż nie można uznać za pewnik. Trzeba to zbadać.

– Tato! Tatusiu!

Yngvar się poderwał. Inger Johanne zamknęła oczy i w duchu błagała, by Kristiane się nie zbudziła, ale słyszała jedynie spokojny, ściszony głos Yngvara, z którym splatało się senne marudzenie Ragnhild. Za chwilę znów zapadła cisza. Sąsiedzi na dole najwyraźniej już poszli spać. Wcześniej irytowały ją odgłosy rozgrywającego się szybko filmu akcji, miała wrażenie, że znalazła się dosłownie na linii ognia.

– Wszystko w porządku. – Yngvar usiadł obok żony na kanapie. – Chyba jakiś zły sen. Nie obudziła się naprawdę. O czym mówiliśmy?

– Nie bardzo wiem – powiedziała słabym głosem. – Naprawdę nie wiem.

– Sądziłem, że cieszysz się ten projekt, że będziesz przy nim pracować z przyjemnością. Położyła mu rękę na brzuchu i mocniej wtuliła się w jego ramię.

– Bo tak jest – mruknęła. – Ale akurat w tej chwili odczuwam przedawkowanie

nienawiścią. Nie spytałam nawet, jak tobie minął dzień.

– I lepiej nie pytaj.

Czuła, jak pod naciskiem jej ciała Yngvar powoli się rozluźnia. Zaczął oddychać głębiej, weszła w taki sam rytm. Miał za ciasny pasek. Wyczuwała walek wylewający się ze spodni.

– Zgodziłbyś się na zasłony, Yngvarze?

– Słucham?

– Na zasłony. Tu, w salonie. Mam wrażenie, że teraz, zimą, okna są takie wielkie i ciemne.

– Pod warunkiem że nie będę musiał ich wybierać, kupować i wieszać.

– Dobrze.

Powinni wstać. Inger Johanne powinna uporządkować papiery. Jeśli dzieci rano obudzą się pierwsze, a przecież zawsze tak było, zapanuje w nich jeszcze większy chaos.

– Ładnie pachniesz – szepnęła.

– Wszystko we mnie jest ładne – powiedział sennie. W głosie miał spokój, jakiego nie wyczuwała od dawna. – A poza wszystkim jestem naj-, naj-, naj-, najlepszym policjantem na świecie.

* * *

– Policja! Stój! Hej, chłopcze, zatrzymaj się! Stój, powiedziałem!

Chłopak właśnie wypadł z ciemnozielonego volvo XC90. Tablice rejestracyjne były nieczytelne z brudu, mimo że poza tym samochód lśnił czystością. Najstarsza sztuczka pod słońcem, pomyślał sierżant Knut Bork, wyskakując z nieoznakowanego radiowozu i puszczając się w pościg za chłopakiem.

– Zatrzymaj ten samochód! – wrzasnął do kolegi, który gwałtownymi skokami już przemieszczał się na drugi pas jezdni.

Dokładnie od pięciu dni w Norwegii obowiązywał zakaz korzystania z usług prostytutek. Nowa ustawa przeszła przez parlament bez wielkiego hałasu, chociaż mało wskazywało na to, by przepis miał w znaczący sposób zmniejszyć handel seksem. Jawna prostytutka na ulicach na razie się skryła, prawdopodobnie biorąc na przeczekanie, żeby zobaczyć, jak to będzie. W Oslo wciąż jednak była cała masa dziwek obu płci, klienci też nie zniknęli, tyle że wszystko stało się bardziej skomplikowane dla obu stron. Może właśnie o to chodziło.

Chłopak niepewnie trzymał się na nogach, ale był szybki. Sierżantowi Borkowi

wystarczyło jednak zaledwie pięćdziesiąt metrów, by go dogonić.

Klient siedział w drogim samochodzie, przerażony do szaleństwa. Miał około trzydziestu pięciu lat i na próżno usiłował zasłonić kocem dwa dziecięce foteliki na tylnym siedzeniu. Kiedy gwałtownie szarpnięte drzwi od strony kierowcy się otworzyły, rozporek markowych dżinsów wciąż miał rozpięty. A gdy wysiadł i stanął na chodniku, tak jak go poproszono, zwyczajnie wybuchnął płaczem.

– Kurwa! – zawył chłopak z drugiej strony drogi. – Zabijesz mnie!

– Bez obaw – odparł sierżant Bork. – A jeśli będziesz grzeczny, to nawet ci nie założę plastikowych kajdanek, jasne? Nie są zbyt przyjemne, więc na twoim miejscu...

Czuł, że chłopak powoli się poddaje. Chude ciało zaczęło się rozprężyć. Sierżant Bork rozluźnił chwyt założony uciekającemu. Kiedy chłopak się odwrócił, wyglądał na jeszcze młodszego niż z daleka. Twarz miał dzieciinną, o miękkich rysach, nie mógł ważyć więcej niż sześćdziesiąt kilo. Rana opryszczki sięgała od górnej wargi do lewej dziurki w nosie, rozszerzonej od ropiejących strupów. Sierżant Bork aż się zdrygnął, miał ochotę go puścić.

– Przecież ja, do cholery, nie zrobiłem nic złego. – Dzieciak przeciągnął rękawem kurtki pod nosem. – Sprzedaż ciała nie jest zabroniona. To tamten dureń powinien iść do pierdła!

– Pewnie wlepimy mu grzywnę. Ale ponieważ jesteś świadkiem, to i z tobą musimy porozmawiać. Pójdiesz do naszego wozu. Chodź! Jak się nazywasz?

Chłopak nie odpowiedział. Uparcie nie ruszał się z miejsca.

– Posłuchaj – powiedział policjant. – Są dwa sposoby na zrobienie tego. Jeden przyjemny i prosty, drugi w ogóle nie jest zabawny ani dla ciebie, ani dla mnie. Ale możesz wybierać.

Brak odpowiedzi.

– Jak się nazywasz?

Ciągle nic.

– Okej. – Knut Bork wyjął plastikowe zaciski. – No to dawaj ręce na plecy.

– Martin. Martin Setre.

– Martin – powtórzył policjant i schował zaciski do kieszeni. – Masz przy sobie jakiś dokument tożsamości?

Lekki przeczący ruch głową i wzruszenie ramion.

– He masz lat?

– Osiemnaście.

Knut Bork zaczął się śmiać.

– Siedemnaście – poprawił się Martin. – Prawie. Prawie siedemnaście.

Płacz klienta stawał się coraz głośniejszy. Dochodziła już pierwsza w nocy i ruch był niewielki. Z Prinsens gate dobiegał zgrzyt tramwaju, jakaś taksówka, przejeżdżając z zapalonym kogutem w poszukiwaniu pasażerów, zatrąbiła gniewnie na dwa źle zaparkowane samochody. Okres przyjęć gwiazdkowych i kryzys finansowy zdużyły nocne życie w styczniu. Oslo było jak wymarłe.

– Knut! – zawołał głośno kolega. – Chyba powinienes tu przyjść!

– Chodź! – Knut Bork złapał chłopaka za ramię tak chude, że bez problemów objął je dłonią.

Martin niechętnie, ale poszedł.

Bork zajął do samochodu.

Konsola między siedzeniami z przodu była otwarta. W przestrzeni pod podłokietnikiem przeznaczonej na jakieś drobiazgi leżała wypchana torba, która ledwie się tam mieściła. Knut Bork włożył plastikowe rękawiczki i złapał za róg.

– No proszę! – Cmoknął z uznaniem. – To dopiero! Haszysz, jak przypuszczam?

Pytanie było najzupełniej zbędne i pozostało bez odpowiedzi. Policjant zważył paczkę w dłoni, udając, że się zastanawia.

– Przynajmniej pół kilo – orzekł w końcu. – Nieźle.

– To nie moje – wyszlochał dorosły mężczyzna. – To jego. – Wskazał na Martina.

– Co? – wrzasnął chłopak. – Bardzo ci dziękuję! Miałem dostać pięć gramów za robotę, a zobaczcie, ile mi dał! – Rozpiął kurtkę i próbował wygrzebać coś z wewnętrznej kieszeni. – Maks trzy gramy – stwierdził, w dwóch palcach podsuwając mężczyźnie pod nos niedużą kulkę owiniętą w plastikową folię. – Maks! Zgodziłbym się wysiąść z samochodu, gdyby ta paczka była moja? Nie zabrałbym jej, gdyby należała do mnie? Czyś ty kompletnie zgłupiał?

– On ma trochę racji, prawda?

Klient zaszlochał, gdy policjant położył mu rękę na ramieniu, domagając się odpowiedzi.

– Tak was proszę, nie zamykajcie mnie! Zrobię wszystko, mogę... możecie wziąć, co chcecie...

– Ho, ho, ho! – Knut Bork ostrzegawczo uniósł rękę. – Nie pogarszaj swojej sytuacji. Spokojnie, zrobimy tak...

– Mogę już iść? – spytał Martin cienkim głosem. – Przecież to nie o mnie wam chodzi. Mnie tylko odesłacie do ośrodka dla dzieci, będzie mnóstwo papierkowej roboty i...

– – Mówiłeś chyba, że jesteś dorosły? Chodź!

Nadjeżdżający autobus musiał lawirować między samochodami tarasującymi oba pasy ruchu. Nim z warkotem odjechał, jeden jedyny nocny pasażer z zaciekawieniem przyjrzał się czterem mężczyznom. Znow dało się rozmawiać.

– Mój samochód... – zaszlochał klient prowadzony do radiowozu. – Żona będzie go rano potrzebowała! Musi zawieźć dzieci do przedszkola.

– Powiem ci wprost. – Knut Bork pomógł mu wsiąść na tylne siedzenie. – Jutro rano twoja żona będzie miała większe problemy niż brak samochodu.

Dziecko ulicy

Problem polegał na tym, że wiele osób zaczęło się skarżyć na nieprzyjemne powietrze. Mówiąc wprost, na smród. Recepcjonista miał mnóstwo roboty z przenoszeniem gości, którzy wracali z przydzielonych im pokoi, twierdząc, że nie nadają się do zamieszkania. Najdziwniejsze, że rzecz nie dotyczyła tylko jednej części hotelu. Przeciwnie, skarżono się na jeden pokój tu, inny tam, aż w końcu pasjans się zakleszczył. Zważywszy, że aż tyle pokoi nie nadawało się do użytku, przyjęto stanowczo zbyt wiele rezerwacji.

Hotel Continental w Oslo był dumnym przybytkiem, który definitywnie nie akceptował nieprzyjemnego zapachu w swoich wnętrzach.

Człowiek do wszystkiego, Fritjof Hansen, usiłował rozwiązać problem już od ponad pięćdziesięciu minut. Zaczął od pierwszego pokoju, na który narzekał porywczy Francuz, grożący, że przeniesie się do Grandu. Po otwarciu drzwi buchnął słodkawy mdły odór. Na tyle, na ile Fritjof Hansen mógł się zorientować, nic go nie tłumaczyło. Łazienka była świeżo wyszorowana, wszystkie szuflady puste, z wyjątkiem obowiązkowego egzemplarza Nowego Testamentu i broszur opisujących bary i rozrywki w Oslo. Pod łóżkiem, o zgrozo, znalazł wprawdzie kłębek brudnej waty i chowającą się za nogą łóżka prezerwatywę, ale nic, co by cuchnęło. Najgorsze, że w żadnym miejscu w pokoju nie śmierdziało bardziej niż w innym, a gdy tylko wyszedł za drzwi, znów poczuł suchy aromat luksusu i środka do prania dywanów. W sąsiednim pokoju wszystko było w porządku. Ale kiedy otworzył drzwi do numeru położonego bardziej w głębi korytarza, znów wyczuł smród. Kompletnie niepojęte.

Stał teraz w foyer na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na plecach i z podniesioną głową węszył w powietrzu. Fritjof Hansen miał wprawdzie sześćdziesiąt trzy lata i zmysł węchu osłabiony wypalaniem przez czterdzieści z tych lat paczki papierosów dziennie, ale odkąd trzy lata temu zgasił ostatniego, i smaki, i zapachy stały się wyraźniejsze.

– Edvard – kiwnął na pikola zataczającego się pod ciężarem jednej torby pod pachą i walizek w obu rękach. – Czujesz tu jakiś dziwny zapach?

– Nie. – Edvard nawet się nie zatrzymał. – Za to w piwnicy śmierdzi jak diabli.

– Aha...

Fritjof Hansen złączył nogi jak żołnierz i strzepnął wyimaginowany pyłek z kombinezonu, zielonego, świeżo wyprasowanego, z ostrym kantem na nogawkach. Czarne buty też miał wyczyszczone do połysku. Identyfikator z paskiem magnetycznym, który w połączeniu z niezbyt wyrafinowanym kodem czterech jedynek umożliwiał mu dostęp do wszystkich pomieszczeń w budynku, zwisał u paska na rozciągliwym sznurku. Fritjof Hansen ruszył ostrym, wojskowym krokiem.

Piwnica Continentaiu to był prawdziwy labirynt, ale nie dla Fritjofa Hansena. Od ponad szesnastu lat dbał o mniejsze i większe naprawy w hotelu. Gdy rok wcześniej otrzymał tytuł szefa dozoru technicznego, zrozumiał, że to tylko sposób uczczenia jego lojalności. Nie był przecież niczym szefem. Zanim dostał tę pracę w Continentaiu, pakował spinacze do pudełek w zakładzie pracy chronionej w Groruddalen. Później okazało się, że ma niezwykle zdolności manualne, i wówczas został kimś w rodzaju nieformalnego dozorczy. W końcu szef zaprotegował go do hotelu Continental. Fritjof stawiał się na rozmowę świeżo ogolony, ze skrzynką z narzędziami, w czystym stroju. Dostał tę robotę i od tamtej pory nie opuścił ani jednego dnia pracy. Piwnicy nie lubił.

Znajdujących się tu skomplikowanych urządzeń doglądali osobni specjaliści. Fritjofowi Hansenowi zdarzyło się wprawdzie wymienić żarówkę czy naprawić jakieś drzwi, które się zatrzasnęły, ale hotel miał podpisaną umowę z zewnętrznymi firmami na stałą modernizację i konserwację kotłowni. Systemu wentylacyjnego również. Na dachu i w oddzielnym pomieszczeniu na ostatnim piętrze stał moduł pobierający świeże powietrze z zewnątrz, ale jego mechanizm znajdował się w piwnicy. W miarę upływu lat system rozbudowywano i uzupełniano, w ten sposób powstały właściwie dwa niezależne systemy. Podczas ostatniej modernizacji zalecono wymianę całości, to jednak okazało się drogie i w ramach kompromisu zawartego między dyrekcją hotelu a dostawcą sprzętu zamontowano nowy, mniejszy agregat, który miał odciążyć ten stary. Fritjof Hansen słyszał monotony warkot na długo, nim dotarł do korytarza najbardziej w głębi, gdzie znajdowały się zamknięte na klucz drzwi do pomieszczeń maszynowni.

Kiedy zszedł ze schodów, zmarszczył nos. Ten zapach różnił się od tamtego w zanieczyszczonych pokojach dla gości, ale i tu czuło się dziwną, słodkawą woń, przemieszaną z zapachem wilgoci i kurzu, wyraźnym odorem starości.

Fritjof Hansen nie wierzył w duchy. Wierzył swojemu bratu, Partii Pracy i kierownictwu hotelu, które obiecało mu, że będzie mógł tu pracować, dopóki będzie w stanie

chodzić. W miarę upływu lat nabrał też wiary w siebie. Duchy były niewidzialne, a to, czego nie można zobaczyć, nie istnieje. A jednak zawsze ogarniało go dziwnie nieprzyjemne uczucie, kiedy zapuszczał się w długie, wąskie korytarze z mnóstwem drzwi do pomieszczeń skrywających rzeczy, które znał, lecz których często nie rozumiał.

Kiedy korytarz skręcił w lewo, zapach nabrał intensywności. Fritjof zbliżał się do systemu wymiany powietrza znajdującego się w dwóch osobnych pomieszczeniach, położonych obok siebie. Z każdym krokiem robiło się coraz nieprzyjemniej. Może powinien po kogoś pójść? Edvard to miły facet, zawsze gdy tylko mógł, ucinał sobie z nim pogawędkę.

Ale Edvard był tylko pikolem, Fritjof zaś szefem dozoru technicznego z tabliczką na piersi i kodem do wszystkich pomieszczeń w całym budynku. To była jego praca, a recepcjonista zapowiedział, że ma godzinę na znalezienie problemu, zanim dyrekcja wezwie specjalistów.

Tak jakby on nie był specjalistą.

Chociaż prawie wszystko w piwnicy było stare, to jednak drzwi zamknięto na nowoczesny czytnik kart. Przeciągnął swoją kartę i wstukał kod na tyle pewnie, na ile mógł.

Otworzył drzwi.

Odór buchnął z taką mocą, że zmusił go do cofnięcia się o parę kroków. Nim z wahaniem znów postąpił w przód, zasłonił nos ręką.

Stanął w drzwiach ciemnego pomieszczenia. Po omacku odszukał przełącznik światła. Jarzeniówki niemal go oślepiły nieprzyjemnym niebieskim światłem.

Cztery metry dalej, częściowo przesłoniętą urządzeniem, którego przeznaczenia nie znał, ujrzał parę nóg, od kolan w dół. Nie umiał nawet stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Fritjof Hansen miał stały wieczorny rytuał. W każdy powszedni dzień pięć po pół do dziesiątej wieczorem oglądał *Kryminalne zagadki* na kanale TV Norge. Jedno piwo, nieduża torebka chipsów i *Kryminalne zagadki*, zanim poszedł spać. Lubił i tę wersję z Miami, i tę z Nowego Jorku, ale jego faworytem był Gil Grissom z oryginalnej serii z Las Vegas. Teraz, kiedy Grissoma mieli zastąpić tym czarnym, nie wiedział, czy będzie mu się chciało dalej to oglądać.

Grissom był najlepszy z nich wszystkich.

Gil Grissom na pewno by nie chciał, aby szef dozoru technicznego w szanowanym hotelu zadeptał miejsce przestępstwa, niszcząc mnóstwo mikroskopijnych dowodów, które mogły się tam znajdować. Bo że jest to miejsce przestępstwa, tego Fritjof Hansen był pewien. W każdym razie człowiek leżący pod ścianą nie żył. Hansen pamiętał odcinek, w którym

Grissom określił moment śmierci, badając rozwój larw muchy na ciele padłej świni. Było to dostatecznie paskudne nawet w telewizorze.

– Martwy jak trup – mruknął pod nosem, żeby jeszcze bardziej się przekonać. – Tu cuchnie śmiercią.

Powoli się cofnął i zamknął drzwi. Poruszył klamką, sprawdzając, czy się zatrzasnęły, i spokojnie zawrócił do schodów. Dopiero za węglem, gdzie korytarz skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, zaczął biec.

* * *

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie pozwolić mu zbiec. Ale potem znaleźliśmy ten haszysz. Musiałem się z nim poważnie rozmówić i przyszło mi do głowy, że...

Sierżant Knut Bork wręczył notatkę służbową Silje Sørensen, kiedy szli razem przez niebieską strefę w budynku policji. Silje wzięła kartkę, zatrzymała się i przebiegła po niej wzrokiem.

Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że Martin Setre ma piętnaście lat i jedenaście miesięcy. Pierwszą część życia spędził u biologicznych rodziców. Już w przedszkolu wyróżniał się jako pechowiec. Ciągłe złamania, siniaki. Wprawdzie chłopiec również w przedszkolu był dość nieuważny, lecz większość obrażeń przynosił z domu. Kiedy pedagog poprosił o zbadanie chłopca, zaczęto mówić o ADHD, ale zanim badania na dobre się rozpoczęły, rodzina się przeprowadziła. Martin zaczął chodzić do szkoły w niedużej gminie w Østfold. Pół roku później trafił do szpitala z bólami brzucha, których przyczyny nikt nie potrafił wyjaśnić. Wiosną, w pierwszej klasie, rodzina znów się przeprowadziła. Było to zaraz po tym, gdy jedna z nauczycielek przyszła z niezapowiedzianą wizytą i zastała chłopca nienależycie ubranego, zamkniętego w komórce na rowery. Powiadomiła Centrum Ochrony Praw Dziecka, lecz zanim sprawa zdążyła wyłonić się na wierzch stosu innych spraw, rodzina kolejny raz zmieniła miejsce zamieszkania.

I tak się ciągnęło życie Martina, aż do czasu, gdy jako jedenastolatek trafił do Szpitala Ullevål z pękniętą czaszką. Uratowanie mu życia okazało się na szczęście możliwe, znacznie trudniej było zapewnić mu życie godziwe. Od tamtej pory chłopaka przenoszono z zakładu do zakładu, od jednej rodziny zastępczej do drugiej. Ostatnia ucieczka miała miejsce w czasie świąt z ośrodka wychowawczego, w którym umieszczono go siłą.

Sprawę karną przeciwko rodzicom umorzono z braku dowodów.

– ...era – mruknęła Silje, podnosząc głowę.

– Słucham?

– Cholera! – powtórzyła z przesadnie wyraźną dykcją.

– Można i tak powiedzieć. – Knut Bork poprowadził ją dalej. – On siedzi tutaj. – Wsunął klucz w zamek. – Prawdę mówiąc, nie mamy prawa go zamykać, a w każdym razie bez dozoru. Ale gość byłby już za górami, za lasami, gdybym zostawił te drzwi otwarte bodaj na sekundę. Podczas transportu z pogotowia opiekuńczego trzy razy próbował zwiać.

– Siedzi tam od poniedziałku?

– Tak. Tutaj nie był sam dłużej niż przez pięć minut.

Martin Setre nawet nie podniósł głowy. Kołysał się na krześle, a jedną nogę trzymał na stole. Wokół brudnego buta utworzyła się kałuża roztopionego śniegu. Oparcie krzesła rytmicznie uderzało w ścianę za jego plecami, na której powoli zaczynały się już pojawiać ślady.

– Przestań! – powiedział Knut Bork. – Natychmiast. To jest nadkomisarz Silje Sørensen. Chce z tobą porozmawiać.

Chłopak wciąż na nich nie patrzył. W palcach obracał puszkę ze snusem, ale pod wargą chyba nie miał tytoniu. Opryszczka natomiast jeszcze się zaogniła.

– Cześć. – Silje stanęła po przeciwnej stronie biurka. – Możesz się ze mną przywitać, jak chcesz.

Usiadła.

– Rozumiem – powiedziała i zaczęła się śmiać.

Chłopak wreszcie podniósł głowę, ale nie patrzył jej w oczy.

– Z czego się, do cholery, śmiejesz?

– Nie z ciebie, z Knuta. – Skinieniem głowy wskazała na młodszego kolegę. On odrobinę uniósł brwi i zaraz zrobił tę samą obojętną minę. Odwrócił krzesło, na którym siedział, i wychylił się przez oparcie ze skrzyżowanymi rękami, machając cienką teczką.

– Bo widzisz – ciągnęła Silje – kiedy mi pokazał twoje papiery, założyliśmy się o sto koron, że będziesz się huśtał na krześle, bawił puszką ze snusem i nie zechcesz się ze mną przywitać. A o drugie sto, że nie spojrzysz mi w oczy przez pierwszy kwadrans. Wygląda na to, że zarobię. Dlatego się śmieję. – Znow się zaśmiała.

Chłopak zdjął nogę z biurka, z hukiem opuścił krzesło na podłogę i popatrzył prosto na nią.

– Jeszcze nie minął kwadrans – stwierdził. – Przegrałaś.

– Tylko połowicznie. Na razie jest jeden – jeden między Knutem a mną. A co będzie między nami, zobaczymy.

Lekkie pukanie do drzwi kazało chłopcu na nie spojrzeć.

Weszła mniej więcej trzydziestoletnia kobieta z dużą nadwagą w obszernych szatach. Ciężko dyszała.

– Przepraszam za to kilkuminutowe spóźnienie – uśmiechnęła się. – Ale tyle dziś roboty. Jestem Andrea Solli z Centrum Ochrony Praw Dziecka.

To ostatnie wyjaśnienie skierowała do Martina, wyciągając jednocześnie do niego rękę. Z wahaniem podał swoją, prawie bezwładną.

– No to chyba wszystkie formalności załatwione. – Andrea Solli sięgnęła po ostatnie krzesło w pokoju.

Chłopak zamknął oczy i udał, że ziewa, a tak naprawdę uaktualniał swoją listę. W szeregu pracowników ochrony praw dziecka, biegłych, adwokatów i członków rozmaitych komisji, jacy przewinęli się przez życie Martina Setre, Andrea miała numer sześćdziesiąt dwa. Pierwsza osoba na tej liście skłoniła go do mówienia. Wyznał tyle, ile miał sił, i zakończył opowieścią o tym, jak ojciec walił jego głową o sedes tak długo, że nie wiedział już, czy syn żyje.

Tamta kobieta powiedziała, że mu wierzy i że wszystko jakoś się ułoży.

Ale nic nigdy się nie ułożyło, za to on już dawno przestał wierzyć w te wszystkie wygadywane przez nich brednie.

– Rozumiem, że zostałeś zatrzymany trzy dni temu – powiedziała Silje Sørensen. – Piszą tu, że za posiadanie trzech i pół grama haszyszu. Szczerze mówiąc, akurat to mam tam, gdzie plecy zmieniają nazwę. Nie interesuje mnie też twoja kariera męskiej prostytutki. Interesuje mnie wyłącznie to. – Wzięła od Knuta Borka kartkę, którą wyjął z trzymanej przez siebie teczki. – Protokół z zatrzymania dwudziestego pierwszego listopada ubiegłego roku.

– Co? Chcecie grzebać w jakichś prastarych sprawach? – Martin zaczął się nerwowo wiercić na krześle.

– To było raptem półtora miesiąca temu, Martin. Dla policji to nie jest prastara sprawa. A w ogóle to nie ty mnie interesujesz.

Chłopiec się wychylił i zaczął popychać puszkę ze snusem po blacie biurka jak hokejowy krążek, z ręki do ręki.

– Interesuje mnie Hawre. Hawre Ghani. Znasz go, prawda?

Krążek jeszcze nabrał prędkości.

– Przestań, Martin! Zatrzymano was razem. Z protokołu wyraźnie wynika, że się znaliście. Chodzi mi tylko o to...

– Nie widziałem Hawrego od wieków – powiedział chłopak ze złością.

– W to akurat wierzę.

– Nic o nim nie wiem – mruknął Martin.

– Przyjaźniliście się?

Chłopak uśmiechnął się krzywo.

– To ma oznaczać tak czy nie?

– Raczej trudno o przyjaciół, kiedy się żyje tak jak ja. Przecież ja nigdzie nie zostaję dłużej niż kilka tygodni.

– Sam uciekasz – przypomniała mu pani z Centrum. – Rozumiem, że może ci być bardzo trudno, ale nam też trudno stworzyć...

– Te sprawy możecie załatwić później – przerwała jej Silje. – Muszę powtórzyć pytanie, Martin. Dobrze znałeś Hawrego?

Znów w milczeniu zaczął grać w hokeja na blacie biurka.

– Czerwienisz się. Byliście kochankami?

– Co?

Rana w nosie zaczęła mu krwawić. Cienka czerwona smużka spłynęła zygzakiem po chropowatym, żółtym strupie biegnącym od lewej dziurki w nosie do wargi.

– Ja... i Hawre? Hawre nie jest nawet prawdziwym pedałem. Zwyczajnie potrzebuje pieniędzy.

– A ty jesteś?

– Co?

– Pedałem?

– Nie wolno ci, do cholery, o to pytać!

Z tylnego dziedzińca dobiegł ryk syreny. Na parapecie za oknem siedziały dwie sroki i wpatrywały się w nich czarnymi jak węgiel ślepkami, nie zważając na tamten odgłos.

Martin zmrużył oczy, a dłonie w końcu mu się uspokoiły.

– Ale skoro pytasz, to odpowiem, że tak. Nie ma się czego wstydić.

Z całej jego postaci bił bunt. Teraz to on nie chciał oderwać oczu od Silje.

– Z tym całkowicie się zgadzam.

Gdyby chłopak ważył dziesięć kilo więcej, a tę paskudną ranę na twarzy wyleczył, byłby nawet ładny. Niestety, miał zepsute zęby – rzadki widok u norweskiego dziecka w roku 2009. Mówiąc, odsłaniał szary osad kamienia nazębnego, który i tak nie zdołał ukryć dwóch kiepskich plomb w górnych jedykach. Ale oczy miał duże i niebieskie, a długie rzęsy ślicznie wygięte jak u dziecka.

– Czy oni nie mogą stąd wyjść? – spytał.

– Kto?

Martin wskazał na pracownicę socjalną i policjanta.

– Ja mogę sobie iść – odpowiedział Knut Bork. – Ale Andrea Solli musi zostać. Nie mamy prawa przesłuchiwać cię bez obecności opiekuna. – Nie wdając się w dalsze dyskusje, wstał. Teczkę położył obok kartki przed Silje, a krzesło dosunął do biurka. – Zadzwoń do mnie, jak skończycie, będę u siebie w pokoju.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Martin z kwaśną miną popatrzył na Andree Solli.

– Nie potrzebuję opiekuna – oświadczył. – Też możesz wyjść. Silje uprzedziła przedstawicielkę Centrum.

– Nie ma mowy – stwierdziła zdecydowanie. – O tym możesz zapomnieć. Opowiedz mi o sobie i o Hawrem.

Martin zaczął oblizywać ranę. Krew zmieszana ze śliną zjaśniała i nagle spory kawał strupa się oderwał.

– Kurwa! – krzyknął, łapiąc się za usta.

Teraz krew popłynęła już mocno. Andrea Solli wyjęła z wielkiej torby paczkę chusteczek higienicznych. Martin złapał trzy i przycisnął je do rany.

– Hawre i ja nie byliśmy kochankami – oświadczył z przejęciem, nieoczekiwanie zdradzając, że jeszcze nie przeszła mu mutacja. – Byliśmy tylko przyjaciółmi.

– Przyjaciele zwykle miewają jako takie pojęcie, gdzie się znajduje ten drugi – zauważyła Silje.

Chłopak nie odpowiedział. Oczy miał wilgotne, ale Silje nie umiała stwierdzić, czy z powodu obrotu, jaki przybrała rozmowa, czy przez bolącą wargę. Nie bardzo też wiedziała, co ma dalej mówić. Żeby kupić sobie trochę czasu, otworzyła półlitrową butelkę wody mineralnej Farris i naląła do trzech szklanek, nie pytając, czy ktoś ma ochotę.

– Hawre nie żyje – powiedziała cicho.

Obie sroki jednocześnie wzbily się z parapetu i z ochrypłym krzykiem zniknęły w ciemności nad miastem. Śnieg wreszcie przestał padać. Było już piętnaście po czwartej, z korytarza dobiegały szybkie kroki ludzi spieszących do domów.

– Tak myślałem – szepnął Martin. Rzucił zakrwawione chusteczki na podłogę, położył ręce na stole i ukrył w nich twarz. – Właśnie tak myślałem – wykrztusił drugi raz.

– Kiedy go ostatnio widziałeś?

Silje Sørensen miała ochotę podejść i objąć go, przytulić, pocieszyć, tak jakby istniał sposób na pocieszenie szesnastoletniego chłopaka, który już dawno temu stracił szansę na przyzwoite życie.

– Kiedy go widziałeś ostatnio? – powtórzyła.

– Nie pamiętam – wyszochał.

– To bardzo ważne, Martin, bo Hawre został zabity.

Szlochły na chwilę ucichły.

– Zabity? – spytał zduszonym głosem.

– Tak. I dlatego takie ważne jest, żebyś spróbował to sobie przypomnieć.

– Myślisz, że to ja zabiłem Hawrego?

Nie był nawet zły czy oburzony. Martin Setre przyjmował za pewnik, że wszyscy uważają go za winnego.

– Nie. Absolutnie nie wierzę w to, że zabiłeś swojego kolegę.

– To dobrze. – Pociągnął nosem i powoli się wyprostował.

Andrea Solli podsunęła mu paczkę z chusteczkami, ale Martin już jej nie wziął.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

– Możesz sobie przypomnieć, kiedy ostatnio go widziałeś? Spróbuj zacząć od dwudziestego pierwszego listopada. Wtedy, kiedy was razem zatrzymano. To był piątek. Przypominasz sobie coś z tego?

Ledwo zauważalnie kiwnął głową.

– Zajęło się tobą Centrum Ochrony Praw Dziecka i odwieziono cię do pogotowia opiekuńczego. Tak jest tutaj napisane. Hawremu natomiast udało się uciec podczas transportu. Widziałeś go jeszcze później?

– Tak...

Martin sprawiał wrażenie, że naprawdę się zastanawia. Czoło na pół przedzielała mu głęboka zmarszczka.

– Uciekłem następnego dnia. Spotkaliśmy się w każdym razie w... niedzielę. I w... – Pierwszy raz sięgnął po szklanekę z wodą. – Mogę zamiast tego dostać colę?

– Oczywiście, proszę.

Podawała mu butelkę. Otworzył ją i napił się, nie zwracając sobie głowy szklanką. Gdy szyjka butelki dotknęła rany, która nie przestawała krwawić, przez twarz przebiegł mu grymas bólu.

– Spotkaliśmy się w tę niedzielę. Jestem tego pewien, bo... – urwał.

– Bo co? – spytała Silje.

– Nie powiem.

– Zrozum, że...

– O tym wieczorze nic nie powiem, okej? On i tak nie ma żadnego znaczenia. Bo

widziałem się z Hawrem jeszcze dzień później.

– Aha. – Silje otworzyła kalendarz w komórce. – To znaczy... w poniedziałek dwudziestego czwartego listopada?

– Nie mam pojęcia, jaka to była data, ale na pewno w poniedziałek po tym, jak nas zwinęli. Chcieliśmy... – Wreszcie sięgnął po chusteczkę i przyłożył ją delikatnie do ust. Na rękach wciąż wisiały mu łzy. Już nie płakał, ale sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zabiedzonego. – Mieliśmy zrobić tylko ze dwa kursy. Potem chcieliśmy iść do kina. Potrzebowaliśmy pieniędzy.

Silje Sørensen miała przed sobą długopis i kartkę, do tej pory jednak nie zrobiła żadnej notatki. Teraz ostrożnie sięgnęła po długopis, ale kartki nie ruszyła.

– Jaki film chcieliście obejrzeć? – spytała i czym prędzej dodała: – Chodzi mi o potwierdzenie daty.

– *Max Manus*.

Uśmiechnęła się.

– Coś ty? *Max Manus* miał premierę tuż przed świętami.

– No to nie wiem, nie pamiętam. Naprawdę. Cholera, nie pamiętam, co mieliśmy obejrzeć, bo i tak nie poszliśmy do kina.

– A co robiliście?

– My... no... chcieliśmy tylko załatwić jakieś pieniądze. Poszliśmy na Dworzec Centralny.

Znów poszukał jej spojrzenia, jakby chciał uzyskać potwierdzenie, że zrozumiała, o co mu chodzi. Lekko kiwnęła głową. Uznał to za odpowiedź twierdzącą.

– Tam było wtedy mnóstwo ludzi, całe mnóstwo.

– Jaka to była pora?

– Nie wiem, pewnie popołudnie. W każdym razie niezbyt późno, bo później mieliśmy jeszcze iść do kina. Kręciliśmy się tam, gdzie zwykle, i...

– Czyli gdzie?

– Przy wejściu od strony Placu Dworcowego.

– A potem?

– Nikt nie przyszedł.

– Nikt? Przecież mówiliś...

– Nikt z tych, których szukaliśmy. Nikt, kto...

Znów zaczął się bawić puszką ze snusem. Silje zauważyła, że chłopak ma niezwykle długie i piękne, niemal kobiece palce.

– Więc postanowiliśmy iść do City, Oslo City. I akurat jak wyszliśmy z dworca, podszedł jakiś facet. Zagadał do nas po angielsku, a raczej pewnie po amerykańsku, nie bardzo wiem. Ale chyba po amerykańsku.

– I co chciał?

– Tego co zwykle – odparł Martin ze złością. – Ale nie bardzo potrafił o tym powiedzieć od razu, nie używał zwykłych... *Creepy type*. Było w nim coś dziwnego.

– Co?

– Nie bardzo wiem. W każdym razie nie chciałem z nim iść. Był...

Zamyślił się na tak długo, że Silje zadała inne pytanie:

– Pamiętasz, jak wyglądał?

– Stara świnia. Drogie ciuchy. Właściwie trochę tłusty.

– Co masz na myśli, mówiąc, że był stary?

– Miał co najmniej czterdzieści lat! Wstrętny. Grzebał i wypytywał. Ja nie lubię takich starych. Dwadzieścia pięć lat to w porządku, nie więcej. Ale Hawre potrzebował pieniędzy bardziej niż ja i z nim poszedł. – Martin spojrział na butelkę coli. – Ubranie miał takie, że od razu po nim widać bogactwo. Rozumiesz?

Silje Sørensen rozumiała to doskonale. Była najbogatszą policjantką w kraju, bo w wieku osiemnastu lat odziedziczyła majątek. Nie wywarło to jednak na nią zbyt wielkiego wpływu. Kiedy się ubiegała o przyjęcie do Szkoły Policyjnej, raczej próbowała snobować się w drugą stronę. Tak się do tego przyzwyczaiła, że na ogół kupowała ubrania w H&M, ale dobrze rozumiała, o co chodzi chłopakowi, i kiwnęła głową.

– A potem?

Martin podniósł wzrok. Jego oczy ją przeraziły. Rozpacz z powodu śmierci kolegi przeobraziła się w czystą apatię. Wzruszył ramionami i mruknął coś niezrozumiałego.

– Słucham?

– Dużo więcej z tego dnia nie pamiętam.

– Ale później już nie widziałeś Hawrego?

Nie potrafił się powstrzymać od dotykania językiem rany i zamiast odpowiedzieć, tylko pokręcił głową.

Wstępny wynik sekcji zwłok wykazywał, że Hawre Ghani zginął najprawdopodobniej między piętnastym a dwudziestym piątym listopada. Martin Setre widział go dwudziestego czwartego, kiedy Hawre odchodził z nieznanym klientem.

– Musisz mi pomóc – powiedziała Silje.

Wciąż milczał.

– Trzeba zrobić portret tego mężczyzny, z którym poszedł Hawre. Pomożesz?

– Dobrze, jeśli dostanę najpierw coś do jedzenia.

– Dostaniesz. A co byś chciał?

Po raz pierwszy dostrzegła cień uśmiechu na oszpeconej twarzy.

– Befsztyk z cebulą i mnóstwo smażonych ziemniaków. Jestem kurewsko głodny.

* * *

Yngvar Stubø usiłował kaszlem zagłuszyć burczenie w brzuchu. Zaledwie przed godziną zjadł jabłko i banana, ale już czuł, że żołądek przyrasta mu do kręgosłupa. W sylwestra pierwszy raz od dwóch lat stanął na łazienkowej wadze. Trzycyfrowa wartość, która pojawiła się na wyświetlaczu, przeraziła go.

Ponieważ w już i tak napiętym terminarzu niemożliwością było znalezienie czasu na systematyczny trening, musiał ograniczyć jedzenie. W tajemnicy zarejestrował się na stronie vektkklubb.no, która natychmiast bezlitośnie poinformowała go, że dziennie spożywa cztery tysiące kalorii. Ograniczenie się do tysiąca ośmiuset było prawdziwym piekłem.

Wciąż miał w biurku trzy batoniki Kvikkklunsi. Otworzył szufladę i zapatrzył się w pasiaste opakowania. Połówka chyba by mu nie zaszkodziła. Wprawdzie trzy dni wcześniej w tabeli na stronie internetowej sprawdził wartość kaloryczną czekolady i postanowił, że już nigdy w życiu nie tknie tego świństwa, ale teraz był tak głodny, że nie mógł jasno myśleć.

Zadzwoił telefon.

– Słucham, Yngvar Stubø – powiedział życzliwiej niż zwykle, szczerze wdzięczny, że ktoś zajmie mu myśli.

– Cześć, mówi Sigmund.

Sigmund Berli już od prawie dziesięciu lat był przyjacielem Yngvara i najbliższym kolegą z pracy. Zdecydowanie nie zaliczał się do najostrzejszych noży w skrzynce z narzędziami Kripos, ale ciężko pracował i był lojalny. Głosował na skrajnie prawicową Partię Postępu, kibicował klubowi Vålerenga i odkąd przed rokiem się rozwiódł, przez siedem dni w tygodniu żywił się gotowymi obiadami firmy Fjordland. Wolny czas, którego miał niewiele, poświęcał dwóm ubóstwianym synom. Sigmund Berli był dla Yngvara kotwicą w głębi społeczeństwa. Bardzo go to cieszyło. Koledzy i znajomi Inger Johanne z uniwersytetu coraz częściej sprawiali, że podczas przyjęć i kolacji nie odzywał się ani słowem. Tłumaczenie im, jak naprawdę żyje się w tym kraju, było pozbawione sensu. Dzięki Bogu miał Sigmunda Berliego i jego proste uogólnienia, oparte na doświadczeniach zwykłych ludzi.

– Znaleźliśmy cholernie gruby plik listów pełnych nienawiści – powiedział Sigmund.

– Ciągłe jesteś w Bergen?

– Tak. W sejfie kancelarii pani biskup.

– Jesteś w sejfie kancelarii pani biskup?

– Przestań! Te listy tam były. Dopiero kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że jest tam sejf. Sekretarka miała kod, ale okazało się, że niewłaściwy. W końcu jakiś facet od dostawcy go otworzył, i okazało się, jeśli wolno mi tak powiedzieć, że pełno w nim gówna.

– Czego dotyczą?

– Zgadnij!

– Nie mam ochoty na zabawy w zgadywanki, Sigmund.

– Tralala, homsasa!

Yngvar dosłownie usłyszał, jak na drugim końcu linii Sigmund się uśmiecha.

– A o co innego mogłoby chodzić?

– Mówisz o e-mailach – dopytywał się Yngvar – czy o zwykłych listach? Anonimowych?

– Wszystkiego po trochu. Głównie wydruki z e-maili. Większość anonimowa, ale niektórzy podpisywali się pełnym imieniem i nazwiskiem. W dużej mierze to śmieci, Yngvar. Kloaka, po prostu. I wiesz, czego nigdy nie udało mi się zrozumieć?

Całkiem wielu rzeczy, pomyślał Yngvar.

– Dlaczego niektórych tak strasznie prowokuje to, co inni robią w łóżku? Trener hokeja chłopaków to gej. Cholernie fajny facet. Męski i twardy dla nich. Ale w porządku. Przychodzi na wszystkie treningi. Nie tak jak ten poprzedni idiota, chociaż tamten miał żonę i czworo dzieci. Niektórzy rodzice zaczęli się burzyć, kiedy facet się ujawnił w gazecie, ale szkoda, że nie widziałeś wtedy starego Sigmunda Berli. – Śmiech zatrzeszczał w słuchawce.

– Ustawiłem wszystkich, jak trzeba. Nie można stawiać znaku równości między całkiem zwykłym pedałem a jakimś cholernym pedofilem. Zyskałem przyjaciela aż do śmierci w tym facecie. Parę razy byliśmy na piwie. Naprawdę bardzo fajny. I świetny na lodowisku. Dopóki się dało, był w kadrze juniorów. Ale to banda homofobów.

Yngvar słuchał z rosnącym zdziwieniem, chociaż wzroku wciąż nie odrywał od pasiastego opakowania batoników.

– Co robicie z tymi listami? – spytał roztargnionym tonem.

Sigmund coś żuł.

– Przepraszam – powiedział z ustami pełnymi jedzenia. – Po prostu musiałem wrzucić coś do żołądka. W Bergen mają pyszne drożdżówki.

Szuflada z batonikami zatrzasnęła się z hukiem, zanim Sigmund podjął:

– Posadziliśmy przy jej maszynie specja od komputerów. Szuka adresów IP i podobnych rzeczy. Listy oczywiście też zostaną zbadane. Ciekaw jestem, dlaczego je wszystkie przechowywała. Nic też nie zgłosiła policji.

– Większość osób publicznych stale coś takiego dostaje, przynajmniej jeśli mają kontrowersyjne poglądy. Rzadko ktoś podejmuje jakieś kroki. To jak dolewanie oliwy do ognia. Inger Johanne zajmuje się teraz projektem...

– Jak się miewa moja ulubiona kobieta? – przerwał mu Sigmund.

Kolega Yngvara już od kilku lat cierpiał na pozornie niezmiennie zakochanie w Inger Johanne. Zwykle wyrażało się ono w bezgranicznym podziwieniu ilekroć ją widział lub o niej mówił. A kiedy trochę wypił, potrafił wyskoczyć z bezpośrednim komplementem czy źle widzianym intymnym gestem. Raz nawet Inger Johanne wymierzyła mu solidny policzek, kiedy upiwszy się koniakiem gospodarzy, dotknął jej piersi. Z jakiegoś absurdalnego powodu mimo wszystko i tak go lubiła. Na swój sposób.

– Dobrze. Musisz któregoś dnia do nas zajrzeć.

– Może w ten weekend, to by bardzo pasowało...

– Zadzwoń do mnie, jak będziecie mieli coś nowego – wszedł mu w słowo Yngvar. – Muszę lecieć. Cześć!

Już miał się rozłączyć, ale usłyszał jeszcze zniekształcony przez aparat głos Sigmunda, który krzyczał:

– Zaczekaj, nie odkładaj!

Yngvar przyłożył telefon do ucha.

– O co chodzi?

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie wszystkie te listy dotyczyły homoseksualizmu.

– Nie?

– W niektórych jest też mowa o aborcji.

– O aborcji?

– No tak, przecież wiesz. Biskup akurat w tej kwestii była dość fanatyczna.

– Ale o czym oni piszą? A przede wszystkim kto pisze?

Sigmund wreszcie skończył jeść.

– Różnie. W każdym razie w tych listach nie ma aż tyle agresji, raczej uraza. Jeden od kobiety, która wolałaby się nigdy nie urodzić. Cięża była owocem gwałtu, a bardzo młoda matka bała się o tym komukolwiek powiedzieć i w końcu było za późno na zabieg. Życie tej osoby od urodzenia się nie układało.

– Hm. Czyli ktoś się skarży biskup, że w ogóle istnieje?

– No właśnie.

– Ale czego właściwie chciała ta kobieta?

– Przekonać biskup Lysgaard, że aborcja może być słuszna, coś w tym stylu. Nie bardzo wiem. Ale wiele tych listów napisali kompletni wariaci, Yngvar. Tak jak ty uważam, że nie powinniśmy przywiązywać do nich zbyt wielkiej wagi, ale ponieważ w zasadzie nic oprócz nich nie mamy, musimy przynajmniej przyjrzeć się im bliżej. Przyjedziesz niedługo?

Yngvar przycisnął telefon ramieniem do ucha, otworzył szufladę, wyjął jeden batonik i zerwał opakowanie.

– Chyba dopiero w przyszłym tygodniu. Ale dzwoniemy się wcześniej. Cześć.

Odłożył telefon i połamał batonik na cztery kawałeczki. Powoli zaczął jeść. Każdy kawałek długo trzymał na języku, bardziej ssał, niż gryzł. Kiedy skończył jedną ćwiartkę, sięgnął po następną. Zjedzenie całego batona zajęło mu pięć minut, a na koniec starannie oblizwał palce.

Humor mu się poprawił. Poziom cukru we krwi się podniósł, a w głowie się przejaśniło. Kiedy kilka sekund później uświadomił sobie, że właśnie pochłonął dwieście szesnaście kompletnie zbędnych kalorii, opanowało go takie przygnębienie, że zerwał płaszcz z wieszaka i zgasił światło. Była już środa, siódmy stycznia. Siedem dni głodowych racji tym razem mu wystarczyło.

Postanowił zjeść porządny obiad.

Gniew

Dziewiątego stycznia w porze obiadowej rozległ się dzwonek do drzwi szarej willi na Hystadveien w Sandefjord.

Synnøve Hessel leżała na kanapie. Znajdowała się w stanie pośrednim między snem a rzeczywistością, w letargu ponurych snów. Nocami nie mogła spać. Najciemniejsze godziny doby wydawały się równie bezkresne, co zmarnowane. Kiedy wszyscy inni spali i wszystko było pozamykane, nie dawało się szukać Marianne. Ale wytchnienia też nie przynosiły. Dni stawały się coraz gorsze. Od czasu do czasu przysypiała, tak jak teraz.

Nic innego nie miała do roboty.

Ich wspólne konto pozostało nieruszone. Do osobistego konta Marianne nie uzyskała jeszcze dostępu. Kontaktowała się ze wszystkimi szpitalami w Norwegii, ale nigdzie niczego się nie dowiedziała. Nie było już przyjaciół, do których mogłaby zadzwonić. Nawet najbardziej peryferyjnych znajomych i najdalszą rodzinę wypytała, czy od dziewiętnastego grudnia nie mieli jakichś wiadomości od Marianne. Dwa dni temu zebrała się w sobie i wreszcie zadzwoniła do teściów. Ostatni kontakt, jaki z nimi miała, to był ten straszny list, który jej przysłali, gdy jasne się stało, że Marianne postanowiła porzucić męża i zamieszkać z kobietą. Rozmowa telefoniczna nic nie dała. Gdy tylko matka Marianne usłyszała, kto dzwoni, przez dwie minuty wygłaszała nietrzymającą się kupy tyradę, po czym rzuciła słuchawką. Synnøve nie zdążyła nawet powiedzieć, o co chodzi.

Marianne przepadła.

Od półtora tygodnia Synnøve prawie nie jadła. Dni od zaginięcia Marianne spędzała na poszukiwaniach. Nocami chodziła na niekończące się spacerzy z psami husky. Teraz jednak nawet na to nie miała siły. Przez ostatnie dwie doby zwierzętom musiał wystarczać wybieg. Poprzedniego dnia wieczorem zapomniała je nakarmić. Gdy nagle sobie o tym przypomniała, była już druga w nocy. Jej płacz przeraził psa przewodnika, który zaczął piszczeć i łasić się, żądając uwagi, nim w ogóle chciał tknąć jedzenie. W końcu Synnøve wczołgała się do budy i

tam, z Kają w objęciach, zasnęła. Pół godziny później obudziła się zeszywniała z zimna.

Dzwonek do drzwi rozległ się znów.

Synnøve się nie ruszała. Nie miała ochoty na żadne wizyty. Sporo osób próbowało do niej wejść, mało kto dostał się do środka.

Ding-dong.

Jeszcze raz.

Zdrętwiała podniosła się z kanapy i złożyła koc. Miała sztywny kark i człapiąc do drzwi, próbowała go rozmasować. Szykowała się na przekonanie jeszcze jednego przyjaciela, że chce być sama.

Kiedy uchyliła drzwi i zobaczyła na schodach Kjetila Berggrena, poczuła taką ulgę, że zrobiło jej się słabo. Zrozumiała, że Marianne się znalazła, a Kjetil Berggren pofatygował się, by osobiście przekazać jej tę szczęśliwą nowinę. To było jakieś straszne nieporozumienie. Ale teraz Marianne wróci i wszystko będzie jak dawniej.

Kjetil Berggren był jednak taki poważny. Synnøve cofnęła się o krok. Drzwi otworzyły się na oścież. Za Kjetilem stała kobieta. Mogła mieć około pięćdziesiątki i była w zimowym płaszczu. Na szyi, którą każdy inny człowiek owinąłby szalikiem, chroniąc się przed styczniowym mrozem, miała koloratkę.

Proboszcz patrzyła równie poważnie jak policjant.

Synnøve zrobiła jeszcze jeden krok w tył, osunęła się na kolana i podniosła ręce do twarzy. Paznokcie wbiły się w skórę i na obu policzkach zostawiły czerwone pręgi. Zaczęła wyc, monotonnym, pełnym skargi jękiem, niepodobnym do niczego, co Kjetil Berggren kiedykolwiek słyszał. Dopiero wtedy, gdy zaczęła walić głową w pokrytą kafelkami podłogę, spróbował ją podnieść. Odepchnęła go, uderzając rękami na oślep, i znów upadła na ziemię.

Przez cały czas to wycie.

Krzyk bólu sprowokował do odpowiedzi stado na podwórzu. Sześć polarnych psów zawył jak wilki, ich bliscy krewniacy. Skarżący się chór wzniósł się pod niską pokrywą chmur i dał się słyszeć aż we Framnes, po drugiej stronie szarego, pustego fiordu.

* * *

Kiedy się zatrzymali na czerwonym świetle, przez jednostajny szum ruchu ulicznego przedarł się odgłos syreny. W lusterku Lukas widział niebieskie, pulsujące światło, spróbował więc podjechać bliżej chodnika, omijając jednocześnie przejście dla pieszych. Karetka przejechała bokiem, pędząc za szybko, i o mało nie potrafiła jakiegoś starszego mężczyzny, który właśnie wyłonił się zza maski dużego bmw X5 Lukasa. Staruszek był najwyraźniej

głuchy.

– O włos – powiedział Lukas do ojca, przyglądając się zdezorientowanemu pieszemu, dopóki samochody z tyłu nie zaczęły trąbić.

Erik Lysgaard się nie odezwał. Siedział na miejscu pasażera równie milczący jak zawsze. Ubranie zrobiło się na niego wyraźnie za luźne. Zapięty pasem wydawał się płaski i chudy. Włosy żalonymi kosmykami otaczały czaszkę. Wyglądał dziesięć lat starzej. Rano Lukas musiał mu przypomnieć, żeby wziął prysznic, bo poprzedniego wieczoru, gdy go objął, poczuł nieprzyjemny zapach.

Nic się nie zmieniło.

Lukas jeszcze raz uparł się, żeby zabrać ojca do Os. Erik jeszcze raz protestował i tak jak poprzednio syn w końcu wygrał. Dzieci tak samo jak poprzednio przstraszyły się dziadka, a Astrid parę razy o mało nie straciła panowania nad sobą.

– Musimy coś zaplanować – oświadczył Lukas. – Policja twierdzi, że pogrzeb mógłby się odbyć w przyszłym tygodniu. To musi być wielka uroczystość. Tyle osób kochało matkę.

Erik siedział milczący, z twarzą bez wyrazu.

– Ojcze, musisz się do tego ustosunkować.

– Możesz wszystko zorganizować sam – powiedział w końcu Erik. – Mnie to nie obchodzi.

Lukas wyciągnął rękę i wyłączył radio. Dłonie zacisnął na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu kostki, a prędkość, z jaką pokonał ostatni odcinek Årstadveien, mogła go kosztować prawo jazdy. Kiedy dotarł do zjazdu na Nubbebakken, z piskiem opon skręcił w lewo, przeciął przeciwny pas ruchu i gwałtownie zahamował.

– Ojcze, dlaczego jedno zdjęcie zniknęło? – spytał cicho, niemal szeptem.

Po raz pierwszy w ciągu całej podróży ojciec na niego spojrzał.

– Zdjęcie?

– Zdjęcie w pokoju matki.

Erik znów odwrócił wzrok.

– Chcę wracać do domu.

– Na tej półce zawsze stały cztery zdjęcia. Tak samo było tego dnia, kiedy przyjechałem do ciebie zaraz po śmierci matki. Pamiętam, bo tamten policjant przez pomyłkę tam wszedł. Ale jednego zdjęcia już nie ma. Dlaczego?

– Chcę do domu.

– Zaraz tam będziesz, najpierw mi odpowiedz.

Lukas zaciśniętą pięścią uderzył w kierownicę. Piekący ból rozlał się po całym

ramieniu. Zaklął w duchu.

– Odwieź mnie do domu – powiedział Erik. – Już.

Chłód w głosie ojca kazał Lukasowi milczeć. Wrzucił bieg. Ręce mu się trzęsły, był niemal równie poruszony jak wtedy, gdy policjanci przyszli z wiadomością o śmierci matki. Kiedy minutę później wjeżdżali na placyk za otwartą bramą przed domem ojca, wciąż miał przed oczami piękną kobietę z brakującej fotografii. Miała ciemne włosy i chociaż na czarno-białym zdjęciu nie dawało się tego stwierdzić, był pewien, że jej oczy są niebieskie. Tak samo jak jego. Nos prosty i wąski jak jego, a w uśmiechu widać było wyraźnie, że jedna górna jedynka lekko zachodzi na drugą. Tak jak jego zęby.

Zdjęcie pokazywało za mało ubrania, by móc określić, kiedy zostało zrobione. Zwrócił na nie uwagę dopiero jako nastolatek. Teraz, kiedy miał już własne dzieci i uświadomił sobie, jak bardzo potrafią być spostrzegawcze, doszedł do wniosku, że wcześniej zdjęcia z pewnością nie było. Kiedyś spytał, kto to jest. Matka się uśmiechnęła, pogładziła go po policzku i powiedziała: „Przyjaciółka, której nie znasz”.

Lukas zatrzymał samochód i pomógł ojcu wejść do domu.

Nie zamienili ani słowa, nawet nie patrzyli na siebie.

Kiedy drzwi za Erikiem się zatrzasnęły, Lukas wsiadł do samochodu. Siedział tak długo, że marznąca mżawka przesłoniła widoczność przez przednią szybę, a temperatura w samochodzie znacznie spadła.

Przyjaciółka matki była straszliwie podobna do niego.

* * *

– Ależ ona do ciebie podobna! *Spitting image!** [*Jak dwie krople wody.]

Karen Winslow roześmiała się, biorąc do ręki zdjęcie Ragnhild. Przekrzywiła głowę i obróciła je tak, żeby nie odbijały się w nim światła lamp. Ragnhild leżała w wannie z pianą we włosach i gigantyczną nadmuchiwaną kaczką na brzuchu. Wyglądała, jakby zaatakował ją żółty potwór.

– A więc to jest młodsza – stwierdziła Karen, oddając Inger Johanne fotografię. – No to teraz pokaż starszą.

Zdjęcie zostało zrobione w święta. Kristiane z poważną miną siedziała na schodach przed domem na Hauges vei. Wyjątkowo patrzyła prosto w obiektyw i przed chwilą zdjęła czapkę. Cienkie, naelektryzowane włosy podniosły się na głowie i w świetle padającym od tyłu z okienka w drzwiach wyglądała tak, jakby miała aureolę.

– Wow! Cóż za niezwykle piękne dziecko! Ile ona ma lat? Dziewięć? Dziesięć?

– Prawie czternaście – odparła Inger Johanne. – Po prostu nie jest taka jak inne dzieci. Powiedzenie tego przyszło jej ze zdumiewającą lekkością.

– Tak? A co jej jest?

– Kto to wie – westchnęła Inger Johanne. – Urodziła się z wadą serca i zanim skończyła rok, przeszła trzy operacje. Czy to wtedy coś się stało, czy to wrodzony defekt, nikt jeszcze nie zdołał stwierdzić.

Karen znów się uśmiechnęła i uważniej spojrzała na zdjęcie. Dawna przyjaciółka ze studiów przypominała Inger Johanne, ile upłynęło lat. Karen zawsze była szczupła i miała świetną formę. Teraz wyglądała bardziej surowo, bardziej chudo, a w czarnych włosach tu i ówdzie pojawiły się siwe nitki. Zaczęła też nosić okulary, chyba od niedawna, bo stale je wkładała i zdejmowała, jakby nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić.

Minęło prawie osiemnaście lat od ich ostatniego spotkania, a mimo to poznały się od razu. Kiedy Karen wysiadła z taksówki przed restauracją Victor na Sandaker, Inger Johanne wpadła w najdłużej ściskające objęcia, jakie pamiętała. I kiedy weszły do restauracji, czuła się szczęśliwa.

Wręcz podniecona.

Kelner postawił przed nimi kieliszki z szampanem.

– Czy mam od razu przynieść menu? – spytał z uśmiechem.

– A mogłybyśmy trochę zaczekać? – odparta prędko Inger Johanne.

– Oczywiście, wrócę później.

Karen podniosła kieliszek.

– *To you** [*Twoje zdrowie.] – roześmiała się. – Aż trudno uwierzyć, że znów się spotkałyśmy. To fantastyczne.

Napiły się szampana.

– Mmm. Pyszny. Opowiedz mi coś więcej o Kristi... Krysti...

– Kristiane. Eksperci długo uważali, że może cierpi na jakąś formę autyzmu, może na zespół Aspergera, ale to nie bardzo pasuje. Kristiane rzeczywiście ma ogromną potrzebę życia według ustalonych schematów i przez długie okresy potrafi być bardzo zajęta powtarzalnymi systemami i ustalonym porządkiem. Czasami zachowuje się jak sawant, czyli autystyczne dziecko obdarzone zdolnościami na poziomie geniuszu. A potem zupełnie nieoczekiwanie i tak, że nie jesteśmy w stanie wskazać, co wywołuje zmianę, nagle staje się zwyczajnym, trochę opóźnionym w rozwoju dzieckiem. I chociaż trudno jej nawiązać prawdziwe przyjaźnie, jest ogromnie elastyczna w stosunkach z innymi ludźmi i... – Inger Johanne znów uniosła kieliszek, zdumiona tym, jak dobrze jej robi rozmowa o starszej córce z osobą, która

nigdy jej nie widziała – ...bardzo czuła dla rodziny.

– Wydaje się absolutnie *adorable** [*Cudowna.]. – Karen oddała zdjęcie. – To naprawdę ogromne szczęście, że ją masz.

Inger Johanne zrobiło się gorąco, kiedy to usłyszała. Prawie się zawstydziła. Isak kochał swoją córkę nad życie, a Yngvar był najbardziej kochającym ojczymem na ziemi. Dziadkowie z obu stron ubóstwiali Kristiane i dziewczynka była na tyle zintegrowana społecznie ze środowiskiem rodziny Vik Stubø, na ile to tylko możliwe w wypadku dziecka takiego jak ona. Zdarzało im się słyszeć, że Kristiane ma szczęście, mając taką rodzinę. Live Smith powiedziała Inger Johanne, że cieszy się, iż jej córka chodzi do szkoły, w której ona pracuje.

Ale jeszcze nikt nigdy nie mówił, że to Inger Johanne ma szczęście, mając taką córkę jak Kristiane.

– To prawda – przyznała. – Ja... My mamy ogromnie dużo szczęścia, że Kristiane jest z nami.

Zamrugwała, żeby powstrzymać łzy. Karen wysunęła rękę ponad stołem i lekko dotknęła jej policzka. Ten gest wydał się ogromnie potrzebny.

– Dzieci są największym darem od Boga – stwierdziła Karen. – Zawsze są największym błogosławieństwem, bez względu na to, skąd pochodzą, do kogo przychodzą i jakie są. *They should be treated, loved and respected accordingly** [*Powinny więc być odpowiednio traktowane, kochane i szanowane.].

Jedna łza mimo wszystko stoczyła się po policzku Inger Johanne.

Amerykane i ich wielkie słowa, pomyślała. Ten ich wielki, napuszony stosunek do słów. Uśmiechnęła się i otarła łzę wierzchem dłoni.

– Mogę przyjąć zamówienie?

Kelner znów się pojawił i pytająco popatrzył raz na jedną, raz na drugą.

– Tak – powiedziała Inger Johanne. – I dobrze by było, gdyby miał pan menu po angielsku, nie musiałabym wtedy wszystkiego tłumaczyć przyjaciółce.

Z tym nie było najmniejszego problemu. Przez blisko dziesięć minut kelner wyjaśniał i opisywał rozmaite dania, odpowiadał na wszystkie ciekawskie pytania Karen. Kiedy wreszcie ustaliły, co będą jadły i jakie wino do tego wypiją, Inger Johanne musiała przyznać, że Karen ma znacznie większe doświadczenie w bywaniu w restauracjach niż ona. Zaimponowała nawet kelnerowi.

Zaczęły od ostryg. Nie było ich w menu, kelner też nie wspomniał o nich ani słowem, chociaż obszernie omawiał wszystko, co restauracja ma do zaoferowania. Ale kiedy skończył,

Karen przekrzywiła głowę, uśmiechnęła się swoim kredowobiałym uśmiechem i stwierdziła, że każdy szanujący się szef kuchni ma schowane ostrygi.

Zawsze, podkreśliła.

I miała rację.

Problem polegał na tym, że Inger Johanne nigdy nie jadła ostryg.

Była naukowcem ze stopniem doktora. Sporo podróżowała i nie narzekała na sytuację finansową, lubiła też smacznie zjeść. Jadła psie mięso w Chinach i smażone w głębokim tłuszczu pająki w kramie koło Angkor Wat. Mimo to nigdy nie odważyła się spróbować ostryg.

Zerknęła na talerz. Połówki muszli leżały na lodowej kołdrze i lekko pachniały odpływem. Nikt chyba nie mógłby twierdzić, że śluzowata, białoszara masa wygląda apetycznie. Spojrzała na Karen, która każdą ostrygę pokropiła mieszanką reńskiego wina i octu z miseczki, po czym podniosła pierwszą muszlę do ust i wessała jej zawartość. Z zamkniętymi oczami odwróciła ostrygę w ustach, przełknęła i zawołała:

– *Perfect!* * [*Doskonale.]

Inger Johanne musiała wziąć z niej przykład.

Ostrygi okazały się najlepszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek spróbowała.

– Inger – powiedziała Karen, kiedy wszystkie muszle były już puste. – *Tell me more. Tell me everything! Absolutely everything!* * [*Opowiedz mi więcej. Opowiedz mi wszystko. Absolutnie wszystko.]

Rozmawiały przez dwa kolejne dania. O okresie studiów i wspólnych przyjaciołach z tamtego czasu. O rodzinie i rodzicach, o radościach i frustracjach. O dzieciach. Mówiły jedna przez drugą, śmiały się i przerywały sobie nawzajem. W niewielkim lokalu była fatalna akustyka. Głośny śmiech Karen odbijał się od wysokich ścian i przeszkadzał innym gościom, ale kelner wciąż zachowywał się przyjaźnie i dyskretnie nalewał do kieliszków za każdym razem, gdy były prawie puste.

– Karen, muszę cię o coś spytać.

Inger Johanne spojrzała na czwarte danie, które właśnie stanęło przed nią, przepiórkę na pierzynie z karczochów. Maleńkiego ptaszka otaczał krąg wąskich paseczków szynki parmeńskiej, przedzielonych tu i ówdzie marynowanymi minipomidorkami.

– Opowiedz mi o APLC – poprosiła.

– Skąd wiesz, że tam pracuję?

Karen ostrożnie wytarła usta wielką płócienną serwetką i znów sięgnęła po sztucce.

– Znalazłam cię w Google – wyjaśniła Inger Johanne. – A akurat teraz zajmuję się

projektem, który...

Karen zaśmiała się tak głośno, że aż zadzwoniły kieliszki.

– Siedzimy tu już ponad dwie godziny i jeszcze nie zdążyliśmy sobie powiedzieć, gdzie pracujemy i co robimy. Mów!

Inger Johanne opowiadała. Mówiła o swojej pracy w Instytucie Kryminologii, o doktoracie, który zrobiła już w roku 2000, o tym, jak kocha badania naukowe, ale nie znosi towarzyszącego stanowisku, które zajmuje, obowiązku prowadzenia wykładów, o radościach i frustracjach wynikających z konieczności łączenia kariery naukowej z wychowywaniem dwójki wymagających dzieci. W końcu doszła do projektu, nad którym teraz pracowała. Kiedy skończyła mówić, na talerzach zostały już tylko dwa maleńkie szkielety przepiórek.

– Musisz nas odwiedzić – oświadczyła Karen zdecydowanie. – To, czym się zajmujemy, jest bardzo istotne dla twoich badań.

– Teraz kolej na ciebie – stwierdziła Inger Johanne. – Mów.

Poprosiła kelnera o krótką przerwę przed następnym daniem. Czowała, że trochę za dużo wypiła, ale to nie miało znaczenia. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadła w restauracji, a już na pewno tego, kiedy czuła się tak dobrze. Dlatego gdy kelner dołał jej wina, uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Firma została założona w siedemdziesiątym pierwszym – zaczęła Karen, unosząc kieliszek z czerwonym winem pod światło, żeby ocenić jego kolor. – I ma siedzibę w Montgomery, w Alabamie. Dwaj założyciele, którzy są zresztą biali, byli członkami ruchu walki o prawa obywatelskie. Założyli kancelarię przede wszystkim po to, by przeciwdziałać rasizmowi. Oczywiście było to niedochodowe przedsięwzięcie. – Urwała, jakby szukała sposobu na opowiedzenie długiej historii w jak najkrótszym czasie. – Można powiedzieć, że początkowo funkcjonowaliśmy jako kancelaria bezpłatnej pomocy prawnej. Oczywiście mnie jeszcze wtedy tam nie było.

Śmiech znów odbił się od ścian, a jakieś starsze małżeństwo siedzące dwa stoliki dalej obrzuciło przyjaciółki kwaśnym spojrzeniem.

– W tym czasie chodziłam jeszcze do *elementary school** [*Szkola podstawowa.]. W osiemdziesiątym pierwszym kancelaria otworzyła wydział śledczy. Całkiem po prostu po to, by skuteczniej realizować nasz jedyny prawdziwy cel: Stany Zjednoczone funkcjonujące w zgodzie z naszą niegdyś tak rewolucyjną konstytucją. W pierwszych latach działalność polegała głównie na walce z *white supremacy groups** [*Grupy ruchu białej supremacji, uznającego wyższość białej rasy.].

– Ku-Klux-Klan – podsunęła cicho Inger Johanne.

– Z nimi również. Wygraliśmy szereg spraw przeciwko członkom Klanu. Dwa razy doprowadziliśmy nawet do zamknięcia ich obozów treningowych i rozbitcia całkiem dużych komórek. Problem oczywiście w tym... – Westchnęła lekko i wypła łyk wina. – Ku-Klux-Klan to nie jedyna organizacja na tym polu. Mamy Imperial Klans of America, Aryan Nations, Church of the Creator... *You natne it** [*Mamy wszystko.]. Nasza działalność śledcza z biegiem lat stała się bardzo rozległa. Dziś uważamy, że mamy wgląd w działalność dziewięciuset dwudziestu sześciu różnych grup działających z nienawiści, rozrzuconych po całych Stanach i bardzo aktywnych. – „Bardzo” wymówiła z naciskiem.

– Nie wszystkie są skierowane przeciwko Afroamerykanom, prawda?

– Ależ skąd. Mamy na przykład ruch czarnych separatystów, którzy chcą się pozbyć wszystkich innych. Żydzi też widzą wszędzie swoich wrogów, również u nas.

Karen nagle wydała się starsza. Zmarszczki wokół oczu nie były wcale zmarszczkami od uśmiechu, jak Inger Johanne początkowo przypuszczała. Teraz, gdy Karen spowaźniała, jeszcze się pogłębiły.

– Institute for Historical Review, Noontide Press... stanowczo za wiele. Żydzi ze swojej strony mają Jewish Defense League, którą z całą pewnością trzeba określić jako organizację opartą na nienawiści. W ogóle... *There is hate enough to go around in this world** [*Nienawiści wystarczy, by obdzielić nią cały świat.]. Mamy grupy przeciwne mieszkańcom Ameryki Południowej, przeciwne *native Americans** [*Rdzenni mieszkańcy Ameryki.], forujące *native Americans*, przeciwne wszystkim imigrantom, na bardziej ogólnych i wolnych od uprzedzeń podstawach...

Zdanie zakończył ironiczny uśmiech. Mówiła teraz ciszej, ale mimo to małżonkowie siedzący bliżej ściany, wychodząc, posłali im pełne wyrzutu spojrzenia. Kiedy mijali ich stolik, Inger Johanne usłyszała, jak mruczą coś o popsutym obiedzie i o tym, że muszą istnieć granice nawet dla Amerykanów.

– No i są oczywiście wszyscy ci, którzy nienawidzą homoseksualistów – powiedziała Karen.

Na stole wylądował deser.

– Carpaccio z truskawek z waniliową kruszonką – oznajmił kelner, stawiając przed nimi talerzyki. – W towarzystwie maleńkiego sorbetu z szampana. Smacznego!

– Jak duże są właściwie te grupy? – spytała Inger Johanne, kiedy znów zostały same.

Karen wetknęła łyżeczkę między plasterki truskawek. Oparła łokieć o stół i powoli odpowiadając, przyglądała się deserowi:

– Prawdę powiedziawszy, niełatwo na to odpowiedzieć. Jeśli chodzi o czysto

rasistowskie organizacje, to są znacznie większe, niż chciałabyś o tym wiedzieć. Niektóre są naprawdę stare i zorganizowane jako coś w rodzaju sił paramilitarnych. Z kolei inne, zwłaszcza *the anti-gay groups** [*Grupy antygejowskie.] trudniej... – Włożyła łyżeczkę do ust i w zachwycie zamknęła oczy. – Nie wiem, jak to powiedzieć. – Zastanawiała się. – Trudniej zdefiniować.

Inger Johanne pokiwała głową. Męczyło ją to samo, dlatego spytała:

– Z powodu silnych powiązań z legalnie działającymi kościołami?

– Tak – potwierdziła Karen. – Między innymi dlatego. W punkcie wyjścia definiujemy grupę działającą z nienawiści jako mniej lub bardziej stałą organizację, nakłaniającą czy też w inny sposób szerzącą nienawiść wobec jakiejś innej grupy. Przestępcami stają się dopiero wtedy, gdy przekroczą istniejące w większości krajów ograniczenia wolności słowa, gdy podżegają do czynów karalnych lub gdy je popełniają, przy czym pojedyncza ofiara przestępczego działania staje się nią z powodu swojej przynależności do większej grupy ludzi o specyficznych, dających się określić cechach.

Głęboko odetchnęła.

– Nauczyłaś się tego na pamięć? – uśmiechnęła się Inger Johanne.

– Niejeden raz musiałam to wypowiadać.

Jadły teraz wolniej. Inger Johanne była objedzona do nieprzytomności i odsunęła ledwie tknięty deser.

– Podam ci taki przykład – powiedziała Karen. – To się wydarzyło w roku 2007. Pewien młody człowiek, Satender Sing, spędzał wakacje nad jeziorem Natoma w Kalifornii. Przyjechał z Fidżi i pewnego dnia poszedł razem z kilkorgiem hinduskich przyjaciół do restauracji. Grupa rosyjskojęzycznych osób uznała, że Satender jest homoseksualistą, i streszczając długą historię, zabili go.

Inger Johanne milczała.

– Homoseksualiści często giną dlatego, że są homoseksualistami – ciągnęła Karen. – W tej sprawie wyjątkowe jest to, że zabójcy należeli do bardzo dużej grupy religijnych słowiańskich imigrantów z rejonu Sacramento. Ich gminy wyznaniowe są w ekstremalny sposób przeciwne homoseksualizmowi. Mówimy tu o blisko stu tysiącach ludzi skupionych w siedemdziesięciu fundamentalistycznych gminach na obszarze, na którym już wcześniej homoseksualna część społeczeństwa stała się widoczna. Stwierdzenie, że stosunki między tymi grupami są teraz bardzo napięte, jest doprawdy łagodne. Ci chrześcijanie uprawiają bardzo intensywną antyhomoseksualną propagandę, mają własne stacje telewizyjne i radiowe, niezwykłą zdolność mobilizacji. Na niektórych manifestacjach organizowanych przez

homoseksualistów było więcej antydeмонstrantów niż demonstrantów. – Odetchnęła głęboko i wyskrobując widelcem resztki sosu z talerzyka, ciągnęła: – Ale w jakim momencie te gminy zaczynają prowadzić działalność przestępczą? Z drugiej jednak strony oczywiste jest, że nienawidzą. Język, jakiego używają, a szczególnie ta zupełnie nieproporcjonalna uwaga, jaką poświęcają akurat tej kwestii, podkreślają, że chodzi o czystą, chorą nienawiść. Poza tym wielu ich duchowych przywódców wcale się nie odcina od na przykład zabójstwa Satendera. Z drugiej jednak strony, wolność słowa sięga i powinna sięgać bardzo daleko, a wiele osób w takich gminach na terenie całych Stanów Zjednoczonych bacznie się pilnuje, by bezpośrednio nie nakłaniać do zabójstw i przemocy.

– Oni tworzą fundamenty przestępstw z nienawiści. Nie odcinają się od nich, kiedy stają się faktem, ale umywają ręce, bo przecież nie powiedzieli wprost: zabijajcie!

– No właśnie – kiwnęła głową Karen. – I gdy jakiś pastor nawołuje w eterze, że geje pławią się w grzechu, muszą więc zginąć bolesną śmiercią i będą się smażyć w piekle... No cóż, później może twierdzić, że miał na myśli słowo Boże i wolę Boga. A to, że niektórzy z jego parafian dosłownie potraktowali ten przekaz, to już nie jego problem. A wolność wyznania i słowa to, jak dobrze wiesz...

– Fundament istnienia Stanów Zjednoczonych – dokończyła Inger Johanne.

– Może jeszcze kawy?

Kelner musiał mieć tytuł magistra cierpliwości. Już od godziny siedziały w restauracji same. Obsługa czekała tylko, aż one skończą, a mimo to mężczyzna poświęcił czas na powtórne napełnienie filiżanek i doniesienie gorącego mleka.

– Wszystko to jest bardzo złe – podsumowała Karen, kiedy kelner już poszedł. – A oprócz takich ekstremalnych gmin wyznaniowych w wielu miejscach Stanów mamy bardziej zorganizowane stowarzyszenia, takie jak American Family Association. One też nie zachęcają do zabijania, rzecz jasna, ale robią nieporównanie więcej hałasu i tworzą coraz gorszy klimat w debacie publicznej. Jakiś czas temu zorganizowali bojkot McDonalda.

– W zasadzie można by się z nimi zgodzić – uśmiechnęła się Inger Johanne. – Ale jaki był powód?

– Sieć reklamowała się podczas jednej z homoseksualnych parad.

– Jak się sprawa skończyła?

– Na szczęście rozeszło się po kościach. Wtedy. Ale niektóre z tych grup są potężne, mają pieniądze i wpływy, nie przebijają w środkach. Owszem, nienawidzą, ale trudno ich nazwać przestępcami. Tym jednak, co budzi największe przerażenie, jest... – urwała i uniosła kieliszek do milczącego toastu. – Ostatnio odkryliśmy oznaki bardziej brutalnego

prześladowania. Sześć zabójstw homoseksualistów w ostatnim roku, trzy w Nowym Jorku, jedno w Seattle, dwa w Dallas to wciąż nierozwiązane sprawy. Długo pracowały nad nimi oddzielnie miejscowe jednostki policji. Metody uśmiercania były różne i okoliczności też się różniły. Naszej kancelarii z czasem udało się odkryć, że dwie ofiary były spokrewnione, trzecia chodziła do szkoły z pierwszą, czwarta podróżowała po Europie z drugą, a dwie ostatnie pozostawały na przestrzeni dwóch lat w krótkich związkach z czwartą. FBI przejęło śledztwo, jeśli można tak powiedzieć, ale nie udało im się znaleźć sprawców. My jednak nie zamierzamy rezygnować z tej sprawy, dopóki nie zostanie rozwiązana.

– O Boże! – mruknęła Inger Johanne. – Ale jakie macie teorie?

– Niejedną.

Z kuchni dochodziły coraz ostrzejsze odgłosy. Ubijaczki i łyżki uderzały o metalowy blat, a hałas przemysłowej zmywarki stawał się coraz bardziej natrętny. Inger Johanne spojrzała na zegarek.

– Wydaje mi się, że powinniśmy już iść – stwierdziła i po chwili wahania spytała: – Ciągłe lubisz chodzić, Karen?

– Ja? Chodzę zawsze i wszędzie.

Inger Johanne poprosiła o rachunek. Już od dawna czekał gotowy. Karen złapała go, zanim Inger Johanne się zorientowała, że kelner przyszedł.

– Ja zapłacę!

Inger Johanne nie chciało się nawet protestować.

– Przespacerujemy się do mnie na *nightcap*?* [*Kieliszek przed snem.] – spytała, gdy Karen szukała karty kredytowej. – To ledwie dwadzieścia minut, no może dwadzieścia pięć przy tej pogodzie.

– Super – odparła Karen zachwycona, po czym zasypała kelnera komplementami, wzięła płaszcz i ruszyła do wyjścia.

– Oslo to strasznie spokojne miasto – stwierdziła zdumiona, gdy wyszły na ulicę.

Światła na skrzyżowaniu Hans Nielsen Hauges vei i Sandakerveien zmieniły się z żółtych na czerwone, a nie było ani jednego samochodu, który miały zatrzymać. Brud i spaliny z całego dnia przykryła delikatna warstwa świeżego śniegu. Na chodnikach prawie nie było widać śladów stóp. Chmury wciąż wisiały nisko nad miastem, a na południowym zachodzie przybierały chorobliwą żółtą barwę, efekt światel w centrum.

– To przede wszystkim dzielnica mieszkaniowa – wyjaśniła Inger Johanne. – A poza tym życie miejskie trochę zamiera w okresie poświątecznym. Norwegowie muszą wyszaleć się w grudniu. Styczeń to miesiąc dobrych zamiarów.

Skręciły przy wypożyczalni wideo na rogu i ruszyły w górę Sandakerveien.

– O czym mówiliśmy?

– O teoriach – przypomniała Inger Johanne. – O tych zabójstwach homoseksualistów.

– Aha, no właśnie.

Karen mocniej owinęła się szalikiem. Inger Johanne zapomniała, że przyjaciółka jest tak wysoka i ma tak długie nogi. Musiała przyspieszyć, żeby dotrzymać jej kroku.

– Jeśli chodzi o *the anti-gay movement** [*Ruch antygejowski.], to zauważyliśmy nowe, dziwne konstelacje. Żydzi i chrześcijanie, muzułmanie i nawet ugrupowania ekstremalnie prawicowe, które przez setki lat nie potrafiły utrzymać między sobą pokoju, teraz znalazły wspólnego wroga: społeczność gejowską. Właśnie zarejestrowaliśmy pojawienie się nowej grupy, która nazwała się „The 25’ers”. Ich wyjątkowość polega na tym, że działają niezwykle cicho.

– Cicho? Czy działalność tych grup w dużej mierze nie polega na robieniu jak największego hałasu?

– Z reguły tak. Ale ci są inni. Przypuszczamy, że wywodzą się z bardziej tradycyjnych, fundamentalistycznych środowisk, zarówno muzułmańskich, jak i chrześcijańskich. Mamy wrażenie, że ich zdaniem wszystko dzieje się za wolno, że najwyższa pora przedsięwziąć coś konkretnego. Ci sami ludzie co przedtem, ale w innych dekoracjach, jeśli można tak powiedzieć. Mają ten sam cel, ale do jego osiągnięcia chcą wykorzystać zupełnie inne środki.

Przez chwilę szły w milczeniu. Rozmowa przybrała taki obrót, że Inger Johanne nie wiedziała, czy ma ochotę ją kontynuować.

– Jakie środki? – spytała jednak, kiedy dotarły do miejsca, w którym Sandakerveien biegnie płasko i skręca na północny zachód.

Karen zatrzymała się tak nieoczekiwanie, że Inger Johanne przeszła jeszcze parę metrów, zanim się zorientowała.

– Oslo wcale nie jest ładnym miastem – stwierdziła Karen, rozglądając się na wszystkie strony.

Inger Johanne się uśmiechnęła.

– Wydaje mi się, że akurat tu, gdzie stoimy, to najbrzydsze, najokropniejsze miejsce w całym Oslo. Nie uważam naszego miasta za szczególnie piękne, ale nie oceniaj go po tym, co widzisz tutaj.

Po prawej stronie ciągnęły się przypominające boksy budynki magazynowe, które ze wstydu chyba usiłowały schować się pod śniegiem. Przed nimi, tam gdzie Nycoveien potrzebowała dwustu metrów na dotarcie do pustego ronda, zburzono pół ściany centrum

handlowego Storo w związku z jego rozbudową. Wielka łątanina bardziej przypominała ruinę niż plac budowy. W ciemności na dachu mrugało gigantyczne czerwone „O” niczym chore oko cyklopa. Między dwiema ulicami wznosił się budynek biurowy w pionowe turkusowe pasy, które rzucały na śnieg chorobliwą poświatę. Z lewej strony stała w poprzek garstka żółtych ceglanych budynków. Z jakiegoś powodu architekt uznał, że słuszne będzie poprowadzenie wszystkich rur po ich zewnętrznych elewacjach, przez co przypominały scenografię taniego filmu science fiction.

– Wszystko będzie wyglądało lepiej, kiedy dotrzemy do Nydalen – stwierdziła Inger Johanne. – Chodź.

Podreptały środkiem ulicy.

– Na razie za mało wiemy o „The 25’ers” – wróciła do wątku Karen, kiedy odnalazły już wspólny rytm kroków. – Ale są powody, by wierzyć, że zawiązał się, łagodnie mówiąc, dość straszny alians między fundamentalistami islamskimi i chrześcijańskimi. Mamy taką teorię, że ich nazwa powstała jako suma cyfr z liczb dziewiętnaście, dwadzieścia cztery i dwadzieścia siedem. Pierwsza ma związek z Koranem, a dwie pozostałe nawiązują do ustępów w Biblii, do Listu Św. Pawła do Rzymian, wszystko jest dość skomplikowane. Oczywiście w tym wypadku nie ma mowy o żadnej gminie wyznaniowej czy o ugrupowaniu politycznym.

– No to o czym?

– O grupie o charakterze wojskowym. O siłach paramilitarnych. Uważamy, że znamy tożsamość przynajmniej trzech jej członków, dwóch ultrakonserwatywnych chrześcijan i jednego muzułmanina. Wszyscy trzej mają za sobą związki z wojskiem. Jeden był nawet w Navy Seal. Problem w tym, że oni wiedzą, że my wiemy, kim są, i dlatego się uspokoili. Na razie nic nie robią, zachowują się dość normalnie. Niestety, są powody, by przypuszczać, że ta grupa jest całkiem duża. Duża i doskonale zorganizowana. FBI wali w tej sprawie głową w mur, więc i my, APLC, niewiele możemy zdziałać. Ale, oczywiście, próbujemy. Staramy się, jak tylko możemy.

– Ale co oni, na miłość boską, robią? – spytała Inger Johanne zniecierpliwiona.

– Zabijają gejów i lesbijki. „The 25’ers” to klub niezadowolonych. Tych, którzy pragną czynów, nie słów.

Urwała na chwilę. Z naprzeciwka jechał samochód, musiały więc wcisnąć się w zaspę usypaną przez pług śnieżny.

– W Norwegii na szczęście wystarczy, że na siebie wrzeszczymy – stwierdziła Inger Johanne.

Karen uśmiechnęła się krzywo i zatrzymała przed kolejnym rondem.

– Od tego się zaczyna – powiedziała. – Właśnie tak to się zaczyna.

Nie było widać żadnego samochodu, więc przeszły na drugą stronę.

– Czy w Norwegii ruch antygejowski jest przede wszystkim związany z religią?

– I tak, i nie. Powiedziałabym raczej, że to, co można zdefiniować jako ruch, to chrześcijańscy konserwatyści. Niektórzy usiłują skonstruować bardziej etyczno-filozoficzną platformę dla swoich homofobicznych argumentów, ale kiedy bliżej się im przyjrzeć, to jednak widać, że wszystkie wywodzą się z głębokiej wiary w Boga. – Inger Johanne westchnęła ciężko. – No i mamy to nieustające wołanie tak zwanego przeciętnego Norwega. Niezbyt religijnego i stanowczo niezajmującego się filozofią. Po prostu nie lubiącego homoseksualistów.

Dotarły do budynku Wyższej Szkoły Handlowej, Karen zatrzymała się przed wystawą sklepu G-Sport. Najwyraźniej nie zainteresowała jej jednak styczniowa wyprzedaż sprzętu wspinaczkowego, bo patrzyła na odbicie twarzy Inger Johanne w szybie.

– Zawsze myślałam, że jesteście w awangardzie w kwestiach równouprawnienia, antyrasizmu, praw homoseksualistów – Nagle pochyliła się do szyby, mamrocząc coś, jakby liczyła. – Tysiąc sto dolarów? Za te narty? Mam identyczne. Kosztowały czterysta pięćdziesiąt. Zaczynam rozumieć, dlaczego średnia pensja jest u was tak wysoka.

– Coś się zmieniło od czasu, kiedy homoseksualiści zaczęli mieć dzieci – powiedziała Inger Johanne zamyślona, jakby nagle to sobie uświadomiła. – Wcześniej wszystko na ogół szło gładko. Ale dzieci oznaczały ogromny krok w tył.

Pokrywa chmur się przerwała. Nad wzgórzem Grefsen ukazały się trzy gwiazdy na czarnym tle. Kiedy wyszły z restauracji, zerwał się wiatr i spadła temperatura. Inger Johanne złożyła dłonie i pochuchała w wełniane rękawiczki. Oddech pozostawiał po sobie wilgotny chłód, czym prędzej więc schowała ręce do kieszeni.

– Coraz więcej lesbijek ma dzieci – ciągnęła. – Na przełomie roku weszła w życie neutralna ustawa o małżeństwie, nieokreślająca płci, która zapewnia im te same prawa do in vitro, co parom heteroseksualnym. W ostatnich latach na tapecie pojawili się również geje. Jeżdżą do USA, wykorzystują dawczynię jajeczek i matki zastępcze. Wszystko to doprowadziło do... Wiesz, jak się mówi o tych dzieciach? – spytała, ogarnięta nagłą złością. – Półfabrykaty! Sztuczne dzieci!

Karen wzruszyła ramionami.

– Historia się powtarza – stwierdziła spokojnie. – Nic nowego pod słońcem. Kiedy zawierano pierwsze małżeństwa czarnych z białymi, twierdzono, że to również jest wbrew

boskim przykazaniom, niezgodne z wolą Bożą, z naturą, z tradycją i ze wszystkim, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Ich dzieci także miały swoje przezwisko. *Half-castes** [*Mieszaniec.]. To w zasadzie podobne do półfabrykatu. – Odetchnęła głęboko. – To minie, Inger Johanne. Za kilka dni obejmie urząd prezydent, który jest *half-caste*. Sześć lat temu nikt, absolutnie nikt by nie uwierzył, że najpierw prezydentem będzie kobieta, a potem Afroamerykanin. Właściwie szkoda Helen Bentley. Żałuję, że nie chciała kandydować na jeszcze jedną kadencję. Mogę wiele dobrego powiedzieć o Obamie, ale w głębi ducha...

Było już pół do dwunastej. Podjechał do nich rozkołysany autobus. Kierowca ziewał przeciągle, ale drgnął, gdy na ulicę nagle wyskoczył kot, zmuszając go do gwałtownego hamowania.

– W głębi ducha uważam, że większym zwycięstwem była kobieta na stanowisku prezydenta – powiedziała Karen cicho, jakby zwierzyła się Inger Johanne z niebezpiecznej tajemnicy. – I kiedy najpotężniejsza przywódczyni na świecie zaledwie po czterech latach spędzonych w Białym Domu rzuca ręcznik, oświadczając, że pragnie oddać się rodzinie, to zastrzegam sobie prawo do tego, żeby jej nie wierzyć.

Inger Johanne próbowała powstrzymać się od uśmiechu. Nieczęsto miała ochotę podzielić się z kimkolwiek historią dramatycznych wydarzeń kilku majowych dni w roku 2005, tej doby, którą spędziła z Helen Bentley w pewnym mieszkaniu na Frogner, gdy cały świat przypuszczał, że amerykańska prezydent nie żyje. Z upływem lat tajemnica zmieniła się we wspomnienie zamknięte w kapsułce, którą rzadko otwierała, by mu się przyjrzeć. Z uwagi na bezpieczeństwo Norwegii i Stanów Zjednoczonych nakazano jej milczenie i dotrzymała wszystkich obietnic, pod którymi się podpisała. Po raz pierwszy miała ochotę je złamać.

– Jeszcze nigdy nie słyszałam o „The 25’ers” – powiedziała jednak zamiast tego. – Opowiedz mi coś więcej.

Dotarły już do Gullhaug Torg.

Karen przewiesiła torebkę na drugie ramię. Parę razy otwierała usta, nic nie mówiąc, jakby nie bardzo wiedziała, jakich słów ma użyć.

– Gniew – stwierdziła w końcu. – Podczas gdy pozostałe ruchy motywowane nienawiścią rosą w siłę, karmiąc się wściekłością, przesadami i zdeformowaną religijnością, to organizacje takie jak „The 25’ers” opierają się na świętym gniewie. To coś zupełnie innego. O wiele groźniejszego.

Zatrzymały się na moście na rzece Aker i wychyliły przez barierkę. Poziom wody był niski, a wzdłuż brzegów utworzyły się piękne lodowe rzeźby.

– W jaki sposób te organizacje finansują swoją działalność? – zainteresowała się Inger

Johanne.

– Z tym bywa różnie. Jeśli chodzi o ekstremistyczne społeczności kościelne, to finansują się same, tak jak wszystkie inne grupy wyznaniowe. Hojne dary i szczerzy zwolennicy. Ale też i ich działalność nie jest taka droga. Jeśli natomiast chodzi o ugrupowania bliższe wojskowym, to one także otrzymują wsparcie finansowe od ludzi o podobnych przekonaniach. Są jednak powody, by przypuszczać, że środki niektórych z tych organizacji pochodzą z działalności przestępczej. – Ucichła, przyglądając się pięknemu, ciemnemu nawisowi z lodu między trzema głazami. – Na przykład Ku-Klux-Klan i Aryan Nations. Ku-Klux-Klan tradycyjnie kieruje swoją nienawiść głównie przeciwko Afroamerykanom i Bóg jeden wie, ilu ludziom odebrali życie na przestrzeni dziejów. Natomiast ci z Aryan Nations opierają się na pseudoteologicznym przekonaniu, że to Anglosasi, nie Żydzi, są narodem wybranym. Oni oczywiście też nienawidzą czarnych, ale wirusem na czystym ciele ludzkości są dla nich przede wszystkim Żydzi. Ta organizacja jest ogromnie popularna w więzieniach, co zresztą jest wynikiem świadomej polityki ze strony przywódców. Pieniądze czerpią z... – Odwróciła się do Inger Johanne i podniosła lewą rękę, powoli zaginając palce. – Oszustw. Kradzieży. Narkotyków. Napadów na banki.

W powietrzu były już cztery palce, kiedy wyprostowała też kciuk.

– I z zabójstw. Na przykład z zabójstw na zlecenie. Są ludzie, którzy i w tym pośredniczą, no wiesz...

Inger Johanne wiedziała bardzo mało o branży płatnych zabójców, nic więc nie odpowiedziała.

– Pośrednik dostaje zamówienie na zabójstwo – wyjaśniła Karen. – Jeśli planowana ofiara przypadkiem jest homoseksualistą, można wynająć kogoś z tych, którzy uważają, że tacy ludzie i tak zasługują na śmierć. A jeśli ofiara jest ciemnoskóra, trzeba znaleźć organizację, która... – Znacząco wzruszyła ramionami. – Rozumiesz już ten schemat?

Samotny kaczor, który ułożył się do snu na zachodnim brzegu, wystawił dziób spod skrzydła i patrzył na dwie kobiety na moście w nadziei, że rzucają mu kawałek suchego chleba. Ponieważ jednak nic się nie działo, schował głowę, zmieniając się w ciemną pierzastą kulkę.

– Jeśli chodzi o „The 25’ers”, to wiemy o nich stanowczo za mało. Do tej pory ustaliliśmy przynajmniej, że przypominają nam „The Order”, organizację, która w latach osiemdziesiątych powstała jako frakcja Ku-Klux-Klanu i Aryan Nations. Chcieli zrobić rewolucję i obalić amerykański rząd. Ni mniej, ni więcej. Najbardziej rzucająca się w oczy różnica między nimi a tymi nowymi grupami to współpraca różnych religii. Niestety, „The 25’ers” nie są sami. Mamy na przykład inną organizację z...

Inger Johanne objęła Karen.

– Już dość! – Uśmiechnęła się. – Nie mam siły dłużej o tym słuchać. Ustalmy, że dość nienawiści na ten wieczór. Wolę porozmawiać o twoich dzieciach, o twoim mężu, o... o bracie. Ciągłe taki z niego podrywacz?

– *You bet!** [*No pewnie.] Już trzeci raz się ożenił.

Inger Johanne wsunęła rękę pod ramię Karen i poszły dalej.

– Już niedaleko – powiedziała, skręcając w prawo. – Yngvar bardzo się ucieszy, że ze mną przyjdiesz.

To była prawda. Wiedziała, że będzie szczęśliwy bez względu na późną porę.

Zwykle, kiedy dzieci, praca, dom i rodzina już dostały swoje, Inger Johanne opadała z sił. Od czasu do czasu chodziła z Yngvarem na jakąś kolację, najczęściej do jej starych przyjaciół, ale zawsze niechętnie. Rzadko zapraszali kogoś do domu. Wizyty były miłe, ale na wiele dni przed i po pozbawiały ją sił. Yngvar natomiast potrafił zajmować się swoimi sprawami, gdy tylko znalazł wolną godzinę. Chociaż wiele czasu poświęcał Amundowi, wnukowi, który był niemowlęciem, kiedy dorosła córka Yngvara i jego pierwsza żona zginęły w tragicznym wypadku, miał też całe grono kolegów, z którymi regularnie się spotykał. Ostatnio nawet znów zaczął marudzić o kupnie konia. Jakby miał dziesięć czy dwanaście godzin w tygodniu, które nie bardzo potrafił zagospodarować.

I zawsze nalegał: Wyjdź gdzieś. Zaproś kogoś. Weź jakąś koleżankę i idźcie do kina. Kristiane da sobie radę bez ciebie przez kilka godzin. Powtarzał to częściej, niż lubiła słuchać.

Naprawdę szczerze się ucieszy.

Zbliżały się już do Maridalsveien. Chmury pędziły po niebie, a szum nagich koron drzew prawie zagłuszał dochodzący z północy, z obwodnicy, warkot samochodów.

Jeszcze trzy minuty i będą w domu.

Inger Johanne miała wręcz ochotę obudzić Kristiane.

Tylko po to, by się nią pochwalić.

A kiedy tam dojdiesz

– Przede wszystkim muszę pokazać ci to – powiedział Kjetil Berggren i na białym płótnie ułożył cztery przedmioty. – Nie musisz się spieszyć.

Głos miał ściszony, wręcz ociekający współczuciem, jakby spotkali się na pogrzebie Marianne. Ale gdyby tak było, to oboje mieliby niestosowne ubrania. W tę sobotę, dziesiątego stycznia, na wieszaku przy drzwiach wisiał zniszczony anorak Kjetila Berggrena. Kiedy obszedł biurko, żeby z powrotem usiąść, musiał podciągnąć podkolanówkę, która wysunęła się z nogawki tradycyjnych narciarskich spodni do kolan.

– Spodziewałabym się raczej obcisłego kombinezonu i butów do kroku łyżwowego – rzuciła Synnøve.

Policjant nie odpowiedział.

– Czuję się już lepiej – stwierdziła obojętnym tonem. – Możesz być spokojny.

Pierwszy raz od dokładnie dwóch tygodni spała. Spała naprawdę. Poprzedniego wieczoru, gdy tylko Berggren wraz z panią proboszcz zgodzili się zostawić ją w spokoju, nakarmiła psy i nieprzytomna runęła do łóżka. Obudziła się czternaście godzin później. Przez kilka sekund leżała, nie bardzo wiedząc, gdzie jest i co czuje. Gdy do jej świadomości dotarło, że Marianne nie żyje, znów zaczęła płakać. Ale mimo wszystko było inaczej. Nie miała już się czego bać. Marianne umarła i poszukiwania się skończyły. Kiedyś z tą żalobą może da się żyć. Rozumiała to teraz, po tych czternastu dniach piekła. Bolesny stan zawieszenia wreszcie zmienił się w ruch. Ku czemuś. A kiedy tam dotrze, będzie lepiej.

Dopiero rano poczuła, jak strasznie była spięta przez te dwa tygodnie. Kręgosłup bolał, z trudem ruszała głową z boku na bok. Kiedy próbowała zjeść owsiankę na późne śniadanie, czuła się, jakby miała szczękocisk. W końcu się poddała i nalała do wanny gorącej wody. Leżała w kąpieli, aż woda wystygła, a skóra z palców zaczęła schodzić.

Synnøve Hessel kręciła się po cichym domu. Pierwszy raz wzięła sobie do towarzystwa Kaję. Marianne zgodziła się na trzymanie psów husky, pod warunkiem że

zawsze będą na dworze. Kaja długo wahała się w progu, nim w końcu pozwoliła się zwabić na kanapę. Tam rozpaczały obie, Synnøve i pies, aż do chwili gdy Kjetil Berggren zgodnie z umową przyjechał po nią o trzeciej.

Siedziała teraz w tym samym pokoju co poprzednio. Kiedy weszła, był tu również funkcjonariusz z Oslo, ale nie chciała rozmawiać z nikim innym oprócz Kjetila. Przynajmniej na razie.

– Rozumiem, że to dla ciebie bardzo ciężkie, Synnøve, i...

– Kjetil – przerwała mu. – Mówię poważnie. Gdybyś miał pojęcie, jak się czułam, odkąd Marianne zniknęła, zrozumiałbyś, że o wiele łatwiej... – Urwała i zamknęła oczy. – Więc miejmy to już za sobą, dobrze?

– Przemyślaś te rany na twarzy? – spytał.

– Są powierzchowne.

Kjetil Berggren wyraźnie miał ochotę zaprotestować, ale tylko skinął głową, wskazując na serwetkę leżącą na stole.

– Mogę tego dotknąć? – spytała.

– Nie, niestety.

Obrączka z białego złota była nieco większa niż jej własna. Wprawiony w nią diament całkiem zmatowiał i być może w ogóle by go nie zobaczyła, gdyby nie wiedziała, że tam jest. To Marianne chciała mieć diamenty. Synnøve wolała zwykłą obrączkę ze zwykłego złota, bez żadnych dodatkowych ozdóbek. Chciała tradycyjną obrączkę. Chciała ożenić się z Marianne, tak jak żenili się wszyscy inni, a obrączka powinna być złota i prosta.

– Nie zdążyliśmy się pobrać – powiedziała.

– Myślałem, że byliście...

– Zarejestrowaliśmy partnerstwo. Trochę tak, jak byśmy razem prowadziły firmę. Ale przy tej nowej ustawie umożliwiającej małżeństwo planowałyśmy prawdziwy ślub latem. – Rany na policzkach zapiekły. – W każdym razie ta obrączka wygląda na jej. – Lekko uniosła prawą rękę, żeby pokazać bliźniaczkę. Potem głęboko odetchnęła i podjęła przesadnie szybko: – Naszyjnik także. Klucze zdecydowanie należały do niej. Tego pendrive'a nigdy wcześniej nie widziałam, ale w domu wala się ze trzydzieści takich. Możesz to już zabrać? Możesz to zabrać? – Zasłoniła twarz rękami i dodała zduszonym głosem: – Zakładam, że muszę zidentyfikować te rzeczy, ponieważ nie chcecie, żebym oglądała Marianne.

Kjetil Berggren nie odpowiedział. Wprawnie, nie dotykając przedmiotów, powkladał je do osobnych plastikowych torebek i ostrożnie owinął w serwetkę.

– Oczywiście musimy wykonać badanie DNA – powiedział. – Ale, niestety, i bez tego

pewne jest, że zmarła to Marianne.

– Mówili, że zapłaciła. – Synnøve opuściła wreszcie ręce na kolana. – W hotelu powiedzieli, że Marianne zapłaciła za pokój.

– Rzeczywiście rachunek został uregulowany, ale nie przez nią.

– No to przez kogo? Jeśli zapłacił ktoś inny, to musiał to zrobić morderca. Chyba powinno być łatwo... Czy oni nie mają kamer? Listy gości? To powinno być najprostsze na świecie...

Kiedy zobaczyła wyraz twarzy Kjetila, umilkła.

– W hotelu Continental mają kamery w niektórych miejscach – odparł powoli. – Między innymi w recepcji. Ale nagrania po tygodniu są kasowane. Za tydzień przechodzą na kamery cyfrowe i zapis będzie przechowywany znacznie dłużej. Ale do tej pory używali staroświeckiego sprzętu. Całkiem zwyczajne VHS. Kaset nie można trzymać w nieskończoność, sama wiesz.

– VHS? – szepnęła z niedowierzaniem. – W takim luksusowym hotelu?

Kiwnął głową i ciągnął:

– Rachunek zapłacono już dziewiętnastego wieczorem. Tak wynika z zapisu w kasie. Recepcjonista twierdzi, że płacił mężczyzna. Gotówką. Bliżej nie potrafił go opisać. Tamtego wieczoru kręciło się mnóstwo ludzi, środek okresu przedświątecznych przyjęć. Kawiarnia Teatralna była pełna po brzegi, a stamtąd można przejść bezpośrednio do Saloniku, gdzie też serwują jedzenie. Mija się wtedy recepcję.

– Czy to oznacza, że...

Synnøve właściwie nie bardzo wiedziała, co to ma oznaczać.

– I jeszcze odbywało się wesele – ciągnął policjant. – Okropne zamieszanie. Podobno miał też miejsce jakiś dramatyczny incydent z dzieckiem, które wyszło z hotelu i o mało nie wpadło pod autobus, a może raczej pod tramwaj. W każdym razie zrobił się hałas i recepcjonista za skarby świata nie jest w stanie przypomnieć sobie nic więcej z momentu płacenia.

– Ale kto... Kto, na miłość boską, miałby interes, żeby to zrobić? Po prostu nie pojmuję... Zabić ją, ukryć, zapłacić rachunek... To takie absurdalne. To... Komu, do diabła, coś takiego może przyjść do głowy?

– Właśnie to staramy się wyjaśnić – odparł Kjetil spokojnie. – Kluczem jest odpowiedź na pytanie, dlaczego Marianne zginęła. Jeśli masz jakąkolwiek informację, która mogłaby nam pomóc...?

– Oczywiście, że nie mam. Kompletnie nie mam pojęcia, dlaczego ktoś chciałby zabić

Marianne. Jeśli w ogóle ktokolwiek, to chyba ci jej cholerni rodzice.

Kjetil nie zaprotestował przeciwko temu bezsensownemu stwierdzeniu.

Synnøve obciągnęła sweter. Sięgnęła po szklankę z wodą i odstawiła ją, nie pijąc. Obracała na palcu obrączkę. Przeczesała dłonią włosy.

Starła się coś zrobić, żeby czas płynął.

Właśnie na tym będzie musiała się skupić w nadchodzących dniach. Na tym, żeby czas płynął. Czas leczy rany. Ale za każdym razem, gdy patrzyła na zegarek, okazywało się, że minęło zaledwie pół minuty.

Żadna rana się nie zagoiła.

– Mogę już iść? – spytała cicho.

– Oczywiście, odwiozę cię do domu. Jeszcze będziemy musieli cię męczyć pytaniami, ale...

– Jacy my?

– Nie rozumiem?

– Kto mnie będzie męczył?

– No cóż, ponieważ ciało znaleziono w Oslo i według wszelkiego prawdopodobieństwa do przestępstwa doszło właśnie tam, to sprawa tamtejszej policji. Oczywiście będziemy im pomagać na tyle, na ile będą sobie tego życzyć, ale...

– Chcę już iść.

Wstała. Kjetil Berggren zauważył, że sweter jest na nią za duży, rękawy wiszą. W ciągu zaledwie dwóch tygodni musiała schudnąć jakieś pięć, może sześć kilo. A przecież kilogramów już wcześniej nie miała w nadmiarze.

– Musisz jeść – powiedział. – Jesz coś?

Nie odpowiadając, zdjęła puchówkę z oparcia krzesła.

– Nie trzeba mnie odwozić. Pójdę piechotą.

– Ale to tylko trzy minuty.

– Pójdę piechotą.

W drzwiach jeszcze się do niego odwróciła.

– Nie wierzyłeś mi. Nie uwierzyłeś, kiedy ci powiedziałam, że z Marianne stało się coś strasznego.

Kjetil wpatrywał się w paznokcie i milczał.

– Mam nadzieję, że to cię dręczy.

Kiwnął głową, ale wzroku nie podniósł.

Ani trochę mnie to nie dręczy, pomyślał. Ani trochę. Bo kiedy do nas przysłaś,

Marianne dawno nie żyła.

Ale nic nie powiedział.

* * *

Profesjonalności nic nie można było zarzucić. Policyjny rysownik sporządził portret pamięciowy nie tylko *en face*, lecz również z profilu, poza tym rysunek całej postaci od przodu i szkic jakiegoś emblematu czy znaczka, który zdaniem Martina Setre mężczyzna miał wpięty w połą marynarki. Silje Sørensen szybko przejrzała rysunki, po czym wszystkie cztery rozłożyła obok siebie na biurku.

Sceptycznie podchodziła do portretów pamięciowych, chociaż to ona je zamówiła.

Ludzie na ogół byli bardzo marnymi świadkami. Opisy jednej i tej samej sytuacji, jednego i tego samego człowieka mogły w późniejszym czasie różnić się jak niebo i ziemia. Świadkowie opowiadali o nieistniejących przedmiotach i zdarzeniach, które nigdy nie miały miejsca. Opowiadali barwnie i ze szczegółami. Nie kłamali. Po prostu źle zapamiętywali, a dziury w pamięci wypełniali własnymi doświadczeniami i wyobraźnią.

A jednocześnie portrety pamięciowe czasami bywały decydujące. Rysownik musiał być dobry, a świadek wyjątkowo spostrzegawczy. Istniały zaawansowane programy komputerowe, które mogły w znacznym stopniu ułatwić pracę i w niektórych wypadkach sprawić, że była bardziej precyzyjna, ale Silje wolała rysunki odręczne.

I takie właśnie dostała.

Przyglądała się portretowi.

Mężczyzna był biały i mógł mieć od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. W notatce przeczytała, że Martin Setre nie był pewien, czy ten człowiek miał ogoloną czaszkę, czy naprawdę stracił włosy. W każdym razie był łysy. Okrągła twarz. Ciemne oczy bez okularów. Nos prosty, a broda szeroka, prawie kwadratowa. Wokół dolnej części twarzy rysował się wąski podwójny podbródek. Mężczyzna był ciężki, co dało się zauważyć również na rysunku pełnej postaci, ale nie miał znaczącej nadwagi. Wzrost oceniano na około metr siedemdziesiąt.

Niewysoki, tłuścawy facet, który się uśmiechał.

Silje doszła do wniosku, że prawdopodobnie mężczyzna uśmiechał się nieustannie i dlatego zaznaczono to na portrecie. Przejrzała notatkę i znalazła w niej potwierdzenie.

Ładne zęby.

Ciemne ubranie. Ciemny płaszcz na ciemnej koszuli. Krawat również ciemny, węzeł wyglądał na dość luźno zawiązany. Rysunek był czarno-biały i wszystkie te odcienie szarości

nastawiły ją pesymistycznie. Kiedy przyjrzała się uważniej sylwetce, uświadomiła sobie, że podobnych mężczyzn muszą być tysiące. Wprawdzie Martin twierdził, że ten człowiek mówił po angielsku, raczej z amerykańskim akcentem, ale używanie obcego języka to stara, zużyta sztuczka.

Mężczyzna miał leciutkie dołeczki w policzkach.

Knut Bork wszedł bez pukania. Silje podskoczyła.

– Przepraszam – powiedział zdziwiony. – Nie przypuszczałem, że tu jesteś. Nie masz nic lepszego do roboty w sobotę po południu?

– Gdyby mnie tu nie było, drzwi nie byłyby otwarte.

– Ja...

Knut Bork był wysoki, o jasnej karnacji, prawie zawsze blade, z rudoblond włosami i oczami niebieskimi jak lód. Kiedy się czerwienił, natychmiast rzucało się to w oczy. Teraz jego twarz przypominała światła uliczne.

– Nic się nie stało – uśmiechnęła się Silje, wyciągając rękę. – Co mi chciałeś zostawić?

– To – odparł niepewnie, podając jej cienką teczkę. – Trzeba to dołożyć do sprawy Marianne Kleive.

Wzięła teczkę z dokumentami i nawet na nią nie patrząc, położyła ją obok portretów pamięciowych.

– Akurat tego nam jeszcze teraz potrzeba – westchnęła. – Spektakularnego zabójstwa w jednym z najlepszych hoteli w mieście. Widziałeś tabloidy?

Knut uniósł brew i powoli westchnął.

– Coś nowego? – spytała, wskazując na teczkę.

– Tylko zeznania dwóch nowych świadków. Wygląda na to, że tamtego wieczoru pół Oslo było w tym cholernym hotelu. I sama wiesz, jak to jest. Wszyscy uważają, że mają coś ciekawego do powiedzenia. Bez przerwy dzwonią ludzie, którzy chcą coś przekazać.

Silje sięgnęła po filiżankę z kawą.

– Brak świadków jest lepszy niż tysiąc świadków – stwierdziła. – Najgorsze, że wszystkich musimy traktować poważnie. Ktoś przecież mógł zauważyć coś istotnego. Na zdrowie!

Kawa była zimna i gorzka.

– Nie powinieneś już iść do domu?

– Dziękuję, nawzajem – odparł. – Dostałaś te rysunki? Pokaż! Obszedł biurko i pochylił się nad szkicami.

– Żadnych znaków szczególnych – mruknął.

– To prawda. Wzrost niższy niż przeciętny, ale zgodnie z pojęciem przeciętności nie jest w tym osamotniony.

– Myślisz, że to jest ślepy tor?

Uniósł jeden z rysunków na wysokość twarzy.

– Być może – westchnęła. – Ale to jedyny ślad, jaki mamy.

– A co to jest? – spytał Knut, wskazując na rysunek przedstawiający klapę marynarki.

– Jakaś odznaka?

– Coś w tym rodzaju. Poznajesz?

– Trójlistna koniczyna, tak?

– Tak.

– Wszystkie rysunki są czarno-białe, a ta koniczyna jest czerwona.

– Martin twierdził, że tego jest absolutnie pewien. Na ogół nie chcemy, żeby rysunki były kolorowe, bo kolory mogą zmylić, ale ten znaczek, czy co to jest, podobno z całą pewnością był czerwony.

– A te... zawijasy? Co one mają przedstawiać?

Przyjrzeni się rysunkowi. Na każdym z listków koniczyny narysowany był kształt przypominający literę jakiegoś obcego alfabetu.

– Martin miał pewność, że na każdym listku była litera – wyjaśniła Silje. – Ale nie pamiętał jaka.

Knut Bork sięgnął po pudełko z pastylkami na gardło, które leżało na biurku.

– Mogę jedną? – spytał, wsuwając palec do środka, zanim zdążyła odpowiedzieć.

– Ależ oczywiście – mruknęła Silje. – Weź nawet pięć. Ten znaczek ma w sobie coś znajomego, prawda?

– Tak – przyznał Knut Bork i zaczął się śmiać. – Zaraz ci powiem, co to jest. Moja babcia ma taki przy każdym zakiecie.

Śmiech nagle się urwał, jak ucięty nożem. Silje podniosła głowę i spojrzała na kolegę. Znow miał czerwoną twarz, a usta otwarte jak ryba wyciągnięta na brzeg.

– Knut? – spytała ostrożnie. – Wszystko w porządku? Czy ty...

Nagle poderwała się tak szybko, że biurowe krzesło na kółkach z hukiem uderzyło w ścianę. Knut Bork był od niej znacznie wyższy. Przez chwilę rozważała, czy nie wskoczyć na biurko, ale zrezygnowała. Objęła go od tyłu i zacisnęła dłonie z prawym kciukiem skierowanym w ciało. Ścisnęła z całych sił.

Z ust Knuta wystrzeliły trzy czarne pociski.

Zaczął kaszleć i próbował łapać oddech, więc go puściła.

– Dziękuję – wykrztusił. – Nie mogłem... Patrz!

Wskazał na przeciwległą ścianę. Pastylki na kaszel przylepiły się, tworząc trójkąt. Dzieliło je od siebie mniej niż pół centymetra.

– Sam środek tarczy – jęknął.

Silje spojrzała na niego z uniesionymi brwiami i usiadła.

– Możesz mi teraz powiedzieć, co to za znaczek?

Głos wciąż miał zniekształcony, kiedy łapiąc się za gardło, chrząknął i oznajmił:

– Norweskiego Stowarzyszenia Higienistek.

– Co?

– Te litery to NSH. Norweskie Stowarzyszenie Higienistek.

Silje wyrwała Knutowi rysunek odznaki, jakby ją obraził. Czerwona trójlistna koniczynka na łądźce, z literą na każdym listku.

– Muszę to sprawdzić – mruknęła, odłożyła kartkę i wpisała nazwę stowarzyszenia w pole wyszukiwarki.

– No widzisz – powiedział Knut. – Miałem rację.

Silje wpatrywała się w stronę organizacji.

Logo przedstawiało czerwoną trójlistną koniczynkę z białymi literami NSH. Po jednej na każdym listku.

– Co u... – Myśli nie chciały ułożyć się logicznie. – Klient, który kupuje seks, możliwe, że zabójca – zaczęła wyliczać. – Mężczyzna. Chodzi po ulicach. Wyszukuje młodych chłopców. W centrum Oslo. – Przełknęła ślinę i zwilżyła wargi językiem. – Z odznaką członkowską Norweskiego Stowarzyszenia Higienistek widoczną w klapie płaszcza. Co to, do cholery, ma znaczyć? Czy on próbuje z nas kpić?

Knut Bork sięgnął po rysunek i podszedł z nim do korkowej tablicy przy oknie. Przypiął kartkę i cofnął się o dwa kroki. Stał z przekrzywioną głową, po czym nagle odwrócił się do Silje.

– Może właśnie tak jest. Może ten facet chce z nas zadrwić.

* * *

Kiedy dzwoniący mężczyzna powiedział, że jest z policji, Marcus Koll jr. przez moment oszołomienia pomyślał, że ktoś próbuje z niego zadrwić. Gdy kilka sekund później zrozumiał, że się pomylił, wstał i zaczął krążyć po pokoju. Początkowo był tak skupiony na udawaniu obojętności, że nie docierało do niego, co ten człowiek mówi.

Niemożliwe, by coś wiedzieli.

To po prostu wykluczone.

Zatrzymał się przy wielkich oknach wychodzących na południe.

Rozciągający się na zboczu ogród był oświetlony. Przysypane ciężkim śniegiem świerki na tle gęstej ciemności za płotem wydawały się fluorescencyjnie niebieskie. Niskie chmury skryły miasto i fiord. Miało się wrażenie, że świat poza posiadłością nie istnieje.

Oprócz tego świata w telefonie.

– Przepraszam. – Marcus starał się, by jego uśmiech dało się usłyszeć w słuchawce. – Mógłby pan powtórzyć to jeszcze raz? Coś trzeszczało.

– Ta informacja – powiedział mężczyzna, wyraźnie już zniecierpliwiony. – W poniedziałek przekazał pan informację o rabusiach.

Lekki powiew wiatru zdmuchnął śnieg z najbliższego drzewa. Suche kryształki zamigotały w świetle latarni. Na samym dole w ogrodzie rosły dwie wysokie sosny z nagimi, prostymi jak odrysowane od linijki pniami i kulistymi koronami, niczym wyprężeni na baczność żołnierze na warcie.

Marcus próbował opanować ulgę.

Miał rację. To oczywiste, że nic nie wiedzieli.

Nie było powodów do zmartwienia.

– Aha – rzucił tylko i przełknął ślinę. – To nie ja.

– Czy ja nie rozmawiam z Rolfem Slettanem? – spytał głos na drugim końcu linii. – Telefon 2307xxxx?

– Nie. – Marcus koncentrował się teraz na spokojnym oddechu. – Rolf to mój mąż. To on do was dzwonił. Ja się nazywam Marcus Koll. Tak jak się przedstawiłem, kiedy odbierałem telefon.

Na drugim końcu linii na kilka sekund zapadła cisza.

Moment zderzenia z innością, pomyślał Marcus. Ta krótka chwila milczącego zmieszania. Albo pogardy. Albo jednego i drugiego. Przyzwyczyił się już do tego. Tak jak każdy przyzwyczajają się do piętna, jeśli tylko nosi je dostatecznie długo. Zanim Mały Marcus zaczął chodzić do szkoły, Marcus Koll jr. zgodził się na wywiad w „Dagens Næringsliv” jako jedyny mający dziecko homoseksualista na liście stu najbogatszych ludzi w kraju. Miał nadzieję, że tym samym ochroni Małego Marcusa. Wszyscy będą już wiedzieć i uniknie się szeptów po kątach. Uniknie się takich pauz.

Kilka tygodni później dotarło do niego, że nie wszyscy czytają „Dagens Næringsliv”.

– Aha – rozległo się w końcu w słuchawce. – A... a czy on tam jest? Rolf Slettan?

– Tak, ale kładzie spać naszego syna.

Milczenie na drugim końcu trwało bardzo długo, Marcusowi wydało się, że połączenie zostało przerwane.

– Halo – powiedział głośno.

– Tak, tak – odparł mężczyzna. – Jestem. Może pan go poprosić, żeby do mnie zadzwonił? Ta jego informacja się przeleżała, a chętnie zadałbym mu kilka pytań.

– Ma zadzwonić pod ten numer, który się wyświetlił? – przerwał Marcus.

– No tak, może. Niech poprosi o połączenie z sierżantem Pettersenem. Zatelefonuje jeszcze dzisiaj?

– Nie przypuszczam – odparł Marcus. – Mamy plany na wieczór. Ale oczywiście, jeśli to ważne, mogę dopilnować, żeby zadzwonił, tak mniej więcej za pół godziny.

– Taaak. W zasadzie dobrze by było. Wczoraj wieczorem mieliśmy kolejne zdarzenie i...

– W porządku, przekażę.

Rozłączył się bez pożegnania i odłożył telefon na stół. Uświadomił sobie, że w salonie jest ciemno. Powoli obszedł pokój, po kolei zapalając wszystkie światła, aż zrobiło się w nim tak jasno, że widok ogrodu prawie całkiem zniknął w ostrym kontraście między ciemnością na zewnątrz a jasnością w środku.

Rolf opowiadał mu o śladach samochodu przy bramie. Marcus w pierwszej chwili się zdziwił, wręcz zirytował tym, że Rolf czepia się tak nieistotnych oznak świadczących o tym, że ktoś skręcił na placyk przy drodze. Nie był przecież ogrodzony i stanowił naturalną zatoczkę umożliwiającą ustąpienie miejsca samochodowi nadjeżdżającemu z przeciwnika. Odkąd po Nowym Roku zaczął padać śnieg, stale widywał tam ślady.

Dopiero kiedy Rolf wyjaśnił mu sprawę dokładniej, Marcus był skłonny dyskutować. Musiał przyznać, że to rzeczywiście dziwne, by ktoś się tam zatrzymywał, na co mogły wskazywać ślady o różnej głębokości i niedopałki. Kiedy Rolf uparcie twierdził, że ten sam samochód stał wyżej na drodze w czasie, gdy on badał ślady przy bramie, i odjechał, gdy tylko Rolf się nim zainteresował, Marcus zamknął usta.

Silne wrażenie Rolfa, że ktoś ich obserwuje, aż za bardzo zgadzało się z jego własnym narastającym niepokojem. Coraz częściej przyłapywał się na oglądaniu się przez ramię w obawie nie wiadomo przed czym. A może przed kim. Do tej pory nie potrafił stwierdzić nic konkretnego, ale uczucie, że towarzyszy mu żywy cień, zaczęło narastać przed świętami. Dopiero po Nowym Roku zrozumiał, że paniczny lęk, który niemal go powalił cztery dni przed Wigilią, chociaż przez tyle lat pozostawał nieobecny, nie wynikał wyłącznie z dręczących go wyrzutów sumienia.

Czuł się, jakby ktoś go obserwował.

Problem, tak jak Marcus Koll jr. go postrzegał, polegał na tym, że to pozostawanie pod obserwacją nie miało związku z rabunkami i bandą włamywaczy.

Jeśli w ogóle ktoś za nim chodził.

– Nie – powiedział głośno i z powrotem usiadł w fotelu.

To musiało być przywidzenie.

To powinno być przywidzenie.

Za bardzo się ostatnio zrobił strachliwy, a to, co zauważył Rolf, równie dobrze mogło dotyczyć zakochanej parki, która zatrzymała się na obściskiwanie, zrobiła sobie przerwę na całowanie i papierosa. Albo mógł to też być całkiem po prostu jakiś odpowiedzialny kierowca, który zjechał z drogi, żeby zatelefonować.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

Opieka do dziecka, pomyślał i zamknął oczy.

Była już dziesiąta, a on właściwie czuł się zbyt zmęczony, żeby gdzieś wyjść.

Za trzy miesiące i pięć dni minie dziesięć lat od śmierci ojca.

Marcus Koll otworzył oczy, wstał i mocno pociągnął za płatki uszu, żeby się ożywić. Dzwonek zabrzączał jeszcze raz. Idąc przez salon, postanowił, że piętnasty kwietnia będzie dniem, w którym wszystkie zmartwienia się skończą. Mimo że ten dzień stracił już swoje pierwotne znaczenie, zamierzał posłużyć się nim jako kamieniem milowym w życiu. Piętnasty kwietnia stanie się punktem zwrotnym i od tej pory wszystko będzie jak przedtem. Byle do niego dotrzeć. Dom na wzgórzu znów stanie się fortem, bezpieczną przystanią dla rodziny, pozostającą poza zasięgiem władzy ojca.

Taką obietnicę sobie złożył i z jakiegoś powodu poczuł się dzięki temu odrobinę lepiej.

Zanim wstanie świt

Kiedy budzik zadzwonił już o pół do szóstej rano w poniedziałek dwunastego stycznia, Inger Johanne czuła się dziwnie zadowolona. Początkowo nie zrozumiała, dlaczego budzi się ją tak wcześnie, i pozostawała w błogiej krainie niczyjej między snem a rzeczywistością, kiedy Yngvar rzucił się na awanturnika i go uciszył. Suche ciepło pod kołdrą kazało jej mocniej się nią otulić. Kiedy Yngvar, wzdychając, położył się z powrotem, przysunęła się do jego pleców.

– Muszę wychodzić – mruknął. – Samolot do Bergen odlatuje za dwie godziny.

– Ragnhild śpi – szepnęła Inger Johanne. – Kristiane z Jackiem są u Isaka. Nie możesz zaczekać kwadrans?

Kosztowało go to śniadanie i gdy niespełna godzinę później jechał samochodem w stronę Gardermoen spóźniony, ze skręcającym się z głodu burczącym żołądkiem, prawie żałował.

Inger Johanne natomiast dawno nie czuła się tak dobrze. Wieczór z Karen Winslow skończył się dopiero o trzeciej w nocy z piątku na sobotę. Przeciągnąłby się jeszcze bardziej, gdyby Karen następnego dnia nie musiała jechać dwieście kilometrów do Lillesand. W sobotę przed południem Yngvar zabrał Ragnhild w odwiedziny do zięcia i wnuka Amunda i został tam cały dzień. Inger Johanne nie pamiętała, kiedy mogła tak długo spać. Po leniwym śniadaniu i trzech godzinach spędzonych nad sobotnimi gazetami pojechała na pływalinię na Tøyen i przepłynęła tysiąc pięćset metrów. Wieczorem zajrzał Sigmund Berli. Niezapowiedziany. Przyniósł pizzę Dolly Dimple i ciepłe piwo. Nieproszony gość był dla Inger Johanne wymówką, żeby iść spać przed dziesiątą.

Bardzo dobrze jej to zrobiło.

Wciąż czuła w sobie radość ze spotkania z dawną przyjaciółką ze studiów. Ragnhild w niedzielę za późno położyła się spać, a wreszcie weszła w wiek, kiedy następnego dnia przynajmniej w części odrabiała to, co straciła.

Inger Johanne krążyła po mieszkaniu w gigantycznej piżamie Yngvara. Zaparzyła olbrzymi dzbanek kawy i rozsiadła się na kanapie z laptopem na kolanach. Zajęcia ze studentami jeszcze się nie zaczęły, postanowiła więc, że zrobi sobie dzień pracy w domu. Ragnhild mogła spać, dopóki sama się nie obudzi, chociaż w przedszkolu na pewno będą się złościć, jeśli dziewczynka nie dotrze przed dziesiątą.

Sprawdziła pocztę elektroniczną. Komputer ściągnął dziewięć nowych wiadomości. Większość była nieciekawa. Jeden e-mail z policji. Przejrzała go szybko i od razu zrozumiała, że to taki sam list jak ten, który Yngvar dostał w sobotę rano. Dotyczył zabójstwa Marianne Kleive. Policja otrzymała pełną listę osób goszczących na weselu w hotelu Continental i rutynowo pytała, czy ktoś nie zauważył czegoś, co mogłoby mieć istotne znaczenie dla sprawy. Inger Johanne od razu skasowała wiadomość. Yngvar już odpowiedział w imieniu ich obojga, a sama Inger Johanne chciała jak najmniej myśleć o tamtym strasznym wieczorze, kiedy Kristiane o mało nie wpadła pod tramwaj.

Karen Winslow zdążyła odpowiedzieć na pytanie przesłane jej dzień wcześniej. Inger Johanne owinęła się kocem i popijając parzącą kawę, otworzyła e-mail.

Kochana Inger!

Wspaniale było się z Tobą zobaczyć! Cudowny wieczór i interesujący (!) spacer przez miasto! Ogromnie się cieszę, że poznałam Twojego fantastycznego męża, i muszę Ci powiedzieć, że mój własny mąż mógłby się od niego niejednego nauczyć. Jego ciepło i serdeczność, kiedy zjawiliśmy się w środku nocy, przeszły wszelkie oczekiwania.

Piszę do Ciebie z lotniska w Oslo. Ślub był zupełnie niewiarygodny, ale droga tam i z powrotem do Lillesand to prawdziwy koszmar...

Tak jak się umówiliśmy, przekażę Ci najbardziej istotne elementy naszych badań/śledztwa najszybciej, jak tylko będę mogła. A odpowiadając na pytania z Twojego porannego e-maila: Nazwa „The 25’ers” opiera się na sumie cyfr z liczb 19, 24 i 27 (zapomniałam Ci to wyjaśnić, prawda?). Nasza teoria mówi, że liczby 24 i 27 nawiązują do Listu św. Pawła do Rzymian, rozdział 1, werset 24 i 27. Sprawdź je sama. Liczba 19 ma rzekomo jakieś „magiczne” znaczenie w Koranie, zbyt skomplikowane, by wyjaśniać Ci to w e-mailu. Ale kiedy wrzucisz w Google „Rashad Khalifa”, zrozumiesz. Jeśli nasi numerologowie mają rację, to nazwa „The 25’ers” jest przerażająca.

Ogłaszają już mój samolot, więc muszę pędzić.

I nie zapominaj, że OBIECAŁAŚ odwiedzić nas latem z całą rodziną!!!

Wszystkiego najlepszego, serdeczne uściski.

Karen

Inger Johanne jeszcze raz przeczytała list. Potrzebny był jej wydruk, żeby zapamiętać te dziwne odniesienia. Drukarka stała w sypialni. Kiedy otworzyła drzwi, buchnął duszny zapach kołder, snu i seksu. Yngvar nie zgadzał się na spanie przy otwartym oknie, gdy słupek rtęci spadał poniżej pięciu stopni mrozu. Szybko podłączyła drukarkę do laptopa. Kiedy szelest powiedział jej, że dokument się drukuje, podeszła do okna i otworzyła je na oścież.

Zamknęła oczy, czując świeży chłód.

Biblia, pomyślała.

Nie była nawet pewna, czy mają w domu jakiś egzemplarz. Wiedziała za to, że wydanie Koranu stoi na półce z książkami Yngvara. Uparł się, by mieć w sypialni własny regał, pięć metrów półek z absurdalną mieszaniną książek. Obok serii świętych ksiąg w eleganckim wydaniu klubu książki stały tu encyklopedie broni, opasłe tomy dotyczące heraldyki, blisko dwadzieścia książek o koniach i ich hodowli, prastare wydanie *Encyclopedia Britannica* i wszystko, co kiedykolwiek narysował i wydał Frode Øverli. Nie zamykając okna, przykucnęła przed półką po stronie łóżka Yngvara. Koran łatwo dało się znaleźć, miał grzbiet ozdobiony orientalnymi złoconiami. Obok stała książka tak zniszczona, że grzbietu nie było. Gdy ją ostrożnie wyciągnęła, okładki wydawały się miękkie ze starości.

Biblia

Powoli ją otworzyła. Na stronie tytułowej widniał wykaligrafowany napis: „Dla Yngvara od babci i dziadka, 16 września 1956”. Szybko obliczyła, że musiał ją dostać w dzień chrztu. Yngvar urodził się w dzień świętego Jana tego samego roku.

Przymknęła okno i wsunęła obie książki pod pachę. Z wydrukiem w jednej ręce i laptopem w drugiej wróciła na kanapę.

Biblia Yngvara była tłumaczeniem z lat trzydziestych, jak wyczytała w stopce. Odnalazła List świętego Pawła do Rzymian i zaczęła sunąć palcem po stronie.

24. Dlatego podał ich Bóg pożądliwościom serca ich na nieczystość, aby między sobą ciała swe sromocili.

Zawahala się

...między sobą ciała swe sromocili.

– To pewnie oznacza, że ze sobą sypiali – mruknęła, wzrokiem szukając wersetu dwudziestego siódmego.

A podobnie i mężczyźni, opuściwszy przyrodzone pożycie z niewiastą, zapalili się w swych pożądliwościach jeden ku drugiemu, mężczyźni z mężczyznami sromotę uprawiając, i

*śluszną odpłatę za swój błąd na sobie samych ponosząc** [*Nowy Testament w przekładzie polskim W.O. Jakuba Wujka T.J., Kraków, 1936 (przyp. tłum.)].

Chociaż rozumiała, co jest napisane, zamknęła zniszczoną księgę i sięgnęła po komputer. Powinna o tym od razu pomyśleć, zamiast grzebać na półce Yngvara. Zdarzyło się jej to tylko raz wcześniej. Złościł się wtedy godzinami.

Dwie minuty zajęło jej znalezienie w internecie tych samych tekstów, ale już w nowszym tłumaczeniu.

24. Dlatego wydał ich Bóg poprzez poządliwości ich serc na łup nieczystości, tak iż dopuszczali się bezczeszczenia własnych ciał.

O wiele wyraźniejsze, pomyślała, lekko kręcąc głową.

Również werset dwudziesty siódmy brzmiał o wiele jaśniej, ubrany w nowsze słowa:

*27. Podobnie też i mężczyźni, porzuciwszy normalne współżycie z kobietą, zapalali nawzajem żądzą ku sobie, mężczyźni z mężczyznami uprawiając bezwstyd i na samych sobie ponosząc zapłatę należną za zboczenie** [*Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1965 (przyp. tłum.)].

Inger Johanne uważała się za agnostyczkę, co było dla niej ładniejszym określeniem obojętności. Czasami w pracy musiała ustosunkowywać się do ludzi wierzących i zawsze starała się to robić z należyтым szacunkiem. Oprócz jednego flirtu z religią w okresie dojrzewania wiara w Boga nigdy szczególnie jej nie interesowała.

Dopiero teraz.

W ostatnich miesiącach zgłębiała różne religie, i to w najbardziej ekstremalnym wydaniu. Teksty podobne do tych, które przed chwilą przeczytała, same w sobie nie budziły w niej przerażenia. Jako naukowiec i osoba niewierząca potrafiła na nie spojrzeć w kontekście historycznym i pod tym względem uważała je nawet za interesujące. Natomiast dosłowne potraktowanie słów świętego Pawła i branie ich za nakaz dla ludzi żyjących w roku 2009 uznała za okrutne.

Jeżeli Karen i APLC mieli rację, a wyjaśnienie nazwy „The 25’ers” naprawdę wiązało się z tymi tekstami, musiało chodzić o organizację, której działalność wymierzona jest bezpośrednio w gejów i lesbijki. Tylko i wyłącznie. Bez żadnego owijania w bawełnę. Bez żadnej otoczki przynależności religijnej, bez żadnej wspólnoty wyznaniowej.

Grupa, której motywem działania jest wyłącznie nienawiść.

Jeśli rzeczywiście ultrakonserwatywni chrześcijanie sprzymierzyli się z radykalistami islamskimi, to w istocie są wszelkie powody, by przypuszczać, że w tym wypadku ma się do czynienia z nienawiścią o wiele większą niż cokolwiek, o czym czytała przez ostatnie

miesiące.

Inger Johanne przeczytała ostatnią linijkę jeszcze raz.

...na samych sobie ponosząc zapłatę należną za zboczenie.

Przeszły ją ciarki. Sięgnęła po wydruk e-maila.

Liczba dziewiętnaście.

Arabsko brzmiące nazwisko „Rashad Khalifa”.

Palce już stukały w klawiaturę.

Cztery tysiące czterysta trafień.

– Dzień dobry, mamó. Muszę zjeść owsiankę.

Ragnhild na bosaka przebiegła przez salon. Inger Johanne ledwie zdążyła odstawić komputer na stół i już miała córeczkę w objęciach.

– Nie idę dzisiaj do przedszkola! – zaśmiała się dziewczynka. – Urządzimy sobie we dwie misiowy dzień!

Inger Johanne lekko odsunęła córkę od siebie, żeby nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

– Nie, kochanie, musisz iść do przedszkola. Dzisiaj jest poniedziałek.

– Misiowy dzień – upierała się Ragnhild i już wysuwała dolną wargę.

– Kiedy indziej. Dzisiaj mama musi pracować. Pójdiesz do przedszkola. Nie pamiętasz, że macie iść do lasu, jeździć na nartach, piec kielbaski na ognisku i w ogóle...

Smutna buzia dziewczynki rozjaśniła się w wielkim uśmiechu.

– Tak! A ile jeszcze dni zostało do moich urodzin?

– Dziewięć. Jeszcze tylko dziewięć dni i będziesz miała pięć lat.

Ragnhild zaśmiała się uszczęśliwiona.

– Będę miała największe urodziny na świecie. Z kremem!

– Jasne. A żebyś urosła duża, to zaraz zrobimy owsiankę. Ale najpierw we dwie wskoczmy pod prysznic.

– Dobra. – Ragnhild pokicała jak zajaczek do łazienki.

Inger Johanne się uśmiechnęła. To był cudowny weekend, a teraz jeszcze mogła w pełni cieszyć się godziną spędzoną tylko z młodszą córeczką, nim na poważnie rzuci się w nowy tydzień.

Gdyby tylko zdołała wyrzucić z głowy ostatnią myśl o „The 25’ers”.

* * *

Ostatnią osobą, która pchnęła drzwi do maleńkiej kaplicy przy Krematorium wschodnim, był Petter Just. Przez chwilę stał, zastanawiając się, czy dobrze trafił. Była za

trzy dwunasta, ale w środku znajdowało się zaledwie około dwudziestu osób. Petter Just, szkolny kolega Niclasa Wintera, który od dawna się z nim nie widział, sądził, że będzie pełno. Czytał przecież, że Niclasowi nieźle się powiodło. Jego prace kupowały muzea i prywatni kolekcjonerzy. Dzielnicowa gazetka rok temu wydrukowała duży artykuł o atelier Niclasa, Petter odniósł wtedy wrażenie, że kolegę lada chwila czeka wielki międzynarodowy przełom.

Chudy, starszy mężczyzna w okularach świadczących o tym, że jest prawie całkiem niewidomy, wsunął mu do ręki jakąś złożoną kartkę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Niclasa z nazwiskiem i datami urodzenia i śmierci wypisanymi staroświecką czcionką.

Petter Just wziął broszurkę i po cichu usiadł w ostatniej ławce.

Dzwony zabiły cztery razy i rozległ się dźwięk organów.

Kaplica była bardzo prosta, niemal naga. Łupek na posadzce i brązowobeżowe ściany, które na wysokości dwóch ostatnich metrów pod sufitem przechodziły w surowe prostokątne okna. Zamiast ołtarza szczytową ścianę zdobił fresk, z którego Petter Just nic nie rozumiał. Najbardziej przypominał mu stary plakat reklamowy chłopskiej Partii Centrum, z drzewami, zbożem, wieśniakami, polami i koniem wyglądającym na norweskiego fiordinga. W każdym razie takie zwierzę nigdy nie chodziło po Środkowym Wschodzie, pomyślał, próbując znaleźć jakąś zdatną do przyjęcia pozycję na twardej ławce obciążonej poplamionym czerwonym płótnem.

Naprawdę sądził, że Niclas zdobył sławę, oczywiście nie taką, by trafić do plotkarskich magazynów, ale że stał się naprawdę znany w swojej dziedzinie, że był prawdziwym artystą. Petter zdecydował się wpaść na pogrzeb głównie dlatego, że kiedyś świetnie się razem bawili. Przez pewien okres zbyt świetnie i to, można powiedzieć, pod różnymi względami. Niclas wariował na punkcie prochów, nie bardzo też go obchodziło, z kim się pieprzy.

Petter Just leciutko zarumienił się na tę myśl.

On w każdym razie już tego nie robił. Miał dziewczynę, fajną dziewczynę, w lipcu spodziewali się pierwszego dziecka. Właściwie nigdy nie był taki jak Niclas, ale gdy matka od niechcenia rzuciła, że jego dawny kumpel umarł i ma zostać dziś pochowany, postanowił przynajmniej oddać mu ostatni hołd.

Prawie nikt nie śpiewał.

Jemu też nie chciało się nawet poruszać wargami, jak tym dwóm mężczyznom siedzącym trzy ławki bliżej, przynajmniej przez jakiś czas.

W kaplicy była tylko jedna kobieta, która nie sprawiała wrażenia załamanej. Wyraźnie nie chciało jej się też poszukać czegoś czarnego w szafie. Kostium miała wprawdzie

elegancki, ale czerwień nie jest raczej odpowiednim kolorem na pogrzeb. Kobieta siedziała z przodu i wyglądała tak, jakby się nudziła.

Muzyka wybrzmiała do końca. Pastor podszedł do mównicy ustawionej dokładnie naprzeciwko środkowego przejścia, przypominającej powiększone dziecinne krzeselko, które może się w każdej chwili przewrócić.

Dwaj mężczyźni przed Petterem zaczęli rozmawiać szeptem.

Najpierw się zirytował. Przecież nie wypada rozmawiać podczas kazania. Może to zresztą nie nazywa się kazanie, ale w każdym razie nieuprzejmie jest gadać, kiedy pastor mówi.

– Znalaziono więcej dzieł... ani dzieci, ani rodzeństwa...

Do Pettera Justa docierały urywki rozmowy. Chociaż wcale tego nie chciał, skupił się na tych dwóch.

– ...w atelier... nie ma spadkobierców.

Pastor dał znak, by zebrani wstali. Tamci dwaj byli tak zajęci rozmową, że zareagowali dopiero wówczas, gdy wszyscy inni już się podnieśli. Na chwilę zamknęli gęby, ale zaraz znów zaczęli szeptać między sobą.

– ...dużo mniejszych instalacji... rysunków... ostatnie arcydzieło... nikt nie wiedział...

Te gnojki psuły całą uroczystość. Petter Just podniósł się gwałtownie i wychylił przez rząd ławek.

– Zamknijcie się, do cholery! – syknął. – Okażcie trochę szacunku!

Odwrócili się do niego zdumieni. Jeden miał około pięćdziesiątki, rzadkie włosy, wąskie okulary i modny zarost okalający usta. Drugi był nieco młodszy.

– Przepraszamy – powiedział ten starszy i obaj się uśmiechnęli, odwracając się do przodu.

Musiał ich nieźle nastraszyć, bo już do końca ceremonii, która zresztą nie trwała długo, nie odezwali się ani słowem. Nikt inny oprócz pastora nie zabrał głosu. Zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy Lasse, trzeci z koniczynki biegających po Godlia w latach osiemdziesiątych, zginął w wypadku samochodowym dwa lata temu. Tamten pogrzeb odbywał się w dużej kaplicy obok, a i tak nie zmieścili się wszyscy, którzy chcieli wejść. Wygłoszono osiem mów, a prawdziwy zespół zagrał *Imagine*. Morze kwiatów i mnóstwo łez.

Tutaj nie płakał nikt, a na trumnie leżał tylko jeden wieniec.

Gdy to siebie uświadomił, łzy napłynęły mu do oczu.

Już dawno powinien się skontaktować z Niclasem. Gdyby nie tamte historie, o których chciał zapomnieć i które w ogóle nie wydawały mu się prawdziwe, pewnie podtrzymałby

przyjaźń.

Nagle nie chciał tu dłużej być. Ledwie przebrzmiały ostatnie tony muzyki, wstał. Odsunął na bok niedowidzącego staruszka i pchnął ciężkie drewniane drzwi.

Znów padał śnieg. Petter Just zaczął biec. Nie bardzo wiedział, do czego mu się tak spieszy.

Albo przed czym ucieka.

* * *

– Krótko mówiąc – oświadczył Sigmund Berli, zanim niespiesznie zrzucił buty i położył nogi na stoliku między dwoma fotelami w hotelowym pokoju Yngvara – poderwałem babkę.

Yngvar złapał się za nos i krzywiąc się kilkakrotnie, wskazał palcem na stopy kolegi.

– Gratuluję! – powiedział szybko, tłumiąc śmiech zaciśniętą pięścią. – Ale te twoje skarpety cuchną jak zgniły ser. Zdejmij nogi ze stołu i schowaj z powrotem w buty.

Sigmund wygiął się najdalej, jak mógł, do swoich stóp, wciągnął powietrze przez nos i prawie się nie skrzywił.

– Nie jest wcale najgorzej – stwierdził i z powrotem położył nogi na stole. – Ona też nie narzeka. Śmiejesz się czy co?

– Kto to jest? – spytał Yngvar, przenosząc się na łóżko, jak najdalej od Sigmunda. – I od jak dawna to trwa?

– Herdis – odparł Sigmund z ożywieniem. – I jest... Herdis jest... Zgadnij! Zgadnij, co robi?

– Nie mam pojęcia – zniecierpliwził się Yngvar. – Naprawdę chcesz mi zaproponować coś do picia?

Sigmund wyjął z wewnętrznej kieszeni plastikową butelkę z whisky, sięgnął po szklankę przyniesioną przez Yngvara z łazienki, szczerze do niej nalał i podał przyjacielowi.

– Dziękuję.

Sobie też nie oszczędził alkoholu.

– Herdis – powtórzył Sigmund zadowolony, jak gdyby już samo wypowiedzenie jej imienia sprawiało mu prawdziwą rozkosz. – Herdis Vatne jest profesorem astrofizyki.

– Pfff! – Yngvar opluł alkoholem całego siebie i łóżko. – Co powiedziałaś? Co ty, na miłość boską, powiedziałaś?

Sigmund się wyprostował, a w oczach odmalowała mu się niechęć.

– Nie wierzysz, że mogę się spodobać profesorce, co? Twój błąd, Yngvar, polega na

tym, że tyle masz uprzedzeń. Chcesz choćby za wszelką cenę bronić czarnuchów. Choć przeważają we wszystkich naszych kryminalnych statystykach, to zawsze pieprzysz, jak im ciężko...

– Przestań! – zdenerwował się Yngvar. – I nie mów tak o nich!

– To też jest uprzedzenie, wiesz? Zawsze myśleć jak najlepiej o ludziach tylko dlatego, że należą do jakiejś grupy. O nikim innym oprócz nich nie myślisz dobrze. Jesteś sceptyczny wobec każdego białego drania, jakiego zatrzymamy, ale jak tylko mają trochę ciemniejszą skórę niż my, to opowiadasz, jacy oni są w rzeczywistości wspaniali i jak...

– Przestań! Mówię serio. – Yngvar usiadł na łóżku. Sigmund zawahał się i już ciszej dokończył:

– W każdym razie nie wierzysz, że mam dziewczynę, która pracuje na uniwersytecie. A przynajmniej uważasz, że to komiczne. Naprawdę jesteś uprzedzony. I bardzo mi z tego powodu przykro.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam, Sigmund. Oczywiście, że się cieszę w twoim imieniu. Masz jej zdjęcie? – wskazał na komórkę Sigmunda.

– No pewnie!

Sigmund ponaciskał coś w telefonie i wreszcie znalazł to, czego szukał. Uśmiechnięty od ucha do ucha podsunął aparat Yngvarowi.

– Wspaniała kobieta. I mądra, i ładna. Prawie jak Inger Johanne.

Yngvar sięgnął po telefon i przyjrzał się zdjęciu. Patrzyła na niego uśmiechnięta jasnowłosa czterdziestolatka. Miała białe, równe zęby i zalotnie zadarty nos. Musiała być bardzo chuda, bo nawet na maleńkim wyświetlaczu widać było, że zmarszczki od uśmiechu są bardzo głębokie, a od obu kącików ust ciągną się bruzdy aż do brody. Oczy miała niebieskie i odrobinę za mocno umalowane.

Wyglądała jak każda zdrowa Norweżka po czterdziestce.

– No, no – mruknął, oddając telefon.

– Zamierzałem wam o tym powiedzieć w sobotę, zanim Inger Johanne tak nagle po prostu poszła się położyć. Ale potem pomyślałem, że się wstrzymam, bo wczoraj Herdis miała pierwszy raz poznać moich chłopców. A właściwie nie pierwszy, bo jej syn gra w hokeja razem ze Snorrem, kumplują się już od dawna. Ale musiałem się przekonać, jak wypadnie takie spotkanie... prywatnie. Wszystkich. Nie mogę mieć babki, która by nie lubiła moich chłopaków. I odwrotnie.

– I co? Wszystko dobrze?

– Pewnie, nie mogło być lepiej. Poszliśmy do kina, a potem do Herdis na obiad. Ależ

ona ma mieszkanie! Wielkie i piękne, na Frogner. A ja się czuję wręcz obco w tej stronie miasta. Ale że pięknie tam, to trzeba przyznać.

Wypił łyk whisky, zadowolony cmoknął i rozsiadł się jeszcze wygodniej.

– Miłość to piękna rzecz – powiedział uroczyście.

– To prawda.

Siedzieli w milczeniu, popijając duże drinki. Yngvar, leżąc na trzech poduszkach miękko podpierających mu plecy i kark, czuł, jak ogarnia go senność. Gdy tak leżał, przymknął oczy i drgnął przestraszony, gdy szklanka zaczęła wysuwać mu się z ręki.

– I co myślisz o tej naszej pani? – spytał Sigmund.

– O kim? O Herdis?

– Idiota! O Evie Karin Lysgaard.

Yngvar nie odpowiedział. Poświęcili obaj dzień na usystematyzowanie ogromnej ilości dokumentów w tej sprawie. W końcu minęło dziewiętnaście dni, odkąd pani biskup zginęła od ciosu nożem, a bergeńska policja w zasadzie nie zbliżyła się nawet na krok do rozwiązania sprawy. Nie można ich o to obwiniać, pomyślał Yngvar. On tak samo nie miał pojęcia, co dalej. Współpraca do tej pory przebiegała bez zgrzytów. Początkowo Yngvar był odpowiedzialny za przesłuchania najważniejszych świadków, Sigmund zaś działał jako ktoś w rodzaju łącznika między Kripos a Komendą Okręgową Policji dla Hordaland. Spisywał się w tej roli bez zarzutu. Zręczniejszego *all-roundera** [*W krykiecie: zawodnik radzący sobie równie dobrze na pozycji odbijającego, jak i rzucającego.] niż Sigmund Berli można by ze świecą szukać. W zasadzie nie było takiego zarzewia konfliktu, którego nie potrafiłby ugasić, zanim buchnie płomieniem. W ostatnim tygodniu we dwóch wzięli na siebie coś w rodzaju kontroli. Oczywiście policja bergeńska sama prowadziła śledztwo i zajmowała się jego koordynacją, natomiast Sigmund i Yngvar starali się na bieżąco dodatkowo oceniać wszelkie napływające informacje.

– Wydaje mi się, że popełniliśmy błąd – stwierdził nagle Yngvar. – Taki sam głupi błąd, który popełniamy trochę za często.

– Jaki?

– Działamy zbyt szeroko.

– Zasada numer jeden, Yngvar. Nie wykluczaj żadnej możliwości.

– Wiem – skrzywił się Yngvar. – Ale posłuchaj. – Wziął z nocnej szafki długopis i notatnik. – Jeśli chodzi o tę teorię, że sprawcą jest szaleniec, czyli jedna z tych tykających bomb, o których się tyle mówi...

– Azylanci – uzupełnił Sigmund i już miał rozwinąć temat, gdy zabójcze spojrzenie

Yngvara kazało mu unieść ręce w przepaszającym geście.

– Gdyby tak było, już dawno byśmy go dopadli – ciągnął Yngvar. – Osoby zabijające w wyniku psychozy po dokonaniu przestępstwa na ogół włóczą się po ulicach zakrwawione, nawiedzone przez demony. Znajdujemy je po kilku godzinach. A tu minęły już prawie trzy tygodnie i nie mamy ani śladu maniaka. Nikt nie uciekł z żadnego psychiatryka, nic podejrzanego nie znaleziono w obozach dla uchodźców, to w ogóle wykluczone, że takiego mordercy szukamy. – Uderzył długopisem w notes.

– Policja bergeńska myśli chyba tak samo.

– Tak, ale wciąż trzymają te drzwi otwarte.

Sigmund kiwnął głową.

– A trzeba je po prostu zatrzasać – stwierdził Yngvar. – Razem z całym mnóstwem innych drzwi, od których tylko robi się przeciąg. Od tych wszystkich możliwości tworzy się jeszcze większy chaos. Na przykład te nienawistne listy. Czy kiedykolwiek zetknąłeś się z sytuacją, by wśród ludzi wysyłających takie listy znalazł się zabójca?

– Nooo – zaczął z wahaniem Sigmund. – W sprawie Anny Lindh był w każdym razie zabójca niezadowolony z...

– Szwedzka minister spraw zagranicznych została zabita przez rozwścieczonego szaleńca – przerwał mu Yngvar. – Nawet jeśli ze względów praktycznych uznano, że jest dostatecznie zdrowy, żeby go wsadzić. Facet nieprzystosowany, z historią psychiatryczną, nagle dostrzegł obiekt, ku któremu skierował swoją nienawiść. Zatrzymano go dwa tygodnie po zabójstwie. Zostawił tyle śladów, że...

– ...że my dwaj złapalibyśmy go w ciągu doby – uśmiechnął się Sigmund.

Yngvar odpowiedział śmiechem.

– Ci Szwedzi naprawdę nie mieli szczęścia w kilku bardzo, bardzo poważnych sprawach.

Znów zapadła cisza. Z sąsiedniego pokoju dobiegał odgłos ostro lejącego się prysznicza i wody spuszczonej w toalecie.

– Uważam, że te listy do pani biskup to ślepy tor – mruknął Yngvar. – Tak samo jak kwestia aborcji, którą teraz rozdmuchują gazety. To antyaborcjniści potrafią zabić w imię sprawy, przynajmniej w Stanach, a nie zwolennicy swobodnego dostępu do aborcji. Jest zupełnie odwrotnie.

– No to co o tym myślisz? Omówiłeś już prawie wszystkie możliwości. Nad czym ty się, u diabła, zastanawiasz?

– Dokąd ona szła? – Yngvar zapatrzył się przed siebie. – Musimy się dowiedzieć,

dokąd się wybierała, kiedy została zamordowana.

Sigmund opróżnił szklanę. Przez chwilę jeszcze na nią patrzył, nim zdecydowanym ruchem otworzył plastikową butelkę z Famous Grouse i nalał sobie kolejną solidną porcję.

– Uważaj – ostrzegł go Yngvar. – Musimy rano wstać.

Sigmund udał, że nie usłyszał ostrzeżenia.

– Problem oczywiście polega na tym, że nie możemy jej spytać – powiedział. – A mąż wciąż odmawia wyjawienia czegokolwiek o celu tego spaceru. Nasi koledzy z miasta już mu mówili, że ma obowiązek zeznawać, grozili nawet przesłuchaniem przed sądem. Przy takich konsekwencjach, jakie to może mieć...

– Nigdy nie zaciągną Erika Lysgaarda przed sąd. To by było bezsensowne. On już dość wycierpiał i cierpi dalej. Musimy wymyślić coś innego.

– Co?

Yngvar dokończył whisky, kiedy Sigmund uniósł butelkę, żeby mu dolać, pokręcił przecząco głową.

– Musimy chodzić od drzwi do drzwi.

– Gdzie? W całym Bergen?

– Nie. Musimy... – Otworzył szufladę i wyjął plan miasta. – Musimy zakreślić krąg, mniej więcej taki. – Palcem wskazującym narysował koło, pokazując mapę koledze.

– To przecież połowa tego cholernego Bergen! – westchnął Sigmund z rezygnacją.

– Nie, to wschodnia część centrum. Północno-wschodnia.

Sigmund sięgnął po plan.

– Wiesz, to najgłupsza propozycja, jaką od ciebie słyszałem. W mediach już wyraźniej nie dało się powiedzieć, że nie wiadomo, dokąd biskup wybierała się w Wigilię. Jeśli ktokolwiek wiedział, że szła właśnie do niego, już dawno by się zgłosił. Chyba że ma coś do ukrycia. A wtedy żadną przeklętą akcją pukania od drzwi do drzwi nic nie wskóramy. – Rzucił plan na łóżko i wziął potężny łyk whisky. – Poza tym – dodał – możliwe, że ona całkiem po prostu wybrała się na spacer, a wtedy nie posunęlibyśmy się nawet o krok.

Yngvar znów miał to szklane spojrzenie, które Sigmund tak dobrze znał.

– Masz jeszcze jakieś świetne pomysły? – spytał, cmokając. – Takie, które mógłbym od razu storpedować?

– Zdjęcie – odparł Yngvar zdecydowanie i spojrział na zegarek.

– Aha, zdjęcie. Jakie zdjęcie?

– Już pół do dwunastej, muszę iść spać.

– Ale o jakim zdjęciu mówisz?

Sigmund nie wykazywał najmniejszej ochoty powrotu do swojego pokoju. Przeciwnie, jeszcze wygodniej rozsiadł się w fotelu i przesunął nogi na brzeg łóżka.

– O tym, które zniknęło – wyjaśnił Yngvar. – Mówiłem ci o fotografii w „pokoju panińskim”, w którym podobno Eva Karin Lysgaard spędzała czas, gdy nie mogła zasnąć. Kiedy pierwszy raz oglądałem ten pokój, były tam cztery zdjęcia. A kiedy wróciłem dwa dni później, zostały tylko trzy. Przypominam sobie jedynie, że to jakiś portret.

– Ale Erik Lysgaard nie chce przecież...

– O Eriku musimy zapomnieć, on jest *lost case** [*Przegrana sprawa.]. Już za długo uważałem, że to on ma klucz do informacji na temat tego tajemniczego spaceru. Ale facet się zaciął. Natomiast Lukas...

– Moim zdaniem też nie sprawia wrażenia szczególnie chętnego do współpracy.

– Masz rację. Dlatego musimy sobie zadać pytanie, z jakiego powodu pogrążony w żalobie człowiek, który tak bardzo pragnie wyjaśnienia sprawy zabójstwa swojej matki, zachowuje się tak odpychająco wobec policji. Takie rzeczy z reguły miewają tylko jedno wyjaśnienie.

Yngvar spojrział na Sigmunda z uniesionymi brwiami, jakby zachęcał go do dokończenia rozumowania.

– Tajemnice rodzinne – oświadczył Sigmund dramatycznym tonem.

– Bingo! Często nie mają żadnego związku ze sprawą, ale w tym wypadku nie możemy nic zakładać. Mam wrażenie, że Lukas nie jest do końca...

Pauza się przedłużyła, Sigmund czekał cierpliwie, szklanka wciąż nie była pusta.

– ...nie czuje się do końca pewien swego ojca – dokończył wreszcie Yngvar.

– Co masz na myśli?

– Wyraźnie widać, że bardzo się kochają. Są do siebie niezwykle podobni i z sylwetki, i z charakteru. I nie widzę żadnego powodu, by uważać, że istnieje jakiś problem w stosunkach ojca z synem. Mimo to jest między nimi coś niewypowiedzianego. Coś nowego. Daleko temu do wrogości, ale to jakiś rodzaj... – Znów musiał szukać słów. – Utraty zaufania.

– Czyżby się nawzajem podejrzewali?

– Nie wydaje mi się. Ale jest między nimi napięcie. Jakieś niedowierzanie. – Znów niemal odruchowo spojrział na zegarek. – Naprawdę, Sigmund, muszę iść spać. Idź już!

– Zabijacz radości – mruknął kolega, wstając.

Mieszkał dwa pokoje dalej i nie chciało mu się wkładać butów. Zawiesił je na palcach prawej dłoni, drugą ręką sięgnął po whisky.

– Jak się umawiamy na śniadanie?

– Ja zjem o siódmej. Później pojedę do Os. Mam nadzieję, że złapię Lukasa, zanim wyjdzie do pracy. Nasza nadzieja w tym, że Lukas w końcu nam pomoże. – Ziewnął przeciągle i przyłożył dwa bezwładne palce do czoła.

Sigmund odwrócił się w drzwiach.

– Ja pośpię trochę dłużej. Koło dziewiątej pojedę na komendę i powiem, że wybrałeś się porozmawiać z Lukaszem. Ci z bergeńskiej najwyraźniej nie mają nic przeciwko temu, że robisz coś na własną rękę. U nas nigdy by coś takiego nie przeszło.

– Dobrze. Dobranoc.

Kolega mruknął coś jeszcze pod nosem, zanim drzwi się za nim cicho zamknęły.

Kiedy Yngvar się rozbierał i szykował do snu, uświadomił sobie, że zapomniał zadzwonić do Inger Johanne. Zaklął cicho i sprawdził godzinę, chociaż zaledwie dwie minuty wcześniej widział, że jest za dwadzieścia pięć dwunasta.

Było już za późno na telefon, więc się położył.

I nie mógł zasnąć.

* * *

To liczba dziewiętnaście nie pozwalała Inger Johanne zasnąć. Cały wieczór spędziła na czytaniu o Rashadzie Khalifie i jego teoriach o boskim pochodzeniu Koranu. Bez względu na to, o czym próbowała myśleć, byle tylko zapaść w sen, przeklęta dziewiętnastka na nowo ją rozbudzała.

Po godzinie się poddała. Mogła poszukać czegoś niewymagającego w telewizji, kryminału czy sitcomu, który by ją uśpił. Wprawdzie było już po pierwszej, ale TV 3 zwykle o tej porze puszczała jakieś bzdury.

Na kanapie został straszliwy bałagan.

Wszędzie leżały papiery i wszystkie były wydrukami z internetu.

Inger Johanne nie raz groziła własnym studentom egzekucją przez ścięcie lub inną nagłą i okrutną śmiercią, jeżeli kiedykolwiek powołają się na Wikipedię jako źródło pracy naukowej. Tymczasem sama bez przerwy korzystała z tych stron. Uważała, że od studentów różni się tym, że potrafi być krytyczna. Tego wieczoru okazało się to trudne. Historia Rashada Khalify była fascynującą lekturą i kolejne linki poprowadziły ją coraz dalej w głąb tej niezwyklej opowieści.

To było nawet zbyt fascynujące.

Cicho poczłapała do kuchni, postanawiając skorzystać ze starej domowej porady matki. Do garnka mleko i dwie duże łyżki miodu. Tuż przed zagotowaniem odrobina koniaku.

Jako dziecko nie miała pojęcia o tym ostatnim składniku, jako dorosła skonfrontowała matkę z totalną nieodpowiedzialnością, jaką było podawanie dzieciom na sen alkoholu. Matka machnęła ręką, twierdząc, że alkohol wyparowuje, a w dodatku można go uznać za lekarstwo, przynajmniej w takim kontekście. A widząc, że córka wciąż jest nieprzekonana, dodała, że dzieci dostawały taką mieszankę bardzo rzadko.

Inger Johanne uśmiechnęła się, kręcąc głową.

Przeleła mleko do wielkiego kubka.

Było takie gorące, że prawie nie dało się utrzymać w ręku.

Odstawiła kubek na stolik w salonie i uprzątnęła kanapę. Włączyła telewizor i znalazła TV 3. Trudno było zrozumieć, o czym jest film, zdjęcia były ciemne, pokazywały szalejącą burzę i przewracające się drzewa, ale kiedy spomiędzy pni nagle wyłonił się wampir, wyłączyła.

Niemal bezwiednie sięgnęła po plik kartek leżących obok kubka. Chociaż był to idiotyzm z uwagi na jutrzejszy dzień, usiadła wygodniej i zaczęła czytać o Rashadzie Khalifie i jego dziwacznych teoriach dotyczących liczby dziewiętnaście.

Egipcjanin w młodości przeniósł się do Stanów Zjednoczonych i tam studiował biochemię. Uznawszy, że angielskie tłumaczenie Koranu jest złe, sam ponownie dokonał przekładu. Pod koniec lat sześćdziesiątych doszedł do wniosku, że należy przeprowadzić czysto matematyczną analizę księgi. Chciał przez to udowodnić, że Koran jest tekstem autorstwa Boga. Po kilku latach ciężkiej pracy wystąpił z teorią, że liczba dziewiętnaście jest czymś w rodzaju przewijającego się boskiego klucza do słów Allaha.

Inger Johanne nie miała wiedzy pozwalającej prześledzić wielkie skoki myślowe tego dziwnego muzułmanina. Część wyglądała na stosunkowo zaawansowaną matematykę, w innych miejscach powoływał się na zupełne banały, na przykład na to, że pierwszy werset Koranu, „Basmalah”, powtarza się sto czternaście razy, a to liczba podzielna przez dziewiętnaście. Kiedy indziej ściśle trzymał się tekstu, przypominając na przykład, że werset 74,30 brzmi „Nad nim czuwa dziewiętnastu”.

Ostrożnie wypila łyk gorącego mleka. Teoria matki się nie sprawdzała. Alkohol piekł na języku i kręcił w nosie.

Rashad Khalifa dokonał niewiarygodnie wielu obliczeń. Najbardziej absurdalne było dodanie wszystkich liczb wymienionych w całym Koranie i udowodnienie, że również ta suma dzieli się przez dziewiętnaście. W pierwszej chwili w ogóle nie mogła zrozumieć, co w tym takiego niezwykłego, lecz gdy uświadomiła sobie, że dziewiętnaście to liczba pierwsza, a więc podzielna tylko przez samą siebie i przez jeden, stało się to bardziej zrozumiałe.

– Ale przecież liczb pierwszych jest bardzo dużo – mruknęła.

W salonie było zimno.

Zainstalowali termostaty na wszystkich grzejnikach, próbując oszczędzać i pieniądze, i środowisko. Yngvar stale podkreślał urządzenia, żeby i w nocy było ciepło, ona natomiast je przykręcała, żeby system działał zgodnie z zamierzeniem. Teraz tego pożałowała. Przez chwilę nawet się zastanawiała, czy nie rozpalić w kominku, ale w końcu poszła do sypialni po kołdrę.

Mleko zaczęło stygnąć, wypła duży łyk i wróciła do czytania.

Początkowo świat islamski wydawał się zachwycony odkryciami ekscentryka. Jego prace potraktowano bardzo poważnie. Muzułmanie z całego świata z otwartymi ramionami przyjęli pomysł matematycznych dowodów na istnienie Allaha. Nawet słynny sceptyk Martin Gardner w jednym ze swoich artykułów w „Scientific American” nazywał matematyczne odkrycia Khalify niezwykłymi, rewolucyjnymi i interesującymi.

Później Rashadowi Khalifie, Amerykaninowi egipskiego pochodzenia, wiodło się już gorzej.

Wpisał w Koran siebie.

Nie dość, że uznał się za proroka na równi z Prorokiem, to jeszcze stworzył własną religię. Według „The Submitters” wszystkie inne religie, ze skorumpowanym islamem włącznie, po prostu muszą przestać istnieć, skoro zjawił się zapowiadany zarówno przez Koran, jak i przez Biblię Prorok, a islam będzie mógł się odrodzić w czystej, niezafałszowanej formie.

Inger Johanne poczuła, że wzrok jej się mąci. Odłożyła papiery. Może przespałaby się na kanapie? Nie chciała więcej myśleć o Rashadzie Khalifie.

Nic dziwnego, że jednak zyskał zwolenników, pomyślała, układając się do snu. Wielu współczesnych muzułmanów więcej niż chętnie przyklasnęło jego atakowi na islamskich duchownych. Z drugiej strony tajemnice liczb zawsze pociągają ludzi o skłonnościach do fanatyzmu, ekstremistów wszelkiej maści. Teorie Khalify wciąż pozostają żywe, mimo że on sam w roku 1990 został zamordowany.

Zginął z rąk muzułmanina fanatyka, na podstawie tej samej fatwy skazującej na śmierć Salmana Rushdiego.

– O Boże – mruknęła, próbując zamknąć oczy. – Te religie!

Pod powiekami dziewiętnastki tańczyły *riverdance*. Było dziesięć po drugiej.

Jutrzejszy dzień będzie koszmarem, jeśli wkrótce nie zaśnie. Nagle zdecydowanie się podniosła i z kołdrą pod pachą podreptała do łazienki. Wyjęła tabletkę na sen. Zwykle

wystarczała jej myśl, że są. Teraz wzięła półtorej i popiła wodą z kranu.

Kwadrans później spała głęboko we własnym łóżku, bez żadnych snów.

* * *

Lukas Lysgaard czekał, aż wszyscy zasną. Napisał do Astrid liścik z informacją, że niepokoi się o ojca i chce sprawdzić, czy nic złego się nie dzieje, ale wróci później, jeszcze tej nocy. Samochód specjalnie zostawił na ulicy, żeby elektrycznie podnoszone drzwi do garażu nikogo nie obudziły.

Przejażdżka dobrze mu zrobiła. Jego matka zawsze ceniła światło, ale Lukas lubił noc. Nawet jako dziecko w ciemności czuł się bezpiecznie. Noc była jego przyjaciółką, odkąd mieszkali w wielkim domu na Nubbekken. Już w wieku sześciu czy siedmiu lat często się budził i zafascynowany wpatrywał w cienie tańczące na ścianie sypialni. Wielki dąb drapiący o szybę w oknie oświetlała od tyłu pojedyncza żółta latarnia. Cień rzucał przepiękne wzory na jego łóżko. A kiedy nie mógł z powrotem zasnąć, wymykał się stromymi schodami na strych. W półmroku, wśród wielkich waliz, z jakimi dawniej podróżowało się do Ameryki, starych mebli, ubrań nadgryzionych przez mole i zabawek nie wiadomo już do kogo kiedyś należących, potrafił godzinami siedzieć i marzyć.

Lukas Lysgaard wjechał z Os do uśpionego Bergen przez wilgotny zimowy mrok i wreszcie podjął decyzję.

Kiedy cofał się myślą do własnego dzieciństwa, niewiele miał powodów do narzekań.

Był kochanym dzieckiem i dobrze o tym wiedział. Wiara rodziców jedynie mu pomagała. Przyjął ich Boga z taką samą prostotą, z jaką wszystkie dzieci przyjmują ideały rodziców, dopóki nie dorosną na tyle, by się zbuntować. Jego bunt odbył się po cichu. Lukas przestał traktować Boga jako bezpiecznego ojca – wybaczącego, opiekuńczego i wszechobecnego – i jako dwunastolatek zaczął wątpić.

W domu na Nubbekken na wątpliwości jednak nie było miejsca.

Matka wierzyła w sposób absolutny. Jej łagodność w stosunku do ludzi, niezależnie od ich wiary i przekonań, jej szczodrość i wyrozumiałość nawet wobec najsłabszych, upadłych, była ugruntowana w przekonaniu o istnieniu Zbawiciela, Bożego Syna. Lukas jako nastolatek zorientował się, że matka tak naprawdę wcale nie wierzy, ona po prostu wie. Eva Karin Lysgaard była pewna swoich racji, a on nigdy nie miał dość śmiałości, by skonfrontować ją ze swoimi zastrzeżeniami. Bóg przestał odpowiadać na jego modlitwy. Wiara zamykała się przed nim coraz bardziej, szukał więc odpowiedzi na tajemnice życia gdzie indziej.

Po służbie wojskowej zaczął studiować fizykę, a religię odrzucił. Wciąż po cichu. Ślub

z Astrid wziął oczywiście w kościele, wszystkie dzieci zostały też ochrzczone. Cieszył się teraz z tego, bo matka za każdym razem była taka szczęśliwa, gdy pokazywała wnuka wiernym po udzieleniu mu sakramentu chrztu.

Ale w ich rodzinie zawsze było coś dziwnego, myślał, zbliżając się do domu ojca.

Jako małe dziecko tego nie wyczuwał. Po śmierci matki usiłował sobie przypomnieć, kiedy pojawiło się owo niejasne wrażenie, że ona coś ukrywa. Może narastało stopniowo, równoległe z jego słabnącą wiarą? Chociaż była bardzo obecną matką, zawsze bliską psychicznie, a często i fizycznie, coraz bardziej oczywiste stawało się dla niego, że musiał się nią z kimś dzielić. Jakby nad domem wisiał cień. Jakby czegoś brakowało.

Miał siostrę. Nie mogło być inaczej.

Nie sposób pojąć, co się stało i dlaczego, ale musiało to mieć jakiś związek z nawróceniem się matki, gdy miała szesnaście lat. Może była wtedy w ciąży, może Jezus do niej przemówił, gdy chciała ją usunąć? To mogło tłumaczyć jej upór, a niekiedy wręcz fanatyzm w tej jednej jedynej kwestii: człowiek nie ma prawa niszczyć życia stworzonego przez Boga.

Prędko obliczył, że szesnaście lat matka miała w roku 1962.

W sześćdziesiątym drugim los panny z dzieckiem, szczególnie tak młodej panny, nie był łatwy.

Kobieta na zdjęciu była taka do niego podobna, pamiętał to, chociaż przez te nieliczne chwile, gdy poświęcał zdjęciu szczególną uwagę, czuł niechęć, prawie wstręt do tej bezimiennej osoby z ładnymi, choć trochę nierównymi zębami.

Lukas zamierzał odnaleźć fotografię, a potem odszukać siostrę.

Na Nubbekbakken zaparkował w pewnej odległości od domu ojca.

Stał teraz pod drzwiami i starał się nie dzwonić kluczami.

Kiedy wszedł, zaczął nasłuchiwać.

W domu rodziców nigdy nie było zupełnie cicho. Drewno trzeszczało, zawiasy zgrzytały, gałęzie na wietrze tłukły się o szyby. Stary stojący zegar chodził zwykle tak głośno, że jego tykanie słyszało się w prawie każdym pomieszczeniu na dole. Rury nieregularnie wzdychały. Dom Lukasa zawsze był żywym domem. Wciąż pamiętał, na które miejsca starej podłogi należy stawać, żeby kogoś nie obudzić.

Teraz wszystko zamarło.

Noc była bezwietrzna i nawet gdy stąpił na deskę, która zwykle jęczała pod jego ciężarem, wciąż miał w uszach jedynie uderzenia własnego pulsu.

Ruszył ku wąskim schodom i na wstrzymanym oddechu wszedł na piętro. Drzwi do

sympialni ojca zostały uchylone, a dochodzący zza nich regularny, powolny oddech wskazywał, że Erik śpi mocno. Lukas ostrożnie podszedł do drzwi prowadzących na schody na strych. Stary klucz z kutego żelaza jak zwykle tkwił w zamku. Wiedział, że obracając go, trzeba unieść klamkę i przyciągnąć drzwi do siebie. Tak zrobił. Lekki trzask, gdy zamek ustąpił, znów kazał mu wstrzymać oddech.

Ojciec się nie obudził.

Nieskończenie powoli popychał drzwi.

W końcu mógł się wemknąć.

Na każdym stopniu stawiał stopy jak najbliżej ściany, nauczył się tego już jako sześciolatek. Bezszelestnie przedostał się na samą górę do wielkiego, zakurzonego pomieszczenia. Zza paska spodni wyjął latarkę i zaczął się rozglądać.

To było spotkanie z własnym dzieciństwem.

W skrzynkach ustawionych pod okrągłym okienkiem leżały ubrania i buty, które nosił jako maluch. Sąsiednie pudła też wypełniały ubrania. Matka niczego nie wyrzucała. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był na strychu, i doszedł do wniosku, że nie przychodził tu, odkąd pierwszy raz się stąd wyprowadził. Miał wtedy dwanaście lat i przez dwa miesiące płakał przez sen z żalu za Bergen.

A jednak wszystko wydawało się takie znajome.

Utrzymał się nawet zapach kurzu, kulek na mole, zardzewiałego metalu i pasty do butów, i jeszcze inne, trudne do zdefiniowania, ale budzące poczucie bezpieczeństwa wonie.

Nagle odwrócił się od skrzynek pod oknem i po cichu zawrócił na schody. Światłem latarki omiół podłogę przy ostatnim stopniu. W grubej warstwie kurzu widział ślady własnych butów, ale dostrzegł też inne odciski, bez wzoru na podeszwie, ślady kapci. Przyjrzał im się dokładnie i stwierdził, że jest ich więcej. Kierowały się i w jedną, i w drugą stronę. Ktoś tu niedawno był.

Lukas zorientował się, że się uśmiecha. Ojciec zawsze wierzył, że strych to niezawodne miejsce, Lukas musiał więc w każdą Wigilię udawać zaskoczonego prezentami. Ojciec chował je na strychu aż do Wigilii i nie miał pojęcia, że syn doskonale umiał rozpakować prezenty, zajrzeć do środka i zapakować je z powrotem tak, że nic nie było znać.

Wyprostował się i rozejrzał.

Strych był olbrzymi, wielkości obrysu fundamentów budynku. Sto metrów kwadratowych, jeśli się nie mylił. Poczul niechęć na myśl, ile czasu zajmie mu przeszukanie tych rupieci, kłopotów i sentymentalnych pamiątek, żeby znaleźć coś tak małego jak jedno zdjęcie.

Światło latarki znów zatańczyło na śladach koło schodów.

Ledwie widoczne ślady kapci prowadziły w przeciwnym kierunku niż ten, który wybrał Lukas. Na zachodnią stronę, ku małemu, zabitemu gwoździami okienku. Ostrożnie się tam skierował.

Nagle zdrętwiał, słysząc dobiegający z dołu dźwięk.

Wyraźne kroki. Zatrzymały się.

Lukas zamarł.

Ojciec się zbudził. Lukas miał wrażenie, że słyszy jego oddech, chociaż musiało ich dzielić co najmniej piętnaście metrów.

Cholera, powiedziały wargi Lukasa bezdźwięcznie. Nie zamknął całkiem drzwi na strych w obawie, że zrobią za dużo hałasu, kiedy będzie schodził. Ojciec prawdopodobnie wstał do toalety i z całą pewnością zauważył otwarte drzwi.

Czasami, gdy ktoś zapomniał przekręcić klucz, potrafiły otworzyć się same z siebie. Lukas zamknął oczy i modlił się do Boga po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią.

Niech ojciec uwierzy, że te drzwi otworzyły się same.

Tym razem został wysłuchany.

Usłyszał ciche mamrotanie i trzask zamykanych drzwi.

I odgłos klucza przekręcanego w zamku.

Bóg jednak nie wysłuchał Lukasa. Był teraz zamknięty i nie miał pojęcia, jak się wytłumaczy. Zanim uświadomił sobie, że może wykorzystać właz na dach, z ust sypnęły mu się przekleństwa. Przecież już jako sześciolatek pierwszy raz wydostał się przez okienko w dachu tuż przy kominie, zszedł po drabince dla kominiarza i wzdłuż rynny przeczołgał się na wielki dąb przy swoim pokoju.

Stamtąd zejście na ziemię było już bagatelką.

Ale najpierw musi znaleźć zdjęcie siostry.

Odczekał dziesięć minut, by się upewnić, że ojciec zasnął, wreszcie cicho ruszył.

Sprawa okazała się tak banalna, że wprost nie mógł w to uwierzyć. Zdjęcie leżało pod pudłem po bananach pełnym starych gazet, na podnóżku pamiętającym jeszcze czasy Stavanger. Ramka błysnęła, gdy tylko padło na nią światło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest srebrna. Metal przez lata szerniał, ale jej ciężar i odcień przekonały go, że się nie myli.

Blask padł na uśmiechniętą twarz, a wtedy ostro zakłuło go w piersi.

Kobieta mogła mieć około dwudziestu lat, chociaż nie dało się tego stwierdzić z całą pewnością. Z ubrania widać było jedynie bluzkę z małym kołnierzykiem, którego rogi

ozdobiono wzorkiem, może kwiatkami wyhaftowanymi białą nitką. Białe na białym. Na bluzce kobieta miała chyba cienki, robiony na drutach sweter. Jednokolorowy.

Niezbyt nowoczesny strój, pomyślał.

Szybko wyjął zdjęcie z ramki. Chciał szukać nazwiska fotografa czy innych napisów mogących doprowadzić go dalej w poszukiwaniu siostry, której istnienie dawno podejrzewał, i zdecydował, że nie zrezygnuje, dopóki jej nie odnajdzie.

Nic.

Zdjęcie było całkowicie anonimowe. Odłożył ramkę i podszedł do starego fotela stojącego pod skosem dachu od południa. Usiadł i tak ustawił sobie latarkę na ramieniu, by utrzymywała równowagę, a jednocześnie oświetlała fotografię.

Jeśli matka była w ciąży w roku 1962, to kobieta ze zdjęcia musiała mieć teraz czterdzieści sześć, może czterdzieści siedem lat. Nie wiedział, kiedy dokładnie matka doznała tego swojego objawienia.

A więc zdjęcie musiało zostać zrobione co najmniej dwadzieścia pięć lat temu.

W roku 1984.

Miał wtedy pięć lat. Mało wiedział o modzie z tego okresu. Nie więcej niż to, że starszy brat jego najlepszego kumpla nosił wtedy pastelowe moherowe swetry, które wpuszczał w spodnie, no i że zakręcał włosy w loki.

Końcami palców dotknął twarzy kobiety.

Nie miała sztucznych loków i chociaż z czarno-białego zdjęcia nie dało się odczytać kolorów, nabral przekonania, że sweter jest czerwony.

Lukas nigdy nie pragnął rodzeństwa. Dorastał w poczuciu, że jest wyjątkowy, że jest jedynym dzieckiem, jakim zostali pobłogosławieni rodzice. Łatwo nawiązywał przyjaźnie, a ich dom zawsze stał otworem dla jego kolegów. Zazdrościli mu. Rodzice poświęcali Lukasowi całą swoją uwagę, często dostawał w prezencie najświeższe nowinki, zanim inni ojcowie i matki zdążyli się choćby zastanowić, czy ich na to stać.

Czuł, że kobieta na zdjęciu do niego przemawia.

Coś ich łączyło. Wspólna miłość.

Gwałtownym ruchem wsunął zdjęcie za koszulę i wcisnął pod pasek spodni. Ramkę odłożył tam, gdzie znalazł fotografię. Podszedł do wjazdu na dach z nadzieją, że nawet po tylu latach da się otworzyć.

Udało się.

Otoczyło go zimne, wilgotne powietrze. Na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zaczął się zastanawiać, czy zdoła się przecisnąć przez wąski otwór. Rozejrzał się za czymś, na

czym mógłby stanąć, i jego spojrzenie padło na stołek-schodki, który też pamiętał z kuchni ze Stavanger. Ostrożnie odsunął go od ściany, rozłożył i postawił bezpośrednio pod włazem. Ledwie zdołał precyzyjnie barki, ale gdy górna połowa ciała znalazła się na zewnątrz, nogi nie stanowiły problemu.

Ale nie był to koniec wyzwań.

Natychmiast pojął, że forsowanie dachu i dębu po ciemku byłoby szaleństwem. Jedynie słabe światło pojedynczej latarni umożliwiło w ogóle zobaczenie czegokolwiek. To za mało. A ponieważ do przejścia po dachu na drzewo potrzebował obydwu rąk, z latarki nie mógł korzystać. Nawet gdyby włożył ją za pasek, nic by to nie dało.

Lukas Lysgaard był dwudziestodwunastoletnim ojcem trojga dzieci, a nie bezrozumnym chłopakiem, który nie zna strachu. Ostrożnie opuścił się z powrotem na strych, nie robiąc przy tym zbyt wiele hałasu.

Znów usiadł w fotelu. Wyjął komórkę i napisał wiadomość dla Astrid.

Nocuję u ojca. Zadzwoń jutro. Lukas.

Potem wyłączył dźwięk w telefonie.

Postanowił czekać na światło dnia, chociaż o tej porze roku przychodziło późno. Znów wyjął zdjęcie osoby będącej, jak już wiedział, jego siostrą i długo się jej przyglądał w niebieskobiałym świetle latarki.

Może miał też siostrzeńców i siostrzenice.

A przynajmniej miał siostrę.

Już na samą myśl o tym kręciło mu się w głowie. Nagle poczuł ogromne zmęczenie. Członki zrobiły się ciężkie jak ołów, nie był w stanie dłużej utrzymać zdjęcia nieruchomo. Z powrotem schował je pod koszulę, zgasił latarkę i usiadł wygodniej.

Kiedy zaczęła się wilcza godzina, już spał.

Zaginione dziecko

Yngvar Stubø był tak śpiący, że kiedy się obudził, przez chwilę zastanawiał się, czy w ogóle powinien siadać za kierownicą wynajętego samochodu, którym dysponował. Alkoholu we krwi nie miał, porzesał na tamtym jednym mocnym drinku, mimo to czuł ociężałość, lepką senność, przez którą trudno mu było wstać z łóżka. Czuł się tak, jakby wykluwała się w nim jakaś choroba.

Po trzech filiżankach kawy, dwóch porcjach jajecznicy z bekonem i jednym świeżym croissancie wszystko stało się łatwiejsze.

Zbliżał się do Os.

Nie chciał uprzedzać o swoim przyjeździe. Oczywiście ryzykował, przecież nie miał żadnej pewności, czy zastanie Lukasa Lysgaarda w domu. Mimo to pragnął zachować psychologiczną przewagę, z jaką zawsze się łączy niezapowiedziana wizyta policji. U Lukasa w domu jeszcze nie był i gdy mechaniczny głos z GPS-u uparcie kazał mu skręcić w prawo, gdy mijał pole, na którym nie widział nawet śladu bitej drogi, postanowił, że kogoś spyta. Ścieżką rowerową spieszyła akurat starsza kobieta, która wcale nie wyglądała na zagubioną.

– Przepraszam – powiedział, otwierając okno. – Czy zna pani tę okolicę?

Z wahaniem kiwnęła głową.

Podał adres, ale kobieta wciąż nic nie mówiła.

– Lukas Lysgaard – dodał szybko, gdy poruszyła się, jakby miała zamiar odejść. – Szukam Lukasa Lysgaarda.

– Ach, tak. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – Biedny chłopiec. Trzecia droga w prawo. Proszę nią jechać około trzystu metrów. Kiedy pan zobaczy nieduży, zrujnowany czerwony domek, trzeba skręcić w lewo i dalej prosto. Przy białej willi, tam, gdzie droga zatacza łuk, proszę jechać dalej na szczyt wzgórza. To właśnie tam. Żółty dom z podwójnym garażem.

Yngvar powtórzył wskazówki, kobieta pokiwała głową, podziękował więc i ruszył.

Kiedy już się zbliżał do żółtego domu, spojrzął na zegarek na desce rozdzielczej.

8.10.

Może przyjechał za późno.

Ponieważ Lukas pracował w Bergen, zapewne dość wcześnie wyjeżdżał z domu. Yngvar niewiele wiedział o infrastrukturze w zachodniej części kraju, ale w poświęconych dniach przekonał się, że w godzinach szczytu samochody jadące z południa do Bergen mogły tkwić w miejscu od Flesland aż do miasta. Flesland wprawdzie leżało na północny zachód od Os, lecz o ile dobrze się orientował, bliżej miasta wpadało się w te same korki.

Skręcił przed dom wybudowany w latach osiemdziesiątych, duży, pomalowany na żółto, ze szprosami, wykuszami i wszelkimi innymi cechami praktycznego i na wskroś nieestetycznego miejsca zamieszkania. Zaparkował przed bramą i ruszył do drzwi.

Ze środka dobiegły okrzyki dzieci, po których nastąpił pełen rezygnacji jęk, jak się domyślał, żony Lukasa. Żalose miauczenie kazało mu tyłem zejść z niewielkich kamiennych schodów i zadrzeć głowę.

Na dachu ganku siedział pręgowany kot. Gdy Yngvar spojrzął w zielone oczy, zwierzak bezszelestnie przemknął do rynny, spuścił się w dół po ścianie i zdołał wślizgnąć się do domu akurat wtedy, kiedy drzwi się otwały.

– Dzień dobry. – Yngvar wszedł na górę po trzech stopniach i wyciągnął rękę.

Astrid Tomte Lysgaard wpatrywała się w niego zdumiona.

– Dzień dobry – odpowiedziała słabym głosem i ujęła wyciągniętą dłoń.

– Jestem Yngvar Stubø z Kripos. Pracuję przy śledztwie w związku z zabójstwem pani teściowej i...

– Wiem, kim pan jest – przerwała mu Astrid, nie wykazując najmniejszej ochoty na zaproszenie go do środka. – Ale Lukasa nie ma w domu.

– Aha. Pojechał już do pracy?

– Możliwe. Nocował u ojca.

– Rozumiem.

Yngvar się uśmiechnął. Astrid Tomte Lysgaard jeszcze nie przygotowała się na spotkanie z nowym dniem. Szlafrok miała za duży, a mlecznobiałe nogi świadczyły o tym, że jest chuda jak patyk. Oczy otaczały suche zmarszczki, a worki pod nimi były stanowczo zbyt wyraźne jak na jej wiek.

– Przepraszam. – Z rezygnacją rozłożyła ręce. – Już jesteśmy trochę na bakier z czasem, więc jeśli nie ma pan innej sprawy, to...

Nagle zza kobiety wyłoniła się głowa trzylatka.

– Cześć – uśmiechnął się chłopczyk. – Mam na imię William, a nasza babcia umarła.

– A ja się nazywam Yngvar. I jestem policjantem. To twojego kota przed chwilą widziałem?

– Tak. Nazywa się Borghild.

Chłopiec nie umiał jeszcze mówić wyraźnie.

Yngvar uśmiechnął się szerzej.

– Znakomite imię dla takiego pięknego kota. – Pokiwał głową. – Ale chyba powinienes się już ubrać, mój kochany. Pewnie niedługo idziesz do przedszkola?

Astrid uśmiechnęła się blado i zmierzwiła synkowi włosy.

– Słyszysz? Policja mówi, że masz się ubierać. A zawsze trzeba robić to, co każe policja.

Chłopiec obrócił się na pięcie i puścił biegiem.

– Wszystko u pani w porządku? – spytał Yngvar cicho.

Wciąż nie zapraszała go do wejścia, ale też i nie zamykała drzwi.

– Sam pan wie. – W jej oczach pojawiły się łzy. – Lukasowi jest ciężko – powiedziała, błyskawicznym gestem wycierając lewe oko. – Śmierć Evy Karin to jedno, ale niemal równie straszne jest to, że Erik...

Miała wąskie dłonie z długimi, chudymi palcami. Trzymała ręce skrzyżowane na piersi, ale powtarzalnym nerwowym ruchem raz po raz zakładała włosy za ucho.

– No i Lukas się uparł, że...

Na drodze zatrąbił samochód. Yngvar odwrócił się i zobaczył w nim mężczyznę z mnóstwem dzieciaków na tylnym siedzeniu, który wyjeżdżał z sąsiedniego podjazdu. Kierowca pomachał do Astrid, ona ledwie uniosła rękę w odpowiedzi.

– Na co uparł się Lukas? – spytał Yngvar, gdy już się nie odezwała.

– No... nie bardzo wiem.

Kotka Borghild wyszła z domu i zaczęła się ocierać o nagie łydki Astrid.

– Naprawdę muszę już iść – stwierdziła i cofnęła się o krok. – Muszę wyszykować dzieci do przedszkola i do szkoły. – Przykro mi, że przyjechał pan tu na próżno.

– To przecież nie pani wina! – Yngvar znów tyłem schodził ze schodów. – Przepraszam, że przeszkodziłem. Sam dobrze wiem, jak mogą wyglądać takie poranki.

Żona Lukasa, nie mówiąc nic więcej, zamknęła drzwi. Yngvar poszedł do samochodu, który automatycznie się otworzył. Wsiadł i zaczął majstrować przy idiotycznej karcie, która zdaniem fabryki Renault była lepsza niż kluczyk do stacyjki. Wsunął kartę w otwór i wcisnął guzik startu. Nic się nie wydarzyło.

– Nie chcesz, ale i tak musisz. – wyciągnął kartę, z całej siły uderzył nią o tablicę rozdzielczą, po czym powtórzył całą procedurę. Silnik zaskoczył.

Jechał już pięć minut z zamiarem powrotu do centrum Bergen, gdy nagle zdecydował, że pojedzie jednak na Nubbebakken. Wizyta u Lukasa na uniwersytecie mogłaby wypaść zbyt dramatycznie. Skoro Astrid potwierdziła, że stan Erika stale się pogarsza, możliwe, że Lukas postanowił zostać u ojca, mimo że to był zwykły dzień pracy.

Przyspieszył.

Zaczął padać deszcz, a słońce skryte za ciężką pokrywą chmur ledwie barwiło świat szarością.

* * *

Lukas się obudził, bo okno w dachu nie było już czarne, tylko ciemnoszare. Prawa ręka gdzieś mu zniknęła. Ostrożnie wyciągnął ją spod siebie. Pewnie obrócił się w fotelu i przez sen wcisnął ją pod ciało. Gdy wreszcie zaczęła dopływać do niej krew, miał uczucie jakby włożył ją do gniazda os. Mrowiło go i bolało. Skrzywił się, wstając, i zaczął wymachiwać ręką tak mocno, że zaprotestował bark.

Było już dziesięć po dziewiątej, we wtorek, trzynastego stycznia.

O dziewiątej miał być na zebraniu w Instytucie. Spojrzał na wyświetlacz komórki i zobaczył informację o pięciu nieodebranych połączeniach. Trzy telefony od kolegi z pracy, który wybierał się na to samo zebranie, i dwa od Astrid. Byle tylko później nie próbowała dzwonić na domowy numer ojca. Ale chyba nie. Ostatnio nie wytrzymała rozmów z nim.

Przeciągnął się i powyginał na boki, żeby pozbyć się nocnego odrętwienia.

Z dołu nie dochodził żaden dźwięk. Może ojciec wciąż spał.

Zdjęcie siostry leżało pod koszulą tam, gdzie je wsunął, zanim zasnął. Wygięło się lekko w ciągu nocy, ale nie połamało. Zapiął pasek o jedną dziurkę dalej, by je utrzymać na miejscu, po czym stanął na składanym stołku i otworzył właz na dach.

Styczniowy poranek budził przygnębienie.

Wszystko było mokre, wszystkie kolory spały zimowym snem. Na tle całej tej szarości rysowała się czarna sylwetka dębu. Lukas precyzyjnie przycisnął barki przez wąski otwór i podciągnął się na rękach. Kiedy był już na dachu, usiadł, z trudem łapiąc oddech. Mocno oparł się piętami o szczeble drabiny kominiarskiej. Czuł o wiele większy lęk niż wtedy, gdy pokonywał tę trasę jako chłopiec. W połowie drogi do rynny usłyszał nadjeżdżający samochód. Zdrętwiał.

Silnik zgasł, trzasnęły drzwiczki samochodu.

Zgrzytnęła furtka i rozległy się wyraźne kroki prowadzące w kierunku drzwi

wejściowych do domu ojca.

Ten ktoś zadzwonił do drzwi. Lukas słyszał dzwonek z dołu, stłumiony i zniekształcony przez dwa piętra, ale dostatecznie wyraźny. Do tej pory bał się poruszyć choćby oczami. W końcu spojrzął w dół. Z miejsca, w którym siedział, widział akurat mały ganek z kamiennymi schodkami, prowadzącymi do wpuszczonej w beton drucianej wycieraczki.

Od razu się zorientował, kto przyjechał.

W końcu drzwi się otworzyły.

Lukas wstrzymał oddech ze spojrzeniem wbitym w mężczyznę stojącego na dole. Gdyby Yngvar Stubø zadarł głowę, natychmiast by go zobaczył.

Głosy z dołu dochodziły wyraźnie.

– Dzień dobry – powiedział policjant. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale szukam Lukasa. Chciałem z nim porozmawiać o paru szczegółach. Czy jest tutaj?

Głos ojca jak zwykle brzmiał płasko i obojętnie.

– Nie.

– Nie? Rozmawiałem z jego żoną i...

Stubø cofnął się o krok, Lukas zamknął oczy.

– Wobec tego przepraszam. Oczywiście, mogłem zadzwonić. Wszystko u pana w porządku? Czy możemy coś...

– Wszystko w porządku – przerwał głos ojca i drzwi się zatrzasnęły.

Lukas już przemókł do suchej nitki. Płaszcz zostawił w samochodzie, lodowate krople deszczu uderzały go w kark i spływały po plecach. Odruchowo się pochylał, żeby chronić fotografię.

Yngvar Stubø stał pięć metrów od ściany z przekrzywioną głową. Gdy ich spojrzenia się spotkały, policjant kilka razy kiwnął palcem wskazującym prawej ręki. Lekko się uśmiechnął, pokręcił głową i wskazał na furtkę.

Lukasowi robiło się na zmianę to zimno, to gorąco.

Zejscie z dachu zajmie mu trzy minuty. W tym czasie musi wymyślić jakąś niesłychanie dobrą wymówkę. Poza tym ojciec nie może go zauważyć. I tak już wystarczy tłumaczenia się przed Yngvarem Stubø.

Kiedy wreszcie znalazł się na ziemi, zeskoczywszy z grubej gałęzi rosnącej na wysokości prawie dwóch metrów, wciąż jeszcze nie wiedział, co powie. Może prawdę, pomyślał przez moment, ale natychmiast zrezygnował i przemknął wokół domu, żeby spotkać się z policjantem, który czekał za furtką.

* * *

Inger Johanne już dawno zrozumiała, że pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda. Trudno jednak było się pogodzić, że rzeczywistość można zniekształcić do tego stopnia co w artykule, który usiłowała przeczytać, podczas gdy Ragnhild karmiła misia swoim śniadaniem.

– Zobacz! – Dziewczynka z zachwytem wskazała na oblepioną mordkę misia. – Misiak strasznie lubi owsiankę!

– Przestań tak robić – mruknęła Inger Johanne. – Sama jedz.

Wypiła łyk kawy. Ciało wciąż miała ciężkie i senne po zażyciu pigułek, a poza tym czas ją gonił. Mimo to nie była w stanie oderwać się od gazety.

– O czym ty czytasz, mamó?

Ragnhild wepchnęła pyszczek misia do miseczki z owsianką, mlekiem i dżemem truskawkowym. Inger Johanne nawet nie podniosła wzroku. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć pięciolatce wojnę w Strefie Gazy.

– O złych ludziach – odparła w roztargnieniu.

– Żli ludzi idą do więzienia – oznajmiła radośnie Ragnhild. – Tatuś ich łapie i wsadza do mamra.

– Do mamra? – Inger Johanne spojrzała na córkę znad gazety. – Skąd znasz to słowo?

– Mamer, ciupa, areszt, loch i więzienie. Wszystko znaczy to samo. I jeszcze coś, co się nazywa kozamatki.

– Kazamaty – poprawiła ją Inger Johanne. – Kristiane cię tego wszystkiego nauczyła?

– Mhm. – Ragnhild oblizwała pyszczek misia. – A dlaczego piszą o tych złych ludziach?

– To taki wywiad – wyjaśniła Inger Johanne. – Z człowiekiem, który się nazywa... – Spojrzała na zdjęcie Ehuda Olmerta i gwałtownie przerzuciła stronę. – Nie mamy teraz na to czasu – oświadczyła z uśmiechem. – Możesz zacząć myć zęby? Ja zaraz przyjdę i dokończę.

Ragnhild z miskiem pod pachą pomaszerowała do łazienki. Inger Johanne już miała złożyć „Aftenposten”, kiedy wpadła jej w oko zajawka, która kazała jej otworzyć gazetę na stronie piątej.

Sprawa Marianne Kleive wciąż pozostaje zagadką. Do tej pory przesłuchano ponad trzystu świadków.

O tak wczesnej porze najmniej chyba potrzebowała kolejnego okropnego zabójstwa, do którego musiała się ustosunkować. Mimo to nie mogła przynajmniej nie przejrzeć artykułu. Policja wciąż nie miała pewnych śladów w sprawie, a przynajmniej nic takiego, co chciałyby wyjawić. Ale wstępnie udało się ustalić, że do zabójstwa doszło w hotelu. Nic nie

wskazywało na to, by zwłoki przenoszono. Nadkomisarz Silje Sørensen zapewniała, że zabójstwo czterdziestodwuletniej przedszkolanki Marianne Kleive to sprawa, która ma najwyższy priorytet, a w śledztwo w najbliższych dniach zaangażowane zostanie jeszcze więcej sił i środków. Bezwzględnie liczone na rozwiązanie tej sprawy, ale Silje Sørensen już teraz zastrzegła, że to może potrwać. Długo.

Inger Johanne do tej pory świadomie unikała informacji na ten temat. Odkąd znaleziono zwłoki, prędko omijała zarówno krzykliwe tytuły w tabloidach, jak i napisane z większą powściągliwością artykuły w „Aftenposten”. Wspomnienie ślubu siostry już i tak było dostatecznie okropne, nawet gdy nie musiała zmagać się z myślą o tym, że gdzieś w pobliżu Kristiane doszło do zabójstwa.

Nie bardzo rozumiała, co jej kazało przeczytać ten artykuł akurat dzisiaj. Zirytowana rzuciła gazetę.

Nagle pojawiła się maleńka, maluteńka myśl. Ale Inger Johanne jej sobie nie życzyła.

Wstała.

– Nie – powiedziała do siebie stanowczo, zaciskając ręce w pięści. – Nie!

Rezygnując ze sprzątnięcia po śniadaniu, poszła do łazienki, głośno tupiąc, jakby odgłos jej kroków na parkiecie mógł przegonić straszne podejrzenie, które zaczynało w niej kiełkować.

– Teraz mama dokończy – odezwała się niepotrzebnie ostro i chwyciła szczoteczkę tak mocno, że Ragnhild uderzyła w płacz.

– Nie ma o co się mazać, córeczko. Otwórz buzię. *Pani umarła.*

Inger Johanne słyszała głos Kristiane tak wyraźnie, jakby córka stała tuż obok.

– Albertine – powiedziała na głos Inger Johanne. Ona miała na myśli Albertine.

– Nie chcę opiekunki! – krzyknęła Ragnhild i przytrzymała szczoteczkę zębami.

Pani umarła, mamó.

Kristiane powtarzała to wiele razy, gdy zdezorientowaną i zmarzniętą zabrano ze Stortingsgaten w trakcie wesela ciotki.

– Mamó! – krzyknęła Ragnhild przez zaciśnięte zęby. – Boli!

– Przepraszam. – Inger Johanne puściła szczoteczkę, jakby się sparzyła. – Przepraszam, kochanie. Mama jest strasznie niemądra.

Uklękła i objęła dziewczynkę, wcisnęła twarz w jej szyję.

– Teraz mnie udusisz – wykrztusiła Ragnhild. – Nie mogę oddychać, mamó!

Inger Johanne zwolniła uścisk, ale złapała Ragnhild za ramiona. Popatrzyła jej w oczy i zmusiła się do uśmiechu.

– Musisz mi pomóc – powiedziała, z trudem przełykając ślinę. – Pomożesz mamie?
– Taak... – Ragnhild zmarszczyła czoło, jakby usiłowano nakłonić ją do czegoś, czego nie znosiła.

– Kogo Kristiane nazywa panią? – spytała, próbując uśmiechnąć się jeszcze szerzej.

– Wszystkich, których nie zna. Jeśli to nie pany.

– I tych, których nie zna za dobrze, prawda?

– Nie.

– Ależ, tak! Na przykład Albertine. Przecież ona zajmowała się wami najwyżej z pięć czy sześć razy. O Albertine Kristiane też może powiedzieć „pani”, prawda?

Ragnhild zaśmiała się głośno. Łezki na rzęsach zamigotały w świetle łazienkowej lampy.

– Rzeczywiście jesteś niemądra, mamó. Na Albertine Kristiane mówi Albertine. Ale my nie będziemy dzisiaj z opiekunką, prawda? Ty będziesz...

Pani umarła.

– Tak, tak – potwierdziła Inger Johanne, wstając. – Dzisiaj ja się będę tobą opiekować.

Myślami była zupełnie gdzie indziej. To nie ona wyjmowała tabletkę z fluorem i wsuwała ją do ust Ragnhild. To nie Inger Johanne Vik spokojnie wyszła do kuchni po pudełko z kanapkami, nawet nie zerkając na gazetę. Kiedy zbliżała się do schodów prowadzących do wyjściowych drzwi, prawie nie czuła, że trzyma małą, dziecinną rączkę.

Dusza. Nie widać, jak opuszcza ciało.

Świąteczny obiad.

Słowa Kristiane, gdy rozmawiali o śmierci.

– Mamó! – odezwała się Ragnhild cicho, kiedy już włożyła ocieplane kalosze. – Jesteś jakaś dziwna.

Inger Johanne nie potrafiła zdobyć się na odpowiedź.

Ani nawet na uśmiech.

* * *

Yngvar nigdy wcześniej nie widział, żeby Lukas Lysgaard się uśmiechał. Zawsze mu się wydawał bardzo poważnym młodym człowiekiem. Może nic w tym dziwnego, poznali się przecież w tragicznych okolicznościach, ale mimo wszystko wyczuwał w charakterze Lukasa jakąś zadumę, wręcz smutek. Coś, co wcale nie musiało mieć związku ze śmiercią matki.

Teraz młody Lysgaard wyglądał jak podtopiony kot, a krzywy uśmiech wydawał się wręcz idiotyczny.

– Cześć – powiedział, wyciągając rękę, ale zmienił zdanie i ją opuścił. – Cała mokra i zimna, przepraszam.

– Możemy porozmawiać w moim samochodzie. Jest nagrany.

Lukas posłusznie wsiadł do renault.

– No tak – zaczął Yngvar, kiedy już siedział za kierownicą i nawet położył na niej dłonie, ale nie zapalił silnika. – Co to było za ćwiczenie?

Lukas wciąż miał na twarzy ten sam uśmieszek. Bagatelizujący uśmiech nastolatka, który świadczył jedynie o tym, że nie ma pojęcia, co powiedzieć.

– No... – przeciągał. – Chciałem, tylko... Kiedy byłem mały... Zanim przenieśliśmy się do Stavanger, robiłem to kilka razy. Chodziłem po dachu. Pewnie po to, żeby pokazać, jaki jestem twardy. Matka na ten widok kiedyś śmiertelnie się przeraziła. Ale było... fajnie.

– Mhm – pokiwał głową Yngvar. Postu kał palcami w kierownicę. – I to ma tłumaczyć, że tuż przed trzydziestką robi pan to samo w zacinającym styczniowym deszczu, dwa tygodnie po śmierci matki, kiedy pański ojciec jest bliski załamania nerwowego.

Niebo sypnęło nagle gęstym gradem, bębnienie o dach samochodu ogłuszało. Yngvar wykorzystał tę przerwę na uruchomienie samochodu i podkręcenie ogrzewania na maksimum. Nie bardzo zrozumiał działanie ręcznego hamulca, gdy człowiek w punkcie AVIS mu je tłumaczył, trzymał więc stopę na pedale hamulca, jednocześnie wrzucając na luz.

– Lukas, nie chce mi się... – Pociągnął nosem i lekko się obrócił na wąskim siedzeniu. – Nie chce mi się dłużej obchodzić z tobą jak z porcelanową lalką, okej? – Wbił wzrok w młodego Lysgaarda. – Jesteś dorosłym, dobrze wykształconym ojcem trojga dzieci. Od śmierci twojej matki upłynęło już trochę czasu. Mam, prawdę mówiąc, dość tego, że nie odpowiadasz na moje pytania.

– Przecież odpowiedziałem na wszystko...

– Cicho bądź! – wybuchnął Yngvar, nachylając się nad nim. – O mojej cierpliwości wiele już powiedziano. Niektórzy twierdzą, że jestem za dobry. Głupio dobry, mówią czasami. Ale jeśli nawet przez moment ci się wydaje, że cię stąd puszcze, zanim mi wyjaśnisz te akrobacje na dachu, to się grubo mylisz! Cholernie się mylisz!

Szyby zaparowały. Lukas miał usta zamknięte.

– Co robiłeś na dachu? – powtórzył gniewnie Yngvar.

– Musiałem zejść ze strychu.

Yngvar zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że zaczęła drżeć.

– A co takiego robiłeś, do cholery, na strychu, że nie mogłeś jak ludzie zejść stamtąd po schodach?

– To nie ma żadnego związku ze śmiercią matki – mruknął Lukas i spuścił głowę. – Chodzi o coś zupełnie innego. To... to sprawa osobista.

Zaczął dzwonić zębami i cały się skulił.

– To ja zdecyduję, czy to jest sprawa osobista – warknął Yngvar. – A tobie daję dokładnie dwadzieścia sekund na rozsądną odpowiedź. Bo jeśli nie, to niech mnie diabli porwą, ale wsadzę cię za kratki i zatrzymam, dopóki nie zaczniesz współpracować!

Lukas spojrział na niego z niedowierzaniem i chyba z lękiem.

– Szukałem czegoś – szepnął ledwie słyszalnie.

– Czego?

– Czegoś całkiem... czegoś, co... – Zasłonił twarz rękami.

– Fotografii. – Yngvar bardziej skonstatował, niż spytał. – Zdjęcia.

Lukas przestał oddychać.

– Tego, które zwykle stało w sypialni twojej matki – ciągnął Yngvar. – Tego, które tam stało, kiedy do was przyszedłem dzień po zabójstwie, a później zniknęło.

Grad przeszedł w ulewę. Na przedniej szybie eksplodowały wielkie krople. Świat poza samochodem stracił ostrość, zatarły się kontury. Siedzieli jak w kokonie. Yngvar poczuł, że ów dziwny gniew spłynął z niego równie nagle, jak go opanował.

– Skąd pan wiedział? – spytał Lukas, opuszczając ręce na kolana.

– Nie wiedziałem. Domyśliłem się. Znalazł je pan?

– Nie.

Yngvar westchnął i jeszcze raz spróbował usiąść w pozycji, w której mógłby się rozluźnić.

– Czyje to zdjęcie?

– Tego nie wiem. Naprawdę. Naprawdę tego nie wiem.

– Ale ma pan jakąś teorię.

Znów zapadła cisza. Z przeciwka nadjechał samochód, w jego światłach przednia szyba zmieniała się w kalejdoskop żółci i szarości, ale za moment w kabinie znów zapanował półmrok.

Lukas się nie odzywał.

– Mówię całkiem poważnie – stwierdził Yngvar cicho. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby utrudnić panu życie, jeśli natychmiast nie zaczniesz ze mną współpracować.

– Wydaje mi się, że mam siostrę. Że to jej zdjęcie. Mojej starszej siostry.

Dziecko, pomyślał Yngvar. Kilka dni temu też to rozważał.

Zaginione dziecko. Które może wcale nie zginęło.

– Dziękuję – powiedział cicho, ledwie słyszalnie. – Szkoda, że nie znalazł pan tego zdjęcia.

– Niestety. Pewnie ojciec się go pozbył. A co by pan z nim zrobił, gdybym je znalazł?

Po raz pierwszy, odkąd Lukas zszedł z dachu, Yngvar się uśmiechnął. Przeczesał palcami włosy i lekko pokręcił głową.

– Gdybyśmy mieli to zdjęcie, to w niedługim czasie odnaleźlibyśmy pana siostrę. Jeśli wciąż żyje i nie mieszka zbyt daleko od Norwegii. No i jeśli to rzeczywiście pana siostra, bo tego przecież nie wiemy. Nie wiadomo, czy to zdjęcie ma w ogóle jakiś związek z zabójstwem pana matki. Ale mogę pana zapewnić, że poświęciłbym dużo czasu, żeby to sprawdzić.

– Ale co byście... Jak można wykorzystać anonimowe zdjęcie do...

– Mamy ogromne bazy danych. Skomplikowane programy komputerowe. A gdyby nowoczesna technologia zawiodła, to... – Stopa na hamulcu zaczęła mu drętwieć, wrzucił więc jedynkę i zgasił silnik. – Osobiście obszedłbym całe Bergen, pukając od drzwi do drzwi, własnoręcznie rozlepiłbym plakaty w całym kraju, obdzwonił wszystkie stacje telewizyjne i gazety, i na pewno bym ją znalazł, może pan być spokojny.

– Właśnie tak myślałem – kiwnął głową Lukas. – Myślałem, że właśnie tak pan powie. Mogę już iść? Mam samochód kawałek dalej.

Oczy Yngvara zwęziły się, kiedy znów pochwycił spojrzenie Lukasa.

– Tak. Ale proszę nie zapominać tego, co dzisiaj panu powiedziałem. Od tej pory zero tolerancji dla tajemnic. Dobrze?

– Dobrze – mruknął Lukas i otworzył drzwiczki. – Do widzenia.

Wysiadł z samochodu, ale jeszcze się odwrócił i zajął do środka.

– Dziękuję, że mnie pan nie zdradził przed ojcem.

– Nie ma za co. – Yngvar pomachał do niego i znów zapalił silnik, dał znać migaczem, że włącza się do ruchu i pojechał.

Lukas małymi kroczkami pobiegł do swojego samochodu. Przez cały czas trzymał rękę na brzuchu, bo czuł na nim kontury fotografii, którą na razie jeszcze nie miał zamiaru z nikim się dzielić.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

* * *

– Lekcje się jeszcze nie skończyły – powtórzyła Kristiane co najmniej po raz pięćdziesiąty, kiedy wreszcie dotarły do domu. – Lekcje się jeszcze nie skończyły.

– Wiem – powiedziała Inger Johanne spokojnie. – Ale muszę porozmawiać z tobą o czymś bardzo ważnym, córeczko. Dlatego zabrałam cię wcześniej.

– Lekcje się jeszcze nie skończyły – mówiła Kristiane, wchodząc po schodach na górę jak mechaniczna lalka. – Lekcje się kończą o czwartej, wtedy mam jechać do taty. Dzisiaj mieszkam u taty. Lekcje się kończą o czwartej.

Inger Johanne szła za nią w milczeniu. Dopiero w salonie wyciągnęła ręce i oświadczyła wesoło:

– Mama i Kristiane urządzają sobie dzisiaj misiowy dzień. Tylko we dwie. Masz ochotę na gorącą czekoladę z bitą śmietaną?

– Dam-di-rum-ram. – Kristiane siadła na kanapie i zaczęła wolno kołysać się na boki.

Inger Johanne podeszła do córki i usiadła przy niej. Wyciągnęła bluzę i koszulkę ze spodni dziewczynki i powoli zaczęła wodzić palcami po szczupłych, delikatnych plecach. Kristiane się uśmiechnęła i położyła na jej kolanach. Siedziały tak przez kilka minut, wreszcie Kristiane zaczęła śpiewać.

– *Zerwij dziś kwiatów pęk, na tańce biegnij wnet, pod lasem skrzypek już niesie się dźwięk.*

– Śliczna piosenka – szepnęła Inger Johanne.

– *Skwaszoną porzuć twarz, bo młode serce masz...*

Zapadła cisza.

– Śliczna wiosenna piosenka – powtórzyła Inger Johanne. – Wiosenna piosenka w styczniu. Pięknie śpiewasz, córeczko.

– Zaśpiewaj o wiośnie, to przyjdzie radośnie.

Śmiech Kristiane był cieniutki jak szkło. Inger Johanne przeciągnęła palcem od karku w dół po wyraźnie rysującym się pod skórą kręgosłupie córki.

– Łaskocze – uśmiechnęła się Kristiane. – Zrób tak jeszcze raz!

– Pamiętasz ślub cioci Marie?

– Pewnie. Gdzie się podziała Sulamitka?

– Sulamitka całkiem się rozleciała, skarbie, przecież pamiętasz.

Kiedy Kristiane miała rok, dostała nieduży, czerwony samochód strażacki. Od razu zdecydowała, że to kot i nazwała go Sulamitką. Wiernie towarzyszył jej przez ponad osiem lat, z czasem odpadły mu kółka, kolory wyblakły, drabina na dachu gdzieś przepadła, oczy w przednich światłach oślepiły. Mała Sulamitka nie przypominała już ani kota, ani wozu strażackiego, kiedy Yngvar niechcący rozjechał ją na podjeździe. Kristiane była niepocieszona.

– Sulamitka to dobry kotek – powiedziała teraz. – Mogę dostać nowego kota, mamó?
– Mamy przecież Jacka – przypomniała Inger Johanne. – A on niezbyt lubi koty, sama wiesz.

– Jestem niewidzialnym dzieckiem – stwierdziła Kristiane.

Inger Johanne delikatnie muskała cienką skórę na plecach córki.

– Czasami nikt mnie nie widzi.

– Kiedy? – szepnęła Inger Johanne.

– Sulamitka, Sulamatka, Sulaciotka, Sulaswatka.

– Czy to na ślubie Marie nikt cię nie widział?

– Połaskocz mnie jeszcze, mamó.

– Widziałaś wtedy kogoś? Chociaż ten ktoś cię nie widział?

Inger Johanne rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć, co właściwie Kristiane mówiła tamtej nocy w hotelu, kiedy ona sama z przerażenia i wściekłości nie była w stanie zapamiętać czegokolwiek.

– Tam zabito jakąś panią – powiedziała Kristiane, gwałtownie siadając obok matki. – Marianne Kleive. Przedszkolankę. Żonę znanej i wielokrotnie nagradzanej autorki filmów dokumentalnych, Synnøve Hessel. W Norwegii kobiety mogą zawierać małżeństwa. Mężczyźni także.

Nagle znów zaczęła mówić monotonicznie, mechanicznie.

– Za dużo czytasz gazet – uśmiechnęła się Inger Johanne, przytulając córkę.

– Bardzo kochana, szczerze opłakiwana.

– Zaczęłaś czytać nekrologi?

– Krzyż oznacza, że zmarła osoba była wierząca. Gwiazda Dawida oznacza, że zmarły był Żydem. A co oznacza ptak, mamó?

Kristiane wreszcie uniosła głowę i na moment spojrzała matce w oczy.

– Że pragnie się spokoju dla zmarłego – szepnęła Inger Johanne.

– Chcę, żeby na moim nekrologu był ptaszek.

– Ty nie umrzesz.

– Kiedyś umrę.

– To czeka nas wszystkich.

– Ciebie też, mamó.

– Tak, mnie też. Ale do tego jeszcze daleko.

– Nie wiadomo.

Zapadła cisza. Rozmawiały szeptem, przytulone do siebie. Matka obejmowała

drobniutką czternastolatkę ręką jak pasem bezpieczeństwa. Wpadające przez okna ostre światło dzienne zalało salon. Inger Johanne wyczuwała leciutki zarys powiększających się piersi u córki, nieunikniony znak, że również Kristiane przestanie być dzieckiem, chociaż okres dorastania nadszedł późno.

– No tak – przyznała w końcu Inger Johanne. – Tego wiedzieć nie mogę, ale wierzę, że jeszcze długo pożyję. Jestem zdrowa i nie bardzo stara. Widziałaś kiedyś kogoś, kto umarł?

– Ty umrzesz przede mną, mamo.

– Mam nadzieję, że tak. Żaden rodzic nie chce, by jego dzieci umarły wcześniej.

– Kto się będzie wtedy mną opiekował?

Kristiane miała zaledwie kilka godzin, gdy Inger Johanne jako jedyna osoba zorientowała się, że z dzieckiem coś jest nie tak, i od tamtej pory stale zadawała sobie to właśnie pytanie. W myślach powracało do niej nieustannie.

– Będiesz wtedy dorosła, kochanie. Sama się sobą zaopiekujesz.

– Nigdy nie będę mogła sama się sobą opiekować. Nie jestem taka jak inne dzieci. Chodzę do szkoły specjalnej i jestem autystyczna.

– Nie jesteś autystyczna. Jesteś... – Inger Johanne gwałtownym ruchem wyprostowała się i ujęła Kristiane pod brodę. – Nie jesteś taka jak inne dzieci, to rzeczywiście prawda. Jesteś po prostu sobą i bardzo cię kocham właśnie za to. I wiesz co?

Dostała odpowiedź na swój uśmiech. Spojrzenie Kristiane się zatrzymało.

– Ja też nie jestem całkiem taka jak inni. Właściwie wydaje mi się, że każdy tak czuje. Nikt nie czuje się taki sam jak wszyscy. I zawsze będzie ktoś, kto się będzie tobą opiekował. Na przykład Ragnhild. Amund też. Przecież to twój siostrzeniec!

Kristiane roześmiała się swoim kruchym szklanym śmiechem.

– Oni są ode mnie młodszy!

– Ale kiedy ja umrę, będą dorośli i mogą się tobą zająć.

– Widziałam kogoś, kto umarł. Dusza waży dwadzieścia jeden gramów, ale nie widać, jak opuszcza ciało.

Inger Johanne milczała. Wciąż trzymała Kristiane pod brodę, ale spojrzenie dziewczynki znów zwróciło się w głąb, ku miejscu, do którego nikt nie potrafił dotrzeć, a głos nabrał mechanicznej barwy, gdy podjęła:

– Marianne Kleive, czterdzieści dwa lata, zmarła dziewiętnastego grudnia 2008 roku. Biskup Eva Karin Lysgaard, bardzo kochana, szczerze opłakiwana, odeszła od nas nagle w Wigilię 2008 roku. Pogrzeb odbędzie się w późniejszym terminie. Krzyż oznacza, że była wierząca.

– Przestań – szepnęła Inger Johanne i nagle przyciągnęła córkę do siebie. – Przestań już.

Była akurat dwunasta. Ostre styczniowe słońce przesłoniła przesuwająca się po niebie chmura. W salonie na chwilę zapadł przyjemny półmrok. Inger Johanne zamknęła oczy, ściskając córkę i lekko ją kołysząc.

– Jestem niewidzialnym dzieckiem – powiedziała Kristiane.

Lęk

Może nigdy nie powinien mieć dziecka.

Już na samą myśl kwas żołądkowy przeżerał dwunastnicę. Uniósł kolana i położył obie ręce tam, gdzie w młodości wyczuwał ostatnie żebra. Teraz, chociaż leżał na plecach, znajdował tam jedynie miękkość. Miękki i stanowczo za duży brzuch, w którym pod warstwą tłuszczu czaił się kłujący ból.

Całe życie Marcusa Kolla kręciło się wokół syna.

Praca, firma, duża rodzina. Bez Małego Marcusa wszystko traciło swoją wartość. Kiedy Rolf wszedł w ich życie, byli tylko we dwóch z synem. Wkrótce jednak we trzech stali się rodziną. Rodziną, którą Marcus gotów był chronić za wszelką cenę. Ale chłopiec był i pozostał osiłą w rodzinnym kole Marcusa Kolla.

Mały Marcus szybko zaakceptował Rolfa. Miłość była obustronna. Po pewnym czasie Rolf spytał, czy nie mógłby adoptować pasierba.

W końcu porzucił ten temat.

Marcus nigdy nikomu nie zwierzał się ze swoich młodzieńczych marzeń.

Zawsze pragnął mieć dziecko.

Był silnym chłopcem. Zerwanie z ojcem wymagało siły. Zdumiewająco niewiele kosztowało go ujawnienie prawdziwego siebie. Jako nastolatek wydawał się niekiedy uparty i samowolny, ale gdy dorósł, stał się bystrzejszy i bardziej elastyczny. Upór zmienił się w dążenie do celu. Wyniosłość w dumę. Swoją odmienność przyjmował z autoironią i nigdy nie czuł potrzeby przyłączenia się do homoseksualnych środowisk, które, jak wiedział, istniały zarówno w Bergen, gdzie studiował, jak i w Oslo, gdy z dyplomem Wyższej Szkoły Handlowej wrócił do domu. Przeciwnie, uwodzenie tych, którzy go pociągali, zawsze traktował jako wyzwanie. Dopóki nie spotkał Rolfa, podrywał wyłącznie heteroseksualistów. Ich wcześniejsze związki z kobietami w głębi ducha wprawiały go w dumę. Ale z tego, że później powracali do swego heteroseksualnego życia, nie potrafił już się tak cieszyć.

Marcus Koll jr. był nietypowym gejem jak na swoje czasy.

Poza tym ponad wszystko pragnął mieć dziecko. Jedyny żal, jaki poczuł, gdy jako szesnasto-, siedemnastolatek podjął decyzję, że nie będzie dłużej udawał kogoś innego, wiązał się z tym, że w przyszłości nie będzie miał potomstwa. Z tego smutku nigdy się nikomu nie zwierzał. Matka jednak to dostrzegła, bo matki niekiedy lepiej potrafią zrozumieć swoje dzieci niż one same. Nie rozmawiali jednak o tej pustce w sercu Marcusa, o tęsknocie za własnym dzieckiem, które mógłby kochać.

Przez wiele lat Marcus Koll był jednak zadowolonym młodym człowiekiem.

Wiodło mu się dobrze i nigdy nie czuł, by jego orientację wykorzystywano przeciwko niemu. Ani w pracy, ani wśród przyjaciół czy kolegów. Stanowił alibi ich politycznej poprawności. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych jawny homoseksualizm nie był wcale rzeczą zwyczajną, zatem jego obecność w życiu innych ludzi dawała im w pewnym sensie coś, czym mogli się chwalić.

Żył mu się tak dobrze, że nawet nie zauważył pierwszych oznak zmęczenia. Będąc lubianym, nie rozumiał, ile sił poświęca na uzyskanie akceptacji swojej inności. W na wskroś normalnym, heteroseksualnym życiu, jakie prowadził, z tym jednym małym odchyleniem, że chodził do łóżka z mężczyznami i na ten temat nie kłamał, na jego duszy zaczęły powoli powstawać drobnutkie ryski, prowadzące do wywołanego zmęczeniem załamania, którego nadejścia nie zauważał.

Potem przyjaciele zaczęli mieć dzieci.

Marcus Koll też pragnął dziecka.

Zawsze tak było.

W końcu podjął decyzję.

Wkrótce po przejęciu zarządzania dawnymi spółkami ojca pojechał do Kalifornii zawrzeć umowę z zastępczą matką i dawczynią jajeczka. Przyszłość rysowała się przed nim kolorowo, został pobłogosławiony pieniędzmi, a ponadto liczne wyjazdy do Stanów w następnym roku mógł tłumaczyć interesami.

W pewien późny styczniowy wieczór 2001 roku po prostu zjawił się u matki z chłopczykiem w objęciach. Zrozumiała wszystko, gdy tylko otworzyła drzwi, i wybuchnęła płaczem. Delikatnie wzięła na ręce nowego wnuka, przycisnęła go do piersi i weszła w głąb wielkiego mieszkania, które dostała od synów i córki, gdy tak nagle się wzbogacili. Do tej pory nie mogła się przyzwyczaić do tego miejsca, ale gdy Marcus stanął w drzwiach z synkiem, usiadła na luksusowej, nigdy nieużywanej kanapie, wtuliła nos w policzek chłopczyka i szepnęła ledwie słyszalnie:

– Babcia jest teraz w domu, malutki. Nareszcie babcia jest w domu. A ty jesteś w domu u babci.

– On ma na imię Marcus – powiedział Marcus, a matka nie przestawała płakać. – Ale nie po mnie, tylko po dziadku.

O utracie Małego Marcusa nie potrafił nawet pomyśleć.

Może w ogóle nie powinien mieć dziecka.

– Nie śpisz? – mruknął Rolf, przewracając się w łóżku. – Która godzina?

– Śpij, śpij – szepnął Marcus.

– A ty dlaczego nie śpisz? – Rolf położył się na boku, głowę oparł na łokciu. – Budzisz się właściwie co noc – powiedział i ziewnął przeciągle.

– Wcale nie. Śpij!

Jedynie blask elektronicznych cyfr budzika umożliwiał dojrzenie czegokolwiek w pokoju. Marcus wpatrywał się we własne dłonie. W ciemności skóra nabrała zielonkawego odcienia. Spróbował się uśmiechnąć.

Lęk pojawił się wraz z synem. Odmienność, bezdyskusyjny fakt, że nie jest i nigdy nie będzie taki jak inni, stała się wyraźniejsza. Zawsze mu się wydawało, że ochrona samego siebie jest łatwa. Kiedy w jego życiu pojawił się syn, poczuł bezsilność w zetknięciu z uprzedzeniami, do których wcześniej odwracał się plecami z przekonaniem, że to jedynie szczątki minionego czasu. Zawsze uważał, że świat posuwa się naprzód. Odkąd miał Małego Marcusa, od czasu do czasu nękało go wrażenie, że rozwój społeczny posuwa się jednak nieprzewidywalną asymetryczną krzywą, której trudno dotrzymać kroku. Radość i miłość do chłopca przesłaniały wszystko. Lęk, że nie będzie mógł go ochronić przed złem i uprzedzeniami świata, szarpał do bólu. Potem pojawił się Rolf i wiele się poprawiło. Nigdy jednak nie było całkiem dobrze. Marcus wciąż czuł się jak człowiek naznaczony w każdym rozumieniu tego słowa. Rolf mimo wszystko oznaczał siłę i szczęście, a Małemu Marcusowi żyło się fantastycznie. To było najważniejsze, więc Marcus z czasem postanowił ukrywać okresy bezsilności i depresji. Stawały się zresztą coraz rzadsze.

Dopóki Georg Koll, jego przeklęty zmarły ojciec po raz ostatni nie zagrał mu na nosie.

– Co się dzieje? – spytał Rolf, jeszcze przytomniejszy.

Kołdra częściowo się z niego zsunęła. Był nagi i dalej leżał na boku, z jednym kolanem podciągniętym, drugą nogą wyprostowaną. Nawet w słabym świetle wyraźnie rysowały się mięśnie brzucha.

– Nic.

– Przecież widzę.

Kołdra zaszeleściła, gdy niecierpliwie naciągał ją na atletycznie zbudowane ciało.

– Dlaczego nie możesz mi powiedzieć? Ostatnio naprawdę dziwnie się zachowujesz. Jeśli to coś z pracą, o czym nie możesz mówić, to powiedz przynajmniej tyle. Nie może być tak, że...

– Naprawdę nic się nie dzieje. – Marcus obrócił się na bok. – Śpijmy już.

Słyszał, że Rolf się nie rusza, i czuł jego świdrujące spojrzenie na plecach.

Powinien porozmawiać z Rolfem już wtedy, gdy pojawił się problem. Dopiero teraz, po tylu miesiącach zamartwiania się, przyszło mu do głowy, że nawet nie rozważył możliwości podzielenia się problemem z mężem. Zaszokowało go to. Rolf był jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich znał. Na pewno znalazłby jakieś wyjście. Spokojnie przeanalizowałby sytuację i dyskutując, wymyśliłby rozwiązanie. Rolf miał pogodne usposobienie, był optymistą i niewzruszenie wierzył, że wszystko, nawet najmroczniejsza tragedia, ma też swoją jasną stronę. Trzeba tylko poświęcić czas na jej odnalezienie.

Oczywiście, że powinien wtedy porozmawiać z Rolfem.

To pierwsza rzecz, jaką powinien zrobić.

Razem daliby sobie radę ze wszystkim.

Rolf wciąż leżał nieruchomo. Marcus utkwiał spojrzenie w zegarku. Mrugnął, kiedy cyfry z 3.07 zmieniły się w 3.08.

Nagle nabrał powietrza i zaczął szukać słów, pozwalających przekazać bolesną historię, którą powinni znać obaj już dawno.

Zanim je znalazł, Rolf się odwrócił.

Leżeli zwróceniu do siebie plecami.

Zaledwie kilka minut później Rolf oddychał już ciężko i równo.

A Marcus nagle zrozumiał, dlaczego jest za późno na powiedzenie Rolfowi czegokolwiek: on by mu nigdy nie wybaczył.

Nigdy.

Gdyby zwierzył się swojemu partnerowi, skończyłoby się całe to życie, które Marcus znał i kochał. Straciłby nie tylko Rolfa, ale i Małego Marcusa. Przeszył go lęk. Leżał, nie śpiąc, dopóki cyfry budzika nie zmieniły się w końcu z 6.59 na 7.00.

* * *

Inger Johanne obudziła się nagle, mokra od potu. Pościel kleiła się do ciała. Spróbowała uwolnić się od tych lepkich objęć, ale tylko zaplątała stopy w otwór poszwy. Poczula się schwyтана w pułapkę i żeby się uwolnić, zaczęła rozpaczliwie wierzgać nogami.

Poszwa się rozdarła, ale Inger Johanne w końcu się oswobodziła. Usiłowała sobie przypomnieć, jaki koszmar mógł jej się przyśnić.

Mózg miała całkowicie pusty.

Dłonie jej drżały, gdy sięgała na nocną szafkę po szklanekę z wodą. Opróżniła ją do dna, a kiedy chciała odstawić, szklanica upadła na podłogę. Inger Johanne zamknęła oczy, krzywiąc się, jakby tym mogła coś powstrzymać, ale zaraz sobie przypomniała, że Kristiane jest u Isaka. Ragnhild o tej porze nigdy się nie budziła.

Wciąż ciężko oddychała, gdy ponownie kładła się na poduszkę i próbowała rozluźnić.

Mimo że poprzedniego wieczoru rozmawiała z Yngvarem ponad dwadzieścia minut, nie powiedziała mu o rozmowie z Kristiane. Isakowi też o niczym nie wspomniała, gdy dość zirytowany przyjechał po lekcjach. Zapomniała go uprzedzić, że zabrała Kristiane wcześniej wbrew wszelkim planom i ustaleniom. Kiedy wszedł po schodach, z rzadkim u niego mrokiem w spojrzeniu, powiedziała tylko, że wzięła wolne i wyjątkowo postanowiła skorzystać z okazji, by spędzić trochę czasu tylko z Kristiane.

Oczywiście przeprosiła go. Isak jak zwykle wszystko zaakceptował i już w pogodnym nastroju zabrał córkę do siebie.

Kristiane była świadkiem czegoś, co miało związek z Marianne Kleive. To pewne. W każdym razie musiała tamtego wieczoru widzieć zmarłą. Mimo to Inger Johanne nie bardzo wiedziała, co powiedzieć Isakowi i Yngvarowi. Córka nie mówiła wprost, co się wydarzyło, decydująca była mowa ciała i wyraz twarzy Kristiane, dobór słów i ton głosu.

A więc to, z czego wyśmiewał się Isak i nad czym Yngvar ze źle skrywaną rezygnacją kręcił głową.

Nawet gdyby któryś z nich, czy, wbrew wszelkim przewidywaniom, obaj doszli do wniosku, że Inger Johanne ma rację, przynajmniej Yngvar nalegałby na jak najszybszy kontakt z policją. Isak prawdopodobnie też. Pod wieloma względami był dobrym ojcem, ale nigdy nie zrozumiał, jak bardzo krucha jest Kristiane.

A dziewczynka z pewnością nie zniosłaby obcych ludzi wdzierających się w jej świat i wypytujących o coś, co w taki czy inny sposób najwyraźniej zdołała w sobie zamknąć. Wyjaśnienie zbrodni jest oczywiście ważne, ale ważniejsza jest Kristiane.

Inger Johanne musiała sobie z tym poradzić sama.

Puls miała już spokojniejszy. Od nocnych potów zrobiło jej się teraz zimno i zdecydowała, że musi zmienić pościel. Wyjęła czysty komplet i w ciągu czterech minut zręcznie przygotowała suche, chłodne łóżko. Kołdry Yngvara nie chciało jej się zmieniać. Dziwnie wyglądały dwa różne wzory poszwy, ale ta druga mogła zaczekać do jutra.

Położyła się z powrotem i zamknęła oczy.

Nie czuła się ani trochę senna. Obróciła się. Próbowwała myśleć o czymś innym.

Kristiane zobaczyła coś strasznego. Zbrodnię albo jej skutek.

Ktoś obserwował Kristiane.

Znów zmieniała pozycję, puls jej przyspieszył.

Nagle usiadła. To nie mogło dłużej trwać. Tu i teraz nic nie działo. O tej porze nie mogła do nikogo zadzwonić, a poza tym Kristiane była bezpieczna u Isaka. W jakiś sposób musi przetrwać tę noc.

Jutro porozmawia z Yngvarem.

Podjęcie decyzji ją uspokoiło.

Poprosi, żeby Yngvar wrócił do domu. Nie będzie wcale musiała się tłumaczyć dlaczego, on i tak po jej głosie pozna, że powinien przyjechać. Yngvar wróci z Bergen, a wtedy ona mu wszystko opowie.

Ale przecież nie mogła mu nic powiedzieć. Jeśli uwierzy w jej lęki, Kristiane może się stać krzywda.

Nie była już w stanie tego wytrzymać. Sięgnęła po poduszkę Yngvara, położyła ją sobie na brzuchu i objęła mocno, niczym jedno z dzieci.

Mogła wstać i pracować.

Nie.

Na nocnej szafce leżały trzy książki, wzięła jedną, odnalazła zagięty róg i zaczęła czytać. *Droga* Cormaca McCarthy'ego ani trochę jej nie uspokoiła. Po trzech stronach zamknęła i książkę, i oczy.

Mózg pracował na wysokich obrotach, a fizycznie czuła się źle.

Yngvar od dawna nalegał na telewizor w sypialni. Żałowała teraz, że nie ustąpiła. Pewnie i tak nie byłaby w stanie się skupić, ale bardzo chciała usłyszeć jakieś głosy. Przez chwilę miała nawet ochotę zbudzić Ragnhild. W końcu włączyła radio w budziku. Było nastawione na NRK P2 i pokój wypełniła muzyka klasyczna, równie smutna jak apokaliptyczna powieść McCarthy'ego. Kręciła gałką, dopóki nie trafiła na lokalną stację, w której przez całą noc puszczano pop z listy przebojów, i podkręciła głośność na tyle, na ile wystarczyło jej odwagi. Sąsiedzi mieli sypialnię bezpośrednio pod nimi.

Na podłogę upadła gazeta „Dagens Næringsliv”.

Schyliła się po nią. Było to dzisiejsze wydanie, którego nie czytała. Wiedziała, że nie znajdzie tam nic szczególnie interesującego, zarówno główny artykuł, jak i pozostałe zajawki dotyczyły kryzysu finansowego. Do tej pory zapaść na światowym rynku finansowym ani

trochę jej nie obchodziła, chociaż nie miała ochoty się do tego przyznawać. Oboje z Yngvarem pracowali w sektorze publicznym, nie groziła im utrata pracy, a odsetki kredytu spadały. Już czuli, że ich sytuacja finansowa się poprawia.

Zaczęła, jak zwykle, od ostatniej strony.

Główny artykuł w części „Po giełdzie” dotyczył Niclasa Wintera, zmarłego artysty tworzącego instalacje. Inger Johanne widziała kilka jego prac, szczególne wrażenie zrobiło na niej *Vanity Fair, reconstruction*. W pewną niedzielę całą rodziną wybrali się do miasta i godzinę spędzili wśród instalacji Niclasa Wintera na Kei Ratuszowej. Kristiane była nimi głęboko zafascynowana, Ragnhild bardziej interesowały mewy i fontanna, Yngvar natomiast prychał i kręcił głową nad tym, że coś takiego w ogóle nazywa się sztuką.

Okazało się, że artysta nie ma żadnych spadkobierców.

Matka i dziadkowie nie żyli. Rodzeństwa nie miał, podobnie jak jego matka. Po prostu nie było nikogo, kto mógłby odziedziczyć ten całkiem ładny majątek, jaki Niclas Winter nieświadomie zostawił. Okazało się, że oprócz gotowej instalacji zatytułowanej *I was thinking of something blue and maybe grey, darling* w atelier zmarłego artysty znajdują się jeszcze cztery duże dzieła.

Znawcy sztuki szczególnie panegirycznie wyrażali się o pracy zatytułowanej *CockPitt*, homoerotycznym hołdzie dla męża Angeliny Jolie. Podobno ktoś już anonimowo zadeklarował chęć zakupu dzieła za cztery miliony. Źródło gazety twierdziło, że to sam aktor chciał je mieć dla siebie.

Mimo kryzysu finansowego okazało się, że na dzieła Niclasa Wintera, teraz, gdy ich twórca już nie żył, nikt nie skąpi pieniędzy. Firma Statoil Hydro już zaczęła się domagać rzeźby, z której zrezygnowała, i nie ustępowała, dopóki zarządca masy spadkowej nie natknął się na zerwany kontrakt. Jego wstępna i bardzo szacunkowa ocena wartości prac kształtowała się na poziomie piętnastu-dwudziestu milionów, może nawet więcej. W artykule ironicznie podkreślano, że Niclas żył dzięki marnym pożyczkom i dobrej woli mecenasów, a dopiero po śmierci został zamożnym człowiekiem. Nie był to los niezwykły dla artystów, przypominał przedsiębiorca, a zarazem kolekcjoner, Christen Sveaas, który sam miał dwie mniejsze instalacje autorstwa Niclasa Wintera w swoich obszernych zbiorach w Kistefos i z zadowoleniem mógł odnotować wzrost wartości obydwu.

Z ramki obok artykułu wynikało, że Niclas też miał swoje demony. Żył z HIV utrzymywanym w szachu dzięki lekom. Odkąd skończył osiemnaście lat, trzykrotnie przebywał w klinice odwykowej. Ostatni pobyt przed czterema laty przyniósł rezultaty. Od tego czasu powstały najlepsze prace artysty, a dwóch jego współpracowników dawało wyraz

wielkiemu zdziwieniu, że Niclas znów wrócił do heroiny. Stał w obliczu wielkiego międzynarodowego przełomu, a szczególnie w ciągu ostatnich dwóch tygodni przed śmiercią sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, wręcz szczęśliwego. Ponieważ poprzednie załamania były następstwem kryzysu twórczego, nie dawało się zrozumieć, dlaczego znów sięgnął po narkotyki.

Inger Johanne czuła, że oddycha spokojniej, i rzeczywiście zaczęła się robić senna. Czytanie o nieszczęściu innych czasami pozwalało spojrzeć na własne życie z innej perspektywy. Upuściła gazetę na kołdrę i zamknęła oczy.

Kristiane jest bezpieczna, pomyślała, wreszcie czując, że przychodzi sen.

Bała się nawet odwrócić czy zgasić światło, chciała jedynie zapaść się w ciemność pod powiekami i spać, tylko spać.

Kristiane jest bezpieczna u Isaka, a ja jutro porozmawiam z Yngvarem. Wszystko dobrze się skończy dla nas wszystkich, powtarzała w myślach.

Kiedy się obudziła cztery godziny później, gazeta wciąż leżała przed nią na kołdrze, otwarta na historii zmarłego artysty Niclasa Wintera.

* * *

– Widziałeś ten artykuł?

Adwokat Kristen Faber niechętnie oderwał wzrok od dokumentów i wziął gazetę od sekretarki.

– O co chodzi? – mruknął, próbując zjeść resztę drożdżówki, za bardzo przy tym nie krusząc.

Delikatne płatki tłustego ciasta i masy migdałowej pokryły jednak gors koszuli, adwokat wychylił się więc do przodu i strzepnął okruchy, by nie zostawiły tłustych plam.

– To nie jest wczorajsza gazeta?

– Owszem – przyznała sekretarka. – Jak zawsze zabrałam ją do domu i wtedy to znalazłam. Nic dziwnego, że twój klient nie przyszedł. Umarł.

– Kto?

Adwokat żuł najdyskretniej, jak potrafił, jedną ręką trzymając gazetę przed sobą.

– Aha, ten – powiedział z pełnymi ustami. – O rany! Chyba był dość młody, prawda?

– Jak przeczytasz ten artykuł – oświadczyła sekretarka z wyniosłym uśmiechem – to...

– Ja nigdy nie czytam „Po giełdzie”. Zobaczmy. Niclas Winter, no tak. Aha, przedawkował. Biedaczysko. Wygląda na to, że... – Teraz adwokat przestał żuć. – O cholera! On był znany! W życiu o nim nie słyszałem. Tyle tylko, że miał w przyszłości być moim

klientem.

Kiedy odłożył gazetę na biurko, sekretarka poszła po szczotkę i szufelkę. Faber czytał dalej, gdy ona tymczasem zmiała podłogę wokół niego. Zanim skończył, zdążyła jeszcze wynieść szczotkę i wrócić z termosem pełnym świeżej kawy.

– To twoje śniadanie nie jest najzdrowsze – orzekła pogodnie i nalała mu kawy do filiżanki. – Powinieneś jeść przed wyjściem z domu. Ciemny chleb albo płatki, a nie drożdżówki, pożałuj boże. Kiedy ostatnio na przykład wypileś szklankę mleka?

– Gdybym potrzebował w kancelarii matki, to bym zatrudnił własną. Gdzie ta cholerna sprawa?

Już zaczął przerzucać stos bieżących teczek. Był pewien, że nim wyszedł do domu wykapać się po męczącej podróży z Barbados, położył na stosie z lewej strony biurka brązową, zapieczętowaną kopertę. Teraz nigdzie nie mógł jej znaleźć.

– Cholera! Za kwadrans mam być w sądzie. Możesz spróbować odszukać tę sprawę? To zaklejona koperta. Z przodu napisane jest tylko „Należy do Niclasa Wintera”, a pod spodem numer osobisty.

Wstał, narzucił marynarkę i już wychodząc, sięgnął po neseser.

– I nie otwieraj jej, Vera. Sam chcę mieć tę przyjemność.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem, a potem w kancelarii adwokata Kristena Fabera znów zapadła cisza.

* * *

Astrid Tomte Lysgaard nie bardzo wiedziała, czy lubi ciszę, która zapadała w domu, kiedy Lukas był w pracy, a dzieci w przedszkolu i w szkole. Żadna z jej przyjaciółek nie została gospodynią domową i w domu spędzały jedynie obowiązkowy rok po każdym porodzie. Miała jednak wrażenie, że większość zazdrości jej tego spokoju, który, ich zdaniem, ogarniał dom codziennie między pół do dziewiątej a piętnaście po czwartej.

Ona też długo tak czuła.

Codziennie prace domowe rzadko zajmowały jej więcej niż trzy godziny, często nawet mniej. Wprawdzie to również ona zawoziła i przywoziła dzieci, robiła też wszystkie zakupy, ale zostawało jej jeszcze dużo wolnego czasu. Czytała. Lubiła spacerować. Dwa razy w tygodniu trenowała w Nautilusie na Idrettsveien. Z rzadka czuła powiew nudy, a i tak nigdy nie trwał długo. Dzięki temu, że wszystko miała zrobione i obiad stał na stole, kiedy Lukas wracał do domu, popołudnia były spokojniejsze, wspólne życie przyjemniejsze, związki rodzinne o wiele lepsze. Mogli poświęcać czas dzieciom zamiast obowiązkom domowym, a

Lukas codziennie okazywał jej wdzięczność za to, że na takie właśnie rozwiązanie się zdecydowała.

Po śmierci teściowej wszystko się zmieniło.

Lukas przeżywał żalobę w sposób, który ją przerażał.

Wydawał się taki daleki.

Mechaniczny.

Niewiele się odzywał i potrafił warknąć, nawet na dzieci. Zwykle to on odrabiał lekcje z najstarszym, a teraz nie umiał się skoncentrować nawet na programie drugiej klasy podstawówki. Zabrał się natomiast do sprzątnięcia garażu, w którym chcieli powiesić nowe półki wzdłuż całej wewnętrznej krótszej ściany. Zajmował się tym co wieczór w lodowatym zimnie. Kiedy wreszcie wracał do domu, w milczeniu zjadał kolację i kładł się spać, nawet nie dotykając żony.

W domu było tak cicho, że źle się z tym czuła.

Postawiła żelazko na sztorc i podeszła do okna, żeby włączyć stojące na parapecie radio. Kolejny smutny dzień cisnął się do mokrych szyb. Niechby w końcu przestało padać. Styczeń zawsze był takim smutnym miesiącem, ale w tym roku zapowiadał się jeszcze gorzej niż zwykle. Dokuczało jej niskie ciśnienie i już od kilku dni nie ustawał lekki ból głowy.

Teraz przybrał na sile. Czuła klucie w obu skroniach. Próbowwała lekko je rozmasować. Nie pomogło. Zdecydowała, że przyniesie sobie z łazienki dwie tabletki paracetamolu i dopiero potem skończy prasowanie.

W zamykanej na klucz apteczce nie było jednak żadnych środków przeciwbólowych. Zrozpaczona szukała wśród plastrów z Asteriksem i Flux, tabletek z fluorem, buteleczek ze środkiem odkażającym Pyrisept i płynem do płukania ust Vademecum. Nie znalazła nic przeciwbólowego z wyjątkiem czopków dla dzieci.

Ból głowy jakby się wzmógł przez to, że nie miała tabletek.

Lekarstwo Lukasa na migrenę, pomyślała.

Ono na pewno pomoże.

Problem w tym, że tych tabletek nie było w apteczce. Lukas uznał, że zamek jest zbyt prosty, a silne leki mogą być niebezpieczne dla ciekawskiego i obdarzonego zręcznymi palcami ośmiolatka, przechowywał więc pudełko zamknięte w szufladzie wielkiego biurka w swoim domowym gabinecie. Astrid wiedziała, gdzie jest klucz: za pierwszym wydaniem *W osiemdziesiąt dni dookoła świata*, które Lukas dostał od rodziców na dwudzieste urodziny.

Nigdy wcześniej nie otwierała szuflady Lukasa. I teraz, zanim wsunęła klucz do zamka, też się zawahała.

Ale przecież nie mieli przed sobą żadnych tajemnic.

Może mimo wszystko powinna zadzwonić i spytać.

Pomyślała jednak, że w końcu jest jej mężem, a ona chce tylko wziąć tabletkę. Lukas nigdy jej nie zabraniał zaglądać do szuflady. Dalecy byli od zabrania sobie czegokolwiek.

Z ledwie słyszalnym trzaśnięciem zamek puścił. Astrid wyciągnęła szufladę i wtedy zobaczyła zdjęcie. Zdjęcie kobiety. Musiało być stare. Najpierw przyglądała mu się z daleka, w końcu ostrożnie wzięła je do ręki i podsunęła pod mocniejsze światło biurkowej lampy.

Twarz na zdjęciu miała w sobie coś znajomego, tyle że Astrid nie potrafiła określić, co to było. Kształt twarzy i prosty nos przypominały trochę Lukasa, ale to musiało być przypadkowe podobieństwo. Poza tym kobieta na zdjęciu miała trochę dziwnie ustawione zęby. Jedna jedynka lekko zachodziła na drugą, ale pewnie zdarza się to u wielu osób. Na przykład u Lill Lindfors, mówiła Lukasowi zwykle, kiedy byli bardzo młodzi i bardzo w sobie zakochani.

Chociaż nie miała pojęcia, kim jest kobieta na fotografii, odniosła dziwne wrażenie, że gdzieś już widziała to zdjęcie. Tylko gdzie. Nagle uświadomiła sobie, że ból głowy minął. Szybko wsunęła zdjęcie na miejsce, zamknęła szufladę, a klucz odłożyła tam, gdzie zwykle był schowany.

Wychodząc z gabinetu Lukasa, ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, jakby popełniła jakieś przestępstwo.

* * *

Smutny stos niewyjaśnionych przestępstw wprawiał Silje Sørensen w przygnębienie. Na biurku ledwie mieściła się filiżanka z kawą, chociaż wszystkie papiery leżały w starannie uporządkowanych teczkach. Silje usiadła na krześle, odsunęła plik wycinków z gazet i na ich miejsce postawiła filiżankę, a potem zaczęła wszystko przeglądać.

Musi od nowa określić hierarchię ważności spraw.

Stale się nawarstwiały.

Organizowane przez związek zawodowy policjantów mniej lub bardziej legalne akcje i protesty przeciwko złym warunkom pracy, niskim pensjom, brakowi etatów i zagrożonym systemom emerytalnym doprowadziły w ciągu ostatniego roku do zaostrzenia stosunków między państwem a policją. Funkcjonariusze nie chcieli brać tylu nadgodzin co kiedyś. Sprawy nie toczyły się równie szybko. Ponad jedenaście tysięcy członków związku powoli zaczynało mieć inne priorytety. Wprawdzie konkretnych liczb jeszcze nikt nie opracował, ale już w styczniu wyglądało na to, że procent wykrywalności w roku 2008 w stosunku do

poprzedniego roku radykalnie się zmniejszył. Policjanci głośniejszy powoływali się na prawo do czasu wolnego i częściej chorowali, czasami te choroby miały dziwnie zespolony charakter, a często atakowały przed weekendami, kiedy to spodziewano się wyjątkowych wyzwań dla egzekutorów prawa.

Przestępcom więc ogólnie było łatwiej.

Społeczeństwo czuło się coraz mniej bezpieczne. Policja, która zawsze zajmowała dość wysokie miejsce na barometrze wiarygodności, traciła sympatię opinii publicznej. Gazety coraz częściej pisały o ofiarach przemocy, które nie zgłosiły sprawy, bo ich lokalny posterunek był nieobsadzony, o zamkniętych w soboty i niedziele urzędach lensmana i o ofiarach włamań, które musiały czekać kilka dni, by policja przyszła zabezpieczyć ślady, jeśli w ogóle się pojawiła.

Silje Sørensen była członkiem związku, ale już dawno zrezygnowała z obliczania przepracowanych godzin nadliczbowych. Jedyłą skalą, jaką się posługiwała, były reakcje w domu. Gdy nad synami nie dawało się już zapanować, a mąż robił się małomówny, starała się więcej czasu spędzać z rodziną. Poza tym wymykała się do pracy poza stałymi godzinami tak często, jak tylko mogła.

Dla jedynej córki bogatego armatora nie było ani trochę oczywiste, że może iść do szkoły policyjnej. Matka, kiedy się dowiedziała, jaki zawód wybrała Silje, przeżyła szok i wpadła w histerię. Trwało to przez cały pierwszy rok akademicki. W końcu rodzice wydali fortunę na szkoły z internatem w Szwajcarii i Anglii, a Silje teraz chce poświęcić przyszłość pracy w sektorze publicznym! Ale skoro już zamierza brudzić sobie ręce kontaktami ze złodziejami i jeszcze gorszymi przestępcami, dlaczego, na miłość boską, nie może zostać adwokatem? Albo chociaż prokuratorem?

Właśnie na takiej reakcji Silje zależało, bo ojciec uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło, kiedy oznajmiła, że przyjęto ją do wyższej Szkoły Policyjnej.

Jako dziecko i nastolatka Silje Sørensen nigdy się nie buntowała. Nigdy nie protestowała. Nawet wtedy, gdy jako dziesięcioletka musiała wyjechać za granicę, a z rodzicami mogła widywać się jedynie w wakacje. Nie protestowała, gdy latem tego roku, kiedy skończyła piętnaście lat, musiała spędzić dwa miesiące we francuskiej szkole językowej w Szwajcarii, w której dzień zaczynał się pół do siódmej rano, a katolickim zakonnikom nieobce były metody karania przypuszczalnie zakazane przez Konwencję Genewską. Silje nie sprzeciwiła się ojcu nawet wtedy, gdy zdecydował, że pięć lat szkoły ma przerobić w dwa i pół; zrobiła licencjat na anglistyce, nim skończyła dziewiętnaście lat. Kiedy osiągnęła pełnoletniość, w nagrodę za jej milczącą cierpliwość i wyjątkową pracowitość, ojciec

przekazał jedynej córce ponad połowę majątku.

Wyższa Szkoła Policyjna była pierwszą świadomą akcją protestacyjną Silje Sørensen.

Gdy w pierwszym roku pracy przydzielono ją do legendarnej Hanne Wilhelmsen, prędko zrozumiała, że wynikający z uporu i buntu wybór zawodu przyniesie jej szczęście. W policji czuła się znakomicie. Większości policyjnej roboty nauczyła się od niezbyt lubianej, zamkniętej w sobie mentorki. Choć Hanne Wilhelmsen stale traciła popularność przez swoją samowolę i nieumiejętność podporządkowania się, Silje nigdy nie przestała jej podziwiać. Kiedy nadkomisarz Wilhelmsen została postrzelona podczas dramatycznej akcji policji w Nordmarka, czego skutkiem był paraliż od pasa w dół, Silje troszczyła się o nią jak o siostrę. Ale z tym, że Hanne odwróciła się później plecami do nielicznych przyjaciół, jacy jeszcze jej zostali w dużym zniszczonym budynku policji na Grønlandsleiret, Silje Sørensen nigdy całkiem się nie pogodziła.

Silje Sørensen była dumna z zawodu, który wykonywała, ale w rozpacz wprawiały ją ściśle określone ramy, w jakich musiała działać.

Teraz postanowiła posortować wszystkie sprawy według stopnia ich wagi. Zwykle incydenty z użyciem noża czy mało istotne bójki w barach, bez groźnych dla życia obrażeń, ułożyła w oddzielnym stosiku.

Pewnie wam się upieczce, pomyślała z rezygnacją, starając się nie pamiętać, że w wielu tych sprawach mieli do czynienia ze znanymi sprawcami, więc umorzenia mogły zostać potraktowane jako ostra prowokacja wobec ofiar. Tak jednak zaczęło się dziać. Usprawiedliwiała ją zresztą wszystkie wytyczne, zarówno te z Prokuratury Krajowej, jak i z Komendy Głównej Policji, w myśl których poważne przestępstwa miały pierwszeństwo przed tymi mniej poważnymi. Opinia publiczna być może miałaby problemy ze zrozumieniem policyjnej definicji wagi sprawy, ale trudno.

Po blisko godzinie teczek zostały rozłożone na pięć stosów.

Silje wypila ostatni łyk zimnej kawy, po czym trzy ze stosów zamknęła w szafie za plecami.

Zostały dwa.

Mniejszy zawierał dokumenty dotyczące zabójstw. Trzy teczek. Pierwsza dość cienka. Druga prawie taka sama. Trzecia natomiast tak obszerna, że musiała spiąć ją dwiema gumkami, żeby papiery w ogóle trzymały się razem.

Nagle wstała i podeszła do tablicy korkowej wiszącej na ścianie naprzeciwko biurka. Szybko przejrzała wszystkie przypięte do niej notatki, po czym jedną położyła na biurku, a resztę wyrzuciła do stojącego obok kosza na śmieci. Z szafy wyjęła trzy kartki formatu A4.

Akurat się zmieściły jedna przy drugiej, na górze tablicy.

Na pierwszej kartce napisała czerwonym flamastrem: Runar Hansen. Pod nazwiskiem: 19.11.08.

Na następnej Hawre Ghani. 24.11.08.

Włożyła flamaster do ust, zamyśliła się, po czym przy tej ostatniej dacie dopisała znak zapytania. 24.11.08.?

Wciąż nie dawało się dokładnie określić, kiedy Hawre Ghani został zamordowany. Ale udało się przynajmniej uzyskać pewność, że rzeczywiście został zabity. Patolog, mimo stanu zwłok, znalazł wyraźne dowody użycia garoty. To, że chłopak sam się powiesił na stalowym drucie, prawie odcinając sobie głowę od ciała, a następnie rzucił się do morza, należało raczej wykluczyć. Instytut Medycyny Sądowej zaledwie zasugerował czas zgonu, ale śledztwo dotychczas wykazało, że nie ma żadnych śladów wskazujących na to, by chłopak żył po tym, jak zniknął z klientem w poniedziałek 24 listopada przy Dworcu Centralnym w Oslo. Oczywiście sprawdzono wszystkie kamery monitoringu. Nic nie znaleziono. I to się zgadzało z zeznaniami ulicznika Martina Setre. Facet podszedł do nich tuż za wejściem na dworzec.

Cholerny spryciarz, pomyślała Silje i westchnęła z rezygnacją.

Na ostatniej kartce napisała: Marianne Kleive. 19.12.08.

Wsunęła skuwkę na flamaster i cofnęła się dwa kroki. Kiedy wyczuła krawędź biurka, usiadła.

Trzy zabójstwa. Wszystkie nierozwiązane.

Runar Hansen ciążył jej na sumieniu. Nie miała siły nawet zwrzeć do cienkiej teczki z jego sprawą. Wpatrywała się tylko w nazwisko. Nic niemówiące nazwisko ópuna, którego pobiciem i obrabowaniem w parku Sofienberg nikt się nie przejmował. Runarowi Hansenowi poświęcono jedynie trochę czasu na oględziny miejsca zdarzenia kilka godzin po jego znalezieniu, raport z sekcji zwłok i króciutką notkę w „Aftenposten”. I jeszcze przesłuchania dwóch świadków, którzy nie potrafili powiedzieć nic poza tym, że nie miał stałego miejsca zamieszkania ani stałej pracy, za to miał siostrę o imieniu Trude.

W śledztwie dotyczącym zabójstwa Hawrego Ghani coś przynajmniej się działo. Portret pamięciowy rozesłano do jednostek policji. Ustalono, że nie pora jeszcze na jego upublicznianie, bo z doświadczenia wiadomo było, że taka akcja doprowadzi do zasypania policji informacjami. Domniemany sprawca wyglądał tak zwyczajnie, że utonęliby w wykluczających wątpliwości rozpoznaniach. Knut Bork dalej rozpracowywał środowisko prostytutek. Silje zleciła nową, bardzo staranną analizę życia chłopaka od jego przyjazdu do Norwegii, by – jeśli to możliwe – stworzyć sobie jeszcze wyraźniejszy obraz nieszczęśliwego

losu Hawrego Ghani.

Sprawa Marianne Kleive natomiast toczyła się na wysokich obrotach.

Zabójstwo czterdziestodwuletniej przedszkolanki nosiło wszelkie cechy dobrej sprawy medialnej. Prywatne zdjęcia, które wpadły w szpony „VG” zaledwie dwie godziny po poinformowaniu opinii publicznej o zabójstwie, pokazywały niezwykle piękną kobietę. Falujące, gęste jasne włosy, szczupła sylwetka z długimi nogami, typ sportowy. Akurat taka lesbijka, jaką uwielbiają media. Miała w sobie coś z piłkarki ręcznej Gro Hammerseng, pomyślała Silje, wieszając na tablicy pod nazwiskiem pierwszą stronę wyrwaną kilka dni wcześniej z „VG”. I jeśli jej partnerka Synnøve Hessel nie była wprost gwiazdą, to przynajmniej zajmowała na tyle istotne miejsce w norweskim środowisku filmowym, że gazety miały pokrycie dla podnoszących sprzedaż fraz „słynna”, „wielokrotnie nagradzana”, opisując pogrążoną w żałobie wdowę, która zresztą sama świetnie się prezentowała na zdjęciach, nawet w puchowej kurtce, ze splątanymi włosami na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza w Everest Base Camp w Nepalu.

To, że do zabójstwa doszło w szacownym hotelu Continental, również dodawało sprawie pikanterii. Dwa dni po znalezieniu zwłok „VG” poświęciło pełną kolumnę na reportaż z domu niejakiego Fritjofa Hansena, człowieka niezwykle prostodusznego, zatrudnionego przez hotel do bieżących napraw. To właśnie on znalazł zwłoki, a dzięki entuzjastycznemu stosunkowi do telewizyjnego serialu *Kryminalne zagadki* nie dopuścił nikogo do miejsca zbrodni, dopóki nie przyjechała policja, by zabezpieczyć ślady. Na zdjęciu siedział w fotelu z półlitrową puszką piwa i torebeczką chipsów, a wyglądał tak, jakby wziął na swoje barki wszelkie smutki tego świata.

Czasami Silje Sørensen życzyła sobie, by media w ogóle nie istniały. Czasami wolności prasy życzyła jak najgorzej.

Sięgnęła po filiżankę.

Okazała się pusta.

Ze zmarszczonym czołem przenosiła wzrok z jednego nazwiska na drugie. Nie odrywając oczu od tablicy, po omacku odnalazła na biurku flamaster. Zębami ściągnęła skuwkę, podeszła do kartek i pod nazwiskiem i datą śmierci Runara Hansena dopisała: PARK SOFIENBERG. Pod Hawrem Ghanim: MĘSKA PROSTYTUTKA, na koniec tuż nad zdjęciem Marianne Kleive na szczycie oświetlonej słońcem góry Gaustatoppen, w staniku od kostiumu bikini, krótko obciętych dzinsach i ciężkich górskich butach, dopisała: PARTNERSTWO Z KOBIETĄ.

Znów usiadła na biurku. Ktoś zapukał do drzwi.

Wyjęła skuwkę z ust i zawołała:

– Proszę!

– Cześć – powiedział zdyszany Knut Bork. – Pomyślałem, że...

– Stań tutaj. Obok mnie.

Sierżant Bork wzruszył ramionami i wypełnił polecenie.

– Co robisz? Co to jest? – Skinieniem głowy wskazał na tablicę korkową.

– To trzy sprawy zabójstw, które obecnie prowadzę – odparła Silje.

– Trzy to za dużo.

– Miałam cztery, jedną oddałam. Nic ci się nie rzuca w oczy?

– W oczy? Musiałbym przynajmniej przejrzeć dokumenty...

– Nie. Znasz te sprawy, Knut. Popatrz tylko na to, co wisi na tablicy.

W milczeniu zmarszczył brwi.

– Przyjrzyj się uważnie temu, co napisałam pod nazwiskami!

– Park Sofienberg – przeczytał. – Męska prostytutka. Partnerstwo z kobietą.

Wciąż nie dostrzegał żadnego związku.

– A z czego słynie park Sofienberg? – spytała.

– No... z personelu karettek, który...* [*W roku 2007 personel wezwanej do parku Sofienberg karetki nie zabrał do szpitala pobitego ciemnoskórego mężczyzny, wymagającego natychmiastowej pomocy lekarskiej. Podejrzewano rasistowskie przyczyny zachowania ratowników (przyp. tłum.).]

– Nie, to znaczy, to też. Ale z czego jeszcze? Mam na myśli nie tę część parku położoną na zachód od kościoła Sofienberg, tylko tę, która leży za nim, po wschodniej stronie.

– Seks gejowski – odparł natychmiast. – Kupno, sprzedaż, handel wymienny. Nie poszedłbym tam po ciemku.

– No właśnie. – Silje uśmiechnęła się lekko. – Właśnie tam znaleziono Runara Hansena. Został zabity w paskudny, deszczowy, listopadowy wieczór między północą a pół do pierwszej. To w zasadzie jedyna rzecz, jaką zdziałaliśmy w tej sprawie. Ustaliliśmy, kiedy go zabito.

– On był... gejem?

– Nie mam pojęcia. Ale na razie zapamiętaj sobie renomę tego miejsca. Widzisz już, o co mi chodzi?

Popatrzyła na niego. Ciężkie zdumienia przemknęło mu po twarzy, kiedy do niego dotarło.

– Jasny gwint! – Poglądził się po jasnym zaroście. – Dziwne, że SLiG jeszcze nie

podniosło szumu.

Stowarzyszenie Lesbijek i Gejów od dawna usiłowało nakłonić Ministerstwo Sprawiedliwości do poważnego traktowania przemocy wobec homoseksualistów. Tyle że zdaniem Silje Sørensen problem polegał na tym, że ataki na homoseksualistów rzadko różniły się w istotnym stopniu od innych napaści, do jakich dochodziło pod wpływem alkoholu: na kobiety, na mężczyzn, na heteroseksualistów i homoseksualistów. Ludzie pili. Stawali się agresywni. Bili. Uderzali nożem. Gwałcili i zabijali. Na każdą homoseksualną ofiarę Silje mogła wyliczyć sto heteroseksualnych. Nie potrafiła pojąć, dlaczego SLiG tak krzyczy.

Ale to tutaj było naprawdę dziwne.

– Runar Hansen był w parku znanym z kupna, sprzedaży i wymiany usług homoseksualnych – powiedziała z namysłem. – Hawre Ghani zniknął z klientem szukającym męskiego ciała. Marianne Kleive pozostawała w związku partnerskim z kobietą. Ofiary zostały zabite w różny sposób, w różnych miejscach i za życia nic ich nie łączyło. Przynajmniej z tego, co wiemy. Ale... – Oczy jej się zwięziły. – Jestem odpowiedzialna za trzy całkiem od siebie niezależne śledztwa w sprawie zabójstw i wszystkie mają jakiś związek z homoseksualizmem. Jaka jest statystyczna szansa, że tak będzie?

– Cholernie duża – odparł Knut Bork i zaczął ogryzać paznokcie kciuka. – Co to, do diabła, jest? I mówiąc całkiem poważnie, Silje, dlaczego nikt wcześniej nie dostrzegł takiego związku?

Nie odpowiedziała. Stali w milczeniu, przyglądając się tablicy. Długo.

– Pierwszą sprawą nikt się nie interesuje – odezwała się nagle. – O tej drugiej nikt nic nie wie. To znaczy ludzie mogli przeczytać w gazetach o znalezieniu zwłok w basenie portowym, chyba było też kilka linijek o tym, że to młody imigrant ubiegający się o azyl, ale nic więcej. Natomiast jeśli chodzi o Marianne Kleive, to ta sprawa...

Milczała tak długo, że Knut dokończył za nią:

– Ta sprawa jest tak wyjątkowa i absurda, że właściwie nikt nie łączy jej z faktem, że ofiara to lesbijka.

Silje podeszła do tablicy. Zdjęła białe kartki i wycinek z gazety, wszystko to zgmiotła i wrzuciła do kosza na śmieci. Knut Bork dalej stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, Silje natomiast obeszła biurko i usiadła.

– A to – oświadczyła zdecydowanie – ty i ja zachowamy dla siebie. Przynajmniej na razie. To wszystko może być jedynie przypadek. Ale też może to być...

– Coś naprawdę przerażającego – dokończył Knut Bork. Kciuk zaczął mu już krwawić.

* * *

Już drugi raz w ciągu trzech tygodni Inger Johanne była całkiem sama w domu i niemal ją to przerażało. Bez zwykłych odgłosów dzieci mieszkanie zawsze wydawało się takie odmienione. Przyłapała się na tym, że sama stąpa ostrożnie, żeby nie robić za dużego hałasu.

– Uspokój się – skarciła się cicho i nastawiła płytę CD ze składanką, którą Line Skytter przygotowała, wypaliła i podarowała jej na Gwiazdkę.

Kristiane miała zostać u Isaka do piątku, a Ragnhild co drugą środę nocowała u dziadków.

Inger Johanne od kilku godzin usiłowała złapać Yngvara, ale od razu włączała się sekretarka. Prawdopodobnie był na zebraniu. Kiedy po tej niespokojnej, pełnej nerwów nocy nastał wreszcie dzień, zrozumiała, że musi z nim porozmawiać. Nie było już miejsca na dalsze wątpliwości, takie jak tej nocy, kiedy co rusz zmieniała zdanie. Podjęła decyzję i już samo to pomogło jej jaśniej spojrzeć na życie.

Gdyby tylko wiedziała, co tak naprawdę zobaczyła Kristiane.

Miała pewność, że coś musiała widzieć, ale ciągle nie wiedziała co. Nie należy jednak mocniej przyciskać córki. Może później, pomyślała, chodząc po domu w samych skarpetkach i nie bardzo wiedząc, czym się zająć.

Muzyka skompilowana przez Line nie była w guście Inger Johanne. Podeszła do odtwarzacza i ściszyła głos Kurta Nilsena w samym środku refrenu jakiejś ballady.

Powinna coś zjeść, ale nie była głodna.

Zebranie Yngvara musiało się przeciągnąć. Minęły już trzy godziny, odkąd zostawiła mu pierwszą wiadomość z prośbą, żeby oddzwonił.

Oczywiście mogła usiąść do pracy.

Albo poczytać.

Może obejrzeć jakiś film.

Sięgnęła po telefon i bez namysłu wykręciła numer Isaka. Odebrał od razu.

– Cześć, tu Inger Johanne.

– Cześć. – Usłyszała w jego głosie śmiech.

– Dzwonię tylko, żeby...

– ...żeby się dowiedzieć, jak się miewa Kristiane – dokończył. – Znakomicie. Byliśmy na basenie Bislett, chociaż tam właściwie dzieci wolno przyprawdzać tylko w weekendy. Ale ona jest taka cichutka, że kobieta w okienku pozwala jej wejść.

– Zostawiasz ją samą w damskiej garderobie?

– Oczywiście. Jest już za duża, żeby wchodzić do chłopaków. Piersi jej rosną, zauważyłaś? I ma trochę włosów na cipce. Nasza córka robi się duża, Inger Johanne. Oczywiście, że zostawiam ją samą w damskiej garderobie.

Nie odpowiedziała.

– Inger Johanne – ciągnął Isak z rezygnacją. – Przecież ona sobie świetnie radzi! Teraz szykujemy tacos, a Kristiane sama, bez mojej pomocy, usmażyła mielone mięso. Kroi warzywa i bardzo się stara. Kiedy jest u mnie, zawsze razem przygotowujemy obiad. Ona ma czternaście lat, Inger Johanne. Nie możesz jej przez całe życie traktować jak niemowlę!

Ona jest niemowlęciem, pomyślała Inger Johanne.

Najdelikatniejszym niemowlęciem na świecie.

– Halo?

– Jestem, jestem – mruknęła Inger Johanne. – Cieszę się, że tak wam miło. Chciałam się tylko dowiedzieć...

– Chcesz z nią porozmawiać? Jest przy mnie.

W tle rozległ się głośny huk.

– Ups! – zaśmiał się Isak. – Coś zleciało na podłogę. Poprosić, żeby później do ciebie zadzwoniła?

– Nie, nie trzeba. Trzymaj się. Widzimy się w piątek.

– Do zobaczenia!

Rozłączył się, a Inger Johanne rzuciła telefon na stół w salonie odrobinę zbyt nieostrożnie. Kiedy podchodziła do dużego okna, już się nie skradała. Z irytacją stawiała głośne kroki, ale nie wiedziała, czy ta agresja skierowana jest do niej samej, czy do Isaka.

Wciąż jeszcze nie zawiesiła zasłon.

Śnieg był tak głęboki, że nie dało się już zobaczyć płotu od strony Hauges vei. Zasypane przez pług były ogromne. Ludzie zaczęli mieć problemy ze śniegiem odgarnianym z podjazdów. Z braku innych możliwości, spychali go na środek ulicy, co sprawiało, że spora jego część po hałaśliwym przejeździe pługa trafiała z powrotem tam, skąd przybył.

Nigdzie nikogo nie było widać. Od chłodu bijącego od szyby ciarki przeszły ją po plecach. Wielki bałwan, którego dzieci z domu naprzeciwko lepiły przez cały ubiegły weekend, gapił się na nią czarnymi jak węgiel oczami. Nos już zgubił, a ręce z gałęzi sterczały jak szpony czarownicy. Na głowie miał starą czapkę, czerwony szalik zasłaniał mu połowę twarzy.

Przypominał jej mężczyznę przy płocie.

Zrobiła krok na bok.

Jutro postara się o zasłony.

Nagle uświadomiła sobie, że się pomyliła.

Lęk, który dręczył ją od świąt, nie pojawił się wcale wraz z mężczyzną przy płocie. Poczucie, że Kristiane ktoś obserwuje, nie zrodziło się wówczas, gdy jakiś obcy mężczyzna podszedł i spytał dziewczynkę, co dostała na Gwiazdkę. Inger Johanne zareagowała tak mocno dlatego, że lęk już w niej tkwił. Polowanie na te przeklęte żeberka i całe zamieszanie przy przygotowaniu Wigilii, która byłaby w stanie zadowolić matkę, tymczasowo tylko go przytłumiło.

To nie mężczyzna przy płocie wywołał lęk. Już w momencie, gdy w dniu ślubu siostry patrzyła na Kristiane stojącą na szynach tramwajowych i była pewna, że córka umrze, czuła, że jej rozpacz dotyczy czegoś poważniejszego niż to, że Kristiane znalazła się w bezpośrednim zagrożeniu. Wprawdzie lęki nie były Inger Johanne obce, nie przypominała sobie jednak, żeby tak się czuła od czasu zawołanych pogrózek Wencke Bencke przed prawie pięcioma laty.

Inger Johanne pobiegła włączyć komputer.

Miała wrażenie, że upłynęła wieczność, nim załadowała się strona startowa, a przy wpisywaniu nazwiska słynnej na cały świat autorki powieści kryminalnych cztery razy się pomyliła, nim wreszcie wyszukiwarka znalazła dwadzieścia sześć tysięcy dziewięćset trafień. Spróbowała ograniczyć wyszukiwanie. Chciała się jedynie dowiedzieć, czy ta kobieta wciąż mieszka w Nowej Zelandii.

Wencke Bencke wywinęła się od morderstw. Z zimną krwią i bez w pełni zrozumiałych dla Inger Johanne motywów zimą i wiosną 2004 roku zabiła kilka osób często pojawiających się na pierwszych stronach gazet. Inger Johanne pomagała Yngvarowi i Sigmundowi w trudnym śledztwie, którego, niestety, jedynym skutkiem było przekonanie ich trojga o tym, że Wencke Bencke jest winna. Niczego jednak nie potrafili udowodnić. Pewnego wiosennego dnia, kiedy oczywiste się stawało, że morderca nigdy nie zostanie ujęty, fetowana pisarka podeszła do niej. Inger Johanne była akurat na spacerze z małą Ragnhild w wózku. Wencke Bencke spokojnie i z uśmiechem się przyznała. Nie na tyle, by dało się to wykorzystać na sali sądowej, lecz dla Inger Johanne dostatecznie wyraźnie. Ukryta groźba, która zawisała w powietrzu, gdy pisarka odchodziła w wiosennym słońcu, również była mglista, lecz wystarczyła, by wystraszyć Inger Johanne. Lęki ustąpiły dopiero rok później, gdy Wencke Bencke poślubiła młodszego od niej o piętnaście lat Maorysa i wyemigrowała do Nowej Zelandii. W Norwegii pojawiała się jedynie przy okazji promocji książek, co przez

większą część jesieni zmuszało Inger Johanne do konsekwentnego unikania w gazetach stron poświęconych kulturze.

Jest.

Wrześniowy artykuł z „VG”.

Wencke Bencke w słońcu wśród owiec. Wspólnie z mężem kupili farmę nad Te Anau. Ostatniej jesieni nie przyjechała nawet do kraju z okazji wydania nowej książki. To „VG” ją odwiedziła.

Tu jest teraz mój dom – mówi znana na całym świecie pisarka, wskazując na ogromne stado owiec. – Tu mi się lepiej pisze i lepiej żyje. Tu zostanę.

Inger Johanne oddychała już nieco lżej.

To nie miało nic wspólnego z Wencke Bencke.

Lęk, który ją dręczył, pojawił się dziewiętnastego grudnia. Tego wieczoru, gdy zginęła Marianne Kleive. Inger Johanne zamrugła, a liczba dziewiętnaście wżarła jej się pod powieki, zielona i błyszcząca.

Przeklęta dziewiętnastka.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się przed siebie.

Zadzwonił telefon.

Evę Karin Lysgaard zabito dwudziestego czwartego grudnia.

Niclas Winter, o którym czytała dzisiejszej nocy, umarł dwudziestego siódmego.

Ale on umarł. Nikt go nie zabił. Umarł z przedawkowania.

Telefon się nie poddawał. Wyciągnęła rękę w jego kierunku. To był Yngvar.

19, 24 i 27.

Suma cyfr daje 25.

Podanie narkomanowi zbyt dużej dawki to znany sposób zakamuflowania zabójstwa.

Telefon ucichł, ale sekundy później rozdzwonił się od nowa.

– Halo – odezwała się matowym głosem, przykładając komórkę do ucha.

– Cześć, skarbie. Widzę, że dzwoniłaś do mnie mnóstwo razy. Przepraszam, ale nie mogłem wcześniej odebrać. Całe popołudnie przesiedziałem na zebraniu. Do niczego nie doszliśmy...

– W porządku – mruknęła. – To nie było nic ważnego.

– Wszystko w porządku? Masz taki dziwny głos.

– Nie. To znaczy tak. Wszystko dobrze, kochany. Ja... trochę się zdrzemnęłam. Twój telefon mnie obudził. Chyba po prostu zaraz się położę.

– Już teraz?

– Tak. Pewnie potrzebuję snu. Możemy dłużej nie gadać? Nie chciałabym się rozbudzać.

– Dobrze...

Rozczarowanie w jego głosie było tak wyraźne, że Inger Johanne prawie zmieniła zdanie.

– Wobec tego śpij dobrze – powiedział w końcu.

– Trzymaj się, kochanie. Porozmawiamy jutro, prawda? Dobranoc.

Długo siedziała z milczącym telefonem w dłoni. Z głośników Toni Braxton zawodziła *Un-Break My Heart*. Jakiś samochód przygazował na luzie na Hauges vei. Wiatr musiał zmienić kierunek, bo nieustanny daleki szum z Maridalsveien i bardzo ruchliwej Ringveien był tak wyraźny, jakby w łazience pękła rura.

Wprawdzie w artykule w „Dagens Næringsliv” nie napisano nic na temat orientacji seksualnej Niclasa Wintera, to jednak wiele dało się wyczytać między wierszami. Był HIV pozytywny. Oczywiście zakażenie mogło mieć związek z zażywaniem heroiny, lecz równie dobrze mogło do niego dojść w wyniku uprawiania seksu z mężczyznami bez zabezpieczenia. Instalacja *CockPitt* wskazywała w każdym razie w tym kierunku.

Eva Karin Lysgaard była wprawdzie heteroseksualna, miała męża i dziecko, ale dała się poznać jako zagorzała obrończyni praw gejów i lesbijek.

Marianne Kleive była partnerką innej kobiety.

Inger Johanne wstała z kanapy, czując, że jest wściekle głodna.

Ale już się nie bała.

Ślad

– Obawiam się, że koperta Niclasa Wintera całkiem po prostu gdzieś zginęła – oświadczyła sekretarka Kristena Fabera, gdy w czwartkowy rano piętnastego stycznia weszła do jego gabinetu. – Szukałam jej wszędzie, ale nigdzie nie znalazłam.

– Zginęła? Zgubiłaś gdzieś kopertę klienta?

Adwokat Faber mówił z ustami pełnymi croissanta nadziewanego czekoladą, której gruba warstwa pokryła mu górną wargę.

– Nie dotykałam tej koperty od poniedziałku – odparła spokojnie. – A wtedy dałam ją tobie. Tu, w tym pokoju.

– Niech to cholera! – westchnął Kristen Faber. – Naprawdę aż tak trudno znaleźć wielką kopertę?

– Oczywiście nie zaglądałam do twoich szuflad – ciągnęła tym samym niewzruszonym tonem. – Tam musisz zajrzeć sam.

Zirytowany adwokat zaczął wyciągać szufladę po szufladzie.

– Położyłem tę kopertę na stosie w tamtym rogu – mruknął. – Musiałaś gdzieś ją zawieruszyć.

Sekretarka w odpowiedzi zabrała tylko talerzyk i ruszyła do wyjścia.

– Hej! – krzyknął, zanim dotarła do drzwi. – Ta się zatrasnęła! Zniszczyłaś mi biurko?

– Nie. Mówiłam ci już, że nie ruszałam twoich szuflad, ale mogę spróbować ci pomóc.

– Odstawiła talerzyk. Zamiast szarpać tak jak on, spróbowała delikatnie wysunąć szufladę. Kiedy i to się nie powiodło, zaproponowała otwarcie zamka czymś w rodzaju wytrycha.

– Na przykład nożykiem do listów – podsunęła po namyśle. – Albo korkociągiem. Mamy przecież w archiwum skrzynkę z narzędziami.

– Zwariowałaś?

Odepchnął ją i spróbował jeszcze raz otworzyć oporną szufladę.

– Masz świadomość, ile to biurko kosztowało? Musisz ściągnąć stolarza. Albo ślusarza. Nie mam pojęcia, kogo wezwać, żeby to otworzyć. Ale załatw to, zanim wrócę po południu, dobrze? – Nie patrząc na nią, wetknął teczkę z dokumentami do nesesera. Z wieszaka przy drzwiach zdjął płaszcz i tokę. – Prawdopodobnie dzisiaj nie skończymy, ale możliwe, że sędzia będzie chciał wykorzystać czas do maksimum. To się może przeciągnąć. Zaczekasz na mnie, prawda? Po dzisiejszej rozprawie będę miał sporo rzeczy, które będziesz musiała dla mnie sprawdzić, a roboty do tej pory powinno ci wystarczyć.

Sekretarka uśmiechnęła się i lekko skinęła głową.

Kiedy drzwi za adwokatem się zamknęły, usadowiła się wygodnie, spokojnie wypić kawę i przejrzała dzisiejsze gazety. Potem weszła na stronę internetowego wydania „Drogi do prawa jazdy”. Mąż zaczynał źle widzieć, więc najwyższa pora nauczyć się jeździć, zanim jej wierny szofer całkiem straci wzrok.

Człowiek nigdy nie jest na nic za stary, a ona miała mnóstwo czasu.

* * *

Inger Johanne niecierpliwie czekała, aż wybije ósma. Ostatnie pół godziny wlokło się w ślimaczym tempie. Była zbyt podekscytowana, żeby móc czytać gazety. Przez przyzwoitość nie mogła zadzwonić wcześniej, a obudziła się już o piątej, po siedmiu godzinach nieprzerwanego, głębokiego snu. Wiedzioną nagłym impulsem wyciągnęła narty i pojechała na Grinda na krótką przebieżkę. Zawróciła po pięciuset metrach. Trasy narciarskie zasypał śnieg, a wążiuteńkie supernarty, które dostała od Yngvara na Gwiazdkę, okazały się beznadziejne na takim podłożu. Chciała zwykłe narty spacerowe, ale sprzedawca przekonał Yngvara, że w lasach Nordmarka obowiązuje teraz krok łyżwowy. Wracając do samochodu, zastanawiała się, czy nie dałoby się wymienić tych przeklętych żerdzi, nie mówiąc już o butach, które nie dość, że wyglądały jak buty do nart zjazdowych, to jeszcze uciskały w kostce. Nigdy nie nauczyła się kroku łyżwowego, wcale zresztą nie miała takich ambicji. Ale wysiłek dobrze jej zrobił.

Na śniadanie usmażyła jajka na bekonie i nie przypominała sobie, kiedy ostatnio rano coś jej tak smakowało. Z filiżanką kawy przeszła na kanapę. Telefon łądował się na podłodze. Wychyliła się po niego, wyciągnęła kabel i odnalazła w kontaktach właściwy numer.

Odebrano po jednym dzwonku.

– Słucham, Wilhelmsen – odezwał się obojętny głos.

– Cześć, Hanne. Mówi Inger Johanne. Jak się miewasz?

Ze wszystkich beznadziejnych sposobów rozpoczęcia rozmowy z Hanne Wilhelmsen pytanie o to, jak się miewa, zajmowało pierwsze miejsce na liście.

– Świetnie – powiedziała, a Inger Johanne zakrztusiła się kawą.

– Słucham?

– Czuję się znakomicie. I dziękuję za prezent gwiazdkowy dla Idy. Bardzo się spodobał. A ty? Co u ciebie?

Inger Johanne pomyślała, że Hanne Wilhelmsen musiała dostać na Gwiazdkę błyskawiczny kurs dobrego wychowania.

– Właściwie w porządku. Ale wiesz, jak to jest. Mam dużo roboty. Yngvar przez większość tygodnia siedzi teraz w Bergen, więc muszę sama radzić sobie z dziećmi.

Hanne przerobiła chyba jednak tylko początek kursu, bo teraz w słuchawce zapadła cisza.

– Będę mówić krótko – dodała Inger Johanne szybko. – Po prostu zastanawiałam się, czy nie mogłabyś mi pomóc z pewnym drobiazgiem.

– Z czym?

– Potrzebuję... Chciałabym porozmawiać z osobą godną zaufania z Komendy Okręgowej w Oslo. Najchętniej z kimś z Wydziału Zabójstw. Chętnie z kimś wyższym stopniem.

– Innymi słowy ze mną sześć lat temu.

– Możesz i tak powiedzieć, ale...

– Dlaczego prosisz o to mnie? Przecież Yngvar może ci pomóc.

Inger Johanne zyskała trochę czasu, pijąc łyk kawy.

– Mówiłam ci już, on jest w Bergen – powiedziała wreszcie.

– Przecież są telefony.

– No tak, ale...

– Chodzi o coś z Kristiane, tak? – roześmiała się Hanne.

Ona się naprawdę śmieje, zdumiała się Inger Johanne.

– Właściwie nie, ale...

Właśnie że tak, pomyślała.

Nie chcę na razie rozmawiać z Yngvarem, nie chcę, żeby mi zadawał krytyczne pytania. Nie mam ochoty wysłuchiwać wszystkich zastrzeżeń i obiekcji. Kristiane trzeba ochraniać za wszelką cenę. Najpierw muszę się sama zorientować.

– Jemu się od razu wydaje, że ja... że ja jestem...

– Trochę histeryczna?

Znów ten zadziwiająco beztroski śmiech.

– Że trochę za szybko zaczynasz się niepokoić – ciągnęła Hanne. – Tu leży pies pogrzebany?

– Być może.

– Silje Sørensen.

– Słucham?

– Porozmawiaj z Silje Sørensen. Jeśli ktoś ci może pomóc, to tylko ona. A teraz muszę już kończyć. Trochę mi się spieszy.

– Spieszy?

Myśl o tym, że Hanne Wilhelmsen miałyby się dokądś spieszyć na swoim dobrowolnym wygnaniu w luksusowym mieszkaniu w zachodniej dzielnicy miasta, nie mieściła się w głowie.

– Zaczęłam trochę pracować.

– Pracować?

– Masz dziwny sposób rozmowy przez telefon, Inger Johanne. Pojedyncze słowa ze znakiem zapytania. Owszem, zaczęłam pracować. Na własny rachunek. Tak trochę.

– Ale... Ale przy czym?

– Zajrzyj któregoś dnia, to porozmawiamy. A teraz muszę już bezwzględnie kończyć. Zadzwoń do Silje Sørensen. Cześć.

Telefon zamilkł. Inger Johanne nie całkiem mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

Przyjaźń z Hanne Wilhelmsen nawiązała się przypadkowo. Inger Johanne potrzebowała pomocy i skontaktowała się z zamkniętą w sobie emerytowaną panią nadkomisarz. W dziwny sposób czuła się mile przez nią widziana. Widywały się nieczęsto, ale z upływem lat nawiązała się między nimi spokojna, choć krucha przyjaźń, bez wielkich gestów i zobowiązań.

Jeszcze nigdy Inger Johanne nie słyszała w głosie Hanne takiego tonu jak dzisiaj.

Zdumiał ją tak, że nawet nie spytała, kim jest ta Silje Sørensen. Irytowało ją to, dopóki nie przypomniała sobie, że czytała o niej w gazecie. To ona prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa Marianne Kleive.

Nie mogło się lepiej złożyć.

Prawdopodobnie było jeszcze za wcześnie, żeby ją złapać. Yngvar rzadko przychodził do pracy przed pół do dziewiątej i przypuszczała, że to samo dotyczy zwierzchników w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo.

Dlatego trzymając filiżankę z kawą w obu rękach, czekała, aż całkiem się rozwidni i

rozmyślała o tym, co, na miłość boską, mogło się stać z Hanne Wilhelmsen.

* * *

– Co się stało? – spytała Astrid Tomte Lysgaard, otwierając drzwi i widząc w nich Lukasa.

Była dopiero jedenasta i mąż powinien być w pracy, a wyglądał tak, jakby przed chwilą przekazano mu wiadomość o kolejnej śmierci.

– Jestem po prostu chory. – Lukas niemal wtoczył się do przedpokoju. – Gardło mnie boli, mam gorączkę. Muszę się położyć.

– Wystraszyłeś mnie. – Astrid złapała się chudą ręką za serce, ale zaraz pogłaskała męża po policzku. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Jestem po prostu chory – powtórzył niechętnie, odsuwając się od niej. – Czuję się naprawdę okropnie.

– Tak się musiały skończyć te twoje zajęcia w garażu całymi wieczorami. Przy takiej pogodzie... prędzej czy później musiałeś coś złapać.

Nawet na nią nie spojrzął, kiedy przechodził dalej do salonu. Bardzo mu odpowiadało, że winę za chorobę przypisała wieczornej pracy w wychłodzonym garażu. Nie miał ochoty opowiadać jej o idiotycznej wspinaczce po dachu domu ojca w lodowatym styczniowym deszczu, a jeszcze mniej przyznać się do tego, że ponad kwadrans przesiedział w średnio ciepłym samochodzie, przemoczony do suchej nitki i zmarznięty, wysłuchując gniewnych słów Yngvara Stubø.

– Mamy Paracetamol? – spytał jęklwym głosem. – I colę. Mamy colę?

– Mamy jedno i drugie. Paracetamol kupiłam wczoraj po tym, jak... – Urwała. – Cola jest w lodówce. Paracetamol znajdziesz w apteczce w łazience. Napelnić ci termofor?

– Tak, bardzo cię proszę. Czuję się całkiem...

Nie było potrzeby dokładniejszego opisywania jego stanu. Oczy miał czerwone, a skórę bledszą, niż wskazywałyby na to pora roku, skrzydełka nosa zaczerwienione i wilgotne, usta spierzchnięte. W kącikach ust zebrał się biały osad, a gdy go mijala, idąc po szklanke, poczuła nieprzyjemnie kwaśny chory oddech.

– Nie potrafisz chorować, Lukas – uśmiechnęła się lekko.

Kiedy człapał w stronę schodów, z jego pleców biła złość.

Poszła za nim do łazienki. Siłując się z zamkiem apteczki, odkręciła kran i spuściła wodę, dopóki nie poleciał prawie wrzątek, którego naląła do termoforu.

– Prawdę powiedziawszy, nie umierasz, Lukas – stwierdziła. – Weź się w garść.

Nie odpowiadając, wycisnął trzy tabletki z listka, włożył je do ust i popił połową szklanki coca-coli. Przy przełykaniu twarz skrzywiła mu się z bólu. Rozbierał się, idąc w kierunku sypialni, a części ubrania zostawały w korytarzu. Padł na łóżko resztką sił, podciągnął kołdrę pod brodę i obrócił się na bok.

– Tu masz termofor – wskazała Astrid. – Gdzie mam go położyć?

Nie odpowiedział.

– Lukas – zaczęła z wahaniem. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Wczoraj przez cały wieczór miała na końcu języka pytanie, kim jest kobieta na zdjęciu w zamkniętej na klucz szufladzie. Kilka razy naprawdę mało brakowało, by je zadała. Ale cały czas coś się działo. Dzieci. Obiad. Lekcje. Ten nieskończony garaż. Kiedy wreszcie zostali tylko we dwoje, minęło już pół do jedenastej, a Lukas chciał koniecznie obejrzeć w telewizji program o gabinecie tatuażu w Los Angeles. Ona poszła się położyć i zasnęła przed jego przyjściem.

Dziś czuła, że mimo wszystko powinna o to spytać. Wczoraj pozwalała, by przeszkodziło jej w tym wszystko, co możliwe, a to dlatego, że wstydziła się otwarcia szuflady bez jego zezwolenia. Dziś była na siebie zła. Nie miała się czego wstydzić. Szukanie lekarstwa przechowywanego we właściwym, zamkniętym na klucz miejscu było czymś, na co zdecydowanie mogła sobie pozwolić.

– Okropnie źle się czuję – dobiegł jęk spod kołdry.

– Chciałam cię tylko o coś spytać – powiedziała bardziej stanowczo.

– Ach... Ja tracę głos, Astrid. Możesz mi zrobić mleka z miodem? Bardzo cię proszę.

Przez chwilę stała, zastanawiając się, co tak naprawdę czuje.

Rezygnację, uznała wreszcie. A może irytację?

Niepokój.

– Dobrze – zgodziła się. – Oczywiście, że zrobię ci mleka z miodem.

Po cichu zamknęła za sobą drzwi i zeszła na dół do kuchni. Zanim wróciła z kubkiem mleka, Lukas już spał.

* * *

– Proszę! – Silje Sørensen podała Inger Johanne kubek gorącego kakao. – Wariuję już od całej tej porannej kawy, dlatego muszę mieć coś takiego pod ręką.

– Dziękuję – powiedziała Inger Johanne. – Pachnie pysznie. I bardzo dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać tak szybko.

– Po prostu jestem ciekawa!

Śmiech Silje Sørensen nie bardzo pasował do jej drobniutkiej postaci.

– Po pierwsze, słyszałam o pani i czytałam. A po drugie, zrezygnowałabym ze wszystkiego, żeby spotkać się z osobą przyslaną do mnie przez Hanne Wilhelmsen. Jak ona się miewa?

Inger Johanne już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

Hanne nie chciałyby, żeby o niej rozmawiały.

– Sama pani wie – odparta tylko, wzruszając ramionami, z nadzieją, że ta pozbawiona treści odpowiedź skłoni Silje Sørensen do zmiany tematu.

Zaraz jednak uznała, że sama powinna to zrobić, i chrząknęła.

– No tak. Prawdę mówiąc, nie wiem, od czego mam zacząć.

– Aha?

– Jestem kryminologiem i pracuję jako...

– Mówiłam już – przerwała jej Silje – że wiem, kim pani jest. Możemy sobie mówić po imieniu?

– Oczywiście. Zajmuję się teraz projektem badawczym dotyczącym nienawiści.

– Interesujące.

Silje powiedziała to niezwykle szczerze. Patrzyła bezpośrednio, lekko przekrzywiając głowę, zupełnie jakby starała się wyostrzyć wszystkie zmysły.

– To znaczy przestępczością, której motywem jest nienawiść. Komenda Główna Policji zleciła mi przygotowanie większego opracowania na ten temat.

Silje Sørensen zamrugła. Odstawiła filizankę na biurko i lekko pchnęła ją do przodu. Zmrużyła oczy, a na wargach pojawił się czubek różowego języka.

– Rozumiem.

– Czyli o atakach na pojedyncze osoby, których motywem jest...

– Wiem, czym jest przestępczość z nienawiści.

Inger Johanne pomyślała, że najgorszym zwyczajem Silje Sørensen jest przerywanie rozmówcy.

– Oczywiście – kiwnęła głową. – Jasne, że wiesz.

Długo siedziały w milczeniu, obie czekały, aż ta druga wreszcie się odezwie. Inger Johanne próbowała odgadnąć wiek Silje. Musiała być od niej młodsza, ale chyba niewiele. Mogła mieć trzydzieści pięć lat, może trochę mniej. Była zadbana i dobrze ubrana, ale stosownie do takiego miejsca jak komenda policji.

Delikatna, pomyślała Inger Johanne.

Sama Inger Johanne nigdy w życiu nie czuła się delikatna.

Silje miała szczupłe dłonie, a paznokcie tak wypiełgnowane, że Inger Johanne ukryła swoje ręce, odstawiając szybko filiżankę i wsuwając je pod siedzenie.

– Masz się przyjrzeć przestępczości motywowanej nienawiścią w stosunku do jakiejś konkretnej grupy? Czy po prostu tak ogólnie?

Silje nachyliła się nad biurkiem, łokciami opierając o blat.

– Wiesz. – Inger Johanne wzięła głęboki oddech. – Chyba zacznę od samego początku. Jeśli możesz poświęcić pół godziny na wysłuchanie bardzo dziwnej historii...

Spory brylant na serdecznym palcu lewej ręki Silje Sørensen zaśnił w ostrym świetle biurowej lampy, gdy poruszyła ręką w zapraszającym geście.

– Opowiadaj! – powiedziała. – Zamieniam się w słuch.

Inger Johanne dopiła swoje kakao, nieświadoma, że ma teraz duże, brązowe i bardzo nietwarzowe wąsy.

* * *

Yngvar nie miał żadnych wiadomości od Inger Johanne. Zaniepokoiło go to. Wrócił do hotelu po zapomniane notatki, kiedy pokusa wyciągnięcia się chociaż na chwilę stała się zbyt duża. W głębi ducha podejrzewał się o celowe pozostawienie papierów. Lunch w hotelu był znacznie bardziej wyrafinowany od tego, który serwowała bergeńska policja, a ponieważ w cenę pokoju wliczono całodzienne wyżywienie, to nie miał nawet wyrzutów sumienia.

Z wyjątkiem puddingu czekoladowego.

Nakładał go sobie dwa razy i w końcu lekkie mdłości przekonały go, by uległ potrzebie krótkiego odpoczynku. Zrzucił buty i położył się na łóżku. Trochę za miękkim, szczególnie że na materacu leżała też kołdra i narzuta. Ale wiedział, że jeśli ułoży się wygodniej, to zaśnie.

Nie chciał spać.

Chciał złapać Lukasa.

Od tamtego incydentu ze wspinaczką po dachu miał wrażenie, że facet bawi się z nim w kotka i myszkę, a po tamtej smutnej rozmowie w Os Yngvar zdecydował, że nie będzie niepotrzebnie niepokoił Astrid. Dlatego dzwonił wyłącznie na komórkę Lukasa, ale cały czas włączała się sekretarka. Lukas nie oddzwaniał. W końcu Yngvar zatelefonował na uniwersytet, ale tam nie mieli pojęcia, gdzie go szukać. Najwyraźniej z powodu osobistej tragedii okazywano mu wielką wyrozumiałość.

Zamknęły mu się oczy.

Denerwował się, że Inger Johanne nie dzwoni, wczoraj wieczorem była taka nieswoja.

Nagle się poderwał.

Nie miał czasu na wylegiwanie się. Irytacja spowodowana oporem syna pani biskup szybko go otrzeźwiła.

– Możesz sobie nie chcieć, ale i tak musisz – mruknął zirytowany, wyszukując numer do domu w Os. Wcisnął wybieranie i przyłożył komórkę do ucha. Dzwoniła tak długo, że już chciał zrezygnować.

– Słucham, tu dom Lysgaardów – odezwał się w końcu słaby kobiecy głos.

– Dzień dobry, mówi Yngvar Stubø. Przepraszam, że przeszkodziłem pani we wtorek. Mam nadzieję, że...

– Wszystko w porządku. Nie ma za co przepraszać. Znalazł pan w końcu Lukasa, prawda?

– Oczywiście. Ale muszę z nim raz jeszcze porozmawiać. Tymczasem jego komórka nie odpowiada, więc chciałem spytać, czy pani nie wie, gdzie go mogę znaleźć.

– Jest tutaj.

– W domu? O tej porze?

– Tak. Rozchorował się. To znaczy boli go gardło, ma gorączkę, no i po prostu źle się czuje.

– Aha. – Yngvarowi na moment stanął przed oczami przemoknięty do suchej nitki, trzęsący się z zimna Lukas Lysgaard sprzed dwóch dni.

– Może ja mogę w czymś pomóc? – spytała Astrid.

– Nie, chyba nie.

Usłyszał odgłos lejącej się wody i trzask zamykanych drzwiczek szafki.

– A właściwie tak. – Nagle zmienił zdanie. – Chodzi o pewien szczegół. To nic ważnego, ale po co miałbym przeszkadzać choremu człowiekowi, jeśli pani może mogłaby mi coś wyjaśnić. Chodzi mi o pokój... azyl pani teściowej – zaśmiał się.

Na drugim końcu linii panowała cisza.

– Wie pani, ten pokój na parterze, w którym się kładła, kiedy nie mogła zasnąć. Tam, gdzie...

– Wiem, o którym pokoju pan mówi. Ale prawie nigdy tam nie wchodziłam, może parę razy. A o co chodzi?

– Tam stoją cztery zdjęcia – ciągnął Yngvar z pozorną lekkością. – Dwa czy trzy zdjęcia rodzinne i jeden portret, z tego, co pamiętam. Zastanawiałem się, kto może na nim być.

– Ta kobieta z... – urwała, jakby ktoś uciął słowo nożyczkami.

– Halo? – spytał Yngvar. – Jest pani tam jeszcze?

– Tak, jestem. Ale nie wiem, kto to jest. Mogę spytać Lukasa, kiedy się obudzi.

– Ależ nie, proszę go nie zadręczać drobnostkami. Sam do niego zadzwonię za parę dni.

– Czy coś jeszcze?

– Nie, proszę mu tylko życzyć szybkiego powrotu do zdrowia.

– Dziękuję, przekażę. Do widzenia.

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Odłożył telefon i odchylił się na łóżku z rękami splecionymi na karku. Teraz przynajmniej miał potwierdzenie, że to było zdjęcie kobiety. Wyrzuty sumienia lekko go zakłuły na myśl, że oszukał Astrid. Klucie jednak natychmiast ustało, kiedy doszedł do wniosku, że ona pewnie też go okłamała. Sposób, w jaki urwała w pół zdania, świadczył o tym, że o czymś sobie przypomniała.

O czymś, czym nie chciała się z nim podzielić.

A to mogło wskazywać, że wpadł na właściwy ślad.

Oporny detektyw

Slipy leżały na podłodze. Brudne ślady z obrzydliwą wyrazistością rysowały się nawet na ciemnozielonej bawelnie. Chwyliła je dwoma palcami i wyniosła do łazienki, żeby wrzucić do kosza z brudną bielizną. Ponieważ najwyraźniej miał kłopoty żołądkowe, zdecydowała, że trafią tam też i spodnie. Leżały tuż przed zamkniętymi drzwiami do sypialni. Po drodze zabrała też skarpetki. Z kulą ubrań pod pachą cicho otworzyła drzwi i weszła do środka.

Pachniało chorobą.

Cuchnący oddech, sen i gazy żołądkowe stworzyły mieszankę, która kazała jej natychmiast otworzyć na oścież drzwi na balkon. Kilka razy wciągnęła w płuca świeże powietrze, zanim odwróciła się do męża.

Spał tak głęboko, że nie zareagował ani na hałas, gdy mocowała się z opornymi drzwiami, ani na lodowaty powiew. Kołdra unosiła się powoli, rytmicznie, a wystawał spod niej ledwie czubek głowy. Włosy zaczynały mu się przerzedzać. W ciągu dwóch lat powiększyły mu się zakola, ale teraz po raz pierwszy zauważyła, że robi mu się łysina. Zabolą ją to. Wydał jej się nagle taki kruchy.

– Lukas – odezwała się cicho, podchodząc bliżej.

Spał dalej.

Przysiadła na brzegu łóżka i delikatnie pogładziła go po włosach.

– Lukas – powtórzyła już głośniejszym głosem. – Obudź się!

Odburknął coś i próbował naciągnąć kołdrę na głowę.

– Muszę spać – mruknął. – Zostaw mnie!

– Nie, Lukas. Niedługo jadę po dzieci, a muszę o czymś z tobą porozmawiać w cztery oczy. O coś ważnym.

– To musi poczekać. Tak mnie boli... – Przełknął z wysiłkiem i jęknął. – Gardło mnie boli.

– Yngvar Stubø dzwonił.

Kołdra przestała się podnosić i opadać. Astrid zauważyła, że mąż się spał i jeszcze raz pogłaskała go po głowie.

– Zadał mi bardzo dziwne pytanie – podjęła cicho. – I ja też muszę cię o coś spytać.

– W gardle mnie pali.

– Wczoraj... – zaczęła i chrząknęła, – wczoraj przed południem rozboleła mnie głowa. Paracetamol się skończył, więc chciałam wziąć jedną z tych twoich tabletek na migrenę.

Poderwał się gwałtownie.

– Oszalałaś? To lekarstwo na receptę, tylko dla mnie! Nie wiem nawet, czy pomaga na inny ból głowy niż migrenowy.

– Uspokój się – powiedziała spokojnie. – Nic nie wzięłam. Ale przyznam ci się, że otworzyłam twoją szufladę i...

– Co zrobiłaś? – Głos przeszedł mu w falset.

– Chciałam jedynie...

– Staramy się nauczyć dzieci, żeby nie ruszały cudzych rzeczy – zachrypiał. Głos naprawdę odmawiał mu już posłuszeństwa. – Żeby nie otwierały cudzych listów, nie węszyły w cudzych szafkach. A ty... Ty po prostu idziesz i...

Głucho uderzył pięściami w kołdrę.

– Lukas! Lukas, spójrz na mnie!

Kiedy wreszcie podniósł wzrok, aż zakłuło ją w piersi.

– Musimy porozmawiać – szepnęła. – Zacząłeś mieć przede mną tajemnice.

– Nie mam wyboru.

– Owszem, zawsze mamy wybór. Kim jest ta kobieta ze zdjęcia z pokoju twojej matki? I dlaczego wyjąłeś zdjęcie z ramki i schowałeś je w szufladzie?

Nakryła dłonią jego rękę, chłodną i lepłą, nawet na wierzchu. Nie wyrwał jej, ale też i nie otworzył, żeby ująć jej dłoń.

– Wydaje mi się, że mam siostrę – wymamrotał.

Astrid nie mogła pojąć, o czym on mówi.

– Wydaje mi się, że mam siostrę – powtórzył ochryple. – Starszą siostrę, która jest dzieckiem matki, a może i ojca również. Z czasów, kiedy byli jeszcze całkiem młodzi.

– Chyba kompletnie zwariowałeś – stwierdziła Astrid łagodnie.

– Nie. Naprawdę tak myślę. To zdjęcie stało tam od bardzo dawna, ale nigdy nie wiedziałem, kto to jest. Kiedyś spytałem matkę...

Gwałtowny kaszel zmusił go do pochylenia się w przód. Astrid puściła jego rękę, ale

nie wstała.

– Spytałem matkę, kto to jest, ale nie odpowiedziała. Wyjaśniła tylko, że to przyjaciółka, której nie znam.

– To pewnie prawda.

– Dlaczego matka miałaby mieć przy łóżku zdjęcie osoby, której nigdy nie poznałem, jeśli to nie jest moja siostra? Na innych zdjęciach jesteśmy ja i ojciec.

– Znałam twoją matkę przez dwanaście lat, Lukas. Eva Karin to najuczciwsza, najpiękniejsza i najprzystojniejsza osoba, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałam. Nigdy i za nic nie robiłaby tajemnicy z dziecka. Nigdy!

– Mogła je oddać do adopcji! Przecież nie ma w tym nic złego. Przeciwnie, to mogłoby tłumaczyć, dlaczego była tak nieugięta w kwestiach aborcji i... – Głos mu się załamał, złapał się za gardło. – O co pytał Stubø?

– O to, kto był na zdjęciu.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Nic.

– Nic?

– Powiedziałam, że nie wiem. To prawda. Nie wiem, kto to jest. Ale jeśli to może mieć znaczenie dla śledztwa, musisz porozmawiać ze Stubø.

– To nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą! Nie życzę sobie, żeby ktoś z zewnątrz się w to mieszał! To ostatnia rzecz, jakiej chciałaby matka!

– Ależ, Lukas! – sprzeciwiła się cicho, znów ściskając go za rękę. – Dlaczego w takim razie Stubø miałby się tak interesować tym zdjęciem? Jego zdaniem ta fotografia musi mieć jakieś znaczenie, a my chyba chcemy, żeby tę sprawę wyjaśniono, prawda?

Nie odpowiedział. Zagniewana twarz ze spuszczonego wzrokiem tak bardzo przypominała buzię najstarszego syna, że Astrid musiała się uśmiechnąć.

– Ojciec je usunął – mruknął.

– Kiedy?

– Dzień po zabójstwie. Zdjęcie stało tam, gdy Stubø przyszedł za pierwszym razem. Zabłądził do pokoju matki i najwyraźniej zauważył potem, że zdjęcie zniknęło. Kiedy zjawił się kilka dni później.

Z pudełka stojącego na nocnym stoliku wyciągnął garść papierowych chusteczek i długo, starannie czyścił nos.

– A ty skąd je wzięłeś? – spytała. – Skoro to Erik je usunął?

– Długa historia. – Machnął zasmarkanym papierem. – A teraz muszę się przespać,

Astrid. Naprawdę. Uwierz mi, czuję się okropnie.

Nie ruszyła się z miejsca. Z otwartych drzwi na balkon wiało tak, że poruszała się gazeta na nocnym stoliku. Znów zaczęło padać, a hałas ciężkich kropli uderzających o posadzkę balkonu kazał jej podnieść głos, gdy dwa razy klepnęła koldrę, mówiąc:

– Dobrze. Ale do tej rozmowy jeszcze wrócimy.

Lukas zakrył głowę i odwrócił plecami.

– Zamkniesz te drzwi?

– Tak.

Drewno drzwi wypaczyło się i nie dawały się teraz całkowicie domknąć. Zostawiła je więc uchylone i wyszła z pokoju z brudnymi ubraniami Lukasa pod pachą.

Na dole zadzwonił telefon.

Miała wręcz nadzieję, że to Yngvar Stubø.

* * *

– Rozmawiałaś o tym z mężem? Czy Yngvar Stubø o tym wie?

Silje Sørensen słuchała Inger Johanne już blisko trzy kwadranse. Od czasu do czasu coś notowała, a kilka razy zadała jedno czy dwa pytania. Głównie jednak słuchała, coraz bardziej spięta. W pewnym momencie tej logicznej, choć niewiarygodnej opowieści na dekolcie pani nadkomisarz zaczął się rozlewać lekki rumieniec. Inger Johanne wyraźnie też dostrzegła pulsującą żyłę na jej szyi.

– Nie – przyznała Inger Johanne po prawie niezauważalnej pauzie. – On jest teraz w Bergen.

– To już zrozumiałam, ale przecież... – Silje przeczesła palcami półdługie włosy. Znów błysnął brylant. – Zobaczmy, czy zdołam właściwie podsumować – powiedziała, machając trzymanym w dwóch palcach długopisem. – „The 25’ers” – zaczęła – czyli organizacja, o której wiadomo bardzo mało. Uważasz, że przyjechali aż do Norwegii z powodów, których nie znasz, i zaczęli zabijać homoseksualistów albo ich sympatyków według ustalonego kalendarza, opartego na liczbach dziewiętnaście, dwadzieścia cztery i dwadzieścia siedem, z których jedna to tajemnicza liczba odnosząca się do Koranu, a dwie pozostałe to numery wersetów z Biblii, z Listu świętego Pawła do Rzymian.

Lekko uniosła głowę znad notatek.

– Tak – potwierdziła Inger Johanne słabym głosem.

– Zdajesz sobie sprawę, że to brzmi jak opowieść szaleńca?

– Tak.

– I nie zastanawiasz się, dlaczego siedzę tu i wysłuchuję tego od blisko... – zerknęła na złoto-stalową omegę – ...godziny?

– Owszem.

Inger Johanne znów usiadła na rękach. Żałowała, że przyszła, i czuła się jak zbity pies. Oczywiście, że powinna porozmawiać o tym z Yngvarem. To Yngvar znał jej możliwości i sposób rozumowania. Teraz się pocila i dawno nie czuła się tak zaniedbana jak w towarzystwie pani nadkomisarz o długich paznokciach i włosach, które musiał chyba tego dnia rano ułożyć fryzjer.

Silje Sørensen wstała i otworzyła szufladę biurka. Była tak drobna, że prawie nie musiała się przy tym nachylać. Inger Johanne przyszło do głowy że chyba z dużym trudem spełniła fizyczne wymagania stawiane kandydatom do wyższej Szkoły Policyjnej. Silje przez chwilę stała w milczeniu, czemuś się przyglądając. Inger Johanne ze swego miejsca nie mogła dojrzeć, co to jest. W końcu szuflada zamknęła się z trzaskiem, a Silje Sørensen podeszła do okna.

– A na dwudziesty siódmy w ogóle nie masz żadnego zabójstwa – podjęła, odwrócona tyłem. – Tylko się domyślasz, że ten...

Pauza trwała tak długo, że Inger Johanne wymamrotała:

– Niclas Winter.

– Że ten Niclas Winter został zabity, a nie umarł z przedawkowania.

Inger Johanne w myślach rozważała, czy nie powinna w tej chwili podziękować i wyjść. Torebka leżała koło jej stóp lekko uchylona i widziała, że na komórce ma trzy nieodebrane połączenia.

– Poza tym – Silje Sørensen odezwała się nagle tak głośno, że Inger Johanne drgnęła przestraszona – amerykańskie doświadczenia pokazują, że oni mordują tylko homoseksualistów, a nie sympatyków, prawda?

– Na razie bardzo mało o nich wiadomo i...

– Ty w ogóle wiesz, czy oni działają zgodnie z konkretnymi datami?

– Tak! – Inger Johanne prawie krzyknęła. – Dzwoniłam do mojej... – urwała. I tak miała problemy z wiarygodnością, nie musiała dodatkowo powoływać się na przyjaciółkę. – Dzwoniłam do adwokat Winslow z APLC – poprawiła się. – Do tej kancelarii, o której ci opowiadałam.

To była prawda. W drodze na policję Inger Johanne poczuła, że musi dorzucić trochę mięsa do tej swojej cienkiej historii, zadzwoniła więc do Karen do Stanów. Dopiero gdy przyjaciółka podniosła słuchawkę, Inger Johanne uświadomiła sobie, że w Alabamie wciąż

jest noc. Karen zapewniła ją, że to bez znaczenia, bo wciąż cierpi na *jetlag** [*Tu: zaburzenie rytmu dobowego wywołane podróżą i różnicą czasu.].

– Mówiłam już, że to numerologowie doszli, co się kryje za nazwą „The 25’ers”. Oczywiście dostali coś, na czym mogli się oprzeć, wokół czego mogli snuć swoje teorie. Wszystkie sześć zabójstw, które APLC przypisuje tej organizacji, miały miejsce dziewiętnastego, dwudziestego czwartego albo dwudziestego siódmego. Tak mi powiedziała adwokat Winslow. – Potarła nos i dodała: – Dzisiaj, przed południem.

Silje Sørensen znów podeszła do biurka, uchyliła szufladę i zajrzała do niej.

Nagle usiadła, ale szuflady nie zamknęła.

– Gdybyś przyszła do mnie tydzień temu, to uprzejmie bym cię odprawiła po pięciu minutach. Nie zrobiłam tego, ponieważ...

Popatrzyły na siebie, Inger Johanne przygryzła wargę.

– Nie wiem, na ile słusznie postępuję, mówiąc ci o tym. – Silje przez cały czas patrzyła jej w oczy. – Nie masz żadnych związków z policją, przynajmniej formalnych.

Inger Johanne milczała.

– Z drugiej jednak strony przypuszczam, że otrzymałaś mniej lub bardziej ogólne pełnomocnictwa stosownych władz w związku z tym swoim projektem. Zakładam jako oczywiste, że dostałaś zezwolenie na dostęp do spraw karnych, które prowadzimy, przynajmniej tych, w których podejrzewamy przestępstwo na tle nienawiści.

Inger Johanne otworzyła usta, żeby zaprotestować. Silje ostrzegawczo uniosła rękę.

– Powiedziałam, że zakładam, że tak jest. Nie zamierzam cię o to pytać. Po prostu dzielę się z tobą przypuszczeniami. Żebym mogła ci pokazać to.

Z otwartej szuflady wyciągnęła pojedynczą kartkę. Przez chwilę sama się jej przyglądała, nim w końcu wyciągnęła się nad biurkiem i podała kartkę Inger Johanne.

Ta wzięła ją do ręki i poprawiła okulary.

Na kartce widniały trzy nazwiska i trzy daty.

– Poznają nazwisko Marianne Kleive. Ale o tych dwóch pozostałych...

– Runar Hansen – przerwała jej Silje. – Napadnięty i pobity w parku Sofienberg dziewiętnastego listopada. Hawre Ghani, nieletni uchodźca, który...

– Park Sofienberg. – Tym razem to Inger Johanne jej przerwała. – Po wschodniej czy po zachodniej stronie?

– Po wschodniej. – Silje uśmiechnęła się leciutko. – A o Hawrem Ghanim być może słyszałaś. To te zwłoki wyłowione z basenu portowego w ostatnią niedzielę adwentu.

Inger Johanne zaschło w ustach. Rozglądała się za czymś do picia, ale w kubku został

tylko brązowy zakrzepły osad po kakao.

– On był... – Silje nabrała powietrza i zrobiła artystyczną pauzę. – Między innymi był męską prostytutką.

– Muszę się czegoś napić – oświadczyła Inger Johanne.

– Nie wiemy dokładnie, kiedy został zabity, ale wiele wskazuje na to, że to się stało dwudziestego czwartego listopada. Mamy pewną informację, że poszedł wtedy z klientem. Od tamtej pory nikt go nie widział. A ten dzień pasuje do szacunków patologa.

– Pójdę tylko do toalety – powiedziała Inger Johanne. – Po prostu muszę się napić.

– Masz. – Silje wyjęła z szafki za plecami butelkę wody mineralnej Farris. – Rozumiem, że to musi robić na tobie wrażenie. Szybciej dodałaś dwa do dwóch niż my. Wszystko to ma...

– Brakuje ci zabójstwa z dwudziestego siódmego listopada – stwierdziła Inger Johanne. Robiło jej się coraz goręcej. Korek butelki nie dawał się odkręcić. – To wszystko może być absolutny przypadek – dodała, słysząc, jak przenikliwy zrobił się jej głos.

– Sama w to nie wierzysz. A poza tym się mylisz. Nie brakuje nam zabójstwa z dwudziestego siódmego listopada. Kiedy razem z kolegą we wtorek zauważyliśmy dziwny związek między tymi trzema sprawami, za które teraz jestem odpowiedzialna... – Wychyliła się nagle nad biurkiem i machnęła palcami w stronę butelki. Inger Johanne ją oddała i Silje jednym zdecydowanym ruchem odkręciła korek. Podała Inger Johanne butelkę i ciągnęła: – To dość niespotykana sytuacja, żeby jeden oficer odpowiadał za trzy śledztwa dotyczące zabójstw. Faktycznie miałam aż cztery, ale tę ostatnią sprawę przekazałam koledze. Wcześniej za bardzo się w nią nie zagłębiałam. Podejrzewamy celowe uszkodzenie samochodu, który wypadł z drogi w Maridalen. A ponieważ na tej śmiertelnie niebezpiecznej drodze nikt nie respektuje ograniczeń prędkości, kierowca poniósł śmierć. Najpierw sprawę potraktowano jako zwykły wypadek samochodowy. Później okazało się, że ktoś mógł majstrować przy hamulcach. O tym akurat trochę wiedziałam, natomiast nie miałam pojęcia, że ofiara kierująca samochodem, Szwedka, która się nazywała Sophie Eklund, była partnerką Katie Rasmussen.

Inger Johanne potrzebowała kilku sekund, by to do niej dotarło. Wypiła już ponad pół butelki wody.

– Parlamentarzystki. Rzecznika homoseksualistów z Partii Pracy.

– Chyba wolałaby, żeby nazywać ją rzeczniczką.

– Myślisz... że mogło chodzić o nią? Że jej partnerka zginęła przez pomyłkę?

– Ja nic nie wiem ani nic nie myślę. Po prostu chcę ci pokazać, że ta twoja absurda

teoria jest zbyt prawdopodobna, żebym mogła po prostu ją odrzucić.

– Oczywiście może chodzić o kogoś innego – zaczęła znów Inger Johanne. – O jakąś inną organizację albo o naśladowników, albo...

– Posłuchaj – przerwała jej Silje. – Posłuchaj mnie uważnie. – Oparła się łokciami o biurko, a dłonie złożyła płasko. – Cieszysz się dobrą renomą, Inger Johanne. Wiele osób u nas ma świadomość, jaką pracę wykonałaś dla Kripos i nie usłyszałaś za to nawet słowa uznania. Zwróciłam na ciebie uwagę już wtedy, gdy Kripos prowadziła tę sprawę porwanyh dzieci. Wiem, że to dzięki tobie udało się ocalić życie przynajmniej jednej dziewczynki. To nie jest w naszych kręgach żadną tajemnicą.

Inger Johanne patrzyła na nią bez wyrazu. Nie miała pojęcia, do czego zmierza pani nadkomisarz.

– Ale mówi się także, że jesteś bardzo... – Wyprostowała się, oczy jej się zwięzły, nim wreszcie znalazła słowo, które uznała za odpowiednie: – Oporna. Wiesz, jak cię nazywają w Kripos?

Inger Johanne przyłożyła butelkę do ust i długo piła.

– *The reluctant detective** [*Oporny detektyw.].

Śmiech Silje był głośny, serdeczny i zaraźliwy. Inger Johanne też się uśmiechnęła i wreszcie zakręciła butelkę.

– Nie wiedziałam. Yngvar nigdy mi o czymś takim nie wspomniał.

– Bo może on o tym nie wie. Mnie w każdym razie chodzi o to, że siedzisz tu i udowadniasz, że zasługujesz na to przezwisko. Najpierw lansujesz jakąś teorię, jakby żywcem wziętą z amerykańskiego filmu klasy B, a kiedy ci mówię, że może coś w tym jest, próbujesz odkręcić kota ogonem. Wolno chyba...

Z korytarza dobiegły głośne krzyki, wrzask mężczyzny, pospieszne kroki i zawodzenie kobiety. Przerażona Inger Johanne popatrzyła na zamknięte drzwi.

– Ktoś próbuje uciec – wyjaśniła Silje spokojnie. – Na pewno mu się nie uda.

– Nie powinniśmy pomóc? Albo...

– Ty i ja? Raczej nie.

Ktoś musiał dopaść zbiega, bo nagle zrobiło się całkiem cicho. Inger Johanne bawiła się ściągaczem przy swetrze, ale nagle wpadł jej w oko kalendarz za plecami Silje. Czerwone magnetyczne kółeczko obejmowało czwartek, piętnasty stycznia.

– Niezależnie od mojej teorii – powiedziała z namysłem – to faktem jest, że w listopadzie i w grudniu mamy łącznie sześć zabójstw z takim czy innym podłożem homoseksualnym. Chyba tak możemy to określić. Dziewiętnasty, dwudziesty czwarty i

dwudziesty siódmy listopada. Te same dni w grudniu. A dzisiaj jest piętnasty stycznia.

Wciąż nie odrywała wzroku od czerwonego kółeczka. Kiedy zamruwała, jego obraz pozostał na siatkówce w postaci zielonego „O”.

– Owszem – potwierdziła Silje. – A za cztery dni jest dziewiętnasty stycznia. Może się okazać, że mamy mało czasu.

Inger Johanne dopuściła tę myśl do świadomości dopiero teraz. Ciarki przeszły jej po plecach.

– Macie w ogóle jakiś trop? Cokolwiek? Bo z tego, co mówi Yngvar, to przynajmniej w Bergen kompletnie utknęli w miejscu.

Silje Sørensen wysunęła dolną wargę i lekko pokiwała głową na boki, jakby nie bardzo wiedziała, czy może nazwać to, czego szukała, tropem. Wysunęła trzy szuflady, zanim trafiła na właściwą, i sięgnęła po plik rysunków. Szuflada zatrasnęła się, kiedy Silje wstała i podeszła do pustej tablicy korkowej.

– Mamy to – oświadczyła. – Portret pamięciowy mężczyzny, który chciał kupić usługę seksualną od Hawrego Ghani. Wtedy ostatni raz widziano chłopaka żywego.

Przypięła rysunki do tablicy jaskrawoczerwonymi pinezkami.

Inger Johanne wstała, czekając, aż wszystkie cztery kartki znajdą się na miejscu. Cała sylwetka, twarz od przodu, twarz z boku i dziwny rysunek przedstawiający chyba klapę płaszczka z jakąś odznaką.

– Wszystko w porządku?

Głos Silje zdawał się docierać do niej z bardzo, bardzo daleka.

– Inger Johanne!

Ktoś złapał ją za ramię. Głowa zrobiła się nagle taka lekka, jakby zaraz miała oderwać się od ciała i wznieść pod sufit, niczym wypełniony helem balon.

– Siadaj! Na miłość boską usiądź!

– Nie. Zostanę tu.

Nawet jej własny głos wydawał się dobiegać z daleka.

– Czy ty... Ty wiesz, kto to jest, Inger Johanne?

– Kto to narysował?

– Mamy stałego rysownika. Nazywa się...

– Nie, nie o to mi chodzi. Jaki świadek tak opisał tego człowieka?

– Młody chłopak. Ulicznik, który się prostytuuje. Wiesz, kto jest na tym portrecie?

Wciąż przytrzymała Inger Johanne za ramię. Teraz uścisk stwardniał.

– Uderzyłam tego człowieka w twarz – powiedziała Inger Johanne.

– Co?

– Albo twój świadek oszukuje, albo jest najbardziej spostrzegawczym człowiekiem na świecie. Nigdy nie zapomnę tej twarzy. On...

Krew powoli zaczęła napływać do głowy. Dawno nie czuła się przytomniejsza. Ogarnął ją dziwny spokój, jakby w końcu zdecydowała, czego chce i w co wierzy.

– On... uratował życie mojej córce – dokończyła. – Ocalił Kristiane przed nadjeżdżającym tramwajem. A ja w podzięcie uderzyłam go w twarz.

* * *

Sekretarka adwokata Kristena Fabera wreszcie zajęła się otwarciem szuflady biurka szefa. Oczywiście nie trzeba było ani ślusarza, ani stolarza. Wystarczyło zdecydowanie pogrzebać w zamku nożem do papieru, który trzymała na biurku dla ozdoby. Trzask i szuflada się otworzyła.

W środku leżała koperta. Duża, brązowa, z ręcznie wypisanym nazwiskiem Niclasa Wintera i numerem osobistym pod spodem. Zapieczętowano ją w staroświecki sposób, lakiem i pieczęcią. Jako dodatkową gwarancję tego, że nikt niepowołany nie będzie w niej grzebał, ktoś pozostawił kompletnie nieczytelny podpis w miejscu zaklejenia koperty.

Kiedy Kristen Faber przejął praktykę po starym adwokacie Skrøderze, wiele trzeba było tu uporządkować. Ulrik Skrøder zapadł na totalną sklerozę i pół roku trwało, zanim jego syn zdołał go wreszcie ubezwłasnowolnić i mógł sprzedać kancelarię. Tak się przynajmniej mówiło. W opinii sekretarki, której zadaniem było porządkowanie spraw i wychwytywanie terminów przedawnienia, które albo już minęły, albo właśnie mijały, starszek musiał przestać myśleć wiele lat wcześniej. Nigdzie nie było absolutnie żadnego porządku, posortowanie dokumentów, i to jedynie z grubsza, zajęło jej kilka miesięcy.

Kiedy wreszcie udało to się zakończyć, Kristen Faber zrozumiał, że przepłacił za praktykę. Bieżących spraw było znacznie mniej, niż mu zapowiadano, a klienci, jak się okazało, w przeważającej mierze dorównywali wiekiem swojemu adwokatowi. Całkiem po prostu wymierali, jeden za drugim, prastarzy, bez żalu żegnali się z życiem, zostawiając drobiazgowy porządek w swoich sprawach, w niczym niewymagających pomocy adwokata. Półtora roku później Kristen wystąpił z roszczeniem zwrotu połowy kwoty, którą zapłacił za praktykę, i wygrał.

Sekretarka w zasadzie potrafiła zrozumieć jego frustrację wywołaną kupieniem kota w worku. Mimo to nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie przypomnieć mu o wszystkich zalakowanych kopertach przechowywanych w osobnej szafie archiwum. Niektóre

wydawały się prastare, a syn adwokata Skrødera twierdził, że mogą zawierać bardzo cenne rzeczy. Mówił, że zostały przyjęte na przechowanie od kilku najbogatszych i najstarszych rodzin w mieście. Ojciec zawsze mu powtarzał, że ta ciężka dębowa szafa z tyloma powierzonymi mu dokumentami stanowi dowód jego dobrego imienia. Ponieważ wszystkie koperty były bez wyjątku zabezpieczone, ze starannie wypisanymi nazwiskami prawowitego właściciela zawartości, Kristen Faber zadowolili się otwarciem dziesięciu czy dwunastu sztuk wówczas, gdy czuł się najbardziej zrozpaczony inwestycją w interes, który nie przynosi nawet odrobiny zysku.

Oprócz udziałów w dawno już nieistniejących spółkach, intercyz zawartych przez wieki temu zmarłych małżonków i pliku od lat bezwartościowych banknotów, znalazł szkic powieści nieznanego autora, ale niestety, już po przeczytaniu dziesięciu stron mógł skonstatować, że jest kompletnie bezwartościowa. Po tym doświadczeniu z hukiem zatrzaskał szafę, postanowił zapomnieć o dotkliwej stracie i zaczął pracować na własną rękę.

Od tamtej pory szafa po prostu stała.

Sekretarka otworzyła ją własnoręcznie po raz pierwszy od dziewięciu lat, kiedy zadzwonił młody Niclas Winter. Sprawiał wrażenie sfrustrowanego i zachowywał się dość obcesowo, pytając, czy to możliwe, by przechowywali w archiwum kopertę z jego nazwiskiem. Ponieważ sekretarka miała w pracy sporo wolnego czasu, a poza tym z natury była osobą ciekawską, zajrzała do szafy. I znalazła kopertę. Po bliższych oględzinach koperta okazała się nowsza od większości innych, które tam leżały.

Teraz podniosła ją pod światło.

Nie dało się zobaczyć, co jest w środku. Niclas Winter też nie wspomniął nic o jej zawartości, zasypując ją pocałunkami przez telefon, kiedy przed świętami zadzwoniła powiadomić go o znalezisku.

Pokusę, by złamać pieczęć, naprawdę trudno było zwalczyć. Sekretarka położyła dłoń na grubym papierze. Takie koperty dają się otworzyć nad parą, ale lakowa pieczęć stanowiła problem.

Z westchnieniem położyła kopertę na biurku Kristena Fabera i wróciła do siebie.

Postanowiła jednak, że nie daruje, i będzie przynajmniej przy jej otwarciu.

* * *

– Nie możemy z tym wystąpić otwarcie – stwierdziła Silje Sørensen, kładąc płaską dłoń na rysunku tajemniczego mężczyzny. – Przynajmniej na razie. Gdybyśmy upublicznili ten portret, straciłby swoją wartość. Wszyscy zaczęliby mieć swoje opinie i zdanie. Zalałyby

nas informacje od ludzi, a z doświadczenia wiem, że utonęlibyśmy w tym, zanim udałoby się nam wyłowić coś istotnego. Teraz natomiast... – Jeszcze kilka sekund przyglądała się rysunkowi, nim z powrotem usiadła. – Teraz mamy asa w rękawie. Mamy coś, o czym nikt nie wie.

Inger Johanne pokiwała głową. Kiedy doszła wreszcie do siebie po rozpoznaniu mężczyzny na portrecie pamięciowym, jeszcze raz omówiły sprawę punkt po punkcie. Inger Johanne wypila pół kolejnej butelki wody mineralnej i próbowała teraz zdusić beknięcie.

– Jesteś tego najzupełniej pewna?

Silje pytała już chyba po raz trzeci.

– Jestem absolutnie pewna, że człowiek na tym rysunku jest niewiarygodnie podobny do tego, który uratował Kristiane. Jakby pozował do portretu. Tego, że to ten sam człowiek, tak jak mówiłam, nie mogę zagwarantować. Rzecz w tym... – Powietrze jednak wydostało się z przełyku. – Przepraszam. – Przycisnęła do ust zaciśniętą dłoń. – Rzecz w tym, że pojawiło się już tyle zbieżności, że nie może być mowy o przypadku. Zlokalizowanie mężczyzny, z którym Hawre Ghani był widziany po raz ostatni, w pobliżu miejsca, gdzie zginęła Marianne Kleive, trzeba przynajmniej nazwać przełomem. W obu sprawach, pozwolisz, że dodam.

– Możesz dostać tu robotę. – Silje uśmiechnęła się lekko, ale między wąskimi brwiami zaraz znów zarysowała się zmarszczka. – A skoro jesteś taka bystra, to potrafisz może wyjaśnić tę odznakę? – Wskazała palcem na rysunek. – Wprawiała nas w kompletną dezorientację.

– I o to właśnie chodziło – stwierdziła Inger Johanne. – Minęły już czasy sztucznych wąsów i fałszywego koloru włosów. Widziałaś *Nieznajomych z pociągu* Hitchcocka?

Zmarszczka na czole Silje jeszcze się pogłębiła.

– To historia dwóch obcych ludzi, którzy się spotykają, jadąc koleją – przypomniała jej Inger Johanne. – Obaj chcą kogoś zabić. Jeden proponuje, by zamienili się na zbrodnie i w ten sposób zapewnili sobie doskonałe alibi. W takim wypadku zabójca nie miałby kompletnie żadnego motywu, a jak wiadomo motyw to jedna z pierwszych rzeczy, jaką wy, policja, staracie się ustalić.

Już drugi raz w krótkim czasie pomyślała o Wencke Bencke. Postanowiła jednak to od siebie odsunąć.

– Ja... ja nie oglądam zbyt często takich filmów – powiedziała Silje.

– A powinnaś. W każdym razie ten znaczek znalazł się tutaj, ponieważ nie ma kompletnie żadnego związku ze sprawą. Przyjrzyj się reszcie ubrania. Ciemny, neutralny strój, nierzucający się w oczy. Każdy obdarzony w jakimkolwiek stopniu zmysłem

spozostzegawczości od razu zwróci uwagą na tę jaskrawoczerwoną odznakę. Poświęcicie mnóstwo energii na...

– Ale skąd on ją wziął?

– Wszystko jedno. To mogłoby być cokolwiek, coś gdzieś znalezione. Jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, to mamy do czynienia z doświadczonym zawodowym zabójcą. Weź na przykład jego włosy. Czy on jest łysy, czy ma tylko ogoloną głowę? Przypuszczam, że to drugie.

– Mogłoby się wydawać, że to czytałaś. – Silje zamachała notatką rysownika. – Martin Setre nie był pewien.

– Ale się nad tym zastanawiał? Ja jeszcze nie zdążyłam. Skoro ja miałabym zostać zatrudniona w policji, to on mógłby być zawodowym świadkiem. Przypuszczam, że ten facet... – ruchem głowy wskazała na tablicę – ma tak naprawdę całkiem zwyczajne włosy. Zamiast peruki czy zmiany koloru, co często wygląda nienaturalnie, po prostu je goli.

– Zadawaliśmy sobie pytanie – Silje lekko pokręciła głowę – czy ten człowiek z nas nie kpi.

Zapadła cisza. Inger Johanne poczuła, że palce jej drętwieją i wyciągnęła je spod siedzenia. Jedno spojrzenie powiedziało jej, że teraz nie dość, że były zaniedbane, to jeszcze białe jak kreda i w czerwone plamy.

– On nie może działać sam. – Silje raczej zadała pytanie, niż to stwierdziła.

– Chyba nie. Ja też tak myślę. To grupa. Oni działają w grupie. Ale oczywiście nie ma żadnej pewności. – Lekko wzruszyła ramionami.

– Muszę coś zrobić – oświadczyła Silje głośno i obiema dłońmi uderzyła o blat biurka. – Trzeba jak najszybciej nawiązać formalną współpracę z Kripos. I z policją bergeńską. I... – Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze przez prawie zaciśnięte wargi. – Ta sprawa jest tak kurewsko rozległa, że nie bardzo wiem, od czego zacząć.

Inger Johanne zdumiała się, słysząc, że ta drobna, bardzo kobieca osóbką używa wulgarnych słów.

– Przecież mogę się mylić – rzuciła cicho.

– Wiem, ale nie możemy ryzykować.

Wstały jednocześnie, jak na komendę. Inger Johanne podniosła z podłogi swoją wielką torbę, zarzuciła ją na ramię, wzięła budrysówkę i skierowała się do drzwi.

Nie powiedziała nic o swoim wrażeniu, że Kristiane jest obserwowana. Teraz, ściskając dłoń Silje na pożegnanie, przyszło jej do głowy, że powinna to zrobić. Silje była obca. Nie reagowała odruchowo na nadmierną lekliwość Inger Johanne tak jak Isak i Yngvar.

Poza tym sama była matką, świadczyły o tym sympatyczne rodzinne zdjęcia na parapecie.

Może by jej uwierzyła.

To też mogło mieć znaczenie dla sprawy.

– Dziękuję, że zechciałaś mnie wysłuchać – powiedziała tylko, puszcżając rękę Silje.

– Tak naprawdę to my powinniśmy dziękować – uśmiechnęła się Silje, ale bez radości.

– Pewnie niedługo znów porozmawiamy.

Gdy dwie minuty później Inger Johanne wsiadała do samochodu, rozumiała, dlaczego nie powiedziała nic o zaginionej teczce, o mężczyźnie przy płocie i trudnym do określenia, przerażającym wrażeniu, że jest ktoś, kto niekoniecznie dobrze życzy jej córce.

Gdyby nie porozmawiała o tym najpierw z Yngvarem, byłaby to zdrada wobec niego. A teraz, kiedy policja z Oslo potraktowała ją poważnie, on inaczej będzie jej słuchał.

Taką przynajmniej miała nadzieję.

* * *

Astrid Tomte Lysgaard tak bardzo chciała, by Lukas odpowiedział inaczej. Nie wątpiła, że wyznał jej prawdę. Na tyle dobrze już się znali. Mimo to pojawiło się w nim coś, czego nie rozumiała. Odkąd w pierwszej klasie liceum zostali parą, zawsze go podziwiała. Najpierw dlatego, że był przystojny, zdolny i miły. Z upływem czasu doszły zobowiązania finansowe, codzienne życie i troje dzieci. Lukas wszystko traktował poważnie. Nigdy nie zalegali z płaceniem rachunków, nie opuścił żadnego zebrania rodziców, odkąd najstarszy zaczął chodzić do przedszkola, i dobrowolnie zgłosił się do komitetu rodzicielskiego w szkole syna. Miał sprawne ręce i nie stronił od pracy. Sam zbudował i przybudówkę, i garaż. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby zapłacić komuś na czarno. Nigdy nie godził się na obmawianie kogoś za plecami i odrzucał każdą formę prześladowania.

Jej przyjaciółom czasami potrafiło się wyrwać, że Lukas jest nudny.

Nie znali go tak jak ona.

Lukas żadną miarą nie był nudny. Ale teraz go nie rozumiała.

Wstrząs wywołany śmiercią Evy Karin musiał uczynić z nim coś więcej, aniżeli tylko wprowadzić w stan głębokiej żałoby. To, że nie robił wszystkiego, co w jego mocy, by pomóc policji, nie mieściło się jej w głowie.

Lukas po prostu nigdy nie zrobił nic złego.

A nieudzielanie pomocy policji było złe.

Dolała sobie kawy i usiadła na kanapie. Uniosła filiżankę na wysokość twarzy. Czowała, jak para snuje się po skórze i stygnie.

Lukas nie miał żadnej siostry. To oczywiste, że jej nie miał. Gdyby Eva Karin w wcześniejszym życiu z Erikiem czy kimś innym urodziła córkę, przyznałaby się do tego. Gdyby dziecko zostało oddane do adopcji, powiedziałyby o tym swoim najbliższym. Co prawda czasami, w niektórych sytuacjach, Eva Karin wydawała się daleka, niemal odcięta od świata. Astrid jednak zawsze przypisywała jej duchową nieobecność temu, że jako pastor dźwigała zbyt wiele cudzych tajemnic.

Eva Karin wzbudzała zaufanie. Była powściągliwa, nawet na ambonie. Posługiwała się ciepłym, trzeźwym językiem, który sam w sobie zapraszał do zwierzeń. I nigdy, ani razu przez tyle lat Astrid nie słyszała, by Eva Karin zdradziła cudzy sekret.

Natomiast jeśli chodziło o nią samą, to była bardzo szczodra.

Otwarcie opowiadała o popełnionych przez siebie błędach i o swojej głupocie. Żywiła ogromny szacunek dla życia, nawet gdy miało stanowić dla kogoś trudność. Jej żarliwa wiara w Jezusa graniczyła z fanatyzmem. Ale nigdy tej granicy nie przekroczyła. Gdy przed kilkoma laty wydała niemałą fortunę na zakup tego portretu Mesjasza, który wisiał teraz na Nubbebakken, z oczu ciekły jej łzy radości. To był projekt ołtarza w którymś z kościołów w Østlandet. Ale Eva Karin powiedziała, że jedynie na tym właśnie szkicu artysta dał Zbawicielowi oczy niebieskie jak lód. Astrid kilkakrotnie zdarzyło się zastać teściową pogrążoną w rozmowie z jasnowłosą figurą Chrystusa o krótkich zmierzwionych włosach. Eva Karin zawsze serdecznie się śmiała z tych sytuacji, ale szybko zmieniała temat jakimś lekkim komentarzem o pogodzie.

Astrid wiedziała, że Jezus w rzeczywistości musiał mieć ciemną karnację, piwne oczy i długie włosy.

Teściowa zwykle powtarzała, że Jezus to wybaczenie.

Dla Jezusa każde życie jest święte.

Utrzymywanie w tajemnicy istnienia dziecka byłoby zbezczeszczeniem życia.

Astrid gwałtownie odstawiła filiżankę.

Gdyby chodziło o córkę oddaną do adopcji, Eva Karin miałyby chyba tylko jej zdjęcie z niemowlęctwa.

Lukas nie był sobą. Zwykle to on wprowadzał porządek w jej życie, kiedy świat stawał się zbyt chaotyczny i przebiegała się miarka. Teraz przyszła kolej na nią. Teraz to ona powinna wziąć sprawę w swoje ręce, zrobić to dla niego.

Zabrała filiżankę do kuchni i wstawiła do zmywarki. Wiedziała, że jeśli będzie zwlekać, może zmienić zdanie. Kiedy sięgała po słuchawkę telefonu stacjonarnego, poczuła, że drżą jej dłonie. Numer Stubø wciąż był pierwszy na liście odebranych numerów.

– Dzień dobry – odezwała się cicho, kiedy odebrał już po jednym dzwonku. – Mówi Astrid, żona Lukasa. Wydaje mi się, że powinien pan tu od razu przyjechać.

* * *

– Powinieneś mi o tym powiedzieć od razu!

Nawet jeśli Rolf nie był wściekły, to przynajmniej zupełnie wyjątkowo zirytowany. W tle Marcus słyszał popiskiwanie psa i głos kobiety, która próbowała uspokoić zwierzę.

– Zapomniałem – odparł Marcus cicho. – Mieliśmy wyjść coś zjeść i po prostu o tym zapomniałem.

– Kiedy dzwoni do mnie policja i prosi, żebym oddzwonił w poważnej sprawie, to mój brak odzewu stawia mnie w bardzo złym świetle. Jakbym na nich gwizdał!

– Wiem, Rolf. Mówiłem już, przepraszam.

– To nie wystarczy! Co się z tobą ostatnio dzieje?

W głosie Rolfa pojawił się ton agresji, jakiego Marcus nigdy dotąd nie słyszał. Wziął głęboki oddech, by wygłosić kolejne przeprosiny, ale Rolf go uprzedził.

– Jesteś roztargniony, mamrocześ pod nosem i łatwo się iryтуjesz. Zapominasz o podstawowych sprawach. Wczoraj nie zrobiłeś nawet Małemu Marcusowi kanapek do szkoły, chociaż to była twoja kolej. Zorientowałem się przypadkiem i musiałem coś przygotowywać w biegu.

– Mogę cię tylko przeprosić. Mam... mam dużo pracy. Wiesz, ten kryzys finansowy... Na drugim końcu linii Marcus usłyszał szybkie kroki.

– Zaczekaj! – warknął Rolf. – Wyjdę tylko, żebym mógł być sam.

Szuranie, trzaśnięcie drzwiami. Marcus zamknął oczy i starał się oddychać spokojnie.

– Minęły ledwie trzy tygodnie od chwili, kiedy błogosławiłeś ten kryzys – odezwał się w końcu Rolf tak samo zagniewany. – Twierdziłeś, że jesteś jedyną osobą, jaką znasz, której kryzys wyszedł na dobre. Mówiłeś, do jasnej cholery, że firma może podnieść dodatkowy żagiel!

– No tak. Ale wiesz, że...

– Ja nic nie wiem, Marcus. Nie mam pojęcia, dlaczego nie śpisz po nocach. Nie mam pojęcia, dlaczego zrobiłeś się taki niecierpliwy. Nie tylko w stosunku do mnie, ale i do Małego Marcusa, do matki...

– Przecież mówiłem, że przepraszam.

Teraz i Marcus podniósł głos. Wstał, podszedł do okna. Czerwonopomarańczowe słońce wisiało nisko na niebie. Statki pocięły lód na fiordzie wzdłuż i wszerz. Czarną wodę w

basenie portowym, którą miał przed oczami, pokrywało lodowe błoto. Do brzegu przybił właśnie prom z Nesodden i garstka drżących z zimna ludzi schodziła na ląd w to lodowate, piękne popołudnie.

– Dłużej tak się nie da – stwierdził Rolf z rezygnacją. – Ty prawie cały czas siedzisz w pracy. Niemożliwe, żebyś musiał...

Miał rację.

Marcus zawsze był dumny z tego, że na ogół trzymał się zwykłych godzin urzędowania. Wyznawał filozofię, w myśl której, jeśli człowiek nie wykona swojej pracy między ósmą a czwartą, to coś jest nie tak z jego efektywnością. Oczywiście zdarzało się, że jak wszyscy inni musiał zakasać rękawy i zostać dłużej, ponieważ jednak najważniejsza była dla niego rodzina, starał się wracać do domu o w miarę normalnej porze i mieć wolne wszystkie weekendy.

Ostatnio coraz częściej jednak przesiadywał w pracy do późnego popołudnia i wieczorem. Nic konkretnego nie robił. Biuro na Aker brygge stało się jego schronieniem. Chroniło go przed badawczym spojrzeniem Rolfa, przed wyrzutami. Kiedy wszyscy już sobie poszli i zostawał sam, siadał w miękkim fotelu przy oknie i patrzył, jak wieczór nadciąga nad miasto. Słuchał muzyki, trochę czytał, a przynajmniej próbował, bo trudno mu było się skupić.

– Niech to cholera! – ciągnął Rolf z rezygnacją. – Przecież ty nie jesteś materialistą, Marcus. Zawsze powtarzałeś, że pieniądze są dla nas, a nie odwrotnie. Jeśli firma ma cię połknąć, to równie dobrze możemy zamknąć cały ten bajzel i żyć skromniej niż teraz.

– Jest piętnasty stycznia – zaprotestował słabo Marcus. – Dwa tygodnie stresu w pracy to trochę, moim zdaniem, za mało na wyciąganie takich drastycznych konkluzji. Szczerze mówiąc, uważam, że jesteś niesprawiedliwy. Nie potrafię policzyć, w ile wieczorów i świąt musisz nagle wychodzić z domu, żeby zagipsować nogę jakiemuś potworowi albo przyjąć szczeniaki suki tak zdegenerowanej, że nie jest w stanie sama urodzić.

Na drugim końcu zapadło milczenie.

– To coś zupełnie innego – odezwał się w końcu Rolf. – Tu chodzi o życie, Marcus. I o stosunek do zawodu. Nigdy nie mówiłem, że zwierzęta nic dla mnie nie znaczą. A ty stale powtarzasz, że pieniądze nie mają dla ciebie znaczenia. Poza tym zawsze byliśmy zgodni, że właśnie z powodu moich nieoczekiwanych wezwań ty będziesz w domu z Małym Marcusem. My przecież... przecież co do tego jesteśmy zgodni, Marcus. Teraz chyba do niczego więcej już nie dojdziemy. Zwłaszcza przez telefon.

Chłód w głosie Rolfa przeraził Marcusa.

– Wrócę dziś wcześniej do domu – zapewnił szybko. – Wyjaśniłeś tę sprawę z policją?
– O tyle, o ile. Wieczorem przyślą patrol po te niedopalki. Zdjęcia śladów na śniegu już im posłałem e-mailem. Nie przypuszczam, żeby w czymś im to pomogło, ale mimo wszystko... Na razie.

Nie powiedział nawet „trzymaj się”.

Marcus wpatrywał się w niemy telefon, w końcu podszedł do fotela i usiadł. Siedział tam, aż niebo zrobiło się czarne, a w mieście po kolei zapalały się światła, zmieniając widok z wielkiego okna w piękny jak z widokówki obrazek wielkiego miasta zimą.

Najgorsze było to, że Rolf nazwał go materialistą.

Gdyby znał prawdę, pomyślał Marcus, nie wiedząc, skąd weźmie siły na to, żeby wstać.

* * *

– Wiesz, co to jest?

Adwokat Faber całkiem niepotrzebnie zadał sekretarce to pytanie. Pieczęć była przecież nienaruszona.

– Oczywiście, że nie wiem. Powiedziałeś, że sam chcesz ją otworzyć. Ale... czy to właściwie nie będzie złamanie tajemnicy korespondencji? Przecież na kopercie jest wyraźne nazwisko adresata i chociaż on nie żyje, to...

– Złamanie tajemnicy korespondencji! – prychnął z pogardą Kristen Faber, szukając w bałaganie na biurku nożyka do listów. – Nie jest złamaniem tajemnicy korespondencji otwarcie koperty znalezionej we własnej, kupionej za ciężkie pieniądze kancelarii. Jak ci się udało otworzyć tę szufladę?

– Proszę. – Podała mu długi, ostry nożyk. – Posłużyłam się kobiecym sprytem.

Koperta została otwarta. Faber wsunął dwa palce między rozdzielony papier i wyciągnął jakiś dokument, zaledwie dwustronicowy. Na górze wierzchniej kartki wielkimi literami napisano TESTAMENT.

– To testament – stwierdził rozczarowany, znów całkiem niepotrzebnie.

Sekretarka stała tuż przy jego ramieniu i widziała dokładnie to samo co on. Odwrócił się od niej zirytowany, prosząc jednocześnie o filiżankę herbaty. Z godnością kiwnęła głową i wyszła do recepcji.

Nazwisko testatora wydało się Kristenowi Faberowi znajome, chociaż nie bardzo potrafił je umiejscowić. Niclas Winter był wyłącznym spadkobiercą. Szybki rzut oka wskazywał na znaczną masę spadkową, chociaż frazy takie jak „cały portfel”, czy „wszystkie

nieruchomości” tak naprawdę niewiele mówiły.

Dokument spełniał wszelkie wymogi formalne. Miał numerowane strony i był podpisany zarówno przez spadkodawcę, jak i dwóch świadków, którzy w testamencie nie zostali uwzględnieni. Gdy adwokat zobaczył datę jego sporządzenia, zmarszczył na moment czoło, po czym zapisał coś na żółtej samoprzylepnej karteczce.

Sekretarka wróciła z filiżanką. To irytujące, pomyślał Faber. Musiała mieć herbatę zawnazę przygotowaną. Czym prędzej schował testament do koperty, którą zakleił taśmą. Z przodu przylepił żółtą karteczkę.

– Schowaj to do sejfu – polecił. – Muszę sprawdzić, co z tym trzeba zrobić. Niclas Winter nie żyje, ale może mieć spadkobierców.

– Nie ma – powiedziała sekretarka. – W gazecie napisali, że nie ma ani jednego spadkobiercy. O ile dobrze zrozumiałam, wszystko po nim dziedziczy Skarb Państwa.

– No cóż. – Kristen Faber wzruszył ramionami. – Wobec tego to nie takie ważne, państwo i tak dość ludziom zabiera. Ale wydaje mi się w każdym razie, że ten dokument powinien trafić do sądu do spraw spadkowych. Zajmę się tym jutro.

– Jutro idziesz do sądu z tą nową sprawą – przypomniała. – Może ja bym mogła...

– Dobrze – odparł krótko. – Zajmij się tym. Zadzwoń do sądu i zapytaj, co mamy zrobić.

– Oczywiście. Zadzwonię od razu rano. Smakowała ci herbata?

Nie chciało mu się nawet odpowiadać.

* * *

– Bardzo dziękuję, że zechciał się pan tu pofatygować jeszcze raz – powiedziała cicho, uśmiechając się lekko do potężnego policjanta. – Posłałam dwójkę starszych dzieci do sąsiadów, a William już zasypia. Biedny Lukas przespał cały dzień.

Yngvar Stubø zrzucił buty i oddał gospodyni płaszcz. Wszedł do jasnego, przyjemnego salonu. Tu i ówdzie walały się zabawki i książeczki dla dzieci, a na krześle suszył się wełniany sweter. Mimo to odnosiło się wrażenie, że w salonie panuje porządek. Miło tu, pomyślał, patrząc na wiszący nad beżową kanapą pełną kolorowych poduszek ogromny dziecięcy rysunek oprawiony w ramy.

– Kto jest tym artystą? – uśmiechnął się, głową wskazując na obraz.

– Średnia – odparła. – Andrea.

– Ile ma lat?

– Sześć.

– Sześć? Ojej, to prawdziwy talent.

Astrid wskazała ręką na kanapę.

– Bardzo proszę, niech pan siada. Kawy?

– Nie, dziękuję, już trochę późno.

Zerknęła na ścienny zegar nad blatem w otwartej na pokój kuchni. Ledwie minęła siódma.

– Może wody albo czegoś innego?

– Nie, dziękuję.

Zanim usiadł, przesunął dwie poduszki. Pachniało drożdżowymi bułeczkami i cytryną, a na kominku żywo paliło się dobrze wyschnięte drewno. Ten dom miał w sobie coś wyjątkowego, atmosferę spokojniejszą niż zazwyczaj w rodzinach z małymi dziećmi, a mimo lekkiego bałaganu wszystko wydawało się uporządkowane. Podniósł głowę, gdy mimo odmowy postawiła przed nim filiżankę kawy, dzbanuszek z mlekiem i paterę z bułeczkami.

– Takie rzeczy nie są dla mnie zdrowe – stwierdził, sięgając po bułeczkę.

Uśmiechnęła się i podeszła do półki przy oknie wychodzącym na ogród, wróciwszy stamtąd, zawahała się przez moment i w końcu usiadła na wielkiej, głębokiej kanapie obok Yngvara, który zdążył już pochłonąć połowę bułeczki.

– Niewiarygodnie pyszne – mruknął z pełnymi ustami. – Co pani dała do środka?

– Całkiem zwyczajny dżem – odparła. – Truskawkowy. Proszę.

Podala mu fotografię. Zdezorientowany Yngvar odłożył resztę bułeczki na talerzyk i starannie wytarł palce o spodnie, nim wziął zdjęcie. Ostrożnie położył je na prawym kolanie.

Papier fotograficzny był gruby, w kolorze ecru, a portret zrobiono z bliska.

– Mam nadzieję, że słusznie postępuję – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

– Z całą pewnością.

Uważnie przyjrzał się zdjęciu. Kobieta być może trudno by było nazwać piękną, ale młoda twarz miała w sobie coś ujmującego. Oczy duże, domyślał się, że niebieskie. Miły uśmiech, cień dołeczka na policzku. Jedna górna jedyńka leciutko zachodziła na drugą. Na chwilę w skupieniu zmarszczył czoło.

– Mam wrażenie, że już ją gdzieś widziałem – mruknął.

Astrid nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na Yngvara z uchylonymi ustami, wstrzymując oddech, jakby zbierała się na to, żeby powiedzieć coś, czego nie chciała.

Uprzedził ją.

– Trochę podobna do Lukasa, prawda?

Kiwnęła głową.

– Lukas uważa, że to jego siostra. Dlatego nie chciał panu pokazać tego zdjęcia. Chce ją sam odnaleźć. I nie życzy sobie, by ktokolwiek się o tym dowiedział. Na pewno uważa, że rodzina dość już wycierpiała i nie trzeba jeszcze i tego wyciągać na światło dzienne. Zapewne przede wszystkim myśli o ojcu, ale też i o pamięci matki. O sobie pewnie również, przypuszczam.

– Siostra – mruknął Yngvar. – Nieznana siostra może i by tu pasowała, ale ona jest...

– To niemożliwe – przerwała mu Astrid. Siedziała obok niego jak królowa, lekko na ukos, spięta, wyprostowana, ze złączonymi nogami. – Eva Karin nigdy nie trzymałaby w tajemnicy siostry Lukasa.

– W to wierzę. – Yngvar nie odrywał oczu od zdjęcia. – Bo ta kobieta, jeśli w ogóle żyje, byłaby dzisiaj za stara na to, by być siostrą Lukasa.

– Za stara? Skąd pan to wie? Przecież na zdjęciu nie ma żadnej daty i...

Teraz to Yngvar jej przerwał.

– Sami wpadliśmy na pomysł, że może istnieć jakieś dziecko. Spotkanie szesnastoletniej Evy Karin z Jezusem zaważyło na jej życiu. Można sobie wyobrazić, że była wówczas w ciąży i właśnie w związku z tym się nawróciła. W owych czasach dzieci młodych niezamężnych matek zwykle oddawano do adopcji, ale... – Skrzywił się i pokręcił głową. – W ciągu tych tygodni stworzyłem sobie całkiem niezły obraz pani biskup i powiem, że się z panią zgadzam. Gdyby swego czasu istniało dziecko, prawdopodobnie powiedziałyby o nim Lukasowi, przynajmniej kiedy dorósł. Dziś przecież w żaden sposób nie zostałaby za to wyklęta. Przeciwnie, taka historia stanowiłaby jeszcze lepszy fundament dla wszystkiego, co głosi... co głosiła w kwestiach aborcji.

Astrid sięgnęła po zdjęcie i delikatnie podniosła je do oczu.

– To podobieństwo może być zupełnie przypadkowe – zauważyła. – Zawsze uważałam, że Lukas jest podobny do Lill Lindfors, a oni z całą pewnością nie są spokrewnieni.

– Lill Lindfors? Tej piosenkarki? – Yngvar uśmiechnął się i przekrzywił głowę, jeszcze raz przyglądając się zdjęciu. – Rzeczywiście. Ta kobieta jest do niej podobna – stwierdził zaskoczony. – A kiedy pani tak mówi, to i Lukasowi do niej niedaleko. Ciemnowłose męskie wydanie Lill Lindfors.

– A pan jest podobny do Briana Dennehy’ego – uśmiechnęła się Astrid. – Tego amerykańskiego aktora. Choć on na pewno nie jest pańskim bratem.

– Nie pierwsza pani to mówi – roześmiał się Yngvar i wyprostował. – Ale on jest odrobinę grubszy ode mnie, prawda?

Nie odpowiedziała. Yngvar sięgnął po następną bułeczkę.

– Dlaczego pan twierdzi, że ona jest za stara? – spytała.

– Kobieta urodzona w sześćdziesiątym drugim albo trzecim dzisiaj miałaby... – Szybko policzył. – Około czterdziestu sześciu lat. Czterdzieści sześć. A jak pani myśli, ile mogła mieć lat, kiedy zostało zrobione to zdjęcie?

Ruch głową w stronę zdjęcia kazał Astrid ponownie przysunąć je sobie do oczu.

– Nie bardzo wiem – zawahała się. – Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia pięć?

– Przypuszczalnie młodsza. Może zaledwie osiemnaście. Dawniej ludzie wyglądali nieco starzej, zwłaszcza na zdjęciach zrobionych u fotografa. Pewnie ma to związek ze strojem, fryzurą. Ja sam urodziłem się w pięćdziesiątym szóstym i gotów jestem się założyć, że ta kobieta na zdjęciu jest ode mnie starsza.

– Ale jak... Nie może pan...

– Po pierwsze, jakoś papieru. – Delikatnie ujął zdjęcie za krawędź. – Gdyby ta kobieta naprawdę urodziła się na początku lat sześćdziesiątych, zdjęcie byłoby zrobione... – Znów obliczał w myślach. – Około roku osiemdziesiątego. Uważa pani, że ta fotografia ma jakiegokolwiek cechy świadczące o tym, że została zrobiona tak niedawno?

Astrid lekko pokręciła głową.

– Ja też – przyświadczył Yngvar. – Wydaje mi się, że pochodzi z początku lat sześćdziesiątych. Może z sześćdziesiątego piątego, ale nie później. Proszę spojrzeć na ubranie i na fryzurę.

– Urodziłam się w osiemdziesiątym – wyznała nieśmiało. – Nie znam się na modzie z lat sześćdziesiątych. Ale to by oznaczało, że ta kobieta... ta pani jest w wieku Evy Karin!

– Owszem. – Yngvar przyłapał się na tym, że ma ochotę sięgnąć po jeszcze jedną bułeczkę. – A w takim razie... – Znów ułożył sobie zdjęcie na kolanie. Pochylił się nad nim i uważnie śledził rysy. Zgrabny prosty nos, wysokie czoło bez jednej zmarszczki, gładkie policzki i włosy jak namalowane, ułożone w eleganckie fale z loczkiem przy skroni. – Czy to może być siostra? – mruknął, w końcu się prostując. – Nie jest podobna do Evy Karin, ale to tłumaczyłoby podobieństwo do Lukasa. Czasami geny potrafią krążyć dziwnymi drogami.

Astrid patrzyła na niego przerażona.

– Siostra? Eva Karin ma dwoje rodzeństwa, oboje są od niej młodszy. Einar Olav ma około pięćdziesięciu pięciu lat, a Anne Turid w zeszłym roku skończyła pięćdziesiąt. Nie, to było dwa lata temu. To nie jest ona!

Z przedpokoju dobiegł hałas, jasne dziecięce głosy. Ktoś się śmiał, trzasnęły drzwi.

Astrid szybko schowała zdjęcie do koperty, z której je wyjęła. Zawahała się ledwie

przez sekundę, nim podała je Yngvarowi.

– Cicho bądźcie, dzieci!

Ciągle patrzyła mu w oczy.

– Tatuś i William śpią, bądźcie cicho, dobrze?

Yngvar wstał. Skierował się do przedpokoju, po drodzeomal nie przewróciła go dwójka biegnących dzieciaków. Patrzyły na niego z zaciekawieniem.

– Kto ty jesteś? – spytała młodsza.

– Jestem Yngvar. A ty jesteś Andrea, młody Picasso.

Dziewczynka się roześmiała.

– Nie, bo ja rysuję uszy i nogi tam gdzie trzeba.

– To dobrze. Zawsze dobrze mieć takie rzeczy na właściwym miejscu.

– Dziękuję, że zechciał pan się pofatygować – powiedziała Astrid.

Oparła się ramieniem o futrynę, a ręce skrzyżowała na piersi. W pewnym sensie czuła ulgę. Uśmiechała się szerzej niż poprzednio, i nawet się roześmiała, kiedy ośmiolatek pokazał jej biegnący wokół całego przedramienia sztuczny tatuaż z logo klubu Brann.

– To ja dziękuję. – Yngvar podniósł do góry kopertę na pożegnanie i wyszedł na kamienne schodki.

Drzwi za nim się zamknęły, ruszył do samochodu. Ledwie wsiadł i włączył silnik, Astrid przybiegła za nim. Opuścił szybę i wyjrzał.

– Pomyślałam, że może miałby pan ochotę – powiedziała, podając mu plastikową torbę z resztą bułeczek. – Najlepsze są świeże, a panu chyba smakowały.

Zanim się opamiętał na tyle, żeby podziękować, już biegła z powrotem. Yngvar posiedział chwilę, otworzył torbę i wyjął cudowną bułeczkę. Kiedy miał ją ugryźć, poczuł wyrzuty sumienia.

Ale świeże ciasto drożdżowe ma w sobie coś wyjątkowego.

A lepszego dżemu truskawkowego nie jadł nigdy w życiu.

Wstyd

Marcus usiłował myśleć o tym, co dobre w życiu. O tym, co ładne i piękne i co do tej pory sprawiało, że warto było się męczyć. O tym, co istniało wcześniej, zanim brutalnie sobie uświadomił, że całe jego życie opiera się na pomyłce. Na nieporozumieniu.

Rabunek.

To był rabunek, który przesłonił wszystko, o czym chciał myśleć, żeby w ogóle dało się zasnąć.

Rolf lekko pochrapywał.

Marcus powoli usiadł na łóżku. Po każdym ruchu robił krótką przerwę. W końcu stanął na podłodze. Drzwi do przedpokoju skrzypiały, postanowił więc przejść przez luksusową łazienkę, znajdującą się tuż za ścianą głównej sypialni. Udało mu się tam dotrzeć i zamknąć drzwi za sobą, nie budząc przy tym Rolfa.

Przytłumione światło wciąż się paliło. Mały Marcus miał własną łazienkę, ale w nocy wolał korzystać z tej.

Nawet w słabym świetle Marcus wyglądał okropnie. Dosłownie przestraszył się własnego odbicia w lustrze. Kręgi pod oczami zmieniły się w obwisłe worki, a skórę miał tak bladą, że wydawała się wręcz niebieskawa. Utył. W ciągu żadnego z piętnastu minionych już dni nowego 2009 roku nie dotrzymał noworocznego postanowienia. W nosie kręcił nieprzyjemny odór ciała, nocnego potu, brudnej pizamy i strachu. Odwrócił się od upiornego odbicia i wyszedł na korytarz.

Drzwi do pokoju syna były uchylone. Tu Marcus mógł już się poruszać z mniejszą ostrożnością. O tej porze dom mógł się zawalić, a chłopiec i tak by się nie obudził. Marcus stanął w drzwiach i patrzył na śpiące dziecko.

Pokój pograżony był w chłodnym niebieskawym świetle stojącej nad łóżkiem nocnej lampki w kształcie statku kosmicznego podróżującego przez galaktykę. Zabawki i książki stały gęsto na półkach pod ścianą, a na ekranie komputera migotały gwiazdy wygaszacza,

który chłopiec sam ściągnął. Sfatygowany miś, ciągle potrzebny synkowi do towarzystwa w łóżku, leżał bezradny na podłodze. Jedno oko dawno gdzieś stracił, drugie ślepo wpatrywało się w sufit. Marcus przeszedł na palcach, starając się nie stąpnąć na żaden z leżących na podłodze przedmiotów, i podniósł misia. Na chwilę przyłożył go do nosa. Wdychał zapach wszystkiego, co miało znaczenie.

Po cichu pochylił się nad chłopcem, wsunął mu Freddy'ego pod pachę i okrył kołdrą. Mały Marcus coś mruknął, cmoknął i nagle z całej siły przytulił misia.

Marcusa ogarnęła tak nieodparta potrzeba, by położyć się obok synka, że aż zaszlochał. Znow chciał być silny, chciał być tym tatą, który będzie pocieszał syna, gdy chłopiec zbudzi się z koszmaru i będzie go potrzebował. Chciał tulić Małego Marcusa i opowiadać mu cicho historie o dawnych czasach i o podróżach kosmicznych. Synek by się do niego przytulał i uśmiechał, a jego włosy łaskotałyby Marcusa w nos. Byliby tylko we dwóch na świecie, jak w czasach przed pojawieniem się Rolfa, zanim zaczęli być we trzech.

Zanim to coś straszego podstępnie do niego podpełzło.

Powoli, tyłem wyszedł z pokoju.

Nie wiedział, co robić.

Nie wiedział, co zrobić z życiem i co zrobić z nocami. Z tą nocą. Ciemność drwiąco śmiała się z niego z kątów, czuł, że puls mu przyspiesza. Szybko ruszył w stronę schodów, postanowił zejść do gabinetu, zamknąć drzwi, włączyć telewizor. Zapalić wszystkie światła i udawać, że jest dzień.

Kiedy wreszcie dotarł na dół, prawie trzasnął drzwiami. Zdyszany uderzył dłonią w panel sterujący oświetleniem, ale bez żadnego efektu. Wziął się w garść i zaczął jednym palcem naciskać po kolei wszystkie czujniki. Gabinet w końcu zalało światło, a telewizor się włączył. Był już wcześniej zaprogramowany na NRK, która puszczała wideoklipy z muzyką taneczną. Wziął z biurka pilota i przyciszył, potem zmienił kanał na CNN. Usiadł na szerokim, ciężkim krześle biurowym i odchylił głowę w tył. Wrzód żołądka zapiekł, w gardle poczuł gorzki, nieprzyjemny smak. Ból promieniował spod mostka, rozlewając się na całe ciało. Mózg pracował na jałowym biegu, a pęcherz zdawał się za chwilę pęknąć, mimo że był w toalecie mniej niż pół godziny temu.

To już nie było życie.

Nagle się wyprostował i wyjął klucz do kupionej razem z domem ciężkiej, narożnej szafki. Malowane róże początkowo uważał za kuriozalne i dość wulgarne, ale z czasem je polubił, zwłaszcza że szafka była osiemnastowieczna, w wyjątkowo dobrym stanie i warta fortunę. Teraz wydawało mu się, że girlandy przesadnie wielkich, tłustych kwiatów wyciągają

się po niego, gdy wsuwał w zamek stary klucz. Za drzwiczkami było pięć niedużych szufladek. Otworzył górną. Tam leżały tabletki, o których nigdy nie powiedział Rolfowi. To nie było konieczne. Zarówno one, jak i te w pudełku w pracy od wielu lat pozostawały nietknięte. Wysypał je na dłoń i wrócił do biurka. Rzucił je na podkładkę do pisania z cielejącej skóry.

Marcus nie wiedział, czy przeterminowane leki tracą skuteczność. Raczej nie, a przynajmniej nie całkiem. Połknięcie wszystkich prawdopodobnie by wystarczyło. Na próbę położył jedną na języku.

Smak miały taki sam jak kiedyś, nieprzyjemny, lekko słonawy.

Małemu Marcusowi byłoby lepiej bez niego.

Rolf się nim zajmie.

Rolf był lepszym ojcem niż on. Marcus, robiąc to, co zrobił, nie tylko popełnił przestępstwo, ale przestał też być godnym ojcem. Jego życie polegało na byciu ojcem, a życie w takiej roli się skończyło.

Gdy wkładał do ust jeszcze jedną tabletkę, z oczu bezgłośnie płynęły mu łzy.

I jeszcze jedną.

Lekka senność kazała mu odchylić się na krzesło i zamknąć oczy. Zwilżył palec wskazujący śliną i na oślep przycisnął go do blatu. Do palca przykleiła się kolejna tabletkę, ją też położył na języku.

Nim zasnął, zdołał jeszcze otworzyć szufladę w biurku, brzegiem dłoni zgarnąć do niej resztę lekarstw.

Nie jestem mężczyzną nawet na tyle, żeby odebrać sobie życie, pomyślał otepiały, zanim wreszcie przyszedł upragniony sen.

* * *

Yngvar obudził się w piątek szesnastego stycznia za dwadzieścia siódma z poczuciem, że w ogóle nie spał. Za każdym razem, gdy zapadał w sen, przed oczami stawało mu zdjęcie kobiety z sypialni Evy Karin. Myśl o tym, że ich teoria o zaginionym lub odrzuconym dziecku mogła być słuszna, lecz cały problem należało przesunąć o jedno pokolenie w tył, budziła go raz za razem. Z każdą mijającą godziną coraz bardziej się do niej przekonywał. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się to, że pani biskup pragnęła ochronić pamięć rodziców, niż że sama chciała uciec przed wstydem wiążącym się z urodzeniem nieślubnego dziecka w wieku szesnastu lat.

Poza tym to już przestało być wstydem, a kobieta na zdjęciu nie mogła urodzić się na

początku lat sześćdziesiątych.

Musi chodzić o siostrę, pomyślał Yngvar i spuścił nogi z łóżka. Kiedy ostatnio patrzył na zegarek, było trochę po piątej. A więc spał przynajmniej półtorej godziny.

Inną przyczyną tej nieprzespanej nocy był brak kontaktu z Inger Johanne. Nie rozmawiał z nią już od półtorej doby. Wczoraj wieczorem próbował dodzwonić się trzy razy, ale słyszał jedynie jej mechaniczny głos proszący o zostawienie wiadomości po sygnale. Kiedy zatelefonował pierwszy raz, rzeczywiście się nagrał. Mimo to nie oddzwoniła. Kiedy szedł do łazienki, irytacja mieszała się z lekkim lękiem.

Miał dość mieszkania w hotelu.

Łóżko było za miękkie.

Od mydła wysychała mu skóra na dłoniach i miał już po uszy hotelowego jedzenia.

Chciał wracać do domu.

Rozległo się walenie do drzwi. Zirytowany spuścił wodę, owinał się w pasie ręcznikiem i poszedł otworzyć. Ciągnął się za nim ostry zapach porannego moczu. Uchylił drzwi i wsunął twarz w szparę.

– Co jest, do cholery, z twoim telefonem? – Sigmund Berli pchnął drzwi, w drugiej ręce podnosząc „VG”. – Widziałeś to? Wracamy do domu pierwszym samolotem. Ubieraj się i pakuj walizkę!

– Ja też ci życzę dobrego dnia – odpowiedział Yngvar ze złością, wpuszczając kolegę do pokoju. – Muszę cię prosić, żebyś mówił po kolei. Zacznij od telefonu.

– Od wczoraj dzwoniłem do ciebie pięć razy. Nie możesz być nieosiągalny!

– Przecież nic takiego nie zrobiłem. Spróbuj teraz do mnie zadzwonić.

Wziął telefon z nocnej szafki i czekał, aż Sigmund wstuka numer w swojej komórce.

– Już łączy – oznajmił Sigmund z telefonem przy uchu. – Może wyciszyłeś dzwonek?

Yngvar patrzył na wyświetlacz, ale nic się na nim nie zmieniło.

Inger Johanne mogła więc mimo wszystko próbować.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś na ten? – Yngvar wskazał na telefon hotelowy stojący na biurczku pod oknem.

– Nie pomyślałem – odparł Sigmund pogodnie. – Ale gwizdź na to, zaraz wracamy do domu! Lepiej spójrz tu!

Yngvar wziął „VG” w dwa palce, jakby gazeta mogła go ugryźć.

Z pierwszej strony krzyczał nagłówek:

Organizacja działająca z nienawiści odpowiada za sześć zabójstw. A podtytuł:

Przerażająca teoria policji. Biskup Lysgaard jedną z ofiar.

– Co to, do cholery? – Yngvar jeszcze bardziej podniósł głos. – Co to, do cholery, ma być?

– Przeczytaj! – doradził Sigmund. – Dowiesz się z tego, że policja w Oslo dostrzegła możliwy związek między zabójstwem Marianne Kleive i jakiegoś kurdyjskiego chłopaka wyłowionego w stanie rozkładu z basenu portowego tuż przed świętami.

– Co? Ale co ma z tym wspólnego Eva Karin Lysgaard?

Yngvar usiadł na łóżku i otworzył gazetę na stronie piątej i szóstej. Trudno mu było wyostrzyć wzrok. Oczy biegały po tekście. Półtorej minuty później podniósł głowę, rzucił gazetą o ścianę i ryknął:

– Jak to możliwe, do ciężkiej cholery, żeby „VG” wiedziała o tym wcześniej niż ja? Nauczyłem się już żyć z tym, że dowiadują się wszystkiego za wcześnie, ale żeby...

Poderwał się tak gwałtownie, że ręcznik opadł mu z bioder – nawet nie zauważył, że jest całkiem nagi. Podskoczył do Sigmunda i zaczął mu wygrażać zaciśniętymi pięściami.

– Mamy co rano zamiast odprawy urządzać zbiorowe czytanie gazet? To przecież... To przecież... Psiakrew, Sigmund, to przecież jakiś cholerny skandal!

– Jesteś goły, Yngvarze – zachichotał Sigmund. – I zacznasz robić się tłusty.

– Gównu mnie to obchodzi!

Ciężko tupiąc, poszedł do łazienki. Sigmund usiadł na krześle przy biurku i włączył telewizor. Przerzucił na TV2. Słyszał, jak Yngvar buszuje w łazience za zamkniętymi drzwiami. Pół minuty później wyszedł stamtąd, wyjął z walizki czyste ubranie i błyskawicznie je włożył. Sigmund nie podejrzewałby potężnego kolegi o taką zwinność.

– Za pięć minut wiadomości. Obejrzyjmy przed wyjazdem – zaproponował Sigmund.

– Jakaś banda ze Stanów – warczał Yngvar, próbując zawiązać krawat. – To największy idiotyzm, jaki w życiu słyszałem!

– Wcale nie banda – poprawił go Sigmund. – To organizacja. Grupa motywowana nienawiścią.

– Jeszcze głupsze. Kto, u wszystkich diabłów, wymyślił ten stek bzdur? – Sięgnął po torbę z brudnymi rzeczami i wepchnął ją do walizki. Z krawata zrezygnował.

– Inger Johanne. – Sigmund Berli roześmiał się głośno. – To teoria Inger Johanne.

– Co ty wygadujesz?

Yngvar rzucił się w kierunku leżącej na łóżku poszarpanej gazety. Znow przebiegł wzrokiem artykuł.

– Tu nic o niej nie ma – stwierdził, nie odrywając wzroku od materiału ilustrowanego zdjęciami Marianne Kleive i biskup Lysgaard. – O Inger Johanne nikt nie wspomina ani

słowem. – Odetchnął i cisnął gazetę na podłogę.

– Rozmawiałem z niejaką Silje Sørensen. Z Komendy Okręgowej w Oslo. Zadzwoiła do mnie o szóstej. Próbowwała cię złapać, ale bez powodzenia.

– Czy wszyscy ludzie kompletnie zidiocieli? Przecież ja, do jasnej cholery, mieszkam w hotelu, a to... – Trzema krokami dopadł staroświeckiego białego aparatu. Jedną ręką złapał słuchawkę, a pozostałą część aparatu w drugą i podsunął go pod nos Sigmundowi. – A to jest telefon!

– Uspokój się, Yngvarze. Uspokój się!

– Ja się nie chcę, do cholery, uspokoić. Chcę wiedzieć, o co chodzi w tych bredniach i dlaczego...

– No to mnie posłuchaj. Posłuchaj, co mam do powiedzenia, zamiast ciskać się jak szaleniec. Jeśli się zaraz nie uspokoisz, zjawi się dyrekcja i wywalą nas stąd.

Yngvar odetchnął głęboko, kiwnął głową i ciężko usiadł na łóżku.

– No to mów – mruknął.

Sigmund leciutko klasnął w dłonie.

– Tak już lepiej. Za wiele nie wiem. Silje Sørensen była prawie tak samo jak ty wściekła na to, że „VG” wywęszyła sprawę. Ta kobieta podobno postawiła całe Grønlandsleiret na nogi, żeby znaleźć przeciek. Potwierdziła natomiast, że w istocie chodzi o sześć zabójstw. Okazało się, że jakiś facet, artysta, który umarł w święta, pozornie z przedawkowania heroiny, miał we krwi śladową dawkę curacitu. Mieliśmy szczęście, bo curacit rozkłada się cholernie szybko, a facet na początku tygodnia poszedł do ognia. Ale ponieważ jego zgon mimo wszystko uznano za podejrzany, to w laboratorium zamrozili próbkę krwi. A curacit...

– Co?

– Curacit. No wiesz, ta trucizna, która paraliżuje oddech i...

– Wiem, co to jest curacit. Zastanawiam się nad tym...

– Zaczekaj chwilę i wysłuchaj mnie do końca. No więc ten artysta został zamordowany. I on... on również był homo. Zabili też jakiegoś ćpuna w parku Sofienberg w listopadzie, a wszyscy wiedzą, co się tam wyprawia w nocy, prawda? – Nie dopuszczając Yngvara do głosu, ciągnął: – I jeszcze jakaś kobieta, o której wszyscy myśleli, że zginęła w wypadku samochodowym, ale po bliższym sprawdzeniu okazało się, że ktoś coś majstrował przy hamulcach. A jej preferencje łóżkowe sam możesz zgadnąć.

Yngvar tylko patrzył na niego z rezygnacją.

– Ta Silje Sørensen zachowywała się jak kompletna paranoiczka – opowiadał dalej

niezrażony Sigmund. – Zadzwoiła do mnie z domu, w dodatku z komórki syna. Ale bez względu na to, czy ci dziennikarze mają dobre źródła, czy podsłuchują policję, czy cokolwiek innego robią, to „VG” ma nazwiska tylko trzech ofiar. Pani biskup, Marianne Kleive i tego chłopaka wyłowionego z morza. Sam ci nie mogę go powtórzyć, bo nie jestem w stanie zapamiętać tych murzyńskich nazwisk.

Yngvar był zbyt wytrącony z równowagi, żeby protestować przeciwko takiemu określeniu.

– W każdym razie ta Sørensen powiedziała, że Inger Johanne przyszła do niej z jakimiś pytaniami i teorią związaną z jej badaniami, głównie dotyczącymi nienawiści. Nie bardzo wiem, o co w nich chodzi. W każdym razie ta jej teoria tak bardzo pasowała do materiałów zgromadzonych przez Oslo, że teraz powstał już cały sztab, który prowadzi szeroko zakrojone śledztwo. Policja z Oslo we współpracy z Kripos. Każą nam wracać. Mniej więcej tyle wiem. Cicho! Są wiadomości.

– Cicho – powtórzył Yngvar ze złością. – Przecież się nie odzywam.

Sigmund podgłośnił.

W wiadomościach TV 2 najważniejsza była sprawa opisywana przez „VG”.

Najwyraźniej mieli problemy czasowe, bo reportaż ilustrowano obrazami z archiwum, nie zdążyli nawet ściągnąć zimowych zdjęć. Wielki budynek policji skąpany był w słońcu, a przy głównym wejściu kręcili się ludzie w letnich ubraniach. Głos z offu nie powiedział nic poza tym, co było w gazecie.

– Cicho! – powtórzył Sigmund, gdy kamera pokazała drobną kobietę ze złotymi paskami i dwiema gwiazdkami na pagonach munduru.

– Absolutnie nie możemy w tej chwili komentować sprawy – oświadczyła zdecydowanie i odchyliła się od mikrofonu.

Ktoś znów go do niej przysunął.

– Czy może pani potwierdzić informację w dzisiejszym wydaniu „VG”? – spytał dziennikarz.

– Mówiłam już, że nie mam nic na ten temat do powiedzenia.

– Kiedy zamierzacie poinformować opinię publiczną o tej sprawie, która wydaje się niezwykle poważna?

– Nie mogę nic powiedzieć.

Sigmund wyłączył telewizor.

– Jedziemy – oświadczył, wstając. – Zaczynam być na serio ciekawy, o co tutaj chodzi. Idę po bagaż. Widzimy się na dole za dwie minuty. A co to takiego?

Ruchem głowy wskazał na nocną szafkę, na której Yngvar położył portret nieznanym kobiecie.

– Zdjęcie, o którym ci mówiłem.

– Jakie zdjęcie?

– To, które stało w pokoju Evy Karin. Musimy po drodze podzucić je do komendy. Chcę wiedzieć, kto to jest. Oni prawdopodobnie najlepiej sobie z tym poradzą.

– Jak je znalazłeś? – spytał Sigmund.

– To długa historia.

– No to mi ją daruj. Widzimy się na dole, dobrze?

Yngvar kiwnął głową. Wciąż siedział na łóżku. Trudno mu było przetrwać wszystko, czego się dowiedział w ciągu ostatnich trzydziestu minut, i trochę kręciło mu się od tego w głowie. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek ktoś go tak zaskoczył. Kiedy w końcu wstał, musiał się podeprzeć, żeby nie stracić równowagi.

Fakt, że „VG” wiedziała znacznie więcej o sprawie, którą sam prowadził, był klęską. Ale jako jeszcze większą klęskę przyjął to, że Inger Johanne zwróciła się do policji w Oslo z czymś, o czym on nawet nie miał pojęcia.

Złapał niedużą walizkę, płaszcz i wyszedł z pokoju. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pojął, że dziwny skurcz w brzuchu wcale nie jest wywołany głodem.

Czuł się upokorzony przez własną żonę i nie potrafił już nawet się wściekać. Po prostu rozboleł go brzuch.

Tak jak w dzieciństwie, kiedy się wstydził.

* * *

Sekretarka Kristena Fabera nie wstydziła się ani trochę, że od czasu do czasu robiła sobie kopie dokumentów i zabierała je do domu. Mąż tak lubił, kiedy opowiadała o sprawach, z jakimi się zetknęła. Czasami ogromnie bawiły ich protokoły z przesłuchań, podczas których sprawca z całych sił próbował się wykręcić od oczywistej winy, a bezradne sformułowania jeszcze pogarszały sprawę biedaczyska, którego nie stać było na adwokata. Nigdy nie trzymała tych dokumentów zbyt długo. Trafiały do kominka, kiedy tylko przestawały być ekscytujące.

Kopię testamentu wyjętego z głębokiej szafy archiwum wetknęła do torebki wcale nie dla zabawy. Przeciwnie, jej mąż bardzo spoważniał, gdy przy kolacji mu o nim opowiedziała. Nie wiedział wprawdzie nic o nieszczęsnym Niclasie Winterze, za to o testatorze słyszał. Tak bardzo chciał zobaczyć ten dokument, że rano zrobiła dwie kopie, ale tylko jedną schowała w

archiwum adwokata Fabera.

Chyba nic złego się nie stanie, jeśli mąż sobie na to zerknie?

Spięła teraz pismo przewodnie wraz z oryginalnym testamentem i oba dokumenty włożyła do koperty. Niecałe dwie minuty zajęło jej ustalenie, że sąd do spraw spadkowych to właściwy adres dla takiego dokumentu. Chcąc mieć pewność, że nie popełniła błędu, postanowiła iść na pocztę i wysłać go listem poleconym. W takich sprawach lepiej dmuchać na zimne. Kiedyś sąd twierdził, że adwokat Faber przeoczył termin składania apelacji, chociaż ona głowę dawała, że wysłała pismo w porę.

Testament nie był wprawdzie równie ważny jak apelacja, ale tamtą tyradę wygłoszoną wtedy przez szefa zapamiętała na długo. Przynajmniej nie będzie wątpliwości, że list został wysłany. Włożyła płaszcz, schowała kopertę do torebki i nucąc pod nosem, zamknęła drzwi kancelarii na klucz i wyszła na piękne słoneczne przedpołudnie.

Rozważna i romantyczna

Teczka się dzisiaj odnalazła. Wypożyczył ją pedagog specjalny i źle odłożył. Przepraszam za kłopot.:) Live Smith.

Inger Johanne przeczytała SMS dwa razy i nie wiedziała, czy czuje ulgę, czy złość. Z jednej strony to wspaniale, że teczka Kristiane się odnalazła, z drugiej przerażało ją, że szkoła tak niedbale traktuje wrażliwe dane. Zamykając drzwi swojego pokoju w pracy, uświadomiła sobie, że właściwie powinna skakać z radości. Jeżeli teczka Kristiane naprawdę została po prostu położona w niewłaściwe miejsce, powinno to stłumić ten jej niepokój i wrażenie, że ktoś obserwuje córkę.

Wsunęła komórkę do torby i niewidziana przez nikogo wymknęła się z budynku. Była dopiero druga, ale ona nie mogła się skupić na niczym innym oprócz prób skontaktowania się z Yngvarem. Wciąż się nie odzywał i nie odbierał telefonu.

Nie wiedziała już, ile razy próbowała do niego dzwonić.

* * *

Sekretarka adwokata Fabera postanowiła na wszelki wypadek zadzwonić i złożyć zamówienie. Delikatesy Łosoś na Bjølsen były najlepszym miejscem na zakup wątróbki cielecej, a jej mąż tak bardzo lubił wątróbkę na niedzielny obiad. Musiała być cieleca, bo inna była zbyt ostra. A może w sklepie będą mieli jeszcze *lutefisk*, chociaż sezon na nią już się skończył, wtedy ryba byłaby na sobotę, a wątróbka na niedzielę. Już miała podnieść słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił. Odebrała czym prędzej i rzuciła zwykły tekst:

– Kancelaria adwokata Fabera. Czym mogę państwu służyć?

Kristen usiłował ją nakłonić, by zarzuciła tę oficjalną formę, bo przez to jego zdaniem kancelaria wydawała się archaiczna. Ona jednak obstawała przy swoim. Nienaturalne wydawało się jej bezosobowe zwracanie się kompletnie nie wiadomo do kogo.

– Witaj, moja droga!

– Ach, to ty. – Uśmiechnęła się. – Właśnie miałam dzwonić do Łososa zamówić *lutefisk* i wątróbkę cielecą. Będziemy mieć pyszne obiady.

– Świetnie – odpowiedział mąż. – Bardzo się cieszę. Jest tam gdzieś adwokat Faber?

– Kristen? Ty chcesz rozmawiać z Kristenem?

Nie zdziwiłaby się bardziej, nawet gdyby mąż nagle przed nią stanął. Jego noga nigdy nie postąpiła w kancelarii, nigdy też osobiście nie poznał Kristena Fabera. Kancelaria to było jej królestwo. Odkąd mąż z powodu pogarszającego się wzroku poszedł na wcześniejszą emeryturę, parę razy proponował, że wybierze się do centrum zobaczyć, jak jej mijają dni. Oświadczyła, że nie ma o tym mowy. Dom to dom, a praca to praca. Wprawdzie chętnie opowiadała o tym, co robi, i często razem świetnie się bawili nad dokumentami, na których zabieranie do domu sobie pozwalała, to żadnych kontaktów między mężem a nieuprzejmym i niegrzecznym szefem sobie nie życzyła.

– A po co ci on?

– No bo widzisz... w tym testamencie, który wczoraj przyniosłaś do domu, jest coś nieczystego...

– Nieczystego? Co masz na myśli?

Wczoraj wieczorem przeczytała mu go na głos. Mąż wciąż mógł czytać, ale widzenie tunelowe kazało mu coraz częściej prosić ją o taką przysługę. Na ogół spełniała ją z przyjemnością. Po wiadomościach zazwyczaj czytała mu na głos gazety, z przerwami na większe i mniejsze dyskusje o wydarzeniach minionego dnia.

– Coś tu jest...

Do kancelarii wpadł adwokat Faber.

– Muszę coś zjeść – oświadczył zdyszany. – Przerwa na lunch kończy się za niecałe pół godziny, a ja się wygłupiłem w kilku dokumentach. Jakąś bagietkę czy coś takiego, dobrze?

Sekretarka kiwnęła głową, zasłaniając ręką słuchawkę.

– Już biegnę – powiedziała do szefa.

Gdy drzwi do gabinetu Fabera się zamknęły, ponownie zwróciła się do męża:

– Nie ma potrzeby rozmawiać z Kristenem, mój drogi.

– Ale ja muszę...

– Omówimy to, jak wrócę do domu. Teraz muszę pędzić. Strasznie dużo dziś roboty. Porozmawiamy po południu, dobrze?

I nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

Kiedy starała się jak najszybciej włożyć płaszcz, lekko zakłuło ją sumienie, co przyjęła

zresztą ze zdziwieniem. Prawdopodobnie nie powinna zabierać do domu dokumentów objętych tajemnicą. Nigdy tak naprawdę się nad tym nie zastanawiała. Miała przecież do nich swobodny dostęp, a męża po tylu latach małżeństwa uważała niemal za część siebie.

Ale całkiem w porządku to jednak nie jest, pomyślała, sięgając po torebkę i wychodząc do sieciowej piekarni Hansena. W każdym razie żadnego kontaktu między mężem a Kristenem Faberem sobie nie życzyła.

Bjarne czasami miał za długi język.

* * *

– Długo biegłaś, córeczko? Taka jesteś spocona!

Inger Johanne przytuliła córkę, która objęła ją i nie chciała puścić.

– Aż od Tåsensenteret – powiedziała. – U taty było super. A ty jakoś dałaś sobie radę beze mnie?

– Jakoś. – Inger Johanne pocałowała ją we włosy. – A ty? – Ostatnie słowa skierowała do Isaka, który postawił torbę z rzeczami Kristiane na podłodze i stanął w drzwiach z rękami w kieszeniach kurtki. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Oczy miał poważne i wyglądał tak, jakby nie mógł się zdecydować, czy ma od razu iść, czy zostać.

– Też – odparł z wahaniem.

– Wejdiesz na chwilę?

– Dziękuję, ale... – Wyjął ręce z kieszeni i uściskał Kristiane. – Biegnij na górę do Ragnhild, skarbie, ja tylko chwilę porozmawiam z mamą, dobrze? Kocham cię. Na razie.

Kristiane z uśmiechem złapała swoją torbę i zaczęła ją ciągnąć po stromych schodach.

– Jadę w weekend w góry – zakomunikował Isak. – Mogę zatrzymać Jacka?

– Ależ oczywiście.

Siedzący na schodach żółty kundel przekrzywił łeb.

– O co chodzi? – spytała Inger Johanne. – Coś się stało?

– Nie, tylko... – Wziął głęboki oddech i spróbował jeszcze raz. – Naprawdę nie chcę cię martwić, ale...

Inger Johanne złapała go za rękę, która okazała się lodowata.

– Coś z Kristiane? – spytała prędko.

– Nie. Nie, właściwie nie. Było jej u mnie bardzo dobrze. Tylko że...

Przestąpił z nogi na nogę i oparł się o framugę.

– Zimno tak stać – powiedziała Inger Johanne. – Przynajmniej wejdź do środka. Ty, Jack, zostań. Zostań!

I pies, i Isak usłuchali. Isak oparł się plecami o ścianę. Inger Johanne usiadła na schodach naprzeciwko niego.

– Powiedz wreszcie, o co chodzi!

– Wydaje mi się... – Znów urwał.

– Mów – szepnęła Inger Johanne.

– Mam takie dziwne uczucie, że ktoś mnie obserwuje. To znaczy... że ktoś obserwuje...

Wyglądał teraz jak bezradny chłopiec. Kurtka na nim wisiała, nie był w stanie ustać w spokoju. Jego spojrzenie gdzieś błędziło, nim w końcu zdecydował się spojrzeć jej w oczy. Inger Johanne tylko czekała, aż zacznie szurać nogą.

– Z całą pewnością nigdzie teraz nie pójdziesz – oświadczyła spokojnie, wstając.

Isak wyciągnął ręce z kieszeni i bezradnie je rozłożył.

– Ale ja nie potrafię tego wyjaśnić – powiedział cienkim głosem. – To tak, jakby...

– Zostaniesz tutaj! – zdecydowała. Wpuściła Jacka i zamknęła drzwi na klucz. Nacisnęła jeszcze klamkę, żeby sprawdzić, czy naprawdę są zamknięte. – Musisz porozmawiać z Yngvarem.

– Inger Johanne. – Isak złapał ją za ramię. – To znaczy, że mam rację? Wiesz coś, co...

– To nie znaczy nic poza tym, co powiedziałam. – Nawet nie próbowała mu się wrywać. – Musisz sam to powiedzieć Yngvarowi, bo mnie on nie uwierzy.

Isak puścił ją. Poszła przodem na górę.

Nawet nie dałam Yngvarowi szansy, pomyślała i postanowiła, że zadzwoni do niego siódmy raz w ciągu trzech godzin.

Prawdopodobnie był wściekły.

Ona natomiast tak się bała, że miała problem ze stawianiem prostych kroków.

* * *

Mężczyzna w ciemnym wynajętym samochodzie nie miał problemów z mapą. W zasadzie wystarczyło jechać jedną i tą samą drogą z Oslo do Malmö, a potem skręcić w prawo przez cieśninę, kierując się na Danię.

Wprawdzie w tym kraju robiło się ciemno o bezbożnie wczesnej porze, a śnieg sypał nieprzerwanie od wielu dni, bez kłopotu utrzymywał prędkość. Oczywiście nie jechał za szybko, dwa-trzy kilometry powyżej dopuszczalnej granicy, to najmniej podejrzane. Ruch przy wyjeździe z Oslo był duży, nawet o trzeciej, ale gdy tylko przejechał kilkadziesiąt kilometrów drogą E6, zrobiło się znacznie luźniej. Z mapy wynikało, że w zasadzie przemieszczał się wzdłuż wybrzeża, przypuszczał więc, że w letniej połowie roku w piątkowe

popołudnie mogły się tu tworzyć korki. Wyjazd nad morze widać nie był taką samą atrakcją przy ośmiu stopniach mrozu i wietrze.

Zbliżał się do Svinesund. Była za dziesięć piąta.

Zamierzał dojechać do Kopenhagi i oddać samochód w biurze Avis na Kampmannsgade. Później przejść kilka kwartałów piechotą i dopiero poprosić jakiegoś taksówkarza o zawiezenie go do niedrogo hotelu na obrzeżach miasta. W każdym razie na ostatni samolot do Londynu i tak będzie za późno. Ciemnego ubrania się pozbył. Ponad dwie godziny zajęło mu pocięcie go na paski, które podzielił na porcje i powtykał do kieszeni luźnego czerwonego anoraka. Wyglądał przez to na grubszego. I dobrze. W ciągu niecałej godziny pozbył się wszystkiego, wrzucając jeden pasek tu, drugi tam do publicznie dostępnych koszy na śmieci napotkanych podczas spaceru po Oslo.

Musiał wyjeżdżać nagle.

Nie mówił dobrze po norwesku. Ot, tyle, by wysłać prosty SMS. Jeden rzut oka na stojak z gazetami przy recepcji rano powiedział mu jednak, że trzeba się spieszyć. Nie wolno mu było podjąć żadnych nieprzemyślanych działań, instrukcje otrzymał jasne.

Pozostali z pewnością również już stąd wyjeżdżali. Nie wiedział którędy, ale wieczorami dla czystego zabicia czasu opracowywał alternatywne trasy. Oczywiście tylko w głowie. W całej Norwegii nie został nawet kawałek papieru z jego charakterem pisma. Oprócz zniekształconych podpisów na pokwitowaniach płatności dokonywanych kartą Visa, która sama w sobie była prawdziwa, ale wystawiona na fikcyjne nazwisko. Mróz w Norwegii okazał się błogosławieństwem. Pilnował się, żeby podpisywać się wyłącznie wtedy, gdy był w płaszczu, wówczas nie rzucało się w oczy, że ma na rękach obcisłe skórzane rękawiczki.

Osoba czy też osoby znajdujące się w Bergen powinny, jego zdaniem, jechać na przykład do Stavanger i stamtąd polecieć samolotem do Amsterdamu. Ale obmyślanie alternatywnych tras wyjazdu tak samo nie było jego sprawą, jak wiedza, kim są pozostali.

Działał sam, ale miał świadomość, że sam w tym kraju nie jest.

Nauczono go zostawiać fałszywe ślady i ukrywać własne. Trzymał się z dala od kamer monitoringu na tyle, na ile było to możliwe. Kiedy z rzadka musiał wejść do obserwowanej strefy, starał się zmienić chód, nieco wysuwać wargi, rozszerzać nozdrza. I patrzeć w dół.

Poza tym został pobłogosławiony bardzo przeciętnym wyglądem.

Można powiedzieć, że wszystko ułożyło się tak, jakby nigdy nie był w Norwegii.

Widział już przed sobą graniczny most w Svinesund. Nie było żadnego szlabanu, żadnej kontroli. Wprawdzie po drogiej stronie drogi znajdował się posterunek celny, gdzie akurat sprawdzano tira, ale od niego nikt nie domagał się dokumentów. Kiedy na środku

mostu minął umowną linię oddzielającą Norwegię od Szwecji, musiał się uśmiechnąć.

Naiwni Skandynawowie. Głupi, naiwni Europejczycy. Dostał to zlecenie między innymi dlatego, że w Akademii Wojskowej uczył się języków skandynawskich. Ale wcześniej nigdy tu nie był. Wizyta zresztą nie zachęcała do powtórki.

Jechał dalej przez ponad kwadrans. Widząc odpowiedni zjazd, zszedł z szosy na wąską, mało uczęszczaną drogę. Kawalek dalej odchodziła od niej w prawo ścieżka w las. Powoli wjechał sto metrów w głąb między świerkowe pnie, w końcu zatrzymał samochód i zgasił silnik. Mimo że las był gęsty, śnieg zalegał grubą warstwą i tylko koleiny pozostałe po przejeździe traktora w ogóle umożliwiły mu wjazd.

Wysiadł.

Było zimno, ale prawie bezwietrznie.

Wciągnął w płuca przejrzyste powietrze. Z uśmiechem zadarł głowę. Między dwoma lekko kołyszącymi się czubkami drzew zobaczył gwiazdy i rożek księżycy.

Zamknął oczy, położył oba łokcie na dachu samochodu i oparł głowę na złożonych dłoniach.

– *Dear Lord* – szepnął. – *Thank You for all Your blessings** [*Dobry Boże. Dzięki Ci za Twe błogosławieństwo.].

Poczuł znajome ciepło oblewające ciało niczym odurzenie i dalej modlił się szeptem:

– Dzięki Ci za to, że dajesz mi siłę, bym mógł wypełniać Twoje przykazania, dobry Boże. Dzięki Ci za to, że dajesz mi siłę do działania i odwagę do wypełniania Twoich rozkazów. Dzięki Ci, że pozwalasz mi być narzędziem w walce z ciemnością Szatana. Dzięki Ci, że umożliwiasz mi odróżnienie dobra od zła, prawdy od fałszu. Dzięki Ci za to, że karzesz mnie, gdy zasłużę na karę, i nagradzasz, gdy zasłużę na nagrodę. Dzięki Ci...

Przez moment się zawahał, jeszcze mocniej złożył ręce, zacisnął oczy i dokończył żarliwie:

– Dzięki Ci, że pozwoliłeś mi oszczędzić tę śliczną dziewczynkę. Tego czystego i niewinnego aniołka. Dzięki Ci, Boże, że pozwalasz mi poczuć bliskość Jezusa. Bo Twoje jest wszystko, a celem jest czystość. Amen.

Powoli podniósł twarz do nieba. Moc, która przez niego przepływała, sprawiła, że cały zadrżał. Miał wrażenie, że zaraz wzniesie się w powietrze. Z przysypanej śniegiem gałęzi zwisającej nad drogą poderwał się ptak i krzyżąc przeraźliwie, zniknął gdzieś na tle czarnego nieba. Mężczyzna się wyprostował, wciągnął świeży aromat zmrożonych świerkowych igieł i wyjął z kieszeni małą czerwoną koniczynkę z pokrytego emalią metalu. Dłonie wsunął w rękawice, które znalazł na stacji kolejki przy Teatrze Narodowym. Starannie wytarł odznakę,

po czym zamierzył się i rzucił ją między drzewa. Kiedy wsiadał do samochodu, czuł się szczęśliwy. Oczyszczony.

Musiał tyłem pokonać sto metrów dzielących go od wiejskiej drogi, ale nie miał z tym żadnego problemu. Kwadrans później znów jechał drogą E6 w kierunku Göteborga. Za dwa dni będzie z powrotem w Stanach Zjednoczonych, a w Norwegii nie pozostanie po nim żaden ślad.

Tego był pewien.

* * *

– Najpewniejszy ślad, jaki mamy, to ten. – Yngvar odchylił się na kanapie, trzymając przed sobą rysunek przedstawiający wybawiciela Kristiane.

– Ale to wcale nie jest mało. – Inger Johanne przytuliła się do męża. Pachniał długim dniem pracy. Nachyliła się nad jego rękawem i wciągnęła zapach. – Dziękuję, że już się na mnie nie gniewasz – szepnęła.

Nie odpowiedział.

– A może? – Uśmiechnęła się i podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Nie, nie gniewam się. Ale jestem... po prostu rozczarowany. Przede wszystkim rozczarowany.

– Mówisz teraz tak, jakbyś karmił dziecko.

– W pewnym sensie chyba właśnie tak jest.

Inger Johanne gwałtownie się poderwała.

– Naprawdę, Yngvar! Przecież już cię przeproszałam. Powinnam z tym przyjść najpierw do ciebie. Tyle tylko, że ty... stale... stale mi nie wierzysz! Wiedziałam, że nie uwierzysz w tę moją teorię i...

– Zostaw to już! – przerwał jej gwałtownym ruchem dłoni. – Co się stało, to się nie odstanie.

– I tak szczęście, że się skontaktowałam z Silje Sørensen.

Zmusiła się do uśmiechu w nadziei, że ujrzy taki sam w odpowiedzi.

Nie doczekała się. Yngvar obiema rękami podrapał się w głowę i zrezygnowany westchnął. W końcu znów sięgnął po rysunek лыsego mężczyzny w ciemnym ubraniu. Długo mu się przyglądał, nim nagle oświadczył:

– Wiesz, że jestem w dobrych stosunkach z Isakiem. Oczywiście wolno mu tu przychodzić. Nie godzę się jednak na to, żebyś go wykorzystywała jako tarczę do obrony przede mną. I na to, żeby tu siedział i czekał, aż wrócę po kilku dniach pracy poza domem,

kiedy nie rozmawialiśmy ze sobą przez ponad trzydzieści godzin i mamy sobie, łagodnie mówiąc, sporo do powiedzenia. To się nigdy więcej nie może powtórzyć.

– Ale ty byś mi nigdy nie uwierzył! Od dziewiętnastego grudnia dręczy mnie niepokój, a bałam się powiedzieć o nim tobie czy Isakowi. Ta rozmowa z Kristiane w poniedziałek, kiedy zrozumiałam, że ona może być głównym świadkiem, była taka niejasna, taka mało... werbalna, że... A kiedy Isak potwierdził, że on też... Mnie byś nie uwierzył, Yngvarze!

– To nie jest kwestia wiary czy niewiary, Inger Johanne. Oczywiście, bez najmniejszych oporów wierzę, że ty, a później Isak mieliście wrażenie, że ktoś obserwuje Kristiane. Albo że twoim zdaniem Kristiane widziała coś istotnego dla osoby lub osób, które zabiły Marianne Kleive. Ale wasze odczucia nie oznaczają jeszcze, że tak było naprawdę! Zwłaszcza, że żadne z was nie potrafi konkretnie opisać tego... „wrażenia”.

Wyprostował się i narysował cudzysłów, przykładając po dwa palce do jej policzków.

– Ta teczka zaginęła, a mężczyzna przy...

– Sama mówiłaś, że teczka się znalazła. To było zwyczajne niedbalstwo.

– Ale...

– Posłuchaj, zostawmy to, dobrze? Na wszelki wypadek poprosiłem, żeby patrol przejechał tędy kilka razy w ciągu doby. Niewiele więcej możemy zrobić. Jeśli nie chcesz, abyśmy narażali Kristiane na szczegółowe przesłuchanie przed sądem, ze wszystkimi obciążeniami, jakie by się dla niej z tym wiązały, zapomnij o tym, przynajmniej teraz. Tak cię proszę.

Sięgnął po kieliszek z winem.

– Nie – zaprotestowała Inger Johanne. – Nie mogę. Rozumiem, że czujesz się urażony. Rozumiem, że powinnam przyjść z tym do ciebie od razu, ale tak czy owak, Yngvarze, mam pewne przemyślenia...

– Nie – przerwał jej ostro. – Teraz ty mnie posłuchasz. Jeśli Kristiane naprawdę była świadkiem czegoś w związku z zabójstwem Marianne Kleive, to dlaczego, do jasnej cholery, po prostu jej nie zabili?

Ostatnie słowa wymówił tak głośno, że aż oboje drgnęli. Odruchowo zaczęli nasłuchiwać oznak mogących świadczyć o tym, że Kristiane się obudziła. Ale słyhać było jedynie, że sąsiedzi na dole oglądają *Mamma mia* na DVD. Inger Johanne miała wrażenie, że chyba już dziesiąty raz od świąt.

– Dlatego, że oni wierzą – odparła Inger Johanne. – Wierzą w Boga.

– Słucham?

– Albo w Allaha.

– Co z tego, że wierzą?

Teraz Yngvar sprawiał wrażenie bardziej zainteresowanego. A może po prostu był zdezorientowany.

– Ponieważ wierzą – powiedziała Inger Johanne – to nie zabijają na oślep. To fanatycy, ale głęboko wierzący. Zabijanie dorosłych, do tego w ich opinii grzeszników, których należy ukarać śmiercią zgodnie z boskim nakazem, to coś innego niż zabicie niewinnego dziecka.

Mówiła bardzo powoli, jak gdyby nigdy wcześniej o tym nie pomyślała i dlatego musiała teraz dobierać słowa z największą starannością. W spojrzeniu Yngvara nie było już takiej niechęci jak wcześniej, gdy pytał:

– Ale ci ludzie, te grupy, czy oni naprawdę są religijni? Czy to nie są zwyczajni szaleńcy, którzy wykorzystują Boga albo Allaha jako coś w rodzaju... wymówki?

– Nie. – Inger Johanne stanowczo pokręciła głową. – Nigdy nie wolno nie doceniać siły wiary. I w pewnym sensie to uwiarygodnia moją teorię, że... – Podciągnęła nogi na kanapę i złapała się za stopę, jakby zmarzła. – ...Że Kristiane naprawdę coś widziała. Człowiek, który zabił Marianne Kleive, prawdopodobnie od razu zrozumiał, że Kristiane nie jest taka jak inne dzieci. Jeśli mordercą jest mężczyzna, który wyciągnął Kristiane spod tramwaju, to przynajmniej wtedy otrzymał dowód jej... inności. A najbardziej charakterystyczną cechą mojej córki jest, jak sam wiesz...

Patrzyła na Yngvara, a z oczu płynęły jej łzy.

– ...niewinność – dokończył. – Kristiane jest wcieleniem niewinności. Prawdziwym bożym aniołem.

– Ta pani mi pomogła – odezwała się cicho Kristiane od drzwi.

Yngvar zdrętwiał. Inger Johanne powoli odwróciła głowę i spojrzała na córkę.

– Aha – szepnęła.

– Albertine spała – powiedziała Kristiane. – A ja chciałam znaleźć ciebie, mamo.

Yngvar ledwie śmiał oddychać.

– Musiałam się schować przed wszystkimi ludźmi, bo nie chciałam się kłaskać bez ciebie. I nagle trafiłam na jakieś otwarte drzwi. Tam były schody. Zeszłam na dół, bo myślałam, że ty tam będziesz, a tam nie było nikogo innego. I było bardzo cicho. To tak naprawdę była piwnica, brzydka piwnica. I nagle ta pani stanęła na schodach. Powiedziała „Halo”.

Kristiane miała nową piżamę, za dużą, rękawy zakrywały jej dłonie. Zaczęła za nie ciągnąć.

– Chyba muszę już iść spać – stwierdziła.

– A co zrobiłaś, kiedy ta pani powiedziała „halo”? – uśmiechnęła się Inger Johanne.

– Muszę iść spać. Dam-di-rum-ram.

– Chodź tutaj, moja dziewczynko! – Yngvar wreszcie się do niej odwrócił i lekko skinął ręką.

– Ja jestem dziewczynką taty – powiedziała. – A poza tym nie jestem już dziewczynką, tylko młodą kobietą. Tatuś tak mówi.

– Możesz być moją dziewczynką i dziewczynką taty. – Yngvar roześmiał się cicho. – I zawsze nią będziesz. Bez względu na to, ile będziesz miała lat. Nie słyszałaś, że dziadek tak mówi do mamy?

– Dziadek wszystkie panie nazywa dziewczynkami. Taki ma brzydki zwyczaj. Babcia tak mówi.

– Chodź tutaj – szepnęła Inger Johanne. – Chodź do mamy.

Kristiane podeszła z wahaniem.

– Ona mnie zawołała – powiedziała i wcisnęła się na kanapę między Yngvara a Inger Johanne. – Nie wiedziała, jak mi na imię, no bo przecież mnie nie znała. Zawołała tylko „Chodź” i się uśmiechnęła.

– No a potem? – spytała Inger Johanne spokojnym głosem.

– Wiesz, co Yngvar? Ty na pewno ważysz... – Kristiane zastanowiła się z powagą. – Mniej więcej o dwieście trzydzieści procent więcej niż ja.

– Wydaje mi się, że ważę dokładnie tyle co do grama – odparł, posyłając Inger Johanne zakłopotane spojrzenie. – Ale chciałem, żeby to zostało moją słodką tajemnicą.

– Ja ważę trzydzieści jeden kilogramów, mamo. Więc możesz to sobie obliczyć.

– Wolałabym raczej usłyszeć, co się wtedy wydarzyło, kochanie.

– Ta pani mnie zawołała, a ja weszłam na górę. Miała bardzo ciepłe ręce. Ale zgubiłam kaptcie.

– Kaptcie? – powtórzył Yngvar. – Przecież ty nie miałaś...

– Ta pani po nie zeszła? – przerwała mu natychmiast Inger Johanne.

– Tak.

– A gdzie ty w tym czasie byłaś?

– Dam-di-rum-ram. Gdzie jest Sulamitka?

– Sulamitka umarła, przecież wiesz.

– Ta pani też umarła. Dam-di-rum-ram.

Yngvar przytulił Kristiane, a twarzą dotknął jej głowy.

– Tak mi przykro, że rozjechałem Sulamitkę – szepnął. – Ale to przecież było już dawno.

– Dam-di-rum-ram.

Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami, kołysząc się lekko z boku na bok. Wpadła na Inger Johanne, zaczekała chwilę, potem przechyliła się do Yngvara. I znów, i znów.

– Odprowadzę cię do łóżka – zaproponowała w końcu Inger Johanne.

– Dam-di-rum-ram.

– Chodź.

Wstała i ujęła córkę za rękę. Kristiane poszła bez sprzeciwu. Yngvar wyciągnął do małej rękę, ale go nie widziała. Siedział więc i z daleka słuchał cierpliwych słów Inger Johanne i dziwaczного mamrotania Kristiane.

Świadomość, że Inger Johanne miała rację, bolała niemal bardziej niż to, że Kristiane była świadkiem traumatycznej sceny. Kiedy to sobie uświadomił, z rezygnacją opadł na poduszki.

Uwierzył w opowieść Inger Johanne, ale nie w jej interpretację. Kiedyś cynicznie wykorzystał właśnie tę jej zdolność oceny, ponieważ tego potrzebował. Wciągnął ją w sprawę, w której nie chciała uczestniczyć, zmuszając do analizowania koszmaru każdego rodzica. Porywano i zabijano dzieci, a prowadzone przez niego śledztwo utknęło w miejscu. To właśnie wyjątkowe doświadczenia Inger Johanne z FBI i jej bystry zmysł obserwacji ludzkich zachowań pomogły rozwikłać sprawę i ocaliły życie jednej dziewczynki. Zakochał się w Inger Johanne z wielu powodów, lecz gdy czasami wracał myślą do czasu, jaki nastąpił po tamtym dramatycznym poszukiwaniu zaginionych dzieci, stwierdzał, że to przede wszystkim zdolność Inger Johanne do łączenia intelektu z intuicją, rozumu z emocjami pociągnęła go ku niej z siłą, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył.

Inger Johanne idealnie łączyła rozum z uczuciami. Była i rozważna, i romantyczna.

Tym razem jednak, tyle męczących lat później, całkiem po prostu jej nie uwierzył.

Ze wstydu zamknął oczy.

– Wierzysz mi teraz?

W pytaniu nie było słyhać agresji, nie dźwięczał w nim nawet wyrzut. Raczej ulga. Poczul się przez to jeszcze mniejszy.

– Cały czas ci wierzyłem – mruknął. – Myślałem tylko, że...

– To już nieistotne. – Inger Johanne usiadła. – Co z tym zrobimy?

– Nie wiem. Po prostu nie mam pojęcia. Może najlepiej będzie poczekać. Kristiane z

tobą rozmawiała w poniedziałek, a z nami obojgiem teraz. Przypuszczalnie powinniśmy zaczekać, aż sama zechce powiedzieć coś więcej.

– Nie ma żadnej pewności, że w ogóle do tego wróci.

– Wiem. Ale chcesz ją narażać na przesłuchanie przed sądem?

Położyła mu rękę na udzie, a drugą sięgnęła po jego kieliszek.

– Na razie jeszcze nie. Chyba że okaże się to absolutnie konieczne.

– No to jesteśmy zgodni.

Poczuła niezwykle przyływ czułości dla męża. Głęboką wdzięczność, że chce bez stawiania żadnych warunków chronić pasierbicę, chociaż dziewczynka mogła mieć niezwykle istotne informacje w niewyjaśnionej sprawie zabójstwa.

– Dziękuję ci – powiedziała po prostu.

– Dlaczego oni tu są? – spytał Yngvar tak cicho, że ledwie go zrozumiała.

– Słucham?

– Dlaczego oni tu są? – powtórzył. – „The 25’ers”? Tu, w Norwegii.

Inger Johanne zakołysała winem w kieliszku. Spod podłogi dochodził ryk *Money, money, money*. Przez moment miała ochotę stukaniem upomnieć się o ciszę, bo jeśli Kristiane nie zdążyła jeszcze głęboko zasnąć, mogła ich czekać długa bezsenna noc.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Możliwe, że są też w innych miejscach.

– Nie. – Yngvar wziął od niej kieliszek i wypił łyk. – Interpol nie ma żadnych informacji o jakichkolwiek choćby podobnych sprawach w Europie. W Stanach Zjednoczonych natomiast FBI pracuje nad sprawą, w której...

– ...zabito sześciu homoseksualistów, między którymi, jak się okazało, istnieją związki – dokończyła za niego. – A sprawa jest naprawdę trudna.

Yngvar roześmiał się cicho.

– Czy ty wiesz absolutnie o wszystkim, co się dzieje w tym cholernym kraju?

– Ameryka nie jest wcale cholernym krajem, tylko cudownym i wspaniałym.

Yngvar roześmiał się głośno, wręcz serdecznie. Przygarnął Inger Johanne do siebie, ona też się uśmiechała. Dawno już nie słyszała, by tak szczerze się śmiała.

– To oczywiście może być przypadek – powiedziała, a kiedy się nie odezwał, dodała: – Ale ja w to nie wierzę.

– Dlaczego? – spytał Yngvar. – Jeśli postanowili... eksportować tę swoją nienawiść, to Norwegia jest równie dobrym krajem na początek, jak każdy inny. A jak się głębiej zastanowić... – spróbował usiąść wygodniej – to może nawet jesteśmy lepsi od wszystkich innych krajów. Mamy najbardziej liberalne ustawodawstwo, jeśli chodzi o prawa

homoseksualistów. Mamy...

– Podobnie jak szereg innych krajów – przerwała mu. – I jak niektóre stany w Ameryce. Za bardzo nie ma powodu, żeby do nas przyjeżdżać. Po prostu nie wierzę.

Yngvar tak się wiercił, że usiadła i rozpięła mu pasek.

– Kocham cię bez względu na to, ile ważysz. Ale takie dosłowne zaciskanie pasa wygląda trochę śmiesznie. Nie mógłbyś sobie kupić większych ubrań?

Gotowa była przysiąc, że Yngvar się zarumienił. Ale paska nie zapiął.

– Mnie się wydaje, że oni są tutaj z jakiegoś konkretnego powodu – wróciła do wątku.

– Z jakiego?

– Kto to wie? Ale jakaś przyczyna być musi.

– Cholera! – westchnął Yngvar i ciężko się podniósł.

– Dokąd idziesz?

Mruknął coś, czego nie zrozumiała, i wyszedł na korytarz. Z parteru dochodziły dźwięki *Super Trouper*. Inger Johanne przyłapała się na tym, że też nuci. Żeby przegnać tę denerwującą melodię z głowy, sięgnęła po leżący na stoliku długopis i po gazetę z koszyka na podłodze. Na marginesie pierwszej strony „Aftenposten” nagryzmoła kilka notatek. Zamyśliła się tak, że Yngvara zauważyła dopiero wtedy, gdy znów koło niej usiadł. Miał teraz na sobie szerokie spodnie od piżamy i wielką bluzę amerykańskich futbolistów.

– Spójrz na to. – Postukała długopisem w gazetę.

– Nic z tego nie rozumiem. – Zmarszczył nos, usiłując rozszyfrować kompletnie nieczytelne gryzmoły.

– Sposób działania – powiedziała krótko.

– Tak?

– Sophie Eklund została zabita w wyniku celowego uszkodzenia samochodu. A więc próba ukrycia zabójstwa.

– No tak...

– Niclas Winter został w zasadzie uznany przez policję za ofiarę narkotyków. Śmierć z przedawkowania. Co zresztą było prawdą, ale wszystko wskazuje na to, że zabił go curacit. Innymi słowy próba zatuszowania zabójstwa.

– Właściwie jak można zrobić zastrzyk z curacitu dorosłemu i stosunkowo zdrowemu mężczyźnie? – mruknął Yngvar, wciąż próbując odczytać to, co napisała Inger Johanne. – Ja bym się opierał jak diabli.

– Od razu przychodzi mi do głowy, że mógł zostać oszukany. Powiedziano mu, że to coś innego, na przykład heroina.

– No tak...

– Albo ktoś go zaskoczył. Curacit działa błyskawicznie. Wstrzyknięty w usta, gdzie jest tyle naczyń krwionośnych, skutkuje w ciągu kilku sekund.

– W usta? Przecież nie można nikogo zmusić do rozdziawienia gęby, żeby mu wstrzyknąć odrobinę curacitu!

– Obawiam się, że na to nigdy nie uzyskamy odpowiedzi. Niclas Winter został skremowany. Ale słuchaj mnie dalej, skarbie. Rzecz w tym, że to zabójstwo usiłowano zakamuflować. Podobnie jak tamto, o którym mówiłam przed chwilą. – Podciągnęła nogi do pozycji lotosu i zaczęła gryźć długopis. – A nieszczęsnym Runarem Hansenem nikt się szczególnie nie interesował. Pobite ćpyny, które umierają w wyniku obrażeń, już nie budzą sensacji. Jeśli chodzi o Hawrego Ghani, to został wrzucony do morza i zmienił się nie do rozpoznania. Szczerze mówiąc, przypuszczam, że jego sprawa odłożona by została przez policję na bok, gdyby Silje Sørensen nie poczuła... czegoś szczególnego do tego chłopca.

– Do czego zmierzasz, Inger Johanne?

– Chcę mieć własne wino. Przyniósłbyś mi kieliszek?

Yngvar wstał bez słowa.

Zapatrzyła się w swoje notatki. Sześć zabójstw. Dwa usiłowano zatuszować. Dwóm odebrać znaczenie, całkiem po prostu dlatego, że ofiary znajdowały się na samym dole hierarchii społecznej. Nagle zdecydowanym ruchem zakreśliła dwa ostatnie nazwiska.

– Proszę! – Yngvar podał jej wypełniony do połowy kieliszek. – Ale to nie jest zwykły piątkowy wieczór.

– Z całą pewnością możemy stwierdzić – Inger Johanne wzięła kieliszek, nawet nie podnosząc oczu – że kiedy zginęła Marianne Kleive, zaszło coś nieprzewidzianego. Kristiane w taki czy inny sposób zaskoczyła sprawcę. W związku z tym tak naprawdę nie wiemy, czy i to zabójstwo nie miało zostać w jakiś sposób zatuszowane. Może sprawca zamierzał upozorować wypadek, chorobę, cokolwiek. A żeby nikt natychmiast nie podniósł alarmu, wysyłał SMS-y z jej telefonu. Miał na to cały tydzień.

– Czy to oznacza tylko, że nie chcą zostać złapani? Że chcą wyłącznie kupić sobie czas, czy też...

– Ale spójrz na panią biskup. – Inger Johanne się zorientowała, że z prawej strony kolumny, na której notowała, jest zdjęcie Evy Karin Lysgaard.

Obróciła starą gazetę o dziewięćdziesiąt stopni i narysowała obwódkę wokół niedużego zdjęcia przy zapowiedzi tekstu zamieszczonego na następnych stronach.

– Tego zabójstwa nie próbowano ukrywać – powiedziała głównie do siebie.

Yngvar miał dość rozumu, żeby jej nie przerywać.

– Przeciwnie – ciągnęła. – Śmierć od ciosu nożem na ulicy. Wprawdzie zabójstwa dokonano tego jedyne go dnia w roku, kiedy można mieć niemal pewność, że nikt nie będzie przechodził, ale mimo wszystko... Tu chodziło o to, żeby ją znaleziono szybko. Rzecz w tym, aby zabójstwo...

Wstrzymywała oddech tak długo, że przestraszony Yngvar chciał już sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

– Oczywiście! – W końcu prawie krzyknęła. – Załóżmy, że moja teoria jest słuszna. Tamte zabójstwa miały w taki czy inny sposób pozostać niezauważone. Ich celem było po prostu... – Patrzyła na męża tak, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że on tu jest. – Oni mieli po prostu umrzeć – stwierdziła z miną odkrywcy. – Jedynym celem było to, żeby umarli. Ich śmierć była celem samym w sobie.

Yngvar uważał za dość oczywiste, że zabójca zabija po to, by ktoś przestał żyć, ale wciąż się nie odzywał.

– To grzesznicy – ciągnęła Inger Johanne prawie z zachwytem. – I należało ich za to ukarać. Dla „The 25’ers” nie ma znaczenia, czy dostrzeżemy jakiś związek między tymi zabójstwami, czy w ogóle się zorientujemy, że ci ludzie padli ofiarą przestępstwa. Najważniejsze jest, by nie żyli. No i oczywiście żeby zabójcy, dokonujący egzekucji w imieniu Boga, że tak powiem, nie zostali złapani przez ziemski wymiar sprawiedliwości.

– No tak – przyświadczył Yngvar ostrożnie. Nic więcej nie przyszło mu do głowy.

– Wśród ofiar tylko jedna była osobą publiczną – mówiła dalej Inger Johanne. – Eva Karin Lysgaard. I tylko ona spośród nich została uśmiercona w sposób, który wprost krzykiem domaga się uwagi. Jaka może być tego przyczyna, Yngvarze?

Uklękła i obróciła się do męża. Twarz jej pałała, oczy błyszczały, a usta były półotwarte. Złapała go za rękę i ścisnęła ją aż do bólu.

– Dlaczego, Yngvarze?

– Ponieważ... – próbował. – Ponieważ...

– Ponieważ oni chcą, żebyśmy grzebali w jej życiu. Śledztwa w sprawie zabójstwa Ewy Karin Lysgaard ktoś sobie życzył. Chodzi o to, byśmy przekopali jej życie, tak jak przekopuje się życie wszystkich ofiar i potrząsa nim w nadziei, że coś wypadnie.

– W nadziei, że coś wypadnie – powtórzył cicho. – Zaczekaj chwilę.

Inger Johanne śledziła go wzrokiem, gdy wychodził na korytarz. Zdyszała się i poczuła mrowienie w dłoniach.

– Kto to jest? – spytała, gdy Yngvar wrócił i podał jej jakąś fotografię.

– Nie wiem, kto to jest – odparł. – Ale to kopia zdjęcia, które długo krążyło po bezdrożach.

Opowiedział jej o pokoiku, będącym nocnym schronieniem Evy Karin. O zdjęciu, które tam stało dzień po zabójstwie, ale zniknęło, gdy wrócił parę dni później. Kiedy dotarł do wspinaczki Lukasa po dachu w styczniowym deszczu, zaczął się śmiać. W końcu odebrał zdjęcie Inger Johanne i położył je sobie na kolanach.

– Lukas uważał, że to jego zaginiona siostra. Ale i po jakości zdjęcia, i po ubraniu tej kobiety widać, że nie mogło zostać zrobione około roku osiemdziesiątego. Fryzura też nie pochodzi z tego okresu.

– Co o tym myślisz? – Inger Johanne nie odrywała wzroku od zdjęcia.

– Zastanawiałem się, czy nie może to być jakaś nieznana ciotka Lukasa. Przyrodnia siostra Evy Karin spoza małżeństwa rodziców. To by wyjaśniało, dlaczego jest trochę podobna do Lukasa.

– Naprawdę? Mnie przypomina Lill Lindfors.

Yngvar uśmiechnął się szeroko.

– Nie tobie jednej. W każdym razie już niedługo się dowiemy, kto to jest. I policja bergeńska, i Kripos nad tym pracują. Jeśli ta kobieta żyje, za kilka dni, a może nawet szybciej, poznamy jej tożsamość.

– I do czego to doprowadzi?

– Co? Że dowiemy się, kim ona jest?

– Tak. Skąd możesz wiedzieć, że ma jakikolwiek związek ze sprawą?

– Oczywiście, że tego nie wiem – przyznał Yngvar. – Ale sama chyba uznasz za dziwne, że Erik Lysgaard usunął to zdjęcie, gdy tylko miał taką możliwość.

– Pytałeś go?

– Nie... On nawet nie wie, że zauważyłem to zdjęcie. Chciałem zachować tę przewagę.

Na dole film dotarł do *Knowing me, knowing you*. Ktoś wreszcie ściszył, ale basy ciągle wprawiały podłogę w wibracje.

Inger Johanne znów wzięła zdjęcie do ręki.

– Bardzo interesująca twarz – stwierdziła. – Taka mocna.

Yngvar sięgnął po garść chipsów. Do tej pory skutecznie opierał się pokusie.

– Mogłabyś zabrać tę miskę? – mruknął, miażdżąc zębami kruche płatki. – Chipsy to dzieło szatana.

Inger Johanne jednak, zamiast go usłuchać, wstała i zaczęła krążyć po pokoju ze zdjęciem w lewej ręce.

– Yngvar – odezwała się bezbarwnym głosem, zupełnie jakby mówiła do siebie. – Zabójstwo Ewy Karin różni się od innych sposobem działania. Czym jeszcze się różni?

– Oprócz czego?

– Biskup była jedyną osobą publiczną spośród ofiar. Została zabita w bardziej spektakularny sposób od pozostałych. Co jeszcze różni tę sprawę od innych?

– Ja... nie bardzo wiem.

– Są powody, by przypuszczać, że pozostali to geje i lesbijki. A przynajmniej osoby związane z homoseksualnym stylem życia.

Yngvar przestał żuć. Chipsy wydały mu się nagle nieapetyczną i niesmaczną bombą kaloryczną. Gwałtownym ruchem sięgnął po serwetkę, wypluł obrzydliwą żółtobrazową masę i próbował ją zawinąć. Trochę upadło na podłogę, więc zawstydzony pochylił się, by to podnieść.

Inger Johanne w ogóle nie zwróciła uwagi na tę scenę. Zatrzymała się przy oknie, długo stała odwrócona plecami, zanim w końcu się odwróciła i opuściła rękę ze zdjęciem.

– Eva Karin jest jedyną heteroseksualną osobą spośród ofiar – powiedziała w końcu. – Przynajmniej pozornie heteroseksualną.

– Co masz na myśli, mówiąc „pozornie”?

– To. – Inger Johanne podsunęła mu zdjęcie pod nos. – To nie jest niczyja siostra. Ani Lukasa, ani Ewy Karin. To kochanka pani biskup.

W domu zapanowała cisza. Na dole nikt już nie oglądał filmu. Wiatr ucichł. Nawet deski w podłodze nie trzeszczały, gdy Inger Johanne wracała na kanapę, stąpając ostrożnie, żeby nic nie przerwało jej skomplikowanego ciągu myśli.

– To niemożliwe – powiedział wreszcie Yngvar. – Nie słyszeliśmy absolutnie żadnych plotek. A o takich rzeczach się mówi, Inger Johanne. Chodzą słuchy... Niemożliwe... – Odebrał jej zdjęcie nieco gwałtowniej, niż zamierzał. – To dlaczego Lukas jest do niej taki podobny?

– Całkiem po prostu przypadek. I ty, i z pewnością również Lukas przyglądaliście się temu zdjęciu tak intensywnie, szukając jakiegoś klucza, że uchwyciliście nawet odległe podobieństwo. Takie rzeczy się zdarzają. Ludzie czasami bywają do siebie podobni. Ty na przykład jesteś bardzo podobny do...

– Ale skoro nawet nam nie wpadło do głowy, że Eva Karin mogła prowadzić podwójne życie, to jak mogli o tym wiedzieć „The 25’ers”? Gdybyś miała rację w tym swoim absurdalnym... Gdybyś naprawę miała rację... – Przełknął ślinę i niepewnym, trochę bezradnym gestem przeczesał palcami włosy. – Nawet jeśli tak jest, to nikt o tym nie

wiedział. Skąd „The 25’ers” wiedzą... o kochance lesbijce, skoro nikt inny o tym nie wiedział? – Skrzywił się, jakby poczuł w ustach gorycz.

– Ktoś musiał wiedzieć. Przynajmniej jedna osoba.

– Kto?

– Erik Lysgaard. Jej mąż. On musiał wiedzieć. Nie można przeżyć ze sobą czterdziestu lat, nie wiedząc o czymś takim. Oni musieli... musieli zawrzeć jakąś umowę.

– I on miałby... powiedzieć... Miałby... jeśli się czegoś domyślał...

Potężny policjant sprawiał wrażenie człowieka bliskiego płaczu. Inger Johanne wciąż na nic nie zważała.

– Musiał o tym komuś powiedzieć – oświadczyła. – Oczywiście nie „The 25’ers”, ale komuś, kto jest im bliski. Właśnie dlatego pragnęli takiego drobiazgowego śledztwa, Yngvarze. Chcieli, byśmy odkryli... grzech Evy Karin. I właśnie tak się stało.

Yngvar zasłonił rękami oczy. Oddech miał krótki. Inger Johanne wcześniej nie zauważyła, że obrączka wbiła mu się tak głęboko w serdeczny palec lewej ręki, że prawdopodobnie nie byłby już w stanie jej zdjąć.

– Musisz odnaleźć tę kobietę – szepnęła, siadając tak blisko niego, że wargami prawie dotykała jego ucha. – I musisz skłonić Erika, by ci powiedział, komu się zwierzył z tej wielkiej tajemnicy.

– Pierwsza rzecz będzie łatwa – odparł zduszonym głosem. – A druga raczej niemożliwa.

– Ale musisz próbować. Musisz przynajmniej spróbować porozmawiać z Erikiem Lysgaardem.

* * *

Wdowiec po pani biskup siedział w swoim fotelu i martwym wzrokiem wpatrywał się w pogrążony niemal w całkowitej ciemności salon. Jedyne mała lampka koło telewizora i świeca na stoliku do kawy rzucały złotą, delikatną poświatę na pokój.

Lukas usiadł w fotelu matki. Niemal czuł na plecach jej ciepło, wręcz czuł kontury ciała matki, której brakowało mu tak bardzo, że chyba nie potrafiłby sobie tego wyobrazić przed jej śmiercią.

– W każdym razie znamy już powód – powiedział cicho. – Matka umarła, ponieważ zajęła stanowisko. Umarła przez swoje wielkie serce. Przez swoją wiarę w Jezusa.

Erik wciąż nie odpowiadał. Nie odezwał się prawie ani jednym słowem, odkąd syn przyszedł przed trzema godzinami, i nie chciał zjeść nic z przyniesionego przez Lukasa

jedzenia. Dał się namówić jedynie na filiżankę herbaty.

Ale przynajmniej zgodził się przeczytać gazetę.

To chyba jakaś oznaka życia, pomyślał Lukas.

– Dlaczego nikt się ze mną nie skontaktował? – spytał ojciec tak nieoczekiwanie, że Lukas rozlał trochę herbaty. – Nie powinienem się o tym dowiadywać z gazet.

– Dzwonili do mnie. Komisarz Stubø telefonował rano z Flesland. Musiał jak najszybciej wracać do Oslo, a ja uznałem, że to zły pomysł, by miał rozmawiać z tobą ktoś inny niż on. Do niego... już się przyzwyczyłeś. Wiedziałem, że nie słuchasz radia ani nie oglądasz telewizji. Telefonu też nie odbierasz, więc doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, przyjeżdżając. Przyjechałem tak szybko, jak mogłem, ojcze.

Erik miał czerwone oczy, a po obu stronach ust głębokie bruzdy. Nos, teraz węższy, wydawał się zarazem większy. W migotliwym blasku świecy przypominał żywego trupa. Długo przyglądał się synowi.

– Chyba jesteś chory – zauważył w końcu. – Przeziębiony.

– Tak – uśmiechnął się lekko Lukas. – Rzeczywiście nie jestem w formie. Ale dobrze, że to wiemy, ojcze. Że był szczególny powód, dla którego matkę zabito. Musimy być dumni...

Ojciec zaszlochał i przeciągnął wierzchem dłoni po oczach.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział głośno.

– Ale teraz będzie łatwiej, ojcze. Stubø twierdzi, że to solidny przełom w śledztwie i z całą pewnością rozwiążą tę sprawę. Łatwiej będzie nam żyć, kiedy będziemy wiedzieć, co...

– Nie słyszałeś, co powiedziałem? – Ojciec próbował krzyknąć, ale głos go nie usłuchał. – Nie chcę o tym rozmawiać! Ani teraz, ani nigdy!

Lukas nabrał powietrza, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Nic więcej nie było do powiedzenia.

W jakimś momencie ojciec osiągnie punkt zwrotny w swojej żałobie, tego Lukas był pewien. Tak jak on odczuł dziwną ulgę, kiedy Stubø zadzwonił w samym środku kąpieli Williama, tak i ojciec znajdzie z czasem pociechę w tym, że matka umarła za swoje przekonania.

Nękanie ojca o tę fotografię nie miało już sensu.

Kiedy Astrid wczoraj wieczorem się przyznała, że dała zdjęcie Yngvarowi Stubø, krzyczał, wrzeszczał i przeklinał. W samym środku wybuchu wściekłości rzucił nawet szklanym wazonem o podłogę. Tysiąc kawałeczków szkła rozprysnęło się po kuchni, a Lukas, dopiero widząc przerażony wzrok żony, zdradzający, jak bardzo Astrid się go boi, zdołał się opanować.

Teraz to już bez znaczenia.

Zabójstwo matki zostanie wyjaśnione. Najwyraźniej nie miało nic wspólnego z zaginioną siostrą. Yngvar Stubø obiecał, że fotografia zostanie im zwrócona, gdy tylko zrobią kopię. Mówił też, że najprawdopodobniej nie jest wcale taka ważna dla sprawy, jak początkowo przypuszczał. Ciało też niedługo zostanie im wydane. Pogrzeb będzie mógł się odbyć już za pięć dni.

To pomoże im wszystkim.

Ojcu także. Dla ojca takie postawienie kropki jest ważniejsze niż dla kogokolwiek innego.

Kiedy będzie już po wszystkim, Lukas w spokoju wróci do poszukiwania siostry, bez względu na to, co Astrid o tym myśli. W żadnym razie nie musiał dręczyć ojca pytaniami, dlatego usunął to zdjęcie z pokoju matki i ukrył na strychu.

Gardło ciągle go bolało. Herbata miała gorzki smak, więc ją odstawił.

Ojciec zasnął, a przynajmniej tak wyglądał. Oczy miał zamknięte, zapadnięta klatka piersiowa podnosiła się i opadała w równym, powolnym rytmie.

Lukas zdecydował, że zostanie. Zamknął oczy, owinał się starym kocem matki i zapadł w sen.

Zmierzch długiego dnia

Kiedy zadzwonił telefon, Yngvar odniósł wrażenie, że ktoś próbuje go ciągnąć. Burknął coś i obrócił się, usiłując wyrwać się temu komuś, kto trzymał go za łydkę. Parę razy kopnął w powietrzu, w końcu pociągnął kołdrę i jęknął. Odgłos komórki narastał. Inger Johanne nakryła głowę poduszką.

– To twój – powiedziała przez sen. – Odbierz albo wyłącz.

Yngvar gwałtownie usiadł na łóżku, próbując zrozumieć, gdzie jest.

Oszołomiony obmacał nocną szafkę. Stara komórka okazała się zepsuta, a dzwonek nowej brzmiał obco.

– Halo – mruknął i zobaczył, że na budziku jest 5.24.

– Dzień dobry. Mówi Sigmund. Spałeś? Czytałeś „VG”?

– Nie czytam gazet w środku nocy.

– Wiesz, co piszą?

– Raczej nie – warknął Yngvar. – Ale zakładam, że planujesz mi o tym opowiedzieć.

– Idź stąd! – jęknęła Inger Johanne.

Yngvar spuścił nogi na podłogę i dłonią potarł twarz, żeby się rozbudzić.

– Zaczekaj chwilę! – powiedział cicho do aparatu, wsuwając stopy w granatowe crocsy.

Poprzedniego wieczoru siedzieli z Inger Johanne do trzeciej.

Kiedy wreszcie zdołali oderwać się od sprawy, próbowali się wyciszyć, oglądając stary odcinek *Nowojorskich gliniarzy*. Seriale kryminalne zawsze go usypiały.

Teraz był półprzytomny.

Poczłapał do łazienki, strumień moczu zapluskął w sedesie, kiedy przyłożył komórkę do ucha i mruknął:

– No, słucham.

– Sikasz? Sikasz w trakcie rozmowy ze mną?

– Co tam jest w tym „VG”?

– Mają, do cholery jasnej, wszystkie nazwiska. Nazwiska ofiar.

Yngvar zamknął oczy, siarczyście klnąc w duchu.

– Nie pojmuję, jak je dostali – mówił Sigmund. – Ale już wszystkie wilki się zbiegły.

Wszędzie są dziennikarze, Yngvar. Wydzwanają do mnie i do innych, i...

– Do mnie nikt nie dzwonił.

– Na pewno się odezwą.

Yngvar poszedł do kuchni. Próbował po cichu jedną ręką napęlić elektryczny czajnik.

– Rozumiem, że tkwimy głęboko w bagnie, jeśli chodzi o przecieki – westchnął i ziewnął. – Ale naprawdę musisz mnie z tego powodu budzić wpół do szóstej w sobotę rano?

– To nie jest główny powód. Dzwonię, bo...

Dzbanek do kawy pełen był fusów. Kiedy Yngvar podstawił go pod kran, żeby je wypłukać, woda tak mocno waliła o szkło, że nie zrozumiał, co powiedział Sigmund.

– Nie bardzo to do mnie dotarło. – Yngvar przycisnął telefon do ucha ramieniem i włożył łyżkę do odmierzenia kawy do puszki.

– Znaleźliśmy tę kobietę ze zdjęcia.

Mogłoby się wydawać, że już sam zapach kawy otrzeźwił Yngvara.

– Co powiedziałeś?

– Policja z Bergen znalazła kobietę z tej twojej fotografii. Prawdopodobnie to nie ma aż tak wielkiego znaczenia, jak byś chciał, ale tak ci zależało...

– Jak ją znaleźli? – przerwał mu Yngvar. – W dodatku w tak krótkim czasie?

– Po prostu rozpoznał ją ktoś z policji. Mamy bazy danych, współpracę międzynarodową, samego diabła i jego babkę, a tymczasem stary sposób...

– Kto o tym wie? – spytał Yngvar.

– O czym?

– O tym, że ją znaleźliśmy, do pioruna!

– Przypuszczam, że parę osób z Bergen, no i ja. A teraz ty.

– I niech tak zostanie! – zawołał Yngvar. – Na miłość boską, nikt z Komendy Okręgowej w Oslo nie może się o tym dowiedzieć! Ani z Kripas! Zadzwoń do tego twojego człowieka w Bergen i każ mu trzymać gębę na kłódkę.

– To kobieta. Masz takie uprzedzenia...

– Wszystko jedno. Po prostu nie chcę, żeby to trafiło do gazet, jasne?

Woda się zagotowała. Yngvar odmierzył cztery łyżki kawy, po chwili wahania dosypał piątą. Zalał kawę i ruszył do łazienki.

– Kim jest ta kobieta? – spytał cicho.

– Nazywa się...

Yngvar usłyszał szelest papieru.

– Martine Brække – odczytał Sigmund. – Nazywa się Martine Brække i żyje. Mieszka w Bergen.

Yngvar zatrzymał się na środku salonu. Prawie pusta butelka wina z poprzedniego wieczoru wciąż stała na stole. Na podłodze, obok przewróconej miski z chipsami, leżała gazeta z gryzmołami Inger Johanne.

– Ile ona ma lat? – spytał, czując, że puls mu przyspiesza.

– Nie wiem – odparł Sigmund. – A zresztą zaczekaj. Urodzona w czterdziestym siódmym. Mieszka w...

– W tym roku kończy sześćdziesiąt dwa lata. Inger Johanne miała rację. Do cholery, Inger Johanne mogła mieć rację!

– W czym?

– Muszę jechać do Bergen – oświadczył Yngvar. – Jedziesz ze mną?

– Teraz? Dzisiaj?

– Najszybciej, jak się da. Podjedź po mnie, Sigmund. Natychmiast. Musimy jechać do Bergen.

Zanim Sigmund zdążył odpowiedzieć, Yngvar się rozłączył. Zdążył wziąć prysznic, ubrać się i wypić filiżankę potwornie mocnej kawy, nie budząc Inger Johanne ani dzieci. Kiedy samochód Sigmunda sturlał się po Hauges vei i zaparkował przed domem pół godziny później, Yngvar już czekał przy furtce.

Była sobota, siedemnasty stycznia, a on nie miał żadnego bagażu.

* * *

Mężczyzna, który dwadzieścia dziewięć dni wcześniej wyciągnął dziewczynkę spod tramwaju na Stortingsgaten w Oslo, popijał markową wodę mineralną z kieliszka na wysokiej nóżce, zastanawiając się, czy załadowano już jego bagaż. Na lotnisku zjawił się bardzo późno. Siedział teraz na pokładzie samolotu British Airways, lot BA0117 z Heathrow na lotnisko JFK w Nowym Jorku, i był jednym z zaledwie trzech pasażerów podróżujących pierwszą klasą. Podczas gdy dwoje pozostałych kończyło już trzecią porcję szampana, on uprzejmie odmówił, kiedy stewardesa zaproponowała mu więcej wody.

Cieszył się z obszernego miejsca i ze spokoju panującego w przedniej części kabiny. Zasłonka oddzielająca ich od reszty pasażerów zmieniała hałas panujący z tyłu w cichy szum,

który mieszał się z równym warkotem silników i działał na niego usypiająco.

Ostatni odcinek drogi do domu pokonywał pod własnym nazwiskiem. Ekstremalne środki bezpieczeństwa w amerykańskim ruchu lotniczym i kontrola graniczna po jedenastym września 2001 roku sprawiały, że podróżowanie do kraju na fałszywych papierach byłoby ryzykowne. Ponieważ nie miał rezerwacji, a na ten samolot zostały już tylko bilety pierwszej klasy, musiał wydać ponad siedem tysięcy dolarów na bilet w jedną stronę. Trudno, wracał do domu. Musiał wracać i musiał podróżować pod własnym nazwiskiem: Richard Anthony Forrester.

W ciągu dwóch miesięcy, jakie spędził w Norwegii, ani razu nie dzwonił do Stanów. National Security Agency, NSA, nadzorowała wszelkie połączenia przychodzące i wychodzące, takie ryzyko było więc zbędne. Miał i tak z góry przygotowane instrukcje. Gdyby mimo wszystko z jakichś przyczyn musiał skontaktować się z organizacją, to otrzymał numer alarmowy do Szwajcarii, pod który mógł zadzwonić. Nie okazał się jednak potrzebny.

Podczas pobytu Richarda A. Forrestera w Norwegii spora aktywność panowała natomiast w jego przenośnym komputerze. Laptop znajdował się w Wielkiej Brytanii, a opiekował się nim niewysoki, krępy mężczyzna o ładnych zębach i ciemnych, gęstych włosach obciętych na jeża. Człowiek ten jeździł po angielskiej wsi w związku z nową ofertą biura podróży Forrester Travelling. Firma należała do Richarda. Założył ją dwa lata po stracie żony i małego syna, zabitych przez pijanego kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku i cztery kilometry dalej sam się zabił.

Na wszelki wypadek Richard A. Forrester od piętnastego listopada przebywał w Anglii. Ale to było jedynie zabezpieczenie. Przecież nikt nigdy go o to nie spyta.

Opuścił miękkie oparcie siedzenia i okrył się kocem. Była dopiero dziewiąta rano, ale zeszłej nocy niewiele spał. Z przyjemnością zamknął oczy.

Wraz ze śmiercią Susan i małego Anthony'ego jego życie się skończyło. Próbował iść za nimi do nieba, podejmując próbę samobójczą, ale to doprowadziło jedynie do tego, że nie mógł się dłużej uważać za żołnierza w US Marines. Piechota morska nie potrzebowała żołnierzy ze skłonnościami samobójczymi, więc Richard musiał stawić czoło przyszłości bez żony, bez dziecka i bez pracy. Miał jedynie niewielką emeryturę, walizkę z ubraniami i wypłacone odszkodowanie, którego wcale nie chciał.

– Czy mogę zaproponować coś innego? – spytała cicho piękna stewardesa, przechylając się z uśmiechem ponad pustym siedzeniem obok niego. – Może kawy? Herbaty? Coś do jedzenia?

Odwzajemnił uśmiech, ale pokręcił głową.

Przez trzy miesiące po tamtej katastrofie właściwie tylko się wałęsał. Z reguły pijany, zawsze zaś opętany rozpaloną do białości wściekłością na wszystko. Pewnego wieczoru dosłownie wyrzucono go z baru w Dallas. Półprzytomny leżał gdzieś na bocznej ulicy, dopóki z nicości nie wyłonił się jakiś człowiek, który zaproponował mu spotkanie z Bogiem. Ponieważ Richard nie był umówiony z nikim innym, pozwolił się postawić na nogi i zaprowadzić do niewielkiej kaplicy położonej zaledwie dwa kwartały dalej.

Tego wieczoru spotkał Boga. Tak jak mu to obiecał nieznajomy.

Richard Forrester pogładził włosy. Przyjemnie było poczuć, że odrastają, chociaż wciąż miały zaledwie kilka milimetrów. Został pobłogosławiony gęstymi włosami, bez cienia łysiny i zawsze strzygł je krótko, ale kiedy je zgoił, jego wygląd mimo wszystko zasadniczo się zmienił.

Ułożył się wygodnie, zgasił światło nad głową i zaciągnął zasłonkę w oknie.

Bóg, którego spotkał w Dallas w listopadowy wieczór 2002 roku, był zupełnie kimś innym niż ten, którego poznał w dzieciństwie. Rodzice byli metodystami, jak większość sąsiadów w małym miasteczku, w którym dorastał. Jako dziecko Richard postrzegał religię bardziej jako społeczną obecność w jednoczącej parafii niż jako osobisty związek z Bogiem. Co niedziela odbywały się nabożeństwa, od czasu do czasu jakiś jarmark przy kościele. Była też drużyna piłki nożnej i stowarzyszenie matek, pikniki połączone z grillowaniem i imprezy bożonarodzeniowe. Richard dorastał przede wszystkim z miłym Bogiem, który nigdy nie wywarł na nim szczególnego wrażenia.

Ale gdy ów nieznajomy zabrał go do kaplicy, Richard poznał wszechmogącego. Tamtej nocy doznał objawienia. Bóg przyszedł do niego z niezwykłą gwałtownością, w pierwszej chwili sądził nawet, że zaraz umrze, w końcu jednak ogarnął go stan pokoju i totalnego oddania. Tamtej nocy w kaplicy Richard Forrester przeżył *katharsis*. Gdy wreszcie nastał ranek, narodził się na nowo.

Jego życie w roli walczącego za ojczyznę żołnierza, męża i ojca się skończyło.

Zaczęło się życie w roli żołnierza Boga.

Już nigdy nie tknął alkoholu.

Wysłuchany w monotony warkot silników Richard Forrester przypominał sobie tamtą piękną dziewczynkę.

Widziała go. Kiedy kobieta, która miała umrzeć, zniknęła sama w piwnicy, nadarzyła się tak niesamowita okazja, że musiał ją wykorzystać. Ale pojawiło się dziecko. Poczuł wtedy szczerą rozpacz na myśl o tym, co powinien zrobić.

Potem uświadomił sobie, że to dziecko jest niewinne.

Tak jak Anthony. On też urodził się za wcześnie z uszkodzeniem mózgu, które nigdy nie pozwoliłoby mu psychicznie dorosnąć. Dziewczynka była takim właśnie dzieckiem. Pojął to za ledwie po kilku sekundach.

Pozwolił jej uciec z piwnicy.

Żeby jednak mieć pewność, obserwował ją. A kiedy ocalił ją przed nadjeżdżającym tramwajem, łatwo było spytać kogoś ze wstrząśniętych, odświętnie ubranych świadków, co to za dziecko. Richard po prostu stał po drugiej stronie ulicy, dopóki matka nie wniosła dziewczynki do hotelu. Potem jakiś mężczyzna, który zabawiał stale nowych palaczy dramatyczną relacją, z przyjemnością podał mu nazwisko matki, zwłaszcza kiedy usłyszał, że Richard chce wysłać jej kwiaty. Adres znalazł w internecie.

Dziewczynka, niestety, przeszkodziła mu w zgładzeniu tej kobiety w sposób, jaki pierwotnie zaplanował, tak by wyglądało to na wypadek. Ale to nie było winą tego dziecka. Na szczęście zachował dość przytomności, by przeszukać i kobietę, i jej torebkę, znaleźć bilety do Australii i zabrać komórkę. Wszedł do jej hotelowego pokoju, zabrał bagaż i zapłacił rachunek. Zamieszanie panujące w recepcji bardzo mu sprzyjało. Potem zwyczajnie zniknął w tłumie rozbawionych, pijanych gości. Walizkę kobiety schował w niezamykanej na klucz komórce sprzątaczek pod wielkim, kartonowym pudłem, tak zakurzone, że pewnie nikt go nie ruszał od kilku lat. Zniknięcie tej kobiety nie mogło zostać odkryte od razu, więc wysyłając w kolejnych dniach kilka krótkich SMS-ów mało istotnej treści, kupił sobie dostatecznie dużo czasu. Każda minuta mijająca od zabójstwa do wszczęcia śledztwa zmniejszała szansę na wyjaśnienie sprawy.

– Przynieść panu poduszkę? – usłyszał nagle szept stewardesy.

Nie otwierając oczu, pokręcił głową.

Matka dziewczynki wpadła w histerię. To, że uderzyła go w twarz, kiedy mała była już ocalona, to jedno. Ale w okresie między świętami stanął raz w odległości mniej więcej dwustu metrów od białego domu, w którym mieszkała rodzina dziewczynki. Z willi w sąsiedztwie wyszedł mężczyzna i zbliżył się do dwóch dziewczynek bawiących się w ogrodzie. Matka obserwowała je z okna. Wyglądała na śmiertelnie wystraszoną, gdy po nie wybiegła.

Trochę tak jak Susan, pomyślał, chociaż nie pozwalał sobie na częste wspomnienie żony. Ona też się tak bała o Anthony'ego.

Nie pierwszy raz widział, że obserwowane przez niego osoby ogarnia przerażenie i czują się śledzone. Oczywiście nigdy go nie widziały, tak jak matka tej ślicznej dziewczynki nie zauważyła go, kiedy jechał za nią do szkoły w bezosobowym, wynajętym samochodzie, i

wreszcie uzyskał potwierdzenie, że dziecko rzeczywiście nie jest zwyczajne. Był zbyt dobrze wyćwiczony, by dać się zauważyć. Ale kobieta wyczuła jego obecność. Ojciec dziewczynki, którego rozszyfrowanie zajęło Richardowi trochę czasu, wystraszył się już za pierwszym razem. Richard musiał się dowiedzieć, czy dziecko bez matki nie zachowuje się inaczej, i trzykrotnie obserwował ją, kiedy przebywała z ojcem. W końcu mężczyzna zaczął zerkać przez ramię.

Facet mieszkający na wzgórzu i w wynaturzony sposób udający ojca rodziny zachowywał się tak samo. Czuł się prześladowany. A jego kochanek, wtedy, w poniedziałek, już prawie dwa tygodnie temu, zachowywał się wprost histerycznie, biegając po śniegu i pstrykając zdjęcia śladów opon. Richard stał wtedy w oddaleniu i wszystko obserwował. Podjechało dwóch ciemnoskórych chłopaków w dużym bmw. Domyślał się, że to Pakistańczycy. W Oslo aż się od nich roilo. Najwyraźniej mieli sobie coś do wyjaśnienia, bo zatrzymali się na niewielkim placyku przed bramą domu, w którym mieszkała ta fałszywa rodzina, i stali tam przez jakiś czas. Gwałtownie gestykulowali i wypalili całe mnóstwo papierosów, nim wreszcie pojechali dalej.

Sodomita wyczuł jego obecność, ale go nie dostrzegł, tak jak inni.

Nie widzieli Richarda, a po głębszym zastanowieniu, wcale go też nie czuli.

Czuli obecność Boga, pomyślał Richard Forrester. I chociaż tej perwersyjnej kopii ojca rodziny tym razem się upiekło, to jego czas jeszcze nadejdzie.

Richard Forrester uśmiechnął się lekko i zasnął.

* * *

Dom sprawiał wrażenie jakby drzemiącego na stromym zboczu. Okienka miał małe, ze szprosami dzielącymi szyby na cztery części. Stał wciśnięty między dwa podobne, ale większe domy. Wyglądał skromnie, prawie jakby się wstydził. Wąska furtka otwierała drogę na maleńkie tylne podwórze. Stał tam damski rower, oparty o wysoki mur, a w kącie zestawiony na zimę stos kolorowych, ceramicznych doniczek. Kamienne schodki prowadziły do niedużych zielonych drzwi. Przy nich wisiała porcelanowa tabliczka. Wykaligrafowane na niej nazwisko i ramka z polnych kwiatków wyblakły od słońca i deszczu.

M. Brække.

Yngvar Stubø się wahał. Stał na stopniu, oparty plecami o prostą balustradę z kutego żelaza i próbował przemyśleć to wszystko jeszcze raz.

Zamierzał odebrać tej kobiecie tajemnicę, której według wszystkich oznak na niebie i ziemi dochowywała przez blisko pół stulecia. Kładąc palec na mosiężnym dzwonku pod

tabliczką z nazwiskiem, wdrze się w życie i tak już dostatecznie trudne. Mieszkanka tego małego, białego domku dokonała już wyborów i całe życie przeżyła w cieniu cudzego małżeństwa.

Funkcjonariuszka policji bergeńskiej, która rozpoznała kobietę na fotografii, opowiedziała mu o niej pokrótce podczas przejazdu z Flesland. Martine Brække, niezamężna i bezdzietna, pracowała w Szkole Katedralnej w Bergen. Prowadziła ciche życie w oddaleniu niemal od wszystkiego. Ale była szanowaną nauczycielką, a poza tym dawała prywatne lekcje gry na pianinie. Kiedyś zapowiadała się na obiecującą pianistkę, ale w wieku dziewiętnastu lat zapadła na jakąś formę reumatyzmu, który uniemożliwił wspaniałą karierę, jaką jej wróżono.

Z wnętrza domu dobiegły nagle kruche, delikatne dźwięki. Yngvar przekrzywił głowę, słuchając muzyki. Nie poznawał utworu, ale dźwięki były lekkie, jakby tańczyły, przywodziły na myśl wiosnę.

Uniósł rękę i zadzwonił do drzwi.

Muzyka się urwała.

Kiedy drzwi się otworzyły, natychmiast ją poznał. Wciąż była piękna, ale oczy miała zaczerwienione, a usta zapuchnięte jak od płaczu.

– Nazywam się Yngvar Stubø – przedstawił się, wyciągając rękę. – Jestem z policji. Niestety, muszę z panią porozmawiać o Evie Karin Lysgaard.

Lęk w jej spojrzeniu kazał mu spojrzeć w bok, jakby wciąż jeszcze mógł zmienić decyzję i odejść.

– Jestem sam – dodał cicho. – Jak pani widzi, przyszedłem całkiem sam.

Wpuściła go do środka.

* * *

– Nie życzę sobie dłużej słuchać tego gładzenia o testamencie – oświadczyła mężowi sekretarka adwokata Fabera, szykując kanapki na lunch. – To absolutnie nie twoja sprawa.

Bjarne siedział przy kuchennym stole z kopią testamentu w rękę i mrużąc słabowidzące oczy, wpatrywał się w maleńkie literki.

– Ależ musisz zrozumieć – odparł z niezwykłym jak na niego gniewem. – To może oznaczać, że tego człowieka oszukano. Pozbawiono ogromnego spadku!

– Niclas Winter nie żyje. Nie ma żadnych spadkobierców, tak było napisane w gazecie. A martwego człowieka nie można już niczego pozbawić.

Prychnęła oburzona i na pagórku jajeczniczy ułożyła szczodłą porcję łososia.

– Już. Możemy jeść.

– Naprawdę, Vero! – Mąż uderzył pięścią w stół. – Tu może być mowa o przestępstwie. – Drugą ręką klepnął w najświeższe wydanie „VG” rozłożone na zajmującym dwie kolumny artykule o jakiejś strasznej bandzie z Ameryki, która zabiła sześć osób, kierując się chorą nienawiścią do homoseksualistów. Bjarne Isaksen był wstrząśnięty. Nie żeby miał sympatię dla takich świństw, jakie wyprawiali ci ludzie, ale są pewne granice. Nie można w imię Boga zabijać kogoś tylko dlatego, że się nie pochwała jego życia intymnego. – Tutaj jest napisane, że Niclas Winter został zamordowany!

Vera odwróciła się do męża, ujęła pod boki i chrząknęła, jakby nabierała rozpędu.

– Ten testament nie ma nic wspólnego ze śmiercią Niclasa Wintera. Przeczytałam ci ten artykuł trzy razy. Nie pada w nim ani jedno słowo o pieniądzach, spadku czy testamencie. Ci szaleńcy ze Stanów zabijali, aby zabić, Bjarne! Nic nie wiedzieli o kawałku papieru leżącym w starej, zakurzonej dębowej szafie w kancelarii adwokata Fabera. – Mówiła z coraz większym podekscytowaniem. – Nie będę więcej słuchać takich bzdur! – Odwróciła się z powrotem do kuchennego blatu.

– Dzwonię na policję – oświadczył Bjarne gniewnie. – Mogę zadzwonić anonimowo i kazać im skontaktować się z Faberem, żeby zapytali go o testament na korzyść Niclasa Wintera. Oni mają takie telefony, pod które można dzwonić i wcale nie trzeba się przedstawiać. Dzwonię, Vero. Dzwonię już teraz.

Vera demonstracyjnie westchnęła i drobną dłonią przygładziła włosy.

– Ty nie zadzwonisz na policję. Jeśli ktokolwiek w tym domu ma rozmawiać z władzą porządkową, to ja. Przynajmniej jestem w stanie wytłumaczyć, w jaki sposób uzyskałam legalny dostęp do tego testamentu. – Kolejny raz nerwowo przygładziła wypracowaną fryzurę.

– No to dzwoń – zirytował się Bjarne. – Dzwoń do nich.

Vera rzuciła nożykiem do masła. Spojrzała na męża najsurowszym spojrzeniem, na jakie było ją stać, ale on nie ustępował. Z uporem małego chłopca nie spuszczał z niej wzroku.

– Jak sobie chcesz – oświadczyła z ponurą miną i poszła po telefon.

* * *

– Dzwonił Yngvar Stubø – powiedział Lukas z lekkim zdziwieniem i odłożył telefon na stolik do kawy.

– Po co? Mówiłeś chyba, że wrócił do Oslo.

Ojciec przynajmniej znów zaczął się odzywać. Chociaż trochę, pomyślał Lukas.

– Zdaje się, że znów dzisiaj przyjechał.

– Dlaczego dzwonił?

– Powiedział, że chce rozmawiać z tobą. Osobiście.

– Ze mną? Po co?

– Tego nie wiem. Ale twierdził, że to ważne. Mówił, że próbował telefonować do ciebie, wyłączyłeś telefon stacjonarny? – Lukas nachylił się i zajrzał za fotel ojca. – Tak nie wolno robić. Musi być jakaś możliwość kontaktu z tobą.

– Mam prawo do tego, żeby mnie zostawili w spokoju.

Lukas nie odpowiedział. Lekki niepokój kazał mu krążyć po salonie. Dopiero teraz zauważył, że w domu nie sprzątało od świąt. Oprócz stosu prenumerowanych gazet, wznoszącego się na metr koło telewizora, w salonie było jako tako uładzone. Ojciec dbał o porządek, lecz o nic więcej. Kiedy Lukas przeciągnął palcem po płaskiej powierzchni bufetu, zostawił wyraźny ślad. Bożonarodzeniowa szopka wciąż stała, ale żarówka w dużej szklanej skrzynce się przepaliła i to, co kiedyś było tworzącą nastrój dekoracją, zmieniło się w ponure wspomnienie świąt, o których najchętniej by zapomniał. Kiedy podszedł do kanapy w drugiej części pokoju, koty z kurzu bezszelestnie przemknęły wzdłuż listew przy podłodze.

Zatrzymał się poza zasięgiem wzroku ojca i wciągnął powietrze przez nos.

Pachniało starym człowiekiem, starym domem. Nie śmierdziało wprost, ale panował nieprzyjemny, zastały zaduch.

Lukas postanowił, że posprząta, i poszedł do schowka na korytarzu po wiadro i środki do mycia. Z tego, co pamiętał, stał tam również odkurzacz. Uświadomiwszy sobie jednak, że Yngvar Stubø może się zjawić w każdej chwili, zrezygnował.

– Chyba trochę przewietrzymy – powiedział głośno i podszedł do okna w salonie. Mocował się z haczykiem, który wreszcie ustąpił, ale kalecząc go w kciuk.

– Cholera – mruknął i wsunął palec do ust.

Tak szybkie pojawienie się Yngvara Stubø w Bergen mogło być dobrym znakiem. Śledztwo najwyraźniej nabrało tempa. Lukas nie słuchał radia ani nie czytał dzisiejszych gazet, ale wczoraj rano głos Yngvara Stubø brzmiał optymistycznie.

Lukas poczuł smak słodkiego żelaza na języku i obejrzał obolały palec. Kiedy szedł szukać plastra w apteczce matki, rozległ się dzwonek do drzwi.

Z palcem w ustach zawrócił, żeby otworzyć.

– Proszę – powiedziała Silje Sørensen głośno, patrząc na drzwi.

Inger Johanne uchyliła je ostrożnie i wsunęła głowę do środka.

– Proszę, proszę – powtórzyła policjantka, dając jej znać gestem. – Cieszę się, że mogłaś przyjść osobiście. Te historie w „VG” wpędzają mnie w paranoję, a Yngvar uważał, że powinnaś mnie jak najszybciej poinformować, co się dzieje. Nie ufam nawet własnej komórce.

– To chyba ostatnia rzecz, jakiej możesz ufać. – Inger Johanne usiadła na krześle dla gości. – Macie pojęcie, skąd te przecieki?

– Nie. Zawsze mieliśmy problemy z prasą, która wie za dużo, ale to najgorszy przykład, jaki pamiętam. Czasami się zastanawiam, czy ci dziennikarze przypadkiem kogoś z nas nie szantażują.

Uśmiechnęła się nagle i postawiła przed Inger Johanne butelkę z wodą mineralną i szklanekę.

– Zawsze tak ci się chce pić – wyjaśniła. – A jestem teraz strasznie ciekawa. Yngvar powiedział, że sprawa w Bergen przypuszczalnie przyjęła całkiem nowy obrót.

– No cóż, ja nie...

Zadzwonił telefon.

Silje przez moment się wahała, w końcu przepaszając machnęła ręką i sięgnęła po słuchawkę.

– Sørensen – przedstawiła się szybko.

Ktoś miał najwyraźniej sporo do przekazania. Inger Johanne poczuła się zakłopotana. Pani nadkomisarz mówiła bardzo niewiele, momentami spoglądała na nią neutralnym, wręcz nieobecny spojrzeniem. W końcu Inger Johanne postanowiła wyjść na korytarz. Z zakłopotania znów zaczęła się pocić. Już wstawała, kiedy Silje Sørensen gwałtownie pokręciła głową i uniosła rękę.

– Czy ona tu z tym jedzie? – spytała w słuchawkę. – Teraz?

Znów zapadła cisza.

– Świetnie – odparła Silje. – Tylko od razu, dobrze? Czekam u siebie.

Odłożyła słuchawkę. Nad wąskim, prostym nosem, na ukos od lewej brwi biegła zmarszczka zdziwienia.

– Testament – powiedziała zamyślona.

– Co?

– Jakaś kobieta, podobno sekretarka w kancelarii adwokackiej, tu, w mieście, zadzwoniła na anonimowy telefon i twierdziła, że ma w ręku testament na korzyść Niclasa

Wintera, który może mieć znacznie dla śledztwa w sprawie jego śmierci.

– Tak?

– Na szczęście informację wyłapano dość szybko. Jeden z moich chłopaków złapał tę kobietę. Już tu jedzie z tym testamentem.

– Ale co miałyby... Jeżeli teoria „The 25’ers” jest prawdziwa, to co miałyby mieć wspólnego ze sprawą ten testament?

Silje wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale ona zaraz tu będzie i wtedy się przekonamy. Co mi miałaś powiedzieć? Muszę przyznać, że Yngvar bardzo mnie zaintrygował.

Inger Johanne otworzyła butelkę i nalała wody do szklanki. Gaz cicho zasyczał i zapiekł w wargi, kiedy się napiła.

– Eva Karin Lysgaard nie tylko sympatyzowała z homoseksualistami – powiedziała wreszcie, odstawiając szklankę. – Wszystko wskazuje na to, że sama była lesbijką. To jeszcze umacnia teorię „The 25’ers”.

Sądząc po wyrazie twarzy Silje Sørensen, Inger Johanne mogła równie dobrze powiedzieć, że Jezus zstąpił na ziemię i przysiadł na łóżku w pokoju Kristiane.

* * *

Marcus Koll półprzyciemnie usiadł na łóżku i mruknął coś, czego ani Rolf, ani Mały Marcus nie zrozumieli.

– Śpioch! – zaśmiał się Rolf, stawiając na nocnej szafce tacę z kawą, sokiem, dwiema grzankami z serem i szynką. – Już po pierwszej!

– Dlaczego pozwoliliście mi tak długo spać?

Marcus uchylił się od objęć. Był spocony i próbował przełknąć kwaśny smak snu.

– Wydawało mi się, że w nocy nie zmrużyłeś oka – powiedział Rolf. – Więc kiedy w końcu zasnąłeś, nie miałem serca cię budzić.

– Uruchomiliśmy helikopter! – zawołał z ożywieniem Mały Marcus. – Jest po prostu super!

– Na takim mrozie? – westchnął Marcus. – W instrukcji jest napisane, że musi być powyżej zera, inaczej olej zamarźnie.

– Przecież nie możemy czekać aż do wiosny – uśmiechnął się Rolf. – I poszło znakomicie. Miałem pełną kontrolę, Marcus.

– I ja też – dodał chłopiec. – Potrafię nim latać całkiem sam!

– Przynajmniej wtedy, kiedy jest już w powietrzu – uzupełnił Rolf. – Masz tu

dzisiejsze tabloidy. Straszna sprawa z tą bandą morderców. Zrobiliśmy też zakupy. Mnóstwo pyszności na wieczór. Pamiętasz, że mamy gości?

Marcus nie pamiętał nic o żadnych gościach.

Sięgnął po „VG”. Na widok pierwszej strony wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby załkał.

– Chory jesteś, tatusiu? Dlatego tak długo spałeś?

– Nie, najwyżej trochę podziębiony. Dziękuję za śniadanie. Mogę się nim nacieszyć, czytając gazety? I dopiero potem zejdę na dół.

Nawet nie spojrzął na Rolfa.

– Dobrze – zgodził się chłopiec i wybiegł z pokoju.

– Wszystko w porządku? – spytał Rolf. – Chciałbyś jeszcze czegoś?

– Nie, dziękuję. Bardzo miło z waszej strony. Zejdę na dół za pół godziny, dobrze?

Rolf się zawahał, przyglądając mu się uważnie. Marcus zmusił się do obojętnej miny i demonstracyjnie polizał palec, żeby przerzucić stronę.

– No to baw się dobrze – rzucił Rolf i poszedł za chłopcem.

Chyba nie powiedział tego szczerze.

* * *

– Szczerze mówiąc, chciałem porozmawiać z panem w cztery oczy. – Yngvar Stubø patrzył raz na Erika, raz na Lukasa. – Czułbym się o wiele swobodniej.

– Szczerze mówiąc – odparł Erik – to, z czym pan się czuje swobodniej, nie jest ani trochę ważne.

– Hm – mruknął Yngvar.

Prawdę powiedziawszy, Erik się ożywił. Podczas ich poprzednich spotkań jego obojętność graniczyła z apatią. Teraz w chudym wdowcu pojawiła się agresja, niemal wrogość. Yngvar się wahał. Przygotował się na rozmowę z człowiekiem w zupełnie innym stanie ducha aniżeli ten, w jakim najwyraźniej znajdował się Erik.

– Mam już serdecznie dość – oświadczył Erik. – Mam dość tego, że zjawia się pan tu ciągle, nie mając nic do przekazania. Z tego, co mówi Lukas, osiągnęliście przełom w śledztwie, sądziłem więc, że macie lepsze rzeczy do roboty niż nachodzenie mnie w domu. Jeśli znów będzie pan mnie nękał o ten spacer mojej żony, to... – Nagle, jakby zużył całą energię, dosłownie się osunął, ramiona mu opadły, a głowę zwiesił na zapadniętą pierś. – I tak nic nie powiem. Mówiłem już. Nie chcę.

– To nie będzie konieczne – odparł Yngvar spokojnie. – Wiem już, dokąd szła Eva

Karin.

Erik powoli podniósł głowę. Oczy straciły kolor. Białka zrobiły się niebieskawe, jakby łyzy rozmyły błękit tęczy. Yngvar nigdy jeszcze nie widział bardziej pustego wzroku. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Lukas – odezwał się Erik całkiem spokojnie. – Życzę sobie, żebyś stąd wyszedł.

* * *

Czas może wreszcie znów zacząć płynąć, pomyślała Martine Brække i zapaliła zapalniczkę.

Portret Evy Karin, który zwykle stał na nocnej szafce w pokoju, do którego nikt obcy nigdy nie wchodził, został przeniesiony do salonu. To była prośba policjanta. Spytał ją, już na sam koniec, czy nie ma jakiegoś zdjęcia. Przyniosła je bez słowa, a ten potężny mężczyzna ujął je w dłonie. Trzymał długo. Mogło się wydawać, że jest bliski płaczu.

Przytknęła zapalniczkę do knotu dużej, białej świecy. Płomień był blady, prawie niewidoczny, zgasła więc górne światło. Przez chwilę stała, w końcu sięgnęła po małą czerwoną gwiazdę betlejemską i postawiła ją obok zdjęcia na parapecie. Srebrne drobinki na płatkach zamigotały w blasku świecy.

Eva Karin uśmiechała się do niej.

Martine przysunęła sobie krzesło do okna i usiadła.

Czuła ogromną ulgę. Jakby nareszcie, po wszystkich tych latach doczekała się czegoś w rodzaju uznania. Do tej pory dźwigała żal po śmierci Evy Karin zupełnie sama. Tak jak przez blisko pięćdziesiąt lat dźwigała w samotności życie z Evą Karin. Kiedy dzień po zabójstwie pojawił się Erik, wpuściła go do domu, ale zaraz pożałowała. Przyszedł po to, by poczuć wspólnotę. Pragnął boleć wraz z jedyną osobą, która знаła Evę Karin taką, jaka naprawdę była. Ale Martine szybko zrozumiała, że nic ich nie łączy. Łączyła ich Eva Karin. Erik jej nie obchodził. Odprawiła go bez jednej łyzy.

Z tym wielkim policjantem było zupełnie inaczej.

On potraktował ją z szacunkiem, niemal z podziwem. Chodził po małym pokoju, cicho z nią rozmawiając i zatrzymując się przy jednym czy drugim drobiazgu, który go zafascynował. Właściwie jedyną rzeczą, o jaką pytał, będącą, jak mówił, celem jego wizyty, to czy kiedykolwiek powiedziała komukolwiek o swoim związku z Evą Karin Lysgaard.

Oczywiście, że nikomu nie mówiła. Przecież złożyła taką obietnicę w tamten słoneczny, majowy dzień w 1962 roku, kiedy Eva Karin przyrzekła, że już nigdy jej nie opuści. Pod warunkiem że ich miłość pozostanie ich własną, dzieloną tylko przez nie

tajemnicą.

Martine nigdy nie złamałaby obietnicy.

Ten policjant jej wierzył.

Kiedy mówił, że pogrzeb odbędzie się w środę, a ona powiedziała, że nie chce przy tym być, zaproponował, że przyjdzie do niej po ceremonii. Żeby opowiedzieć. Żeby z nią pobyć.

Odmówiła. Ale intencja była piękna.

Martine przysunęła krzesło jeszcze bliżej okna i palcem dotknęła ust Ewy Karin. Szkło było zimne. A przecież ona zawsze miała taką miękką, taką niewiarygodnie miękką i gładką twarz.

Policjant powiedział, że zrobią wszystko, by ta historia się nie rozniosła. Twierdził, że do rozwiązania sprawy ujawnienie takich szczegółów nie będzie konieczne, choć oczywiście nie mógł niczego zagwarantować.

Teraz, kiedy siedziała przy własnym oknie, patrząc na miasto rozciągające się za portretem jedynej miłości swojego życia, czuła, że to nie ma tak wielkiego znaczenia. Oczywiście, dla Erika najlepiej by było, gdyby tajemnica pozostała tajemnicą. Dla Lukasa także. Dla niej, jak sobie uświadomiła, było to bez znaczenia. Zdumiona wyprostowała się i głęboko odetchnęła.

Nie czuła żadnego wstydu.

Kochała Ewę Karin w najczystszy sposób.

Ją i tylko ją.

Wstała powoli i zdmuchnęła świecę.

Ujęła zdjęcie w dłonie.

Martine miała już prawie sześćdziesiąt dwa lata. Życie takie jak do tej pory się skończyło. Być może czekało ją inne, zupełnie nowe życie starej, mądrej kobiety.

Uśmiechnęła się.

Starej, mądrej i wolnej.

Martine nareszcie była wolna. Odstawiła zdjęcie na nocną szafkę. Yngvar Stubø opowiedział jej o własnej żałobie po śmierci żony i córki w wyniku idiotycznego wypadku, któremu sam był winny. Głos mu drżał, gdy cicho mówił o tym, jak życie zaczęło kręcić się w kółko w niekończącym się tańcu bólu, z którego nie widział wyjścia.

Zamknęła drzwi do sypialni.

Czas znów mógł zacząć płynąć. Pomodliła się w duchu za dobrego policjanta, który pomógł jej zrozumieć, że nigdy nie jest za późno na to, by zacząć od nowa.

* * *

Sierżant policji Knut Bork przywitał się z Inger Johanne uściskiem ręki i podał Silje Sørensen dokument.

– Proszę – powiedział. – Nie miałem czasu tego przejrzeć.

Silje otworzyła szufladę i wyjęła okulary do czytania.

– Według kobiety, która to przyniosła, chodzi o dość znaczącą fortunę – ciągnął Knut. – Spadkodawca podobno zmarł już dawno temu, a Niclas Winter nie widział nawet miedziaka z tego spadku, który według testamentu mu się należał.

– Mogę zobaczyć? – spytała cicho Inger Johanne.

– Potrzebny nam prawnik – orzekła Silje, nie podnosząc wzroku. – To jest, łagodnie mówiąc, bardzo interesujące.

– Ja jestem prawniczką.

I Knut Bork, i jego szefowa spojrzeli na Inger Johanne ze zdziwieniem.

– Mam dyplom prawnika. Chociaż doktorat robiłam z kryminologii. Z prawa spadkowego niewiele pamiętam, ale jeśli masz kodeks, to przynajmniej z grubsza coś ustalimy.

– Nigdy nie przestaniesz mi imponować – stwierdziła Silje i nim podeszła do półki przy oknie i wyciągnęła gruby czerwony zbiór ustaw, podała jej testament. – Ale jeśli wiesz o spadkodawcy tyle co ja, to na pewno się ze mną zgodzisz, że będzie nam potrzebna cała gromada adwokatów.

Inger Johanne przebiegła wzrokiem pierwszą kartkę, potem zerknęła na drugą.

– Nie wiem – powiedziała. – Coś mi gdzieś dzwoni. Ale nie wiem, kto to jest. Mogę ci natomiast powiedzieć, że ten testament może być ważny... – Podniosła głowę. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– O cholera! – Silje ujęła się pod boki. – No to teraz już nic nie rozumiem.

* * *

Richard Forrester zrozumiał, że zbliża się kolejny posiłek. Obudził go zapach ciepłego jedzenia. Nawet mu to odpowiadało. Był wprawdzie trochę zamroczony głębokim snem, ale poczuł głód. Menu, które stewardesa troskliwie położyła na pustym siedzeniu obok, zamiast go budzić, wyglądało zachęcająco. Przejrzał je uważnie i zdecydował się na kaczkę w sosie pomarańczowym, dziki ryż i sałatę. A gdy jasnowłosa kobieta pochyliła się nad nim, żeby zabrać kartę, poprosił na przystawkę o świeże szparagi.

– *Water, please** [*Poproszę o wodę.] – powstrzymał ją ruchem ręki, gdy chciała mu nalać białego wina.

Kiedy podniósł zasłonę, przez okno wlało się ostre światło. Było pół do pierwszej czasu norweskiego. Podsunął się nieco wyżej, żeby spojrzeć w dół, na Atlantyk, ale szarobiała pokrywa chmur rozciągała się niczym bezkresna kołdra, widok był więc nudny i nieciekawym. Monotonie bieli przerywał jedynie inny samolot, daleko na południu, lecący w przeciwnym kierunku. Światło mu przeszkadzało, opuścił więc zasłonkę do połowy.

Ogarnął go cudowny spokój.

Tak było zawsze po wykonaniu zlecenia.

Nienawidził perwersji z intensywnością, która pobudziła go do życia, kiedy o mało nie zapił się na śmierć. Spotkał kilku takich ludzi w wojsku. Tchórzliwe psy usiłujące ukryć, że robią ze sobą rzeczy, o których nie można nawet mówić, a jednocześnie wyobrażające sobie, że nadają się do obrony ojczyzny. Tamtym razem, przed nawróceniem, poprzestał na zgłoszeniu bezceństwa. Trzy sprawy przepadły w wojskowej biurokracji, ale jemu nie odebrało to spokojnego snu. Przynajmniej musieli znosić upokorzenie. Ten czwarty sodomita się nie wykrecił. Wywalono go w hańbie.

Wprawdzie stało się tak dlatego, że próbował zalecać się do młodego szeregowca, który groził, że wniesie sprawę przeciwko całemu US Marines, ale wcześniejszy raport Richarda o posiadaniu przez tamtego wynaturzonej pornografii w każdym razie nie zaszkodził sprawie.

Zapach jedzenia stawał się coraz intensywniejszy.

Richard wyjął z torby Biblię.

Była miękka i zniszczona, z mnóstwem maleńkich notatek na marginesach cienkiego papieru. Tu i ówdzie w tekście znajdowały się zaznaczenia żółtym markerem, w niektórych miejscach druk był zatarty na granicy nieczytelności, ale to nie było takie istotne. Richard Forrester znał swoją Biblię, a najważniejsze fragmenty umiał na pamięć.

Kiedy miał dwanaście lat, jeden z takich próbował dobrać się do niego.

Zamknął oczy i położył dłoń na księdze.

Życie po nawróceniu przekonało go, że taki właśnie był sens śmierci Susan i Anthony'ego. Musieli zostać zabrani do Boga po to, by Pan mógł dotrzeć do niego. Mając żonę i dziecko, pozostawał głuchy na Jego wołanie i musiał przejść oczyszczenie, zanim stał się godnym sługą w walce o to, co najważniejsze.

Kiedy mężczyzna, który zabrał go z bocznej uliczki w Dallas, po kilku miesiącach przedstawił go Jacobowi, Richard był już gotów. Jacob miał tylko imię, a nikogo innego

oprócz niego z „The 25’ers” Richard nigdy nie poznał. Nawet na pokładzie tego samolotu mogło ich być więcej. Przyłapał się na tym, że ukradkowo zerka na kobietę siedzącą po drugiej stronie środkowego przejścia.

Tak naprawdę musiał czekać jeszcze dwa lata, by poznać nazwę i znaczenie organizacji. Kiedy dotarło do niego, że działa we wspólnej sprawie z muzułmanami, początkowo wpadł w złość. Jacob usiłował go przekonać, że współpraca jest słuszna i konieczna. Mieli wspólny cel, a muzułmanie posiadali doświadczenie, od którego organizacja była uzależniona.

Takie argumenty nie trafiały do Richarda. Nie pomagały też tłumaczenia, że znaczące jest również wsparcie finansowe ekstremistycznych ugrupowań muzułmańskich. Richard Forrester wiedział, że organizacja w dużej mierze finansuje się sama, i nie mógł pojąć, dlaczego przyjmuje pieniądze od terrorystów. Sam do tego czasu zabił już dwoje ludzi, ale nigdy nie przyszłoby mu do głowy odbierać życia niewinnym. Był równie wstrząśnięty jak wszyscy inni, kiedy samoloty uderzyły w World Trade Center, i muzułmanów nienawdził niemal z równie wielką mocą, jak sodomitów. Dopiero gdy pewnej nocy obudziła go niezwykle intensywna bliskość Boga, który osobiście przekazał mu polecenie, ustąpił.

Po każdym zleceniu na jego legalne konto wpływała znaczna kwota. Wpłaty odnotowywano jako zwrot kosztów podróży i organizacji imprez, jako takie były też zgłaszane władzom podatkowym. Na początku czuł się z tym nieswojo.

Tak wysokie sumy sprawiały, że przypominał mordercę do wynajęcia.

Gwałtownym ruchem odłożył Biblię.

Stewardesa ustawiła stolik i podała przystawkę.

Obserwując zręczne, szybkie dłonie kobiety, myślał o tym, że owszem, dostaje zapłatę, ale nie dlatego zabija.

Richard Forrester zabijał na rozkaz Boga. Pieniądze były po prostu konieczne do realizacji zleceń, które dostawał i przyjmował. Tak jak teraz, gdy szybki powrót do domu nie był możliwy inaczej niż pierwszą klasą.

Rzadko zadawał sobie pytanie, skąd pochodzą te środki. Czasami nie mógł przez to spać, ale jego ufność Bogu nie miała granic. Szybko pozbywał się nieprzyjemnego ściskania w dołku, gdy czasami suma na koncie go zaskakiwała.

– Dziękuję – powiedział, gdy stewardesa dołała mu wody do szklanki.

Zabrał się do jedzenia, postanawiając, że teraz będzie już myślał o czymś zupełnie innym.

* * *

– Pomyśl, Eriku, musisz się dobrze zastanowić. To ma ogromne znaczenie.

Yngvar tym razem postanowił usiąść w fotelu Evy Karin. W żółto-brunatnej tkaninie utkwiał zapach, wyblakłe wspomnienie starszej kobiety, której już nie ma. Materiał był miękki, a do pokrowca na oparciu wciąż kleiły się pojedyncze siwe włosy. Yngvar nigdy dotąd nie zwrócił się do wdowca po imieniu, lecz w takich okolicznościach stosowanie oficjalnych form wydawało się wręcz brakiem szacunku.

– Eva Karin uważała, że ma błogosławieństwo Jezusa – płakał Erik. – Ja nigdy nie mogłem się z tym pogodzić, ale...

– Posłuchaj mnie. – Yngvar nachylił się do wdowca. – Nie mam ochoty, potrzeby ani prawa osądzać życia twojego i Evy Karin. Nie muszę nawet nic o tym wiedzieć. Moim zadaniem jest odkryć, kto zabił Evę Karin, dlatego jeszcze raz spytam: kto oprócz ciebie, Martine i Evy Karin wiedział jeszcze o tym... związku?

Erik gwałtownie wstał. Złapał się za głowę i zachwiał.

Yngvar już się poderwał, żeby mu pomóc, ale Erik machnął nogą w jego stronę, każąc mu się cofnąć.

– Nie dotykaj mnie! W tym nie mogło być nic dobrego! Ona nie chciała mnie słuchać. Dałem się wtedy namówić, to było...

Yngvar Stubø zaczął chodzić do Szkoły Policyjnej – tak wtedy nazywała się wyższa Szkoła Policyjna – trzydzieści dwa lata temu. W ciągu tych lat dużo widział i słyszał, doświadczał sytuacji, z którymi pewnie nigdy miał się nie uporać. Przeżył miazdzącą tragedię osobistą. Przekazywanie innym informacji o śmierci dziecka, o zamordowaniu współmałżonka albo śmiertelnym potrąceniu rodziców przez policyjny radiowóz podczas pościgu za samochodem było pod wieloma względami jeszcze gorsze. Własne cierpienie można próbować opanować. W obliczu cudzej żałoby Yngvar często czuł się kompletnie bezradny. Po latach zdołał jednak wypracować pewną strategię w zetknięciu z rozpaczą. Metodę umożliwiającą mu wykonywanie pracy, którą wykonać musiał.

Teraz się nie sprawdzała.

Ponad pół godziny temu przekazał Erikowi Lysgaardowi to, co wiedział. Usiłował mu tłumaczyć, dlaczego przyszedł. Wdowiec raz po raz przerywał mu, opowiadając długą, niespójną historię o życiu zbudowanym na tajemnicy tak wielkiej, że tak naprawdę nigdy nie zdołał jej pomieścić. To była tajemnica Evy Karin, jej decyzja.

Erik Lysgaard głośno krzyczał. Stał na środku pokoju w za dużym, nieświeżym

ubrani i wykrzykiwał swoje oskarżenia. Przeciwno Bogu. Przeciwno Evie Karin. Przeciwno Martine.

Ale przede wszystkim przeciwno sobie.

– Jak mogłem w to uwierzyć? – jęczał, z trudem chwyając oddech. – Jak mogłem... Nie chciałem być taki jak... jak profesor Berstad. Jak... niech pan zrozumie, że...

Nagle całkiem umilkł. Podeszedł dwa kroki do fotela Yngvara. Siwe, tłuste kosmyki włosów sterczały mu na wszystkie strony, a wargi były mocno czerwone i wilgotne. Oczy zapadnięte, podbródek drżał.

– Profesor Berstad odebrał sobie życie – wyszeptał ochryple. – Wiosną sześćdziesiątego drugiego roku. Chodziliśmy wtedy do drugiej klasy liceum, Eva Karin i ja. Nie mogłem stać się taki jak on. Po prostu nie mogłem. Nie mogłem żyć tak jak on!

Z ust trysnęły mu ciężkie krople chorej śliny. Kilka spłynęło po brodzie, ale nawet tego nie zauważył.

– Widziałem te spojrzenia. Słyszałem te paskudne słowa, trafiały mnie jak... uderzenia batem.

Zdawał się toczyć pianę. Yngvar wstrzymał oddech. Erik wyglądał jak dziwny człowieczek, chudy i zgarbiony, z trudem łapiący powietrze.

– Umówiliśmy się – dyszał. – Umówiliśmy się, że się pobierzemy. Żadne z nas nie byłoby w stanie przeżyć wstydu. Własnego wstydu i wstydu naszych rodziców... Lubilem Evę Karin. Z czasem stała się moim życiem. Moją... siostrą. Ona też mnie lubiła. Mówiła, że mnie kocha, jeszcze tego wieczoru, kiedy... Ale podczas gdy ja postanowiłem, że będę żyć sam, już na zawsze, ona chciała zatrzymać Martine. Taka była umowa. To one żyły razem. Martine i Eva Karin.

Powoli wrócił na fotel. Usiadł. Płakał cicho, nie zasłaniając twarzy dłońmi.

– Trzeba było ponieść za to karę – szepnął Erik. – W końcu trzeba było ponieść karę.

– Z kim o tym rozmawiałeś?

– Kara spadła na mnie – szepnął Erik. – To ja żyję w piekle. Przez cały czas. Codziennie. Każdej nocy. W każdej sekundzie.

– Musisz mi powiedzieć, kto o tym wiedział, Eriku.

– Masz.

Erik w wyciągniętej ręce trzymał zniszczony, oprawiony w skórę tomik, który leżał na stoliku do kawy, gdy Yngvar przyszedł. Zniszczony, poplamiony i bez tytułu. Zawahał się, ale kiedy Erik nalegał, wziął go.

– Weź to, weź! To mój pamiętnik. Przeczytaj ostatnie dwadzieścia stron, a zrozumiesz.

Tam znajdziesz to, co chcesz wiedzieć. Zresztą przeczytaj wszystko. Spróbuj zrozumieć.

– Ale ja nie mogę. Nie mogę przecież...

– Idź już! Weź ten notes i idź!

Yngvar dalej stał, trzymając w ręku pamiętnik zawierający wszystkie myśli Erika Lysgaarda. Nie miał pojęcia, co z tym zrobić, i nie uporządkował jeszcze chaosu wrażeń wywołanych wybuchem rozpaczającego wdowca. Kiedy chciał spytać, czy nie mógłby czegoś dla niego zrobić, nagle zrozumiał: nikt na całym świecie nie mógł już zrobić nic dla Erika Lysgaarda.

Wziął pod pachę życie Erika i po cichu ostatni raz wymknął się z domu na Nubbebakken.

* * *

Rolf szedł korytarzem najciszej, jak umiał. Może Marcus znów zasnął, bo taki panował spokój. Wspaniale, jeśli po tych wszystkich bezsennych nocach naprawdę spał. Rolf położył rękę na klamce i delikatnie ją nacisnął. Za późno przypomniał sobie, że zawiasy zgrzytają, i skrzywił się, słysząc nieprzyjemny dźwięk uchylających się drzwi.

Marcus nie spał. Siedział w łóżku i patrzył przed siebie. Stosik starannie ułożonych gazet leżał na kołdrze. Jedzenie było nietknięte, a szklanka ciągle pełna soku pomarańczowego.

– Nie jesteś głodny? – zdumiał się Rolf.

– Nie. Muszę z tobą porozmawiać.

– No to mów. – Rolf uśmiechnął się i przysiadł na łóżku. – Co się dzieje, kochany?

– Chcę, żebyś wyprawił gdzieś Małego Marcusa. Do mamy albo do kolegi. Wszystko jedno gdzie. Ale jak już będzie w jakimś bezpiecznym miejscu, chcę, żebyś tu wrócił. Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam. Tak, żeby nikogo innego nie było w domu.

– To dopiero! – Rolf roześmiał się z wysiłkiem. – O co chodzi, Marcus? Jesteś chory? To coś poważnego?

– Zrób, jak mówię, bardzo cię proszę. I chciałbym, żebyś to zrobił od razu. Proszę.

Jego głos brzmiał inaczej. Nie jest wcale twardy, pomyślał Rolf, raczej mechaniczny. Jakby to tak naprawdę wcale nie Marcus mówił.

– Proszę – powtórzył Marcus tym razem głośniej. – Zabierz mojego syna z domu, a potem tu wróć.

Rolf podniósł się z wahaniem. Przez moment chciał zaprotestować, ale widząc obcy wyraz w oczach Marcusa, ruszył do drzwi.

– Spróbuję u Mathiasa albo Johana – powiedział najspokojniej, jak umiał. – Łatwiej będzie podrzucić go do kolegi z klasy, niż jechać aż do twojej matki.

– Dobrze – zgodził się Marcus Koll junior. – Tylko wróć najszybciej, jak będziesz mógł.

* * *

– Georg Koll był znajomym mojego ojca – powiedziała Silje Sørensen. – Rzecz jasna w interesach. Chociaż spotkałam go jedynie ze dwa razy jako dziecko, już to wystarczyło, żeby zrozumieć, że ten facet to straszny dupek. Moi rodzice też go nie lubili, ale wiecie, jak to bywa w tych kręgach.

Popatrzyła na pozostałych i usprawiedliwiająco wzruszyła ramionami.

Ani Inger Johanne, ani Knut Bork nie mieli pojęcia, jak jest w kręgach ludzi bogatych, wymienili szybkie spojrzenia i Inger Johanne zaraz zatopiła się w dokumencie przywiezionym przez sekretarkę adwokata.

– Z tego, co widzę, testament jest ważny. I jeśli nie sporządzono nowego, z późniejszą datą, to rzeczywiście właśnie ten... – podniosła kartki – obowiązuje.

– Ale przecież Georg Koll zmarł wiele lat temu – zauważyła zdezorientowana Silje. – Dzieci po nim dziedziczyły. To znaczy dzieci urodzone w małżeństwie. Nie miałam pojęcia, że Georg miał jeszcze jednego syna. Naprawdę tak tam jest napisane?

Inger Johanne pokiwała głową.

– „Mój syn, Niclas Winter” – zacytowała.

– O nim z pewnością nikt nie wiedział – stwierdziła Silje. – Pamiętam, jak tata się śmiał po otwarciu spadku, bo Georg stracił kontakt ze wszystkimi swoimi dziećmi, odchodząc od żony, kiedy jeszcze były małe. Facet był naprawdę gnojkiem. Była żona i dzieci mieszkali w biedzie na Vålerenga, a Georg pływał się w luksusie. Firmą zarządza teraz Marcus Koll junior. Najstarszy. Chyba wprowadzili w niej pewne zmiany, ale... – Odwróciła się do komputera. – Wrzucę faceta w Google – mruknęła, w napięciu patrząc na ekran.

– Bingo! On zmarł... piętnastego kwietnia dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Cztery miesiące po sporządzeniu tego testamentu – stwierdziła Inger Johanne coraz bardziej zamyślona. – Mało prawdopodobne, by napisał jakiś nowy. Coś mi się wydaje, że nasz drogi Niclas Winter został wykolegowany ze spadku!

– Przecież w naszym kraju nie można wydziedziczyć urodzonych w małżeństwie dzieci! – zawołał Knut Bork.

– Jeśli masa spadkowa jest dostatecznie duża, to w pewnym sensie można. – Inger

Johanne przeglądała grubą, czerwoną księgę. – Zachówek dla dziecka jest ograniczony do wysokości miliona koron – powiedziała, szukając ustawy spadkowej. – Ile rodzeństwa ma ten Marcus?

– Dwoje – odparła Silje. – Siostrę i brata, jeśli dobrze pamiętam.

– Według tego testamentu – mówiła Inger Johanne – ta trójka dostałaby po milionie, a resztę odziedziczyłby Niclas.

Silje gwizdnęła, ostro i przeciągle.

– Tu jest mowa o dużych pieniądzach – powiedziała. – Ale musi...

Knut Bork poderwał się gwałtownie i sięgnął po dokument.

– Musi chyba istnieć jakiś termin przedawnienia roszczeń – rzucił ze złością, jakby chodziło o jego majątek. – Niclas nie mógł po prostu zjawić się po tylu latach i zażądać... – Urwał, zastygając w pozie, w której przypominał ogarniętego zapalem mówcę. – Cholera, że ja ją puściłem! Wspomniała, że Niclas Winter dzwonił po adwokatów w zasadzie na oślep. Mówił, że matka niedawno umarła, a na łożu śmierci wyznała, że w jakiejś kancelarii w Oslo leży ważny dla niego dokument, który zapewni mu przyszłość. Może on nie...

Popatrzyli po sobie. Inger Johanne odnalazła wreszcie ustawę spadkową i wsunęła rękę między strony księgi, zaznaczając odpowiednie miejsce.

– Oczywiście, dużo trzeba sprawdzić – powiedziała z wahaniem – ale moim zdaniem Niclas nic nie wiedział o testamencie.

– Dlaczego matka utrzymywała to przed nim w tajemnicy, nie pozwalając, żeby się wzbogacił? Czy matka nie zadbałaby o... – wtrącił Knut.

– Może wcześniej nie chciała mu zdradzić nazwiska ojca – podsunęła Silje. – Przecież o niczym tak naprawdę nie wiemy i dalsze spekulacje w zasadzie nie mają sensu.

– Akurat o tym coś wiemy – zaprotestowała Inger Johanne. – Po śmierci Niclasa Wintera ukazały się o nim dwa artykuły w „Dagens Næringsliv”. Jego instalacje ogromnie poszły w cenę i to w czasie, kiedy nowoczesna sztuka w ogóle się nie sprzedaje. W tym artykule napisali, że nie miał żadnych spadkobierców. Nie znał ojca, matka była jedynaczką, a dziadkowie nie żyją.

– Możemy więc przyjąć, że Niclas nie miał pojęcia o tym, kim był jego ojciec, ani że został jego prawnym spadkobiercą. – Knut Bork usiadł na parapecie, jedną nogą opierając się o krzesło Inger Johanne.

– Przynajmniej na razie. A w takiej sytuacji termin przedawnienia roszczenia zaczyna biec dopiero... – Inger Johanne przerzucała cieniutkie kartki zbioru praw. – Paragraf siedemdziesiąty – powiedziała z przejęciem. – Sześć miesięcy. Tyle jest czasu na zgłoszenie

roszczeń do spadku od chwili dowiedzenia się o istnieniu testamentu. Ale zgadzam się z tobą, Knut. Z tego, co wiem, jest wyznaczony jakiś ostateczny termin... Mam na myśli to, że...

Dalszy ciąg zginął w mamrotaniu. Knut niecierpliwie machał nogą. W końcu nachylił się nad Inger Johanne.

– Paragraf siedemdziesiąty piąty – oznajmiła nagle Inger Johanne głośno i palcem przesunęła po tekście. – *Prawo do zgłaszania roszczeń do spadku wygasa, gdy od śmierci spadkodawcy upływie dziesięć lat.* Tak właśnie myślałam.

– Piętnastego kwietnia w tym roku – obliczyła szybko Silje. – Wtedy mija termin.

Wygaszacz ekranu wybuchnął nagle bezszelestnymi fajerwerkami. Inger Johanne wpatrywała się w czerwoną obwódkę magnesu wokół soboty siedemnastego stycznia. Działała na nią wręcz hipnotyzująco. Za dwa dni znów będzie dziewiętnasty. Gdy to sobie uświadomiła, ciarki przeszły jej po plecach. Knut nagle postawił obie stopy na podłodze i wstał.

– To znaczy, że Niclas miał prawie dziesięć lat na to, żeby przyjść i żądać od rodzeństwa wszystkiego, co posiadają? – zawołał. – Czy to nie jest jakaś cholerna niesprawiedliwość?

Inger Johanne nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Dlaczego on zerwał z dziećmi? – spytała cicho, patrząc gdzieś przed siebie.

– Georg Koll?

– Tak.

– Mówiłam już, to był naprawdę dupek. Poza tym chyba nie podobało mu się, że Marcus jest gejem. A rodzeństwo stanęło po stronie brata. Marcus Koll był chyba jednym z pierwszych, którzy naprawdę... W każdym razie był pierwszą osobą, o jakiej ja wiedziałam, otwarcie przyznającą się do homoseksualizmu. Sporo się o tym mówiło w tych kręgach, no wiecie.

Knut wciąż równie mało wiedział o tych kręgach, a Inger Johanne wyglądała tak, jakby w ogóle nie słyszała słów Silje.

– Ale Niclas też był gejem – zauważyła.

– Georg mógł o tym nie wiedzieć.

– W tej sprawie w Stanach istniał związek między... – Wzrok Inger Johanne nagle się wyostrzył. – A więc ci dwaj mężczyźni to bracia – powiedziała tak cicho, że Knut ledwie ją słyszał. – Przyrodni. W podobnej sprawie w USA wyszły na jaw dziwne powiązania między ofiarami. Czy... – Spojrzała raz na Silje, raz na Knuta. – Czy Marcus Koll może być kolejną ofiarą? – Przeniosła wzrok na kalendarz. – Dziewiętnasty jest pojutrze. Może...

– Czy ty w ogóle wierzysz w swoją własną teorię? – zirytował się Knut. – Czy już ją odrzuciłaś? Jeśli za tymi zabójstwami naprawdę stoją „The 25’ers”, to dawno ściągnęli swoich ludzi z Norwegii! „VG” w zasadzie ujawniła wszystko, co wiemy, sprawcy musieliby być idiotami, gdyby... Niech to wszyscy diabli! Kripos od wczoraj ma stały kontakt z FBI! Chociaż Amerykanie nisko się kłaniają za to, że prowadzimy tak intensywne śledztwo, i jutro przysyłają swoich ludzi, którzy mają nas wspomóc, wcale jednak nie kryją, że ich zdaniem sprawcy już są w drodze do domu!

Inger Johanne z głuchym trzaskiem zamknęła zbiór przepisów prawnych.

– A jeśli naprawdę uważamy, że oni zamierzają zabijać dalej – ciągnął Knut ze złością – to powinniśmy usłuchać tego szmatławca. – Zamachał „VG”. – I ostrzec wszystkich gejów i lesbijki przed najbliższym poniedziałkiem! A potem przed dwudziestym czwartym stycznia. I dwudziestym siódmym. To kompletnie...

– Nie zaszkodzi wysłać patrol – skarciła go Silje. – Cywilny samochód. Z funkcjonariuszami w cywilu. Po cichu. Marcus Koll powinien zostać poinformowany...

– Należy go informować jak najmniej – przerwała jej Inger Johanne. – A już na pewno nie może usłyszeć ani słowa o tym testamencie. Z tym powinien zostać skonfrontowany w innych okolicznościach i przez kogoś innego, nie przez dwóch przypadkowych funkcjonariuszy w cywilu. Przecież nie mamy nawet pojęcia, czy on wie, że ma brata!

– Ale patrol i tak wyślemy – zdecydowała Silje. – O testamencie nic mu nie powiedzą, bo na razie tylko my o nim wiemy. Mogą za to... wyrazić ogólne zaniepokojenie o bezpieczeństwo jawnych homoseksualistów. Przecież wszyscy już wiedzą o tej sprawie. To się powinno jakoś udać.

Uśmiechnęła się przelotnie i wstała na znak, że zebranie dobiegło końca.

Inger Johanne siedziała zatopiona w myślach. Knut Bork wyszedł z pokoju, a Silje stanęła z ręką na wyłączniku światła.

– Zostajesz? – spytała. – Jeśli tak, będziesz tu sama.

* * *

Marcus Koll jr. był całkiem sam w wielkim domu na Holmenkollen. Tylko psy spały w koszu przy kominku. Wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Ponieważ nie wiedział, jak długo Rolf nie będzie, ogolił się elektryczną maszynką, zamiast porządnie pianką i żyletką. Potem spędził kilka minut w swoim gabinecie, a później usiadł w miękkim fotelu przed panoramicznym oknem wychodzącym na miasto i fiord.

Czekał.

Czuł się spokojny. W pewnym sensie odczuwał ulgę. Lekkie mrowienie w ciele bardziej przypominało mu radość niż żal. Głęboko oddychał przez nos.

Właśnie w tym widoku swego czasu się zakochał.

Ogród na łagodnym zboczu opadał ku dwóm wysokim sosnom przy płocie na końcu parceli. Pozostałe drzewa zasłaniały widok z sąsiednich domów, ale nie kradły fantastycznej panoramy. Mieszkanie tutaj przypominało życie daleko za miastem i właśnie wrażenie odizolowania, a zarazem pełnej swobody skłoniło go do kupna posiadłości.

– Siedzisz tak po ciemku? – usłyszał za plecami.

W salonie zapalały się kolejne światła.

– Marcus? – Rolf stanął przed nim zdziwiony. – Już się ubrałeś na wieczór? Jest dopiero pół do trzeciej i...

– Usiądź, dobrze?

– Nic nie rozumiem. Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo, bo mamy sporo do zrobienia. Mały Marcus zdecydował, że będzie nocował u Johana, więc...

– To dobrze, siadaj. Bardzo cię proszę.

Rolf zajął bliźniaczy fotel stojący metr dalej. Siedzieli częściowo zwróceny do okna, częściowo ku sobie.

– O co chodzi?

– Pamiętasz tamten twardy dysk, który znalazłeś? – spytał Marcus i lekko zakaszłał.

– Co?

– Pamiętasz, jak znalazłeś twardy dysk w maserati?

– Tak. Powiedziałeś... Już nie pamiętam, co powiedziałeś. Ale o co chodzi?

– On wcale nie był zepsuty. Wyjąłem go z mojego komputera, żeby nikt nie mógł zobaczyć, na jakie strony wchodziłem tego wieczoru. Na wypadek, gdyby ktoś chciał to sprawdzić.

Rolf siedział na brzeжку fotela z otwartymi ustami, a Marcus rozparty, z nogami na podnóżku i obydwoma przedramionami na miękkich podłokietnikach.

– Porno – uśmiechnął się Rolf niepewnie, zgadując. – Ściągnąłeś coś nielegalnego, co...

– Nie. Przeczytałem artykuł w „Dagbladet”. Ogólnie dostępny, ale chciałem się upewnić. W stu procentach. – Prychnął, trochę ze śmiechem, a trochę z płaczem, zanim spojrzał na Rolf'a i poprosił: – Możesz być tak dobry i usiąść wygodniej?

– Siedzę tak, jak mi to odpowiada. Co się z tobą dzieje, Marcus? Masz taki dziwny głos i cały jesteś... dziwny. Włożyłeś garnitur i krawat w sobotę wczesnym popołudniem i

opowiadasz mi o nielegalnym surfowaniu po stronach... „Dagbladet”. Co nielegalnego może być, na miłość boską, w...

Marcus nagle wstał. Rolf gwałtownie zamknął usta, zęby wyraźnie uderzyły o siebie.

– Proszę cię. – Marcus w geście bezradności potarł obiema rękami głowę. – Tak bardzo cię proszę, żebyś wysłuchał tego, co mam do powiedzenia. I nie przerywał mi. To i tak dostatecznie trudne. A ja w każdym razie znalazłem jakiś początek. Pozwól mi dokończyć, dobrze?

– Oczywiście. Co się... Oczywiście. Mów. Opowiadaj.

Marcus przez kilka sekund wpatrywał się w fotel, w końcu znów usiadł.

– Natrafiłem na historię o artyście, który nazywał się Niclas Winter. Umarł. Sugerowano, że z przedawkowania.

– Niclas Winter – powtórzył zdezorientowany Rolf. – To jedna z ofiar...

– Tak. Był jednym z tych, którzy zostali zabici przez tę amerykańską grupę działającą z nienawiści, o której „VG” tyle pisała w ostatnich dniach. A poza tym był moim bratem. Przyrodnim. Synem mojego ojca.

Rolf powoli wstał z fotela.

– Siadaj! – nakazał Marcus. – Bardzo cię proszę, siadaj!

Rolf usłuchał, ale znów przycupnął na samym brzeжку fotela z jedną ręką na podłokietniku, jakby szykował się do skoku.

– Nie wiedziałem o nim – powiedział Marcus. – Dowiedziałem się dopiero w październiku. Przyszedł do mnie. To był oczywiście szok, ale przede wszystkim radość. Brat, który wziął się nie wiadomo skąd.

Za oknem niebo pociemniało. Na zachodzie widoczna była jeszcze wąska pomarańczowa smuga, którą zostawiło słońce. Za pół godziny również i ona miała zniknąć.

– Ale radość trwała krótko. On oświadczył, że jest prawowitym spadkobiercą wszystkiego. Wszystkiego. – Westchnął głęboko i zapadła cisza.

– Czego wszystkiego? – odważył się spytać szeptem Rolf.

– Tego. – Marcus zatoczył ręką szeroki krąg. – Tego, co moje. Nasze. Całego spadku po naszym wspólnym ojcu.

Teraz Rolf zaczął się śmiać. Suchym, dziwnym śmiechem.

– Nie mógł ot, tak sobie przyjść i twierdzić, że jest zaginionym synem, który...

– Testament – przerwał mu Marcus. – Miał testament. Wprawdzie na razie jeszcze nie trzymał go w rękach, ale jego matka powiedziała mu, że taki dokument gdzieś się znajduje. Musiał go tylko najpierw znaleźć. Facet wydał mi się okropny i nie bardzo mu mogłem

uwierzyć, więc go wyrzuciłem. Wkurzył się i obiecał okrutną zemstę, kiedy będzie już miał ten testament w ręku. Sprawiał wrażenie niemal... – Marcus zakrył dłonią oczy – ...szalonego. Tak, wydawał się szalony. Postanowiłem o nim zapomnieć, ale ledwie minęło kilka godzin, zacząłem się niepokoić. – Opuścił rękę i spojrzał na Rolfa. – Niclas Winter był podobny do ojca – dodał zachrypniętym głosem. – Miał w sobie coś, co mi kazało sprawdzić opowiedzianą przez niego historię. Na wszelki wypadek.

– Jak? – Rolf cały czas siedział w tej samej pozycji.

– Pytając matkę.

– Else? A skąd ona, na miłość boską, mogła...

Marcus podniósł rękę i pokręcił głową.

– Kiedy jej powiedziałem, że przyszedł do mnie facet, który nie dość, że twierdził, że jest moim bratem, to jeszcze uważał, że ma pełne prawo do spadku po Georgu, matka całkiem się załamała. Gdy wreszcie udało mi się ją nakłonić do mówienia, wyznała, że widziała się z moim ojcem na pięć dni przed jego śmiercią. Poszła do niego zebrać... o pieniądze w imieniu Anine. Moja siostra akurat wtedy zerwała ze swoim ówczesnym partnerem i bardzo nie chciała rezygnować z tego mieszkania na Grünerlokka. A jako ekspedientki w księgarni nie stać jej było na samodzielne utrzymanie mieszkania.

– Myślę, że powinieneś już przestać o tym mówić. – Rolf głośno przełknął ślinę. – Wyglądasz jak żywy trup, Marcus. Powinieneś się położyć. Powinieneś...

– Powiniennem dokończyć moją historię!

Uderzył pięścią w podłokietnik. Głuchy odgłos kazał Rolfowi z powrotem usiąść.

– A ty masz mnie słuchać – warknął Marcus.

Rolf kiwnął głową.

Marcus znów głęboko odetchnął. Spokojnie, pomyślał. Opowiedz swoją historię i zrób to, co masz zrobić.

– Ojciec wyrzucił mamę za drzwi – podjął. – Ale zdążył jej jeszcze powiedzieć, że sporządził testament na rzecz... bękarta, jak nazywa go mama. Ona wiedziała o nim od zawsze. Ojciec z tym synem też nie miał żadnego kontaktu, tylko chciał nas po prostu ukarać. Przypuszczam, że przede wszystkim mamę.

Jeden z seterów wyszedł z koszyka. Wiklina zatrzeszczała. Pies ziewnął i poczłapał do Marcusa. Położył mu łeb na kolanie.

– Kiedy zrozumiałem, że ten człowiek mówił prawdę, nie wiedziałem, co mam robić.

Rolf oddychał przez usta. Szeleściło mu w gardle, jakby miał astmę.

– Nie będę długo o tym rozprawał. – Marcus odepchnął psa i powoli, jakby był starym

człowiekiem, wstał z fotela. Zrobił krok do przodu i stanął odwrócony tyłem do Rolfa. Pies przysiadł przy nim, jakby obaj wypatrywali tego samego w ciemności.

– Trzy dni później byłem w Stanach. – W głosie Marcusa pojawił się metaliczny ton. – Interesy szły jak zawsze, ale ja się nie mogłem pozbierać. Któregoś wieczoru upiłem się razem z jednym z dyrektorów z Lehman Brothers, który właśnie stracił pracę. Chodziło o to, że...

Pauza trwała długo.

– Wszystko jedno. Rzecz w tym, że opowiedziałem mu o wszystkim. On znalazł rozwiązanie.

Jeszcze dłuższa przerwa.

Pies pisnął i samym koniuszkiem ogona uderzył o podłogę.

Na południu zamigotały światła samolotu wolno poruszającego się po niebie.

– Jakie... – Rolf musiał odchrząknąć. – Jakie rozwiązanie? – dokończył.

– Płatny zabójca – odparł Marcus.

– Płatny zabójca?

– Tak. Płatny zabójca. Mówiłem już, że byłem pijany.

– Ale następnego dnia oczywiście powiedziałeś, że to żart.

Pies spojrzał na pana. Pisnął jeszcze raz, po czym wstał i podreptał do swojego koszyka.

– Marcus, odpowiedz mi! Następnego dnia obaj mieliście kaca i wyjaśniliście sobie, że żartowaliście. Prawda? Prawda, Marcus?

Marcus nie odpowiedział. Stał tylko z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, przygarbiony, w garniturze i pod krawatem, w całkowitej apatii.

– Wypuściłem potwora – szepnął bezdźwięcznie. – Nie miałem pojęcia, że wypuszczam potwora.

Rolf wykonał wreszcie swój skok i złapał Marcusa za ramię.

– Co ty mi próbujesz powiedzieć? – krzyknął i ścisnął mocniej.

Marcus nie zwrócił uwagi ani na ból, ani na gwałtowny wybuch Rolfa.

– Chyba nie zleciłeś jakiegoś cholernego zabójstwa, Marcus?

– On chciał mi odebrać wszystko. Niclas Winter chciał zabrać wszystko, na co zasłużyłem. Wszystko. Majątek Anine i Mathiasa. Nasz. Wszystko, co ma kiedyś przypaść Małemu Marcusowi.

Mówił monotonnym głosem, jakby każde słowo miał wcześniej nagrane na taśmie, a później poskładał z tego zdania. Rolf uniósł prawą rękę i zacisnął w pięść tak mocno, że

pobiegały mu kostki. Był wyższy od Marcusa, silniejszy. Znacznie lepiej wytrenowany.

– Jeśli mi powiesz, że zapłaciłeś za wynajęcie płatnego mordercy, to cię zabiję. Zabiję cię, Marcus, przysięgam. Powiedz, że kłamiesz!

– Dwa. Miliony. Dolarów. Za dwa miliony dolarów mój problem miał przestać istnieć. Zapłaciłem. Człowiek z Lehman Brothers załatwił resztę. To wszystko było takie... bezosobowe. Przelew na Kajmany i ani pieniądze, ani zlecenie nie miały ze mną więcej nic wspólnego.

Rolf nagle zwolnił uścisk wokół jego ramion.

– Dziś w nocy – ciągnął Marcus, nie zwracając uwagi na to, że psy zaczęły krążyć wokół nich i popiskiwać – uzyskałem potwierdzenie, jakiego potrzebowałem. Mnóstwo wypisują o „The 25’ers” i wielu rzeczom nie można wierzyć, ale poważne strony internetowe dały mi potwierdzenie, jakiego potrzebowałem.

– Potwierdzenie czego? – zaszlochał Rolf. Cofał się wolno, jakby nie chciał, jakby nie miał odwagi stać obok Marcusa. – Co znalazłeś?

– Że „The 25’ers” podejmują się płatnych zabójstw. Tak jak Ku-Klux-Klan, „The Order” i... – Z trudem łapał powietrze.

– A przynajmniej zarabiają pieniądze na zabijaniu ludzi, których chcą usunąć – szepnął. – To ja ich tu sprowadziłem. Facet z Lehman Brothers albo ten, z kim się skontaktowałem, musiał stwierdzić, że człowiek, którego śmierci pragnę, jest homoseksualistą, i zaangażował „The 25’ers”. To takie proste. Takie kliniczne. To ja sfinansowałem zabójstwo sześciorga Norwegów. Nie wiedziałem nawet, że Niclas Winter... mój brat... też był gejem. Wypuściłem potwora. Ja...

Cofnął się, kiedy nagle ogromne panoramiczne okno dosłownie wybuchło. Do pokoju wpadł lodowaty wiatr. Dookoła posypały się odłamki szkła wielkie jak lodowa kra. Psy zaczęły wyć. Rolf ciągle jeszcze trzymał w ręku stojącą lampę, gotów unieść jej ciężką podstawę do kolejnego ciosu.

– Zabiłeś kogoś za to? – krzyknął. – Zleciłeś zabójstwo dla pieniędzy? Za jakieś pieprzone nazistowskie gniazdo na Holmenkollen? Za drogie samochody i szpanerską piwnicę z winami? A więc jednak stałeś się taki, Marcus. Stałeś się cholernym materialistą!

Z rykiem ponownie zamierzył się dwumetrową lampą z sześcioma kilogramami ołowiu w podstawie i z całej siły uderzył nią w sąsiednie okno.

– Dalibyśmy sobie radę bez tego wszystkiego! Do cholery, jestem weterynarzem! Ty masz wykształcenie! Byłoby nam równie dobrze bez...

Już miał się rzucić na następne okno, ale wtedy właśnie rozległ się dzwonek do drzwi.

Rolf znieruchomiał.

Ktoś zadzwonił jeszcze raz.

Marcus niczego nie słyszał. Osunął się na fotel między kawałki szyby i potłuczonego abażuru. Psy, szczekając, biegały po pokoju. Jeden paskudnie skaleczył się w łapę. Krople krwi zostawiały smugę na podłodze, gdy przerażone zwierzę pobiegło na korytarz.

– Wypuściłem potwora – szepnął Marcus i zamknął oczy.

Z korytarza doszły go głosy, ale nie słyszał słów.

– Potwora – powtórzył szeptem i ruszył przez pokój.

– To policja – płakał Rolf od drzwi. – Marcus, policja przyszła!

Ale Marcusa już nie było. Wszedł do swojego gabinetu, usiadł na biurowym krześle obciążonym cielecą skórą, za biurkiem z polerowanej brzozy płomienistej. Drzwi zamknął, ale nie na klucz. Kiedy znów usłyszał wołanie Rolfa, otworzył górną szufladę, do której w nocy przełożył pistolet wyjęty z szafki z bronią.

Odbezpieczył i skierował lufę w skroń.

– Opowiedz im całą moją historię – powiedział, chociaż nikt go nie słyszał. – I opiekuj się naszym synem.

Ostatnią rzeczą, jaką Marcus Koll jr. usłyszał, był krzyk Rolfa i krótki, ostry początek huk.

* * *

Niewysoki mężczyzna w towarzystwie olbrzymiego Afroamerykanina szedł naprzeciwko Richarda Forrester, gdy ten zbliżał się do kontroli paszportowej na międzynarodowym lotnisku imienia Johna F. Kennedy'ego. Kolejka wydawała się nie mieć końca, więc Richard przez krótki moment pomyślał, że może jako pasażerowi pierwszej klasy zaproponują mu jakąś ekstrausługę, na przykład pozwolą wyminąć wszystkich pozostałych podróżnych. Uśmiechnął się zachęcająco, gdy niższy z mężczyzn spojrzał na niego i spytał:

– Richard Forrester?

– Tak.

Mężczyzna wyciągnął charakterystyczny identyfikator i zaczął mówić. Jego głos nie docierał do Richarda, bo w uszach zaczęło mu szumieć i zrobiło mu się gorąco. Za gorąco. Próbował rozluźnić krawat, czując, że ma problemy z oddychaniem.

– ...prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu...

Richard Forrester zamknął oczy i słuchał monotonnego *Miranda warning*, jakby

dochodziło gdzieś z daleka. Coś poszło nie tak. Ale on za skarby świata nie był w stanie pojąć co. Przecież nigdzie nie było żadnych jego śladów. Żadnych odcisków palców. Żadnych zdjęć. On po prostu był w Anglii, w związku z interesami swojego niewielkiego, ale sprawnie działającego biura podróży.

– Zrozumiał pan?

Znów otworzył oczy. Pytał ten wielki. Głos miał gruby i głęboki, i patrzył spod oka, gdy powtarzał:

– Zrozumiał pan?

– Nie – odparł Richard Forrester, wyciągając ręce przed siebie, tak jak kazał mu niższy z mężczyzn. – Niczego nie rozumiem.

* * *

– Yngvar – szepnęła Inger Johanne, tuląc się do ciała śpiącego męża. – Czy naprawdę nie mogliśmy nic zrobić, żeby zapobiec temu samobójstwu?

– Nie – mruknął i odwrócił się. – A co by to miało być?

– Nie wiem.

Było pięć po pół do trzeciej w nocy z soboty na niedzielę osiemnastego stycznia 2009 roku. Yngvar cmoknął i lekko się uniósł, żeby się napić wody.

– Nie mogę zasnąć – szepnęła Inger Johanne.

– Widzę. – Uśmiechnął się. – Ale to była bardzo trudna i pełna wydarzeń doba.

– Tak się cieszę, że zdążyłeś na ostatni samolot do domu.

– Ja też.

Pocałowała go w policzek i wtuliła się w jego kark. Stary, zniszczony notes w skórzanej oprawie wciąż leżał na nocnej szafce Yngvara. Pokazał go jej, ale nie pozwolił czytać. Nikt oprócz Inger Johanne nie dowiedział się o jego istnieniu. Niezwykle osobista treść poruszyła Yngvarem do głębi. Religijne rozważania, dywagacje filozoficzne, codzienne historie. Opowieść o tym, jak gej spłodził dziecko z lesbijką. O szczęściu, jakie temu towarzyszyło, i o bólu. O wstydzie. Wszystko to opisane drobnym, starannym, wręcz kobiecym charakterem pisma. Gdy tylko Yngvar wylądował na Gardermoen, zdecydował, że sporządzi notatkę służbową zawierającą najbardziej istotne informacje związane z zabójstwem Evy Karin w taki sposób, by wyglądało na to, że Erik sam mu o wszystkim opowiedział. Notesu nikt inny nie dostanie.

– Teraz Erik już z pewnością nie zmieni wyznania – stwierdził gorzko Yngvar.

Już podczas drugiego spotkania z Yngvarem Lukas powiedział mu o fascynacji Erika

katolicyzmem. Młody mężczyzna nawet trochę się uśmiechał, relacjonując wyprawę rodziców do Bostonu jesienią ubiegłego roku. Podczas gdy Eva Karin uczestniczyła w światowym kongresie ekumenicznym, Erik odwiedził katolickie kościoły w mieście. Natomiast ani Eva Karin, ani Lukas nie wiedzieli, że poszedł też się wypowiadać. Znał podstawy teologii i gdyby chciał, mógłby przejść na katolicyzm. Swoją rozmowę z księdzem w konfesjonale zrelacjonował ze szczegółami w brązowym notesie. To była pierwsza poufna rozmowa Erika o jego wielkim, trudnym życiowym kłamstwie.

– Myślisz, że to ksiądz? Że to on jest związany z „The 25’ers”?

Inger Johanne szeptała, chociaż zostawiła dzieci u rodziców. Zaopiekowali się dziewczynkami w czasie, gdy ona była u Silje Sørensen, a później, gdy zdyszana po nie przybiegła, i Ragnhild, i Kristiane zgodnym chórem odmówiły powrotu do domu.

– Nie wiem. Ksiądz albo ktoś z nim związany. Katolicy mają pewne spiskowe tradycje, że tak powiem. W każdym razie oczywiste jest, że Erik nigdy z nikim innym o tym nie rozmawiał. Wykluczone też, by Eva Karin miała jakąś inną zaufaną osobę oprócz Martine. Poznałem Martine. Eva Karin nikogo innego nie potrzebowała. Możesz mi wierzyć. Cudowna kobieta. Bardzo mądra. Ciepła. – Uśmiechnął się w ciemności. – W każdym razie teraz Amerykanie zajmą się wyjaśnieniem reszty. Okazało się, że FBI już wcześniej miało sporo materiałów. Potrzebny był im tylko ten... klucz, tak to można nazwać. Dołożyliśmy im tyle, że prawdopodobnie mogą rozbić całą tę organizację. U nas śledztwo też przyspieszyło. Zamierzamy ustalić wszystkie ruchy obywateli amerykańskich w ciągu ostatnich miesięcy. Skojarzyć ze sobą informacje dotyczące tych sześciu zabójstw, teraz, kiedy już mamy pewność, że były ze sobą powiązane. Będziemy...

– Rysunek – przerwała mu Inger Johanne. – To ten portret pamięciowy umożliwił rozwiązanie sprawy. I nam, i Amerykanom. Silje mi mówiła, że FBI w ciągu dziewięciu godzin ustaliło tożsamość tego jednego sprawcy. Rejestr praw jazdy w powiązaniu z informacjami o wyjazdach do Europy w ostatnich miesiącach wystarczył do wytypowania tego człowieka. Ten rysunek był kluczem.

– Owszem. Chociaż właściwie przerażające, kiedy się pomyśli o tym, jak bardzo jesteśmy inwigilowani. Ta sprawa będzie wodą na młyn dla tych, którzy pragną jeszcze zwiększyć kontrolę. – Yngvar pocałował Inger Johanne we włosy. – Rysunek był ważny. Masz rację. Ale i tak największa jest twoja zasługa, skarbie.

Oboje umilkli.

– Yngvar...

– Tak?

– Nawet jeśli rozbiją „The 25’ers”, to prędzej czy później pojawi się jakaś nowa organizacja, która będzie miała taki sam cel. Będzie tak samo myśleć i to samo robić.

– Pewnie tak.

– Tu, w Norwegii, też?

– O tym w pewnym sensie zdecydujemy sami.

Cisza trwała tak długo, że Yngvar zaczął oddychać wolniej i głębiej.

– Yngvar...

– Powinniśmy już spać, kochana.

– Czy ty nigdy nie wierzyłeś w Boga?

Usłyszała, że się uśmiechnął.

– Nie.

– Dlaczego? Nawet wtedy, kiedy Elisabeth i Trine umarły? I...

Yngvar delikatnie uniósł ramię i lekko ją od siebie odepchnął.

– Chcę już spać, naprawdę. I ty też powinnaś.

Łóżkiem lekko zakołysało, kiedy obracał się na bok, plecami do niej. Przytuliła się do niego nagim ciałem jak do ciepłej, wielkiej ściany. Nie minęła nawet minuta, jak Yngvar znów zasnął.

– Yngvar – szepnęła najciszej, jak umiała. – A ja czasami wierzę w Boga. Przynajmniej troszeczkę.

Roześmiał się, ale przez sen.

EPILOG/PROLOG

Maj 1962

Spotkanie

Eva Karin właśnie skończyła szesnaście lat i miała sukienkę z jasnoniebieskiej krempliny.

Uszyła ją matka, tak jak szyła wszystkie sukienki Ewy Karin. Ta była najładniejsza i pierwsza o dorosłym kroju. Sukienka w stylu Jackie Kennedy, o jaką nie zdążyła nawet poprosić. Nie zdążyła zażyczyć sobie niczego. W ogóle nie myślała o urodzinach.

Nie było miejsca na nic oprócz tego jednego, najważniejszego: to straszne musi zniknąć.

Kiedy otworzyła prezent, musiała udawać, że się cieszy. Jakby w ogóle jeszcze potrafiła się cieszyć. Matka, uszczęśliwiona pięknym materiałem i udaną pracą, nawet nie patrzyła na reakcję Ewy Karin.

Nikt nie widzi, jak Eva Karin się czuje. Może tylko Bóg, jeśli istnieje.

Kiedy dziś rano wstała, włożyła tę sukienkę. Matka się rozzłościła, sukienka miała czekać na siedemnasty maja, na święto narodowe. Eva Karin oświadczyła, że nie chce spóźnić się do szkoły i nie ma czasu się przebierać. W końcu matka ustąpiła. Trochę była też dumna, Eva Karin to widziała. Ciemnooka i czarnowłosa córka w sukience niebieskiej jak lód wyglądała tak amerykańsko.

Balerinki Eva Karin schowała w torbie. Kiedy tylko zeszła matce z oczu, włożyła je zamiast praktycznych trzewików.

Eva Karin wystroiła się na śmierć.

Nie chce, by jej szczątki znalazł ktoś, kto ją zna, dlatego idzie na górę, aż na szczyt Løvstakken, dokąd nie zapędza się młodsze rodzeństwo i gdzie rodzice nigdy nie postawili stopy.

Powietrze jest przejrzyste i ostre. Czuje chłód. Mocniej owijają się swetrem. Musi uważać, gdzie stąpa. Na ścieżce są korzenie i kamienie, a balerinek nie może ubrudzić.

Ojciec nie wierzy w Boga.

Eva Karin pragnie w niego uwierzyć.

Modliła się tak żarliwie.

Czytała księgę, którą musi chować w szufladzie z bielizną, żeby ojciec jej nie znalazł. Burczy stale, że religia to opium dla mas, a Eva Karin i jej rodzeństwo jako jedyni wśród znajomych nie zostali ochrzczeni ani nie przystąpili do konfirmacji. Czytała i szukała w zakazanej Biblii, ale znalazła jedynie przekleństwo.

Bóg i ojciec są zgodni przynajmniej w tym jednym: tacy jak ona nie mają prawa żyć.

O takich jak ona trzeba mówić innym językiem. Zupełnie odrębnym językiem spojrzeń, gestów i słów, które właściwie znaczą co innego, lecz gdy dotyczą takich jak ona, nabierają mrocznego znaczenia, którego ona nie zniesie.

Zawsze myślała, że tylko mężczyźni są tacy.

A że są, to wie. Bo to oni są adresatami tych słów o podwójnym dnie, tych spojrzeń, obscenicznych gestów, na jakie pozwalają sobie chłopcy za plecami profesora Berstada, a dziewczęta chichoczą. Wszystkie z wyjątkiem Ewy Karin, bo ona się wtedy czerwieni.

Zatrzymuje się na ścieżce. Słońce prześwieca przez delikatne listki. Ziemia wydaje się pokryta drżącym, płynnym złotem. Wokół drzew gęsto kwitną zawilce, przykrywają korzenie niczym ciepłe kołderki. Ptaki ćwierkają, a wysoko nad czubkami drzew płyną po niebie białe chmury zwiastujące dobrą pogodę.

Eva Karin już od pół roku chodzi z Erikiem.

Erik jest miły. Nigdy jej nie dotyka. Nie chce się całować, nie obmacuje jej jak inni chłopcy, o których opowiadają koleżanki. Erik czyta książki i dobrze się uczy. Piją razem herbatę, Erik pokazuje jej niektóre swoje wiersze, niezbyt zresztą udane. Eva Karin czuje się z nim dobrze, bezpiecznie. Z Erikiem jest spokojna. Inaczej niż wtedy, gdy spotyka się z Martine.

Nagle rusza dalej.

Nie wolno myśleć o Martine. Nie wolno wyobrażać sobie, jak Martine wygląda, kiedy u siebie nocują, a matki bez pukania wchodzą powiedzieć im dobranoc.

Eva Karin tyle się modliła. O to, by opuścić Martine. By znaleźć w sobie siłę i odrzucić pragnienie. Eva Karin całymi nocami klęczała przy łóżku ze złożonymi dłońmi i zamkniętymi oczami. Nikt jej nie odpowiedział. Nawet wtedy, gdy pod kolana podkładała sobie odłamki szkła. Martine jest przy Ewie Karin bez względu na to, czy ona tego chce, czy nie, i nigdy nie odejdzie. Eva Karin modli się, aż pada ze zmęczenia. Ale nie ma nikogo, kto by jej odpowiedział. Może ojciec mimo wszystko ma rację, podobnie jak rację ma, mówiąc, że tacy jak ona są wstrętnei.

Ani on, ani matka nie mogą się nigdy o tym dowiedzieć, myśli Eva Karin i zaczyna szybciej piąć się ścieżką pod górę. Ojciec, który śpiewał jej kołysanki, bawił się z nią i zrobił jej wózek dla lalek w warsztacie, gdy miała pięć lat, który krzycząc głośno „hura”, sadzał ją sobie na barana i tak szedł w pochodzie pierwszomajowym, dopóki nie zrobiła się za ciężka i zamiast tego mogła trzymać lewy chwost przy sztandarze związku zawodowego. Ojciec nigdy nie może się dowiedzieć, że jego mała dziewczynka jest taka.

Taka.

Eva Karin jest taka.

Eva Karin chce umrzeć i ma w torebce żyletkę ojca.

Między drzewami widzi chłopaka. Nie idzie ścieżką jak ona. Podchodzi z boku. Eva Karin odwraca głowę, bo nikt nie może zobaczyć jej łez. A już na pewno nie teraz, kiedy ma umrzeć. Eva Karin przyspiesza.

On nagle staje przed nią.

Uśmiecha się.

Ona widzi teraz, że to bardziej mężczyzna niż chłopak. Włosy ma nieporządne, chyba od wieków niestrzyżone. Cofa się.

– Nie bój się – mówi chłopak i wyciąga ręce, obrócone w jej stronę spodem dłoni. – Chcę tylko z tobą porozmawiać.

Eva Karin ujmuje jedną wyciągniętą dłoń.

Nie wie dlaczego, ale bierze tego obcego mężczyznę za rękę i idzie za nim do lasu. Wchodzą między drzewa, brodzą w złocie i zawilcach, aż docierają do niewielkiej polany, gdzie grzeje słońce. On siada oparty plecami o pień i lekko poklepuje ziemię obok.

Ma na sobie niebieskie amerykańskie dżinsy, białą koszulę bez kołnierzyka. Stopy nagie, w sandałach z zakrytymi palcami, takich jakie ma ojciec, wyjmowanych ze schowka dopiero na wakacje. Obcy mówi z akcentem bergeńskim, ale nie jest podobny do żadnego znajomego.

Eva Karin siada. Słońce ją grzeje, światło jest takie ostre. Zmrużonymi oczami patrzy w niebo.

– Nie możesz tego zrobić – mówi młody mężczyzna o oczach niebieskich jak lód.

– Muszę – odpowiada Eva Karin.

– Nie wolno ci tego robić – powtarza i otwiera jej torebkę.

Eva Karin pozwala nieznanemu dorosłemu mężczyźnie otworzyć swoją torebkę i wyjąć z niej żyletkę, którą wsunęła pod rozdartą podszewkę. On kładzie żyletkę na bliznie na swojej dłoni i zaciska dłoń.

– Zobacz – uśmiecha się, powoli ją otwierając. Żyłka zniknęła.

Jego śmiech dźwięczy dookoła, jest w szumie wiatru i w śpiewie ptaków. Eva Karin się uśmiecha, a on, widząc to, lekko klaszcze w dłonie.

– Uwielbiam te swoje czarodziejskie sztuczki – mówi.

Eva Karin odpoczywa. Prawie zasypia.

– Życie jest nietykalne – przekonuje mężczyzna. – O tym nie wolno ci zapomnieć.

– Nie moje – odpowiada z zamkniętymi oczami. – Ja jestem... grzesznicą.

Waha się przed użyciem tego słowa. Jest zbyt uroczyście. Nie pasuje do jej ust, zbyt wielkie i zbyt dorosłe. Ona ma dopiero szesnaście lat.

– Grzesznikami jesteśmy wszyscy – wyjaśnia spokojnie mężczyzna. – Ale nie chciałbym, aby wszyscy mieszkańcy tego miasta wchodzili na siedem okolicznych wzgórz, by z tego powodu odebrać sobie życie.

– Ja... Kocham inną dziewczynę.

I znów słowa zbyt wielkie dla niej. „Kocham” to słowo zarezerwowane dla ciemności, należy je wymawiać szeptem, ledwie słyszalnie.

– Największa ze wszystkiego jest miłość – uśmiecha się mężczyzna i las wokół nich znów zaczyna się śmiać. – Chyba nigdy nie wypowiedziałem prawdziwszych słów.

Dotyka dłonią jej kolana. Lekką i ciężką jednocześnie. Ciepłą i zimną, i jeszcze jakąś, ale jaką, nie potrafi nazwać.

– Masz słuchać mnie – mówi, nagle poważniejąc. – A nie tych wszystkich, którym się wydaje, że mnie znają.

– Tyle czytałam – szepcze Eva Karin. – Ale nigdzie nie znajduję pociechy.

– Słuchaj tego, co ja mówię, a nie tego, co mówią inni.

Kłęka i obraca się w jej stronę. Jego głowa przesłania słońce, staje się czarna na jego tle, a otacza ją światło tak jasne, że Eva Karin zamyka oczy. Znów czuje tę ciężką lekkość jego dłoni, gdy bierze ją za rękę.

– Ja nie jestem surowy, Evo Karin. Mój ojciec czasami bywa srogi i potrafi zagrmieć, ale ja przeżyłem zbyt wiele, żeby osądzać miłość.

Eva Karin go nie widzi, ale słyszy, że się uśmiechnął.

– Ja przeklinam zło, ciemność. Nigdy nie przeklinam światła i miłości.

– Ale ja...

– Bądź szczerą wobec siebie i szczerą wobec mnie.

– Jak mam...

– Nie dam ci przepisu na życie, Evo Karin. Ale znajdziesz rozwiązanie. A jeśli

będziesz się potykać i upadać, wąpić i bać, to zawołaj mnie. Słucham cię już od pewnego czasu, musiałem tylko poczekać na właściwy moment.

Mężczyzna wstaje i odsuwa się o krok. Eva Karin znów czuje ciepło słońca. Przesłania dłonią oczy i patrzy w górę.

– Nie zdradź swojej zdolności do kochania – mówi mężczyzna i zaczyna odchodzić. – A przede wszystkim nie mierz swojego życia miarą innych ludzi.

Na środku polany jeszcze raz się odwraca.

– Jedno tylko ma być dla ciebie święte i nietykalne – dodaje jeszcze. – Życie. Samo życie.

– Samo życie – powtarza Eva Karin.

Mężczyzna odchodzi.

Ale nigdy nie znika.

Posłowie autorki

Ta książka to powieść, dlatego opisane w niej wydarzenia nie są prawdziwe. Bycie pisarzem oznacza kłamanie, zmyślanie, fantazjowanie. Przyjemnie jest tworzyć własny wszechświat. Można wtedy na przykład opisywać piwnicę hotelu Continental, nie wiedząc nawet, czy ona w ogóle istnieje. Nic mi nie wiadomo o hotelowym systemie wentylacyjnym, nie wiem też, czy system monitoringu w hotelu jest przestarzały. Mam nadzieję, że wybaczone mi zostanie wykorzystanie tego budynku jako scenografii mojej opowieści, bo położony jest tak znakomicie.

Absolutną prawdą jest jednak istnienie w wielu krajach rozmaitych organizacji, których członków w szczególny sposób jednoczy nienawiść wobec pewnych grup ludzi. Prawdą jest również, że część z tych stowarzyszeń stosuje mniej lub bardziej systematyczną przemoc wobec tych, których nienawidzą. Niektóre z nich dopuszczają się bardzo poważnych przestępstw, by sfinansować swoje ponure projekty. Poza tym prawdą jest, niestety, że na całym świecie od niepamiętnych czasów zabijano i stosowano terror w imię najrozmaitszych bogów, wszystkie wymienione w powieści organizacje, których motywem działania jest nienawiść, z wyjątkiem „The 25’ers”, istnieją naprawdę.

Nie istnieje APLC. Organizacja ta jednak ma swój wzorzec, którym jest Southern Poverty Law Center w Montgomery w Alabamie. Ich strona internetowa (www.splcenter.org) z linkami i odniesieniami do odpowiedniej literatury była bardzo przydatna w pracy nad książką.

Materialista nie powstałby, gdyby nie cierpliwość, czułe zagrzewanie do walki i upór Tine Kjær, która od dziesięciu lat jest moją żoną. Dziękuję jej, a także naszej córce Iohanne, która nie może pojąć, że przez cztery miesiące w roku, podczas przedbiegu do każdej powieści muszę tyle czasu spędzać w gabinecie. Teraz czekają nas jaśniejsze czasy, skarbie.

Dziękuję również Mariann Aalmo Fredin za pomoc w trakcie pisania, Berit Reiss-Andersen za wszystko, co wie na temat prawa, a co ja już dawno zapomniałam, i memu bratu

Evenowi Holtowi, który stale mi podrzuca pikantne medyczne ciekawostki. Serdeczne wyrazy podziękowania kieruję także do Kari Michelsen, która w pewnym barze na plaży we Francji w maju 2008 roku przekonała mnie do zarzucenia innego rozpoczętego projektu i do zajęcia się tą książką.

Na koniec ciepłe słowa dla Picassy. Grzeje mi stopy, kiedy piszę, wyciąga mnie na dwór w deszczu i słońcu i okazuje mi niezasłużone bezwarunkowe oddanie.

Nydalen, Oslo, 15 czerwca 2009

Anne Holt